

B.V.
LARSON
LEGION
NIESMIERTELNYCH
3



ŚWIAT POSTĘPU

B.V.
LARSON
LEGION
NIEŚMIERTELNYCH
3

ŚWIAT POSTĘPU

Przekład
Mateusz Pazdur



Warszawa 2020

Tytuł oryginału: *Tech World (Undying Mercenaries Book 3)*

Copyright © 2014 by Iron Tower Press, Inc.
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Karolina Kaiser
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-66375-60-4
ISBN MOBI: 978-83-66375-61-1

*Definicje z jedyne go podręcznika do wiedzy
o społeczeństwie zaaprobowanego przez Hegemonię*

Imperium Galaktyczne – najwspanialszy ustrój, jaki kiedykolwiek powstał. Imperium obejmuje sześćdziesiąt jeden procent układów gwiazdnych w galaktyce zwanej Drogą Mleczną i rości sobie uzasadnione prawa do całej reszty. Imperium jest osiągnięciem podziwianym przez wszystkie cywilizowane formy życia i trwa niewzruszenie od wielu tysiącleci. Każda kobieta, każdy mężczyzna i każde dziecko na Ziemi może czuć dumę, będąc członkiem tej olbrzymiej społeczności.

Układy Centralne – Pośrodku naszej Galaktyki istnieje supermasywna czarna dziura. Wokół tej gęstej masy krążą po swoich orbitach najstarsze ze słońc, skupiska gwiazd pozostających w niewielkich odległościach od siebie. W tym jasno oświetlonym regionie kosmosu, znanym jako Układy Centralne, swoją świetność osiągnęły wszystkie najstarsze rasy.

Galaktycy – Układy Centralne są zamieszkiwane przez nieznaną liczbę wysoko rozwiniętych gatunków znanych jako Galaktycy. Te sędziwe, mądre i życzliwe istoty są przewodnikami tysięcy pomniejszych cywilizacji w nieistotnych układach gwiazdnych. Jedna z takich niewiele znaczących cywilizacji rozwinęła się na Ziemi i nazywa się *ludzkością*.

Rząd Ziemi – Współczesny rząd ludzkości nosi nazwę *Hegemonii* i dzieli się na jednostki sektorowe, dystryktowe i lokalne. Ziemią zarządza lokalnie kolektyw polityczny. W naszym świecie nie istnieją już niepodległe narody. Jak powszechnie wiadomo, jest to fakt, z którego można się jedynie cieszyć.

Ziemski system monetarny – Dzięki życzliwości Imperium każdy ze światów należących do Imperium jest samorządny. Wyłącznie relacje międzygwiazdne są regulowane na szczeblu imperialnym – i tak być powinno! Ziemski system monetarny został ustanowiony w celu wspierania handlu. Istnieją dwa poziomy jednostek

monetarnych zwanych kredytami: kredyty Hegemonii i kredyty galaktyczne. Kredyty Hegemonii są uznawane we wszelkich relacjach między ludźmi w naszych układach gwiazdnych, natomiast kredyty galaktyczne są wykorzystywane w handlu na całym obszarze Imperium. Według przeciętnego kursu wymiany walut jeden kredyt galaktyczny ma wartość przeszło tysiąca kredytów Hegemonii. Kredyty galaktyczne są wymagane do zakupu dóbr handlowych produkcji pozaziemskiej.

Nairbowie – kosmiczni biurokraci, służący Galaktykom z niezachwianą lojalnością. Niech was nie zwiodą ich obłe ciała – w nieugiętym dochodzeniu sprawiedliwości potrafią osiągnąć każdego.

Niniejszym ostrzegamy wszystkich potencjalnych przestępców: wierni Nairbowie pełnią wolę zamieszkujących odległe rejony Galaktyków z fanatycznym oddaniem. Nie ma dla nich zbyt niesprawiedliwego przepisu ani zbyt zawiłych formalności. Ścigają nawet najdrobniejsze naruszenia prawa, precyzyjnie trzymając się jego litery.

Rubież 921 – Nasz układ gwiazdny dryfuje w obrębie Rubieży 921, prowincji na granicy. Jest to nic nieznaczący zaścianek Imperium zlokalizowany w Ramieniu Oriona, które z kolei należy do Ramienia Perseusza. Mimo naszego znikomego znaczenia my, jako ludzkość, musimy dołożyć wszelkich starań, by z oddaniem służyć lepszym od nas.

Flota Bojowa 921 – Nasza lokalna flota bojowa jest być może najwspanialszym darem, jaki otrzymaliśmy od naszego umiłowanego Imperium. Flota ta, składająca się z tysiąca potężnych okrętów, odwiedziła Ziemię tylko raz – ku naszemu wielkiemu szczęściu. Owego pamiętnego dnia, w roku 2052, jej okręty posrebrzyły nasze niebo, tak jak to robią przy każdej planecie, którą odwiedzają.

Prowincjonalnym flotom bojowym zwykle powierza się dostarczanie warunków aneksji nowo odkrytym cywilizacjom, lub też wymierzanie kar tym, którzy sprzeciwiają się woli Galaktyków. Obie te misje stanowią zadania konieczne do utrzymania porządku i

szerzenia praworządności. Flota Bojowa 921 jest wyposażona w broń zdolną obrócić w popiół każdy świat na prowincji. Jednak dla posłusznych istot stanowi symbol siły podnoszącej na duchu i zapewniającej ochronę.

Najnowsza aktualizacja: niestety, Flota Bojowa 921 została odesłana do Układów Centralnych, by pomóc w rozwiązaniu bliżej nieokreślonych problemów.

Wierna służba ludzkości – Jako cywilizacja drugiego poziomu w obrębie chwalebnego Imperium niedawno zostaliśmy mianowani „lokalnymi egzekutorami”. Powierzono nam zadanie utrzymywania ładu w obrębie Rubieży 921. Mimo że lokalna flota bojowa może już nie być dostępna, by nas wspierać, będziemy nadal walczyć z pełną determinacją!

Ziemskie legiony – Podtrzymując stuletnią tradycję, ziemskie kosmiczne legiony wciąż maszerują ku gwiazdom, służąc temu, kto zaoferuje najlepszą cenę.

Legion Varus – najbardziej osławiony ze wszystkich ziemskich legionów. Varus jest często oczerniany przez prasę i resztę naszych służb wojskowych. Nie wiadomo dokładnie, do jakich celów służy, rozumie się jednak, że wykonuje misje, których nie chcą się podejmować inne legiony.

Bardziej miłuję honor, niż się śmierci lękam[\[1\]](#)
Juliusz Cezar, rok 51 p.n.e.

Urodziłem się na Ziemi, sielskim planetarnym zadupiu pośrodku Rubieży 921. Znajdowaliśmy się tak daleko od Układów Centralnych Galaktyki jak tylko się da, więc prawie się nie liczyliśmy jako cywilizacja w Imperium Galaktycznym.

Podczas swoich niezbyt częstych wizyt na Ziemi Galaktycy za każdym razem uskarżali się na ciemność i zimno panujące w Ramieniu Perseusza. Uważali, że nasze samotne słońce świeci słabo i nieudolnie, gdyż byli istotami przyzwyczajonymi do bliskości tysiąca pradawnych gwiazd. Z ich punktu widzenia mieszkaliśmy na polarnym pustkowiu, wiele lat świetlnych od najbliższego źródła ciepła i życia.

Nie obchodziło mnie, co Galaktycy sądzą o Ziemi. Ta planeta była moim domem i kochałem ją. Goście z Imperium nie przepuszczali również okazji, by szydzić z naszego stosunkowego ubóstwa i żenująco niskiego poziomu rozwoju technicznego, jednak nie spędzało mi to snu z powiek. Moja rodzina jakoś wiązała koniec z końcem w naszym zaściankowym świetle. Dopiero mniej więcej przed rokiem udało nam się zebrać wystarczająco dużo ciężko zarobionych kredytów, by zacząć cieszyć się życiem. Moim zdaniem wszystko szło ku dobremu.

Rodzice zdołali znaleźć porządną pracę i odzyskali nadzieję na lepsze czasy. Przy pierwszej okazji zabrali swoją ciężko uciulaną fortunę i wyjechali z Atlanty. Przeprowadzili się na wieś w Georgii, niedaleko Waycross. Nie było ich stać na kupno wielkich gruntów, ale udało im się znaleźć wolno stojący budynek otoczony kilkoma akrami zarośniętej ziemi. Dom miał ponad sto lat, a zachwaszczony teren wyglądał, jakby nikt go nie uprawiał, ani nawet nie kosił mniej więcej przez tak samo długi czas.

Najbardziej mnie zaskoczyło, że dom był zbudowany z prawdziwego drewna! Uwierzyłem w to dopiero, gdy sam zszedłem do piwnicy i przesunąłem dłonią po odsłoniętych deskach, na których roilo się od drzazg.

Najlepsze w przeprowadzce z miasta na wieś było to, że zyskałem własny pokój. Niezupełnie mam na myśli sypialnię. Raczej wolno stojącą szopę, którą ktoś w zamierzchłej przeszłości przerobił tak, żeby dało się w niej mieszkać.

Wiadomo, nie był to pałac. Ze ścian odłaziły wyblakłe taśmy polimerowe, a posadzka skrzypiała tak głośno, że obudziłaby umarłego. Jednak mnie się to podobało. Wprowadziłem się tam i od razu poczułem się jak u siebie.

Nie zrozumcie mnie źle, nie jestem draniem żyjącym na cudzy koszt. Sam dorzuciłem sporo własnej forsy, a moi staruszkowie cieszyli się, że nadal będę z nimi mieszkał. Jak większość legionistów powołanych do służby, nie chciałem sobie zawracać głowy stałym zakwaterowaniem na Ziemi. Do tej pory służyłem na misjach przez średnio dziewięć miesięcy w roku, a gdy legion zostawił mnie na powierzchni na dłuższej przepustce z jedną trzecią wynagrodzenia, nie miałem ani tylu kredytów, ani tyle obycia, by skombinować sobie miejsce stałego zamieszkania.

Wiedziałem, że legion może w każdej chwili mnie wezwać i posłać ku gwiazdom, do pracy na kolejnym kontrakcie. My, legionieści, nigdy nie wiedzieliśmy, jak długo przyjdzie nam stąpać po Ziemi, więc nie myśleliśmy o zabawie w dom, jeżeli nie mieliśmy własnych rodzin. Ja na razie swojej jeszcze nie założyłem.

Zatem późną wiosną mieszkalem z rodzicami i umilałem sobie wolny czas. Gry wideo były już dla mnie przeżytkiem. Za bardzo rozpieszczało mnie prawdziwe życie, prawdziwe piwo i prawdziwe kobiety.

W czerwcu byłem pochłonięty konstruowaniem nielicencjonowanej lotni w moim pokoju. Kiedy ten szmelc działał jak trzeba, można się było nieźle zabawić. Nie było to nic szczególnego – zwykła deska surfingowa z prostym modulem odpychania grawitacji. Odpychacz, choć nie pierwszej młodości, zapewniał udźwig około trzystu kilogramów, co wystarczyło, żebym unosił się prawie pół metra nad ziemią. Takie moduły były wówczas łatwo dostępne, bo Ziemianie mieli kredyty, a handlarze z innych części kosmosu już regularnie odwiedzali naszą planetę. Nie traktowali nas niczym trzeciorzędne łajzy. W ich oczach awansowaliśmy do rangi pierwszorzędnych kmiotków.

Uwielbiałem przejażdżki na mojej lotni. Zabierałem ją nad rzekę Satilla, z czymś do picia w jednej ręce i przewodem sterującym w drugiej. Bawiłem się świetnie, a lato szybko mijało.

Czasami, gdy miałem trochę szczęścia, udawało mi się zachęcić kilka koleżanek, by dotrzymały mi towarzystwa w drodze do ciasnej szopy. Zawsze przekraczały jej próg z wahaniem, jak kot podejrzewający, że czeka go wizyta u weterynarza. Po kilku głębszych i jednej czy dwóch przejażdżkach na lotni zazwyczaj zostawały na noc.

Po trzech miesiącach trwonienia czasu i pieniędzy stwierdziłem, że zaczynam się trochę nudzić. Był sierpień i kto spędził sporo czasu w Georgii, ten wie, że siedzenie w przerobionym garażu pod koniec lata może stać się lekko ekstremalnym doświadczeniem.

Zwykłem zostawiać klimatyzator włączony na noc, jednak zaczął się przegrzewać i wyłączać. Nie chciałem wydawać kredytów na nowy, zwłaszcza że następna misja mogła potrwać kilka lat. Pozostawał mi jedynie furkoczący wentylator. Wykorzystywałem go najlepiej jak umiałem. Okna zostawiałem otwarte, przyciemniałem światła i ustawiałem wiatrak w takiej pozycji, żeby owiewał bezpośrednio moją spoconą skórę. Gdy się już przywykło, taki komfort w zupełności wystarczał.

Pewnego sierpniowego wieczora, w czwartek, usłyszałem pukanie do drzwi. Było już pewnie około północy, a ja powoli zapadałem w sen. Poderwałem się i wylałem świeżo otwarte piwo na i tak mocno już poplamiony dywan.

– Kurwa... – wymamrotałem. Potrząsnąłem głową i powlokłem się do drzwi, plaskając o posadzkę bosymi stopami. Automatycznie założyłem, że to moja mama przyszła zapytać o coś, co mogłoby spokojnie poczekać do rana. Na przykład czy nie uważam, że trzeba nam więcej mleka na śniadanie.

Sięgnąłem do klamki, jednak zawahałem się przez chwilę. Spojrzałem przez półotwarte żaluzje i ku mojemu zaskoczeniu zauważyłem, że nie pali się mała lampka nad tylnymi drzwiami domu. Fakt ten sam w sobie nie był niczym niezwykłym, bo na wsi zapalone światło przyciągało masę owadów. Jednak gdyby to rzeczywiście mama się do mnie dobijała, to czy nie włączyłaby światła na ganku?

Pukanie się powtórzyło. Zastanowiłem się, czy nie powinienem go zignorować.

Puk, puk, puk.

Wzruszyłem ramionami i energicznie otworzyłem drzwi. Jednocześnie włączyłem światło. Nie wiem, kogo spodziewałem się zastać na zewnątrz, jednak byłem zaskoczony, widząc Natashę.

– Cześć – powiedziała. Wyglądała na zdenerwowaną. Próbowала się uśmiechnąć, jednak wyszło blado.

Nie lubię być zaskakiwany. Nie reaguję na nieoczekiwane zdarzenia automatycznym promiennym uśmiechem. Może to dlatego, że wiele razy już ginąłem. Psychologowie legionu przeprowadzali przed każdą misją szkolenie na ten temat, gładząc o długotrwałych skutkach wybranego przez nas zawodu, ale ja i tak nigdy ich nie słuchałem.

Natasha źle zinterpretowała mój obojętny wyraz twarzy i brak ciepłego powitania. Zareagowała w najgorszy z możliwych sposobów. Jej uśmiech stopniał i zrobiła w tył zwrot.

– Przepraszam – rzuciła. – Nie powinnam się wpraszać na twoją imprezę.

Odmaszerowała w ciemność z uniesioną głową. Zrobiła ze trzy szybkie kroki w kierunku głównej ulicy. Widziałem majaczący przy drodze ciemny zarys jej samochodu.

– Hej, wracaj! – zawołałem, podśmiewając się lekko. – Po prostu mnie zaskoczyłaś, to wszystko!

Obejrzała się przez ramię i przystanęła.

– Ktoś jest u ciebie, prawda? – spytała.

– Nie – zapewniłem. – Nie ma nikogo, nawet tego parszywego kocura, który wiecznie się tu pałęta.

Z lekko skwaszoną miną stanęła znów u moich drzwi i wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do środka.

– Strasznie tu ciemno – zauważyła.

– Klimatyzator się zepsuł – wyjaśniłem. – A lampy za bardzo grzeją. Poza tym właśnie kładłem się spać.

Spojrzała mi ponownie w oczy.

– To może wrócę rano? – zaproponowała.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia. Drugą ręką wykonałem zapraszający gest.

– Wejdz.

Natasha stała nieruchomo, jednak taksowała wzrokiem mnie i otoczenie. Wyglądałem niechlujnie, a moje mieszkanko nie prezentowało się wiele lepiej. Jestem jednym z tych facetów, którzy upychają wszystko do szafy, kiedy ma wpaść do nich dziewczyna, ale akurat tego wieczoru nie spodziewałem się wizyty.

Wziąłem głęboki oddech i podszedłem do mojej badziewnej małej lodówki, którą dostałem za bezcen z legionowego demobilu. Wyciągnąłem puszkę piwa i otworzyłem ją. Nawet nie spojrzałem w kierunku Natashy. Może to przez upał albo przez późną porę, ale zmęczyły mnie te podchody. Albo wejdzie, albo odejdzie.

W końcu weszła. Podałem jej piwo i znalazłem dla niej miejsce na kanapie. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, była moja lotnia, służąca za stoliczek.

– Twój stolik nie ma nóg – zauważyła.

– Fajny, co? – zapytałem.

– Wybuliłeś tyle kasy na odpychacze i zbudowałeś stół?

Zaśmiałem się.

– Nie, to pojazd – wyjaśniłem. – Jest świetny. Jeśli zostaniesz tu do jutra, przejedziemy się razem nad jezioro.

Natasha skarciła mnie wzrokiem za sugestię, jakoby miała zostać u mnie do rana, ale udałem, że tego nie zauważyłem. Od paru ładnych lat coś między nami iskrzyło. Nigdy nie byliśmy w naprawdę poważnym związku, ale spędziliśmy razem kilka upojnych nocy.

– Trochę zalatuje tu pleśnią – zauważyła.

– Wybacz. A może powiesz, dlaczego przyjechałaś z tak daleka?

– Chciałam się dowiedzieć, jak będziesz głosował.

Zmarszczyłem brwi. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Nie bardzo orientuję się w polityce – przyznałem. – Czy szykują się jakieś nowe wybory do dystryktu, o których powinienem wiedzieć?

Parsknęła śmiechem. Najbardziej podobała mi się wtedy, gdy się śmiała. Na kilka sekund z jej twarzy zniknął cały niepokój i wszelkie troski.

– Mówię o głosowaniu w legionie – wyjaśniła. – Na pewno zdążyłeś już podjąć decyzję.

– Yyy...

– Chyba sobie jaja robisz! – wykrzyknęła, odstawiając piwo. – Znowu wyłączyłeś swojego stuka, prawda? A gdyby tak wezwali nas do Izby?

Uniosłem ramię, aby mogła zobaczyć urządzenie. Puknąłem palcem i uruchomił się z ociąganiem, a moja skóra zaczęła świecić od organicznych podskórnych ruchów cząsteczkowych.

– Trochę go zmodyfikowałem – wyznałem. – Jesteś technikiem. Sprawdź sama.

Pokazałem jej moje zindywidualizowane ustawienia.

– Zablokowałem cały nieistotny spam od legionu... i w ogóle.

– To wbrew przepisom – zaprotestowała.

– Jestem na przepustce – powiedziałem. – Wy, technicy powinniście to docenić. Jeżeli naprawdę jestem potrzebny legionowi, wystarczy mi wysłać wiadomość priorytetową. A wszystkie nieistotne przesyłki idą do kosza.

Natasha pokręciła głową i zaczęła stukać w moje ramię.

– Hej! – zawołałem. – Nie mieszaj mi w ustawieniach!

– Nawet ich nie tknęłam – zapewniła. – Dodałam tylko dzisiejszy raport. Przeczytaj, jest pierwszy na liście.

Westchnąłem i gniewnie mamrocząc, przesunąłem palcem wskazującym po wewnętrznej stronie przedramienia. Stuknąłem w ogłoszenie dla całego legionu i odczytałem na głos jego treść:

– Termin na oddanie głosu upływa w piątek o godzinie dwudziestej. Jako specjaliście przysługują ci dwa głosy, zgodnie z przepisami legionu. W przypadku rezygnacji...

Zmarszczyłem czoło i przerwałem czytanie. Spojrzałem na Natashę.

– Nad czym, u licha, głosujemy? – spytałem.

– Nad dołączeniem do Hegemonii – odpowiedziała podnieconym głosem.

– Wszyscy?

– Tak – potwierdziła. – Wszyscy. Wszystkie legiony dostały możliwość wyboru. Możemy pozostać niezależni albo przejść do służby pod Centralnym Dowództwem Ziemi.

– Jak to się stało?

Zaśmiała się, jednak tym razem w jej śmiechu usłyszałem cień goryczy.

– Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to twoja wina, Jamesie McGill. To ty namówiłeś Nairbów, by mianowali nas egzekutorami, pamiętasz?

– Pewnie – odparłem. – Ale co to ma wspólnego z podpinaniem Legionu Varus pod Hegemonię?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że jako egzekutorzy Ziemianie mają nowe źródło kredytów, czyli nową pracę dla Imperium. Nie musimy już się bawić gwiazdnych najemników. A Hegemonia spodziewa się, że w którymś momencie Nairbowie, albo nawet Układy Centralne wezwą ją do wykonania jakiejś... „egzekucji”. Hegemonii potrzebni są zaprawieni w boju żołnierze.

– Zaprawieni w boju... – powtórzyłem. – Czyli my. Niezależne legiony. Nikt inny nie dorównuje nam doświadczeniem.

– Właśnie.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad tą sytuacją. Im dłużej nad nią myślałem, tym bardziej byłem niezadowolony. Nie chciałem dołączać do Hegemonii. Ci goście byli nadętymi gnojkami.

– A co się stanie, jeżeli odmówimy? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła. – Nikt nie wie. Może nas rozwiążą? A może i tak nas wynajmą i poślą do pracy? Tak naprawdę nikt ma pojęcia, jak to wszystko się skończy.

– Jedno jest pewne – rzuciłem i zacząłem obsługiwać swojego stuka. – Imperium nie pompuje tych wszystkich kredytów w Ziemię po to, żebyśmy siedzieli z założonymi rękami. Niedługo czegoś od nas zażądają.

Natasha skinęła głową, a potem zmarszczyła brwi, gdy pracowałem na stuku. Przysunęła się bliżej, żeby zobaczyć, co robię.

Najpierw wszedłem w ustawienia i wykonałem pełny reset. Po ponownym uruchomieniu wyświetliłem wiadomość i wybrałem opcję wysłania do wszystkich. Stuk zapytał, czy aby jestem przy zdrowych zmysłach, na co ja odpowiedziałem twierdząco. Dwa razy. Zanim Natasha zdołała mnie powstrzymać, przypieczętowałem palcem swój wybór.

Jej stuk zabrzączał. Otworzyła wiadomość, którą wysłałem do niej i do wszystkich innych w legionie. Opadła jej szczeka.

– Chyba zwariowałeś – szepnęła. – Tak nie można! Nie możesz wysyłać spamu do całego legionu o północy!

– Ale właśnie to zrobiłem.

Natasha czytała moją wiadomość, a ja dopiłem resztkę piwa i wyciągnąłem kolejne dwie puszki z lodówki. Gdy wróciłem na kanapę, w pierwszej chwili odpędziła mnie machnięciem dłoni, ale po kilku sekundach czytania wzięła drugie piwo i pociągnęła tęgi łyk.

Pokręciła głową ze śmiechem. Potem znowu odczytała komunikat, tym razem na głos:

– „Jako jedna z dwóch osób w naszym legionie bezpośrednio zaangażowanych w negocjowanie nowego statusu Ziemi gorąco zachęcam moich kolegów legionistów do odrzucenia oferty Hegemonii. Zachowajmy niezależność i wolność i nie dajmy się spętać łańcuchami przez przyziemnych dewotów, którym wydaje się, że wiedzą o gwiazdach więcej niż my. Specjalista James McGill, Legion Varus”.

– To tylko moje subiektywne zdanie – powiedziałem, wzruszając ramionami.

Natasha ponownie się zaśmiała i napiła się piwa. Poszedłem w jej ślady.

– Nie musiałam przyjeżdżać do ciebie, żeby poznać odpowiedź, prawda? – zapytała. – Wystarczyło się zastanowić, jakie z ciebie ziółko, żeby domyślić się, jak zagłosujesz.

Jakimś sposobem moja ręka sama popęzła w górę, by ją objąć. Natasha usiadła blisko mnie i poczułem jej ciepło. Zwykle w sierpniu unikałem wszelkiego ciepła jak ognia. Tym razem jednak było inaczej.

– Napytasz sobie biedy – ostrzegła.

Parsknąłem.

– A co mi zrobią? Zabiją?

Był to ulubiony żart wszystkich legionistów i zawsze wywoływał ponury rechot wśród towarzyszy broni. Często zdarzało nam się polec w walce, ale prawie zawsze przywracano nas do życia.

Brzmiało to świetnie, dopóki na własnej skórze nie doświadczyło się kilkukrotnie agonii i rozpaczliwej grozy śmierci.

Koniec końców Natasha i ja kochaliśmy się na tej obskurnej kanapie. A potem od razu zasnęliśmy. Na zewnątrz cykały świerszcze, a świetliki unosiły się w ciepłym, wilgotnym powietrzu między omszałymi drzewami.

– 2 –

Kilka godzin później zaczęło świtać i niebo nad Georgią zaróżowiło się. Ze snu wyrwał mnie odgłos pięści łomoczącej w drzwi szopy tak mocno, że aż grzechotały od tego okna.

Natasha i ja leżeliśmy spleceni. Rozdzieliliśmy się i wstaliśmy z łóżka. Natasha chwyciła pierwszą z brzegu koszulkę i naciągnęła ją na obnażone piersi. Koszulka nie była wykonana z inteligentnej tkaniny, więc nie okryła jej zbyt porządnie.

– Kto tam? – zapytałem ponurym głosem, podchodząc do drzwi. Automatycznie stanąłem z boku. Natasha nie ruszała się ani nie odzywała. Po prostu obserwowała mnie.

– Otwierać, McGill! Policja wojskowa!

Z niewesołą miną otworzyłem drzwi. Natasha pośpiesznie wciągała na siebie resztę ubrania, ale ja byłem w samych bokserkach. Było mi wszystko jedno.

Na zewnątrz stali trzech mężczyźni. Dwaj mieli imponującą posturę – jeden był dobrze zbudowany, a drugi miał brzuszko przelewające się przez sprzączkę pasa. Z tyłu stał chudy facet z paroma kędziorami na łysiejącej głowie i oczami jak opos.

Odezwał się pierwszy.

– Co to za główniana nora, McGill? – zapytał, wodząc oczami po mojej skromnej siedzibie. – Wmawiano nam, że jesteś specjalistą, a ja tu widzę jakiegoś wsobnie chowanego troglodytę w śmierdzącej szopie! Cholera, będę musiał zgłosić, że odwiedziliśmy nie tego gościa, co trzeba!

Pokiwałem głową.

– Zgadza się – odparłem. – Pomyliliście domy.

Po czym spróbowałem zamknąć im drzwi przed nosem.

Któryś z nich wyciągnął rękę i zablokował je.

– Jesteś aresztowany, kawalarzu – oznajmił grubas.

Omiotłem wzrokiem ich mundury i oznaczenia. Byli z Hegemonii. Poznałem to po naramiennikach z niebiesko-zielonymi globami. Sądząc po innych symbolach, ci dwaj z przodu byli szeregowcami –

pewnie rezerwistami powołanymi do czynnej służby. Gdy Ziemia została oddziałem Imperium do spraw egzekucji, Hegemonia spanikowała i zmobilizowała każdego rezerwistę, jaki był na podorędziu.

Chudzielec z tyłu był starszy i miał oznaczenia specjalisty. Wszyscy byli ze służb bezpieczeństwa. Z policji wojskowej.

– Aresztowany? – zapytałem. – Pod jakim zarzutem?

– Dowiesz się na stacji w Atlancie – rzucił szczupły specjalista. – Idziesz z nami... Chwileczkę, a to kto?

– Koleżanka – odparłem, oglądając się na Natashę. Nadal nie odzywała się ani słowem.

Wszyscy trzej wytrzeszczyli na nią oczy. Wkurzyło mnie to. Miała gołe nogi, a moja koszulka nie zakrywała zbyt dobrze całej reszty.

Był dopiero ranek, a ja nie trafiłem do aresztu już od ładnych paru miesięcy. Przedtem też to się nie zdarzało bez dobrego powodu i towarzyszącej temu papierkowej roboty. Uznałem, że coś tu nie gra.

– Chodzi o tę wiadomość, którą wysłałem wczoraj w nocy, prawda? – zapytałem. – Kto podpisał nakaz aresztowania?

– Pójdiesz po dobroci czy w kajdanach?

– Nie jestem z Hegemonii – oznajmiłem – tylko z Varusa! Jesteśmy niezależni. Wyślijcie jakichś policjantów wojskowych z mojego legionu, a ja pójdę z nimi, gdziekolwiek zechcą.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje – stwierdził przywódca, kręcąc głową z udawanym smutkiem. – To areszt priorytetowy, a ja dostałem rozkazy.

– Chrzanię wasze rozkazy! – zawołałem, czując narastający gniew. – Są nielegalne! Nie macie tu jurysdykcji! Wezwijcie gliniarzy dystryktowych lub policję wojskową mojego legionu! Nie możecie, ot tak, przychodzić tutaj i kazać mi się poddać zatrzymaniu bez żadnego upoważnienia!

Kościsty wreszcie przestał pożerać Natashę wzrokiem i spojrzał na mnie.

– Wy, wyjazdowi, zawsze uważacie się za cwanych skurczybyków, co? – zapytał. – Dosyć tego dobrego! Czas, żebyście przywykli do nowych władz. Panowie, aresztujcie tego...

Zatrzasnąłem im drzwi przed nosem i naparłem na nie ramieniem. Jestem dużym facetem – dużo większym i silniejszym

niż którykolwiek z tych przyziemnych durniów, ale ich było trzech. Drzwi uderzyły o moje ramię, a chwilę później przez szczelinę wpadło do środka światło dnia. Usłyszałem, jak klną, a jeden z nich wcisnął w otwór podłużny paralizator.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Natasha.

– Uciekaj przez któreś okno na tyłach – powiedziałem. – Nie podoba mi się to i nie pozwolę, żeby te pajace aresztowały też ciebie!

– Bronisz mnie przed nimi? – zapytała zaskoczona.

Naparli na drzwi jeszcze mocniej i odepchnęli mnie do tyłu. Prawie straciłem równowagę, ale szybko udało mi się pozbierać. Paralizator wcisnięty między drzwi a futrynę zaczął iskrzyć.

Popatrzyłem na Natashę.

– No idź już!

Potrząsnęła głową i stanęła przy drzwiach.

– Będiesz potrzebował świadka – stwierdziła.

Warknąłem, sfrustrowany. Obliczając czas na kolejny ruch przed ich następnym uderzeniem, ponownie otworzyłem drzwi na oścież. Tłuszcioch padł na twarz u moich stóp, a jego pomagier zachwiał się zaskoczony. Chudy przywódca za nimi sapał ze złości i szczyrzył zęby. Już na początku nie byli w najlepszym nastroju, ale teraz przeszli parę poziomów wyżej na skali wkurwienia.

Cofnąłem się o krok, a oni rzucili się na mnie.

Chyba nigdy nie będę w stanie wyjaśnić, dlaczego postanowiłem stawiać opór. Może po prostu wiedziałem, że nie mają racji i nadużywają władzy. Jak zresztą wszyscy gliniarze. Rozumiałem, że mają niełatwą robotę, ale niepotrzebnie drażnili lwa. W tym momencie przestałem myśleć i zacząłem reagować. Gwałtownie.

Kosmiczny najemnik, który zginął już kilkanaście, a może sto razy, podchodzi do walki w nietypowy sposób. Pierwszą oznaką jest szczególny wyraz twarzy, który legionieści nazywają „trupim wzrokiem”. Może zaczynamy patrzeć tak dziwnie, bo posiadliśmy nienaturalną wiedzę o śmierci? Mam za sobą wiele gorzkich przeżyć, które powinny zostać oszczędzone wszystkim żyjącym, a które dla kogoś takiego jak ja stały się niemal chlebem powszednim.

– James, nie rób tego! – ostrzegła Natasha, zgadując, co dzieje się w mojej głowie. – Dam sobie radę.

Nawet na nią nie patrzyłem. Ani tak naprawdę jej nie słyszałem. Wybałuszyłem oczy, odsłaniając połyskujące białka. Jednak poza tym moja twarz zachowywała obojętny wyraz. Bojowy nastrój zdradzał tylko wytrzeszcz.

Dla jasności – byłem wściekły jak cholera. Jednak był to całkiem inny rodzaj wściekłości. Mój umysł zachował jasność i zdolność chłodnej kalkulacji. Do walki ruszyłem z pewnością siebie, o której tamci trzej mogli tylko pomarzyć.

Gruby stanął z powrotem na nogi i postąpił naprzód. Podniósł pałkę, która iskrzyła od ładunku energii. Jednym dotknięciem mógł pozbawić mnie władzy nad ciałem, jednak zignorowałem broń, skupiając się na człowieku.

Początek walki był raczej nie fair. Ale przecież w walce często nie gra się fair. Przynajmniej jeśli chodzi o nas – bractwo żywych trupów.

Gdy tłuszcioch zaczął zbliżać się do mnie z paralizatorem, kopnąłem lotnię, która służyła mi za stoliczek. Rąbnęła policjanta w bok kolana. Coś chrupnęło dwa razy i grubas upadł z jękiem na twarz.

– Ty popieprzony buraku!

Drugi facet przynajmniej wyglądał na wysportowanego. Gdy ruszyłem mu na spotkanie, odrzucił pałkę, sięgnął do pasa i wyszarpnął broń boczną.

Spluwa... Zaczynało się robić poważnie. Wiedziałem, że teraz mogą mnie zabić, ale na tym etapie prawie się tym nie przejmowałem. Gdybym zabił któregokolwiek z nich, zapewniłbym mu pierwszą konfrontację ze śmiercią i całym związanym z nią strachem i bólem. Jako ludzie z Hegemonii, policjanci wojskowi byli kopiowani i przechowywani tak samo jak legionieści, jednak wspomnienie pierwszej śmierci jest najgorsze. Dla mnie była już niczym nieprzyjemna wizyta u dentysty. Nie jest to coś, na co czekam z utęsknieniem, ale z drugiej strony nie ma co robić z tego zagadnienia. Uznałem, że jeżeli zabiję choćby tylko jednego z nich, i tak wygram tę walkę.

– James! Jasna cholera! – krzyknęła Natasha. Wkroczyła jednak do akcji, widząc, jak policjant sięga po broń. Podbiegła do chudego specjalisty i wymierzyła mu kopniaka. Nie trafiła w jaja, ale za to dostał w zapadnięty brzuch.

Chwycił ją i zaczęli się szamotać. Natasha próbowała podstawić mu nogę i prawie jej się udało. Walczyła dzielnie, to musiałem przyznać. Była techniką, więc nie miała wielkiego doświadczenia bojowego. Chudzielec w końcu odepchnął ją. Uderzyła o moją skrzynkę z narzędziami, która spadła z hukiem na podłogę.

Jej atak nie był spektakularny, ale zdołała na chwilę odwrócić uwagę napastników. Mięśniak obejrzał się, chcąc sprawdzić, co się dzieje z szefem, a ja skorzystałem z okazji, by się uzbroić.

Kolejną cechą szczególną powszechną wśród ludzi mojego pokroju jest nawyk ukrywania broni w różnych miejscach. Zazwyczaj kolekcjonujemy pistolety, noże... wszystko, co może posłużyć do obrony. Czytałem gdzieś, że ludzie, którzy doświadczyli głodu, przez resztę życia wykazują fascynację jedzeniem i gromadzą zapasy żywności. W pewnym sensie postępowałem tak samo.

Sięgnąłem pod poduszki na kanapie i wyciągnąłem maczetę.

Kupując ją, wmawiałem sobie, że będę strzygł żywopłot w ogródku rodziców. Jednak w głębi serca wiedziałem, o co chodzi. Naoliwiłem ją i wsunąłem pod poduszki, ale nigdy nie wypróbowałem ostrza na krzaku czy innej zieleninie.

Siłacz co prawda nie stracił ręki, ale już pół sekundy później miał o dwa palce mniej. Broń wyslizgnęła mu się z dłoni i z grzechotem uderzyła o podłogę.

Podniosłem ją i wyprostowałem się. Chudeusz przy drzwiach w końcu wyciągnął swój pistolet i ścisnął go w drżących dłoniach. Nadal stał przy wejściu, opromieniony różowym blaskiem świtu.

– Tego już za wiele, McGill! – wrzasnął. – Nie ma powodu, żeby robić taki gnój! Rzuć broń i chodź z nami.

– Jest całe mnóstwo powodów – odparłem ze stoickim spokojem.

Trzymałem w ręku pistolet, ale nie celowałem w człowieka przy drzwiach. W końcu miał mnie na muszce, a ja nie chciałem dostać kulki.

Zamiast tego opuściłem rękę wzdłuż boku. U moich stóp czołgał się koleś, któremu obciąłem palce. Podniósł je i próbował zawinąć w chusteczkę, którą wyciągnął z kieszeni. Mogłem mu powiedzieć, że szkoda zachodu.

Facet ze strzaskanym kolanem był chyba w najgorszym stanie. Zbladł jak ściana i odsunął się na bok, żeby oprzeć się o moją

sześcienną lodówkę. Miał urywany i świszczący oddech.

– Odlóż broń, specjalisto! – rozkazał człowiek stojący w drzwiach. – To wariactwo! Jesteś aresztowany i pójdziesz z nami, żywy lub martwy!

– Nie mieliście nakazu – zaprotestowałem. – Nie mieliście powodu. Wpadliście tu jak do stodoły. Tak nie traktuje się legionistów! Czy was, wieprzy, niczego nie nauczyli?

„Wieprze” to wyjątkowo chamskie określenie, jakim niektórzy legioniści nazywają ludzi z Hegemonii. Facet lekko się zaczerwienił. Mógłbym założyć, że był zbyt spanikowany, aby przejmować się obelgami, jednak najwyraźniej tak nie było.

– Dobra – powiedział. – Mamy cię doprowadzić żywego. Taki dostaliśmy rozkaz. Ale o niej nikt nic nie mówił.

Skierował lufę na Natashę, która otworzyła szeroko oczy i zaczęła się cofać.

Gdy tylko chudzielec przestał we mnie celować, strzeliłem do gościa z bolącym kolanem, który siedział oparty o moją lodówkę.

Celowałem nisko – głównie dlatego, że nie chciałem rozwalić lodówki. Z jego klatki piersiowej buchnął czerwony strumień. Gliniarz osunął się z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Z niezadowoleniem stwierdziłem, że kula przeszła go na wylot i jednak trafiła w urządzenie. Szlag.

Człowiek przy drzwiach przestał grozić Natashy i ponownie wycelował pistolet we mnie. Całkiem słusznie, bo ja z kolei mierzyłem w niego.

Obaj wypaliliśmy i cofnęliśmy się chwiejnie. Chudzielec wypadł z szopy do ogródka i leżał tam, zanosząc się kaszlem. Mógł przeżyć, ale miałem nadzieję, że już się z tego nie wyliże.

Leżałem na wznak i z doświadczenia wiedziałem, że mocno dostałem. Wykrwawianie się to ciekawe uczucie... a mówiąc „ciekawe”, mam na myśli „mocno zryte”. Przed oczami naprawdę robi się ciemno, a światło pulsuje w rytm serca, słabnąc z każdym uderzeniem.

Człowiek bez dwóch palców podniósł się na kolana i pochylił się nade mną, spoglądając mi w twarz.

– Po co to zrobiłeś, do cholery?! – zapytał.

– Zastanów się – wycharczałem. – Mniej więcej za godzinę, kiedy zostaniesz wysrany przez wskrzeszarkę. Może wtedy znajdziesz odpowiedź.

Po czym strzeliłem mu w głowę i obaj umarliśmy.

W tym miejscu wypada wspomnieć o kilku ciekawostkach dotyczących maszyn wskrzeszających. Pomoże wam to zrozumieć, co zaszło później w tamten upalny piątek w Georgii. Kopie zapasowe naszych ciał są tworzone co jakiś czas, począwszy od dnia zwerbowania. Gdy ktoś wraca do życia, to zazwyczaj w takim stanie, w jakim był tego dnia, gdy skopiowano jego komórki. Przynajmniej pod względem fizycznym.

Są jednak pewne wyjątki od tej reguły. Jeżeli ktoś potrzebował operacji plastycznej lub poprawił kondycję poprzez ćwiczenia i trening, może potem uaktualnić skany komórkowe ciała, aby mieć pewność, że powróci do życia w jak najlepszej formie.

Umysł legionisty kopiowany jest oddzielnie. Dokonuje się tego poprzez przyrostowe aktualizacje, transkrybujące wyłącznie zmiany w naszych sieciach neuronowych. Proces ten jest przeprowadzany dużo częściej, abyśmy mogli pamiętać wszystko, czego nauczyliśmy się na szkoleniach i co przeżyliśmy. Transkrypcją przeważnie zajmują się nasze stuki. Jeżeli znajdują się w zasięgu radiostacji przekaźnikowej, przesyłają dane o naszych sieciach neuronowych mniej więcej co minutę. Dzięki temu jesteśmy w stanie przypomnieć sobie okoliczności własnej śmierci.

Jedynym żyjącym świadkiem zadymy w mojej skromnej szopie była specjalistka techniczna Natasha Elkin. Znała mnie, a ja czasami podejrzewałem, że nawet trochę się we mnie podkochuje. Cokolwiek tak naprawdę do mnie czuła, tamtego dnia postanowiła mnie kryć.

Natasha była technikiem, i to dobrym. Zhakowała stuki wszystkich martwych kutafonów z Hegemonii i wymazała ostatnio przesłane dane. Dokładne okoliczności ich śmierci zostały zatem zapisane w jej umyśle i odzyskane w moim, za to ci zasrańcy z Hegemonii zapomnieli o dramatycznym finale konfrontacji. Wiedzieli, że do mnie przyszli. Wiedzieli, że wdarli się siłą do środka

i zrobili awanturę. Nie mieli jednak bladego pojęcia, w jaki sposób zginęli.

Gdy pozaziemska maszyna w centrum Atlanty ponownie wydała mnie na świat, oddział funkcjonariuszy Hegemonii już czekał na miejscu, by mnie aresztować. Osłabiony i nagi, miałem akurat dość czasu, by odczytać na stuku prywatną wiadomość od Natashy, zanim zaciągnęli mnie do celi.

„Pełny luz, różnij głupa, nic nie pamiętasz” – napisała.

Starłem tekst odrętwiałymi palcami, by przepaść w odmętach sieci. Zdobyłem się na lekki uśmieszek.

Rznięcie głupa to dla mnie pestka – niektórzy mówią, że to mój jedyny wrodzony talent. Gliniarze wojskowi z Hegemonii przetrzymywali mnie i maglowali do upadłego, jednak w końcu dali za wygraną.

Według ich ustaleń za cholerę nie byłem w stanie sobie nic przypomnieć. A przynajmniej nie więcej niż pozostała trójka denatów. Luki wypełniała jedynie opowieść Natashy o tym, jak trzech niewydarzeni funkcjonariusze policji wojskowej obłapiali ją i pastwili się nad jej chłopakiem. Winą za utratę pamięci obarczono kiepską jakość usług sieciowych w tamtym regionie – było to wystarczająco wiarygodne wyjaśnienie. Nawet ja mógłbym poręczyć za prawdziwość takiej wersji wydarzeń.

Pod koniec bardzo długiego dnia wydano mi mundur i dowiedziałem się, że Natasha przyjechała po mnie aż z Waycross. Gdy zwalniano mnie z aresztu, słyszałem, jak członkowie Hegemonii ze stacji Atlanta kląć pod nosem. Wielkodusznie przymknąłem oko na ich humorzaste zachowanie i wyszedłem w doskonałym nastroju.

Wraz z Natashą podążyłem do wyjścia z budynku najszybciej jak się dało. Jednak przy drzwiach wyjściowych – okratowanych i wzmocnionych odrutowanymi szybami – zobaczyliśmy trzy znajome twarze. Wyprostowałem się i zeszywniałem, ale oni wyciągnęli ręce w przepraszającym geście, dłońmi do przodu.

– Posłuchaj, McGill... – zaczął kościsty, łysiejący specjalista.

Po raz pierwszy zauważyłem, że ma na nazwisko Turner. Kiedy mnie atakował, nie chciało mi się czytać jego identyfikatora.

– Posłuchaj – powtórzył. – Przyszedłem... przyszliśmy tutaj, żeby cię przeprosić. Jeśli to cokolwiek zmienia. Nie wiemy, co zaszło u ciebie w domu. Ale chyba wszyscy się zgodzimy, że zapłaciliśmy za to. Cokolwiek to było.

Stałem w bezruchu przez kilka sekund, napawając się ich skrzepowaniem.

– Ja mogę przyjąć wasze przeprosiny, Turner – oznajmiłem wreszcie i zwróciłem się w stronę Natashy. – Ale jeśli chodzi o stawianie zarzutów, to tylko obecna tu Natasha wie, co tak naprawdę ją spotkało. O ile mi wiadomo, była napastowana.

Natasha przez chwilę patrzyła mi w oczy, a potem spojrzała na trzech delikwentów. Wciągnęła powietrze i powiedziała:

– Mam nadzieję, że zdają sobie panowie sprawę, że wszyscy jesteśmy legionistami. Nie powinniśmy pozwolić, by poróżniły nas małostkowe animozje. W końcu działamy w służbie tego samego świata.

– Tak, psze pani – przyznał ochoczo grubas. – Naprawdę przepraszamy, że... zrobiliśmy to, co zrobiliśmy.

– Zapłaciliście straszliwą cenę – odparła, patrząc na nich ze współczuciem. – Wszyscy zginęliście z krzykiem. A pan, panie Turner, na koniec nawet narobił w portki!

Turner zmrużył powieki, co nadało mu jeszcze bardziej nieprzyjemny wygląd. Dwaj pozostali miętosili w palcach czapki.

– Zważywszy na te okoliczności, nie wniosę oskarżenia – powiedziała w końcu Natasha.

Wyraźnie im ulżyło.

– Dziękujemy, psze pani! – powiedział tłusciuch. – I żeby nie było, nie rozumiem, jakim cudem to wszystko mogło się tak...

Natasha uniosła dłoń i wszyscy natychmiast umilkli.

– Na przyszłość starajcie się panować nad sobą – poradziła, po czym precyzyjnie się obok nich.

Powstrzymałem śmiech przez całą drogę do jej samochodu. Natasha odpaliła silnik i poszybowała przez miasto. Wtedy rozrechotałem się tak głośno, że rozboleł mnie brzuch. W końcu dostrzegłem jednak, że Natashy wcale nie dopisuje humor.

– Hej – zagailem, rozglądając się. – Nie powinniśmy wjechać na autostradę? Tak szybciej wyjedziemy z miasta.

– Nie wyjeżdżamy z miasta – odparła. – Dostaliśmy oficjalne rozkazy. Od Legionu Varus. Mamy się zameldować w miejscowym Kapitularku.

– Super...

Dotknąłem palcem stuka, a moje rozbawienie minęło jak ręką odjął. Ktokolwiek polecił mnie aresztować, postanowił już nie wysługiwać się miejscowymi wieprzami. Tym razem skontaktował się z moimi przełożonymi. Rzeczywiście dostałem rozkaz, by stawić się niezwłocznie w Kapitularku.

Dla każdego z ziemskich legionów na powierzchni planety funkcjonowały Izby Werbunkowe i Kapitularki. Reszta naszej organizacji istniała w kosmosie, zwykle w postaci potężnych transportowców, służących do przerzucania żołnierzy na planety, na których mieli misje do wykonania.

Izby Werbunkowe były wielkimi budowlami wzniesionymi w największych miastach. Zwykle na jeden sektor przypadała jedna Izba. Instytucje te zajmowały się poborem i działały jako bazy wypadowe podczas pozaziemskich misji. Izba Werbunkowa różniła się od Kapitularki głównie skalą i zakresem działania. Kapitularki były placówkami lokalnymi – służyła tam garstka weteranów, werbująca miejscowych rekrutów do danego legionu. Izby Werbunkowe były o wiele większe i stanowiły obiekty wspólne, wykorzystywane przez wszystkie legiony.

Wcześniej byłem w Kapitularku w Atlancie tylko dwa razy. Pierwszy raz gdy myślałem o zaciągnięciu się, drugi po to, żeby zgłosić zmianę moich danych adresowych po przeprowadzce do Waycross. Był to ciasny, obskurny budynek i nie cieszyłem się zbyt na trzecią wizytę.

Kapitulark mojego legionu nie wyglądał imponująco. Patrząc z zewnątrz, można go było pomylić ze sklepem obuwniczym albo jednym z tych punktów, gdzie można kupić używane urządzenia elektroniczne z innych planet. Stał tam cały rząd podobnych Kapitularków, reprezentujących różne legiony. Łącznie było ich około piętnastu. Prowadziły lokalny werbunek i obsługiwały legionistów w stanie spoczynku. Najwyraźniej wielu moich towarzyszy broni pochodziło ze stanów południowych, ponieważ to biuro funkcjonowało jako ich ośrodek.

Gdy dotarłem z Natashą na miejsce, byliśmy już w pełnym umundurowaniu. Inteligentne tkaniny to istny cud. Jeśli ktoś chce, może się ubrać w aucie. Wystarczy owinąć ciało tkaniną i trochę się powiercić.

– Jaką historyjkę im sprzedamy? – zapytała Natasha, parkując.

Popatrzyłem na nią z niepokojem. Byłem pewien, że o cokolwiek nas zapytają, dam radę nawciskać im kitu, ale Natasha wolała walić prosto z mostu. Wieprzom jeszcze dała radę, bo ich akurat nie szanowała, ale wiedziałem, że do ludzi z Legionu Varus podejdzie inaczej. Lubiła mówić prawdę i wykonywać polecenia, jeżeli miała do czynienia z rzeczywistymi autorytetami. W moim domu pomogła mi i postawiła wszystko na jedną kartę. Teraz jednak nie miałem do niej zaufania. Załamałaby się pod autentycznym naciskiem ze strony któregoś z naszych bezpośrednich przełożonych.

– Yyy... historyjkę? – zapytałem. – Już ją ustaliliśmy. Jakieś zbiry przyszły pod mój dom. Nie chcieli się wylegitymować i zrobiło się paskudnie. Tego się trzymaj, co do słowa.

Wyglądała na zaniepokojoną. Położyła dłoń na drzwiach samochodu. Panel rozpoznał jej dotyk, zamigał kolorowym światłem i zamek otworzył się z trzaskiem.

– Hej – powiedziałem, obejmując ją i całując w policzek. – Uszy do góry! Będzie dobrze!

– James, przecież zabiłeś trzech ludzi, których ktoś wysłał, by cię aresztowali – powiedziała z zaciętą miną.

– No tak... Ale należało im się.

– Zgadzam się, ale co zrobimy, jeśli Graves jest w tym budynku? I jeśli ma trochę więcej oleju w głowie od tamtych wieprzy? Będzie wiedział, co zaszło. Przecież nas zna. A przede wszystkim zna ciebie.

– Graves i tak będzie miał w dupie moje przepychanki z wieprzami.

Natasha westchnęła i przewróciła oczami. Wysiadła z auta i poprawiła mundur. Zrobiłem to samo, założyłem beret na głowę i przechyliłem go pod właściwym kątem. Poszedłem przodem. W recepcji czekała mnie pierwsza niespodzianka. Rozpoznałem człowieka, który siedział przy biurku – faceta o szczurzej twarzy, z

krótko przyciętymi włosami lśniącymi od kosmetyków. Nazywał się Winslade i był naczelnym kapusiem primus Turov.

Siedział z nogami na biurku. Spojrzałem na niego, a on w odpowiedzi wyszczerzył w uśmiechu białe, ostre zęby.

– Witaj, McGill – powiedział. – Miło, że wpadłeś! Czekają na ciebie tam z tyłu.

Niedbale wskazał kciukiem przez ramię.

– Adiunkcie Winslade – zacząłem – o co właściwie chodzi?

– Za chwilę się dowiesz. Z tyłu są tylko jedne zamknięte drzwi. Idź i zobacz, kto za nimi czeka.

Potem obdarzył mnie podłym uśmieszkiem. Przeszedłem obok niego, starając się wyglądać na tak wyluzowanego jak tylko się dało. Chciałem pozować na twardziela, dla dobra Natashy. Była w rozsypce od chwili, gdy dotarliśmy na parking, więc okazywanie przy niej słabości było niewskazane.

Gdy mijaliśmy biurko, Winslade wyciągnął nagle chude ramię, blokując drogę Natashy. Miałem ochotę go sprać, ale musiałem odpuścić.

– Ty nie idziesz, ślicznotko – powiedział. – Możesz poczekać tutaj i dotrzymać mi towarzystwa.

Podszedłem do drzwi, pchnąłem je i wszedłem do środka. W słabo oświetlonym pomieszczeniu zastałem primus Galinę Turov we własnej osobie.

Powinienem się jej spodziewać po spotkaniu z adiunktem Winslade'em w recepcji, ale z jakiejś przyczyny nie przeszło mi to przez myśl. Primus nigdy nie zapuszczała się na takie rubieże. Nawet w Izbie Werbunkowej w Newark nie widywano jej zbyt często, a co dopiero w Kapitularku.

Moje zaskoczenie wyraźnie ją uradowało.

– Jesteś na przepustce ledwie pół roku i już zapomniawszy, jak się salutuje? – zapytała.

Błyskawicznie stanąłem na baczność i zasalutowałem nienagannie. Nie zasługiwała na to, ale zasady to zasady.

Turov i ja nigdy się nie dogadywaliśmy. Była drobną kobietą o miłych dla oka krągłościach, starszą i o wiele bardziej złośliwą, niż się wydawała. Rygorystyczne przestrzeganie zasad miała we krwi, tak samo jak ja we krwi miałem ich łamanie. Zanim się do mnie

odezwała, przez chwilę ostentacyjnie bawiła się tabletem. Stałem więc, gapilem się w ścianę nad jej głową i czekałem.

Wreszcie odłożyła tablet i rozparła się w fotelu.

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego cię tu wezwałam. Mam rację? – zapytała.

– Nie, sir – odparłem.

Przez jej twarz przemknął grymas zaskoczenia. Milczała chwilę, ale w końcu musiała zadać pytanie:

– Mam rozumieć, że spodziewałeś się zastać mnie tutaj?

– Nie. Chodzi o to, że zastanawiam się, kto wysłał dziś rano tych wieprzy... przepraszam, funkcjonariuszy Hegemonii, do mojego domu.

– A, o to chodzi – powiedziała, kiwając głową. – To ja.

Po raz pierwszy od momentu, gdy wszedłem do ciasnego, ciemnego biura, spojrzałem jej prosto w oczy. Całą uwagę skupilem teraz na niej.

– Żołnierzy Hegemonii? W przeddzień ważnego głosowania nad naszą niezależnością? Czy mógłbym zapytać dlaczego?

Turov uśmiechnęła się i złączyła palce. Miała krwistoczerwone, krótko obcięte paznokcie.

– Ponieważ, drogi Jamesie, jesteś jaki jesteś. Mogłam na tobie polegać. Dziękuję za pomoc. A teraz bądź tak miły, wynoś się z mojego biura i wsiadaj na barcę oczekującą w porcie kosmicznym w Atlantycie, żebyśmy wszyscy mogli dalej zajmować się swoimi sprawami.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Oczekiwałem przynajmniej solidnego ochrzanu. Tymczasem ona siedziała tu cała w skowronkach. Po co w ogóle fatygowała się z wizytą w tym miejscu? Żeby upajać się sukcesem? Wyglądała, jakby odniosła jakieś zwycięstwo, nie miałem jednak pojęcia, o co toczyła się gra.

Potem zaczęły do mnie docierać przesłanki jej nowych rozkazów.

– Pani primus – zacząłem zakłopotany – wspomniała pani o barce w porcie kosmicznym.

– Owszem. Legion Varus ma zbiórkę przed misją. W trybie natychmiastowym.

Zawahałem się. Patrzyłem na nią, gdy wstała i odwróciła się ode mnie. Zdjęła beret i żakiet z wieszaka za biurkiem. Założyła je

powoli, niemal leniwie.

Przyglądałem się jej, gdy zbierała swoje rzeczy. Muszę przyznać, że choć jestem młodym facetem, który nie zawiesza dłużej oka na kobietach po trzydziestce, to zawsze miałem Turov na celowniku. Lubiła nosić obcisłe mundury, ciasno opinające jej kształty.

Zwróciła się znowu do mnie z uśmiechem. Zachowywała się tak, jakby przygotowała małe przedstawienie i doskonale zdawała sobie sprawę, jak na to zareaguję.

– Jak widzę, podoba ci się moja nowa naszywka – powiedziała. – A może zwróciłeś uwagę na te słońca?

Otworzyłem szeroko oczy. Rzecz jasna, podziwiałem raczej jej tyłek. Jednak gdy już o tym wspomniała, zauważyłem, że faktycznie na kołnierzu miała dwa złote słońca, a na ramieniu naszywkę nie swojego legionu.

Wśród oznaczeń stopni oficerskich słońca oznaczały najwyższą rangę. Gdy już się je dostało, potem chodziło tylko o to, ile ich było. Uświadomiłem sobie, że Turov nie była już primusem. Awansowała o dwa stopnie i została imperatorem. Teraz mogła dowodzić własnym legionem, gdyby jej go przydzielili. Albo nawet kilkoma legionami.

Jednak to nie jej awans zaszokował mnie najmocniej. Najbardziej frapowała mnie naszywka ze znakiem legionu. W miejscu wilczej głowy Legionu Varus znajdował się teraz niebiesko-zielony glob.

Gdy wreszcie odzyskałem mowę, zawołałem obcesowo:

– Olałaś nas?! Dołączyłaś do Hegemonii?!

– Nie tak się składa gratulacje – warknęła.

– Przepraszam.

– Awansowałam. W Legionie Varus może być tylko jeden trybun. Tę funkcję piastuje Drusus. Rada postanowiła, że nie dostanę legionu, ale za to zostanę przeniesiona do Hegemonii.

– Rozumiem – odparłem.

Rzeczywiście rozumiałem. Walczyła o ten awans od momentu, gdy ją poznałem, i wreszcie go dostała. Czasem bywam tylko prostym chłopakiem ze wsi, ale tego dnia pod moim ciemnym czerepem jarzyło się światło.

Przypomniałem sobie, ile razy ona i Winslade podejmowali się filmowania krajobrazów po bitwach. Słyszałem też, że Turov bez

większych oporów posuwała się do modyfikowania raportów tak, aby wynikało z nich, że każde zwycięstwo było jej zasługą jako dowódcy. Nie była z takich, którzy lubią się bić czy nawet wydawać rozkazy w bitwie. Właściwie to nigdy nawet nie widziałem, aby strzelała lub prowadziła żołnierzy do boju.

– Czy to wszystko, specjalisto? – zapytała, wskazując drzwi.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

Skinęła głową.

– Rozumiem, że awansowała pani i gratuluję, ale co stanie się z Varusem? Dziś wieczorem mamy głosować nad naszą niezależnością i...

– Jeśli o to chodzi – odparła, podchodząc do drzwi i otwierając je – to choć wiem, że nie przyjmujesz dobrych rad, i tak ci coś doradzę. Głosuj nad rozwiązaniem Legionu Varus. Nie warto walczyć z tym, co nieuniknione. Niezależne legiony to już przeszłość. Niemile widziane anachronizmy. Może pozwolą wam zachować wasze naszywki i nazwy jednostek, jednak i tak zostaniecie wkrótce wcieleni do Hegemonii, bez względu na to, jak zagłosujecie. Sądzę, że plan jest taki, by przypisać każdemu legionowi numer i by nazwy legionów stosować potocznie, a nie jako oficjalne oznaczenia.

To mnie przeraziło. Nie chciałem zostać wieprzem z legionu numer 199 czy gdzie by tam mieli nas przydzielić.

– Nie uważam, żeby był to dobry pomysł... – zacząłem.

Jej twarz nagle przybrała gniewny wyraz.

– McGill, ostrzegłam cię i wszystko wyjaśniłam. A teraz wynocha!

Odsunęła się, przytrzymując otwarte drzwi. Zasalutowałem i wymaszerowałem. Nie chciało jej się nawet odsalutować. Zamiast tego trzasnęła drzwiami tak szybko, że prawie dostałem nimi w plecy.

Szedłem korytarzem, próbując spojrzeć na całą tę sprawę z lepszej strony. Przynajmniej miałem już z głowy primus Turov... czy raczej imperator Turov. Powinienem wręcz świętować. Miałem jednak wrażenie, że coś jest nie w porządku.

Zgodnie ze swoimi zapewnieniami Winslade siedział w hallu i gawędził z Natashą, która zносиła jego towarzystwo z uprzejmą, choć znudzoną miną. Winslade zdawał się tego nie zauważać. Gdy przyszedłem, był wyraźnie zawiedziony.

– Mamy stawić się na zbiórkę – poinformowałem Natashę. – Odwieziesz mnie do portu kosmicznego?

– Pewnie.

Tymczasem Winslade przestał paplać i nadał się jak paw. Wyciągnął zza biurka kurtkę.

– Wydało się – powiedział. – Chyba mogę wam już to pokazać.

Na ramieniu miał naszywkę z globem.

– Pan też, co? – zapytałem. Nie mogłem powstrzymać szyderczego uśmiechu. – Wygląda na to, że prawdziwa lojalność to cholernie rzadki towar.

– Jeśli nie jesteś durniem, McGill, sam też zmienisz wieczorem front. Najlepiej w ogóle nie głosuj. To wszystko pic na wodę. Wynik jest już przesądzony. Jeśli nie zagłosujesz jak należy, zdegradują cię, a w końcu i tak trafisz do Hegemonii.

Natasha przyglądała mu się z niepokojem. Pociągnąłem nosem.

– Dzięki za radę, wieprzu – rzuciłem, kierując się do wyjścia.

– Gdyby nie ta zbiórka, skopałbym ci dupę za takie odzywki! – zawołał za mną Winslade.

– Oczywiście, sir – odparłem.

Natasha podążyła za mną na parking i wsiedliśmy do samochodu. Była mocno podminowana. Ja, szczerze mówiąc, także.

– W jaki syf wpakowałeś mnie tym razem, James? – zapytała.

– Nie martw się, maleńka... – zacząłem.

– Nie! – przerwała mi. – Nawet nie zaczynaj. Nie chcę słuchać słodkiego pieprzenia o tym, że wszystko będzie dobrze. Ta Turov... zawsze wiedziałam, że jest zimną suką i że cię nie cierpi. Ale tu chodzi o coś poważniejszego. Martwię się.

– Uhm... – mruknąłem, wykonując wyciągniętym palcem ruch okrężny.

Zrozumiała znaczenie tego gestu i uruchomiła auto. Unieśliśmy się i poszybowaliśmy ulicą.

Rozmowa nam się nie kleiła, bo oboje pogrążyliśmy się w niewesołych myślach. Patrzyłem, jak ulice śmigają za szybą. Wszędzie można było dostrzec ślady dobrobytu, którym Ziemia cieszyła się od niedawna. Jeszcze rok czy dwa lata wcześniej drogi w Atlancie były w tragicznym stanie. Teraz w miejscu chwastów rosły młode drzewka, a na stary, popękany asfalt wylano pastobeton. Spoglądałem w dół, podziwiając ten pozaziemski budulec. Pastobeton, zwany również pastonem, był o wiele barwniejszy od tradycyjnego betonu. Nowa droga przemykająca pod nami połyskiwała różem i błękitem. Substancja była prawie niezniszczalna i wykorzystano ją na całej planecie, by po raz ostatni – i na dobre – wyremontować stare drogi. Zdawałem sobie sprawę, że pod tą cienką warstwą wciąż ciągnęły się niszczące drogi z przeszłości. Gdzieś tam można było dostrzec ciemne plamy zastarzałego asfaltu, niczym popsute zęby gdzieś z tyłu szczęki wypełnionej koronkami.

– Myślisz, że mamy czas, żeby wrócić po twoje rzeczy? – zapytała Natasha.

Stuknąłem w ramię i pokręciłem głową.

– Nie – odparłem. – Zapomnij o moich rzeczach. O twoich zresztą też. Sprawdzam teraz na stuku nowe rozkazy w sprawie misji. Wysłali je do wszystkich. Mamy natychmiast opuścić Ziemię, wszelkimi możliwymi środkami.

Gdy dotarło do mnie, że moja przepustka skończyła się niespodziewanie, przez głowę zaczął płynąć potok myśli. Nie będę mieć czasu na pożegnania, ani nawet na to, żeby dobrze zamknąć mieszkanie. Mogłem sobie tylko wyobrażać, co przeżywają rodzice. Zostałem zabity na ich posesji, a moje ciało wywleczono stamtąd razem z pozostałymi denatami. Miałem nadzieję, że mama tego nie widziała.

Napisałem do staruszków, że jestem cały i zdrowy i że dostałem rozkaz stawienia się na misję. Skrzywiłem się po wysłaniu wiadomości. Nie wspomniałem ani słowem o swojej śmierci. Nawet dla mnie było to dość poważne niedomówienie. Rodzice pomyślą, że jestem w tarapatach i mydlę im oczy. Najsmutniejsze było, że mogli mieć rację.

Mieliśmy opuścić Ziemię. Najpierw zbiórka, a zaraz potem wylot. Zwykle wyglądało to inaczej. Jeśli sprawa nie była pilna, legionści otrzymywali wezwanie z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Po dotarciu do Izby Werbunkowej odbywaliśmy ogólną odprawę, czasem badania lub szkolenia, i dopiero potem wylatywaliśmy w kosmos. Tym razem cały proces przebiegał dużo szybciej. Miałem wrażenie, że o wiele za szybko.

Nagle Natasha zjechała na pobocze.

– Ty poprowadź – poprosiła. – Ja muszę trochę postukać.

Zdałem sobie sprawę, że jej genialny mózg po cichu rozgrzewa się do czerwoności. Z ulgą włączyłem się do miejskiego ruchu. Dzięki temu mogłem skupić się na czymś innym niż rozmyślanie o Turov i jej planach.

Natasha była pochłonięta obsługą stuka. Specjaliści techniczni otrzymali dużo fajniejsze zabawki od nas, prostych trepów – i zdecydowanie lepsze od tych, które mogli kupić cywile. Oprócz stuka Natasha posiadała zestaw różnych urządzeń pomocniczych, wspomagających jej umiejętności. Na szczęście wzięła je wszystkie do samochodu, jak na wzorową legionistkę przystało. Stan ciągłej gotowości był normą w przypadku personelu w czynnej służbie.

Oczekiwano, że zawsze będziemy mieć pod ręką podstawowy sprzęt. Jednak jeżeli chodzi o mnie – bombardiera specjalizującego się w broni dużego kalibru – nie pozwolono mi zabrać na powierzchnię niczego poza mundurem.

Dziewczyna pracowała niemal w zupełnej ciszy. Wiedziałem, że jako była hakerka musi się skupić, jeżeli ma dokopać się do czegoś, o czym jeszcze nie wiemy.

– Głosowanie... Chyba o to w tym wszystkim chodzi – oznajmiła kilka minut później.

– Naprawdę? – zapytałem. – Dlaczego Turov miałyby się aż tak przejmować tym cholernym głosowaniem? Ona i ten mały dupowłaz, Winslade. Ich zdaniem, choćby nie wiem co, wszyscy i tak skończymy w Hegemonii.

– Oto, co wyczytałam w oficjalnych rozkazach – powiedziała Natasha. Jej głos nagle przybrał wyniosłą barwę. Lubiła mieć wszystko poukładane przed zadaniem pierwszego ciosu. – Trybun Drusus rozkazał wszystkim stawić się dziś wieczorem na zbiórce i wsiąść na dowolny statek, który może nas zabrać w kosmos. Mamy zebrać się na pokładzie „Minotaura”. Każdy, kto nie dotrze na miejsce w ciągu dwudziestu czterech godzin, pozostanie na Ziemi i otrzyma karę.

Nasz poprzedni środek transportu, „Corvus”, przepadł w systemie Zeta Herculis. Potem legion zorganizował dla nas nową jednostkę – okręt o nazwie „Minotaur”. Jeszcze go nie widziałem, ale mówiło się, że jest o wiele lepszy.

– Jeśli ktoś nie wyrobi się w dwadzieścia cztery godziny, to dostanie baty, co? – zapytałem. – Ostro. Wiem, że niektórzy akurat teraz wspinają się po górach albo coś w tym stylu.

Kara, ogólnie rzecz biorąc, nie oznaczała rzeczywistego batożenia, jednak teoretycznie coś takiego było możliwe w legionach.

– Wiem – odpowiedziała Natasha. – Niektórych trzeba będzie zostawić. Tacy ludzie teraz gardłują na forach, bo wiedzą, że mają przerąbane. Tak czy inaczej, znalazłam coś ciekawego na listach dyskusyjnych i czatach dotyczących dzisiejszego głosowania. Po tym, jak doradziłeś głosowanie na „nie”, pojawił się nowy post. Ma już całą masę odsłon.

– Nowy post? O czym?

Natasha stuknęła go palcem i syknęła.

– Nie pokażę ci tego, bo prowadzisz... ale są tu zdjęcia, James. Zdjęcia powiązane z twoim nazwiskiem.

Prychnąłem.

– Zdjęcia? Czyżby wyciekła moja najnowsza galeria selfików?

– Nie. Zdjęcia facetów, których zabiłeś.

Błyskawicznie przestało mi być do śmiechu.

– Czytaj tego posta.

– Na pewno?

– No czytaj, mała!

Wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać:

– „James McGill, specjalista bombardier z trzeciej jednostki. Dziś rano trzech policjanci wojskowi z Hegemonii zostali wysłani, by aresztować specjalistę McGilla. Znaleziono go w zaniedbanej szopie na wsi w dystrykcie Georgia, w Sektorze Północnoamerykańskim. Rzekomo otworzył drzwi uzbrojony w sporej wielkości ostre narzędzie. McGill wpadł w szal i zabił trzech funkcjonariuszy mających dokonać aresztowania. Sam również poniósł śmierć. Śledztwo jest w toku, nie podano jednak uzasadnienia nakazu aresztowania. Funkcjonariusz zgłaszający zajście wspomniał, że mogło chodzić o posiadanie narkotyków lub inne czyny zabronione”.

Gdy czytała to wszystko na głos, z każdym jej słowem kulilem się coraz bardziej nad kierownicą i ścisnąłem ją coraz mocniej.

– Przecież to gówno prawda! W stu procentach! – powiedziałem. – Niech zgadnę, kto puścił w obieg tę wiadomość. Winslade, prawda?

– Autor jest anonimowy, ale podali jego stopień. To adiunkt.

– No jasne. Szkoda, że nie połamiałem mu tej jego patykowatej łapy, kiedy miałem szansę...

– James... – przerwała Natasha, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Uspokój się. Wiem, co czujesz, ale pięściami nie rozwiążesz problemów.

– W porządku – westchnąłem – Dobra, masz rację... Ale on jest taką kanalią...

– Wiem. Zastanówmy się. Próbuję zebrać to wszystko do kupy. Turov dostała awans...

– Pewnie, bo zebrała laury za wynegocjowanie nowej roli Ziemi w Imperium. Owszem, była przy tym, ale próbowała nam przeszkodzić, a nie pomóc!

– Wiem, wiem – zapewniła Natasha uspokajającym tonem. – Ale musimy przewidzieć jej kolejny krok. Załatwiła sobie nowy stopień i miejsce w Hegemonii. Teraz chce pociągnąć za sobą Legion Varus. Może właśnie to obiecała tym na górze w zamian za nową rangę. Może zaproponowała, że wykorzysta swoje wpływy, by skłonić nas do przyłączenia się do Hegemonii.

– Mam gdzieś jej motywy. Chcę, żeby poniosła porażkę... teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Są już jakieś wstępne wyniki głosowania?

– Nie ma żadnych oficjalnie potwierdzonych. Ale to chyba oczywiste, że nie spodobał się jej twój list otwarty, w których zachęcałeś do głosowania przeciw. Nie zadawałaby sobie tyle trudu, żeby cię zdyskredytować, gdyby była przekonana, że głosowanie idzie po jej myśli.

Gdy dotarliśmy do portu kosmicznego, było już ciemno. Podejrzliwie zmrużyłem powieki, kiedy zjechaliśmy na parking. Czy w ogóle było tu bezpiecznie? Musiałem myśleć jak przebiegły oficer, aby przewidzieć, co może mnie za chwilę czekać.

Wysiedliśmy z auta, a Natasha przesunęła palcem po stuku, by wybrać polecenie „do domu”. Dzięki temu samochód bezpiecznie dotrze pod jej dom, oddalony o kilkaset mil na północ. W tych czasach większość pojazdów poruszała się na autopilocie, jednak takie przejażdżki były powolne i nużące. Wolałem kierować sam.

Skierowaliśmy się w stronę olbrzymiego ciemnego zarysu czekającej na nas barki, mającej prawie milę przed nami. Nieświadomie zacząłem rozglądać się po porcie, jakbym oczekiwał, że skądś wyskoczy strzelec i otworzy do nas ogień. To dlatego, że odnosiłem wrażenie, iż Ziemia przestała być neutralnym gruntem. Nawet Atlanta wydawała się wrogim terytorium. Powiedziałem sobie, że popadam w jakąś paranoję, i usiłowałem stłumić złe przeczucia.

Obejrzałem się, słysząc brzęczący odgłos. Od wejścia nadjeżdżał w naszą stronę jakiś pojazd. Poruszał się szybko... zbyt szybko.

Sięgnąłem po pistolet, ale oczywiście nie miałem go przy sobie. Legionistom zwykle nie pozwalano na wynoszenie uzbrojenia poza bazę. Było produkowane przez kosmitów i zbyt cenne. W większości okręgów obywatelom nie wolno było posiadać nawet tracha, czyli małego karabinka.

Popchnąłem Natashę, obróciłem ją dookoła i usunąłem z drogi. Sam przesunąłem się w przeciwnym kierunku. Uznałem, że kierowca tej niewielkiej jednoosobowej maszyny może poturbować jedno z nas, ale nie było powodu pozwolić mu rozjechać nas oboje za jednym zamachem.

– Co... – zaczęła Natasha, która w tym czasie stukała w ramię i nie patrzyła, co się dzieje. Potem dostrzegła rozpędzony pojazd i szybko odsunęła się w kierunku, w którym ją popchnąłem.

Zmierzchało już i widziałem tylko tyle, że kierowca jest niski. Skierował dziwną maszynę ku mnie. Wydawał się zwalniać, choć niewystarczająco. W ostatniej chwili gwałtownie zahamował i pojazd wpadł w poślizg. W końcu nieznajomy przewrócił się wraz z pojazdem i przesunął się obok mnie po tym, jak odskoczyłem na bok. Spod błotników dużego, pojedynczego koła okrążającego całą maszynę prysnęły iskry.

Gdy facet mnie mijał, wyciągnąłem rękę. Chwyciłem zasłonę jego kasku i zerwałem go z trzaskiem. Kierowca szarpnął głową i fiknął do tyłu.

Reflektory pobliskiej barki pomogły mi rozpoznać jego twarz. Carlos. Dziwny pojazd znieruchomiał, a gdy jego właściciel stanął na nogi, rzuciłem w niego kaskiem. Złapał go, chwiejąc się i klnąc.

– Mało mi dyńki nie urwałeś! – zawołał z wyrzutem. – Rzeczywiście jesteś gniewnym i gwałtownym człowiekiem, McGill! W sieci mieli rację!

Carlos był śniadym gościem, przysadzistym jak hydrant. Miał grube kończyny i burzę czarnych, kręconych włosów. Pochodził z Chicago, a jego charakter był na to wystarczająco przekonującym dowodem.

W tym momencie miałem ochotę go zastrzelić, więc może to dobrze, że nie miałem pod ręką spluwy. Uspokoilem się, wyęzając całą swoją wolę, i zbliżyłem się do jego osobliwego pojazdu, by się mu przyjrzeć.

– Co to, u diabła, jest? – zapytałem. – I dlaczego próbowałeś mnie tym zabić?

– To jednoosobowy aerocykl – wyjaśnił. – Nówka sztuka, prosto od Rigelów. Jeździ jak marzenie i jest bezpieczny dla humanoidów. Gwarantuję!

– Za to dla kretynów już niestety nie jest taki bezpieczny – stwierdziła Natasha, wpatrując się w naszego znajomego.

Carlos patrzył to na mnie, to na nią i w końcu uniósł ręce.

– O co wam chodzi? Nie cieszyście się, że mnie widzicie? Siedzę sobie na plaży na Florydzie, a tu nagle przychodzi wezwanie na zbiórkę. To jest najbliższy port kosmiczny w dystrykcie, więc przyjechałem tak szybko, jak się dało. A powiem ci, złotko, że to cacko potrafi się rozpędzić!

– Wszystko pięknie – odpowiedziałem. – Ale co zamierzasz zrobić z nim na barce? Nie możesz ot tak zostawić go tutaj. Chyba że nie chcesz go już nigdy oglądać.

Carlos uśmiechnął się od ucha do ucha.

– I tu się mylisz. Otóż mogę go zabrać na barcę.

Podszedł do maszyny i stuknął w panel sterowania. Widziałem, że zamiast ekranu znajdowały się na nim kolorowe kuliste lampki wyświetlające trójwymiarowe symbole. Wiele urządzeń z terytorium Rigelów było zbudowanych w ten sposób. Nie byliśmy w stanie zrozumieć ich naturalnego języka, jednak dało się przywyknąć do ich symbolicznych, geometrycznych dźwigni i przycisków, jeśli poświęciło się temu trochę czasu.

Ku naszemu zaskoczeniu aerocykl zaczął się zmniejszać. Złożył się i skręcił. Ogólnie kurczył się jak balon, z którego uchodzi powietrze. Pojedyncza duża opona wokół pojazdu sflaczała i zanikła. Główny silnik zmienił się w chropowaty metalowy sześciąt. Siedzenie kierowcy poskładało się samo jak kartka.

W ciągu minuty cały pojazd zamienił się w drżącą zbitkę o wielkości zbliżonej do skrzyni na owoce. Carlos podniósł go, pociągnął za boki i po chwili trzymał torbę podróżną, łącznie z paskiem na ramię.

– Elegancko, co nie? – Wyszczерzył zęby.

– Tak – przyznałem ze śmiechem. – Rzeczywiście fajna sprawa. Chodźmy już na rampę.

Pomaszerowaliśmy ku mrocznym wnętrznościom barki.

Nie było w niej tłoczno. Właściwie okazała się niemal pusta. To samo w sobie było dziwne. Spalanie paliwa, żeby posłać na orbitę mniej niż setkę pasażerów, nie było zbyt wydajne, jednak załoga właśnie tak zrobiła, nawet nie zapowiadając, że startujemy.

Sygnały alarmowe i parę nagranych komunikatów to było wszystko, co ostrzegło nas przed nadchodzącym przeciążeniem. Natasha, Carlos i ja zabezpieczyliśmy się, ściągając w dół barierkę ochronną i zapinając sprzączki pasów bezpieczeństwa.

– To wygląda aż za bardzo znajomo – stwierdził Carlos.

Nie odpowiedziałem od razu, więc postanowił rozwinąć myśl.

– Pamiętasz pierwszy raz, McGill? Wylecieliśmy zatrzaśnięci w tych pułapkach i zginęliśmy!

– Tak, pamiętam – odparłem. – Tyle tylko, że ja nie zginąłem. Przynajmniej nie wtedy.

– I co, oczekujesz, że cię wymasuję w ramach podziękowania? Nic z tego. Nie tym razem. Już spłaciłem tamten dług!

– Zamknij się, Carlos! – warknęła Natasha.

Chwilę jeszcze pogderał, ale potem faktycznie siedział cicho. Przez kilka minut. Gdy osiągnęliśmy orbitę i nasze ciała przestały odczuwać przytłaczający ciężar przyspieszenia, ożywił się na nowo.

– Wczoraj wieczorem dostałem twoją wiadomość, mistrzu! – oznajmił. – Wiesz, ten liścik miłosny, krótko po północy. Szanowna pani primus pewnie była wniebowzięta!

Spojrzałem na niego.

– Wiesz coś na ten temat? Czemu miałoby to ją aż tak obchodzić? – zapytałem.

– Żartujesz sobie? Przecież jest teraz w Hegemonii. Wstydzi się Legionu Varus. Dla niej to zamknięty rozdział. Wolałaby, żebyśmy nie dokonali już niczego doniosłego. Ma wielkie plany, kochanieńki. Chce się pięć na szczyt i nie dba o to, komu będzie musiała obciągnąć, żeby się tam dostać.

Carlos nie słynął z taktu, ale tym razem musiałem mu przyznać całkowitą rację.

– Myślisz, że o to chodzi? Że skoro jest z Varusa, to będzie ponosić winę za nasze wpadki?

– Tak, coś w tym stylu. Jeśli damy się wessać Hegemonii, ktoś inny odpowie za to, że stary McGill znowu wściekł się na widok Nairbów.

Pokiwałem wolno głową.

– Co wiesz o tej misji?

– Nagła i niechciana. Wolałbym wrócić do plażowania w Miami. Mamy tutaj jakieś gówno w papierku.

– Tak! – wykrzyknęła nagle Natasha.

Spojrzeliliśmy na nią. Jak zwykle obsługiwała stuka. Jej ramię było połączone kablem z plecakiem, który spoczywał na siedzeniu obok, zapięty pasami jak niemowlak.

– Co tam masz?

– Łączę się – oznajmiła z błyszczącymi oczami. – Dam radę!

– I co z tego? – zapytał Carlos.

– To, że możemy jeszcze zagłosować! – wyjaśniła.

Patrzyliśmy na nią przez chwilę. W końcu zacząłem nadązać.

– Chodzi ci o to, że skoro jesteśmy w kosmosie, to nasze głosy nie będą się liczyć?

– Zróbmy to teraz! – zaproponowała. – Wszyscy troje. Jeśli nie będziemy działać szybko, możemy znowu stracić połączenie. Hakuje teraz przez słaby tunel, żeby nadać transmisję do centrali.

– Czy to możliwe? – zapytałem. – Czy mogła ogłosić tę zbiórkę tak nagle tylko po to, żeby ustawić głosowanie? Przecież w kosmosie jesteśmy poza zasięgiem.

– Może i tak – odparł Carlos z powątpiewaniem. – Choć to by była już jazda po bandzie.

Ja w tym czasie pisałem na stuku. Posłałem wiadomość do każdego na barce. Carlos dostał ją od razu i odczytał na głos.

– „Wszyscy padliście ofiarami oszustwa. Głosujcie teraz, i to szybko, bo jeśli nie, na zawsze pozostaniecie milczącymi wieprzami”.

Potem spojrzał na mnie.

– Gościu, nie wiesz tego na pewno. Nie powinieneś rozpuszczać plotek! – zaprotestował.

– Stało się – odrzekłem. – Natasha, czy już głosują?

Stukała w ciszy i z wyrazem skupienia na twarzy. Po pewnym czasie skinęła głową.

– Mniej więcej połowa załogowała się na stronę do głosowania. Muszę zrobić, co się da, żeby ten tunel pozostał otwarty, dopóki nie skończą. Nie przeszkadzajcie.

– Przepraszam! Czy leci z nami stewardessa? – zapytał Carlos, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Chciałbym się przesiąść, zanim McGill znowu przyprawi mnie o śmierć!

Uśmiechnąłem się.

– Za późno. Przestań się zgrywać i zagłosuj za niezależnością Varusa!

– A może chciałbym głosować za jednością, za siłą... za dołączeniem do dumnej i chwalebnej instytucji, którą my, marne robactwo, znamy jako Hegemonię?

Zgromiłem go spojrzeniem.

– A idź w cholerę! Jeśli przegramy, to poproszę, żebyśmy obaj służyli w nowej jednostce pod Winslade'em! – ostrzegłem.

– Dobrze, już dobrze.

Gdy dotarliśmy do „Minotaura” i zadokowaliśmy, Natasha szybko powtórzyła hakerski atak. Przez krótki czas wszyscy na pokładzie byli w stanie połączyć się z Ziemią za pomocą stuków i zalogować się do centrali. Chodziłem po promenadach nad pokładem szkoleniowym i rozpuszczałem wici. Teraz albo nigdy!

Nie musiałem się martwić, bo wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Ludziom nie podobały się możliwe rezultaty tej sytuacji i jeśli się nie myliłem, przez łącze z Ziemią przetaczały się liczne głosy niezadowolenia. Nikomu nie podobała się myśl, że podstępem pozbawiono ich możliwości oddania głosu, zwołując na zbiórkę poza Ziemią w przeddzień głosowania.

– Obstawiam, że lojaliści piorą tyłki cykorom w przewodzie pięciu na jednego – powiedział Carlos.

– Myślałem, że ty też trzymasz stronę cykorów – odparłem.

Spojrzał na mnie z udawanym gniewem.

– To było tylko moje czarujące poczucie humoru! Podobnie jak ty, też nie chcę skończyć jako wieprz!

Uśmiechnąłem się do niego, jednak w głębi serca martwiłem się tym, co powiedziała Turov. Sugerowała, że nasze głosy nie mają znaczenia. Głosowanie miało być wyłącznie metodą zidentyfikowania odszczepieńców. Miałem nadzieję, że to był tylko blef.

Maskując niepokój, poklepywałem innych po plecach i zapewniałem ich, że postępują jak należy. Jednocześnie zastanawiałem się nad sobą. Czy rzeczywiście aż tak zależało mi na zwycięstwie w tym głosowaniu? Czy zachowanie niezależności było dla mnie aż tak ważne? Wiadomo, przyziemne wieprze były frajerami, ale przynajmniej nie miały w perspektywie wypatroszenia przez kosmitów średnio raz czy dwa razy do roku.

– James, mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała później Natasha, wypowiadając na głos moje własne wątpliwości. Wpatrywała się we mnie. Znałem to spojrzenie. Za dobrze mnie

znała i wiedziała, kiedy sprawy mnie przerastają, a ja robię dobrą minę do złej gry i chrzanię, że wszystko gra. To była zdecydowanie jedna z takich chwil.

Potrzebowałem trochę czasu, by przypomnieć sobie, że Turov z całą pewnością zasługiwała na przegraną w tym głosowaniu, nawet gdyby miała na tym ucierpieć jedynie jej duma. Przekroczyła swoje uprawnienia i teraz sprawiała wrażenie małosłownej, pomimo awansu. Uważałem, że warto było się jej postawić, ot tak, żeby utrzyć jej nosa.

– Dołączyłem do legionu, by oglądać gwiazdy – powiedziałem. – I nie chcę, żeby to się zmieniło. Nie dam się wykastrować i wcisnąć do jakiegoś biura.

Zaśmiała się.

– Nie bój nic. Wydaje mi się, że w każdym biurze mieliby cię dosyć już po godzinie.

Uznałem to za komplement, podziękowałem jej i wyruszyłem na zwiedzanie okrętu. „Minotaur” faktycznie był lepszy od „Corvusa”. Chodziły słuchy, że został wysłany z układów Ramienia Perseusza, ze starej bazy, jakieś dwieście lat świetlnych bliżej centrum Galaktyki.

Niezależnie od prawdziwości plotek, podobał mi się ten okręt. Nie był to zwykły transportowiec, ale potężna jednostka wojenna. Na sterburcie grubego, porysowanego kadłuba „Minotaura” znajdował się rząd szesnastu dział. Oznaczało to, że w razie potrzeby nadaje się do walki. „Corvus” był bardzo lekko uzbrojony i służył wyłącznie do transportu legionu humanoidów na pole bitwy.

Zdołałem dotrzeć do koi tuż przed północą. W ciągu ostatniej godziny każdy napotkany przeze mnie żołnierz zdążył już oddać głos. Później ludzie zaczęli mówić, że nie mogą się już połączyć z centralą.

Wszedłem do swojej kwatery zmęczony i gotowy do snu. To był bardzo długi dzień. Ku mojemu zaskoczeniu nie zastałem współlokatora. Zamiast niego pośrodku pomieszczenia stał centurion Graves.

– Czy coś się stało, sir? – zapytałem, odkładając torbę.

Graves opuścił ramię. Wcześniej oglądał swojego stuka. Spojrzał na mnie ozięble.

– Ty mi powiedz, specjalisto – zażądał.

– Sir?

– Spóźniłeś się!

– Dopiero wszedłem na pokład, sir! Ostatnia barka z...

– Przestań pieprzyć, McGill! – warknął.

Zamilkłem. Zawsze trudno było wciskać kit Gravesowi. Wolałem zrezygnować, póki nie było za późno.

– Czekałem w koszarach przez ostatnią godzinę albo dwie. W końcu postanowiłem cię wytropić, używając twojego stuka. I wiesz, co się okazało?

– Yyy... urządziłem sobie wycieczkę, sir.

– Otóż to. Pogadałem z paroma ludźmi, których spotkałeś po drodze. Wiesz, co powiedzieli?

Stałem na baczność, zdając sobie sprawę, że nie jest to wizyta towarzyska.

– Mogę tylko zgadywać, sir.

– Powiedzieli mi, że namawiałeś do głosowania za utrzymaniem niezależności Legionu Varus. Czy to prawda, specjalisto?

– W pewnym sensie tak, sir.

– No właśnie... A wiesz, że wszyscy oficerowie legionu dostali wyraźny zakaz wywierania presji na żołnierzy w tej sprawie?

Spojrzałem na niego.

– Nie, sir. Nie wiedziałem o tym.

– Cóż, tak właśnie jest. Dlatego tu przyszedłem.

– Sir?

– Oby tak dalej, żołnierzu!

– Och... rozumiem, sir. Się robi.

Graves parsknął.

– Nie żebyś miał mnie posłuchać, gdybym kazał ci przestać...

– Głosowanie właściwie i tak się już skończyło, sir – powiedziałem.

– Już prawie północ i straciliśmy dostęp do centrali.

Graves wyglądał na rozbawionego.

– Nie, specjalisto. Mylisz się. Cała ta sprawa jeszcze długo się nie skończy. A teraz wybac. Muszę się oddalić, zanim twoje wariactwo mi się udzieli.

Życzył mi dobrej nocy i odmaszerował korytarzem, śmiejąc się pod nosem.

Kiedy kilka minut później zaległem na łóżku, oczy same mi się zamykały. Głosowanie się skończyło i byłem niemal pewien naszego zwycięstwa. A gdybyśmy przegrali? Cóż, pocieszałaby mnie świadomość, że dałem z siebie wszystko.

Zastanawiałem się, o co mogło chodzić Gravesowi, ale nie mogłem zgadnąć. Grunt, żebyśmy dokopali Turov.

Następnego ranka po śniadaniu wezwano nas na odprawę. Z ulgą stwierdziłem, że „Minotaur” wciąż znajduje się na orbicie. Martwiłem się, że nocą oddalimy się od Ziemi. Liczyłem, że zdążę jeszcze napisać do rodziców. Gdy wejdziemy w prędkość nadświatlną, wszelkie transmisje staną się niemożliwe.

Żołnierze z mojej jednostki stali na baczność na kwadratowym polu w przeznaczonym dla nas module. „Minotaur” był na tyle duży, żeby każda jednostka miała własny moduł. Oczywiście wszystkie moduły były połączone, ustawione jeden na drugim jak walizki w czymś, co musiało być pojedynczą, ogromną ładownią. Jednak dla nas, małych ludzi, stanowiły wygodną przestrzeń życiową. W każdym module znalazły się kwatery sypialne, sala ćwiczeń i mesa. Teraz byliśmy na sali ćwiczeń i oczekiwaliśmy na rozpoczęcie odprawy.

Centurion Graves wmaszerował przez boczne drzwi punktualnie o siódmej. Zabrzmiała wojskowa muzyka. Rozpoznałem ją – to był hymn Hegemonii. Niektórzy żołnierze zaczęli buczeć, jednak weterani przywołali ich do porządku.

Na przeciwległej ścianie pomieszczenia zamigotała twarz. Obraz miał pewnie z dziesięć metrów wysokości. Oblicze należało do samej imperator Turov.

– O kurde – powiedział Carlos, stojący obok mnie. – Ten pieprzyk na jej czole jest szeroki na jakieś pół metra!

– Może napiszesz jej o tym? – zaproponowałem.

Turov wyglądała na spiętą i nachmurzoną. Odczekała chwilę, zanim przemówiła. Wiedziałem, że nas nie widzi, bo na pewno patrzyła w obiektyw kamery. Mimo to, gdy tak spoglądała z góry ogromnymi oczami, aż się zimno robiło.

– Koledzy i koleżanki legioniści! – zaczęła, a jej głos dudnił nad nami. – Jak wielu z was już wie, zostałam przeniesiona do Hegemonii. Poprosiłam o możliwość, aby ten jeden ostatni raz zwrócić się do mojej kohorty Legionu Varus.

Carlos trącił mnie łokciem. Oczy aż mu błyszczały z podniecenia.

– Nareszcie pozbyliśmy się tej starej raszpli! – szepnął.

Odepchnąłem go i spoglądałem z niepokojem na Turov. Byłem pewien, że ma jakiś powód, żeby robić ten cyrk.

– Wasza nowa misja rozpocznie się dzisiaj – powiedziała wielka twarz. – Wyruszyście za kilka godzin i wróćcie dopiero za rok.

Wśród zgromadzonych rozbrzmiały chóralne jęki niezadowolenia.

– Ponieważ głosowanie przeprowadzone zeszłej nocy skończyło się niepowodzeniem – ciągnęła Turov – Legion Varus nie stanie się częścią Hegemonii. Właśnie z tej przyczyny Centralne Dowództwo jest zdania, że należy niezwłocznie wysłać was z misją na Tau Ceti. Będziecie tam pełnić służbę w pocztach sztandarowych miejscowej arystokracji. Jak już wspomniałam, okres waszego kontraktu to jeden standardowy rok.

Wypowiadała te słowa z emfazą i domyśliłem się, że zdawała sobie sprawę, jak bardzo ubodą one każdego żołnierza. Zwykle nasze misje nie trwały jednorazowo dłużej niż sześć miesięcy. Cały rok... nie będzie łatwo. Co gorsza, Tau Ceti było śmiertelnie nudnym miejscem. Służyło za skład kupiecki oraz centralną izbę rozliczeniową dla towarów z dwudziestu układów gwiazdnych. Większość zdobyczy techniki wysyłanych na Ziemię była filtrowana przez Tau Ceti.

Choć ziemscy legioniści często służyli tam jako ochroniarze bogatych kupieckich książąt, chcących szpanować przed sobą nawzajem, taka służba nie była czymś, o czym warto pisać w listach do domu. W praktyce Legion Varus miał zostać na lodzie.

– Legion Varus zmieni Legion Germanica – mówiła dalej Turov. – Nastąpi dwutygodniowy okres przejściowy, po którym Germanica wróci do domu na pokładzie „Minotaura”.

– Mamy siedzieć na Tau Ceti przez cały rok? – jęknął Carlos.

Nie patrzyłem na niego. Carlos wiecznie na coś narzekał, jednak tym razem musiałem mu przyznać rację.

– Życzę wam wszystkim powodzenia – zakończyła Turov, uśmiechając się wyniośle – i żałuję, że nie będę mogła wam towarzyszyć. Kończąc, pragnę zapewnić każdego żołnierza, który wysłał mi prywatną wiadomość dotyczącą pewnych zakłóceń w procesie głosowania zeszłej nocy, że sprawa ta zostanie zbadana. I to skrupulatnie. Tryby sprawiedliwości legionu obracają się powoli, ale żadne wykroczenie nie pozostanie bez kary!

Carlos pacnął mnie w brzuch.

– Do ciebie ta mowa, pajacu!

Chwyciłem go za rękę i ścisnąłem mu palce, jednak zdołał się wyszarpnąć, zanim coś mu zламаłem.

Weteran Harris obrócił się i zmierzył nas wzrokiem.

– Wy dwaj, dajcie sobie siana! Co to ma być? Przedszkole?

– Przepraszamy, weteranie! – odparł Carlos. – McGill nie potrafi trzymać łap przy sobie.

Kręcąc głową i wzdychając z rezygnacją, Harris odwrócił się z powrotem. Zdziwiłem się, że nie przyłożył któremuś z nas. Albo nam obu. Może był na to zbyt zdołowany?

Gdy gigantyczne oblicze Turov wreszcie zniknęło, Graves wygłosił mowę o służbie i honorze, ale go nie słuchałem. Potem odprawa dobiegła końca.

Byłem w stanie myśleć tylko o czekającym mnie bardzo długim roku. Wygraliśmy głosowanie. Legion Varus pozostał niezależny. Wyglądało jednak na to, że to Turov śmiała się ostatnia. Rok na Tau Ceti to jak odsiadka w gułagu!

Po odprawie Harris „pogratulował” mi jako pierwszy. Klepnął mnie w plecy ciężką dłońią tak mocno, że ktoś mógłby łatwo pomylić to z brutalnym ciosem.

– Świetnie to rozegrałeś, specjalisto! – zagrział mi prosto do ucha. – Będę teraz pierdział w mundur dwadzieścia lat świetlnych od domu. I paradował w odświętnych łachach jako obstawa zaślinionych Tau na zakupach w nieprzyjacielskich miasteczkach. Ja to mam szczęście! Tak się cieszę, że ocaliłeś nas przed okrucieństwem Hegemonii!

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo chce pan zostać wieprzem, weteranie. Może powinien pan się odwołać? Jeśli się pan pospieszy,

może zdąży pan jeszcze na prom. W końcu jesteśmy ciągle na orbicie i...

Harris gwałtownie zdjął dłoń z mojego ramienia, jakbym co najmniej ją ugryzł. Popatrzył ponurym wzrokiem na lewo i prawo, lustrując podsłuchujących nas żołnierzy.

– Stul pysk, McGill! – warknął, a potem szybko odmaszerował w stronę wyjścia.

– Ha! – wykrzyknął Carlos. – Dowaliłeś mu mocniej niż on tobie! Jak myślisz? Czy Harris faktycznie głosował za tym, żebyśmy się zwinęli i dołączyli do Hegemonii?

Potrząsnąłem głową.

– Sam nie wiem. Gdyby tego chciał, mógł przecież spasować wcześniej, po dowolnej misji przez te wszystkie lata.

– Może to kwestia dumy – zamyślił się Carlos. – Nie może odejść sam z siebie, bo wtedy inni legionieści pomyślą, że spękał. Ale gdybyśmy skapitulowali wszyscy razem, mógłby wyjść z tego z twarzą.

Popatrzyłem na Carlosa i skinąłem głową.

– Nikt nigdy ci nie zarzuci, że jesteś bystrzakiem, ale coś chyba jest na rzeczy.

Carlos pozytywnie zareagował na mój zawołany komplement. Rozpromienił się i odszedł różnym krokiem. Nieczęsto bywał chwalony.

Jedyną osobą na pokładzie „Minotaura”, która nie wyglądała na zdolowaną, była Natasha. Ekscytowała ją możliwość odwiedzenia Tau Ceti, którą określała jej potoczną nazwą Świat Postępu.

– To spełnienie marzeń technika – powiedziała. – Mają tam cacka, jakich nie uświadczysz na Ziemi.

– A to nie jest jakaś stacja kosmiczna? Kupiecka izba rozliczeniowa na orbicie? – zapytałem, chcąc podtrzymać rozmowę.

– Fakt, jest tam orbitalny rynek. I to już wszystko, co większość ludzi wie o tym świecie. Ale ten układ kryje o wiele więcej.

Staliśmy w kolejce do stołówki. Zerwałem pomarańczę ze sztucznego drzewa i potarłem ją o mundur. Ot, taki stary nawyk, którego nie potrafiłem sobie odmówić, choć przecież wiedziałem, że na statku legionu taki owoc jest czysty jak łąza.

– O, proszę, tu masz przykład – powiedziała Natasha, wskazując drzewo. – Te rośliny na stołówkach to najnowsze cuda techniki z Tau Ceti. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak to się dzieje, że taki patykowaty wiecheć co noc wydaje świeże owoce?

– Takie coś jest warte grube kredyty galaktyczne? – zapytałem i spojrzałem zaskoczony na drzewo. – Myślałem, że personel przykleja te pomarańcze, żeby ładniej wyglądało. Czyli mówisz, że owoce rzeczywiście na nich rosną?

– Co noc – potwierdziła Natasha, też zrywając pomarańczę. – Widzisz te liście? Są prawdziwe. Na takim drzewku może urosnąć cokolwiek zechcemy. Jeśli podamy mu inną sekwencję DNA, nowe owoce pojawią się w try miga!

– Hmm... – mruknąłem. – Na tej wycieczce karmią nas lepiej.

Chwilę stałem zamyślony, a potem poszedłem ze swoją tacą do stolika i usiadłem. Natasha szła za mną i zajęła miejsce naprzeciwko. Sprawiała wrażenie, jakby była niemal w transie, a jej mózg ostro harował w nadgodzinach.

– Tyle możliwości... – westchnęła. – James, tam jest tyle techniki, że to przechodzi ludzkie pojęcie! My żyjemy na Ziemi, a tymczasem

wokół nas, tuż obok, krąży sobie świat, gdzie powstają rzeczy, o których nawet nam się nie śniło.

Potem zaczęła rozwodzić się nad cudami techniki, które знаła z plotek, ale których jeszcze nie widziała. Strumień pieniędzy, który pompowano w Ziemię, podwoił liczbę produktów konsumenckich i rządowych z obcych układów, jednak ten przebłysk prawdziwej gospodarki Galaktyków nie zadowalał jej, a sprawiał, że pragnęła czegoś więcej.

Ja z kolei skupiłem się na lunchu, wiosłując sztucami i przeżuając. Dla mnie jedzenie to nie przelewki. Gdy byłem mniej więcej w połowie, Natasha ledwo tknęła swój posiłek. Przyznam, że pożerałem wzrokiem jej porcję i zastanawiałem się, czy Natasha nie będzie potrzebowała pomocy przy jej spożyciu.

– Tau Ceti jest niepodobna do jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie byłeś – ciągnęła. – Jest bardziej zaawansowana od Ziemi pod każdym względem. Tau zamienili swoją planetę w jedno wielkie miasto. Nawet na oceanach zbudowali mosty i sztuczne wyspy. Ale to nie wszystko. Ich świat jest w większości niewidoczny z nieba. Jest stary, a jego populacja ciągle rośnie. Jak wszystkie przygraniczne światy, mają zakaz kolonizowania innych układów, ale i tak stali się prawdziwym mocarstwem.

– Będziesz jadła tę pomarańczę? – zapytałem, nie mogąc dłużej skrywać prawdziwych myśli.

Rzuciła mi owoc z drwiącym uśmieszkiem.

– Przyznam, że smakuje świeżo – stwierdziłem.

Gdy Natasha docierała do końca wywodu o kosmicznej technice, rozparłem się wygodnie i odetchnąłem. Wszamałem połowę jej racji i całą własną. Dla mnie to właśnie była definicja zadowolenia. Spożywanie posiłku z dziewczyną często przynosiło takie przyjemne zwroty akcji.

Natasha pochyliła się do przodu i spytała szeptem:

– Chcesz wiedzieć, co zamierzam, gdy dotrzemy do stacji Gelt?

Zmrużyłem oczy.

– Coś, o czym lepiej nie mówić głośno? – zaryzykowałem.

Wzruszyła ramionami.

– To nic nielegalnego. Nie do końca – wyjaśniła. – Chcę zrobić rundkę po bazarach i znaleźć coś, czego nikt na Ziemi jeszcze nie

widział. Kupię to coś i zabiorę do domu, kiedy nasza wycieczka się skończy.

– Po co?

Parsknęła poirytowana.

– Jak to po co? Dla szpanu! Ale z góry wiem, że ciebie to nie ruszy.

– Zależy, co to będzie – odparłem. – Gdybyś na przykład skołowała mi drzewo, z którego leje się burbon albo... no nie wiem.

– Serio? Drzewko pędzące gorzałę? To jest szczyt twoich marzeń?

– Sama przyznasz, że przydałoby mi się na chacie.

– A może chciałbyś tam znaleźć coś innego?

– Hmm... – Spojrzałem na nią z drapieżnym uśmiechem. – A może jakieś specjalne kosmiczne urządzenie stymulujące? Dające doznania nieznane nikomu na Ziemi...

Popatrzyła na mnie z obrzydzeniem i skrzyżowała ramiona.

– Nie o to mi chodziło, James!

– Za pięć minut zaczyna się szkolenie – oznajmiłem, wstając.

Wokół nas już zrobił się ruch. Kiedy szliśmy korytarzem, Natasha skreśliła w lewo, a ja musiałem iść w prawo. Technicy i bombardierzy nieczęsto trenowali razem.

Chwyciłem ją za rękę. Obróciła się i pocałowała mnie. Wymieniliśmy uśmiechy i rozdzieliliśmy się.

– Nadal ją pukasz? – spytał Carlos, dobiegając do mnie. – Co jest? Spadek formy? Znaczący... nie powinieneś raczej gonić za jakimś świeżym towarem?

– To moja dobra przyjaciółka.

Carlos cofnął się o kilka kroków, wydając gardłowe pomruki.

– O tak, jak tak na nią patrzę, gdy się oddala, to rozumiem, czemu cię tak kręci. Apetyczna jest.

Podstawiłem mu nogę, nie zwalniając tempa. Nie było to trudne, w końcu siedł tyłem. Wykopyrtnął się, ale szybko wstał.

– Dupek... – mruknął.

– Słyszałeś cokolwiek o zadaniu dla naszej jednostki? – spytałem.

– Nie bardzo – odparł. – Wiem tylko tyle, że mamy się rozdzielić. Rozmieszczą nas na całej stacji Gelt, żebyśmy bawili się w żołnierzyków na usługach różnej maści kanciarzy podatkowych, kurierów i kupieckich księżniczek marzących o pocztach sztandarowych.

– Szczerze mówiąc, nie brzmi to zbyt porywająco. Ale dobrze mi zrobi taka przerwa od poważnych misji bojowych. Może już pora na jakąś lżejszą fuchę?

– Może tak – przyznał Carlos. – Nie możemy wiecznie zgrywać gierojów na jakichś zapuszczonych planetach. Sęk w tym, że ta robota nie pasuje do Legionu Varus. Rozumiesz, o czym mówię?

Spoglądając na niego z góry, zmarszczyłem czoło i pokiwałem głową.

– Tu masz rację. Na moje są dwie możliwe przyczyny tej misji. Albo Turov chce, żebyśmy poszli w odstawkę i nie kompromitowali jej, albo...

– Albo co?

– Albo nie o wszystkim nam powiedzieli. Może jest jakiś powód, dla którego zwalniają stamtąd Germanicę i wysyłają naszą zbójczą bandę.

– Ha! Zbójcka banda! Chyba tym właśnie jesteśmy, co?

Dotarliśmy do sali ćwiczeń, wzięliśmy naładowaną broń i oparliśmy się o ścianę. W górze i przed sobą widzieliśmy kosmos. Wyglądał wyraziście, ale nie był prawdziwy. Wiedziałem, że otaczają nas tylko tytanowe ściany, a nie gwiazdy i mgławice.

Gdy statek z napędem nadświatłowym znajdował się w swojej bańce, mknąc przez kosmos z zadziwiającą prędkością, nie dało się dostrzec światła w zwykły sposób. Za oknem wychodzącym na nadprzestrzeń na zewnątrz widać byłoby tylko jaśniejącą białą mgłę. Jednak na ludzkich jednostkach wyświetlano widoki z okien, a nawet duże, panoramiczne obrazy tego, jak powinien wyglądać wszechświat, gdyby istniała fizyczna możliwość, by go zobaczyć. Taki zabieg pozytywnie wpływał na załogę.

– Co dziś dają? – zapytał Carlos.

– Kolejny oddział rekrutów – odparłem, zarzucając na ramię rzygacz, czyli ciężkie działo plazmowe.

– Nie słyszę radości w twoim głosie... Czyżbyś się bał?

Obrzuciłem go pogardliwym spojrzeniem. Takie szkolenia zawsze radowały Carlosa, a mnie niepokoiły.

– Boję się tylko tego, że jakimś cudem dostanę od ciebie strzał w dupę – powiedziałem.

Carlos roześmiał się tubalnie.

– Już to jest bardziej możliwe od zebrania łomotu od kotów!

Światła przygasły, a sala ćwiczeń zaczęła się zmieniać. Wiedziałem, że to znak dla nas. Carlos i ja potruchtaliśmy naprzód i wybraliśmy stanowisko za skałą, która wyrosła z podłogi w ciągu pół minuty. Była wystarczająco solidna, choć tak naprawdę stanowiła jedynie zbitkę inteligentnego metalu z nałożoną pikselową teksturą.

Kiedy poprawiałem hełm i regulowałem słuchawki, w moim uchu zatrzeszczał głos weterana Harrisa:

– Dobra, chatownicy! Za minutę we wschodnim korytarzu zjawia się rekruci. Niech nikt nie śmie strzelać, dopóki wszyscy nie będą na sali, uzbrojeni i gotowi do akcji. Czy to jasne? Tym razem nie odpadają w przedbiegach!

Westchnąłem ciężko. Sala ćwiczeń miała około dwustu metrów kwadratowych, ale sprawiała wrażenie większej dzięki całej tej iluzorycznej scenerii na ścianach. Drzewa, skały, nawet wysokie trawy poruszane nieistniejącym wiatrem – to wszystko otaczało teraz załogę, z którą się czałem. Razem z Harrisem było nas tam zaledwie sześcioro przeciwko trzydziestce rekrutów, ale to i tak nie miała być uczciwa walka.

Koty weszły na salę. Każdy z nich wziął tracha ze stojaka. Polecono im patrolować obszar w dalszym zakątku sali ćwiczeń. Grupą dowodziła adiunkt – chuda kobieta o wielkich oczach i małych, zaciśniętych ustach. Kazała im ruszać naprzód, jednak sama nie weszła do pomieszczenia.

Będąc doświadczonym żołnierzem Legionu Varus, mogłem poradzić tym nieszczęśnikom, by nie spuszczała z oczu swojego oficera, jeśli potrzebują wskazówek. Wszystko, co robiła ta kobieta – albo czego nie robiła – mogło decydować o ich szansach na przetrwanie.

– Nie strzelać, żołnierze! – rozkazał Harris przez komunikator. – Niech maluchy podejść jak najbliżej. Chcemy im napędzić stracha!

Napędzić stracha? A to dobre! Przecież zamierzaliśmy ich roznieść na strzępy. Po raz pierwszy mój nastrój uległ zmianie. Patrzyłem, jak zdezorientowani rekruci postępują naprzód. Rozglądali się przezornie, ale najwyraźniej nie byli w pełni świadomi grożącego im niebezpieczeństwa. Rozwalenie ich bez ostrzeżenia wydawało się nie w porządku.

Wyciągnąłem rękę i podregulowałem celownik mojej broni na wąską wiązkę. Niemal natychmiast poczułem na ramieniu klepnięcie.

– Będiesz chciał mnie wyrolować? – zapytał cicho Carlos, trochę za bardzo zbliżając swój hełm do mojego.

– Na pozycję, żołnierzu! – odparłem. – Szykuje się prawdziwa walka!

– Jasna cholera, McGill!

Carlos odsunął się i odczołgał na brzuchu od mojego stanowiska.

Miałem ochotę się roześmiać. Oto jeden z tych nielicznych, którzy znają mnie na wylot.

Uważnie wypatrywałem celu z działem opartym na sztucznej skale, aż namierzyłem zbliżający się pluton. Miałem rozpocząć od szerokokątnego strzału, który poraziłby wszystkich na przedzie stożkowatym promieniem wrzącej plazmy. Zasadzka i zlikwidowanie połowy grupy przy pierwszej salwie były częścią procedury.

Jednak zamiast tego wycelowałem na tyły, gdzie czaiła się z pistoletem chuda adiunkt, wyglądająca na mocno spiętą.

Oczywiście wiedziała, co jest grane. Wiodła swój pluton prosto w zasadzkę, żeby dać im „lekcję”.

– McGill prowadzi! – powiedział Harris. – Strzelaj, gdy będziesz gotowy, bombardierze!

Nie byłem w stanie oddać czystego strzału. Rekruci gonili wokół beztrasko, zbijając się w gromadki i nawet nie zachowując odległości od siebie nawzajem. Patrzyłem, jak poszturchują jedni drugich i zaśmiewają się do rozpuku. Musiałem przyznać, że tym szczeniakom przydałoby się małe szkolenie.

– McGill, co jest? – zapytał Harris sekundę później. – Wal, człowieku!

To było jak nawlekanie igły węzem strażackim. Przesunąłem lufę w prawo, a potem w lewo. Cholera, ta adiunkt była chuda jak szczapa! Sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, co się kroi.

W końcu dostałem szansę na czysty strzał i od razu ją wykorzystałem. Strumień jaskrawej energii pokonał krótką odległość pomiędzy dzielącymi nas zbieżnymi liniami. Minął kilkoro zaskoczonych rekrutów i precyzyjnie trafił adiunkt w górną część

ciała. Głowa kobiety całkiem wyparowała, a wraz z nią spłonęła większość jej wąskich ramion.

Mój tata zwykł opowiadać o tym, jak kury dalej gonią po podwórku, kiedy ucina się im łby. W tym przypadku było całkiem inaczej. Adiunkt padła na podłogę, martwa jak kamień. Za to pozostali rekruci z jej plutonu z pewnością przywodzili mi na myśl spanikowany drób, gdy pospiesznie szukali kryjówek, wrzeszcząc na siebie.

Otoczający mnie niegodziwi kamraci celowali, ale wstrzymywali ogień, czekając na rozkaz. Na naszą korzyść działały ciężkie pancerze, doświadczenie i zaskoczenie. Jednak rekruci mieli nad nami pięciokrotną przewagę liczebną.

– Co to miało być?! Nie strzelaj jak pieprzony cykor! – zażądał Harris. – Rozwal tych z pierwszego szeregu, zanim się rozbiegną!

Odłożyłem na bok swoje działo plazmowe i odłączyłem grzałkę. Parując, wypadła na zakamuflowany pokład. Leżała tam, skwiercząc i delikatnie dymiąc.

– Bombardier zgłasza usterkę broni – oznajmiłem ze spokojem. – Powtarzam, bombardier McGill zgłasza...

– Niech cię szlag, McGill! – ryknął Harris. – Na żarty ci się zebrało? Cała reszta ma strzelać bez rozkazu! Roznieście ich w pył!

Otworzyli ogień z obu stron, niemal jednocześnie. Rekruci zdołali przemóc oszołomienie i wrócili do walki. Ich dowódca poległ, jednak oni sami, gdy minął pierwszy wstrząs, odpowiedzieli na atak, przepadając do ziemi i czołgając się w naszą stronę.

Metalowe drzewa wokół zostały spopielone przez niezliczone serie strzałów. Kontratakowałem, strzelając drugą spluwą, i zdjąłem dwóch, a potem dostałem kilka razy i musiałem się wycofać. Nikt nie lubi umierać. Ja też tego nie trawię. Serio.

Moja ciężkozbrojna drużyna została zepchnięta do odwrotu. Pojedynczy strzał z tracha nie był dla nas zagrożeniem, ale teraz tysiące pocisków tłukło z grzechotem o zbroje. Po kilku trafieniach w jedno miejsce można się przebić i powalić nawet mocno opancerzonego żołnierza.

Cofaliśmy się, aż za plecami mieliśmy już ścianę na drugim końcu pomieszczenia. Do tego czasu padło trzech ciężkozbrojnych, w tym Carlos. Dyszałem ciężko.

Nie wyglądało to dobrze. Zdjęliśmy co najmniej połowę rekrutów, ale reszta miała w oczach żądzę krwi. Byli wkurwieni, zdążyli się już trochę zorganizować i ostro napierali.

Coś głośno brzęknęło i pomyślałem, że załatwili mnie na dobre. Ale był to tylko Harris, naparzający rękawicą w mój hełm.

– Powinienem sam cię zastrzelić! – grzmiał.

– Musimy dostać się do północnej ściany, weteranie! – zawołałem.

– Są tam skały. Schowamy się za nimi!

Harris miał obłęd w oczach.

– Zrobię to... – powiedział, przystawiając mi gnata do głowy. – Poślę cię do piachu!

– Będzie miał pan większe szanse na przeżycie, jeśli wycofamy się za tamte skały i będziemy się osłaniać, weteranie!

Harris warknął sfrustrowany i pobiegł w stronę kamieni. Osłaniałem go i nadziałem na rozgrzany nóż bojowy rekruta, który podpełzł za blisko. Potem upadłem, podczas gdy Harris ostrzeliwał goniących mnie przeciwników.

W końcu dotarliśmy do skał, zaszyliśmy się za nimi i pozwoliliśmy, by nieprzyjacielski patrol odniósł zwycięstwo.

I tak oto, po raz pierwszy w historii Legionu Varus, to rekruci wygrali scenariusz z zasadzką.

Nie był to pierwszy ochrzan, jaki miałem zebrać, i wiedziałem, że prawdopodobnie nie ostatni.

Zostałem wezwany do gabinetu centuriona Gravesa mniej więcej godzinę po tym, jak zażarta wymiana ognia w sali ćwiczeń zakończyła się klęską mojej drużyny. Dobrze wiedziałem, czego mogę się spodziewać.

W dni takie jak ten Harris zazwyczaj szczerzył do mnie zęby w paskudnym uśmiechu, jednak tym razem był zbyt wkurwiony, żeby czerpać z tego radość. Świdrował mnie spojrzeniem i wiedziałem, że najchętniej wpakowałby mi serię między oczy albo przynajmniej soczyście mnie opluł.

Graves zasalutował nam, gdy przekroczyliśmy próg jego gabinetu, ale nie wydał komendy „spocząć”. Staliśmy wyprężeni, z oczami utkwionymi w jednym punkcie, gdy on mierzył nas obu wzrokiem. Wreszcie westchnął ciężko.

– McGill – zwrócił się do mnie – przykro mi, ale weteran Harris zażądał dla ciebie oficjalnej reprimendy za twoje dzisiejsze zachowanie. Wysłuchałem już jego wersji wydarzeń. Proszę, żebyś teraz przedstawił swoją, krótko i zwięźle.

– Tak jest, sir – odparłem. – Dzisiaj o godzinie ósmej zero zero dołączyłem w sali ćwiczeń do zespołu ciężkozbrojnych żołnierzy pod dowództwem weterana Harrisa. Planowaliśmy przygotować próbną zasadzkę na niczego niepodręczający pluton lekko uzbrojonych rekrutów. Niestety, moja broń nie działała tak, jak tego...

– Gówna prawda, McGill! – przerwał mi gwałtownie Harris. – Nawet nie waż się brnąć w to dalej. Nie jesteśmy jakimiś nieopierzonymi urzędasami, gdybyś nie wiedział. Już nie raz widzieliśmy cię w akcji i...

– Harris, proszę – przerwał mu z kolei Graves.

– Dobra – odparł Harris. – W porządku. Chciałem tylko zwrócić uwagę na oczywistą sprawę, a mianowicie na to, że McGill pieprzy jak potłuczony, sir!

Potem Harris zacisnął usta i zamilkł. Widziałem, że nie było mu z tym łatwo.

– McGill – kontynuował Graves – w tym wypadku muszę się zgodzić z oceną weterana Harrisa. Nie kupuję tych bzdur o problemach z bronią. Działała idealnie i przed ćwiczeniami, i po nich. Za każdym razem, tylko nie wtedy, gdy była w twoich rękach.

– A zatem, sir, chciałbym przywołać ogólną zasadę, którą kierują się ciężkozbrojni bombardierzy podczas walki. Dowódcy wydają rozkazy, ale to my mamy zająć się szczegółami technicznymi, dokładając najlepszych starań i działając według osobistego osądu. Moje działania podyktowane były właśnie takim osądem. I choć rozumiem, że dla niektórych moje decyzje mogą wydawać się... nietrafione, to uważam końcowe wyniki za pozytywne.

– Nie wykonywałeś rozkazów! – nie wytrzymał Harris. – Do jasnej cholery, wiesz dobrze, że...

Graves ponownie uciszył go gestem.

– McGill, połowa ciężkozbrojnych przygotowujących zasadzkę została podczas ćwiczeń zabita przez patrol nieprzyjaciela. A przede wszystkim rekruci przedostali się do ściany na drugim końcu sali, odnosząc zdecydowane zwycięstwo w rozgrywce. Jak można uznać taki wynik za, jak to ująłeś, „pozytywny”?

– Rzeczywiście, sir, moja strona nie zdołała powstrzymać nieprzyjaciela. Jednak to tylko jeden punkt widzenia. Prawdziwym celem misji było przeszkolenie żołnierzy, żeby nabyli doświadczenia bojowego jeszcze przed pierwszą prawdziwą bitwą. Sądzę, że dzięki mojemu podejściu udało się to osiągnąć.

Graves zmarszczył lekko brwi.

– Zechcesz rozwinąć tę myśl?

– Oficer dowodząca nieprzyjacielskim lekkozbrojnym oddziałem podczas tej ćwiczebnej wymiany ognia słabo odegrała swoją rolę. Wiedziała, co ma się stać. Nie rozmieściła odpowiednio swoich ludzi ani nie wydała im żadnych rozkazów, które poprawiłyby ich szanse. Zamiast tego trzymała się z tyłu i w ogóle im nie przewodziła. Gdyby prowadziła zespół do walki, dokładając najlepszych starań, być może również ponieśliśmy porażkę, ale przynajmniej walka byłaby sprawiedliwa i wyrównana.

Harrisowi znowu puściły nerwy.

– Do diabła, przecież w tym wszystkim chodzi o to, żeby rekruci przegrali! Mają zostać zmasakrowani! Dostać solidną szkołę i wykształcić u siebie strach przed ostrą amunicją, zanim wyjdą na pole bitwy gdzieś w kosmosie. Usiłujesz obejść techniki szkoleniowe Legionu Varus? Tak to sobie wymyśliłeś? Jesteś lepiej obeznany niż twoi oficerowie? Ja...

– Chwileczkę, Harris – wtrącił się Graves. – McGill, wytłumacz się.

– Nie uważam, by to ćwiczenie było dobrze zaplanowane – oznajmiłem – Jeśli jego celem jest szkolenie obu stron, to moja modyfikacja pozwoliła osiągnąć ten cel. Jeśli mam być szczery, to sądzę, że obie strony skorzystały na dzisiejszych działaniach. Ocalali rekruci dostali zastrzyk morale. A ich dowódca nauczył się czegoś nowego. Być może następnym razem ta pani podejdzie do ćwiczeń poważnie, zamiast obijać się i pozwalać, by jej żołnierze szli na rzeź. Może spróbuje wygrać i pozostać przy życiu?

Harris mało się nie zapluł z pogardy, jednak nie wypowiedział żadnych słyszalnych słów. Graves patrzył na mnie ze zmarszczonym czołem i myślał nad czymś intensywnie. W końcu się odezwał:

– McGill, weteran Harris był twoim dowódcą podczas ćwiczeń. Miałeś obowiązek wykonywać jego rozkazy. Bez względu na twoje skargi na oficera przeciwników weteran Harris kierował się lepszą strategią. Ponieważ zignorowałeś jego rozkazy, wasza strona poniosła klęskę. Ponieważ jednak nie walczyliście z prawdziwym nieprzyjacielem, za swój błąd nie zostaniesz zdegradowany ani ukarany w żaden inny sposób. Nie wpiszę ci go do akt. Jednak i tak słono za niego zapłacisz.

– Tak jest! – odparłem. – Ekhm... a jak zapłacę?

– McGill, z przykrością informuję, że usuwam cię z rejestru osób do awansu. Do dzisiaj znajdowałeś się na mojej krótkiej liście kandydatów na weterana.

– Że co?! – zapytał Harris, najwyraźniej oszołomiony.

Graves zmroził go spojrzeniem.

– Otóż to – kontynuował. – Jestem zmuszony cofnąć moją rekomendację. Kto pajacuje, ten nie awansuje. Zrozumiano, specjalisto?

Przeszedł mnie dreszcz. Weteran? Ja?! Tak szybki awans należał do rzadkości. W większości przypadków nawet międzygwiazdny

żołnierz musiał dobrze się sprawić po pierwszym werbunku i zostać powołany do czynnej służby po raz drugi, aby liczyć na wyższą rangę. Na wieść, że rozważano mój awans i że zaprzepaściłem szansę, przeżyłem ciężki szok.

Graves nadal patrzył na mnie i zdałem sobie sprawę, że oczekuje na jakąś odpowiedź.

– Tak jest! – powiedziałem. – Racja. Zrozumiałem, sir.

– Dobrze.

Zachowywałem pokerową twarz, lecz w głowie miałem mętlik. Czy powinienem się stawiać? Czy wygłupiłem się, nie trzymając się scenariusza? Czy w ogóle chciałem być weteranem? Na żadne z tych pytań nie byłem w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Centurionie... – zagadnął weteran Harris, pochylając się do przodu – chciałbym później pomówić z panem na osobności. Czy mógłbym na to liczyć?

– Odmawiam – odparł natychmiast Graves. – Z góry wiem, co zamierzasz powiedzieć, Harris.

– Sir, po prostu nie rozumiem, jak mógł pan...

– Weteranie – uciął Graves – zgłosiłeś swoje uwagi. Twój raport został wzięty pod uwagę i uważnie rozpatrzony. Specjalista McGill otrzymał reprimendę i dotkliwą karę. Sądzę, że powinieneś się tym zadowolić i dać sobie spokój.

– Tak jest!

– Możecie się rozejść.

Harris i ja wyszliśmy razem z gabinetu centuriona. Byłem mocno skołowany. Harris chyba też.

Odwrócił się do mnie z wyrazem dzikiej wściekłości na twarzy.

– Postawię sprawę jasno, McGill – powiedział. – Nie obchodzi mnie, co się stanie. Nie obchodzi mnie, na jaki debilny pomysł wpadnie wierchuszka, jeśli chodzi o awanse. Nigdy nie będę ci salutował!

Nie byłem pewien, co o tym myśleć, ale facet zaczynał już działać mi na nerwy. Trudno zachować zimną krew, kiedy ktoś wiecznie się na tobie wyżywa.

– Weteranie Harris – zacząłem – pamięta pan dzień, kiedy się poznaliśmy? Przyszedłem do Izby Werbunkowej i to pan osobiście namówił mnie, żebym wstąpił do Legionu Varus.

– Jak mógłbym zapomnieć? Nie ma godziny, żebym nie żałował tamtego dnia!

– A pamięta pan, jak powiedział, że nie nadaję się do innych legionów, bo jestem odmieńcem? Że jestem jak kwadratowy kołek, który nie pasuje do ich okrągłych dziurek? Powiedział mi pan, że w Legionie Varus ceni się żołnierzy, którzy myślą samodzielnie. Że ta ekipa poszukuje odmieńców. I że tacy jak ja są mile widziani.

– Zwykła reklamowa gadka-szmatka! – zaperzył się Harris.

– Cóż, sądzę, że w pańskiej gadce było ziarno prawdy, bo taki właśnie jestem. W mojej naturze leży chodzenie własnymi ścieżkami i sprawianie kłopotów tym, którzy trzymają się utartych szlaków. Może to dlatego tak szybko awansowałem i kto wie, być może będę awansował dalej.

Harris warknął zbolalym głosem:

– Boże, dopomóż!

Na następnym skrzyżowaniu poszliśmy każdy w swoją stronę. Dotarłem do kwatery, gdzie już czekał na mnie Carlos. Ja to mam szczęście!

– Oto i on! – zawołał, rozkładając szeroko ramiona. – Mój ulubiony zdradliwy gad! O co poszło tym razem, McGill? Wypatrzyłeś wśród kotów jakąś dupeczkę, której nie miałeś serca odstrzelić? Czy może zatęskniłeś za zbieraniem opieprzu od centuriona? Wiem, wiem, nie dostałeś reprimendy już od ponad miesiąca. Na pewno nudziłeś się jak mops w tej twojej lepiance w Georgii!

– Nie do końca – odparłem, uśmiechając się od ucha do ucha. – Zabiłem tam trzech ludzi w dniu, kiedy wylatywaliśmy na misję.

– Słyszałem. Znowu dostałeś pierdolca. Mam nadzieję, że trochę ci go zostało na wypadek, gdybyśmy natknęli się na złodziei sklepowych na Świecie Postępu.

– Tylko tyle się tam dzieje? – zapytałem poważnym tonem. – Okradanie sklepów, przemyt, jakieś przekręty podatkowe? Przed tym mamy chronić innych?

Carlos pokręcił głową.

– Gorzej. Z tego, co udało mi się wyłuskać po przeczytaniu paru raportów dowódców Germaniki w sieci, na Tau Ceti prawie nigdy nic się nie dzieje. Ta misja to zwykła pokazówka. Dlatego te wypierdki z Germaniki zawsze tak ją sobie chwaliły.

– Czytałeś o świecie, do którego lecimy na misję? Jestem w szoku! Wzruszył ramionami.

– Raporty sugerujące, jakobym był opóźniony, zawsze były mocno przesadzone. W przeciwieństwie do tych oznaczonych twoim nazwiskiem.

Ot, cały Carlos. Jednak tym razem z jakiegoś powodu nie nabrałem ochoty, by mu przywalić. Głowę zaprzętały mi rezultaty mojego spotkania z Gravesem.

– Chcesz usłyszeć coś, co zwali cię z nóg? – zapytałem.

– Pewnie, że chcę! Jesteś gejem, prawda? Zawsze to podejrzewałem. Tym razem wygram zakład i zgarnę całą pulę jednostki!

Nie zwracałem zbyt wiele uwagi na Carlosa. A już na pewno go nie słuchałem. Podeszedłem do przeciwnej ściany naszej małej kwatery i stuknąłem w nią palcem. Ściana posłusznie wyświetliła Świat Postępu. Naszym celem była błękitno-szara planeta, która od nocnej strony świeciła jak choinka bożonarodzeniowa. Bezkresne miasto z rdzenną populacją dobijającą biliona humanoidów. Z kosmosu wyglądała na interesującą, ale już czułem w ustach smak sprężonego powietrza.

– Wiesz, że ten obrazek to ściema, prawda? – zapytał Carlos.

Nie odpowiedziałem. Stał obok mnie i również wlepił wzrok w cel naszej podróży.

– Graves powiedział, że byłem na jego krótkiej liście ludzi do awansu na weterana – powiedziałem. – Ale wykreślił mnie przez ćwiczenia.

– Ożeż ty... – syknął Carlos. – Kiepska sprawa. Ale jak się tak zastanowić, to ani trochę mi cię nie żal. Pomyśleć, że miał cię znowu awansować, a ja nadal czekam na stopień specjalisty. Co to, kurde, ma być? Ty codziennie wkurzasz pół legionu, a i tak to ja jestem u niego na jakiejś liście ludzi do gnojenia. Co takiego zrobiłem?

Spojrzałem na niego.

– Choćby to, że wiecznie kłapiesz jadaczką.

– No dobra, rzeczywiście. Za to ty nigdy nie słuchasz rozkazów. To dużo gorsze!

– Nie chodzi o to, że ich nie słucham. Przynajmniej niezupełnie. Po prostu interpretuję je na swój wyjątkowy sposób.

W odpowiedzi Carlos zarechotał oblesnie.

– Oficerowie to uwielbiają! – stwierdził, jednak za chwilę spochmurniał. – Serio uważasz, że to przez kłapanie jadaczką nigdzie nie zaszedłem?

Pokiwałem głową.

– Jestem pewien. Denerwuje ich, jeśli ktoś działa na własną rękę, ale w jakimś stopniu cenią inicjatywę. Za to nie trawia przemądrzałych krzykaczy!

Carlos chrząknął.

– Muszę nad tym popracować.

Na chwilę przestałem obserwować jaśniejącą projekcję świata, ku któremu zmierzaliśmy, i spojrzałem na kumpla z niekłamanym zdumieniem. Nie przypominałem sobie, by Carlos kiedykolwiek przyjmował na klatę krytykę ani tym bardziej przyznawał, że musi się poprawić.

Cóż, jak widać dla każdego jest jakaś nadzieja.

Wielki dzień nadszedł dopiero po miesiącu. „Minotaur” wyszedł z nadprzestrzeni, zatrzymał się na chwilę, żeby rozeznaczyć otoczenie, a potem poszybował niczym skradający się drapieżnik w stronę Świata Postępu. Przeprowa przez układ gwiazdny w zwykłej przestrzeni kosmicznej zajmowała cały dzień.

W ciągu ostatniej godziny podejścia wszyscy żołnierze stawili się na pokładzie w pełnym rynsztunku. Z ogromnym zasilaczem na plecach wyglądałem jak spasiony wielbłąd. Na moim ramieniu spoczywał rzygacz, sędziwy element uzbrojenia legionu. Była to potężna broń żołnierzy piechoty, najcięższa, jaką był w stanie unieść jeden Ziemianin. Nie mogłem jednak nie zastanawiać się, czy gdzieś w Imperium nie znalazłoby się jakieś lepsze działo.

Kto wie, może zdołalibyśmy coś wyhaczyć i zamówić w miejscu takim jak Świat Postępu? Gdyby udało nam się znaleźć lepszą broń, to czy nie powinniśmy jej kupić i korzystać z niej zamiast z dość leciwych systemów uzbrojenia? Kredytów nam nie brakowało – byłem tego pewien. Rzygacze przez większość czasu były niezawodne, ale słynęły z tendencji do przegrzewania. Do tego ich obsługa wymagała krzepy w dłoniach i ramionach, co pozwalało mi sądzić, że pierwotnie zaprojektowano je z myślą o dużo większych istotach. Być może mój rzygacz służył jako zwykła strzelba myśliwska gdzieś w odległym świecie, z którego się wywodził.

Obmyślałem plan ulepszenia swojego arsenału, gdy stałem na samym końcu po lewej stronie trzeciego szeregu mojej jednostki. Utworzyliśmy łącznie dziesięć szeregów, po dziesięć wojaków w każdym. Idealny kwadratowy szyk jak na paradzie.

Kwadrat mojej jednostki był jednym z niemal setki identycznych szyków. Istniało tylko jedno pomieszczenie na tyle duże, by pomieścić nas wszystkich jednocześnie, i nie było to miejsce, za którym przepadałem. Byliśmy w otwartej ładowni, znajdującej się nad modułami naszych jednostek. Między modułami były przerwy – niepokojące szczeliny szerokie na pięć metrów. Nad nami znajdował

się „dach” okrętu, poszycie głównej ładowni. Szary i obwieszony sprzętem dach stanowił tak naprawdę wewnętrzną stronę kadłuba głównego. Za nim była już tylko otwarta przestrzeń. Zbiórka całego legionu na szczycie tych wszystkich modułów wydawała mi się niebezpieczna. Gdyby w kadłubie zrobiła się dziura, wywiałyby nas w próżnię jak stertę kurzu.

Ciekawi was widowiskowość rotacji legionów? Nie? To posłuchajcie. Zgodnie z tradycją, legion przychodzący i legion odchodzący mają stać w pełnym oporządzeniu w jednym miejscu, o ile to możliwe. Wiedziałem, że nasz trybun Drusus nie pozwoli, by Germanica wyglądała bardziej odświeżenie niż my.

W ładowni nie działała sztuczna grawitacja, więc musieliśmy korzystać z elementów magnetycznych, by nie odlecieć. Zabezpieczyliśmy się przed wstrząsami wywołanymi przez spadek prędkości i korektę kursu i spokojnie zbliżaliśmy się do ogromnej stacji kosmicznej.

Wierchuszka chciała, żebyśmy przez długi proces dokowania prezentowali się jak najlepiej. Zewsząd było słychać brzęczenie dronów z kamerami. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Drusus kazał nam nawet trzymać chorągwie naszych jednostek. Na wymiętych sztandarach widniał nasz herb z głową wilka i numery poszczególnych jednostek, ale, co dziwne, same chorągwie zwisały smętnie w stanie nieważkości, jak podczas najbardziej bezwietrznego dnia w historii.

To wszystko brzmi ekscytująco, ale w rzeczywistości wcale tak nie było. W praktyce oznaczało to stanie na baczność na płaskim dachu modułu przez godzinę albo dwie i oczekiwanie, aż cokolwiek się wydarzy. Miałem dużo czasu na refleksje. Cieszyłem się, że dotarłem do Świata Postępu. Miała to być moja trzecia wizyta na nowej planecie.

Tak mało wiedzieliśmy o Imperium Galaktycznym jako całości. Byłem pod wrażeniem zastrzyku funduszy, ale jak dotąd nie słyszałem zbyt wielu nowych wieści z obszarów Imperium poza Rubieżą 921. Nataszę ekscytowała myśl o nowych gadżetach, które znajdą się w zasięgu naszych rąk, ja jednak chciałem czegoś więcej. Pragnąłem informacji, najlepiej w stanie jak najbardziej surowym.

Z zadumy wyrwał mnie nagły wstrząs. Całkiem nieoczekiwanie po ładowni rozszedł się ogłuszający brzęk. Hałas miał taką moc, że mógłby pozbawić słuchu żołnierzy, gdyby nie osłaniały nas hełmy i zbroje. Mimo to widziałem ludzi trzymających dłonie w rękawicach po bokach głowy.

Jakimś cudem domyśliłem się, co będzie dalej. Ugiąłem kolana i rozstawiłem nogi o pół kroku szerzej. Jednak i tak fala wibracji przechodząca przez statek niemal powaliła mnie na łopatki. Miałem wrażenie, że w stopach byczy mi rój pszczoł, a do tego rozboleła mnie głowa.

– Zderzyliśmy się z czymś! – wrzasnął Carlos. Podszedłem do niego, wyciągnąłem rękę i pomogłem mu stanąć na nogi.

Harris maszerował wzdłuż szeregu, ustawiając żołnierzy do pionu kopniakami i szturchnięciami.

– Wstawać! Wstawać! – wołał. – To nic takiego! Po prostu już dotarliśmy! Dźwigać zady! Wyglądacie jak stado kotów kwilących za mamusią!

W kilka sekund ponownie uformowaliśmy szyk, ale teraz byliśmy ostrożniejsi. Wszystkie hełmy obracały się, gdy żołnierze wypatrywali pęknięć w kadłubie nad nimi.

Mój sprzęt audio zatrzeszczał i we wnętrzu hełmu usłyszałem głos Gravesa.

– To był tylko podły żart – stwierdził. – Legion Germanica obsługuje ten wysięgnik. Niemal jestem w stanie usłyszeć, jak ci ludzie się z nas śmieją.

Zmarszczyłem brwi. Czy to mogła być prawda? Legiony zawsze zaciekle ze sobą rywalizowały, a żaden z nich nie cieszył się gorszą sławą niż Varus. Z kolei żołnierze Germaniki mieli o sobie dosyć wysokie mniemanie. Jeżeli wywinęli taki niebezpieczny numer, żeby powywracać nas na tyłki przed kamerami, nie wróżyło to gładkiej zmiany warty.

Jakieś pięć minut później zapaliły się światła. Wszyscy wytrzeszczaliśmy oczy. Oto i oni. Ukazali się na suficie jak w zwierciadle na niebie, w sile dziesięciu tysięcy. Legion Germanica objawił się nad nami w pełnej krasie. Wyglądali naprawdę nieźle.

Musiałem przyznać, choć niechętnie, że byli to wojacy z prawdziwego zdarzenia. Ich białobłękitne chorągwie powiewały

majestatycznie, podczas gdy nasze, czerwono-złote, zwisały jak mokre ręczniki. Wszystkie pancerze lśniły, jakby dopiero co poddano je polerowaniu i chromowaniu. Każdy żołnierz znał swoje miejsce. Żadna ręka i żaden hełm nie odstawały od szeregu. W porównaniu z nimi wyglądaliśmy jak zgraja steranych życiem wieśniaków.

– Coś musi im podwiewać te chorągwie. Może jakieś wiatraki... – zastanawiał się Carlos. – Nadęte gnojki.

– Normalnie chłopcy malowani, prawda? – zapytał głośno weteran Harris. Trzymał drzewce naszej chorągwi. Przypadł mu ten zaszczyt jako najwyższemu rangą podoficerowi. – Ich pancerze nie mają rys, bo nigdy nie walczą! Jak przyjdzie do prawdziwej bitki, to rozbiegają się jak karaluchy!

Członkowie naszej jednostki ryknęli z aprobatą, a ja do nich dołączyłem. Jednak znałem prawdę. Germanica może nie była tak sfatygowana jak my i dałbym głowę, że nasi wojacy mieli średnio dwukrotnie większe doświadczenie w boju niż ich ludzie, ale tak czy inaczej byli to żołnierze co się zowie. Zdyscyplinowani, zorganizowani i zabójczo skuteczni, jeżeli trzeba było walczyć.

W całej ładowni żołnierze Varusa wymachiwali pięściami i unosili broń nad głowami. Legioniści Germaniki natomiast stali nieruchomo w idealnym szeregu. Nie reagowali na nasze zaczepki, które z całą pewnością widzieli. Ignorowali nas, a ja zdałem sobie sprawę, że wyglądamy jak stado małąp i dajemy żenujące przedstawienie.

Harmider trwał przez pełną minutę, zanim oficerowie zaczęli wrzeszczeć, że mamy się uciszyć. Zgodnie z ich życzeniem ogarnęliśmy się, stając ponownie w cichych, równych rzędach.

Nad nami projekcja lśniących szeregów żołnierzy przypominających mrówki została przesłonięta przez inny obraz. Pojawiła się wielka twarz, łypiąca na nas okiem.

Należała do trybuna Germaniki Maurice'a Armela. W pierwszej kolejności rzuciło mi się w oczy to, że wyglądał, jakby coś mu śmierdziało. I to ostro. Marszczył arystokratyczny nos i zaciskał usta. Nad górną wargą miał cienki wąsik, przypominający powyginaną gąsienicę. Mrużył oczy z niesmakiem.

Carlos gwizdnął.

– Tak, to Armel – powiedział. – Czytałem o nim w sieci. Ma się za wielką szychę!

– Bo jest mięczakiem – odparłem bez przekonania.

Mimo tego, co powiedziałem, te oczy nie wyglądały na należące do mięczaka. Jego wzrok miał w sobie tyle męstwa, na ile tylko stać faceta. A ponieważ jego gęba rozciągała się nad nami jak oblicze samego Boga, trudno było nie czuć się przytłoczonym.

– Żołnierze Legionu Varus – przemówił trybun Armel uroczystym tonem – Legion Germanica wita was na stacji, na której od dawna służymy. Życzę wam, byście wykonywali tu swoją misję tak samo nienagannie jak my.

Pod osłoną hełmu moje wargi wykręciły się jak precel. Koles z pewnością miał o sobie wysokie mniemanie. Trzymanie warty na spokojnym posterunku nie było oznaką heroizmu, przynajmniej według mnie.

– Co powiesz na taką grę? – zagaił Carlos – Będziemy liczyć, ile razy Armel skomplementuje sam siebie.

Uśmiechnąłem się.

– Wolałbym policzyć, ile znajdzie przebiegłych sposobów, żeby zmieszać nasz legion z błotem.

– A może wolelibyście stulić mordy? – zapytał nagle Harris. – Gdybym nie musiał teraz trzymać szyku, to podszedłbym do was i wykopał z modułu na zbity pysk! Pasuje wam taka gierka?

– Nie, weteranie – wymamrotaliśmy. Inni stojący w szeregu podśmiewali się z nas.

Według moich obliczeń przemówienie ciągnęło się przez dwanaście pełnych minut. Później Carlos utrzymywał, że trwało piętnaście. W każdym razie Armel zdołał kilka razy posłodzić sobie i swojemu legionowi, jednocześnie subtelnie sugerując, jakobyśmy byli skretyniałymi miernotami, ledwie zdolnymi ustać na dwóch nogach.

Wreszcie przyszła kolej na trybuna Drususa. W porównaniu z Armelem miał niepokojąco młodzieńczą i niezbyt imponującą twarz, jednak wiedziałem, że nie odzwierciedla ona jego zdolności. Kilkakrotnie poległ w służbie i obnosił swoją pozorną młodość niczym odznakę.

Na szczęście mówił krótko i na temat. Przyjął misję od Germaniki i oficjalnie poprosił na pozwolenie na opuszczenie okrętu. Armel pozwolił i było po imprezie.

Wielki ekran nad nami zaczął znikać. Na koniec zobaczyliśmy jeszcze żołnierzy Germaniki, którzy pokrzykiwali radośnie i gratulowali sobie nawzajem.

Nam również pozwolono „złamać szyki” i Natasha przedostała się blisko mnie.

– Chyba się cieszą, że wracają do domu – zauważyłem.

– Jeszcze stąd nie wylecieli – odparła Natasha.

Poszliśmy w rozsypkę, gdy kamery odleciały z bzykiem, i ustawiliśmy się w kolejkach do wyjść w dachu. Zająłem miejsce obok dziewczyny. W pobrzękującej zbroi czułem się niezdarnie u boku stosunkowo drobnej specjalistki technicznej.

– Ile zajmie zmiana warty? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Parę tygodni. Legion Germanica musi się upewnić, że damy radę wykonać misję, a potem oficjalnie przekaże obowiązki w nasze ręce.

Parsknąłem.

– W porównaniu z twardym lądowaniem we wrogim świecie tutaj to śmiech na sali!

– Oni tak nie uważają.

Prawie dziesięć długich godzin później zostałem w końcu wypuszczony na teren potężnej stacji kosmicznej o nazwie Gelt. W przestrzeni nad Tau Ceti wisiało kilka takich struktur. Były niewyobrażalnie wielkie i trwale powiązane z planetą korytarzami, zwanymi potocznie pępowinami. Stacje nazywano megadomami, bo każda z nich była w stanie pomieścić miliony humanoidów.

Przejsie na Gelt było wstrząsającym doświadczeniem. Sama konstrukcja prezentowała się naprawdę okazale. Zbudowana w kształcie bączka, uzyskiwała sztuczną grawitację dzięki sile odśrodkowej. W dolnej części, wiszącej blisko atmosfery, znajdowała się cała maszyneria napędzająca media. Energia, woda, powietrze – wszystko to pochodziło ze stożkowego segmentu na dole.

Planeta posiadała trzy małe księżyce, których ustawienie pozwalało na wyznaczenie punktów libracyjnych blisko globu.

W tych punktach znajdowały się względnie stabilne orbity dla wielkich obiektów.

Sama planeta robiła niemal tak piorunujące wrażenie jak stacja Gelt. Rozciągający się niemożliwie szerokim łukiem świat był większy od Ziemi, jednak ze względu na różnicę składu skał panowała tam przyzwoita grawitacja. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę miał szansę postawić stopę na szaro-zielonym globie, zasnutym chmurami.

Poszybowaaliśmy na pokładzie naszej barki do przestronnego hangaru i wkrótce wysiedliśmy. Wszyscy rozglądaliśmy się na wszystkie strony i rozdziawialiśmy usta. Wnętrze stacji było niesamowite. Wszędzie widzieliśmy kolorowe światła i hologramy. Ta przestrzeń była tak ogromna, że mieliśmy wrażenie, jakbyśmy trafili do samodzielnego, wielkiego świata. W pewnym sensie tak było. Sama liczba galerii, ładowni, warsztatów i wielkich cylindrycznych korytarzy, które mijaliśmy podczas marszu, wystarczyła, by wprowadzić w osłupienie.

Wnętrze stacji Gelt było jednym olbrzymim miastem. Prawdopodobnie największym, jakie w życiu odwiedziłem. Kryły się w nim niezliczone cuda. Już system transportowy wystarczył, żebym poczuł się jak ostatni prymityw.

Gdy tylko stanąłem na szerokim latającym dysku, mogłem podać pilotowi cel podróży, przyłożyć stuk do bonu kredytowego i do konsoli, a potem pomknąć gdziekolwiek chciałem.

Pilot był rozgadany osobnikiem i wyglądał jak błękitny żółw. Żywo gestykulował i paplał, dopóki nie wcisnąłem mu zapłaty za możliwość wypróbowania jednego z dysków. Polecono nam dotrzeć samodzielnie do naszych nowych kwater, które aktualnie znajdowały się po słonecznej stronie stacji. Ze względu na stabilną orbitę jedna strona megadomu była zwrócona ku planecie, a druga – ku miejscowej gwiazdzie, jednak obroty stacji zapewniały wszystkim cykl dzieńno-nocny. Jako gatunek ciepłolubny, mogliśmy zamieszkać na górnym krańcu, w obszarze, który na ogół pozostawał cieplejszy.

Natasha dobiegła do mnie, zanim zdążyłem przyłożyć bon kredytowy do konsoli.

– Chwileczkę! – poprosiła. – Ile pan bierze za taką przejażdżkę?

Żółwiowaty osobnik wyrzucił w górę dwa krótkie ramiona.

– Grosze, obywatelko, naprawdę grosze! – odparł. – Dokładną kwotę podam dopiero, jak dojedziemy. Widzicie, warunki na drodze mogą wydłużyć kurs.

Zmarszczyłem brwi.

– To znaczy, że płacę za czas przejazdu? – zapytałem.

– Oczywiście, szanowny panie! Chyba nie chcesz pan, żebym własnym dzieciom od ust odejmował?

Na odprawie dowiedzieliśmy się, że mieszkańcy Świata Postępu często mówią w ten sposób. Wszelkie sugestie, by spuścili z ceny, były traktowane jak obelga i przejaw zwykłego skąpstwa. Mimo to oczekiwano od nas, że będziemy się targować.

– Może zrzucimy się na ten przejazd? – zaproponowałem Natashy.

Potrząsnęła głową.

– Ile za minutę? – zapytała.

– Tylko byście wypytywali! Tylko byście wątpili, podejrzewali o nie wiem co! Już gadając z wami, straciłem czas wart jeden pełny kredyt! Mam chodzić głodny, bo wam akurat się zachciało tu sterczeć i trąkotać?

– No tak, spodziewałam się tego – stwierdziła dziewczyna. – Chodźmy, James.

– Czekać! Kredyt! Jeden kredycik za minutę! Taniej nigdzie nie znajdziecie!

– Cały kredyt za minutę? – zapytałem, nie dowierzając. – Ale z pana kutwa!

Odwróciliśmy się, zamierzając odejść. Na Ziemi kredyt – galaktyczny kredyt – był równowartością stawki godzinowej za pracę wykwalifikowanego człowieka. Za dziesięć kredytów tygodniowo można było wynająć mieszkanie – i to całkiem dobre.

– Czekać! – zawołał ponownie żółw. – To może promocja? Pięć kredytów za cały przejazd. Na piechotę nie dacie rady! To co najmniej trzydzieści kilometrów!

– W porządku – zgodziła się Natasha – ale robimy zrzutę.

Żółw trochę pomarudził, ale w końcu wspieiliśmy się na jego dysk i wystartowaliśmy, rozpoczynając najbardziej zwariowaną przejażdżkę w moim życiu. Nie jestem w stanie ubrać tego w słowa, bo nie istnieją żadne ziemskie odpowiedniki. Wyobraźcie sobie jazdę

kolejką górską bez torów puszczonej samopas we współczesnym wielkim mieście – tyle tylko, że ta kolejka leci, a za sterami siedzi szajbnięty niebieski żółw, ruchliwy jak mangusta.

Gdy dotarliśmy do naszych kwater dziesięć długich minut później, przewracało nam się w żołądkach. Żółw wysadził nas, a potem pomachał w moją stronę krótką kończyną.

– Ale że co? – zapytałem.

– W waszej kulturze zwyczajowo daje się napiwki – wyjaśnił.

Parsknąłem.

– Oskubał mnie pan z dniówki za dziesięć minut lotu. Zamiast napiwku dobra rada na przyszłość: przestań pan kantować!

Żółw odleciał w podłym nastroju, a nas owiała fala spalin o posmaku ozonu.

Większości populacji Tau Ceti nie stanowiły żółwie – niebieskie ani żadne inne. Obywatele w przeważającej części byli przedstawicielami humanoidalnej rasy znanej jako Tau. Wzrostem i proporcjami ciała przypominali Ziemian z Azji, jednak na tym podobieństwa się kończyły. Widząc Tau z bliska, od razu można było poznać, że to kosmici. Mieli czerwonaworóżową skórę, czarne owadzie oczy, a ich usta otaczały wijące się kępy macek służących do przyjmowania pokarmów. Wyglądały jak mięsista broda i mnie osobiście napawały obrzydzeniem.

Jeśli nie patrzyło się Tau prosto w twarz, wyglądali wystarczająco ludzko. Jednak moim zdaniem, jeśli przyjrzało się im dokładnie (czego sam unikałem jak ognia), różnice stawały się ewidentne. Po pierwsze, w porównaniu z nami mieli dużo bardziej widoczne, grube żyły. Biosi mówili, że to dlatego, że Tau magazynują tłuszcz wewnątrz ciała, a nie w formie podskórnej tkanki. Gdy poruszali mięśniami lub gdy ich narządy pracowały, można było dostrzec, co się dzieje pod ich cienką skórą.

To właśnie Tau zbudowali tę oszałamiającą stację kosmiczną. Megadom szybujący po orbicie nad jedyną możliwą do zamieszkania planetą w układzie Tau Ceti – sam w sobie stanowił osiągnięcie godne najwyższego uznania. Dzięki Tau handel w tym miejscu osiągnął niesamowicie wysoki poziom i kręcił się w najlepsze. O ile było mi wiadomo, wszystkie kosmiczne produkty kupowane przez Ziemię każdego roku, dodając nasze kontakty bankowe z Układami Centralnymi, przepływały właśnie przez tę konstrukcję. W efekcie stacja Gelt była handlową stolicą Rubieży 921, obsługującą naszą lokalną sieć kilkudziesięciu zamieszkanym układów gwiazdnych. Już samo to sprawiło, że uznałem Tau za zadziwiający gatunek.

Niestety, tracili przy bliższym poznaniu, jeżeli chodzi o osobowość. Wszyscy byli podejrzliwi i pochłonięci dobrem własnym. Łasili się do każdego, kto miał pieniądze, i mieszały z błotem tych, którzy ich

nie posiadali. W ich społeczności wszystko miało swoją cenę, a bogactwo stanowiło jedyny wyznacznik statusu.

Okolica wokół naszych koszar tylko to potwierdzała. Były tam niezliczone gromady handlarzy obsługujących stoiska oraz mnóstwo w pełni zautomatyzowanych kiosków. Sprzedawcy uwijali się w pocie czoła, wciskając najróżniejszego rodzaju śmieci, byle tylko wydębic od żołnierzy wszystkie kredyty, które ci mieli przy sobie. Produkty na pierwszy rzut oka wyglądały jak towar dobrej jakości, jednak już po pobieżnych oględzinach „buty z prawdziwej sauriańskiej skóry” okazywały się syntetyczną i kiepsko pozszywaną tandetą. Seks-zabawki chowane do pudełek z ilustracjami ludzkich szczegółów anatomicznych na etykietach tak naprawdę były urządzeniami kompletnie niedopasowanymi do naszej fizjologii. Przykłady można by mnożyć.

Co gorsza, maszyny sprzedające strasznie hałasowały. Na Świecie Postępu zasób pomysłów na to, by reklama była jak najbardziej jaskrawa, irytująca i głośna, wydawał się nie mieć granic. Żeby dotrzeć do hallu, musiałem się przecisnąć obok próbującej mnie schwycić mechanicznej ręki wygrywającej ogłuszające, fałszywe dźwięki, które najwyraźniej w którejś części wszechświata uchodziły za muzykę.

Wewnątrz koszar panowała względna cisza. Odetchnąłem ciężko i zwróciłem się do Natashy.

– Istne piekło! – stwierdziłem. – Jestem rozczarowany.

– Dlaczego?

– Bo utknęliśmy w tym wariatkowie na cały rok.

Popatrzyła na mnie niedowierzająco.

– Jak dla mnie, tu jest fantastycznie! – powiedziała z uczuciem. – Już nie mogę się doczekać, aż przeczeszę każdy zakątek stacji i znajdę supertowary, które zabiorę do domu. Nie martw się o tych sprzedawców pod drzwiami. Za kilka godzin już ich tu nie będzie. Ktokolwiek jest ich właścicielem, pewnie wykupił krótkoterminowe pozwolenie na wyłapywanie nowo przybyłych. W każdym większym mieście na Ziemi to normalka. Po prostu trzeba się mieć na baczności. Pamiętaj tylko, żeby trzymać rękę na portfelu. I nie pić za dużo.

Pokręciłem głową, zdenerwowany. Ogólnie nie trawiłem miast, a to było najgorsze ze wszystkich, jakie widziałem. Wypełnione po brzegi kosmitami, zgiełkiem, rozpedzonymi pojazdami i chaosem. A ja miałem w nim spędzić cały rok. Zatęskniłem za domem.

– Chyba nie powiesz, że wolałbyś żłopać piwsko w tej twojej szopie? – zapytała Natasha.

Wzruszyłem ramionami i obróciłem się w stronę majaczącego wnętrza koszar. Zmarszczyłem czoło, wytrzeszczyłem oczy i przechyliłem głowę na bok.

– To jakiś żart? – spytałem. – Czy te moduły nie wyglądają znajomo?

Tak naprawdę były to te same modułowe kwatery, które pozostawiliśmy na „Minotaurze”.

– No pewnie! – potwierdziła Natasha. – Dlatego tu w nich przylecieliśmy. Dom dla naszego gatunku w wersji instant! Moduły mają ustawioną komfortową temperaturę, ciśnienie powietrza i takie tam. Chyba nie liczyłeś, że będziesz mieszkać jak jeden z tutejszych, gdzieś na ulicy?

Odwróciłem się do niej zdumiony.

– Ale... dlaczego po prostu nie podrzucili nas tutaj w tych pakunkach? – zapytałem. – Byłoby o wiele łatwiej! Wszyscy żołnierze musieli przedostać się przez stację Gelt na własny koszt. Błąkali się, marnowali czas...

Natasha zaśmiała się i pokręciła głową.

– Widzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć o tym miejscu. Tau nigdy nie pozwoliliby na to, by dziesięć tysięcy frajerów prześlizgnęło się ot, tak sobie. Na pewno nie zezwolili „Minotaurowi” na lądowanie z ładunkiem i pasażerami w jednym miejscu. Pewnie polecili im nas wysadzić w punkcie odprawy celnej, a potem wysłali okręt tutaj, na drugi koniec stacji, żeby wylądować nasze moduły.

– Odprawa celna? – zapytałem. – Nie pamiętam, żeby ktoś mnie przeszukiwał i sprawdzał dokumenty.

– Tutaj tak nie robią. Jeśli masz wystarczająco dużo kasy, żeby dotrzeć na stację, jesteś tu mile widziany. Taka jest zasada Tau. Pewnie mają na bramkach kilka automatycznych wykrywaczy broni i tym podobnych sprzętów, ale to by było na tyle.

Pokiwałem wolno głową. Wspinaliśmy się po długim ciągu schodów do modułu naszej jednostki.

– Zaczynam już kumać. Gdyby dowieźli nas tutaj jak należy, straciliby szansę oskubania świeżaków już na wejściu. Kto wie ile zółwi dorobiło się w ten sposób na bezsensownych kursach. Wielka szkoda.

– Gdzie jeden traci, drugi zyskuje – odparła.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– To takie miejscowe powiedzenie – wyjaśniła. – Czytałam o tubylcach, odkąd Turov ogłosiła cel naszej misji.

– Właśnie widzę.

Gdy dobrnęliśmy do modułu jednostki, system dostępu rozpoznał mnie, a mój stuk pokierował mnie na odprawę w mesie oficerskiej. Natasha otrzymała te same rozkazy, ale Carlos i Kivi ich nie dostali. Spotkaliśmy się z nimi na korytarzu. Carlos żalił się, że nikt go nie ostrzegł, że jego nowo zakupiona „ludzka partnerka seksualna jak żywa” to tak naprawdę balon obklejony piórami.

Udaliśmy się na zebranie. Obserwując ludzi wokół nas, stwierdziłem, że wezwano na nie tylko oficerów i podoficerów. Zwykłych trepów nikt nie zaprosił. Aż im zazdrościłem.

Gdy wszyscy byliśmy już na sali, na wpół świadomie spodziewałem się, że na ścianie znów pojawi się Turov. Zamiast tego wszedł centurion Graves, a za nim włókł się ktoś, kogo nie znałem.

Gość był oficerem, dość leciwym. Właściwie to zadziwiająco leciwym. Miał naturalnie pomarszczoną skórę i siwe włosy. Nawet jego schludnie przystrzyżona broda była szpakowata. Mój dziadek też taką miał. Byłem raczej pewien, że nikt w Legionie Varus nie był tak stary, a przynajmniej nie wyglądał na takiego. Ten tutaj miał ciało człowieka po pięćdziesiątce i byliśmy w szoku, widząc mundurowego w takim wieku. Na jego ramieniu dostrzegłem herb Taurusa, czyli głowę byka, co oznaczało, że jest członkiem Legionu Germanica.

Stanęliśmy na baczność i zaszalutowaliśmy. Centurion Graves polecił nam spocząć i przedstawił gościa.

– Oto adiunkt Claver – oznajmił. – Został przydzielony naszej jednostce na czas przekazania misji przez Legion Germanica Legionowi Varus. Panie adiunkcie, prosimy.

Claver wystąpił naprzód i omiół nas spojrzeniem lodowato błękitnych oczu. Siwe włosy miał kanciasto przycięte, a jego ciężkie wargi układały się w zacięty uśmiezek.

– Witajcie na Świecie Postępu, żołnierze! – odezwał się dźwięcznym barytonem, zaciągając z lekka po teksańsku. Był to ten rodzaj głosu, który naturalnie tłumił wszelkie inne rozmowy na sali. – Większość przyjaciół mówi mi Srebrnobrody, ale z wami akurat się nie przyjaźnię, więc nie musicie tego zapamiętywać. Mam objaśnić wasze obowiązki i pomóc maksymalnie ułatwić tę zmianę warty wszystkim zainteresowanym. Przez te wszystkie lata byłem na Tau Ceti co najmniej dziewięć razy, więc wiem, w co się tu gra. Możecie mnie uznać za przewodnika.

Claver wygłosił krótką pogadankę o regionach stacji, których powinien unikać samotny żołnierz po służbie. Najistotniejszym z nich był region zwany Wylotami, który najwyraźniej stanowił obszar o niskiej zawartości tlenu, głęboko we wnętrzościach dolnej części. Adiunkt ostrzegł nas również, że tutaj każda okazja, która wydaje się zbyt dobra, żeby była prawdziwa, z całą pewnością taka jest.

Gdy wreszcie przeszedł do szczegółów naszej misji, byłem mile zaskoczony.

– Lekkie jednostki są przydzielane do służby policyjnej – wyjaśnił. – Natomiast ciężkozbrojni będą najmowani indywidualnie jako ochroniarze i do innych zadań specjalnych. Mieszkańcy stacji Gelt to ciekawe osobniki. Potrafią dusić każdy grosz tak mocno, że mało sobie palców nie połamią, a za chwilę przepuszczają tysiąc kredytów na jakieś wymyślne cuda, żeby szpanować bogactwem. W tym układzie ciężkozbrojni żołnierze to dla nas złoty interes. Z tymi pancerzami i giwerami będziecie rzucać się w oczy na ulicach. Wyglądacie groźnie, a to się opłaca!

Claver roześmiał się głośno i nie przejął się tym, że nikt z nas nie śmieje się razem z nim.

– Z ręką na sercu – ciągnął – dobrze wam radzę, w przypadku takiej ciężkiej jednostki warto zainwestować w pastę polerską. Oczyszćcie pancerze i zastanówcie się, czy nie potrzebują chromowania. Na fioletowym pokładzie jest paru świetnych kowali. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych!

Po raz pierwszy spochmurniałem. Nie tego się spodziewałem. Czekałem na listę aktywnych zagrożeń, może na jakiś plan bitewny. Wychodziło jednak na to, że nie mieliśmy tu walczyć. Mieliśmy niańczyć kupieckie książątka i polerować pancerze.

Potem nadszedł czas na pytania. Od razu podniosłem wysoko opancerzoną dłoń.

Ktoś za mną sięgnął w moją stronę i chwycił mnie za ramię, żebym opuścił rękę. Automatycznie zaparłem się i dzięki mojej nieprzeciętnej posturze oraz gwiżdżącym silnikom wspomagania mocy w pancerzu napastnik nie zdołał mnie zmusić do uległości.

– McGill, do cholery, opuść łapę! – syknął mi Harris do ucha.

– Oj, przepraszam, weteranie – powiedziałem, spoglądając na niego z wyrazem życzliwego zaskoczenia na twarzy. – Nie zauważyłem pana.

Harris patrzył na mnie spode łba i w końcu opuściłem rękę. Ale było już za późno.

– Słucham! – zawołał Claver – Tak, ty tam, dryblasie. Mów.

Obróciłem się do adiunkta, czując na karku oddech Harrisa.

– Sir, czy mógłby pan pokrótce omówić lokalne zagrożenia? – zapytałem.

– Lokalne zagrożenia? – powtórzył.

– Tak jest. Założmy, że mamy być ochroniarzami tutejszej kupieckiej księżniczki. Przed kim będziemy ją chronić?

Claver zaśmiał się.

– Nie wiem, może przed jakimś zbokiem na stacji metra – powiedział. – Albo przed zakupem zepsutych owoców. Szczerze mówiąc, na tej stacji nie ma żadnych większych zagrożeń. Tau, którym pozwolono tu mieszkać i pracować, są najlepszymi przedstawicielami swojego gatunku. Nie ma tu dzieci ani młodzieży. Wyłącznie dorośli mieszkańcy planety, którym się powiedzie, mogą dotrzeć na tę stację, jeżeli przejdą rygorystyczną procedurę kwalifikacyjną. Znajdzie się paru złodziei i rabusiów, jednak nie są zorganizowani.

Skinąłem głową ze zmarszczonym czołem. Claver odwrócił się do centuriona Gravesa i domyśliłem się, że będą kończyć.

Ponownie podniosłem rękę. Usłyszałem, jak Harris krztusi się ze złości.

– Sir – zacząłem – a na powierzchni planety? Czy tam są jakieś problemy?

– Ha! – odparł Claver. – Owszem, i to sporo! Rywalizujące gangi potrafią puszczać z dymem całe dystrykty! Rebelianci kontrolują połacie ziemi, a nawet niektóre podwodne bazy. Nie wiem, czemu nikt po prostu nie spłucze ich do oceanu.

Znowu spochmurniałem. Jak dla mnie nie wyglądało to na bezproblemowe otoczenie. Uznałem jednak, że skoro najmowano nas tylko do ochrony stacji, to nie mamy się czym przejmować.

Tak to przynajmniej wyglądało zawsze, kiedy Legion Germanica przybywał tu na kolejną nudną, całoroczną misję.

Tego popołudnia szliśmy do naszej nowej placówki służbowej. Carlos dotrzymywał mi kroku. Maszerowaliśmy bardzo długą ulicą o łagodnych zakrętach. Na Świecie Postępu tylko ostatnie niedojdy chodziły piechotą, a myśmy się właśnie do nich zaliczali.

Wokół nas kuśtykali kosmici przypominający zwierzęta, owady i najzwyczajniejsze w świecie wybryki natury. Wszyscy wyglądali na zgorzkniałych nędzarzy. Gdy podchodziliśmy do nich w dźwięczących zbrojach, uciekali nam z drogi jak karaluchy.

Zgodnie z rozkazami centuriona Gravesa trzecia jednostka podzieliła się na plutony. Mnie przypadło miejsce u adiunkta Leesona.

– Niezłe jaja z tym całym Claverem, co? – zagadnął mnie Carlos, wskazując na przód kolumny, gdzie szli oficerowie. – Srebrnobrody to dobra ksywa. Ma pewnie z dziewięćdziesiąt dziewięć lat!

– Założę się, że niewiele się pomyliłeś – odparłem. – Musiał unikać zgonu przez co najmniej trzydzieści lat, żeby wyglądać tak staro. Nikt w Legionie Varus nie ma siwych włosów!

– Starzenie się może być całkiem fajne – stwierdził Carlos nietypowym dla niego, refleksyjnym tonem. – Chciałbym kiedyś spróbować, choć raz. Potem dałbym się skasować koło czterdziestki, żeby zacząć od nowa.

– Fakt, brzmi to lepiej niż ciągle umieranie.

– Pluton, stać! – zabrzmiała komenda przed nami.

Przerwaliśmy marsz i ustawiliśmy się w zorganizowanej kolumnie, dwójkami, ramię przy ramieniu. Ja byłem pośrodku szyku i czułem się na tyle pewnie, by trochę lustrować okolicę.

Niestety, najlepsze widoki rozciągały się nad nami. Z poziomu ulicy miałem wrażenie, że brniemy przez rynsztok. Wszędzie wały się śmieci, a u stóp każdego strzelistego budynku spali kosmici w pospiesznie skleconych szałasach.

W górze wszystko wyglądało lepiej. Sztuczne niebo rozciągało się jakieś dwa kilometry nad nami, a budynki wznosiły się aż do tego

blękitu.

Przypominały te, które znaleźliśmy z Ziemi. Miały bardziej otwartą konstrukcję niż budowle w moim świecie ojczystym, bo nie trzeba było ich bardzo mocno zabezpieczać.

Strzeliste konstrukcje przypominały sieci dźwigarów wykonanych z pastonu i metalowych rozpórek. W ścianach były spore luki. Zamiast trudzić się ze wstawianiem prawdziwych okien i drzwi, tubylcy po prostu zostawiali duże, puste kwadraty. Otwory o szerokości do kilku metrów umożliwiały wchodzenie, wychodzenie i wietrzenie. Było też dużo balkonów, jako że w każdym miejscu na stacji czekały zapierające dech widoki.

Pomiędzy tymi kolosami brzęczały pojazdy. Idąc ulicą, znajdowaliśmy się dobre pięćdziesiąt metrów poniżej najniższego korytarza ruchu powietrznego. Sporadycznie widziało się też pojazdy naziemne, przeważnie maszyny sprzątające i wózki przypominające riksze, które ciągnęli najgorzej sytuowani mieszkańcy.

Daleko przed nami Claver i Leeson o czymś rozmawiali.

– Myślisz, że tu w ogóle pada deszcz? – zapytał Carlos.

Wzruszyłem ramionami.

– Skąd niby mam wiedzieć? To miejsce jest chyba na tyle duże, żeby w górze skraplała się woda. Ale możliwe, że używają systemów przetwarzania, żeby to powstrzymać.

Carlos wskazał na budynek, pod którym się zatrzymaliśmy, i zrozumiałem, co miał na myśli. Zobaczyłem wielką, grubą rurę, która zaczynała się co najmniej kilometr nad nami i opadała pionowo na ulicę. Kończyła się rozkloszowanym otworem. Widziałem, że cieknie z niego strużka płynu, która następnie spływa do ulicznych rynienek i kanałów.

– Może to rynna deszczowa – przyznałem. – Ale może to być też jakaś tania instalacja do usuwania odpadów. Wydaje mi się, że jesteśmy w kiepskiej dzielnicy.

Carlos parsknął z obrzydzeniem, ostrożnie wychodząc z plamy nieznanej cieczy, w której wcześniej moczył buty.

– Ortiz, do szeregu! – krzyknął Harris.

Carlos stanął ponownie w kałuży.

– Co oni, do cholery, robią tam na przedzie kolumny? – marudził.

Byłem co najmniej o głowę wyższy od innych, więc mogłem zdać mu relację.

– Wyglądają, jakby się o coś kłócili.

– No super. Stoję w szczynach jakiegoś kosmity, bo adiunkt Leeson poprztykał się ze Srebrnobrodym!

– Wy tam, w szeregu, zamknąć się! – zawołał Harris.

Carlos i ja dobrze wiedzieliśmy, że następnym razem weteran podejdzie do nas i złoży nam skórę, więc zamilkliśmy. Carlos jak zwykle miał problemy z trzymaniem gęby na kłódkę, ale na szczęście zaraz wznowiliśmy marsz.

Kolumna skręciła pod kątem prostym w stronę budowli, która majaczyła nad nami. Srebrnobrody dopiął chyba swego, bo prowadził pluton przez szeroki otwór pomiędzy dwiema masywnymi metalowymi rozpórkami. Obie były zardzewiałe i z każdej kapą gęsta ciecz, spływająca nie wiadomo skąd.

– Co to za miejsce? – zapytał Carlos. – Przytułek dla kosmitów?

– Pojęcia nie mam – odpowiedziałem. – Myślałem, że mamy być obstawą jakiegoś odpicowanego kupieckiego księcia.

Gdy znaleźliśmy się we wnętrzu budynku, zrobiło się jeszcze gorzej. To miejsce wyglądało jak opuszczony wieżowiec, a my byliśmy na parterze. Wokół nas skakały i przemykały stworzenia, które tu robiły za gryzonie. Tyle tylko, że nie były ssakami, a raczej czymś w rodzaju żuków lub karaluchów wielkości szczurów. Na głowach, między czułkami, miały rogi – jak Boga kocham, najprawdziwsze rogi!

– Faj! – mruknęła Kivi, celując w jedno z tych stworzeń, które podpełzło bliżej i spoglądało na nas, jakby oceniając intruzów z milczącą powagą.

– Sądzisz, że można go zastrzelić, Kivi? – zapytałem. – Słyszałem, że to tutaj kwalifikuje się teraz jako nowy obywatel.

– Chyba łacha ze mnie drzesz!

– A i owszem.

– Dureń!

Odsunęła się, a ja wzruszyłem ramionami. Poszedłem za nią, a Carlos za mną. Między Kivi a mną od ładnych paru lat coś iskrzyło – raz słabiej, raz mocniej. Zdawałem sobie sprawę, że nie jestem jedynym facetem w takiej sytuacji. Charakter naszych interakcji

zależał całkowicie od tego, jak bardzo była na mnie wkurzona w danym miesiącu lub dniu. Sądząc po jej zachowaniu, na tej misji znalazłem się u niej w niełasce.

Woda – albo jakaś inna ciecz – kapła nam na głowy z sufitu. Ludzie klęli i zasłaniali się rękawicami.

Wkrótce usłyszeliśmy komendę dobiegającą z przodu:

– Założyć hełmy, zasłony zostawić otwarte!

Wszyscy szybko zrobili, jak kazano, jednak ja postanowiłem improwizować i dodatkowo opuściłem zasłonę. Klimatyzacja mojego pancerza włączyła się automatycznie i od razu poczułem się lepiej. Wewnątrz zbroi czułem się, jakbym jechał przez ten ohydny budynek małym samochodem. Dawało mi to poczucie komfortowego dystansu między mną a światem zewnętrznym.

Robiło się coraz ciemniej i paskudniej, aż dotarliśmy do rampy opadającej skośnie w dół.

– Kuźwa, no nie! – zawołał Carlos, wyrażając na głos również moje myśli. Tym razem Harris nie kazał mu się zamknąć.

Włączyliśmy reflektory na pancerzach. Dwa snopy światła z mojego hełmu oświetlały każde miejsce, na które patrzyłem. Jak większość żołnierzy, skierowałem reflektory prosto na drugi koniec rampy.

Gapiliśmy się na coś, co można było opisać wyłącznie jako brązowawozieloną rzekę wolno płynącego szlamu.

Leeson najwyraźniej wyczuł, w jakim jesteśmy nastroju, więc przełączył się na ogólny kanał taktyczny i zaczął wyjaśniać. Mówił spokojnie i rzeczowo. Kojarzył mi się z pilotem samolotu opisującym mijaną chmurę.

– Mamy przed sobą granicę misji – powiedział. – Adiunkt Claver poinformował mnie, że musimy ją przekroczyć, aby dotrzeć do celu.

– Yyy, sir... – odezwał się Harris – jeśli wolno spytać, jaki cel może na nas czekać za tą głównianą rzeką? Paru chłopaków się zastanawiało...

– Na drugim brzegu czekają nasi klienci – wyjaśnił Leeson oschłym tonem.

Spojrzeliliśmy po sobie, zaskoczeni i zdezorientowani.

– Jak to dobrze, że godzinę polerowałam zbroję – mruknęła Kivi z goryczą.

– I tak właśnie, drodzy państwo, wygląda fart Legionu Varus w praktyce – stwierdził Carlos. – Wynajął nas jakiś potwór z kanałów. Założę się, że zażąda, żebyśmy się utytłali w tym syfie, a potem każe eskortować swój oślizły tyłek do najdroższego hotelu w mieście!

– Przymknij się, Ortiz! – rozkazał Harris, choć bez przekonania. Wszyscy wiedzieliśmy, że Carlos może mieć rację i że pech prześladowający Legion Varus obrósł już legendą.

Jak mógłbym opisać kolejny etap naszej misji? Cóż, przeprawa przez rzekę gówna była groteskowym i upokarzającym przeżyciem. Trzymaliśmy broń nad głowami i parliśmy naprzód. Na szczęście prąd był słaby. Żołnierzom kazano nawet szczelnie zamknąć hełmy – jak miło, że ktoś o tym pomyślał!

Na drugim brzegu widzieliśmy rampę biegnącą w górę i światła. Wydostaliśmy się z blocka na rampę, klnąc na czym świat stoi i ślizgając się.

Nagle, nie wiadomo skąd, opryskała nas rozpylona mgiełka. Podobnie jak kilku innych, wyciągnąłem broń boczną i zacząłem celować we wszystkie strony, ale w zasięgu wzroku nie było żadnych nieprzyjaciół. System opryskowy wydawał się działać automatycznie i stwierdziłem, że czyści mój pancerz.

– Ruchy! Włażcie na rampę, ludzie! – zakrzyknął głos, który rozpoznałem. Był to sam Srebrnobrody.

Maszerowaliśmy w górę i czuliśmy się jak w myjni samochodowej. Już na szczycie zebraliśmy się i uformowaliśmy mniej więcej kwadratowy szyk. Wszyscy ściskaliśmy w rękach broń. Nie celowaliśmy w byle cień, ale mieliśmy się na baczności. W końcu nie była to nasza pierwsza misja.

Usłyszeliśmy syk gazu i warkot. Spory fragment sufitu zaczął powoli zjeżdżać w dół, w sam środek szyku. Cofnęliśmy się, stając w kręgu.

Gdy platforma wylądowała, okazało się, że stoją na niej jakieś istoty. Dokładniej – sześcioro Tau o owadzych oczach, elegancko ubranych w połyskującą feerię barw. Tau – przynajmniej ci bogaci – nie nosili ubrań. Zamiast tego stosowali projekcje odzieży w różnych kolorach. Iluzoryczną masę ruchliwych kształtów i wzorów. Nie znałem się zbyt dobrze na tutejszym społeczeństwie, ale wiedziałem,

że ci przed nami to grube ryby. Mieli na sobie kolorowe powłoki – bardzo cienkie, ale zupełnie nieprzezroczyste. Tego typu iluzoryczne szaty były najbardziej kosztowne.

Detale każdego stroju również swoje kosztowały. Chcesz mieć buty w wymarzonym stylu i kształcie? Proszę bardzo! Ale trzeba słono zapłacić. Oczywiście to wszystko było sztuczne. Zdarzało się, że Tau hakowali szaty i popisywali się swoim nieistniejącym bogactwem. Jednak jeśli kogoś przyłapano na takich numerach, traktowano go z pogardą.

Sześcioro kosmitów patrzyło na nas krytycznie.

– Opuścić i zabezpieczyć broń, idioci! – polecił Harris, krocząc przed szeregiem.

Żołnierze niechętnie przestali celować w naszych chlebobawców.

Srebrnobrody wstąpił na platformę, by przywitać obcych. Wydawał bzygające i kłokoczące odgłosy i po chwili dotarło do mnie, że musiał przypiąć osobisty translator. Takie cacko było rzadkością i luksusem.

Zaraz potem zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób te typy się wzbogaciły i dlaczego, u licha, kazały nam maszerować na spotkanie przez kanały.

– Jeszcze gorszy syf niż tamta gnojówka – stwierdził Carlos.

– Racja – odparłem.

Srebrnobrody obrócił się do nas z uśmiechem. Trzymał coś w ręku – może kartę kredytową? Przedmiot zniknął, zanim zdążyłem go zidentyfikować.

– Żołnierze! – zaczął. – Jesteście największymi szczęściarzami na tej stacji. Ci klienci rozumieją i stosują najmniej popularny zwyczaj w Świecie Postępu: napiwki!

Spojrzelśmy po sobie zdumieni. Kim w końcu byliśmy? Żołnierzami czy kelnerami?

– Aby zrealizować kontrakt, wystarczy, że odeskortujemy tych panów... albo te panie, czasem nie jestem pewien... do Wylotów, a potem z powrotem do dzielnicy finansowej. I to tyle. Parę godzin i po krzyku. Potem będziecie mogli wydawać zarobione kredyty na cokolwiek zechcecie.

– A o jakiej kwocie napiwku mowa? – spytał Carlos.

Ku mojemu zaskoczeniu Harris nie nawrzeszczał na niego. Najwyraźniej sam był ciekaw.

– Hmm... – zamyślił się Claver. – Jest tego tyle, że każdy może dostać po dwa tysiące. Dla waszego dowódcy podwójna stawka.

Suma wywołała natychmiastowy odzew, zadowolający dla Clavera. Żołnierze pokrzykiwali i potrząsali rękawicami z aprobatą. Dwa tysiące galaktycznych kredytów to była kupa forsy! W przeliczeniu na lokalną walutę Ziemi wychodziły z tego miliony.

Tylko ja i jeszcze kilku innych żołnierzy zareagowaliśmy z pewną rezerwą. Spojrzałem na Leesona. W milczeniu taksował kosmitów niewesołym spojrzeniem. Harris sprawiał wrażenie, jakby dręczyła go paranoja, i nawet nie patrzył na Tau. Wodził rozbieganymi oczami po mroku podziemi.

Zastanowiłem się nad ofertą. Wyglądało to jak łatwa kasa za wycieczkę po kanałach, nabrzeżach i ciemnych zaułkach miasta. Miły niedzielny spacer w pełnym rynsztunku.

„Po prostu odwróćcie oczy i bierzcie tę łapówkę, żołnierzu! Nic takiego się nie dzieje!”

Zupełnie mi się to nie podobało. I powiedziałem to na głos, gdy Srebrnobrody zbliżył się, żeby przelać moją dolę ze swojego stuka na mój.

– Pan wybaczy, sir – powiedziałem – ale nie skorzystam.

Claver obrzucił mnie spojrzeniem pełnym jednocześnie zdumienia i pogardy.

– A kogóż my tu mamy? Harcerzyka, któremu się wydaje, że jest lepszy od innych?

Carlos wychylił się naprzód, sugestywnie podsuwając swojego stuka.

– Żaden z niego harcerz. Ale fakt, myśli, że jego gówno jest bezwonne. Czy mogę dostać jego dolę, sir? Będę go pilnował, żeby nie pakował się w tarapaty.

Claver kompletnie zignorował Carlosa i patrzył mi bacznie w oczy.

– Dwa tysiące kredytów – powiedział, po czym gwizdnął. – Możesz sobie pozwolić na rezygnację z takiej forsy? Może jesteś którymś z tych bogatych legionistów, o których na okrągło słyszę? Takim, który dołączył do Varusa, do najgorszych szumowin, żeby podbijać gwiazdy w dobrym stylu? O to chodzi, chłopcze?

– Nie, sir – odparłem. – Po prostu wolę nie przyjmować pieniędzy, jeśli nie wiem, skąd pochodzą.

Powoli pokiwał głową.

– Taki jesteś praworządny?

Carlos aż się rozkaszał ze śmiechu.

– Nie, sir – powiedziałem. – Wchodzę w to, ale rezygnuję z... „napiwku”.

Claver zawahał się. Inni przyglądali się tej scenie z zainteresowaniem. Czekałem, aż Leeson lub Harris wtrącą się do rozmowy, jednak tego nie zrobili. Może byli ciekawi, jak skończy się starcie pomiędzy mną a Srebrnobrodym.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu. – Ale żebyś później nie wracał do mnie, skamląc o swoją dolę. I nie myśl, że daję ci to jakąś przewagę nade mną. Cholera jasna, chłopcze! Jesteśmy najemnikami. To znaczy, że walczymy za pieniądze. Co za różnica, kto nagra ci robotę: trybun czy ja?

– Przyjąłem do wiadomości, panie adiunkcie – odrzekłem.

Claver westchnął i ruszył dalej rozdzielać dolę. Natasha była ostatnia w kolejce. Najpierw spojrzała na mnie, a potem utkwiała wzrok w ziemi i odsłoniła swojego stuka.

Wiedziałem, że Natasha w domu cienko przędzie. Jej rodzice ciągle potrzebowali pieniędzy na leki i tym podobne rzeczy. Do tego marzyła, żeby przywieźć ze Świata Postępu stos pamiątek.

Postanowiłem nie mieć żalu do towarzyszy broni i zdobyłem się na uśmiech. Nie była to jednak naturalna reakcja. Nie podobał mi się Claver, a fucha, którą nam naraił, wydawała się coraz bardziej podejrzana.

Pół godziny później znaleźliśmy się z powrotem na ulicy i maszerowaliśmy w szyku ubezpieczonym. Pośrodku formacji szli Tau.

Nasi zleceniodawcy zmienili szaty na mniej rzucające się w oczy. Zjawiskowe ubrania przybrały bardziej stonowane kolory – nie byłem do końca pewien dlaczego. Projekcje strojów miały odzwierciedlać ich nastrój i nastawienie. Teraz wszyscy nosili się na szaro, czarno i miedziano. Nie bardzo wiedziałem, co to ma oznaczać, sprawiali jednak wrażenie, jakby nie chcieli, żeby ich zauważono.

– Ten stary piernik coś przed nami ukrywa – narzekał Carlos.

– Jak myślisz, ile Srebrnobrody zatrzymał dla siebie? – zapytałem.

– A skąd mam wiedzieć?

– Jeśli chodzi o kłamstwa i łapówki, to w naszej jednostce jesteś kimś na kształt eksperta.

Carlos zrobił głupią minę, jednak zaraz spoważniał i wyszeptał odpowiedź:

– Połowę – powiedział. – Można łatwo policzyć. Założę się, że wypłacił nam jakieś pięćdziesiąt tysięcy, a resztę schował do kieszeni.

Gwizdnałem. Mimo wszystko byłem pod wrażeniem. Nic dziwnego, że legionieści Germaniki zawsze wracali na Ziemię, opływając w dostatek i z najlepszym, prawie nieśmiganyym sprzętem.

Dotarliśmy do kolejnej rampy. Tym razem nie prowadziła do kanałów, lecz wznosiła się dość stromo. Gdy wspieliśmy się na ulicę na wyższym poziomie, od razu stwierdziłem, że trafiliśmy do przyjemniejszej części miasta. Było tam o wiele więcej krzykliwych, rozświetlonych reklam, a pojazdy brzęczały tuż nad naszymi głowami, a nie kilometr nad nimi.

Wkroczyliśmy do budynku wyglądającego na magazyn kupiecki. Wszędzie stały potężne skrzynie, przypominające ziemskie

kontenery. Były idealnie poukładane i połączone zaczepami magnetycznymi. Zaskoczyło mnie jednak, że skrzynie nie wyglądały na metalowe. Zostały wykonane z jakiegoś rodzaju mocnego, ale lekkiego polimeru. Czegoś podobnego do pastonu, ale cieńszego i bardziej jednolitego.

– Co to takiego? – zapytałem głośno.

Srebrnobrody najwyraźniej mnie usłyszał. Obchodził szyk, polecając żołnierzom, by ustawili się przy każdym rogu danej skrzyni i unieśli ją. Żeby przenieść jedną, wystarczyło czterech ludzi, ale musieli zarzucić broń na ramię, podczas gdy reszta czekała w pogotowiu.

– Wykorzystują spoiwa grawitacyjne – wyjaśnił Claver. – W domu chyba nie mamy takiej technologii. Wyobraź sobie magnes, który działa na wszystko, jak grawitacja. Jeśli weźmiesz dwa takie cacka, będą się przyciągać lub odpychać, w zależności od biegunowania. Te skrzynie są zapieczętowane dzięki potężnej sile przyciągania. Trzeba uważać, gdy zbliża się te spoiwa do siebie, mogą człowieka zmiażdżyć jak robaka.

– Będę pamiętał, sir. Co jest w środku?

Uśmiech na twarzy Srebrnobrodego natychmiast stopniał i zmienił się w ponury grymas.

– Nie powinno nas to interesować, synu. Tau opłacili fracht. Przeniesiemy przesyłkę do Wylotów, a potem odprowadzimy ich z powrotem do cywilizacji. Niech sobie handlują czym chcą, to ich sprawa, nic nam do tego. Zrozumiano?

– Tak jest – odparłem obojętnie.

Adiunkt odszedł, nawołując kolejną ekipę żołnierzy do zwiększonego wysiłku. Łącznie skrzyń było sześć. Jako bombardier miałem iść blisko i trzymać działo w pogotowiu.

Carlos nie miał tyle szczęścia. On i Kivi mieli za zadanie dźwigać jeden z narożników skrzyni. Chwiali się pod ciężarem, mimo zasilanych pancerzy i technologii wspomaganej grawitacją.

– Co za chujnia! – jęczał Carlos. – McGill, dlaczego ty możesz się obijać, a my odwalamy całą robotę?

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż, jak widać oficerowie potrafią rozpoznać prawdziwego mistrza.

Rozpoczęliśmy mniej wygodną część podróży, eskortując ładunek do ślizgacza. Był otwarty z tyłu i większy od wagonu towarowego używanego dawniej na kolei. Załadowaliśmy skrzynie i ustawiliśmy się wokół nich, zabezpieczając stopy i zerkając z niepokojem na poręcze. Miały wysokość zaledwie pół metra, więc nie zapewniały bezpieczeństwa podczas jazdy, zwłaszcza na ostrych zakrętach.

Pilot przed ruszeniem nie włączył nawet syreny ostrzegawczej. Co gorsza, nie wystartowaliśmy gładko. Wyskoczyliśmy w powietrze, kręciliśmy się i chybotaliśmy, aż w końcu wyrównaliśmy kurs i pomknęliśmy z zawrotną prędkością, włączając się w rozpędzony ruch powietrzny.

– Co ten pilot odwala?! – krzyknęła Kivi, stojąca obok mnie. Chwyciła się mojego ramienia, żeby utrzymać równowagę. Mój cięższy pancerz bombardiera był wyposażony w urządzenia samopoziomujące i w razie konieczności mógł posłużyć zwykłemu żołnierzowi za punkt zaczepienia.

– Nie chcę się teraz ruszać – powiedziałem. – Zerknij na niego... czy przypomina może niebieskawego żółwia?

Kivi wyciągnęła szyję i wychyliła się, aby spojrzeć na istotę siedzącą za sterami. Potem pokiwała głową.

– Taa... – powiedziała. – Jest niebieskawy, a to tam to na bank skorupa.

– Szlag. Oni jeżdżą jak wariaci. Trzymajcie się!

Utkwiłem wzrok w naszych gościach. Lepsze to niż spoglądanie na ulice kilometr pod nami. Kosmici wydawali się być w lepszym nastroju. Stonowane barwy zniknęły, teraz ich ciała okrywały fale różu i błękitu, a obuwie miało wyraźny złoty odcień. Nie miałem pojęcia, co to oznacza, ale założyłem, że są weselsi niż podczas marszu przez ulice.

Właśnie wtedy w słuchawkach rozległ się zbiorowy krzyk przerażenia. Ogólną panikę wywołało uczucie spadania, od którego robiło się niedobrze. Sunęliśmy w dół niczym liść opadający z drzewa, prosto na ziemię. Nie obracaliśmy się ani nie pikowaliśmy – wyglądało to raczej, jakbyśmy stracili moc.

– Pluton, trzymać się! – rozkazał Leeson.

Nie musiał tego mówić. Zarówno Kivi, jak i Carlos postanowili uchwycić się mnie. Inni znaleźli przewody, wystający sprzęt – co

tylko się nawinęło. Nie uważałem, by miało to znaczenie, gdybyśmy mieli się roztrzaskać przy takiej prędkości.

Leeson odezwał się na kanale plutonu. W jego głosie słysząc było niepokój.

– Może ktoś wywołać Clavera? Nie wiem, czy straciliśmy kontrolę, czy co...

Próbowaliśmy, jednak nikomu nie udało się połączyć z adiunktem.

– Może spróbujemy przejąć stery, sir? – zapytałem na kanale plutonu.

– A umiesz tym sterować, McGill?

– Myślę, że lepiej niż ten porąbany żółw!

– Dobra, jeśli uda ci się przejść i nie wypaść za burłę, sprawdź, co się dzieje, i zrób, co będzie trzeba. Ja tymczasem się kładę.

Większość żołnierzy przypadła do ziemi. Udało mi się zmusić stopy do ruszenia z miejsca. Powłokłem ze sobą Carlosa i Kivi.

– Muszę iść! – powiedziałem, a oni znaleźli mniej niż ja stabilne uchwyty. Dziwne, ale skrzynie wydawały się przyklejone do swoich miejsc, tak samo zresztą jak Tau. Kivi i Carlos, podobnie jak większość pozostałych, zauważyli to i zaczęli kurczowo chwytać się skrzyń.

Maszerowałem ostrożnie, starając się trzymać namagnesowane podeszwy blisko pokładu ślizgacza, by przyczepiały się do niego za każdym krokiem. Na szczęście pokład, w przeciwieństwie do skrzyń, został wykonany z metalu. Żeby było szybciej, chwyciłem się najbliższej skrzyni i zacząłem przeciągać się naprzód. Gdy dotarłem do ostatniego pudła, ku swojemu zaskoczeniu zastałem Srebrnobrodego w otoczeniu Tau. Wydawał się beztrząsowo gawędzić z naszymi zleceniodawcami.

– Sir? – odezwałem się. – Dlaczego spadamy jak kamień?

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. W sztucznych promieniach słońca jego włosy lśniły jak płynna rtęć.

– Co ty tu robisz? Wracaj na stanowisko, specjalisto! – rozkazał.

Byłem zdezorientowany, ale zauważyłem, że niebieski żółw wciąż dziarsko dzierży stery.

– Przysłał mnie dowódca plutonu – wyjaśniłem. – Myślał, że stery się zepsuły.

– Toż to jakaś banda starych bab! – zawołał Claver.

Zamrugalem i zmarszczyłem brwi.

– Jeśli nie potrzebujecie pomocy, to wróć do skrzyń.

– A pewnie. I powiedz jeszcze Leesonowi, że mam zapasową parę jaj, których może używać, dopóki nie znajdzie własnych.

– Sam może pan mu to powiedzieć – zaproponowałem. – Otworzę panu kanał.

Odprawił mnie lekceważącym machnięciem ręki, po czym odwrócił się do swoich przyjaciół. Wykonałem za jego plecami obraźliwy gest. Po każdej interakcji z tym gościem lubiłem go coraz mniej.

Gdy tylko obróciłem się i zrobiłem pierwszy krok w stronę skrzyń, świat pogrążył się w ciemności.

W pierwszej chwili pomyślałem, że się rozbiliśmy, ale o nic nie uderzyliśmy, nikt też nie krzyczał – no, może poza kilkoma mniej odważnymi członkami plutonu. Tak czy inaczej, z całą pewnością nadal lecieliśmy.

Spojrzałem w górę. Mój wzrok przyciągnęło jedyne źródło światła – jaśniejący kwadrat, wysoko nad nami. Wpadliśmy do jakiegoś szybu.

Nie czułem, żebyśmy zwalniali, a może opadaliśmy jeszcze szybciej. Przypomniałem sobie, że mieliśmy przewieźć ładunek do Wylotów, znajdujących się podobno na samym dole stacji. Nagle wszystko nabrało sensu – przynajmniej z punktu widzenia szajbniętego żółwia.

– Sir? – odezwałem się, nawiązując prywatne połączenie z Leesonem. – Chyba wszystko w porządku. Pilot wiezie nas w dół szybu, na dno stacji.

– Claver ci to powiedział? Ciągłe ignoruje moje próby połączenia.

– Yyy... mniej więcej – odparłem. – Ujął to bardziej kwiecistie, sir.

– To znaczy?

– Wspomniał o pańskich genitaliach... Porównując je w niekorzystny sposób z własnymi.

Leeson rzadko okazywał jakiekolwiek emocje, jednak teraz wyczułem, jak powoli wzbiera w nim gniew.

– Ach tak – powiedział. – Wzięliśmy forszę, którą dla nas zorganizował, więc staliśmy się jego popychadłami. Ma ubaw po pachy i zabrał nas na przejażdżkę. Spoko.

Rozkazał wszystkim uszczelnić pancerze. Mieliśmy nie zdejmować hełmów i nie otwierać zasłon. Przypomniałem sobie, że na odprawie ostrzegano nas przed kiepską jakością powietrza pod poziomem ulic, więc uznałem to za rozsądny środek ostrożności.

Wkrótce potem zatrzymaliśmy się, a wszyscy na pokładzie odczuli ulgę pomieszaną z bólem. Ulgę dlatego, że nie spadaliśmy już w ciemność, a ból dlatego, że lądowanie było miazdząco twarde.

– Ruchy, ruchy! – wołał Claver, klaszcząc w dłonie i krocząc przez całą długość ślizgacza. – Wynoście te skrzynie, leniwe sukinsyny! Trzeba dotrzymać terminów!

Po raz pierwszy słyszałem o jakichś terminach, ale to miało sens. Z całą pewnością gdzieś nam się spieszyło.

– Spóźniliśmy się na spotkanie z przewoźnikiem, sir? – spytałem.

Claver obejrzał się na mnie.

– Znowu ty?! – warknął. – Zadajesz za dużo pytań, wiesz? U mnie nigdy byś nie awansował!

Kosmici niespiesznie zeszli po rampie za swoimi skrzyniami. Nie wyglądali już na zdenerwowanych. Przeciwnie, promienieli samozadowoleniem. Większość z nich była teraz okryta połyskującą zielenią – ulubioną barwą ich rasy.

Rozejrzałem się. Widok był imponujący. Wokół nas kręciły się i wirowały ogromne maszyny. Urządzenia, tyleż wielkie co tajemnicze, szczękały i uderzały głucho. Jak okiem sięgnąć, maszyny ciągnęły się w rzędach i szeregach. Pomiedzy nimi krzyżowały się metalowe linie, tworząc zdumiewających rozmiarów siatkę, ciągnącą się jak okiem sięgnąć.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Claver. – Jeśli się uważnie przyjrzycie Wylotom właściwym, znajdziecie tu najgorsze wyrzutki społeczne z całego układu gwiazdnego. Są to tak zwani dychacze.

Spojrzeliliśmy wokół i rzeczywiście zauważyliśmy tu i ówdzie jakichś osobników. Były tu najróżniejsze istoty. Już sama ich różnorodność robiła wrażenie. W większości dychacze siedzieli wzdłuż metalowych chodników, które, jak zauważyłem, tworzyły Wyloty właściwe. Co jakiś czas z głębin pod nimi buchały mgliste gazy, spowijając nieszczęśników.

– Widzicie, tlen kosztuje – objaśnił Claver. – W Świecie Postępu nie ma nic za darmo. Jeśli ktoś znajdzie się na samym dnie, pozwalają

mu zejść tutaj, żeby mógł chociaż bezpłatnie pooddychać. Ale nie trwa to zbyt długo.

– Co oni jedzą? – zapytał Carlos, zafascynowany żalosnymi istotami.

– Głównie siebie nawzajem – odparł Claver. Potem zaśmiał się. Nie byłem pewien, czy żartuje, ale najwyraźniej uznał tę odpowiedź za przeżabawną.

Jakieś dwie minuty później nadleciał drugi ślizgacz. Nie wylądował jednak obok nas, poszybował nad Wylotami trochę dalej. Zobaczyłem rozbłysk światła pomiędzy kosmitami a drugim statkiem.

W końcu nowy ślizgacz ostrożnie zbliżył się do naszego. Osiadł w pobliżu, miażdżąc przy okazji bezlitośnie jednego z dychaczy.

– Czy ten pilot właśnie kogoś zabił? – zapytałem Carlosa.

– No... tak mi się wydaje.

Patrzyłem ponurym wzrokiem na zbliżającą się drugą delegację Tau. Nieśli tylko jedną skrzynię, mniejszą od naszych.

– Mam wrażenie, jakbym oglądał wpłatę okupu – stwierdziłem.

– Może tak jest – przyznał Carlos.

Dwie grupy kosmitów spotkały się, a ich szaty błyskawicznie zmieniały kolory. Wiedziałem, że barwy służą im do subtelного okazywania nastroju. Dla nich był to niemal podświadomy odruch. Coś jak nasza mowa ciała.

W końcu ktoś dał sygnał – cokolwiek było na rzeczy, dobili targu. Grupa osób podeszła z mniejszą skrzynią, podczas gdy my nadeszliśmy z naszymi większymi pudłami.

Przeżyłem prawdziwy szok, gdy rozpoznałem ludzi dźwigających małą skrzynię. To byli ludzie z Legionu Germanica.

Żołnierze Germaniki gapili się na nas, a my na nich. Przybyli tylko jedną drużyną, a my całym plutonem. Patrzyliśmy na siebie ze skrępowaniem przez wielkie przerwy pomiędzy przecinającymi się stalowymi chodnikami. Wokół nas unosiły się gęste opary, które szybko znikwały, wsysane przez ogromne kwadratowe otwory w sieci do gorącej otchłani pod nami.

Mogłem tylko sobie wyobrażać, co by było, gdybym zrobił krok w przepaść i spadł w sam środek układów przetwarzania tlenu. Słyszałem pracujące przekładnie i odgłosy mielenia, wraz z bulgotem nieznanych cieczy. Upadek oznaczałby śmierć w męczarniach.

Dwie grupy Tau nadal rozmawiały, a ich szaty migotały, odzwierciedlając podniecenie. Miałem nadzieję, że negocjacje idą pomyślnie. Nie zamierzałem zastrzelić legionisty Germaniki tylko dlatego, że jakiś kosmita dopłacił parę kredytów mojej drużynie.

Na szczęście transakcja poszła gładko. Strony rozeszły się, a nam została mała skrzynka. Żołnierze z Germaniki załadowali nasze skrzynie na swój ślizgacz.

– Jak myślisz, Carlos, co takiego jest w środku? – zapytałem.

Carlos wyglądał na zamyślonego.

– Opcje są ograniczone. To musi być coś na tyle cennego, by było warte wszystkich tych środków ostrożności i podchodów. Prawdopodobnie to coś bardzo nielegalnego. Inaczej po co cała ta szopka z transakcją w Wylotach?

– No właśnie, po co? – spytał adiunkt Claver. Podszedł do nas niepostrzeżenie, kiedy rozmawialiśmy, i wszedł na nasz kanał. – Mam nadzieję, panowie, że obaj czujecie się dobrze i jesteście wypoczęci.

– Skoro już o tym mowa, to ja jestem trochę śpiący, sir – odparł Carlos. – Może moglibyśmy odsapnąć przez pięć minut w tak pięknych okolicznościach...

– Stul pysk i goń na tę rampę! Wstyd mi za was! Spójrzcie tylko na moich żołnierzy, tych tam! Jeden mały oddziałik Germaniki niesie cały ten ciężar i nikt nie skamle. To są żołnierze co się zowie!

– Sir, czy to pan dowodzi tymi ludźmi? – zapytałem.

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Teraz akurat nie – odparł. – Dziś mam inną misję. Muszę niańczyć was, koty. Ruchy!

Tau ruszyli naprzód, gdy żołnierze Germaniki się oddalili, i dźwignęli tę jedną, niewielką skrzynkę, powarkując i posapując z wysiłku. Nie chcieli tym razem pomocy.

Gdy wszyscy znaleźliśmy się już na pokładzie, statek wystartował, chybocząc się nieprzyjemnie. Tym razem ludzie nie mogli chwycić się większych skrzyń z mocowaniami grawitacyjnymi, ale przynajmniej wiedzieli, że będziemy żyć... Chyba że żółw coś pochrzani.

Mknęliśmy w górę szybu, aż w końcu wyskoczyliśmy na otwartą przestrzeń. Zmrużyłem oczy w sztucznym świetle słońca. Uniosłem zasłonę i wciągnąłem względnie świeże powietrze. Lecieliśmy z jaką taką gracją w stronę dzielnicy finansowej. Stały tam rzędy ogromnych budowli przypominających piramidy. Poznałem je dzięki rozmowie z Natashą na temat zabytków. Były to imperialne placówki bankowe.

Instytucje finansowe w Imperium były oficjalnie niezależne, jednak Galaktycy trzymali je krótko. Wszelkie większe transakcje kredytowe rejestrowano i zgłaszano w Układach Centralnych. A przynajmniej tak to miało działać.

Wylądowaliśmy u stóp największej piramidy. Po raz pierwszy zauważyłem, że Srebrnobrody wygląda na zaniepokojonego, a nawet zmartwionego.

– Dobra, z życiem, żołnierze! Ustawić się w kręgu i trzymać lufy z dala od ładunku – polecił.

– Czy powinniśmy wiedzieć o jakichś niebezpieczeństwach, adiunkcie? – zapytał Leeson.

– Nie, nic konkretnego nam nie grozi, ale nadeszła chwila prawdy. Właśnie tu i teraz zasłużymy na naszą zapłatę.

Kosmici zbili się w gromadkę wokół skrzynki na transporterze i wyciągnęli ręce, odpędzając nas klekotem i odgłosami, które w ich

języku znaczyły „nie”. Wciąż nie chcieli pomocy.

Pozwoliliśmy im otoczyć skrzynkę i patrzyliśmy, jak unoszą ją z wielkim trudem. Zarzuciłem ciężkie działo na ramię. Nie martwiłem się zbytnio, gdy obserwowałem tłum wokół. Niektóre istoty wyglądały jak typowe dziwolągi błakające się po ulicach stacji, jednak w większości otaczali nas Tau. Było ich wielu. Właściwie większość przechodniów nosiła bogate, oślepiająco lśniące szaty.

Natasha spędziła większość dnia z personelem pomocniczym. Technicy i biosi zwykle nie dźwigali skrzyń ani nie wygrażali innym bronią. Wcześniej byliśmy daleko od siebie, ale teraz podeszła do mnie i wskazała tłum.

Spojrzałem w tamtym kierunku, ale nie zauważyłem niczego szczególnego. Tylko gromadę Tau na spacerze. W porządku, grupa, którą wskazała, składała się chyba z dwudziestu osobników, ale nie widziałem w tym nic dziwnego.

– Cześć, Tasha! – powiedziałem. – O co chodzi?

Spojrzała ponuro na grupę.

– O ich kolory – odparła.

Przyjrzałem się im ponownie i zobaczyłem bordowo obleczone ciała w srebrnych butach. Wzruszyłem ramionami.

– Lubią czerwień. I co z tego?

– Tak się nie chodzi do banku. Taki kolor nosi się przy uroczystych okazjach. Na pogrzebach albo ślubach. Do tego nie rozumiem, o co chodzi z tymi srebrnymi butami. Tego nie ma nawet na liście.

Zaśmiałem się.

– Przychodzi mi do głowy dość dużo powodów, by mogli złapać doła pod bankiem – powiedziałem. – Może komornicy weszli im na konta?

– Zgłoszę to Leesonowi – zdecydowała Natasha, aktywując łącze.

Dla pewności wziąłem zamach bronią, by objąć jej zasięgiem grupę Tau, o których chodziło. Zbliżali się, zmierzając w stronę tego samego przepastnego wejścia do banku, do którego zdążali nasi podopieczni.

– Dobra! – zawołał weteran Harris. – Mamy rozkaz zostać na pozycjach. Tau wniosą swoją paczkę do banku. Gdy tam się znajdzie, nasza misja będzie wykonana. Bądźcie w gotowości!

Z brzękiem podbiegłem do krawędzi ślizgacza, przeszedłem nad niską poręczą i zeskoczyłem na ulicę. Kilku innych żołnierzy zajęło stanowiska, lądując zaraz po mnie. Nikt tak naprawdę nie chciał stać w pobliżu rampy, którą schodzili nasi klienci. Męczyli się i dyszeli ciężko. Nie wiedziałem, dlaczego nie chcą, żebyśmy pomogli im dźwigać ciężar.

Może przez przypadek, a może celowo, choć nie do końca świadomie, znalazłem się bezpośrednio między nadchodzącymi tubylcami a grupą ze skrzynką.

Potem usłyszałem trzask. Odwróciłem się i zdałem sobie sprawę, że to ładunek narobił hałasu. Tau go upuścili. Jeden z kosmitów skrzeczał i zobaczyłem, że pudełko przygniotło mu stopę. Popłynęła lepka, czarna krew.

– Pomóżcie im! McGill, przydaj się na coś! – zawołał do mnie adiunkt Leeson.

Byłem blisko, więc podszedłem do nich, brzęcząc pancerzem. Obejrzałem się przez ramię i zauważyłem, że tłum w dziwnych kolorach zatrzymał się. Nie zbliżali się już, a jedynie stali i obserwowali przebieg wydarzeń.

Tau mocujący się ze skrzynką najpierw na mnie syczeli, ale gdy na migi pokazałem, że chcę podnieść pudło, pomachali zachęcająco rękami. Wyraźnie widziałem, że dalej nie poradzą sobie sami.

Dźwignąłem skrzynkę i byłem zdumiony jej ciężarem. Stękałem z wysiłku, ale w końcu udało mi się unieść jeden róg. Ranny Tau zdążył wyciągnąć zmiażdżoną stopę, ale potem skrzynia wyslizgnęła mi się z rąk i znów upadła z hukiem na ziemię. Zapałem się i spróbowałem ją popchnąć. Pomyślałem, że może o coś zaczepiła. Gdyby udało mi się przesunąć pudełko na bok, może bym je uwolnił. Mój pancerz zarejestrował trzy tony siły bocznej i poczułem zapach spalenizny. Potem – w końcu – skrzynka ruszyła się.

Pokonując siłę tarcia, przesunęła się jakiś metr do przodu. Tau trajkotali entuzjastycznie. Jeden z nich przemówił do mnie:

– Duży, pchaj!

– Adiunkcie, potrzebuję trochę pomocy – zgłosiłem. – Ta skrzynka jakby o coś zaczepiła.

– Dobrze. Carlos, Kivi, pomóżcie mu! – polecił Leeson.

– Sir! – usłyszałem Sargona. – Proszę o pozwolenie na przeniesienie tego pudła. Wszyscy wiemy, że McGill to cherlak!

Sargon był drugim bombardierem plutonu. Kawał chłopca, a przy okazji nieznośny bufon.

– Nie zezwalam. Zostań ze mną przy ślizgaczu, specjalisto. Nie chcę, żeby obaj bombardierzy pierdzielili się z jakimś pudełkiem!

Kivi i Carlos podeszli do mnie. Gdy Carlos stanął za mną, dostałem od niego kopa w tyłek, ale prawie go nie poczułem przez pancerz.

– Nadajesz się do tego jak muł do krycia. Czyli wcale! – powiedział.

Z chęcią bym mu oddał, ale wokół gromadził się coraz większy tłum. To mnie niepokoiło. Kivi i Carlos napierali ile sił, ale skrzynka tylko trochę kołysała się na boki.

– Jasny gwint! Co w niej jest? – spytał Carlos.

– Pewnie o coś zaczepiła – stwierdziła Kivi, klękając, by zajrzeć pod spód.

– Raczej nie – odpowiedziałem. – Z jakiegoś powodu wydaje się teraz cięższa...

Skontaktowałem się z Natashą na kanale prywatnym.

– Hej, mogłabyś sprawdzić, czy może te zaczepy grawitacyjne nie nawaliły? – poprosiłem. – To chyba to. Zepsuły się i teraz próbują przyczepić to pudło do ulicy.

– Aaa... – odparła. – To by wiele wyjaśniało.

Poprosiła o pozwolenie na podejście do mojego stanowiska, a Leeson zgodził się z wahaniem. Już po chwili badała pudełko swoimi przyrządami.

Tymczasem Tau zaczęli tracić cierpliwość. Ich cel był tak blisko, a jednak wciąż poza zasięgiem. Domyśliłem się, że dyskutują i są coraz bardziej podenerwowani.

Claver, warcząc z frustracji, maszerował w dół rampy w naszą stronę.

– Super – powiedział Carlos. – Patrzcie, kto idzie. Może dźwignie to razem z nami i wszystko naprawi.

Natasha spojrzała na mnie, zaskoczona.

– Masz rację – oznajmiła. – Zaczepy grawitacyjne są aktywne. Ta skrzynka przykleiła się do ziemi. Działa tu jakieś pięć tysięcy kilo dodatkowej siły.

– No to wyłącz to ustrojstwo! – ryknął Srebrnobrody. Stał teraz między nami, trzymając się pod boki dłońmi w skórzanych rękawicach. Jako jedyny w całej jednostce nie nosił pancerza. Ciekawiło mnie, jak udało mu się przeżyć tak długo z tak niefrasobliwym podejściem.

Carlos ubiegł mnie, choć raz w życiu.

– Panowie, mamy tu uzbrojonego tubylca! – zawołał. Uniósł karabin i skierował go w stronę grupy Tau, którzy uważnie nam się przyglądali.

– Opuścić broń! – wrzasnął Claver. – Nie strzelać! Za dużo cywilów! Niechętnie wykonaliśmy rozkaz.

Oni chyba tylko na to czekali. Gdy teraz o tym myślę, sędzę, że nie pasowało im, że tam jesteśmy, i tylko czekali, aż się rozejdziemy i pozostawimy naszych klientów szamoczących się z niemożliwym do udźwignięcia ciężarem.

Tau w dziwnych barwach nagle przeszli do działania. Wyciągnęli jakieś krótkolufowe gnaty i rozdzielili się, wtapiając w tłum.

Mogę tylko powiedzieć, że nie ja zareagowałem jako pierwszy. Carlos wyjął ponownie giwerę i wycelował ją w ich kierunku. Nie wypalił, ale wyraźnie im groził.

– Nie strzelać! – ryknął Claver. – Pogadam z nimi! Leeson, panujże nad swoimi ludźmi! Nie możemy pozwolić sobie na incydenty tutaj, w samym środku...

Z tłumy padł strzał. Pocisk rozjarzył się i zostawił przypalony ślad na pancerzu Carlosa. Tyle wystarczyło, by rozpętała się burza.

Byliśmy żołnierzami Legionu Varus. Tyle mogę powiedzieć. Nie jesteśmy jak inni legioniści – sam zawsze chętnie to przyznam. Jednak nie uważam, żeby akurat szkolenie uczyniło nas tym, kim się staliśmy. Tak bardzo przywykliśmy do śmiertelnego niebezpieczeństwa i do śmierci, że gdy rozgorzała walka, słuchaliśmy bardziej nawyków i instynktów niż rozkazów oficera. Zwłaszcza kogoś takiego jak Srebrnobrody.

Zgodnie wyciągnęliśmy broń, mierząc w stronę okrążających nas Tau. Przechodnie wycofywali się w popłochu, próbując skryć się w bocznych uliczkach, jednak ci bandyci, z czymś w rodzaju pistoletów maszynowych, złapali kilka osób, żeby robiły za żywe tarcze.

Mogę stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że to oni pierwsi otworzyli ogień. Ciszę zakłócił dziwny hałas. Nie brzmiał jak wystrzał, przynajmniej nie do końca. Raczej jak kilka szybko następujących po sobie podmuchów gazu. Seria głośnych dmuchnięć, do których wkrótce dołączyło wiele kolejnych.

Na kolegów z mojej drużyny spadł deszcz wybuchowego śrutu. Kivi okręciła się i upadła, ale szybko stanęła na nogi. Jej pancerz zniósł impet ostrzału, ale poruszała się dziwnie powoli. Carlos schował się za skrzynią, opierając na niej karabin. Natasha zaczęła się czołgać.

Przygotowałem działo plazmowe, ale nie strzelałem. Claver miał słuszość pod jednym względem – wokół roило się od niewinnych gapiów. Gdybym posłał ładunek plazmy w tłum, rozkwasilibym kilkunastu nieszczęśników.

Pod wpływem impulsu skierowałem rzygacz w ziemię i nacisnąłem spust. Błysnęło światło, a paston stopił się jak masło. Przez powstałą dymiącą wyrwę widać było poziom pod ulicą.

Miałem nadzieję, że ta demonstracja siły ognia skłoni napastników do odwrotu, jednak wywołała efekt odwrotny do zamierzonego. Najwyraźniej byli przekonani, że ta bójka przerodziła się w wojnę pełną gębą, i naporzali ile wlezie, zasypując nas gradem śrutu, który strzelał i zapalał się na moim pancerzu. Z Tau, którzy nas wynajęli, było naprawdę kiepsko. Rzuciłem na nich okiem tylko po to, by stwierdzić, że wszyscy polegli. Ich połyskujące, nieistniejące szaty falowały i rozmazywały się nad ciałami.

– Kontratak! – krzyknął Leeson. – Tylko pojedyncze strzały! Namierzać cele!

– Nie, do cholery! – wrzasnął Claver.

Spodziewałem się, że będzie już martwy, ale nawet bez pancerza zdołał umknąć jak szczur i leżał przy schodach, chroniąc się między dwoma martwymi Tau.

Po opuszczeniu Ziemi żołnierze Legionu Varus mieli obowiązek wykonywać jedynie rozkazy Galaktyków i własnych oficerów. Na tym polegała niezależność i zaledwie parę tygodni wcześniej głosowaliśmy za jej utrzymaniem. Ignorując Clavera, nasi ludzie wyciągnęli broń i uważnie namierzali cele. Oddawali nieprzerwane strzały w nieprzyjaciół, którzy sprawiali wrażenie niewydarzonych

bandziorów bez doświadczenia. Sześciu czy siedmiu z nich dostało, ale było ich o wiele więcej i nie wyglądali na skorych do ucieczki.

Dla mnie ta walka była frustrująca. Moja wielka giwera nie zachwycała precyzją. Mogłem jedynie absorbować ogień. Postanowiłem zmienić taktykę.

Zarzuciłem działo na ramię, rozpostarłem ramiona i wysunąłem dwa noże bojowe, po jednym na każdym nadgarstku. Potem przypuściłem szarżę na tłum.

Nikt nie spodziewał się takiego zwrotu akcji. Sam byłem zaskoczony, kiedy dotarłem do szeregów rozwrzeszczanych cywili i zbirów. Niewinni przechodnie byli pewnie przekonani, że oto pędzi na nich sama kostucha w metalowym kokonie.

Przyjąłem z pół tuzina pocisków, zanim do nich dotarłem, ale nadal trzymałem się na nogach. Jako bombardier dysponowałem cięższym pancerzem niż reszta jednostki i teraz wszystko zależało od tej dodatkowej warstwy metalu.

Gdy tylko znaleźli się w moim zasięgu, zacząłem siec i dźgać. Wbijałem się w miękkie, nieuzbrojone ciała, rozpruwając brzuchy i obcinając głowy. Za sprawą moich starań i zdolności strzeleckich legionistów liczebność nieprzyjaciela spadła o połowę, a jego odwaga – niemal do zera.

W ostatnim, rozpaczliwym ataku jeden z nich cisnął świecący jasno, niebiesko-biały przedmiot w kierunku grupy tłoczącej się przy skrzyni.

– Granat! – krzyknąłem.

Żołnierze poszli w rozsypkę, czołgając się i odsuwając jak najdalej. Skrzynia pozostała na miejscu – czarna i dymiąca.

Napastnicy rozbiegli się na wszystkie strony. Miałem ochotę ich ścigać, ale rozkazano mi wrócić do ślizgacza. Tam dołączyłem do Leeson, który zszedł po rampie do uszkodzonej skrzyni.

– Zobaczmy, o co tyle szumu – zdecydował Leeson, zaglądając przez dziurę w wieku. – O w mordę... – szepnął.

Stałem obok niego i również zerknąłem do środka.

– Jakież metalowe żetony? – zapytałem. – Co to takiego? Zaraz, chwileczkę...

Potrzebałem sekundy, by przypomnieć sobie wycieczkę do muzeum, dawno temu.

– To imperialne monety! Galaktyczne kredyty w gotówce!

Na Ziemi nadal używaliśmy gotówki w niektórych sytuacjach, w handlu lokalnym. Jednak galaktyczna gotówka została zakazana prawie sto lat temu. Cała imperialna waluta była uznawana wyłącznie w formie elektronicznej. Pierwotnie wciskano nam to jako dobrodziejstwo dla gospodarki i dla środowiska, jednak z czasem wielu zaczęło podejrzewać, że jeśli cała forsa była tylko fikcją w jakimś komputerze, nie wiadomo gdzie, to tak naprawdę znajdowała się pod kontrolą Hegemonii... a także Galaktyków.

– To pieniądze... Prawdziwe pieniądze! – powiedziałem.

– Otóż to, synu – potwierdził Claver, podchodząc do skrzyni. – Niewykrywalna imperialna gotówka. Każda z tych monet jest warta więcej niż twój roczny żołd, ale one nie należą do nas. Łapy precz!

Leeson spojrzał na niego ponuro.

– Ma pan rację, Claver. Nie jesteśmy złodziejami.

Claver roześmiał się pogardliwie, a Leeson spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nasi klienci nie żyją, a my sterczymy na ulicy z tym roztrzaskanym pudłem – warknął. – Czy chce pan, żebyśmy stąd poszli?

– Nie. Moi klienci są wystarczająco dziani, żeby było ich stać na drugie życie. Gdy zjawi się tu ekipa sprzątająca, zeskanują ich i natychmiast każą wskrzesić. Dostaną rachunek i zostaną wypuszczeni. Zdziwiłbym się, gdyby nie wrócili tu w ciągu dwóch godzin.

– Czy nie będziemy musieli się gęsto tłumaczyć przed tutejszą policją? – zapytałem.

Claver ponownie wybuchnął paskudnym śmiechem. Tym razem głośniejszym i bardziej szyderczym.

– Z choinki się urwałeś? To my jesteśmy policją, chłopcze! A przynajmniej stoimy wyżej niż jakiekolwiek lokalne siły, jakie ktoś mógłby tu przysłać. Pomyśl chwilę, dlaczego ci goście w pierwszej kolejności chcieli najać właśnie nas?

Rozglądając się i badając ciała, straciłem rachubę gdzieś przy siedemdziesięciu. Tylko nieliczni z poległych byli legionistami.

Pomyślałem, że gdy pomagałem Ziemi w dochrapaniu się stanowiska lokalnych egzekutorów w Imperium Galaktycznym, to

nie do końca o to mi chodziło.

Gdy walka się skończyła i ustaliliśmy perymetr, zaczęły się zjeżdżać służby. Jako pierwsi na wezwanie odpowiedzieli Tau w barwach personelu medycznego – błękitnie z żółtymi poprzecznymi pasami. Zignorowali nas i zajęli się badaniem ciał. Sprawdzili DNA każdego z obywateli za pomocą specjalnych przyrządów i zaczęli żywo dyskutować.

Srebrnobrody przyglądał się im z zaciekawieniem.

– Chyba mają radochę. Ta banda sztywniaków musi być dla nich warta parę tysięcy!

– Pewnie tak. W końcu w tej skrzynce jest około miliona galaktycznych kredytów.

– Niby tak, ale to nie oznacza, że ta forsa należy do nich. Mogą być kurierami, tak jak i my. Ale dam głowę, że nie są. Kurierów nie opłacałoby się wskrzeszać. Ci tutaj wyglądają na prawdziwych handlarzy. Mają gotówkę, żeby wykupić życie, a to kosztuje. Cena opiera się na procencie od wartości netto, wiesz?

Zmarszczyłem czoło w zamyśleniu i zdobyłem się na pytanie:

– Sir, czy mógłbym spytać, co dla nich przewoziliśmy?

– Jesteś jakiś kołowaty, synku? – zapytał w odpowiedzi. – Broń. To oczywiste. To handlarze bronią. Cóż innego wartego transportu na powierzchnię planety można by upakować w takie wielkie skrzynie?

Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia.

– Broń? A więc to nielegalna operacja, a my pomagamy jakimś rebelianckim siłom na planecie?

Claver potrząsnął głową.

– Mówisz tak, jakbyśmy się mieli tego wstydzić. Co nam do tego? Może ci goście na dole walczą o wolność? Może grube ryby na stacji Gelt zagarniają wszystkie pieniądze z handlu? Nie wiem, która ze stron jest tą bohaterską. I wcale mnie to nie obchodzi. Chcę tylko dostać zapłatę i spadać. Tobie radzę to samo.

– Sir, ale czy nie łamiemy prawa?

– Prawa? Jedyne prawo, jakie ma tu znaczenie, to prawo narzucone przez Galaktyków. A przecież wiesz tak samo dobrze jak ja, że mają głęboko w dupie politykę wewnętrzną w jakimkolwiek układzie gwiazdnym. Dopóki mieszkańcy Świata Postępu nie atakują innego układu, Galaktycy się nie przejmują. My też nie powinniśmy. Oprócz nas w obrębie najbliższych paru lat świetlnych jest jeszcze tylko garstka ludzi. Nie bądź dzieckiem, McGill.

– Ale to imperialne monety kredytowe, sir. Transakcje z ich użyciem są nielegalne – przypomniałem.

Widziałem, że zaczyna się złościć, ale odpowiedział:

– Nie my to zrobiliśmy, tylko oni. My byliśmy jedynie obstawą. Zapłacono nam legalnymi, cyfrowymi kredytami. Nie zapominaj o tym.

Nie byłem pewien, czy Nairbowie też by tak do tego podchodzili, ale Claver przedstawił parę naprawdę przekonujących argumentów. Wiedziałem, że Galaktyków nie obchodzi, co się dzieje w układzie Tau Ceti. Wszelkie wojny domowe, bunty, a nawet szeroko zakrojone ludobójstwa były dozwolone w granicach układów gwiazdnych. Imperium było zbyt wielkie i rozproszone, by jakikolwiek centralny organ władzy miał się babrać w lokalnej polityce. Dopóki Tau zapewniali stały przepływ towarów i nie budowali jednostek kosmicznych stwarzających zagrożenie dla innych członków Imperium, nikt nie zamierzał reagować na ich zachowanie.

Tak czy inaczej, wydawało mi się, że jako część lokalnego imperialnego oddziału egzekucyjnego byliśmy winni naszym sąsiadom coś lepszego niż branie łapówek i udział w handlu bronią. Czy nie minęły już czasy, kiedy chwytałyśmy się każdej fuchy, żeby tylko przetrwać? Po co zostawialiśmy oficjalnymi przedstawicielami Imperium, skoro nie przynosiło to poprawy losu gatunków, z którymi nawiązywaliśmy kontakt?

– Uważam, że na dłuższą metę reputacja ma znaczenie – powiedziałem do Clavera. – Ma pan rację, ci Tau to krętacze, ale miałem nadzieję, że z czasem zaczną nam ufać i polegać na nas. Może to naiwne z mojej strony, ale tak właśnie to widzę.

Claver odpowiedział długą, głośną salwą śmiechu.

– Chyba sobie żartujesz! – powiedział w końcu. – Słuchaj, synku, im większe miasto, tym gorsi mieszkańcy. A cała ta stacja to jedno ogromne miasto! Każdy z tutejszych będzie gotów poderżnąć ci gardło za samą możliwość sprzedania własnej mamuśki, za którą zresztą chętnie weźmie nawet pogiętą monetę kredytową. A ci z dołu, z powierzchni planety, są jeszcze gorsi!

Potem zrobił coś, co mnie zaskoczyło. Chodziło nie tyle o sam czyn, ale o bezczelność, jaką przy nim okazał. Podszedł do dziurawej skrzynki, sięgnął do niej i wyciągnął garść pobrzękujących monet. Ponownie wyciągnął dłoń, jednak tym razem chwyciłem go za nadgarstek.

– Co ty wyprawiasz, specjalisto? – warknął.

– Powstrzymuję próbę zuchwałej kradzieży, sir!

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Czyś ty zdurniał? Nie możemy zostawić tych monet na ulicy. Napcham nimi kiesę i sugeruję, żebyś zrobił to samo. Razem zaniemiemy tę gotówkę w bezpieczne miejsce.

Ten adiunkt zaczynał mnie mocno wnerwiać. Poczułem, że muszę powiedzieć coś, co go zmartwi.

– Sądzę, że powinienem pana poinformować, adiunkcie Claver, że zgłoszę to zajęcie centurionowi Gravesowi.

Claver parsknął.

– Dam ci dobrą radę, dzieciaku. Za tydzień twoja banda zostanie tu sama. Nie dorobiłbym się tej siwej czupryny, gdybym popełniał błędy. Powinieneś nauczyć się jak najwięcej od starego wygi, zamiast podskakiwać.

Powiodłem ręką dookoła.

– Straciliśmy kilkoro ludzi. Braliśmy łapówki i pomagaliśmy handlarzom bronią. Czy pana zdaniem nie warto tego zameldować?

Chwilę szamotał się ze mną, ale szarpnąłem go za ramię, aż monety wpadły z powrotem do skrzynki. Claver ryknął z wściekłości.

– To ty nie chciałeś wziąć napiwku, prawda? – zapytał. – Nie chcesz swojej doli? Niech ci będzie. Leć, wypapłaj wszystko. Powiem więcej, możesz mnie nawet zakablować temu swojemu nadętemu trybunowi. Germanica i tak wkrótce się stąd zabierze.

Gdy upewniłem się, że Claver nie ma już żadnych monet, puściłem go. Powlókł się do ślizgacza i powiedział coś do niebieskiego żółwia. Ku mojemu zaskoczeniu wystartowali i odlecieli.

Adiunkt Leeson porzucił swoje stanowisko na schodach banku i podbiegł do mnie.

– Co zrobiłeś? – zapytał.

– Yyy... mieliśmy różne poglądy na pewne sprawy, sir.

– No bez jaj! – odparł. – Odleciał tak po prostu? A co mamy, do jasnej cholery, zrobić z tymi „klientami” i ich forszą?

– Skoro już o forsie mowa – powiedziałem – to Claver próbował ją podebrać.

Leeson spojrzał na mnie zdumiony.

– Wkurwiłeś go, prawda? A czy nie przyszło ci do głowy, że to on jest naszym przewodnikiem na tej planecie? I że ani ty, ani ja nie mamy pojęcia, jak działa to społeczeństwo, podczas gdy on przez kilkadziesiąt lat bywał tu wiele razy?

– Coś o tym wspomniał – przyznałem.

Gdy Clavera już nie było, nastawienie funkcjonariuszy Tau wokół nas uległo zmianie. Ci, którzy badali zmarłych klientów, podeszli do nas i powiedzieli coś w swoim kłokoczącym języku. Claver zabrał ze sobą translator, ale zrozumieliśmy mniej więcej, o co chodzi, gdy jeden z nich wyciągnął rękę dłonią do góry i wykonał gest chwytania.

– Sir, on chyba oczekuje zapłaty – powiedziałem Leesonowi.

Adiunkt szeroko rozłożył ręce.

– Co za bajzel! Jak możemy mu zapłacić? I skąd mamy wiedzieć, ile jesteśmy im winni?

Tau wskazał na pękniętą skrzynkę z gotówką na schodach banku.

– Nie! Mowy nie ma – zaoponował Leeson. – To pieniądze naszych klientów!

Wyraźnie rozdrażnieni sanitariusze zostawili nas. Zabrali ze sobą ciała, a ja śledziłem każdy ich ruch, aby mieć pewność, że nie ruszyli gotówki. Inni funkcjonariusze pobierali szczątki zbirów i cywili. W każdym przypadku badali trupa, aby sprawdzić, czy opłaca się przywracać go do życia. Kilku było tego wartych – tych ostrożnie załadowano na latające maszyny. Resztę wrzucono na kupę na jeden wózek i zabrano. Coś mi mówiło, że te ciała skończą w rzece szlamu,

która płynęła pod ulicami. Tau nie okazywali zbytniego szacunku zmarłym, chyba że tym najbardziej majątnym.

– Co z Claverem? – zapytałem Leesona.

Na moje pytanie odpowiedział Harris:

– Przerzucił swoje łącze do jakiejś skrzynki zasranej wiadomościami. Co ci to mówi, McGill? Jest na ciebie zbyt wkurwiony, by nam pomóc!

– A sztab? Kiedy możemy spodziewać się pomocy?

Adiunkt Leeson westchnął i zbliżył się do mnie. Objął mnie ramieniem... jednak nie był to przyjazny gest. Mówił mi prosto do ucha.

– Widziałeś, jak biorę w łapę, żołnierzu? – zapytał.

– Nie jestem pewien, sir – odpowiedziałem. – Niektórzy mogą tak to postrzegać.

– I myślisz, że mam ochotę tłumaczyć się z tego Gravesowi albo komukolwiek innemu?

– Yyy... nie, raczej nie.

– Otóż to. Załatwimy to sami. Jesteś już dużym chłopcem. Nie powinienes się martwić małą próbą napadu na bank.

Leeson zebrał grupę, połatał rannych i omówił możliwości działania z Harrisem.

Niebo pociemniało, gdy tak staliśmy przez kolejne pół godziny. Wydawało mi się, że weteran i Leeson nie bardzo wiedzieli, co mają robić. Może czekali, żeby sprawdzić, czy nasi klienci wrócą po swoją gotówkę. W końcu Claver mówił, że tak zrobią.

Gdy zapadła noc, firmy się pozamykały, a na ulicach zrobiło się pusto. Wtedy pojawiła się nowa delegacja. Tym razem stanęła u szczytu schodów do banku. W naszą stronę schodziła grupa lekkozbrojnych strażników.

Przeglądaliśmy się im uważnie. Każdy trzymał broń w gotowości, ale lufy mieliśmy opuszczone.

Mniej więcej w tym momencie zdałem sobie sprawę, że Claver nas wyrolował. Zostaliśmy z kredytami, których strzegliśmy, ale nie mieliśmy pojęcia, co z nimi zrobić. Zabrać je z powrotem do bazy? Nie byłoby to łatwe, nawet gdyby skrzynia nie była uszkodzona. Nie mogliśmy też zostawić całej tej forsy. Jaki potencjalny klient by nam zaufał, gdyby poszła fama o tym, co się stało?

Służyliśmy jako zbrojna obstawa, nasi klienci byli martwi, a kopnięty oficer, który nagrał tę robotę, dał nogę! Byliśmy uzbrojeni po zęby, a mimo to całkowicie bezradni. Zrobiło się niezręcznie.

Strażnicy zbliżali się krok za krokiem. Patrzyli na nas jak na zdziczałe zwierzęta z zoo, wypuszczone z klatek.

Leeson wystąpił naprzód, aby się przywitać, wyciągając rękę, jakby zapraszając do uścisku dłoni.

W pierwszej chwili cofnęli się. Chwilę o czymś zawzięcie dyskutowali, a potem jeden z nich wyciągnął lokalną dziesięciokredytówkę układu Tau i wepchnął ją w rękę Leesonowi. Adiunkt spojrzał zdezorientowany na monetę.

Wtedy strażnicy ruszyli naprzód dużo pewniej. Podeszli do zepsutej skrzynki i zajrzeli do środka. Od razu się podniecili i zaczęli pośpiesznie o czymś rozmawiać.

– Sir? – zagadnąłem Leesona, który obserwował kosmitów, niczego nie rozumiejąc. – Oni chyba próbują zabrać te pieniądze.

– I dobrze – odparł. – Właśnie to mieliśmy zrobić, prawda? Dostarczyć fundusze do banku. Jeśli ci strażnicy wniosą je po schodach, będzie to już ich problem, a my możemy skupić się na powrocie do domu.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, sir – powiedziałem.

– Ekhm... – chrząknął Harris. – Tutaj muszę się zgodzić z McGillem, sir. Tym strażnikom aż oczy się świecą z chciwości. Ukradną te pieniądze, gdy tylko się odwrócimy.

– Jeśli na Tau Ceti nie można zaufać bankowi, to komu? – zapytał Leeson.

– Ta forsa jeszcze nie jest w rękach banku. Poza tym to gotówka – podkreślił Harris przyciszonym głosem. – Niewykrywalne, archaiczne imperialne monety. Na Ziemi też niewielu jest gości, którym mógłbym w takich warunkach zaufać.

Leeson parsknął z niesmakiem. Najwyraźniej liczył, że uda mu się przerzucić problem na kogoś innego. Dobrze przynajmniej, że nie poświęcił całego tego czasu na obmyślanie kradzieży pieniędzy. Za to miał u mnie plusa. Zresztą wszyscy wiedzieliśmy, że nigdy nie uda nam się zabrać tych monet na Ziemię. Nie wspominając o próbie wydania ich na cokolwiek.

Leeson podszedł do strażników, imitując dłońmi strzelanie.

– Cofnąć się! – krzyknął. – Wracać do banku, złodziejskie sprzedawczyki! To nie wasze pieniądze!

Strażnicy nawrzeszczeli na niego poirytowani i nie ruszyli się. Cofnąłem się o krok i rozejrzałem się po ulicy. Było zaskakująco cicho. W godzinach pracy w zasięgu wzroku było zawsze co najmniej tysiąc osób. Teraz ledwie kilkanaście.

– Macie – rzucił Leeson z gniewem, wyciągnął dziesięciokredytówkę i wręczył strażnikom banku.

Przyjęli ją niechętnie i wycofali się, gdy Harris szturchnął kilku karabinem. Kiedy mijał mnie ostatni strażnik, chwyciłem go mocno rękawicą za nadgarstek.

– Byłbyś chory, gdybyś przepuścił okazję do bitki, co, McGill? – warknął Harris.

– Proszę przeszukać jego kieszenie – poradziłem.

Harris zrobił, jak prosiłem, podczas gdy kosmita syczał i prychał. W dłoni weterana zabrzęczały trzy monety, każda o nominale tysiąca kredytów. Harris wrzucił je z powrotem do skrzynki, a ja puściłem strażnika.

Rozmasowując rękę i wygrażając mi mackami gębowymi, wspiął się po schodach i wszedł do banku. Miałem dziwne przeczucie, że nie posyłał mi całusów.

– Dobra, McGill – powiedział Leeson. – Zamówiłem prywatny ślizgacz. Będzie drogo kosztował, ale za niego zapłacę. Niestety, dowiedziałem się właśnie, że dotrze tu dopiero rano. Wygląda na to, że latające pojazdy są automatycznie zestrzeliwane przez te bankowe konstrukcje po godzinach pracy. Zbyt wielu złodziei próbuje je obrabować. Nocujemy tutaj. Nie ma co, nieźle nam się poszczęściło.

– Hmm... – zamyśliłem się. – A gdzie są tutejsi gliniarze, sir?

– Oni nam nie pomogą. Po pierwsze, glinom w Świecie Postępu trzeba zapłacić, żeby pomogli. Naliczają opłaty za minutę. Po drugie, unikają nas jak morowej zarazy. Teraz reprezentujemy Imperium. Jesteśmy jak ludzie władzy, ale tacy, którzy wzbudzają u wszystkich pogardę i strach. Nie chcą z nami zadzierać, więc trzymają się z daleka. Tak czy inaczej, jesteśmy zdani na siebie.

– Została nam więc tylko jedna opcja – stwierdziłem. – Musimy zabrać te monety z ulicy i zanieść je do sztabu.

– Ta część miasta jest zamknięta po godzinach pracy, specjalisto. Sztab jest co najmniej dziesięć kilometrów stąd. Zaczekamy na ślizgacz.

– To może zaniemiemy tę forszę do dzielnicy cudzoziemców? – zasugerowałem, bo nie uśmiechało mi się spędzanie tutaj nocy. – Tam można wynająć transport o dowolnej porze. Znajdziemy lokalny ślizgacz z jednym z tych szajbniętych żółwi u steru. Na pewno się ucieszy.

Niektórzy trochę ponarzekali, ale koniec końców wszyscy zaakceptowali moją propozycję. Sięgnęliśmy pod pancerze i powyciągaliśmy spod nich bluzy, związując rękawy, żeby utworzyć worki. Każdy żołnierz napełnił worek do połowy, po czym wyruszyliśmy z monetami pobrzękującymi na naszych ramionach.

Kivi maszerowała u mojego boku.

– James, właśnie wyznaczyłeś nowy poziom w dziedzinie swoich zrytych pomysłów – oznajmiła.

– A co, wolałabyś strażować przez całą noc przy tamtej rozwalonej skrzynce?

– Nie – przyznała. – Rzeczywiście musimy się ruszać. Oczywiście wiesz, że Claver wróci po te monety?

Spojrzałem na nią, zaskoczony.

– Sam nie da nam rady – powiedziałem.

– Jasne, że nie, ale co innego, jeśli przyjdzie z całą jednostką żołnierzy Germaniki. I może jeszcze z tysiącem tubylców.

Jej słowa mnie zaniepokoiły.

– Naprawdę sądzisz, że panuje tu aż takie bezprawie? Że nasze legiony są do takiego stopnia skorumpowane?

– Zastanów się – powiedziała. – Po co Claver skrzyknął do tej roboty właśnie nas, a nie żołnierzy Germaniki? Nie wiem, po ile zwykle chodzą lewe interesy na tej planecie, ale to na pewno jakiś grubszy przekręt. Claver poszukiwał właśnie nas i wrobił nas w eskortowanie kasy na ślepo. A teraz zniknął. Wydaje mi się, że naprawdę ciągnie go do pieniędzy. A ty co o tym sądzisz?

Przemyślałem słowa Kivi i musiałem przyznać, że mądrze mówi. Myślała nad tym intensywnie, ja też powinienem to zrobić. Jednak

zbyt mocno skupiłem się na bieżącej sytuacji, by spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy.

– Może – zacząłem – to on zaaranżował tę katastrofę od samego początku? Jakim cudem te zaczepy grawitacyjne nawaliły? Żołnierze Germaniki mieli tę skrzynkę, zanim my ją przejęliśmy. I o ile pamiętam, znaliśmy już tych legionistów z widzenia.

Kivi pokiwała głową.

– Nareszcie twój mózg pracuje jak należy. Wpadliśmy po uszy w coś poważnego... coś, nad czym nie panujemy.

Zgłosiłem obawy Kivi Leesonowi, ale on wydawał się mnie nie słuchać. Czasami oficer tak bardzo nie chce usłyszeć złych wieści, że kompletnie je ignoruje. Leeson prezentował właśnie takie podejście.

– Maszeruj dalej! – krzyknął. – Przestań wszystko komplikować! Sam wymyśliłeś ten plan, McGill, i musisz z tym jakoś żyć, do cholery! Jeśli ktoś będzie do nas strzelał, odpowiemy tym samym. Jeśli nas pozabijają, to się wskresimy, a ja potem nakopię ci do dupy!

Każdy, kto kiedyś wędrował nocą przez obce miasto, wie, jak nieprzyjazne potrafią być takie miejsca. Wszędzie włóczyli się mieszkańcy. Większość z nich obchodziła nas szerokim łukiem. Gdy zadawaliśmy pytania przechodniom, tylko nieliczni mieli odwagę zaoferować nam towary wybrane na chybił trafił, jednak większość czmychała, jakbyśmy byli bandą potencjalnie agresywnych trędowatych.

Gdy już zostawiliśmy za sobą dzielnicę finansową, na wpół świadomie wyczekiwałem, że zlokalizuje nas pojazd ratunkowy ze sztabu, jednak się nie doczekałem.

Wlokłem się zmartwiony na szarym końcu szyku, wypatrując kłopotów. Mój pancerz zdążył już stracić połowę mocy. Wołałem nie myśleć, co będzie, gdy całkiem się rozładuje.

Wzdrygnąłem się zaskoczony, gdy weteran Harris cofnął się i podszedł do mnie. Nie był dla mnie zbyt miły od tamtego incydentu podczas ćwiczeń na „Minotaurze”. Jakby się nad tym zastanowić, nigdy nie był szczególnie zadowolony z czegokolwiek, co robiłem.

– McGill? – zagaikł. – Śpisz tam w tej swojej zbroi?

– Nie, weteranie – odparłem. – Wszystko gra.

– Ha! Na moje to jesteś pokrzywiony jak ten świr Claver!

Patrzyłem na niego, zastanawiając się, o czym właściwie chciał ze mną porozmawiać. Ponieważ sam nie dawał żadnych wskazówek, postanowiłem go trochę podpuścić.

– Weteranie, dlaczego nie spotkaliśmy się tu z żadnymi innymi jednostkami?

Harris parsknął.

– Powinieneś sam się tego domyślić. Jak już się domyślisz, to trzymaj gębę na kłódkę!

Zastanawiałem się nad tym przez jakieś pół minuty. Gdy tak rozmyślałem, zaczęło padać. Spadały na nas najprawdziwsze w świecie krople deszczu. Carlos miał rację. Jeśli Tau zainstalowali wysoko na sklepieniu układy odwilżające, to te urządzenia były kompletnie do niczego.

Nagle spojrzałem na przód plutonu. Maszerował tam Leeson. Sam. Wreszcie domyśliłem się, co jest grane.

– Oni się zmówili – stwierdziłem.

– Że co? Kto? – zapytał Harris.

– Leeson i Srebrnobrody. Siedzą w tym razem. Teraz to już wszyscy w tym siedzimy. Tkwimy w impasie. On nie chce, żeby ktokolwiek przybył nam na ratunek. On... Weteranie, czy on w ogóle złożył o tym meldunek?

Harris spochmurniał.

– Nikomu o tym ani słowa – wymamrotał. – Leeson zrobił to, co musiał. To równy gość, tylko nie na tyle bystry, żeby zorientować się, że wdepnął na minę.

Kiwając głową w zamyśleniu, przyznałem Harrisowi rację. Wzięliśmy łapówki, straciliśmy ludzi, a teraz maszerowaliśmy, niosąc na plecach worki z cennymi monetami kredytowymi. Z tego, co wiedziałem, ta gotówka była tak samo nielegalna tutaj, jak na Ziemi. Leesona czekałaby ostra reprymenda, gdyby ktoś wyższy rangą o wszystkim się dowiedział. Ktoś taki chciałby w pierwszej kolejności wiedzieć, który idiota dowodził tym fiaskiem.

– Leeson się boi – stwierdziłem.

– Ciii! Morda w kubel! Nie możesz tak mówić o swoim oficerze... Zwłaszcza jeśli to prawda. Po co ja w ogóle z tobą o tym gadam?!

– Bo w głębi serca coś pan do mnie czuje, weteranie. Nie, nie... nic pan nie musi mówić. Przecież wiem, że tak jest.

Taka gadka pasowała bardziej do Carlosa, ale mało mnie to obchodziło. Moje słowa wywołały efekt, na który liczyłem. Harris pokazał mi środkowy palec i wrócił na swoje miejsce, opieprzając żołnierzy, którym rozrywały się worki. Kazał im trzymać głowy w górze, a flinty i fiuty w gotowości.

Około północy dotarliśmy do bardziej cywilizowanego obszaru miasta. Tam zastaliśmy brzęczące ślizgacze do wynajęcia. Z utęsknieniem wyczekiwałem chwili, gdy będę mógł wspiąć się na jedną z tych łopoczących taksówek. Nie obchodziło mnie nawet, czy pilotem będzie zwariowany kosmita i czy jazda przyprawi mnie o pawia. Chciałem tylko wreszcie przekimać się na mojej koi.

Adiunkt Leeson potruchtał naprzód, przywołując gestem pierwszy środek transportu, jaki zobaczył. Machał ręką, a maszyna podlatywała coraz bliżej. Nagle, w chwili gdy osiadła płozami na brudnej ulicy, wycofała się i ponownie wzleciała w górę.

Słyszałem, jak Leeson rzuca mięsem, nawet bez włączonego kanału do rozmów dla oddziału.

– Widzieliście to? – zapytał. – Ci kosmici nazywają to cywilizacją? Przecież na pewno wiedzą, że mamy pieniądze. Możemy im zapłacić, ale oni nie chcą nas zabrać.

– Może mają nosa do potencjalnych kłopotów, sir? – zasugerowałem.

Leeson pomaszerował wzdłuż kolumny w moim kierunku. Wtedy już wiedziałem, że we wszelkich pogłoskach o mojej niewyparzonej głębie mogło tkwić ziarno prawdy.

Gdy do mnie podszedł, w jego oczach zobaczyłem zmęczenie i obłąd.

– O co ci chodzi, McGill? – zapytał groźnie.

Zdjąłem z pleców worek z monetami, sięgnąłem do środka i wyciągnąłem jedną z nich. Połyskiwała w słońcu, odbijając uliczne światła.

– Podejdę na postój taksówek na końcu tej dzielnicy. Będę machał tą monetą, aż któryś z tych chciwych drani połknie haczyk. Będzie musiał zwołać kumpli, żeby wziąć nas wszystkich, a ja do tego momentu już będę siedział w jego ślizgaczu.

Z twarzy Leesona zniknął ponury grymas. Ochłonął trochę i pokiwał głową. Wyciągnął rękę i zabrał mi monetę.

– Dobry plan – przyznał. – Ale ja to zrobię. Ty wyglądasz jak uzbrojona małpa. Nie chcę ich odstraszyć.

Zbiliśmy się w gromadę, patrząc, jak Leeson maszeruje na postój. Wszedł po stopniach, które brzęczały, jakby je wykonano z czarnego żelaza. Dotarł do szczytu schodów, przy których nikogo nie było, i uniósł monetę.

Effekt był natychmiastowy... ale nieoczekiwany. Adiunkt został zauważony, tyle tylko, że nie przez tego, kogo trzeba.

W naszą stronę sfrunął aerowóz z sześcioma Tau, a z miotacza zamontowanego na masce wystrzelił białoniebieski promień.

Leeson nawet nie wiedział, co go trafiło. Został spalony do samych butów. Złota moneta o wartości tysiąca kredytów potoczyła się z brzękiem i stukiem po metalowych stopniach.

– Zasadzka! – ryknął Harris. – Kryć się!

Żołnierze rozproszyli się, szukając osłony. Wyprostowałem się i wyciągnąłem swoje działo.

Aerowóz zrobił pętlę i zawrócił w naszą stronę, nabierając prędkości.

Cóż mogę powiedzieć? Zwyczajnie mi się poszczęściło. Strzeliłem pierwszy, bo musiałem. Fart polegał na tym, że promień mojej giwery był ustawiony na wąskie pole rażenia i zdołałem precyzyjnie trafić napastników już za pierwszym razem.

Wóz stracił stabilizatory z lewej strony i zaczął wirować. Rzuciłem się sprintem w poszukiwaniu kryjówki.

Pojazd roztrzaskał się na ulicy, wśród kaskad białych płomieni. Straciliśmy przy tym jednego z naszych. Nie byłem z tego zadowolony, ale reszta plutonu poklepywała mnie po plecach. Nawet Sargon podszedł, potrząsając głową z podziwem.

– Strzał pierwsza klasa, dzieciaku! – przyznał.

– Spróbuj ginąć trochę częściej – poradziłem mu. – Zauważyłem, że to wyostrza refleks.

Sargon roześmiał się i odszedł. Ogólnie rzecz biorąc, w akcjach z udziałem małych jednostek, standardową procedurą było rozdzielanie specjalistów, aby nie tracić ich za jednym razem. Natasha złamała tę zasadę i pospieszyła do mnie.

– James, jesteś cały?

– Ja tak, ale co do nich nie byłbym taki pewny – powiedziałem, wskazując na zwęglone szczątki Tau we wraku aerowozu.

Harris zwołał nas i nakazał odwrót z ulicy. Przeszliśmy do długiej, niskiej budowli, która wyglądała na opuszczoną. A może była po prostu w budowie. Na Świecie Postępu trudno było wyczuć różnicę.

Natasha szła obok mnie i nawijała.

– Obawiałam się, że może tak być – stwierdziła.

– Jak może być? – spytałem.

– Czekali na nas. Nie zauważyłeś? Wiedzieli, że będziemy tamtędy szli i że w dzielnicy finansowej jest zakaz lotu. Zaczaili się więc na nas w części dla turystów. Założę się, że ktokolwiek na nas poluje, opłacił wszystkich taksówkarzy, żeby dostać cynk.

– A kim właściwie są ci „oni”?

Spojrzała na mnie jak na tępaka. Często tak bywa, ale sędzę, że to dlatego, że gdy czegoś nie kumam, nie kryję się z tym. Wielu ludzi woli udawać, że wiedzą, o co chodzi, nawet jeśli tak nie jest. Z zasady zgrywam oblatanego tylko podczas flirtu z płcią piękną.

– Mam na myśli tych gangsterów, kimkolwiek byli. Tych, którzy próbowali gwizdnąć gotówkę pod bankiem.

– Hmm, możesz mieć rację – przyznałem.

– Kto inny byłby przygotowany, żeby na nas uderzyć w taki sposób?

– Pewnie każdy pierwszy lepszy złodziejaszek na tej stacji. Jakbyś nie zauważyła, wszyscy tu mają lekką obsesję na punkcie błyszczących monet.

– Powinniśmy po prostu porzucić tę kasę – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Po co mamy dać się zabić? Zrobiliśmy swoje. Nie dostaniemy żadnej premii za śmierć w walce o skarb jakichś kanciarzy.

– Może masz rację, ale pluton przyjął zapłatę. Musimy wyrobić sobie markę w tym świecie. Jeśli ci goście pomyślą, że aż tak łatwo mogą nas pogonić, to jak twoim zdaniem będzie wyglądała reszta misji?

Natasha potrzebowała chwili, by przetrwać tę myśl.

– Czyli mówisz, że musimy pokazać, jacy jesteśmy twardzi, i oddać monety ich właścicielom, nawet jeśli są kanciarzami?

– Powinniśmy przynajmniej wrócić do sztabu i pokazać, że nie daliśmy się pobić.

– Skoro już o tym mowa, to czemu nikt po nas nie przyjechał? Musieli już przecież kogoś wysłać.

– Jeszcze o tym nie słyszałaś, co? – zapytałem, a następnie podzieliłem się z nią strzępkami informacji otrzymanymi od Harrisa.

– To znaczy, że Leeson w ogóle nie wzywał do nas nikogo? Nie do wiary! Poczekaj, połączę się z dowództwem.

Położyłem dłoń w rękawicy na jej ramieniu.

– Najpierw pogadajmy z dowódcą – poradziłem.

– Przecież Leeson nie żyje!

Wskazałem podbródkiem Harrisa. Truchtał wzdłuż szyku, co parę sekund patrząc w niebo.

– Weteranie! – zawołałem. – Ma pan chwilę?

Harris odwrócił się i już miał mnie ochrzanić, ale zobaczył dziewczynę. Zmarszczył brwi i podążył w naszą stronę.

– Streszczaj się i niech to będzie coś ważnego! Musimy być w gotowości bojowej. Bóg jeden raczy wiedzieć, kto jeszcze nas ściga.

– Weteranie – powiedziałem – Natasha łączy się z dowództwem. Zamierza wezwać wsparcie.

Harris zawahał się. Otworzył szerzej oczy i rozdziawił usta, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu kiwnął głową.

– Dobra. Leeson i tak wykorkował. Jeśli będzie miał nieprzyjemności przez ten numer, może winić tylko siebie. Specjalistko, wezwij kawalerię!

Natasha zaczęła czarować. Po równych dziesięciu sekundach miała już na linii Gravesa, który był ostro wpieniony.

– Od paru godzin czekam na wieści od was! – odezwał się w słuchawkach wszystkich żołnierzy plutonu. – Techniku, połącz mnie z Leesonem.

– Przykro mi, sir, ale poległ.

Graves milczał przez sekundę. Widziałem, jak Natasha zmniejsza liczbę osób na kanale. Po chwili linia była otwarta wyłącznie dla podoficerów i oficerów. Tyle tylko, że oficerów akurat nam zabrakło.

– Poległ? A, rzeczywiście, widzę to teraz w systemie. Jest w kolejce do wskrzeszenia. Chyba przełożę to na rano. Na razie może sobie poczekać w otchłani.

Przeszedł mnie dreszcz. Czy Graves mógł to zrobić? Zostawić człowieka martwego przez całą noc tylko dlatego, że miał taki kaprys? Jak dla mnie, znaczyłoby to, że posiada niemal boską moc, ale z drugiej strony, sam proces ożywiania poległych w nowych ciałach był mocno odjechany. W najlepszym razie.

– No dobrze – podjął Graves. – Claver pokazuje mi się jako dowódca. Dlaczego nie ma go na tym kanale?

– Ekhm... – chrząknęła Natasha. – Bo także jest niedostępny.

– To kto dowodzi plutonem?

– Weteran Harris, sir.

Graves westchnął ciężko.

– Harris, nie czaj się! Opowiadaj. Co się stało z waszymi oficerami?

Harris zaczął raportować zbolalym tonem:

– Claver nas zostawił, sir. Zabrał ślizgacz, którym wylecieliśmy ze sztabu, i zwiął, gdy pod bankiem zrobiło się paskudnie.

– Pod bankiem? Jakim znowu bankiem?

– Yyy... czy zna pan szczegóły misji, którą wykonujemy? – zapytał Harris.

– Wychodzi na to, że guzik wiem! Jest już po północy, a wy szlajacie się po ulicach. Tyle wiem!

Harris zacisnął zęby i przymknął oczy w wyrazie udręczenia. Wiedziałem, że niczego nie cierpiał bardziej niż zbierania opieprzu za cudze błędy. No, może poza umieraniem.

Natasha klepnęła mnie w ramię, a ja odwróciłem się od dramatycznej sceny, w której Harris usiłował wyjaśnić, jak nam minął dzień. Graves ubarwiał jego raport klątwami i pogrózkami.

– Co jest? – zapytałem.

Wskazała na coś palcem. Spojrzałem w tamtym kierunku.

Zobaczyłem tłum Tau. Wyglądali jak armia.

– Są też za nami – powiedziała Natasha, wskazując w przeciwnym kierunku.

Obejrzałem się. Miała rację. Schodzili się ulicami z każdej strony. Wszyscy byli okryci takimi samymi bordowymi barwami. Nie korzystali jednak z drogich projektorów. Iluzoryczne ubrania migotały ponuro i jaskrawo. Dawało to upiorny efekt. Wyglądali na ubranych w połyskujące szaty w kolorze zmierzchu.

Sunęli naprzód, szykując broń. Byli coraz bliżej.

Wyciągnąłem rzygacz i pacnąłem Harrisa rękawicą w hełm. Wiedziałem, że to uwielbia.

– McGill, co ty, do cholery... – zaczął.

Omiótł wzrokiem otoczenie. Wokół nas żołnierze kucali i szykowali broń.

– Jasny gwint! – warknął Harris. – Niech ktoś mi powie, że to cywile!

– Myślę, że tak, weteranie – powiedziałem. – Ale wydaje mi się, że są uzbrojeni i dobrze opłaceni. A może po prostu żądni pieniędzy.

Tym razem to my pierwsi otworzyliśmy ogień. Gdy tylko zobaczyliśmy, jak wyciągają spod połyskujących pseudoubrań swoje krótkolufowe automatyczne pistolety, nie wahaliśmy się ani chwili dłużej.

Ktoś musiał powiedzieć tym gościom, że przenosimy fortunę, co było stuprocentową prawdą. Prawdopodobnie dostali też cynk, że straciliśmy przywódcę i pobiłaliśmy, co już niezupełnie było prawdą.

Na pewno jednak nie byliśmy słabi. Pod względem uzbrojenia i przeszkolenia ten motłoch nie dorastał nam do pięt. Naparzialiśmy w nich promieniami i pociskami, aż roznieśliśmy w pył linię frontu.

Szczerze mówiąc, oczekiwałem, że w tym momencie przeciwnicy zrobią w tył zwrot i uciekną z krzykiem. Opuściłem nawet lufę rzygacza. Jednak kiedy dym się rozwił, zobaczyliśmy, że jest ich jeszcze więcej niż przedtem. Na Ziemi moglibyśmy rozpędzić każdy tłum, jednak tutaj nie mieliśmy do czynienia z ludźmi.

Mogłem tylko przypuszczać, że chciwość była dla Tau tak potężnym motywatorem, że pozbawiała ich wszelkich skrupułów oraz instynktu samozachowawczego. Najwyraźniej u tych istot było to uczucie porównywalne z nienawiścią, a może nawet z miłością.

Zamiast wiać, przypuścili szarżę całą rozedrganą masą. Posypał się na nas wybuchowy śrut. Kilku moich kolegów było tak zaskoczonych, że zapomniało zamknąć hełmy. Dwaj legionieści oberwali pociskami po twarzach i ponieśli natychmiastową, brutalną śmierć.

Rozkręcając celownik broni jak najszerzej, ustawiłem pole rażenia w kształt szerokiego stożka. Kolejnym strzałem zmiotłem setkę napastników, fundując ich nieosłoniętej skórze dawkę energii o temperaturze około tysiąca stopni Celsjusza. Nie czułem się z tym zbyt dobrze, ale w końcu to nie my zaczęliśmy tę walkę.

Potem znaleźli się zbyt blisko. Nie zdołałem oddać kolejnego skutecznego strzału. Musiałem rzucić działo, zaprzeć się nogami i wyciągnąć noże bojowe. Wszędzie wokół mnie żołnierze robili to samo.

Przeszliśmy do starcia bezpośredniego. Walczyliśmy zaciekle z drżącymi, upiornymi istotami, ubranymi w kolorowe światła. Migotali, gdy w nich uderzaliśmy. Dopiero gdy ginęli i zasilanie ich iluzorycznych obwodów padało, mogliśmy zobaczyć, jak naprawdę wyglądają ich ciała. Różowi, pokryci węzłowatymi żyłami, umierali w konwulsjach u naszych stóp.

Tworzyli wokół nas wyjący mur może przez jakieś dwie minuty. Tyle wystarczyło. Potem szaleństwo minęło. Walka się skończyła i mniej więcej połowa z nas wciąż pozostała przy życiu. To chyba znaczyło, że wygraliśmy.

Sargon poległ, Natasha była ranna, ale dawała radę ustać, chwiejąc się na jednej, zeszywniałej nodze, weteran Harris leżał na wznak, ale nadal oddychał. Carlos też przeżył i ten jeden raz nie miał w zanadrzu żadnej dowcipnej uwagi.

– Aż się wierzyć nie chce! – powiedział, patrząc na ciała. – Tak bardzo pragną tych galaktycznych kredytów? To wariactwo!

– Nie wiem – odparłem. – Może kierowało nimi coś innego. Strażnikom w banku nie odbiło aż tak bardzo. Ale oni? Cemu to zrobili? I to właśnie teraz?

Carlos pokręcił głową i poszedł pomagać ocalałym stanąć na nogi i pozbierać porzucany sprzęt i monety.

– Może pan wstać, weteranie? – zapytałem Harrisa.

Miał twarz zlaną potem i otwartą zasłonę. Oddychał ciężko i z przerwami.

– A czy wyglądam, jakbym miał wstawać? – zapytał charczącym głosem.

Spojrzałem na jego twarz i sprawdziłem funkcje życiowe. Jeśli się nie myliłem, miał przerwany rdzeń kręgowy. Tył jego pancerza przyjął mnóstwo pocisków i wyglądał, jakby ktoś potraktował go młotem pneumatycznym.

Harris popatrzył na mnie i nagle wybuchnął niemal szaleńczym śmiechem. Widziałem jego różowy język i zęby obrysowane na czerwono.

Gdy zamilkł, nie zamknął ust. Po prostu dalej gapił się na mnie z rozdziawioną gębą, z wyrazem rozbawienia zastygłym na twarzy.

Był tak martwy, że bardziej się nie dało.

Natasha położyła dłoń na moim ramieniu. Miała umorusaną twarz i wyglądała na poranioną i podenerwowaną.

– Teraz ty dowodzisz, McGill. Jesteś najwyższym rangą podoficerem.

– Szlag... – wymamrotałem.

Walczyłem już i ginąłem na różnych planetach, jednak Świat Postępu był zdecydowanie najdziwniejszą z nich. Mniej więcej dziesięć minut po zakończeniu walk pojawili się funkcjonariusze do spraw zgonów. Tak jak poprzednio, o nic nie pytali ani nie wypełniali raportów. Nie zadawali sobie trudu, by ustalić, co zaszło i kto ponosił za to winę. Chcieli wiedzieć tylko, kto zginął i czy uda im się coś zarobić na zwłokach.

Wychodziło na to, że Ponury Żniwiarz zebrał tym razem dość liche plony. W porównaniu ze względny podnieceniem, jakie okazywały te hieny cmentarne, gdy nasi pierwotni klienci wykorkowali na schodach banku, tym razem funkcjonariusze byli wyraźnie zdegustowani. Kopali szczątki i ładowali je hurtem na ślizgacz.

Podszedłem do tego, który stał najbliżej.

– Mówisz po angielsku? – zapytałem.

– Trochę – odparł. – Nie będzie interesów!

Parsknąłem i wyciągnąłem do niego rękę, aby zobaczyć, co trzymam. Była to złota moneta. Imperialna moneta. Najwyraźniej wszyscy na stacji Gelt zdawali sobie sprawę, że jest bezcenna.

Próbowałem ją podebrać, ale ja byłem szybszy. Zacisnąłem pięść i wskazałem na ślizgacz, na który ładowali ciała.

– Podwieź nas tym. Dostaniesz jedną taką monetę teraz, a drugą jak dotrzemy na miejsce.

– Dwie? – upewnił się, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

– Dwie – potwierdziłem z całą stanowczością. – Stoi?

Obrzucił wzrokiem zwłoki. Wiedziałem, że kalkuluje zysk, jaki mógłby z nich mieć, i porównuje go z moją ofertą. Zastanawiałem się, jaką wartość stanowiła na tej stacji sterta jeszcze ciepłych szczątków i jakim celom mogła służyć. Jednak jeśli chodziło o porównanie wartości w kredytach, nie było nad czym deliberować.

– Chodźcie szybko – polecił, wskazując ślizgacz i trajkocząc do urządzenia łącznościowego. Hieny natychmiast zaczęły zrzucać ciała

ze ślizgacza, uwijając się jeszcze szybciej niż przy ich załadunku.

Pomachałem do swoich ludzi. Każdy z nas powlókł jednego z poległych. Dla nas zmarli byli cenniejsi niż dla tych trupojadów – w końcu musieliśmy oddać ich sprzęt do recyklingu.

– Nie zostawiajcie nawet jednego worka monet na pastwę tych maszkar! – rozkazałem.

Nie dyskutowali, szli za mną najszybciej jak mogli. Brnęliśmy między trupami, ślizgając się i potykając. Gdy znaleźliśmy się już na pokładzie ślizgacza, wręczyłem monetę gościowi, z którym ubiłem interes.

– Tylko bez głupich żartów – ostrzegłem – albo was pozabijamy!

Kosmita uśmiechnął się szyderczo, rozcapierzając szeroko macki gębowe.

– Tu, na Świecie Postępu, nie ma żartów – oświadczył.

Potem wystartowaliśmy. Poczułem, jak Natasha klepie mnie w ramię.

– Graves się odzywał – powiedziała. – Czekaj na kolejny raport.

– Powiedz, że wszystko dobrze – poprosiłem. – Wrócimy do domu na śniadanie.

Podróż w powietrzu po pieszej tułaczce zawsze wydaje się niemal cudem. Niebo było jak inny świat. Mknęliśmy ze zwyczajową zawrotną prędkością. Zacząłem podejrzewać, że mieszkańcy tej planety pilotują jak wariaci, bo mają dobry powód – zakładają, że każdy przechodzień będzie chciał ich zaatakować. Trudno było porwać pojazd mknący lotem błyskawicy.

Wylądowaliśmy na dachu kwadratowego pastonowego bloku, który służył nam za sztab. Byli tam legionieści – niektórzy trzymali straż, inni po prostu mieli przerwę. Patrzyli na nas z zaskoczeniem i zaciekawieniem, ale gdy zobaczyli, że połowa ludzi zwisa bezwładnie w pancerzach, pospieszyli z pomocą.

Nasi specjaliści biologiczni stanowią wyjątkową kategorię żołnierzy. Po trosze sanitariusze, po trosze grabarze, opatrzyli rannych i rozebrali zmarłych. Patrzyłem na ciała, które znoszono na niższe poziomy, zwłaszcza na Harrisa. Wciąż czułem się dziwnie, wiedząc, że następnego ranka będzie się na mnie wydierał, choć teraz jest kawałem obwisłego mięcha.

Zadałem sobie pytanie, czym różnimy się od handlarzy śmierci, których było pełno na każdym pobojuwisku na Świecie Postępu. Oni szukali zysku, a my surowców do odbudowy nowych wersji naszych poległych.

Znałem ten proces lepiej niż większość żołnierzy. Biosi lubili świeże ciała. Posyłali je w trzewia swoich machin, tak jak wrzuca się drewno do ognia. Nazywali to „recyklingiem”. Zbyt długie roztrząsanie tego tematu nadal potrafiło przyprawić mnie o ciarki.

Najpierw coś przekąsiłem, a potem wreszcie odnalazłem koję. Opatrzyłem kilka drobnych ran i pociągnąłem solidny łyk ciepłego piwa. Padłem na łóżko i natychmiast usnąłem.

Po pewnym czasie – wydawało mi się, że ledwie po paru sekundach – obudził mnie kopniak w bok. Otworzyłem oczy, przekonany, że moim oprawcą okaże się Harris. Tymczasem stał nade mną centurion Graves.

Każdemu innemu w takiej sytuacji kazałbym spieprzać, ale do Gravesa nie można było tak się odzywać – zwłaszcza gdy miał ponure spojrzenie i zaciśnięte wargi.

– Tak, sir? – zapytałem.

– Co tam się działo, specjalisto? – zapytał Graves.

Rozejrzałem się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Był pusty. Oczywiście kilku moich towarzyszy broni poległo zeszłej długiej nocy, ale przecież nie wszyscy. Graves pewnie kazał wszystkim wyjść.

– Oj, działo się, działo, sir. Claver poprowadził nas ku serii niefortunnych konfrontacji.

Graves wyciągnął połyskujący złoty krążek. Rzucił monetę mnie, a ja ją schwyciłem. Na obu stronach były wyryte faliste galaktyczne symbole numeryczne.

– Jest warta dwa kredyty do potęgi dziesiątej – oznajmił Graves. – Albo tysiąc dwadzieścia cztery w naszym systemie liczbowym. Dlaczego w moim gabinecie jest tego dwadzieścia worków?

– Tylko dwadzieścia? – zapytałem zaniepokojony. – Każdy niósł jeden... Mam nadzieję, że żaden z nich nie trafił gdzie indziej.

Graves pomachał mi dłonią przed nosem, jakby chciał wymazać te słowa z powietrza.

– Nie przeliczyłem ich. Pytam o to, jak, u licha, weszliśmy w ich posiadanie!

Zdałem mu szczegółową relację. Nie wspomniałem tylko o tym, jak oceniam udział Clavera, bo to wydawało się oczywiste. Na koniec zapytałem, czy Claver wrócił do sztabu.

– Nie – odrzekł Graves jadowitym tonem. – Dołączył ponownie do Germaniki. Co dziwne, jest chyba jednym z nielicznych legionistów Germaniki, którzy są już na pokładzie „Minotaura”. I tutaj do akcji wchodzisz ty, specjalisto.

– A co mam zrobić, sir?

– Rano złożymy mu wizytę.

Pojękując, przetarłem oczy.

– A ile zostało do rana?

– Jakies dwie godziny. Prześpij się.

Klapnąłem z powrotem na prycę i westchnąłem ciężko, wydychając całe powietrze z płuc. Czasem nie byłem pewien, czy w ogóle chciałbym być wskrzeszony po kolejnym zgonie.

Następny dzień ciągnął się niemiłosiernie, aż w końcu dotarliśmy na „Minotaura”. W towarzystwie Gravesa musiałem przyznać, że stanowisko oficerskie wiąże się z pewnymi nieoczekiwanymi przywilejami. Nie musieliśmy korzystać z transportu publicznego na własny koszt, bo posłano po nas obu pinasę.

Wsiedliśmy na mały statek tuż przed południem i popędziliśmy w stronę ciemnego, ogromnego zarysu „Minotaura”. Z zewnątrz okręt był jeszcze bardziej imponujący, niż wcześniej sądziłem. Cała burta jeżyła się od ciężkich dział. Nie znałem się na tym uzbrojeniu, ale słyszałem, że są to działa akceleratorowe.

Ziemia nigdy nie miała prawdziwego kosmicznego okrętu, jednak teraz takie jednostki stawały się coraz powszechniejsze. „Minotaur” służył nie tylko do transportu. Mógł również z powodzeniem brać udział w bitwie. Była to kapitalna łajba, istna machina zagłady.

Graves siedział w ponurym milczeniu, gdy pinasa trzęsa się i kołysała, usiłując zadokować.

– Sir? – zapytałem. – Dlaczego wszystkie działa „Minotaura” znajdują się tylko na jednej burcie?

Popatrzył na mnie tak, jakby dopiero przypomniawszy sobie, że zabrał mnie ze sobą. Widziałem, że nad czymś intensywnie myśli. Przez cały ten czas trącał palcem swojego stuka i gapił się przez okno pinasy.

– To dość standardowe rozwiązanie konstrukcyjne – powiedział. – Gdy jakiś świat jest bombardowany, to znajduje się po stronie jednej burty. Na wypadek starcia z wrogimi jednostkami w dużym okręcie całe ciężkie opancerzenie kadłuba i wszystkie działa montuje się zwykle po jednej stronie. Przy takich odległościach mało prawdopodobne jest, żeby jednostka została otoczona przez nieprzyjaciół i ostrzelana z więcej niż jednego kierunku równocześnie.

– A gdyby tak się jednak stało?

– Wtedy taki okręt i tak byłby spisany na straty.

Pokiwałem głową, myśląc o tym. Bitwa w zwykłej przestrzeni kosmicznej – czyli, o ile wiedziałem, w jedynym miejscu, w którym może się odbywać – zwykle rozgrywała się w promieniu od tysiąca do miliona kilometrów. Przy takich dystansach rzeczywiście liczyła się tylko jedna burta statku.

Konstrukcja „Minotaura” była asymetryczna. Wyglądał, jakby miał wielki garb. Pożeglowaliśmy wokół niego, a potem pod nim, do hangaru znajdującego się przy drugiej burcie.

Gdy wysiadaliśmy, centurion Graves poszedł pierwszy. Towarzyszyłem mu w pełnym rynsztunku i nawet ja wiedziałem, że nie jest to normą podczas przyjacielskiej wizyty na terytorium innego legionu. Nie protestowałem, bo zawsze czułem się bardziej komfortowo wśród nieprzyjaznych twarzy, gdy byłem uzbrojony po zęby.

„Minotaur” wydawał się opustoszały, gdy szliśmy przez jego ogromną ładownię. Nasze kroki odbijały się echem od ścian. Nikt nie wyszedł nam na powitanie, ale Graves nie wydawał się tym zniechęcony. Maszerował dziarsko w stronę kwater załogi, jakby był u siebie.

Pięć poziomów od rufy i dwa nad ładownią znaleźliśmy miejsce, gdzie zaszyły się trzy jednostki Legionu Germanica. Legioniści byli

zajęci planowaniem i szykowaniem sprzętu. W mesie oficerskiej spotkał się z nami centurion nazwiskiem Dubois. Mówił z lekkim francuskim akcentem i nie odnosił się do nas zbyt przyjaźnie.

– Centurionie Graves – zaczął – rozumiem, że macie jakiś kłopot z nowym kontraktem. To dość nieoczekiwane.

– Odniosłem wrażenie, że Germanica miała nam pomagać w okresie przejściowym – odparł Graves. – Czy może się myłę?

Dubois wzruszył ramionami.

– Nie spodziewaliśmy się, że doświadczony legion popełni poważne błędy przy tak łatwym zadaniu.

Graves zmrużył oczy. Widziałem, że się wkurzył, ale żeby to odczytać z jego twarzy, trzeba było doświadczenia. Nie należał do przesadnie wylewnych ludzi.

– Nie mamy kłopotów z zadaniem – wyjaśnił Graves – tylko z naszą współpracą. Claver wyciął nam niezły numer. Jak rozumiem, ukrywa się tutaj, na pokładzie „Minotaura”?

Dubois zaśmiał się.

– Ukrywa się? Nie bardzo. Teraz jest zajęty. Dokonuje ostatnich koniecznych poprawek, żeby przystosować się do biosfery. Obawiam się, że nie mogę go wam oddać.

Graves wziął garść monet i upuścił je na podłogę. Dzwoniły i pobłyskiwały złotem. Na Ziemi nie widziałem monet nigdzie poza muzeum, więc nie znałem ich uroku i hipnotycznego efektu.

Dubois nie mógł się oprzeć. Wpatrywał się w nie, aż znieruchomiał.

– Czy to jakaś próba przekupstwa? – zapytał.

– Właśnie to znajdowało się w ostatniej skrzyni, którą Claver kazał nam transportować. Pozostałe zawierały broń. Nieznanego pochodzenia. Przekazano je grupie strzeżonej przez żołnierzy Germaniki w Wylotach. Handlarze bronią przekazali mojemu plutonowi dużą ilość nielegalnych środków płatniczych, a moi ludzie nie zrozumieli ani nie zaaprobowali tego działania. Następnie moi żołnierze zostali kilkakrotnie zaatakowani przez zbirów w mieście.

– Co w tym dziwnego? – burknął Dubois. – Każdy głupi wie, że nie można paradować z takimi pieniędzmi w żadnym mieście, na żadnej planecie. Nie mogliście chyba wybrać na takie wygłupy gorszego miejsca niż Tau.

Graves i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Centurionie, chyba nie do końca zrozumiał pan, o czym mówię – powiedział Graves. – Wasz człowiek, Claver...

– Jest teraz zajęty – dokończył Dubois i westchnął. – Dziękuję panom za wizytę. Podziękuję wam ponownie, gdy już wsiądziecie na pinasę i stąd wylecicie.

Graves powoli pokręcił głową.

– Nic z tego. Jeśli nie podejmie pan działań dyscyplinarnych, będę zmuszony wziąć sprawę w swoje ręce.

– To znaczy?

– Chcę zobaczyć się z Claverem. Był przydzielony do mojej jednostki i miał wykonywać moje rozkazy. Z mojego punktu widzenia jest jednym z moich legionistów i dopuścił się dezercji.

Dubois roześmiał się ponownie, tym razem wyraźnie złośliwie.

– Z przykrością muszę odmówić. Jego przydział do waszej jednostki został anulowany. A teraz panowie wybaczą, ale podróż czeka...

– Nie tak szybko! Skontaktowałem się z Hegemonią, używając kosztownego łącza FTL, wynajmowanego przez Tau w pilnych sytuacjach. Wysyłają ludzi z góry, aby zbadali tę sprawę.

Po raz pierwszy zarówno Dubois, jak i ja byliśmy zaskoczeni.

– A niby dlaczego Hegemonię miałoby to obchodzić? – wybuchnął Dubois.

– Ponieważ zgłosiłem im pogwałcenie prawa galaktycznego. Nie mieli wyboru. Musieli podjąć działania.

Dubois zrzędała mina i opadła szczeka.

– Że co proszę? To jakiś absurd! Przecież to Świat Postępu, człowieku! Nie do wiary, że robicie taką aferę o zwykły handel bronią. Na tej planecie łapówki i łamanie prawa są na porządku dziennym. Nikt wam o tym nie powiedział?

Graves przytaknął.

– Owszem, poinformowano nas o tym. Najwyraźniej to wasz legion nie dostał wiadomości. Centurionie, nie chodzi o handel bronią, choć angażowanie sił pokojowych w coś takiego to szczyt szaleństwa. Sęk w tym, że Ziemia jest teraz oddziałem egzekucyjnym Galaktyków w tej części Drogi Mlecznej. Na wypadek gdyby pan nie wiedział, informuję, że na Rubieży 921 posiadanie

galaktycznych monet kredytowych i wykorzystywanie ich w transakcjach jest nielegalne. Nie tylko na Ziemi. Monety zostały zakazane przez Układy Centralne i samo ich posiadanie stanowi wykroczenie na szczeblu galaktycznym. A zatem Tau i imperialny personel egzekucyjny dopuścili się przestępstwa w skali imperialnej. Teraz reprezentujemy Imperium, pamięta pan? Wasz człowiek, Claver, ułatwił tę operację. Słucha pan uważnie?

W tym momencie centurion Dubois wreszcie zaczął słuchać. Uniósł rękę i pstryknął palcami. Obok niego zjawił się adiunkt.

– Niech Claver przykula tu swoje dupsko!

Adiunkt zniknął. Nie musieliśmy długo czekać. Claver wkrótce wynurzył się z pobliskiego korytarza, idąc niespiesznym spacerkiem, jak człowiek wolny od trosk.

– A, Graves, tu jesteś! – powiedział. – Przyznam, że trochę się zdziwiłem, widząc cię na pokładzie okrętu.

Graves zignorował go i zwrócił się do centuriona Dubois.

– Czy da mi pan pozwolenie na objęcie dowództwa nad tym oficerem? – zapytał oficjalnym tonem.

Dubois kiwnął głową.

Graves obrócił się w moją stronę.

– McGill, aresztuj tego człowieka. Zabieramy go z powrotem na jego posterunek.

Uśmiechnąłem się i wystąpiłem naprzód, pogrążając pancerzem. Już rozumiałem, po co dowódca zabrał mnie ze sobą. Robiłem tu za mięśniaka. I byłem całkiem nieźle zmotywowany.

Claver uniósł górną wargę, gdy wyciągnąłem do niego dłoń w zasilanej rękawicy.

– Nie trzeba – powiedział. – To zwykłe nieporozumienie.

– Pomówimy o tym w drodze powrotnej na stację – zapewnił go Graves.

Odebrałem Claverowi broń boczną. Nie stawiał oporu. Ruszyliśmy z powrotem do pinasy. Na czele Graves, za nim gderający Claver, a na końcu ja.

Uśmiech nie schodził mi z twarzy, gdy byliśmy już na statku. Chyba jeszcze nigdy aresztowanie kogoś nie sprawiło mi takiej radochy.

Po wejściu na pokład pinasy obietnica Gravesa, jakoby miał cokolwiek omawiać z Claverem, odeszła w niebyt. Biorąc przykład z centuriona, ze stoickim spokojem ignorowałem potok wyrzutów, obelg i zawołanych gróźb rzucanych przez adiunkta Germaniki.

– Nasze organizacje nigdy za sobą nie przepadały, Graves – zaczął Claver, chcąc wbić centurionowi szpilę. – Nie widzę jednak powodów, żeby działać tak ekstremalnie. Twój ludzie wrócili do bazy i nie zdarzył się żaden permazgon. Misja została wykonana, choć wasz człowiek nie popisał się zdolnościami przywódczymi. Jak mu było? A tak, adiunkt Leeson. Stawiał się na każdym kroku, ale jakoś nad wszystkim panowałem, zanim dotarliśmy do schodów do banku.

Graves pozostawał niewzruszony niczym kosmos. Nawet nie patrzyłem na Clavera. Próbowałem zachowywać się tak samo, ale nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Słuchaj – powiedział Claver, podsuwając się bliżej fotela centuriona. – Wydaje mi się, że wiem, w czym tkwi prawdziwy problem. Nie wiesz, co zrobić z tymi kredytami. Mogę ci pomóc. Przecież wiem, że nie możecie ich zabrać na Ziemię i wydać w spożywczaku. Ale coś wam może z nich skapnąć. Może nawet dziesięć procent, jeśli będę waszym pośrednikiem.

Graves w końcu popatrzył obojętnie na Clavera. Adiunkt rozpromienił się, źle interpretując to spojrzenie. Mogłem go ostrzec przed pomyłką, ale czerpałem zbyt wielką przyjemność z tego przedstawienia.

– Dobrze słyszałeś – zapewnił pospiesznie Claver. – Dziesięć procent wartości nominalnej. Już wyjaśniam. Po pierwsze, skontaktujemy się z naszymi martwymi klientami. Teraz na pewno zostali już ożywieni i chcą odzyskać to, co do nich należy. W tych okolicznościach można będzie oczekiwać znaleźnego. Zapłacą czystymi kredytami, prosto na twojego stuka. Dostaniesz tego tyle, że będziesz ustawiony na całe życie, Graves!

– McGill – odezwał się Graves, patrząc na Clavera tak, jakby wyczuł jakiś smród.

– Tak, sir? – odparłem.

– Czy słyszałeś uwagi Clavera?

– Tak jest!

– I jak byś je scharakteryzował?

– Usłyszałem przyznanie się do winy. Do przekupstwa, wymuszenia, paserstwa... do pokaźnej listy przestępstw, centurionie.

Claver zachichotał nerwowo.

– Panowie, wy chyba...

– Adiunkcie, radzę się zamknąć – przerwał mu Graves. – Dla własnego dobra, choć wątpię, czy cokolwiek, co teraz zrobisz, będzie miało jakieś znaczenie.

Claver zmarszczył brwi.

– O czym mówisz?

– Jak wspomniałem, skontaktowałem się z Hegemonią. Wysłali oficera flagowego. Słyszałeś może o imperator Turov?

Claver zmrużył oczy.

– O tak. Czy to nie ona była waszym primusem? Trybun Armel mówił, że to suka jakich mało.

– Mógłbyś oględniej dobierać słowa – powiedział Graves ze spokojem. – Leci do nas jedną z nowych korwet. Będzie tu za parę godzin.

Te słowa zaskoczyły mnie tak samo jak Clavera.

– Godzin? – powtórzył Claver.

– Hegemonia kupuje ostatnio sporo nowego wyposażenia – wyjaśnił Graves. – Korwety to najnowsze zabawki w ich marynarce wojennej. Oficerowie flagowi mogą się teraz wozić pierwszą klasą, jeśli trzeba.

Claver pokiwał wolno głową.

– Nieźle główkują – stwierdził. – Ona da radę zamieść tę sprawę pod dywan. To zadanie w sam raz dla imperatora.

Graves zwrócił się do mnie:

– Specjalisto, opowiedz adiunktowi, w jaki sposób Turov zareagowała na wcześniejsze przestępstwo w skali imperialnej, o którym się dowiedziała.

– Ekhm... oczywiście. Kazała mnie stracić. Potem mnie cichaczem ożywiono, bo to było nieporozumienie. A potem znowu dobrała mi się do skóry. Sąd polowy i cała reszta. Prawie udało jej się znowu mnie spalić na popiół. Całe szczęście, że trybun Drusus zdołał ją powstrzymać.

– Tak właśnie było, jeśli mnie pamięć nie myli – potwierdził Graves. Kiwnął w stronę Clavera z ponurym uśmiechem. – Jedyna różnica polega na tym, że tym razem stoi wyżej od trybuna Drususa, a także trybuna Armela. Poza tym wątpię, że którykolwiek z nich kiwnąłby palcem, żeby ocalić ci skórę, Claver.

Graves odwrócił się ponownie, najwyraźniej usatysfakcjonowany. Claver przez chwilę siedział cicho, ale po paru minutach ciężko westchnął.

– Czyli pójdziecie na całość? Sprowadzicie Turov, żeby mnie udupić? Przykra sprawa... i to dla wszystkich.

Graves zignorował go i resztę lotu spędziliśmy w milczeniu. Korzystałem z okazji, żeby obserwować Clavera. Od czasu do czasu trącał palcem stuka, ale nic nie mówił. Nie uśmiechał się już i nie próbował się spoufalać. Jednak nie sprawiał też wrażenia pokonanego.

Dotarło do mnie, że facet jego pokroju nie dorobiłby się siwizny, gdyby nie był zaradny. Przyglądałem się przyrządom i co chwilę zaglądałem do załogi, ale wszystko wydawało się w porządku.

Kilka minut później dolecieliśmy do celu i wylądowaliśmy na płaskim dachu sztabu legionu. Przez cały ten czas Claver nie próbował żadnych numerów. Gdy wysiedliśmy, maszerował przede mną równym krokiem.

Kiedy byliśmy przy windach, Graves dostał na swojego stuka pilną wiadomość. Centurion zatrzymał się i uniósł rękę z niewesołą miną.

– Piszą coś na czacie dla dowódców... – powiedział. Po paru chwilach spojrzał na mnie. Dostrzegłem cień niepokoju na jego zwykle spokojnej twarzy. – Specjalisto McGill, jakiego rodzaju broń dostarczyliście handlarzom w Wylotach? Myślałem, że strzelali wybuchowym śrutem.

– Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, że w tamtych skrzyniach była taka sama broń. W ogóle jej nie zobaczyliśmy. Mamy jedynie słowo Clavera na to, że tam w ogóle była broń. Cokolwiek było

w tamtych pojemnikach, musiało być niezwykle i cenne, skoro było warte tyle kredytów.

– Otóż to. Otrzymałem właśnie priorytetową wiadomość od Drususa. W węźle transportowym w pewnością właśnie trwa atak z użyciem dość nietypowej broni. Prawdę mówiąc, nikt z tych, którzy ją widzieli, nie jest w stanie zidentyfikować technologii.

Obaj spojrzeliśmy na Srebrnobrodego. Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami.

– Mogę panom w czymś pomóc? – zapytał.

– Lepiej dla ciebie, żebyś nie był w to zamieszany, Claver – ostrzegł Graves.

Claver roześmiał się chłodno.

– A co mi zrobisz? Oskarżysz o obrazę jakiegoś galaktycznego sądu rządzanego przez Nairbów? A może zafundujesz mi permazgon na miejscu? Teraz wszystko mi jedno. Wykorzystałeś już ostatnią kartę, centurionie.

Graves odwrócił się od niego i powiedział do mnie:

– Trybun słyszał o waszej przebieżce po mieście, handlu bronią... o wszystkim. Nie jest zadowolony i zdążył już połączyć fakty. Oskarża naszego primusa, który z kolei zrzuca winę na nas. Nasza jednostka ma przeprowadzić akcję policyjną. Stłumić zamieszki w węźle transportowym.

Claver zarechotał.

– Zamieszki? Doprawdy?

– Zabieramy tego człowieka ze sobą na front. Nie ufam nikomu na tyle, żeby powierzyć mu straż przy nim. Nawet tobie, McGill – stwierdził Graves.

– Bez obaw, sir – odparłem. – Mogę go trzymać na smyczy. Moja nienawiść do niego jest silniejsza niż zamiłowanie do pieniędzy.

Kąciki ust Gravesa drgnęły ku górze.

– Dobrze to słyszeć. Zorganizowałem transport powietrzny. Trzy jednostki wyruszają natychmiast.

– Transport powietrzny? – zapytałem. – Czy piloci nie są przypadkiem wynajętymi tubylcami? Podobnymi do żółwi?

– A czy to ważne, do licha ciężkiego?

Westchnąłem.

– Nie, sir. W ogóle.

Niecałą godzinę później znaleźliśmy się w dziwnie cichym węźle transportowym. Nie był jednak pusty. Wszędzie wały się zwłoki.

Najbardziej rzucały mi się w oczy szczątki funkcjonariuszy zespołu wskrzeszającego. Próbowali wyszukać dobrych klientów pośród trupów i szybko zapłacili za chciwość najwyższą cenę.

Szedłem za Gravesem, który spotkał się z adiunktem Leesonem. Ponownie dołączyłem do trzeciej jednostki, ze Srebrnobrodym u boku. Jak na skazańca, pozostawał w wyśmienitym nastroju. Nie potrafiłem wyjaśnić jego nastawienia, ale z pewnością mi się nie podobało.

Leeson bez oporów wyładowywał się na Claverze. Był to przedziwny spektakl – jeden facet wrzeszczy, czerwony jak burak, a drugi suszy zęby i ma wszystko gdzieś.

– Wiem, co czujesz, młody – zapewnił Claver Leesona. – Wierz mi, znam ten ból. Kiepsko jest błądzić w mroku, kiedy zaczyna się rozpierducha. Jeśli się ostaniesz, zrób notatki i wyciągnij wnioski na przyszłość.

Leeson w końcu odszedł z oburzeniem, a ja się trochę rozluźniłem. Miałem za zadanie strzec Clavera. Był nieuzbrojony, nie miał pancerza i został aresztowany. Formalnie był oficerem oczekującym na proces. Niestety, znaczyło to, że miałem go chronić, jakkolwiek dziwnie to wyglądało.

Poszedłem za Claverem na linię frontu. Był tam Harris, który zmierzył adiunkta Germaniki morderczym wzrokiem. Już po raz drugi w ciągu ostatniej minuty zdałem sobie sprawę, że życie mojego jeńca jest zagrożone.

Przyznam, że Harris był w porządku. Zdawał sobie sprawę, w co się gra. Wiedział, że jestem jednocześnie klawiszem i ochroniarzem Clavera. Powinienem jednak przewidzieć jakąś podstępna zagrywkę z jego strony. Harris był mistrzem w uderzaniu znienacka i tak, żeby bolało. Patrząc wstecz, stwierdziłem, że powinienem odgadnąć, co się święci. Sam wystarczająco wiele razy padłem ofiarą weterana.

Harris zwrócił się do mnie, ignorując Clavera.

– Miło, że do nas dołączyłeś, McGill – powiedział. – Wiesz, co będziemy teraz robić? Wejdziemy do tej tam pieczary i skierujemy

się na sam dół stacji. W tym megadomu poniżej Wylotów jest tylko węzeł transportowy, a my odwiedzimy go osobiście!

– Jest na mojej liście atrakcji turystycznych, odkąd tu przylecieliśmy, weteranie.

Harris pokręcił głową, wstał i odwrócił się w stronę przepastnego wejścia do węzła transportowego. W naturalnym odruchu podszedłem i stanąłem obok, a Claver ustawił się tuż za nami.

Taka odległość wystarczyła Harrisowi. Zrobił krok w tył i z miażdżącą siłą nadepnął Claverowi na prawą stopę ciężkim butem.

Na Ziemi deptanie komuś po nogach to zwykle wygłupy. Ale jeśli nosi się ciężki pancerz, wążący z tonę albo więcej, a podczas deptania korzysta się z trybu wspomagania mocy... można komuś pogruchotać kości.

Claver upadł, sycząc i skrzecząc z bólu.

Harris obrócił się na pięcie i niemal udało mu się schwycić adiunkta, nim uderzył o glebę.

– Motyla noga! – zawołał weteran. – Czy ja to zrobiłem, adiunkcie? Strasznie przepraszam! Cofnąłem się i niechcący nadepnąłem panu na stopę! Jakże mi przykro, sir. Błagam o wybaczenie!

Dotknąłem przedramienia Harrisa. Weteran zdążył już wysunąć końcówkę rozgrzanego do czerwoności noża bojowego. Spojrzał na mnie, a ja pokręciłem głową.

– Nie mogę panu na to pozwolić. Chociaż bardzo bym chciał.

Ostrze zniknęło. Twarz Harrisa przybrała niewinny wyraz.

– McGill – powiedział – jesteś aniołem stróżem. Ktoś ci już to mówił?

– Nie, weteranie, chyba jeszcze nigdy.

– Ale to prawda. A wiecie, kiedy ludzie widzą anioły? Staruszkowie tacy jak pan, adiunkcie Claver, widują je bez przerwy. Tuż przed śmiercią. Wiedział pan o tym, szanowny panie adiunkcie Claver?

– Weteranie, wystarczy – powiedziałem. Harris w końcu odpuścił.

Zauważyłem, że Claver znowu stuka w przedramię. Miał ponurą minę, ale może to przez ból.

– Jeśli już się naśmialiście, kutasiny – warknął – to pomóżcie mi wstać i wezwijcie biosa.

Dałem znak biosom. Jedna ze specjalistek widziała wypadek i już zmierzała w naszą stronę. Wystukałem również krótką wiadomość

do Natashy. Podeszła i razem z bioską zajęła się Claverem.

Po chwili adiunkt znów stanął na nogi, choć utykał. Kości miały się na dobre zrosnąć dopiero za kilka godzin, ale bioski przerobiły jego but na opatrunek, w którym stopa została unieruchomiona na tyle, by mógł chodzić.

Kątem oka widziałem, że adiunkt znowu obsługuje swojego stuka. Przerwał, zaklął, a następnie powtórzył serię gestów. Wreszcie rozejrzał się za Natashą, a potem wlepił wzrok we mnie.

– Czy ta wywłoka odłączyła mojego stuka? – zapytał rozeźlony.

– To dla pańskiego dobra, sir – zapewniłem.

– Nie macie do tego uprawnień!

– Może skontaktuję się z centurionem Gravesem? Jestem przekonany, że z chęcią zleci naszym technikom przejrzenie pana ostatniej aktywności. Jeśli nie odnotują niczego nietypowego, centurion na pewno każe włączyć stuka z powrotem.

Claver wyszczerzył do mnie zęby, zastanowił się chwilę, po czym pokiwał głową.

– Niech będzie – powiedział. – Czemu nie? Będziemy działać na oślep i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Odchyliłem głowę, nie bardzo wiedząc, o czym mówił. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, poczułem na plecach podmuch eksplozji. Miałem uniesioną zasłonę, jednak mój pancerz przyjął większość żaru i ciśnienia. Odwróciłem się, zasunąłem wizjer i wyciągnąłem rzygacz. Przez chwilę straciłem słuch, ale na szczęście odzyskałem go po sekundzie.

Przez wejście do węzła transportowego wylewała się horda Tau. Byli ubrani w migające bordowe światła i srebrne buty. Wielu z nich dzierżyło smukłe metalowe pręty zakończone gałkami. Wypuszczali z nich ładunki energii, które dla mnie wyglądały jak błyskawice.

Kimkolwiek byli ci goście, wyglądali na ostro wkurzonych. Atakowali nas tą dziwną bronią. Każde uderzenie miało siłę moździerza. Sądzę, że nie udało im się od razu na dzień dobry roznieść w pył naszego szyku tylko dlatego, że nie bardzo potrafili choćby celować miotaczami piorunów.

Jedna z błyskawic trafiła w pastonową barykadę tuż przed moim nosem. Podskoczyła jak po kopniaku i zostały z niej dymiące resztki. Wstrząs powalił mnie na twarz.

Tuż obok mnie kulił się Claver. Nie odzywał się do mnie, ani nawet na mnie nie patrzył. Zamiast tego czołgał się, byle dalej od placu boju. Tak naprawdę nie mogłem mieć mu tego za złe. Był goły i niezbyt wesoły. Nie miał nawet broni bocznej.

Wokół mnie żołnierze otworzyli ogień. Pierwszy szereg rebeliantów, terrorystów, czy kimkolwiek byli, padł jak muchy. Po nich przyszli kolejni. Byli rozwścieczeni. Pozbierali upuszczone miotacze piorunów i rozproszyli się, szukając kryjówek po obu stronach ulicy. Nad nami latały trzeszczące błyskawice.

Jako bombardier miałem dylemat. Atakować nacierającego nieprzyjaciela czy iść za Claverem? Miałem się nim zajmować, ale z tego, co widziałem, teraz zależało mu tylko na pozostaniu przy życiu.

Podjąłem decyzję, której później żałowałem. Trudno, stało się. Przyklęknąłem, wymierzyłem moje ciężkie działo i strzeliłem w tłum.

Celownik ustawiłem na stożkowy promień średniego zasięgu i trafiłem idealnie w pierwszy szereg. Co najmniej ośmiu napastników poszło z dymem. Patrzałki zagotowały się im w oczodołach jak jajka. Wystrzelili jeszcze parę pocisków, a potem została z nich tylko kupka popiołu na ulicy.

To był dobry strzał, ale nie wystarczył. Przegrywaliśmy. Rozglądając się, zobaczyłem, że przynajmniej połowa naszych ciężkozbrojnych leży bez ruchu.

– Odwrót! – ryknął Leeson, który nagle stanął nade mną. – Trzecia jednostka, odwrót!

Pobrzękując w półprzysiadzie, starałem się wypełniać jego rozkazy na tyle, na ile pozwalał ciężki rynsztunek. Jednak chwilę później dostałem w tyłek. Trafił mnie sztuczny piorun. Gdy po raz kolejny upadłem, stwierdziłem, że nie mogę wstać.

Zaburzenie działania układów – nie tych w moim organizmie, tylko mechanicznych. Mój pancerz miał zwarcie i po chwili zrozumiałem, że właśnie taki los spotkał wielu z poległych towarzyszy. Błyskawice nie tylko wysadzały wszystko w powietrze. Potrafiły również usmażyć nasze wyposażenie, działając jak impulsy elektromagnetyczne. Przeciążone złącza dymiły wokół mnie

wewnątrz zbroi, a do moich nozdrzy wdzierał się smród przypalonej izolacji.

Wtedy zamajaczyła przede mną czyjaś twarz. Był to nie kto inny jak Srebrnobrody.

– Podoba ci się to, gówniarzu? – zapytał.

Poczułem szarpnięcie, gdy próbowałem wyciągnąć mój podręczny pistolet z kabury.

Teraz naprawdę się wkurwiłem. Jestem wielkim, silnym chłopem i ćwiczylem jak opętany, żeby stać się dobrym bombardierem. Dzięki treningowi byłem dwa razy silniejszy niż w dniu, kiedy dołączyłem do Legionu Varus. Choć padło mi wspomaganie mocy, wyciągnąłem rękę i chwyciłem dłoń Clavera niedziałającą rękawicą. Poczułem się dziwnie, jakbym chwycił kogoś dwiema łopatami, ale dałem radę.

Claver wyklinał mnie rozpaczliwie i usiłował wycelować mi w twarz moją własną spluwę. Z tej odległości mogła bez problemu przebić się przez wizjer.

Zareagowałem bez zastanowienia. W najzwyczajszej samoobronie. Odpaliłem ładunki wybuchowe na pancerzu.

Z tego, co wiedziałem, nikt wcześniej nie próbował czegoś takiego w boju, ale byłem uwięziony w niedziałającej zbroi. Nie uśmiechało mi się czekać, aż wykończy mnie Claver albo któryś z tych szajbniętych rebeliantów.

Nie każdy pancerz ma ładunki wybuchowe. Należą one wyłącznie do wyposażenia bombardierów. Ze względu na nasze ciężkie wyposażenie zamontowano je na wypadek awarii zasilania, takiej jak ta, która właśnie mi się przytrafiła.

Zbroja rozpadła się na połowy i byłem wolny.

Claver wyglądał na zszokowanego i udało mi się wytrącić mu pistolet, zanim zdążył nacisnąć spust. Chwyciłem go za koszulę i pociągnąłem za sobą, uchodząc z linii ognia.

Bitwa najwyraźniej się skończyła. Legion Varus przegrał. Trajkocząc w podnieceniu, Tau zabijali każdego, kto im się nawinął. Uciekałem, wlokąc za sobą Clavera, utykającego i chwiejącego się na strzaskanej stopie.

– Nie dasz się tak łatwo ubić, co, synku? – zapytał, kiedy znaleźliśmy miejsce, w którym mogliśmy się na chwilę ukryć

i złapać oddech.

Spojrzałem na niego.

– Pewnie nigdy nie będę miał takiej siwej czupryny jak pan, ale nienawidzę umierać. Jak każdy.

– Dam ci więc dobrą radę, młody – odparł. – Wynoś się z tej stacji.

Zmarszczyłem brwi, słysząc jego słowa, ale nie miałem szansy odpowiedzieć. Coś grzmotnęło mnie w czachę. Zawirowałem i padłem na plecy, wpatrując się w sztuczne niebo. Claver zwiął.

Byłem oszołomiony. Gdy próbowałem wstać, zauważyłem rebeliantów Tau przebiegających obok. Kilku z nich minęło mnie, ignorując nieuzbrojonego człowieka, który nie mógł nawet ustać na nogach.

Lecz jeden z nich mnie zauważył. Zatrzymał się i wycelował we mnie miotacz piorunów. Odwrócił się i zawołał coś do swoich towarzyszy. Może był to żart, a może przechwałka.

Gdy na mnie nie patrzył, kopnąłem go w stopy. Tau są chudzielcami, więc upadł, skrzecząc z zaskoczenia. Czołgając się na kolanach i łokciach, dobiłem do miotacza przed moim przeciwnikiem. Wepchnąłem grubszy koniec broni w jego macki gębowe. Trysnęła fontanna czarnej krwi.

Z trudem podnosząc się na kolana, powiodłem wzrokiem wokół. W pobliżu było na pewno siedmiu Tau plus jeszcze siedemdziesięciu w zasięgu wzroku. Wskazywali na mnie i zbijali się w grupy.

Podniosłem nieznaną mi broń, wymierzyłem w największą zbieraninę rebeliantów w polu widzenia i nacisnąłem guzik spustu. Nic się nie wydarzyło.

Jeden z nich odpłacił się pięknym za nadobne. Błyskawica rozwalila stojący nieopodal aerowóz. Nie miałem wiele czasu, żeby nauczyć się obsługi nowego sprzętu.

Panel sterowania nie wyglądał na szczególnie skomplikowany. Na wierzchu było pokrętko, ale bez oznaczeń czy odczytów. Znalazłem tylko dwa guziki – jeden na końcu i jeden z przodu. Wcześniej przycisnąłem ten z przodu i nic to nie dało.

Przesunąłem dłoń na koniec miotacza, ale zawahałem się. Wyglądało na to, że ten element można odczepić, podobnie jak akumulator na końcu latarki. Może ten guzik służył do odłączania

źródła zasilania? Te ustrojstwa na pewno szybko zużywały niewyobrażalnie dużo energii.

Ponownie spróbowałem nacisnąć guzik z przodu. Tym razem przytrzymałem go dłużej. I o to chodziło. Widocznie trzeba go było wcisnąć i przytrzymać przez sekundę. A może miotacz był słabo naładowany i potrzebował więcej czasu, żeby zebrać moc i wystrzelić.

Piorun połączył mnie na chwilę z grupą trzech ofiar. Moja nowa broń, ich ciała i ulica utworzyły zamknięty obwód. Zginęli na miejscu, a ja miałem chwilę, żeby wykrzywić zakrwawione usta w szyderczym uśmiechu.

Gdy ta chwila minęła, pozostali spalili mnie na popiół.

Nigdy nie przywyknę do przebudzenia po nieprzyjemnym zgonie. Choć w tym przypadku, moim zdaniem, nie było aż tak źle. W końcu zabrałem ze sobą pokaźne grono nieprzyjaciół i wątpię, czy którykolwiek będzie miał szansę na wskrzeszenie.

Po przebudzeniu gwałtownie złapałem oddech. Nawet kiedy miałem go już pod kontrolą, oddychanie przychodziło mi z trudem. Po odrodzeniu w płucach zawsze zalegają płyny i gęste substancje, na przykład śluz z nosa, ale tym razem było gorzej niż zwykle. Leżałem, szamocząc się i próbując wciągać powietrze jak zdychająca ryba. Nie otwierałem oczu. Jasne światła na sali wskrzeszeń zwykle boleśnie raziły nowe oczy.

– Dobry odrost, ale ma jakiś zator – odezwał się mężczyzna. Pewnie któryś z sanitariuszy.

– Gdzie? – zapytała jakaś kobieta. Jak przez mgłę przypominałem sobie ten głos.

– W prawym płucu. Może to zakrzep.

– Niech siądzie i to wykaszle. McGill, usiądź!

Próbowałem wykonać polecenie, jednak nie byłem w stanie samodzielnie przejść do siadu. Sflaczałe mięśnie nie chciały mnie słuchać. Sturlałem się z tacy, na której wyjechałem ze wskrzeszarki, i podparłem się dłońmi i kolanami. Kaszlałem i plułem, aż zebrało mi się na wymioty, jednak nic nie wylatywało z żołądka ani płuc. Kompletnie nic. Nawet strużka żółci. Miałem nowiutkie i całkowicie puste flaki.

– Masz kaszleć, nie rzygać! – powiedziała kobieta. – Wycharkajże to, do cholery!

Wtedy rozpoznałem ten głos. To była Anne... Anne Grant. Starsza specjalistka biologiczna, z którą byłem na dwóch kampaniach. Często sprowadzaliśmy na siebie nawzajem śmierć, ale zdarzało się też, że jedno ratowało drugie.

– Annie? – wybełkotałem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, dopadł mnie atak kaszlu, na który z nadzieją czekała. Wystarczyło, że zacząłem mówić. Na podłogę prysnęła krew wymieszana ze śluzem.

– Gotowy? – spytała, gdy skończyłem. Jej głos był teraz łagodniejszy i poczułem na włosach delikatny dotyk dłoni.

Zmusiłem się do otwarcia oczu i mrużąc powieki, spojrzałem na nią. Lampy sali operacyjnej jarzyły się nad jej głową niczym bliźniacze słońca.

– Czuję się wręcz śpiewająco! – wychrypiałem.

Zaśmiała się i położyła mi dłoń na karku.

– To dobrze – powiedziała. – Ulice wzywają.

Usiadłem, oddychając niespokojnie. Płuca mi się oczyszczały, ale strasznie piekły od środka.

– Co się dzieje na zewnątrz? – zapytałem.

– Ludziska padają jak muchy, ot co – odparła Anne z goryczą. – Całe to orbitujące miasto ogarnął szal.

Spojrzałem na nią, marszcząc czoło.

– To przez ten atak w węźle transportowym?

Pokręciła głową.

– To już stare dzieje. Zamieszki zataczają coraz szersze kręgi.

– Ale... ile czasu minęło? – zapytałem zdezorientowany. Wydawało mi się, że atak nastąpił zaledwie parę chwil wcześniej. – Jak długo mnie nie było?

Anne popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Nie mogliśmy cię wskrzesić od razu. Turov ustaliła limit. Używa sprzętu legionu, żeby przywracać do życia cywili Tau. Oczywiście tylko tych ważnych. Mówiąc „ważnych”, mam na myśli bogaczy, którzy płacą za tę usługę. Dasz wiarę? Turov pieprzyła coś o stosunkach dyplomatycznych.

Potrząsnąłem głową w zakłopotaniu.

– Imperator Turov? Przecież nie mogła zjawić się tu tak szybko... – powiedziałem. – A, właśnie... Jak długo byłem martwy? Bo w końcu nie powiedziałaś.

– Trzy dni – odparła Anne lekko przepraszającym tonem. – Nie było cię przez trzy dni, James.

Ukryłem twarz w dłoniach. Nagle poczułem się gorzej.

Anne popatrzyła na mnie i westchnęła.

– Tylko mi tu nie świruj. Jesteś zdrow jak ryba. I wróciłeś. Tylko to się liczy.

Wiedziałem, że dała mi mądrą radę, ale z trudem panowałem nad sobą. Byłem martwy przez całe trzy dni. Do tego czasu moje stare ciało na pewno przepadło w cholerę – może ktoś je spalił albo zjadł, albo sprzedał, żeby mieć na paliwo – z tymi typami nigdy nic nie wiadomo.

Co działo się z moją egzystencją przez tyle dni? Skoro tak długo byłem trupem, to czy wciąż byłem tym samym człowiekiem?

Anne uklękła obok mnie. Sprawdziała moje oczy i co jakiś czas rzucała przez ramię polecenia pomocnikom. Przeładowywali maszynę i wypełniali zbiorniki protoplazmą, z której miało powstać ciało, oraz wapniem do wyhodowania świeżych kości.

Trzy dni! Pozostawałem w otchłani dłużej niż kiedykolwiek. Nie mogłem tego przeboleć.

Anne umilkła. Czułem, że się martwi. Była jednym z tych medyków, którzy potrafią skutecznie schować do kieszeni empatię i emocje, a mimo to nadal je odczuwać.

Poddałem się nagłemu impulsowi. Pochyliłem się niezgrabnie i ją pocałowałem. Zamrugła zaskoczona, a potem cicho się zaśmiała.

– To było trochę nie na miejscu – stwierdziła.

– Przeciwnie! Chciałem to zrobić. Czekałem na to już od kilku egzystencji. Pomyślałem, że dam szansę tej wersji samego siebie, skoro nie wiem, jak długo zdoła przeżyć. A tak w ogóle, wiesz co? Zdaje mi się, że w mojej poprzedniej wersji umarłem jako prawiczek. Dramat, co?

Anne wyglądała na zakłopotaną. Pogładziła mnie po ręce, a potem delikatnie klepnęła w policzek.

– Możesz iść, specjalisto. Wstawaj!

Podniosłem się i wcisnąłem ciało w czystą odzież. Moje palce były osłabione i potrzebowałem całej minuty, żeby się ubrać. Poniósłbym sromotną klęskę, gdyby ciuchy nie były na tyle inteligentne, żeby mi pomóc.

– Przepraszam za to – rzuciłem, kierując się do drzwi – To znaczy za tego całusa.

Anne odwróciła się od swojej piekielnej maszyny i podeszła. Spojrzała na mnie dziwnie. Wyglądała, jakby się nad czymś

zastanawiała, ale wydawało mi się, że wiem, co to oznacza.

– Masz ochotę umówić się dziś wieczorem? – spytała.

– Z tobą czy z tym czymś? – odparłem, wskazując na wskrzeszarkę.

Zaśmiała się słabo.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– W porządku. Kiedy będziesz wolna?

– Kiedy skończę zmianę albo kiedy to ustrojstwo przestanie rodzić. Napiszę do ciebie.

Pożegnałem ją niezbornym, oślizgłym uściskiem i wyszedłem z pomieszczenia. Gdy dotarłem do koi, myślałem już tylko o tym, żeby się przekimać. Nie było mi to jednak pisane.

– Tu jesteś, McGill! – zagaił Leeson, który wszedł za mną do pokoju. – Wypocząłeś?

– Trzy dni niebytu zrobiły swoje, sir. Polecam, jeśli będzie pan w podłym nastroju.

Leeson wykrzywił wargi w ponurym grymasie.

– Nieważne. Plutonowi już od dłuższego czasu brakuje obu bombardierów. Nie wysłano nas jeszcze do walki. Ta maszynka ciągle jeszcze nie wypierdziała Sargona. Wszyscy dowódcy legionu dostają kręcka przez Turov i spowolnienie, do jakiego doprowadziła.

– Ma do tego talent, sir. Czy mam przekazać pańską opinię pani imperator, kiedy ją spotkam?

Leeson wytrzeszczył oczy.

– W życiu! A kontaktowała się z tobą?

– Nie odzywała się, odkąd legion opuścił Ziemię. Ale rano, w dniu, kiedy mieliśmy wystartować, wezwała mnie na prywatne spotkanie.

– Czego chciała?

– Żebym dał sobie spokój z głosowaniem za niezależnością naszego legionu. Poprosiła, żebym wyraził w sieci poparcie dla niej i cofnął to, co napisałem.

– Ach tak, pamiętam twojego pierwszego posta. Niezłe jaja. Pisałeś go po pijaku, co nie?

– Możliwe, że byłem lekko wstawiony.

Leeson kiwnął głową i skrzyżował ramiona.

– Czasem prawdziwe uczucia wylatują właśnie z butelki. Tak czy inaczej, cieszę się, że opublikowałeś swoją małą tyradę i że nie

ustąpiłeś. A najbardziej raduje mnie to, że żołnierze wzięli z ciebie przykład.

Usiadłem.

– No właśnie, sir. Sęk w tym, że nie sędzę, by naprawdę tak było. To znaczy... pewnie wywarłem na nich jakieś wrażenie, ale myślę, że i tak nie zamierzali głosować za dołączeniem do Hegemonii.

Leeson zmrużył oczy i uśmiechnął się.

– Może masz rację. Ale to ty wszystko przypieczętowałeś, kiedy otworzyłeś połączenie dla zwerbowanych żołnierzy, żeby mogli przesłać głosy do Centrali, zanim opuściliśmy orbitę. W ostatniej chwili przed upływem terminu napłynęła cała masa głosów. Do czegoś takiego trzeba mieć jaja ze stali. Dobrze, że ty to zrobiłeś. Ja za taki numer straciłbym stanowisko.

Nie wspomniałem mu, że Turov i tak ostro się na mnie wyżyła przez to głosowanie. Zostałem nawet zamordowany we własnym domu. Wolałbym zamiast tego lekką, łatwą i przyjemną degradację.

– Czy złożył mi pan wizytę z jakiegoś konkretnego powodu, sir? – zapytałem.

– Tak. Wychodzimy. Czekałem na bombardiera przed wyruszeniem na misję. Wróciłeś, więc możemy o świcie wyjść na ulice.

– O świcie... – powtórzyłem, sprawdzając stuka. Miałem jeszcze sześć godzin na odpoczynek. Przed zamykającymi się oczami latały mi przedziwne obrazy. Byłem tak zmęczony, że mój mózg już wyświetlał sny pod moimi powiekami, mimo że Leeson nadal do mnie mówił. Może śniłem, a może nie, w każdym razie zachowałem tyle świadomości, by odpowiadać Leesonowi.

– Nie chcesz wiedzieć, dokąd idziemy? – zapytał.

– Nieszczególnie, sir.

– Cholera, McGill, twardy z ciebie zawodnik. Kiedy po raz pierwszy się zaciągnąłeś, nie spodziewałem się, że tak się zmienisz. Wtedy wyglądałeś dla mnie jak wielka nedorajda. A przy okazji dzięki, że kryłeś mnie przed Gravesem po tamtej chryi pod bankiem. Obawiałem się, że kiedy mnie wskrzeszą, zaraz znowu dostanę czapę.

Otworzyłem jedno oko i popatrzyłem na niego nieprzytomnym wzrokiem. Zrozumiałem, że to właśnie dlatego przyszedł pogadać ze

mną zaraz po tym, jak wróciłem do żywych. Chciał mi podziękować, a może także upewnić się, że po takim czasie nie zechcę go uwalić, paplając o Srebrnobrodym i jego łapówkach.

Dziwne było to, że przy składaniu meldunku nie usiłowałem chronić Leesona. Pewnie mogłem powiedzieć Gravesowi, co myślę na temat jego decyzji, by zdać się całkowicie na Clavera. Byłem jednak tak wściekły na tego siwowłosego diabła z Germaniki, że nawet nie myślałem o błędnym osądzie mojego bezpośredniego przełożonego. Czasem sprawy potrafią się zabawnie potoczyć.

Zmusiłem się do sztucznego uśmiechu i ponownie zamknąłem oboje oczu.

– To nic takiego, sir. Każdemu się zdarza.

– Do zobaczenia o świcie – powiedział i wyszedł.

Leżąc na pryczy, rozmyślałem o tym, co się stało z Claverem i resztą mojego plutonu. Czy adiunkt z Germaniki maczał palce w walkach, które ogarnęły miasto? Nie bardzo byłem w stanie go z tym powiązać, ale w końcu to cwany stary skurczybyk.

Osuwając się w głęboki, mocny sen, zastanawiałem się, czy Claver nadal gdzieś tam żyje. Miał na to marne szanse, zważywszy, że rebelianci zabijali każdego legionistę, którego napotkali.

Siwizna Clavera była oznaką ponadprzeciętnej zdolności przetrwania, ale zdążyłem już zrozumieć, że nie zawdzięczał jej bohaterstwu. Raczej przekrętom i oszustwom.

Tak... może rzeczywiście przeżył. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej prawdopodobne mi się to wydawało.

Srebrnobrody wymykał się śmierci jak śliski rzeczny szczur.

Obudziłem się późno i miałem jakieś dwadzieścia pięć minut, żeby wziąć prysznic, ubrać się i wepchnąć do ust żarcie. Nadal je przeżuając, nacisnąłem hełm na głowę i pobiegłem do punktu zbiórki.

– Dobra, formować szyk! – ryknął Harris, maszerując wzdłuż szeregu tak, jakbyśmy byli zgrają świeżo upieczonych rekrutów.

Nie podobało mi się jego podejsie – choć nie była to dla mnie pierwszozna – ale ustawiłem się ze wszystkimi. Harris zatrzymał się

przede mną i zmrużył powieki.

– Jak miło, że zechciałeś dziś do nas dołączyć, McGill – powiedział.

– Za nic w świecie nie chciałym tego przegapić, weteranie! – zapewniłem.

Był tam też Carlos, była Kivi, a nawet Natasha. Istny zjazd rodzinny. Jak zawsze dziwnie się czułem, oglądając twarze ludzi, których jeszcze niedawno (wydawać by się mogło, że zaledwie kilka godzin wcześniej) widziałem martwych. Nie wspominając już o uczuciu odrealnienia, które ogarnęło mnie na myśl, że jeszcze zeszłej nocy w moich oczach było tyle życia co w kawałku gumy.

Spróbowałem odegnać to uczucie i skupić się na misji. W Legionie Varus biadolenie o śmierci załatywało amatorszczyznę.

Gdy już wszyscy się ustawiliśmy, przybył centurion Graves. Wystąpił naprzód, zwracając się do jednostki.

– Ludzie, nie będę was okłamywał – zaczął. – Chyba każdy z was zginął przynajmniej raz w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. Z tego miejsca chciałem wam podziękować za wasze oddanie sprawie i poinformować was z żalem, że czekają was kolejne akty poświęcenia.

Próbowaliśmy zachować zimną krew, ale nie był to wstęp do przemowy typowy dla Gravesa. Nie oglądając się, byłem w stanie wyczuć, jak inni żołnierze w szyku podrygują niespokojnie i wymieniają spojrzenia. W głosie centuriona nie pobrzmiwała zwyczajowa pewność siebie. Raczej szczera skrucha. Nie przypominałem sobie podobnej odprawy.

Ekran za nim rozjarzył się od podłogi do sufitu. Z ulgą stwierdziłem, że nie ukazała się na nim podła twarz Turov. Zamiast tego zobaczyliśmy schemat miasta z kolorowymi oznaczeniami poziomów konfliktu i ponumerowanymi dzielnicami. Nasze stanowisko znajdowało się pośrodku dzielnicy czternastej, stosunkowo spokojnego obszaru, jaśniejącego chłodną zielenią. Byłem zdumiony tym, ile stref oznaczono na żółto, pomarańczowo, czerwono, a nawet fioletowo. Ten ostatni kolor wskazywał, że straciliśmy dany teren i przestaliśmy o niego walczyć.

– Jak widzicie – ciągnął Graves, wykonując gesty, jakby obrywał liście z niewidzialnego drzewa – niższe poziomy w okolicach Wylotów i węzła transportowego zostały przejęte przez

nieprzyjaciela. W czerwonej strefie znajdują się żołnierze wroga, ale wciąż trwają tam walki pomiędzy siłami rządowymi, oddziałami legionu i rebeliantami.

Oszacowałem, że mniej więcej jedna trzecia mapy była fioletowa lub czerwona. Od razu zacząłem podejrzewać, że nieprzyjaciół kontroluje cały ten drugi obszar i że od czasu do czasu najeżdżamy i patrolujemy go, żeby sprawiać wrażenie, że nam na tym zależy.

Graves rozsunął dłonie, rozcapierzając palce, a plan miasta odsunął się w zawrotnym tempie. Przezroczystry zarys samej stacji Gelt wirował jak bączek, a my spojrzeliśmy na nią pod innym kątem, skupiając się na pomarańczowych strefach.

– Środkowe poziomy to osiedla – wyjaśnił Graves obojętnym głosem. – Walczymy tam na ulicach, przecznica po przecznicy. Batalia bywa ciężka, ale teraz jest tam spokojnie. Dzisiejsza misja dotyczy osiedla szóstego, okolicy zamieszkanego przez bogatych, tuż pod dzielnicą finansową. Wywiad sądzi, że ten obszar jest kluczowym celem dla nieprzyjaciela.

Musiałem stłumić parsknięcie niedowierzania. Zastanawiałem się, który adiunkt doszedł do tak odkrywczych wniosków. Ci wszyscy Tau przez większość czasu myśleli tylko o kasie. Wcale mnie nie zdziwiło, że próbują przejmować banki. Kto wie, cholera, może właśnie dlatego wybuchło powstanie?

Graves wykonał gest zmazywania i trójwymiarowy obraz stacji zniknął. Włączył nagrania z kamer na ulicach.

To od razu mnie zaintrygowało. Zobaczyliśmy twarze nieprzyjaciół. Widziałem wyraźnie ich ponurą determinację.

Teraz było ich o wiele więcej na ulicach. Ciżba ubrana w matowe bordowe barwy i połyskujące srebro. Ponownie zastanowiłem się nad znaczeniem tych kolorów.

Uznałem, że muszą to być roboty z powierzchni planety. Tylko jeden na dziesięciu był uzbrojony w cokolwiek innego niż prowizoryczny oręż. Spośród tych, którzy posiadali prawdziwą broń – jedni dzierżyli miotacze piorunów, a niektórzy... Gdy to zobaczyłem, otworzyłem szerzej oczy ze zdumienia.

– Przepraszam, sir! – zawołałem.

Graves patrzył na mnie przez chwilę, po czym machnięciem ręki pozwolił mi mówić.

– Sir, czy oni mają przepisową broń legionów?

– Ależ tak. Bardzo trafne spostrzeżenie! – odparł Graves. Nie miałem pewności, czy był to sarkazm. – W większości są to trachy. Zeszłej nocy wybili do nogi dwie kohorty naszych lekkozbrojnych i rozdzielili między siebie ich broń. Zauważcie również, że większość z nich jest nieuzbrojona. Całe drużyny podążają za jednym przywódcą z bronią z prawdziwego zdarzenia. Kiedy lider padnie, zabierają jego sprzęt i walczą dalej.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. Trachy nie były niczym szczególnym, ale i tak sprawdzały się lepiej niż zwykła broń balistyczna oparta na prochu. Wystrzeliwały masy rozpędzonych małych igieł i posiadały sporą szybkostrzelność. Nie chciałem stawiać czoła tłumowi uzbrojonemu tak samo jak my. Śmierć od strzału z własnej broni – to by dopiero był paskudny koniec.

Zdziwiło mnie, że udało im się odebrać naszym żołnierzom aż tyle karabinów. Najwyraźniej zabijali lekkozbrojnych dość szybko, skoro trachy tak łatwo wpadały im w ręce. Nasze zespoły do spraw odtwarzania legionów traktowały odzyskiwanie broni jako sprawę priorytetową. Uzbrojenie było o wiele ważniejsze niż ciała czy mundury.

– Może powinienem pokrótce streścić, czego dowiedzieliśmy się o tym konflikcie, z myślą o tych z was, których nie było wśród nas przez dłuższą chwilę – stwierdził Graves, znacząco spoglądając na mnie. – Niepokoje na powierzchni planety narastały przez wiele lat. Tau jest światem pełnym sprzeczności. Nieliczni są bardzo zamożni, jednak przez nieograniczony wzrost populacji większość mieszkańców klepie biedę. Tylko garstka krezusów wyrusza w kosmos, by szukać szczęścia na tej stacji. Wszystkie te ogólne informacje były dostępne na stronie legionu i powinniście byli się z nimi zapoznać w trakcie lotu.

Zamilkł na chwilę, a potem ciągnął:

– To, co wyróżnia dzisiejszą sytuację, sprowadza się do dwóch kluczowych elementów. Po pierwsze, udało im się zdobyć dużą dostawę potężnej broni z innej planety. Po drugie, mieszkańcy tego świata dowiedzieli się o słabości Imperium. Ta sprawa musiała w końcu wyjść na jaw i pierwszym światem, w którym o niej usłyszano, jest właśnie ten kupiecki ośrodek lokalnego handlu. Oni

już wiedzą, że lokalna flota bojowa została wezwana do Układów Centralnych. Teraz my odpowiadamy za utrzymanie porządku. Co oni na to? Cóż, przez wiele lat widywali przebłąski kurtuazji eleganckich żołnierzy z Germaniki. Rebelianci z planety postanowili przejść do działania, zanim powrócą statki Imperium.

Natasha podniosła rękę. Carlos również, ale Graves zignorował go i wskazał dziewczynę.

– Sir – zapytała – co ich powstrzymywało? Przecież Imperium nie dba o czysto wewnętrzne sprawy jakiegokolwiek układu. Mogliby rozpętać wojnę domową i urządzić sobie krwawą łaźnię bez żadnego zagrożenia ze strony flot imperialnych.

– W tym wypadku tak nie jest – odparł Graves. – Pamiętajcie, że stacja Gelt jest ośrodkiem międzygwiazdowego handlu. Kosmici przybywają tu w legalnych imperialnych interesach. Jeśli zniszczą obcy statek handlowy bez uzasadnionej przyczyny, floty mogą wymierzyć im sankcje, jeżeli powrócą. Mowa tu o najwyższych sankcjach.

Natasha zmarszczyła brwi.

– Powiedział pan: „jeżeli” te imperialne floty powrócą?

– Powinienem być użyć słowa „kiedy”. Tak czy inaczej, ich powrót może długo potrwać.

Kwestia walk pomiędzy Układami Centralnymi była tematem niezliczonych przyciszonych rozmów między żołnierzami, jednak oficerowie rzadko o tym wspominali. Zaniepokoiłem się na myśl, że imperialne okręty mogą nigdy nie wrócić. W jaki sposób Imperium mogłoby utrzymać się w obecnej postaci, gdyby rzeczywiście zawiodły? Któraś z obcych cywilizacji mogłaby w końcu nabrać śmiałości i zaatakować inną. Wtedy Galaktyka zmieniłaby się na zawsze. Miałem nadzieję, że ktoś na Ziemi myślał o tym i opracowywał plan na wypadek takiej sytuacji.

– Długo, sir? – wyrwał się Carlos, nie czekając na pozwolenie. – Flota bojowa może nie wracać przez... no właśnie, ile? Czy mówimy tu o kilku latach... czy może o kilku wiekach?

– Podróż do Układów Centralnych zajmuje ponad rok w każdą stronę – wyjaśnił Graves. – Poza tym nie jesteśmy w stanie ocenić sytuacji. Jakby ktoś pytał, sieć galaktyczna jest pod jeszcze

ściślejszym nadzorem policyjnym niż wcześniej. Nie dostajemy żadnych oficjalnych wiadomości od Nairbów ani nikogo innego.

Zwróciłem uwagę na to, z jaką swobodą Graves przekazywał te informacje. Nie byłem pewien, dlaczego to robił. Może była to część tej samej choroby, którą zarazili się miejscowi Tau. Myszy zauważyły, że kota nie ma, a może nawet zdechł, więc harcowały coraz ostrzej z każdym dniem, ciesząc się jego nieobecnością.

Zadałem sobie ponownie pytanie, jak długo potrwa, zanim kolejne światy ogarnie szaleństwo?

Graves klasnął, jednym gestem kończąc odprawę i pozwalając nam rozejść się. Pospieszaliśmy do arsenału i zaczęliśmy się zbroić. Tego dnia wybrałem ciężki sprzęt. Miałem dość patyczkowania się. Poprosiłem kwatermistrza o lekkie stanowisko artyleryjskie, latający wózek, na którym mógłbym go przenosić, plus jeszcze jeden wózek na amunicję.

– Wiesz, że ta osiemdziesiątkaósemka ma spory odrzut? – upewnił się kwatermistrz, jakbym był jakimś żółtodziobem. – Nie możesz jej opierać na ramieniu.

– Ach tak? – odparłem. – To może dlatego dodali do niej ten trójnóg? Jak pan myśli?

Koleś spoglądał na mnie przez chwilę z lekkim uśmieszkiem, potem westchnął i skontaktował się z Leesonem, prosząc o potwierdzenie.

Adiunkt Leeson zgodził się bez wahania. Byłem uradowany, że mogę liczyć na przysługę z jego strony, i miałem nadzieję, że ten stan nie ulegnie zmianie. Moim zdaniem najlepiej było obrócić wdzięczność wyższego rangą oficera w jakąś konkretną korzyść. Tacy ludzie zwykle dość szybko zapominają, komu są coś winni.

Znalazłem Carlosowi zadanie – miał ciągnąć za mną wóz z amunicją. Można by pomyśleć, że założyłem mu obrożę i wysłałem w śnieżycę z ciężkim ładunkiem.

– To nie w porządku! – narzekał.

Latający wózek prawie nic nie ważył z punktu widzenia żołnierza, który go prowadził. Miał nawet na tyle sprytnego autopilota, że leciał za człowiekiem sam, jeśli mu się pozwoliło. Jednak to wszystko nie powstrzymało Carlosa przed gwałtem.

– Ja już mam swój wózek – powiedziałem mu, szarpiąc za swoją linę. Żeby nie było, wlokłem ze sobą większy i dużo bardziej oporny ciężar. Na moim wózku jechało całe stanowisko artyleryjskie. Było przysadziste i miało bulwiastą wypustkę na przednim celowniku. Trzy nogi przywodziły na myśl coś wyraźnie owadziego.

Osiemdziesiątkiosemki – wytwór obcej technologii – zawsze przypominały mi żuki z powtykanymi rurami, ale były śmiercionośną bronią średniego zasięgu w starciu z dużymi formacjami.

– Mam być twoim kumplem, a nie niewolnikiem! – nie ustępował Carlos. – Kompletnie tego nie jarzę. Czyżbyś mnie nienawidził, McGill?

– Po prostu chciałem być w drużynie z kimś, do kogo będę mógł otworzyć gębę – wyjaśniłem. – To był chyba błąd. Skontaktuję się z adiunktem Leesonem i załatwię ci przeniesienie na wspólne stanowisko z Kivi.

– Dobrze, już dobrze, będę za tobą tachał ten zakichany wózek. Nie musisz się na mnie wyżywać.

Do Carlosa trzeba było przywyknąć. Z jakiegoś powodu przepadałem za nim. Przyjaźniliśmy się mimo wszystkich tarapatów, w jakie wpadaliśmy. Myślę, że to dlatego, że już tyle razy stawialiśmy wspólnie czoła śmierci. Poważna walka tworzy mocne więzy między ludźmi. Nam dała hart ducha potrzebny do ignorowania swoich wad.

– Poszcęściło się nam z tą misją – zatrzeszczał adiunkt Leeson w moich słuchawkach. – Przydzielono nas na wyższy poziom. A co najlepsze, nie będziemy nawet w pobliżu dzielnicy finansowej.

Dla mnie i Carlosa było to coś nowego. Spojrzeliśmy po sobie i słuchaliśmy dalej.

– Idziemy na sam szczyt stacji – ciągnął Leeson. – Będziemy obstawiać budynki rządowe. Nikt nie spodziewa się poważniejszego ataku w tym miejscu, bo w tamtejszych budowlach roi się od najemnych gliniarzy Tau. Wszyscy na pokład ślizgacza! I pamiętajcie, żeby się trzymać. Te żółwie latają jak wariaci!

Pojękując i klnąc pod nosem, załadowaliśmy sprzęt na ślizgacz. Ten model był zmodyfikowany do zastosowania bojowego. Również miał niskie poręcze, ale jego podwozie wzmocniono zachodzącymi na siebie płytami, które mnie kojarzyły się z rybią łuską.

Żółw starał się jak mógł, żebyśmy w trakcie lotu wyrzycali śniadanie, ale dodatkowy ciężar chyba trochę pokrzyżował mu plany. Miotало nami i telepało przy każdym ostrzejszym zakręcie.

Było to przerażające doświadczenie, ale nie tak brutalne i karkołomne jak zwykle.

Gdy wreszcie dolecieliśmy do dzielnicy rządowej, z ulgą stwierdziłem, że ulice są puste i ciche. Może ta misja rzeczywiście będzie bułką z masłem, tak jak nam obiecano.

Gdy wylądowaliśmy na płaskim odcinku piramidy i zeskokczyliśmy z pokładu, niedaleko nas osiadł z rykiem kolejny ślizgacz. Wysiadł z niego sam Graves oraz jeszcze jeden pluton. Potem nadleciało jeszcze kilka ślizgaczy, ponieważ do ochrony tego budynku, umiejscowionego w samym centrum dzielnicy, wyznaczono trzy jednostki.

Na mapie, którą widzieliśmy podczas odprawy, ta dzielnica była oznaczona na żółto, co oznaczało, że aktualnie nie trwały tam walki, ale siły wroga były tuż obok, więc musieliśmy się uwijać. Po wylądowaniu rozproszyliśmy się, zamierzając obstawić wszystkie windy i schody prowadzące do wnętrza budynku. Tym zadaniem zajął się Harris, który zadbał o właściwe rozmieszczenie żołnierzy.

Weteran nie czepiał się Carlosa i mnie. Działaliśmy na własną rękę. Podszedł do nas za to Leeson. Wziął się pod boki i powiódł wzrokiem po dachu.

– Tam – powiedział. – Od zachodniej strony. Ustaw osiemdziesiątkęósemkę tak, żeby mieć jak najlepsze pole rażenia.

Jego rozkaz nie wnosił niczego nowego, ale to mi nie przeszkadzało. Wystarczyło, że oficer nie każe mi odwalać jakichś durnych numerów. Zawlokłem stanowisko artyleryjskie do krawędzi dachu i ustawiłem je w narożniku. Miałem teraz idealne pole rażenia, wzdłuż dwóch spadzistych boków budowli.

– Nie uważasz, że jesteśmy trochę za bardzo odsłonięci? – spytał Carlos, ciągnąc za mną amunicję.

– No – odparłem. – Ale za wiele nie zdziałamy, jeśli nie będziemy nic widzieć. Przy takiej broni liczy się linia strzału. Musimy mieć czyste pole rażenia.

– A jak tamci mają snajperów?

– To się tu zabunkrujemy. Myślałem, że spodoba ci się na tym dachu. Naprawdę ciężkie walki toczą się wiele kilometrów stąd!

Carlos osłonił oczy przed światłem i spojrzał na wschód, w stronę dzielnicy finansowej. Ku wielkim wentylatorom wyciągowym

wznosiły się smugi dymu, a gdzieś tam na ulicach wykwitwały płomienie. Coś się tam działo – tego mogliśmy być pewni.

– Jak myślisz, gdzie pójdą, kiedy już przejmą banki? – zapytał Carlos.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Przejmą banki? – powtórzyłem. – Serio myślisz, że to zrobią?

Carlos roześmiał się.

– No tak, zapomniałem. Ty słyszałeś tylko dzisiejszą gadkę motywacyjną od Gravesa. Ale to nie wszystko.

Jego słowa zaniepokoiły mnie. Carlos był zawsze cyniczny, ale wydawało mi się, że Graves coś ukrywa. Martwiło mnie również to, że Ortiz określił przemówienie centuriona jako „gadkę motywacyjną”. Moim zdaniem, na odprawie przedstawiono nam ponury scenariusz.

Carlos przyklęknął i wyciągnął przenośny dozownik pastonu. Przedmiot wyglądał jak wielki wyciskacz szczeliwa i działał na takiej samej zasadzie. Trzeba było jednak uważać, bo jeśli nie wycisnęło się materiału płynnie za jednym razem, twardniał i blokował dozownik. Po czymś takim ponowne użycie wyciskacza było niemal niemożliwe.

Wspomogłem kumpla. Wkrótce wyciskaliśmy wokół osiemdziesiątkiosemki fortyfikacje w wersji instant. Zaczęły nabierać kształtu – przed stwardnieniem substancja miała wygląd różowo-białej pasty. Budowałem bunkier tak, by sięgał jak najdalej, zostawiając dużą strzelnicę. Spodziewałem się, że będę czuł się dziwnie, czając się na rogu budynku i wisząc tysiące metrów nad ziemią, niczym w owadzim kokonie.

– Słuchaj – odezwał się Carlos. – W ciągu ostatnich trzech dni straciliśmy pewnie z pół miasta. Ja miałem szczęście i wskrzesili mnie wcześniej. No dobra, „szczęście” to niewłaściwe słowo. Tak czy inaczej, byłem w kolejce przed tobą. Widziałem, jak nieprzyjaciel rośnie w siłę i się zbliża.

Tym razem wyjątkowo nie czułem potrzeby, żeby kazać Carlosowi się zamknąć. Zresztą mówił poważniejszym tonem niż zwykle. Dołożyłem jeszcze jedną warstwę wzmacniającą pod podłogą bunkra, przytwierdzając ją włóknami i kroplami gęstego pastonu i rozsmarowując materiał przy pomocy jednorazowych kielni.

– Pomyśl tylko, co to oznacza – ciągnął Carlos. – Ten megadom jest ogromny! Trzeba by kilku dni, żeby choćby przemaszerować bez walki taki dystans, jaki zajęli. Nie powstrzymywaliśmy ich ani nie tworzyliśmy frontu. Pokonywali nas i spychali przy każdej misji. Idą naprzód jak powódź. Nazywanie tego bitwą to pobożne życzenie.

Carlos nigdy nie słynął z optymizmu, ale musiałem przyznać mu rację. Nie dotarliby tak daleko w takim tempie, gdybyśmy podjęli jakieś działania, żeby ich spowolnić.

– Jest ich cholernie dużo – przyznałem. – Rozumiem to, ale co z mieszkańcami miasta? Jakim cudem kilka tysięcy osób, niech będzie nawet sto tysięcy, jest w stanie kontrolować miliony cywilów?

– Właśnie o to chodzi – odparł Carlos. – Myślę, że łączą siły. Myślę, że każde zajęte przez nich osiedle pełne ostatnich łajz to dla nich wylęgarnia rekrutów. W mieście trwa powstanie. Ich ideologia... czy cokolwiek, czym zagrzewają mieszkańców do boju... już się szerzy.

Pomyślałem o tym, jakimi egoistami są tutejsi Tau. Tym kosmitom zależało tylko na tym, żeby się nachapać. Nie byłem pewien, skąd czerpali motywację do walki. Może chodziło o kulminację poczucia bezradności wśród niezliczonych rzesz najbiedniejszych tubylców?

– Założę się, że nie wszyscy do nich dołączają – powiedziałem. – Większość pewnie kryje się w domach i daje powalczyć innym. Tacy są już Tau. Duch wspólnoty nie jest tu zbyt silny.

Carlos zaśmiał się.

– Raczej w ogóle go nie ma. Zagrożenie galaktycznej interwencji zawsze pozwalało utrzymać to miejsce w ryzach. Ale teraz to się skończyło.

– Tego nie wiemy. Zakładanie, że flota bojowa nie wróci i nie weźmie odwetu, jest bardzo ryzykowne.

Carlos wzruszył ramionami.

– Im to powiedz.

Wyjrzałem z ukończonego bunkra i popatrzyłem na zachód. Kłęby dymu wyglądały na nieco większe i czarniejsze niż wtedy, kiedy zaczynaliśmy się instalować. Czyżby bitwa zbliżała się do nas?

– Daj gogle – poleciłem Carlosowi. – Potrzebuję odczytu o zasięgu tych zamieszek.

Carlos pogrzebał chwilę w naszych torbach z ekwipunkiem i wyjął gogle, ale mi ich nie podał. Zamiast tego sam naciągnął je na głowę i spojrzał przez teleskopowe soczewki, dokonując korekt.

– Przestań się wygłupiać i dawaj je tu – zażądałem.

– To ja jestem twoim obserwatorem. I właśnie coś obserwuję – odparł.

Nie chcąc stać bezczynnie, założyłem uprząż kanoniera i wypróbowałem układ sterowania obrotami osiemdziesiątkióssemki. Działał całkiem nieźle. Przez ostatnie pół roku trochę ćwiczyłem z taką artylerią, ale nie miałem jeszcze okazji wypróbować jej w boju.

Ten sprzęt od razu mi pasował. Uchwyty z tyłu przypominały pionowe kierownice rowerowe. Gdy zdjąłem rękawice, były chłodne w dotyku. Działo obracało się bardzo płynnie. Wiele wytworów pozaziemskiej techniki było topornych w obsłudze, nawet systemy stworzone z myślą o humanoidach. Zawsze miały albo jakieś dodatki, albo braki, utrudniające obsługę ludziom. Przykładowo siedzenia przeważnie miały z tyłu otwór na ogon. Jeśli się go potrzebowało, to super, ale człowiek siedzący na czymś takim po jakimś czasie czuł, że ta dziura zaraz wciągnie jego tyłek.

Osiemdziesiątkióssemka nie miała otworu na ogon ani uchwytów przeznaczonych do obsługi trzema lub czterema rękami jednocześnie. Była prosta i zaprojektowana do sterowania dwuręcznego. Niemal bez wysiłku mogłem kierować lufę w górę, w dół i na boki. System wizyjny też był dobry. Dało się robić zbliżenia, a wtedy otwór celownika zwężał się automatycznie, aby umożliwić precyzyjne strzały o dalszym zasięgu. Oddalanie poszerzało pole rażenia, ale promień i tak pozostawał dość zwarty w porównaniu ze starymi naramiennymi rzygaczami, do których najbardziej przywykłem.

– Myślę, że w końcu jednak sobie z tego postrzelasz – stwierdził Carlos.

Spojrzałem na niego. Kucał przy mnie, patrząc przez gogle i usiłując pozostać w bezruchu. Soczewki miał wysunięte na jakieś trzydzieści centymetrów, więc domyśliłem się, że patrzy na coś bardzo oddalonego.

– Sprawdzasz banki? – spytałem.

– Owszem – odparł. – I źle to wygląda. Tau są wszędzie. Chyba... chyba właśnie zajęli budynki. Aż roi się od nich na ulicach.

– To wariactwo – powiedziałem z oczami utkwionymi w oddali. Bez systemu wspomagania widzenia widziałem tylko całun dymu. – Dlaczego aż tylu do nich dołącza? Co z tego mają?

– Na pewno myślą, że to ich życiowa szansa. Tylko jeden Tau na tysiąc posiada jakąś rzeczywistą forszę. Wszyscy pragną mieć jej więcej. Wydaje mi się, że są gotowi puścić z dymem całe miasto, jeśli tylko będą mogli coś na tym zyskać.

– Ale przecież na pewno wiedzą, że my puścimy z dymem ich, kiedy tu dotrą. Znaczący... koniec końców mogą wygrać, ale poniosą przy tym ogromne straty. Dlaczego są aż tak chętni, żeby się poświęcić?

Carlos potrząsnął głową i zdjął gogle. Wyglądał na zmartwionego, co było do niego niepodobne. Tak właściwie cała ta rozmowa nie przypominała naszych zwykłych pogaduszek.

– Nie wiem – powiedział. – Czy mówiłem ci już, że walczyłem z nimi na ulicach drugiego dnia... po tym, jak poległeś przy węźle transportowym?

– Nie mówiłeś... ale wygląda na to, że przeżyłeś.

– Fakt. Ale powiem ci, że nie było różowo. Dopadli nas przy galeriach handlowych wokół miejskich terenów zielonych... Wiesz, tych, które tutaj uchodzą za park. Obleźli nas jak stado lemingów. Spopieliliśmy naprawdę wielu. Może i mogliby wygrać, ale w większości byli słabo uzbrojeni. Kobiety, a nawet kilkoro młodych... wszyscy walczyli i ginęli jak zwierzęta. Ale to byli sami Tau. Zauważyłeś? Nie dołączyli do nich żadni cudzoziemcy. Walczą tylko Tau.

Marszcząc czoło, założyłem gogle i przyjrzałem się tłuszczy, która maszerowała powoli w naszą stronę niczym rój mrówek. Carlos miał rację. Zauważyłem coś jeszcze. Wszyscy nosili jednakowe barwy – bordową i srebrną. Co to, u licha, miało oznaczać?

– Zostań na posterunku – poleciłem Carlosowi. – Muszę pogadać z Natashą.

Carlos uśmiechnął się przebiegle. Gdy tylko wydostałem się z uprząży artylerzysty, wślizgnął się w nią i zaczął obracać działem na wszystkie strony.

– To nie zabawka, legionisto! – upomniałem go.

– Przecież wiem. A coś ty myślał? Wiem, kiedy mam do czynienia z dziełem z prawdziwego zdarzenia. Rewelka! Teraz to prawie mam nadzieję, że te mackowate ryje przejdą tymi ulicami i dotrą do nas.

Uśmiechnąłem się lekko. Tak mówił Carlos, którego znałem. Poczucie winy i troska, które męczyły go wcześniej, teraz zniknęły.

Wyszedłem ponownie na dach, żeby znaleźć Natashę. Miałem nadzieję, że zna jakieś odpowiedzi. Często mogłem na to liczyć.

Stacjonowaliśmy na spłaszczonym szczycie ogromnego budynku w kształcie piramidy i musiałem przejść jakieś sto metrów, żeby dotrzeć do naszego centralnego obozu. Zostałem tam Nataszę, która budowała na dachu duży bunkier, przypominający pastonową bańkę. Ślizgacze już odleciały i zostawiły nas samym sobie, a bunkier, który tworzyła, rozpryskując paston, przycupnął obok nowo wyznaczonego lądowiska aerowozów.

Pomogłem jej przygotować bunkier, po czym Natasha zainstalowała wewnątrz system uzbrojenia. Przyjrzałem mu się krytycznym okiem.

– Broń przeciwlotnicza? – zaryzykowałem.

– Automatyczne działa dronowe – odparła, nie podnosząc wzroku.

– Sprawdzają się w takich fortyfikacjach, pod warunkiem że zostały uczciwie zaprogramowane na odróżnianie przyjaciół od wrogów.

– A są uczciwie zaprogramowane?

– Oczywiście! – zapewniła z nutką oburzenia w głosie. – Przecież sama edytowałam ich skrypty.

– Czyli na pewno działają jak ta lala. Masz chwilę, żeby pogadać?

Spojrzała na mnie z dołu i potrząsnęła głową.

– Nigdy nie dajesz za wygraną, co? – zapytała.

– Że jak?

– Czyżbym była ostatnią kobietą na tym dachu? A może dziś przystawiałeś się już do wszystkich innych?

– Że co? – zapytałem ponownie. – Nie! To znaczy... ja się nie przystawiam. Chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Natasha odwróciła się z powrotem do drona przeciwlotniczego. Zaczęła z ostentacyjną starannością grzebać w skryptach swoich dział. Pracowała na serio, ale nie dałem się nabrać.

– Przez te kilka dni byłem martwy – podkreśliłem. – Nie uganiałem się za babami. Chyba coś źle zrozumiałaś. Ktoś ci sprzedał jakąś historyjkę?

Westchnęła ciężko i spojrzała mi w oczy.

– Najwyraźniej nie jestem fair wobec ciebie. Nie zawsze dogadujesz się z płcią przeciwną.

Zamrugalem zdezorientowany. We własnym mniemaniu byłem kimś w rodzaju autorytetu w dziedzinie relacji damsko-męskich.

– O co chodzi? – zapytałem, usiłując pozostać na neutralnym gruncie.

– O Anne Grant.

– Tę bioskę? No tak, wskrzesiła mnie.

– Powiedziała mi, że umówiła się z tobą na randkę, i zapytała, czy mam coś przeciwko. Powiedziałam, że spoko. I że jak chce, może się, kurna, nawet z tobą ochajtać.

Powoli zaczynałem kumać. Moje myśli zawirowały – chyba dwa razy – a następnie zatrzymały się.

– Powiedziała, że chce?

Natasha spochmurniała jeszcze bardziej.

– Że co niby chce?

– No, mam na myśli ten pomysł z chajtaniem.

Zamarkowała cios.

– Słuchaj – powiedziałem. – Byłem martwy. Przez całe trzy dni. Czy po czymś takim człowiekowi nie należy się chwila przerwy?

Ponownie westchnęła.

– Może. Ale wygląda na to, że ja na okrągło idę ci na rękę. Pamiętasz, że przespaliśmy się ze sobą ostatniej nocy na Ziemi, kiedy zaczęła się ta cała szopka z głosowaniem?

– Pewnie. Ciągle o tym myślę.

Wykrzywiła usta w nienaturalnym grymasie. Nie byłem pewien, czy była zdegustowana, czy wkurzona.

– A więc dlaczego od tamtego czasu prawie ze mną nie rozmawiasz? Przez cały lot nawet o tym nie wspomniałeś. Gdy już tu dotarliśmy, ani razu nie wyskoczyliśmy razem na miasto. Dobrze wiedziałeś, że chcę pochodzić po bazarach i poszukać jakichś fajnych nowinek technicznych, ale całkiem o tym zapomniałeś.

– Hę? – spytałem. – Pamiętam za to, że poszedłem na porąbaną misję z handlarzami bronią, a potem padłem w walce ze zbuntowanymi Tau. Nie, nie planowałem ani nie przeoczyłem żadnego wyjścia na zakupy.

– Tak jakbyś rzeczywiście chciał się ze mną umówić, nawet gdyby było spokojniej.

Tak naprawdę w całym ferworze walki zapomniałem o jej planach. Wiedziałem jednak, że nie o to jej chodzi. To przez Anne była w tak podłym nastroju.

– Natasha – powiedziałem, postanawiając skierować rozmowę na inny tor – czy ta sytuacja ma zmniejszyć nasze szanse na udaną misję?

Gdy to powiedziałem, błyskawicznie się wyprostowała. Cokolwiek by o niej mówić, była wzorowym żołnierzem. W razie potrzeby potrafiła stłumić uczucia lepiej niż większość znanych mi ludzi.

– Nie – powiedziała zdecydowanym tonem. – W porządku. Zapomnijmy o moich wymarzonych zakupach. Może po prostu jestem zestresowana... głupie, nie? Ten megadom jest w samym środku jakiejś wojny domowej. Nie powinnam cię wypytywać o takie rzeczy. Wybacz, specjalisto McGill.

Zmusiłem się do uśmiechu, choć wiedziałem, że fakt, iż nagle przestała nazywać mnie po imieniu, nie wróżył nic dobrego.

– Super. Już wyjaśniam, z czym przychodzę. Powiedz mi, jak myślisz, o co chodzi tym kopniętym rebeliantom?

Zmarszczyła brwi.

– Znaczy... dlaczego walczą? Nie jestem do końca pewna.

– Ja też nie. Wiemy tylko tyle, że dostali kompletnego pierdolca i skutki tego sięgają coraz dalej. Może to przez jakieś dragi? A może działa tu jakiś tajny plan albo sekta, o której nie wiemy? Zazwyczaj jedynym, co motywuje Tau, jest osobisty zysk. Co skłoniło ich do tłumnego powstania i ataku na nas?

Natasha postukała się palcem po twarzy, próbując rozwikłać tę zagadkę. Wyraźnie widziałem, że udało mi się ją zaintrygować i odwieść od dalszych niewygodnych pytań dotyczących Anne Grant.

– To cholernie dobre pytanie, James.

Pozwoliłem, by na moją twarz ponownie wpełzł uśmiech. Znowu byłem Jamesem, a nie tamtym zimnym draniem, specjalistą McGillem.

– No właśnie – kontynuowała zamyślona. – Dlaczego, u licha, Tau zachowują się jak stado lemingów? To zwyczajnie bez sensu. Jak

skończę się instalować, trochę popytam. Na pewno niektórzy z techników pracują nad modelami zachowania nieprzyjaciela.

– Świetnie – powiedziałem. Przez moment miałem ochotę ją objąć, ale spasowałem. Zamiast tego pospiesznie się wycofałem. Facet musi umieć rozpoznać, kiedy mu się upiekło, i oprzeć się pokusie grania *va banque*.

Zanim zdążyłem wrócić do małego narożnego bunkra, w którym został Carlos z moją osiemdziesiątkąósemką, trochę się pozmieniało. We wnętrzu mojego hełmu rozbrzmiał sygnał alarmowy.

Wcześniej miałem podniesioną zasłonę, ale teraz odruchowo ją zasunąłem. Spojrzałem w niebo, ale niczego nie zauważyłem. Dron przeciwlotniczy Natashy działał w trybie powolnego skanowania, co wskazywało, że nie wykrył zagrożenia. Pozostali żołnierze robili to samo co ja. Popatrzyliśmy po sobie zdumieni. Jeśli atak nie przyszedł z powietrza, to skąd?

W moim hełmie coś zatrzeszczało i przez paplaninę zdezorientowanych żołnierzy przebił się znajomy głos:

– Mówi Graves. Kończcie natychmiast te pastonowe bunkry i ruszajcie na stanowiska. Będziemy mieć towarzystwo. Tau wychodzą z tuneli metra i wkrótce powinni pokazać się na ulicach.

Zerwałem się do biegu i po dziesięciu krokach byłem już w swoim bunkrze. Położyłem dłoń w rękawicy na ramieniu Carlosa i obróciłem go.

– Złaz z mojego fotela, obserwatorze!

Gderając pod nosem, zwałókl się z siedzenia artylerzysty. Zaczął się siłować z goglami obserwatora.

– O co biega? – spytał.

– Pojęcia nie mam – odparłem.

Wsunąłem się w uprząż. Od razu zauważyłem, że Carlos pozmieniał wszystkie moje ustawienia. Jaja wgniatały mi się w lufę, a kolana miałem tak wysoko, że nogi prawie zginały mi się wpół.

– Carlos, do cholery! Musiałeś gmerać przy siedzeniu?

– Chwilunia – rzucił i pacnął przycisk z boku.

Fotel natychmiast przesunął się z warkotem. Powróciłem do rozsądnej pozycji i stęknąłem z ulgą.

– Wprowadziłem ustawienia odpowiednie i dla mnie, i dla ciebie – wyjaśnił Carlos.

Spojrzałem na niego ze zmarszczonym czołem.

– Po co? Nie masz kwalifikacji, żeby z tego strzelać. Jesteś obserwatorem, a nie bombardierem.

– Owszem – przyznał. – Ale pamiętasz, jak zdobyłeś swoją rangę? Twój bombardier dostał czapę na Świecie Stali, a ty podniosłeś jego działą. Pomyślałem sobie, że... no właśnie.

– Liczysz na to, że mnie odstrzelą, a ty zostaniesz bohaterem, co?

Wzruszył ramionami.

– U ciebie to się sprawdziło.

– Też cię kocham – burknąłem. – Dobra, daj mi namiary na to wejście do metra, jedną przecznicę na zachód.

– Jeden koma cztery – oznajmił, manipulując przez chwilę goglami. – Świetne są te bryle. Nie trzeba się już bawić w zgadywanie... o kurwa!

Nawet nie spytałem, o co mu chodzi. Wykonałem płynny obrót, celując w dół, na ulice.

Tau wylegali tłumnie z tunelu metra. Ulica zarośla się połyskującymi cieniami, wyglądającymi jak wielkie plamy o ponurych barwach.

– Cel namierzony, dowódco – zgłosiłem przez zestaw słuchawkowy. – Czy mam pozwolenie na strzał?

– Ilu masz od swojej strony, McGill? – zapytał Graves w moim uchu.

– Chyba wszystkich, sir.

– Przyjąłem. Po drugiej stronie to samo. Załatw ich, zanim dotrą do budynku. Nie możemy ich wpuścić za barykady pod nami.

Prowodyrowie szarży już mknęli naprzód z rykiem i uderzali w podstawę piramidy.

Wziąłem głęboki oddech i ścisnąłem rękawicami dźwignię spustu. Osiemdziesiątkaósemka nie hałasowała podczas strzału, ale dmuchnęła na boki masą gorącego powietrza. Carlos został wzięty z zaskoczenia. Podmuch prawie zerwał mu gogle z głowy.

Największym problemem z wielkoskalową bronią plazmową używaną w atmosferze było nadmierne wytwarzanie ciepła. Moja osiemdziesiątkaósemka wydawała się generować tyle samo ciepła z obudowy, co z lufy. Niczym w karabinach maszynowych z zamierzchłej przeszłości, metal pęczył, a zbyt intensywne

używanie groziło usterką. Nie miałem żadnych luf na zmianę, więc musiałem pilnować, żeby broń nie nagrzała się za mocno.

Licznik był podłączony do wyświetlacza hełmu. Pierwszy strzał plazmy trwał tylko około sekundy, ale temperatura po nim sięgnęła żółtej strefy.

Wykorzystując siłę strzału najlepiej jak mogłem, omiotłem promieniem szeroki pas tłumy u podstawy budynku. Byli zbici w tak ciasną gromadę, że nie mogłem chybić. Ilu zabiłem? Nie jestem pewien. Może z tysiąc? Chociaż pewnie mniej.

Wątpiłem, czy ci goście kiedykolwiek wcześniej doświadczyli takiej siły ognia. Cofnęli się nieco, zszokowani. Musieli być zaskoczeni, widząc, jak dwadzieścia szeregów przed nimi obraca się w popiół i tylko chmura gorącego gazu oraz przypalone szczątki na skraju strefy rażenia mogą dać im jakieś pojęcie o tym, co właściwie zaszło.

Moja broń odzyskała pełną moc, a temperatura spadła do poziomu oznaczonego na zielono. Mimo to wstrzymałem ogień.

Graves od razu zauważył, że przestałem strzelać.

– McGill? Jesteś ranny? – spytał.

– Melduję, że nie, sir – odparłem.

– To dlaczego nie strzelasz?

– Oni się wycofują, sir.

Rzeczywiście tak było. Potykali się, zataczali i wlekli poległych w stronę wejścia do tunelu metra.

– Czy zabierają ze sobą rannych? – zapytał centurion.

– Hmm... tak, sir!

– Dobrze. W porządku. Zostań przy tej swojej armacie.

Potem usłyszałem jego głos, przywołujący żołnierzy lekkozbrojnej jednostki. Widziałem, jak przepychają się i klękają, biorąc na cel tłum w dole.

Rozległ się klekot karabinów.

– Trachy? – zapytał Carlos. Spojrzał na ulice pod nami. – Oni ich tam szatkują!

Zrobiło mi się trochę słabo. Spopielenie wrogiej cizby, zdeterminowanej, by nas zabić, to jedno, ale strzelanie w plecy wycofujących się cywili to zupełnie co innego.

Rozpiąłem uprząż, wygramoliłem się z bunkra i poszedłem wzdłuż muru na stanowisko Gravesa.

– Już tu jesteś? – warknął. – Czy wiesz, co właśnie robię, McGill?

– Zabija pan uciekających cywili?

Spojrzał na mnie z rozdrażnieniem.

– Nic podobnego. Tylko ich ranię. Nasi celują nisko.

Obrzuciłem wzrokiem szereg strzelców. Rzeczywiście, przyczepili do trachów lufy snajperskie i posyłali w dół pojedyncze serie, ostrożnie dobierając cele.

– Armia dąży do okaleczenia przeciwników – wyjaśnił Graves tonem wykładowcy. – To lepsze rozwiązanie niż ich zabicie. Każdy ranny nieprzyjaciół potrzebuje przynajmniej jeszcze jednej osoby, która się nim zajmie.

– Tau nie słyną z troski o współziomków – zauważyłem.

– Racja. Ale może stracą morale i perspektywa ataku nie będzie już tak ich rajcowała.

– Rozumiem, sir.

– Nie aprobujesz tego?

– Nie mam tu nic do gadania, sir. Nie ja dowodzę.

Graves spojrzał na mnie. Unikając jego wzroku, patrzyłem na krajobraz pod nami. Cywile wciąż się cofali, wypędzani do podziemi jak zwierzęta. Na ulicach leżały setki rannych, wijących się z bólu.

– Otóż to, nie ty tu dowodzisz – powiedział szorstko Graves. – I nigdy nie będziesz, jeśli nie przyswoisz sobie paru spraw.

– Czy mogę o coś spytać, sir?

– Skoro musisz...

– Co jest takiego ważnego w tym konkretnym budynku?

– To arsenał. Rządowy.

Wstrząśnięty, skupiłem się całkowicie na centurionie.

– Rządowy arsenał? Dlaczego właśnie my go ochramiamy?

– Mógłbyś pomyśleć, że siły rządowe byłyby tym bardziej zainteresowane, co? Ale nie są. Ci goście pracują za pieniądze i są nawet gotowi podjąć pewne ryzyko. Jednak spanikowali przez ten szalony motłoch. Opuścili dzielnicę kilka godzin przed naszym przybyciem.

Ulice były już puste, jeśli nie liczyć czołgających się rannych i szczątków poległych.

– Nie możemy pozwolić, by te psychole dorwały się do prawdziwej broni – stwierdziłem. – Wtedy będą nie do zatrzymania.

– Zatem rozumiesz już prawdziwe znaczenie naszej misji obronnej.

– Tak, sir. Rozumiem.

– Mogę cię o coś spytać, McGill?

– Oczywiście, centurionie.

– Czy kiedy następnym razem rozkażę ci zabić tysiąc wrogów opętanych żądzą mordy, obojętnie, czy będą to cywile, czy nie, to czy wykonasz ten rozkaz, zamiast się opierdalać?

Jego słowa nabrały nagłej żywiołowości. Był wkurwiony i miał słuszość. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Tak, sir – odparłem. – I przepraszam.

Uwagę Gravesa ponownie przyciągnęły ulice pod nami, na których teraz zaległa niemal kompletna cisza.

– To była dopiero pierwsza fala – powiedział. – Jest ich coraz więcej, ale broni mają wciąż tyle samo. Tylko jeden na dwudziestu jest porządnie uzbrojony. Po prostu muszą przejąć ten arsenał.

Ponuro pokiwałem głową.

– Rozumiem. Nie prześlizgną się obok mnie, sir – zapewniłem.

– Wyśmienicie. A zatem wracaj na stanowisko, specjalisto!

W naszej dzielnicy było cicho przez kolejne kilka godzin. Późnym wieczorem wysiadł prąd, potem wrócił, a potem znowu wysiadł.

Nie sądziłem, że orbitalne megadomy są zbudowane tak, by działać bez prądu. I miałem rację. Gdy wszystko się wyłączyło, z wentylatorów sufitowych zaczęły wydobywać się złowieszcze powarkiwania i zgrzyty. Wiedziałem, że te hałasy pochodzą z odległych maszyn pod ulicami.

Gdy generatory padły po raz drugi, na ulicach zaległ dziwny mrok. Samo miasto było czarne jak kosmiczna noc, jednak z zewnątrz przedostawały się do stacji jaskrawe promienie światła gwiazd, przecinając ciemność jak lasery. Po paru godzinach powietrze zgęstniało, a całe to miejsce zaczęło sprawiać wrażenie nawiedzonego.

Słuchając raportów z innych części miasta, zyskałem pełny ogląd tego, jak źle szła nam ta bitwa. To nasza strona odłączyła prąd, licząc, że spowolni to buntowników. Jednak to najwyraźniej nie zadziałało. Nieprzyjaciół zbliżał się ze wszystkich stron. Wydawał się nie do powstrzymania.

Ponownie zacząłem się zastanawiać, gdzie się podział Srebrnobrody. Musiał gdzieś tam być. Czy już otwarcie współpracował z Tau? Nie miałem do tego człowieka nawet krzty zaufania. Od samego początku wiedział zbyt wiele o tej rebelii.

Około północy zjawiła się Natasha i podstawiała mi pod nos tablet. Miał włączoną aplikację graficzną przedstawiającą strój Tau. Przesuwając palcem, można było dowolnie zmieniać ich ubrania, a wtedy u dołu ekranu pojawiała się informacja, co dana konfiguracja oznacza.

– Fajna gierka – przyznałem. – Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Wypróbuj tę apkę – odparła, wpychając mi tablet. – Ubierz tego Tau w strój rebeliantów.

Westchnąłem i zrobiłem, jak prosiła. Bawiłem się chwilę aplikacją, ale wkrótce poczułem frustrację.

– To nie działa – powiedziałem. – Bordowy i srebrny... nie można ich wybrać!

– No właśnie! – odpowiedziała Natasha. – Nie wiem dlaczego, ale wygląda na to, że nikt nigdy nie wybiera takiej kombinacji. Albo twórcy tej aplikacji po prostu nie wiedzą, co to oznacza.

– Hmm... – mruknąłem, wzruszając ramionami. – To dziwne.

Natasha przewróciła oczami.

– Nie tylko dziwne, James. To część odpowiedzi!

– Odpowiedzi na co?

– Na pytanie, dlaczego ci goście tak dziwnie się zachowują.

Zmarszczyłem brwi, analizując jej słowa.

– Chodzi ci o to, że gdyby udało nam się zmusić tych cudaków do zmiany ich holograficznych ciuchów na coś normalnego, toby się uspokoili?

– Nie jestem pewna, ale próbuję to rozgryźć.

– Powinniśmy komuś o tym powiedzieć! – stwierdził Carlos, wtryniając pomiędzy nas swój wielki łeb.

Odepchnąłem go dłonią.

– Żadne „my”! Natasha to odkryła. Sama zgłosi to szychom i zbierze laury.

Wlepił w nas oczy.

– I jak ja, kurna, mam awansować, jeśli nawet nie chcecie mi pomóc? – poskarżył się.

– Zrób coś pożytecznego – poradziłem.

– Ażebyś wiedział, że zrobię. Pójdę i odleję się z dachu.

– Pokaż apkę Gravesowi – zwróciłem się do Natashy.

– Już to zrobiłam. Powiedział, że wspomni o tym w kolejnym meldunku dla primusa.

– Gówno prawda – powiedziałem.

– No raczej.

Przez krótką chwilę myślałem intensywnie, a potem podjąłem decyzję. Im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej kluczowy wydawał się ten strzępek informacji. Legion Varus przegrywał i potrzebowaliśmy dodatkowych sił, by przeważać szalę. Być może zrozumienie przyczyny nietypowego brutalnego zachowania Tau było dokładnie tym, czego nam brakowało.

– Skontaktuję się z trybunem Drususem – oznajmiłem. – Prosił, żebym go powiadomił, jeśli zdarzy się coś takiego. Nie wiem, czy mówił poważnie, ale w najgorszym razie pokaże mi środkowy palec.

– James, on powiedział ci o tym podczas innej kampanii, na innej planecie.

– No tak... I w końcu nadarzyła się okazja.

Natasha wyglądała na podenerwowaną.

– Naprawdę zamierzasz działać za plecami adiunkta Leesona, centuriona Gravesa i jeszcze naszego nowego primusa?

– Dlaczego nie?

– Nie wiem, czy się na to piszę.

– Dlaczego wszyscy tak się cykają rozmów z oficerami? – zapytałem.

– Bo mogą nas stracić.

– Już to znam – zapewniłem. – Nic strasznego.

Zaśmiała się i przekazała mi tablet.

– Jak sobie chcesz.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Dasz mi całusa na szczęście?

Zawahała się chwilę, ale potem mnie pocałowała. Nie nazwałbym tego długim i namiętym pocałunkiem, ale było całkiem nieźle. Zacząłem się zastanawiać, czy ta konkretna kopia ciała, w której aktualnie przebywała moja świadomość, zdąży coś zaliczyć, zanim wysadzę ją w powietrze przy najbliższej okazji.

– A niech cię... – powiedziała niemal do siebie. Potem odeszła dwa kroki.

Wpatrując się w tablet, stuknąłem w niego ponownie, usiłując ustawić właściwą konfigurację. Nie dałem rady. Nie było tam bordowego stroju ani srebrnych butów.

Biorąc głęboki oddech, skontaktowałem się z dowódcą legionu, trybunem Drususem. Byłem w szoku, kiedy w odpowiedzi na moją wiadomość tekstową natychmiast nawiązał połączenie głosowe. Nacisnąłem świecącą kropkę na stuku i usłyszałem w słuchawce znajomy, melodyjny głos:

– McGill? Czy atakują twoje stanowisko?

– Nie, sir! U mnie wszystko spokojnie.

– Zebrało ci się na pogaduchy? W dwóch dystryktach trwa bitwa! Nie mam czasu na...

– Sir – przerwałem – nie kontaktuję się z panem, żeby umówić się na obiad. A w każdym razie nie dzisiaj.

– Dobra – odparł po chwili wahania. – O co chodzi?

Pospieszenie opowiedziałem mu o odkryciu Natashy. Wysłuchał mnie uprzejmie, ale nie wydawał się poruszony.

– Umyka mi znaczenie tego, cokolwiek ciekawego, odkrycia – powiedział. – Wydaje mi się logiczne, że rebelianci wybrali niestandardowy zestaw kolorów, aby móc identyfikować swoich na polu bitwy.

– Myślę, że chodzi o coś więcej, sir – odparłem. – Tau używają wyglądu, żeby wyrażać nastrój i zarażać jedni drugich swoimi myślami. Każda kombinacja barw, jaką noszą, coś oznacza. Ta jest nam nieznana, ale specjalistka Elkin uważa, że za pomocą tych kolorów szerzą rebelię, dając innym znak, by się przyłączyli.

– Nic takiego nie mówiłam – syknęła Natasha za moimi plecami.

Zbyłem ją machnięciem ręki i słuchałem trybuna.

– Hmm... – mruknął Drusus. – Ciekawa myśl. Jesteśmy tu nowi i rzeczywiście przypominam sobie, że Tau wyrażają emocje, nastrój i zamiary za pomocą barw. Wcześniej robili to poprzez rzeczywisty ubiór, ale teraz korzystają z hologramów. Czyli mówicie, że gdybyśmy zmienili te projekcje, moglibyśmy stłumić zamieszki?

– Tego nie wiem, sir – przyznałem. – Ale na pewno warto rzecz zbadać. Przecież nie możemy wybić wszystkich.

– Racja. Mają nad nami przewagę liczebną mniej więcej tysiąc do jednego. W porządku, zostańcie na stanowiskach. Kiedy obecna misja dobiegnie końca, wydam waszej jednostce nowe rozkazy, abyście zbadali tę sprawę.

– Yyy... dziękujemy, sir. Z chęcią pomożemy... Ale czy nie ma jakiejś jednostki technicznej, która lepiej by się nadawała do...

– Nie, nie ma nikogo innego, kogo mógłbym poświęcić. Poza tym uważam, że poznanie prawdy będzie wymagało udziału pełnej drużyny bojowej, jeszcze zanim skończycie.

– Ile jeszcze potrwa nasza aktualna misja, sir? – zapytałem.

– Podejrzewam, że do rana będzie po wszystkim.

Drusus się rozłączył i zostawił mnie spoglądającego na ciemne ulice z ponurą miną.

– Co powiedział? – spytała Natasha.

– Przeniosą nas. Kiedy już będziemy mogli opuścić stanowiska na dachu, będziemy robić za tajniaków.

– Chyba żartujesz! Nic nie powiedziałeś Gravesowi, a on teraz przez to wszystko zostanie zawałony nowymi rozkazami. To mu się nie spodoba.

– No... – przyznałem, ale niezbyt przejmowałem się uczuciami Gravesa. Bardziej martwiło mnie to, co mieliśmy zrobić później. Miałem nadzieję, że uda mi się wcisnąć tę sprawę zespołowi techników – może nawet całej jednostce – ale widocznie Drusus naprawdę nie miał wystarczających zasobów.

Z jakiegoś powodu w ogóle nie zapytałem Drususa o jego deklarację, jakoby nasza obecna misja miała się skończyć do rana. Zwyczajnie założyłem, że do tego czasu zmieni nas inny kontyngent żołnierzy. Tuż przed świtem dotarło do mnie, że trybun miał na myśli zupełnie co innego.

Tau znowu wylegli z tunelu metra, a w naszych hełmach zaśpiewał alarm. Aż wstyd przyznać, ale przysnąłem w swojej upręży. Carlos głośno zastukał knykciami w mój hełm.

– Wracamy do akcji, mistrzu! – oznajmił.

Stłumiłem ziewnięcie i usiadłem prosto z łomoczącym sercem. Wodząc nieprzytomnym wzrokiem, skierowałem lufę osiemdziesiątkiossemki w dół. Szarpnąłem ją lekko w lewo, bo trochę zboczyła, a następnie ścisnąłem bliźniacze spusty.

W dół pomknął gładki, jasny i zabójczy promień, który zmiotł nieznaną liczbę Tau. Jednak tym razem nie wycofali się. Parli naprzód, wspinając się po stosach parujących zwłok.

Zaskoczony, okręciłem działo. Układ zawarczał i zaklekotał. Musiałem wyrysować nową linię przez kotłującą się horde nieprzyjaciół, tym razem zaczynając dalej.

– Skręciłeś lufę za bardzo w prawo! – zawołał Carlos. – Zjarasz same ulice zamiast celów!

Miał rację. Od razu to zauważyłem. Nie było jednak czasu na korektę. Tau pędzili już do podstawy budynku. Usiłowałem lepiej

wycelować, a Carlos tymczasem wsunął nowy magazynek w trzon działa i klepnął mnie w ramię, dając znak, że mogę strzelać.

Osiemdziesiątkaosemka była dziwną bronią. W obsłudze nie przypominała czegoś tak prostego jak ciężki karabin maszynowy. Mogła oddawać krótkie strzały, a potem następowała recyrkulacja i chłodzenie komory plazmowej. Nie dało się opryskać wszystkiego w zasięgu wzroku. Należało wcześniej zaplanować strzały i nie wolno było chybić.

Ścisnąłem spusty, posyłając promień na pusty kawałek pastonu. Pocisk miał taką moc, że obrócił w proch szeroki pas nawierzchni, wypalając w najtwardszej substancji w znanym wszechświecie wyrwę głęboką mniej więcej na cal.

– Cholera! – zakląłem, z wysiłkiem kierując lufę z powrotem na cel. Udało mi się to tylko częściowo, ale Carlos pomógł mi we właściwym ustawieniu, kopiąc w podwozie i szturchając mnie.

Promień w końcu trafił w falę nieprzyjaciół – po zmarnowaniu połowy ładunku. Widziałem, że w nich uderzam, kiedy chmury gazów daleko w dole na ulicy zmieniły wygląd – z ciemnych i rozrzedzonych na gęste i białoszare. Zdałem sobie sprawę, że była to para. Para unosząca się ze szczątków wszystkich Tau, których unicestwiałem.

– Dotarli do barykad! – powiedział Carlos, leżący na brzuchu i kierujący swoje wysuwane gogle w dół długiej, pochyłej ściany budynku. – Za dużo ich... Wedrą się do środka! Będziesz musiał ostrzelać podstawę budowli!

– Przyjąłem! – odparłem, przechylając lufę w dół tak mocno, że mogłem spojrzeć bezpośrednio wzdłuż ściany budynku. Miałem wrażenie, że zaraz ześlizgnę się i spadnę w sam środek motłochu.

Carlos szybko podniósł się na kolana i włożył mi kolejny magazynek. Osiemdziesiątkaosemka wciągnęła kasetkę, a wskaźniki temperatury spadły z poziomu czerwonego do pomarańczowego, a potem powoli do zielonego.

Przygotowałem się do trzeciego strzału podczas tego starcia. Tym razem było trudniej, bo musiałem zmieniać kąty pośrodku, aby obejść róg budynku. Ale gdyby mi się udało, to na pewno dałbym radę odstraszyć...

Nic więcej nie pomyślałem ani nie zrobiłem. Poraziło mnie oślepiające światło i uczucie, jakby kopnął mnie prąd.

Przez chwilę cały świat był biały i zdawał się wirować. Na twarzy miałem coś gorącego i próbowałem się od tego odsunąć, jednak uprzęż utrzymywała mnie mocno jak klej.

Wkrótce potem moje oczy zaczęły znowu działać. Pomimo oszołomienia zdołałem ocenić sytuację. Dostali nas. A raczej zdjęli. Nie wiedziałem, co nas zaatakowało. Pewnie był to dobrze wycelowany miotacz piorunów. Ktoś tam na dole domyślił się, kto ciągle spopiela hordy ich żołnierzy, i działał bardzo precyzyjnie.

Carlos był martwy. Jedna z długich soczewek jego gogli dymiała, a druga wbiła mu się w głowę jak włócznia. Gdy na niego patrzyłem, jego ciało łagodnie się stoczyło, a potem ześlizgnęło po ścianie budynku, odbijając się i podskakując przez całą długą drogę do ciżby na ulicy.

Osiemdziesiątkaósemka była uszkodzona. Lufa przyjęła większość uderzenia i od razu widziałem, że uwolniła już swój ostatni, szeroki promień śmierci.

Wyswobodziłem się z uprzęży i wyczołgałem z bunkra. Gdy byłem już zdolny myśleć trochę trzeźwiej, użyłem stuka, żeby wejść na kanał taktyczny, i zgłosiłem się.

– Zniszczyli stanowisko artyleryjskie na zachodnim narożniku – oznajmiłem.

– McGill? – krzyknął Graves. – Nadal z nami jesteś?

Przetoczyłem się na plecy i spojrzałem w niebo. Mój HUD pokazywał, że nie doznałem uszczerbku fizycznego. Miałem jednak pewne wątpliwości.

– Tak jest! – powiedziałem, czy raczej częściowo wyjęczałem. – Ale mam wrażenie, jakby ktoś przerobił mój hełm na dzwon kościelny!

– Może być. Dołącz do Leesona na schodach. Posłałem go na niższe piętra.

Zmarszczyłem brwi zdezorientowany i zmusiłem się do siadu. Z każdą sekundą mój mózg działał coraz sprawniej.

– Na schodach, sir?

– Nieprzyjaciół przedarł się do arsenału. Straciliśmy parter.

– W porządku. Już lecę.

Z trudem stając na nogi, zabrałem tracha martwemu strzelcowi. Swoją broń straciłem, kiedy bunkier poszedł z dymem. Chwiejnym krokiem podążyłem w stronę klatki schodowej.

To, co zobaczyłem w środku, nie wyglądało zachęcająco. Okrzyki żołnierzy i strzały rozchodziły się echem przez długi szyb. Nieprzyjaciele przedzierali się w górę i wiedziałem, że nie będzie wesoło.

Sprawdziłem swojego tracha. Widziałem trochę nieostro. Zdawałem sobie sprawę, że pewnie mam wstrząs mózgu, ale stwierdziłem, że biosi powiedzą mi, co i jak, kiedy już się mną zajmą... O ile dożyję.

Broń, którą zabrałem, została tymczasowo przerobiona na karabin snajperski. Dzięki dłuższej lufie i lunecie zamontowanej u góry miała spory zasięg, ale dużo niższą szybkostrzelność.

Zszedłem na pierwszy podest i przyłożyłem karabin do poręczy. Między zakrętami schodów była wąska przestrzeń, dzięki której miałem widok na jakieś dwadzieścia pięter pode mną.

Gdy wypatrzyłem połyskującą, bordową masę, postanowiłem wejść do gry trochę wcześniej. Już od dawna nie używałem snajperki z lunetą, ale nadal czułem, że znam ją jak własną kieszeń. Oddawałem strzały i każdą serią kładłem jakiegoś napastnika. Kiedy załatwiłem już kilkunastu, mój hełm zatrzeszczał.

– Kto tam nawala trachem na górze? – zapytał Leeson.

– McGill, sir! – zameldowałem.

– Złaż tutaj, do cholery! Potrzebuję twojego działu na linii frontu!

– Straciłem osiemdziesiątkósemkę. Ale i tak nie dałbym rady znieść jej po dwudziestu kondygnacjach!

Nastąpiła wiązanka przekleństw. Najwidoczniej Leeson w ferworze walki zapomniał, że w tej walce używałem działu na trójnogu.

– Dobra – odparł. – Rzygacza też nie masz, co? I co mi po bombardierze, który nie może bombardować? W takim razie po prostu strzelaj do nich dalej, kiedy będą wchodzić po schodach.

Byłem zadowolony z tych rozkazów, bo nadal trochę kręciło mi się w głowie i nie miałem ochoty zbiegać w sam środek tej kotłowniny. Oddając strzały z niewzruszoną precyzją, zdołałem powalić jeszcze z dziesięciu. Potem Tau poszli po rozum do głowy i zaczęli się przesuwać plecami do ściany, żeby utrudnić mi strzelanie.

Wkrótce potem na niższych poziomach zapanowała cisza. Obchodziłem klatkę schodową, próbując namierzyć cel pod każdym

kątem, ale nie udało mi się trafić choćby w jeden srebrny but.

– Sir? – odezwałem się na kanale do rozmów dla plutonu. – Chyba przestali wchodzić po schodach.

– Wszyscy mają zostać na stanowiskach. Oni coś knują. Spodziewam się zmasowanego ataku.

Nie miałem wiele do roboty, więc zacząłem powoli schodzić, stale wypatrując nowych celów przez lunetę. Nikogo nie namierzyłem.

Kiedy Tau w końcu wykonali ruch, wzięli nas z zaskoczenia. Na szczęście ja stałem dużo wyżej niż reszta, więc nie był to dla mnie aż taki szok.

Byłem mniej więcej pięć pięter od poziomu dachu, kiedy usłyszałem ogłuszający rumor. Paston popękał, wzbijając tumany pyłu na klatce. Zdążyłem w ostatniej chwili zamknąć hełm, zanim zostałem obsypany niczym pączek.

– Sir? – zacząłem, słysząc jedynie sporadyczne strzały i krzyki rannych. – Adiunkcie Leeson? Co się dzieje?

– Rozpieprzyli całe piętro. Tuż pod naszymi nogami. Teraz jesteśmy na częściowo zburzonej kondygnacji. Przeszliśmy do starcia bezpośredniego. Trupów jest tyle, że trudno uwierzyć! Zawalili sufit na własne głowy!

Zmarszczyłem brwi. Walka wręcz ze zdeterminowanym wrogiem to jedno, ale ci goście działali jak uzbrojone lemingi. Nie obchodziło ich, czy setka ich żołnierzy zginie, byleby udało im się zabrać na tamten świat kilku naszych.

Ponownie, pomimo pyłu i krwi, zacząłem zachodzić w głowę, dlaczego ci goście – zwykle dalecy od gotowości do poświęcenia – teraz tak chętnie kładli na szalę własne życie.

Walki przybierały na sile, gdy coraz więcej Tau przypuszczało atak na schody. Mając nowe cele i krótszy zasięg, zdołałem znaleźć dobrą pozycję do strzału. Zdejmowałem ich, gdy tylko znaleźli się w polu widzenia.

Najbardziej zdumiało mnie, że wcale ich nie ubywa. Zamierzając utworzyć barykadę z ciał, odstrzeliwałem ich po kolei na jednym podeście, jakieś siedem pięter niżej. Wkrótce schody były śliskie od krwi, a Tau musieli przerzucać zwłoki przez poręcz, żeby piąć się w górę, często na czworakach.

Ilu zabiłem? Nie wiem. Co najmniej stu. A może nawet dwa razy tyle. Albo jeszcze więcej. Pod koniec walki mój magazynek był w połowie pusty, a przecież trach może pomieścić tysiąc małych pocisków.

– Sir? – odezwałem się, zakłócając ciszę. – Adiunkcie Leeson?

– Leeson nie żyje – oznajmił znajomy głos. – Mówi weteran Harris. Z bólem serca muszę przyznać, że to była naprawdę niezła strzelanina, McGill. Doradzę Gravesowi, żeby przeniósł cię z powrotem do lekkobrojnych. Minąłeś się z powołaniem, synku!

– Dziękuję, weteranie!

– Tylko żeby sodowa ci nie uderzyła do głowy! Teraz nas kryj. Wchodzimy z powrotem na górę.

Usłyszałem tupot stóp na schodach. Kilkunastu członków plutonu dotarło do mojego stanowiska. Wielu z nich krwawiło, a wszyscy byli pokryci pyłem i potem.

– Odparliśmy atak? – zapytałem Harrisa, kiedy się pojawił.

– A, kurwa, gdzie tam! – odparł. – Oni tylko zrobili sobie przerwę.

Spojrzałem ponuro w otchłań wirującego pyłu.

– Weteranie... a czy arsenał nie znajduje się właśnie tam? To znaczy na środkowych kondygnacjach?

Harris obrzucił mnie poirytowanym spojrzeniem.

– Może i tak, McGill. Ale to ja tu dowodzę i uważam, że z tego miejsca mamy większe szanse na przeżycie i na obronę dachu.

– Ale przecież mamy nie dopuścić do tego, żeby zagarnęli broń! Kogo obchodzi dach?

Harris położył dłoń w ciężkiej rękawicy na moim ramieniu i wepchnął mnie do niszy na poważną pogawędkę na osobności. Reszta ocalałych żołnierzy obejrzała się za nami, ale w większości byli zajęci wypatrywaniem nowych napastników. Wyglądali, jakby nie chcieli mieć już do czynienia z tym nieprzyjacielem.

– Słuchaj no – wydyszał Harris prosto w moją twarz. Waliło mu z gęby jak spod pachy i z tego, co widziałem, ani on, ani ja nie byliśmy z tego szczególnie zadowoleni. – Nawet nie próbuj wydymać tych wszystkich żołnierzy i nie kabłuj nas centurionowi... Ani tym bardziej primusowi!

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło, weteranie. Po prostu pomyślałem, że mieliśmy rozkaz....

– Ile razy mam ci to powtarzać, młody? Przestań tyle myśleć! A przy okazji przestań tyle gadać!

– Pracuję nad tym.

Harris spojrzał na mnie złowrogo, a potem westchnął ciężko.

– Posłuchaj, McGill, wiem, że uważasz się za nie wiadomo jakiego bohatera. Masz jakiś kompleks i potrzebujesz pomocy specjalisty. Ale większość żołnierzy z naszej drużyny stara się po prostu dożyć do końca dnia. Pasuje ci to?

– Wydaje mi się, że mielibyśmy większe szanse na przetrwanie, gdyby nieprzyjaciół nie miał szansy się dozbroić.

Harris parsknął i potrząsnął głową.

– Jeszcze nie zdążyłeś zajarzyć, jak się sprawy mają? Nieważne, czy będziesz walczył aż do śmierci w tej odjechanej piramidzie, czy nie. Liczy się tylko prosty fakt, a mianowicie taki, że ty, ja i cały Legion Varus nie powstrzymamy dziesięciu milionów popaprańców. Czasem nawet najlepsze starania jednej osoby, albo nawet tysiąca osób, nie mogą zmienić wyniku bitwy. To beznadziejna misja. Rebelia trwa już czwarty dzień i nic nie idzie ku lepszemu. Przeciwnie, z każdym dniem jest coraz gorzej.

– Nie uważam, żeby przez to miały się zmienić nasze rozkazy albo cele misji – upierałem się.

– Zmieniają się, bo sytuacja jest beznadziejna. Mój kontrakt nic nie mówi o tym, że w przypadku beznadziejnej walki mam raz po raz ginąć zupełnie bez sensu.

– Właściwie to... – zacząłem, ale Harris gestem uciął dalsze dyskusje.

– Słyszałeś? – zapytał, spoglądając w dół przez poręcz.

Faktycznie coś usłyszałem. Niskie buczenie, a potem odgłos, jakby ktoś coś... rozrywał!

– Na górę! – krzyknął Harris. – Wszyscy na górę!

Żołnierze wykonali rozkaz, ale dla kilku było już za późno.

Jakimś cudem nieprzyjaciele wspięli się na poziom tuż pod nami. Zniszczyli podpory i zawalili piętro. Teraz zdałem sobie sprawę, że odgłos rozrywania rozlegał się, gdy uderzali w mury miotaczami piorunów.

Nasza ocalała ósemka rzuciła się do odwrotu, dwa piętra w górę, prawie docierając do wjazdu prowadzącego na dach. Tam nas

dogonili, a my odwróciliśmy się jak koty, które utknęły na drzewie. Walczyliśmy z Tau, którzy gnali za nami, wyciągając nieuzbrojone dłonie, z których wysunęły się pazury.

Oderwałem z tracha lufę snajperki i przestawiłem karabin na pełny automat. Ostrzeliwałem szarżujący motłoch. Kilku Tau posłało w moją stronę ładunki elektryczne. Moje oczy przestały działać, kiedy jeden z pocisków rozprysnął się na schodach nad moją głową. W dalszym ciągu jednak nie wypuszczałem broni z rąk. Trzymałem palec na spuście aż do całkowitego opróżnienia komory, obsypując gradem maleńkich, rozpędzonych pocisków tłum nieprzyjaciół, którzy, jak wiedziałem, byli tuż przede mną.

Gdy wrócił mi wzrok, obok zamajaczyła jakaś ogromna postać.

– Sargon? – zapytałem. – Myślałem, że już cię zabili!

– Nic z tego – odparł z ponurym uśmiechem. – Już raz poległem na tym wyjeździe i wyczerpałem limit.

Spojrzałem w dół, na schody naprzeciwko naszego stanowiska. Ziała w nich dziura. Sargon poklepał swój rzygacz.

– Pomyślałem sobie, że te schody to przecież sam paston o grubości paru centymetrów. Posłałem skoncentrowaną wiązkę tuż pod ich stopy i je rozwaliłem. Teraz będą mieli niezłą zabawę z przechodzeniem przez tę dziurę.

Kiwając głową z uznaniem, klepnałem go w ramię.

– Szkoda, że sam na to nie wpadłem – przyznałem. – Ale gdybym tylko miał swój rzygacz, to na pewno też bym tak zrobił.

– Nie – zaprzeczył Sargon poważnym tonem. – Bez szans. Za tępy na to jesteś.

Kontynuowaliśmy odwrót po schodach w górę i wkrótce znaleźliśmy się przy włączu na dach. Otworzyliśmy go ostrożnie. Jako jeden z ostatnich ocalałych żołnierzy plutonu, nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać po wejściu na dach, ale na pewno nie oczekiwałem tego, co zobaczyliśmy.

Na dachu lądowały posiłki. Setki legionistów. Towarzyszyli im rządowi żołnierze Tau, wyglądający na całkiem zdrowych. Pomoc przybyła w ślizgaczach. Każdy zespół wyskakiwał z transportera i pędził do akcji już kilka sekund po lądowaniu. Potem ślizgacze odlatywały, robiąc miejsce dla kolejnych pojazdów.

Co najlepsze, wśród tych połączonych sił znajdowali się biosi. Pokuśtykałem naprzód, mając Harrisa z jednej strony, a Sargona z drugiej. Dwójka biosów – a raczej biosek o zatroskanych minach – pobiegła w naszą stronę i zajęła się ranami, z których prawie nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że jedną z nich jest Anne. Ujęła w dłoń moją twarz, uśmiechnęła się i wyciągnęła z mojego policzka odłamek muru, wyglądający jak krzemienisty grot strzały.

Odwzajemniając uśmiech, osunąłem się na kolana.

– Wydaje mi się, że miałem wstrząs mózgu – powiedziałem, ale ona chyba mnie nie usłyszała. Może to przez hałas lądujących statków, a może przez to, że usta miałem pełne jakiejś brei. Nie byłem pewien.

„To nic” – pomyślałem, leżąc na wznak i patrząc w gwiazdy przeświecające przez ogromne czarne polimerowe płyty, tworzące sztuczne niebo nad nami. Na pewno sama się domyśli. To jej zadanie.

A ja już swoje zrobiłem.

Po przebudzeniu mimowolnie spodziewałem się, że zostanę wypuszczony z maszyny wskrzeszającej. Jednak jeszcze nie przyszedł czas na moje następne ciało.

Zostałem jakoś przewieziony z powrotem do sztabu. Byłem na pokładzie biosów. Nazywaliśmy ten obszar niebieskim pokładem, obojętnie, czy znajdował się okręcie, czy na stacji.

W ramię, dupę, nos i Bóg wie gdzie jeszcze miałem powtykane różne rurki. Nie jestem profesorem medycyny, ale domyśliłem się, że nie wróży to nic dobrego.

Jakiś alarm musiał zwrócić uwagę Anne, bo wpadła do mojego osłoniętego namiotu, kiedy tylko się obudziłem.

– Cześć! – powiedziałem, siląc się na uśmiech. – Ta randka dziś wieczorem dalej aktualna?

Zbadała mnie dłońmi i całym stosem przyrządów. Miała wyraźnie zatroskaną minę.

– Naprawdę trzeba było oddać cię do recyklingu – stwierdziła cicho, niemal szeptem. – Nawet nie masz pojęcia, jak na mnie naciskali.

Mój uśmiech stopniał.

– Naciskali? Kto? I dlaczego?

– Głównie mój własny personel.

Musiała dostrzec mój wyraz twarzy, bo potrząsnęła głową i spróbowała się wytłumaczyć.

– To nic osobistego, James. To kwestia zasobów. Twoje ciało jest jak samochód. Są sytuacje, w których łatwiej jest cię zniszczyć i stworzyć nowego McGilla, niż cię naprawiać. A to ciało, w którym teraz funkcjonujesz, cóż... powiem tylko tyle, że przekroczyłeś tę granicę.

– To znaczy, że oddali mnie do kasacji? Nie sądziłem, że jest aż tak źle.

– Miałeś pękniętą czaszkę. Wiesz, że pogruchotali ci lewy oczodół? Zmarszczyłem czoło w zamyśleniu.

– Rzeczywiście przez chwilę trochę gorzej widziałem.

Pokręciła głową.

– Pół tuzina ran kłutych od odłamków, utrata krwi, złamane żebro, częściowo zapadnięte lewe płuco...

– No tak – przyznałem – strasznie mnie rwało w boku. Nadal boli. Ale podczas walki trzeba ignorować takie rzeczy najdłużej jak się da.

Anne westchnęła, wyprostowała się i zacisnęła usta.

– Przeżyjesz, ale przez jakiś czas wszystko będzie cię bolało. Wymagałeś częściowych odrostów i oprysków masą cieleśną. Spróbuj nie robić zbyt wielu min, żeby nie porozdzierać nowej skóry.

– Hej – zawołałem za nią, kiedy chciała już pognać do kolejnego pacjenta. – A co z naszą randką?

Anne obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Może lepiej omów to najpierw ze swoją dziewczyną – poradziła, a potem odeszła. Po jej chodzie widziałem, że jest wkurzona.

Pozwoliłem głowie opaść na poduszkę. Był to błąd, którego natychmiast pożałowałem. W moim mózgu boleśnie eksplodowały światła.

Natasha rozmawiała z Anne. Jasny gwint! To właśnie był problem z randkowaniem w obrębie swojej jednostki. Paniom nigdy się to nie podobało, nawet jeśli wciskały kit, że nie obchodzi ich, co robisz. Chyba nie były w stanie pojąć, że nie jestem typem monogamisty. Przynajmniej na razie. I może nigdy nie będę.

Kilka godzin później zdołałem stanąć na nogi i wygramolić się z niebieskiego pokładu. Anne próbowała mnie zatrzymać, ale jej nie słuchałem. Na zewnątrz wciąż wrzała bitwa, a ja nie chciałem jej przesiedzieć w łóżku.

Znalazłem Leesona na parterze, gdzie zbierał ocalałych żołnierzy naszej jednostki. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem żadnych innych oficerów.

– Sir? – zapytałem. – Gdzie jest Graves? Albo adiunkt Toro?

Spojrzał na mnie ponuro.

– Czekają w kolejce do wskrzeszenia – oznajmił. – Ale to jeszcze potrwa. Imperator Turov w swej mądrości niezmierzonej zdecydowała, że tylko oficerowie jednostek, które przetrwały na

swoim ostatnim stanowisku, powinni dalej dowodzić swoimi oddziałami.

– Co? Przecież to chore!

Leeson zaśmiał się oschle.

– Możesz sam jej to powiedzieć. Przyleciała parę godzin temu. Teraz jest na najwyższym piętrze tej wieży z chomikowych klatek. Z pewnością będzie rada każdej krytycznej uwadze z twojej strony.

Wiedziałem aż za dobrze, że Turov wolałaby zobaczyć, jak posyłają mnie na permy, niż omawiać ze mną strategię, więc zamilkłem.

Carlos też był na nogach i zaczął swoim zwyczajem wszędzie za mną łązić. I, również swoim zwyczajem, nie zamierzał milczeć.

– Do dupy z tym wszystkim! – powiedział już chyba siedemnasty raz, odkąd mnie odnalazł. – Mamy iść walczyć i znowu ginąć pod dowództwem największej trzęsidupy wśród oficerów tej jednostki?

– Nie zgodzę się z tobą – odparłem. – To, że Leeson przeżył naszą poprzednią misję, nie czyni go jeszcze trzęsidupą.

– Ach tak? No dobra, może masz rację. Miał więcej oleju w głowie niż ty albo ja. Jakimś cudem uszedł z życiem.

– Tak samo jak ja – powiedziałem. – Po tym, jak poległeś w bunkrze, Leeson wprowadził nas do budynku. Walczyliśmy ostro i ledwo zdołaliśmy utrzymać arsenał, zanim zmieniły nas posiłki ze sztabu.

Mrużąc oczy z niedowierzaniem, Carlos spojrzał na moją twarz. Dostrzegł na niej gojące się jasne i szkarłatne blizny. Policzki miałem obficie spryskane neoskórą, ale każdy, kto wcześniej widział poważne rany, mógł rozpoznać, że jestem nieźle pokancerowany.

– A niech mnie! James McGill przeżył walkę... a ja nie! Winszuję szanownemu panu! Serdecznie winszuję!

Nie bardzo wiedziałem, czego tu winszować, ale nie należę do osób, które krępują pochwały – zasłużone bądź nie.

– Teraz już wiesz, skąd mam te dodatkowe belki – stwierdziłem.

Carlos ponownie spochmurniał. Wiedziałem, że choć jeszcze niecałą sekundę wcześniej mnie podziwiał, teraz chciał mi przyłożyć. Jednak zanim doszło do rękoczynów, Leeson podszedł do nas i z głośnym kłasknięciem położył dłonie na naszych ramionach.

– Strzelec i obserwator! Świetnie się sprawiliście – powiedział. – Ty, Ortiz, dostałeś w twarz, ale przedtem wasza dwójka wycięła w pień kilka szeregów nieprzyjaciela. Wiecie, że żaden inny strzelec nie dokonał choćby połowy tego, co wy? A ty, McGill... Cholera jasna, chłopie! Słyszałem, że po wyjściu z tego bunkra odstrzeliłeś jeszcze pięćdziesięciu. Cholernym trachem! I to z zakrzepem krwi wielkości mojej piąchy w swojej mózgownicy!

Nie wiem, kto z nas wyglądał na bardziej zaskoczonego, Carlos czy ja. Nie przywykliśmy do jakichkolwiek pochwał, a ja nic nie wiedziałem o zakrzepie. Postanowiłem, że przy następnej okazji będę lepiej traktował biosów. Anne mógł się zdarzyć dowolny wypadek z moją osobą i nikt by nie zwątpił, że potrzebuję świeżego odrostu. Serio, byłem jej dłużnikiem.

– Dzięki, adiunkcie! – powiedział Carlos, który nagle poweselał. Wyprostował się i trochę napuszył, niczym kobra rozkładająca kołnierz. – Daliśmy im popalić, co nie, James?

– No... – odpowiedziałem niepewnie. – Hmm... Adiunkcie, czy odzywał się do pana trybun Drusus?

– Ależ tak! – odparł Leeson, chichocząc nerwowo. – A myślicie, że dla czego tak obcałowuję was po dupach?

Popatrzyliśmy zdumieni najpierw na niego, a potem na siebie nawzajem.

– Yyy... sir? Jakie mamy rozkazy? – zapytałem.

– Jakże to? – odrzekł Leeson, z wyrazem udawanego zaskoczenia. – McGill pyta mnie o rozkazy przed misją? Myślałem, że nie zadajesz się z maluczkimi adiunktami!

– Sir, bądźmy poważni – powiedziałem. – Przecież pan nami dowodzi.

Leeson westchnął ciężko i wlepił w nas wzrok. Jego nastrój uległ zmianie. Pod tym względem różnił się od Gravesa. Centurion nie miał w zwyczaju okazywać emocji. Leeson był o wiele bardziej humorzasty i nerwowy.

– Naszym zadaniem jest wyjście na ulice i myszkowanie wśród rebeliantów Tau. Żywi czy martwi, mamy się dowiedzieć, przez co tak wariują. Zadowolony? A może chcesz podzwonić po ludziach z góry i załatwić nam jeszcze lepszą misję?

Carlos pokręcił głową z niedowierzaniem, wpatrując się we mnie i machając dłonią przed sobą, jakby chciał przegonić nieprzyjemny zapach.

– Niech to, powinienem się domyślić. McGill, nie wiem, co nawywijałeś, i nawet nie chcę wiedzieć. Nie wkręcaj mnie w swoje chore gierki. Adiunkcie, czy może mnie pan przydzielić do kogoś innego?

– Nie! Stul mordę! – rzucił Leeson, nawet na niego nie patrząc. – I co, McGill? Zechcesz mi odpowiedzieć. Zadałem ci pytanie. Czy jesteś teraz zadowolony?

– Zadowolony to będę, jeśli uda nam się poznać przyczynę tej rebelii – odpowiedziałem, już lekko podminowany. – Pomyślałem, że zamiast wybijać miliony buntowników, lepiej będzie poświęcić trochę czasu i obmyślić, jak zatrzymać te zamieszki. Oni nie powinni się tak zachowywać, sir. Muszą mieć jakiś powód.

Leeson parsknął i potrząsnął głową.

– Ich nie da się zatrzymać. Przez całe życie byli gnojeni, a teraz postrzegają nas jako tych słabszych. Zamierzają zagrabić wszystko, co wpadnie im w łapy. Niemajątni roznoszą majątnych na strzępy. Tak to już jest, od zarania dziejów.

Nie do końca nadążałem za jego tokiem rozumowania.

– Kto niby jest słaby? W legionie jest nas co prawda tylko dziesięć tysięcy, ale wykonujemy robotę całkiem nieźle!

Leeson znów pokręcił głową.

– Chodzi mi o to, że Imperium jest słabe – wyjaśnił. – Tu, na granicy, jesteśmy jedynymi przedstawicielami prawa i porządku. Sytuacja nie wygląda już tak różowo, co?

Wzruszyłem ramionami.

– Lepsze to, niż żeby cały nasz rodzaj trafił na permy – stwierdziłem.

– Nie zrobiliby tego. Floty już wtedy tam nie było.

Miałem pewne wątpliwości, ale zachowałem je dla siebie. Statek Nairbów zafundował permazgony kalmaropodobnym mieszkańcom układu Zeta Herculis, a Ziemia, o ile wiedziałem, nie posiadała obronnej floty kosmicznej. Wystarczyłby jeden okręt, żeby zrzucić żar bomby na Ziemię zamiast na kalmary. Nie wiem, czy zdołalibyśmy ich powstrzymać.

– Jesteś bystrzakiem – zwrócił się do mnie Leeson. – I co, nie spodziewałeś się czegoś takiego? Przecież zrobili z nas Siły Egzekucyjne, pamiętasz? Brzmiało ci to jak jakiś awans? Jeśli tak, to się przeliczyłeś. Na Rubieży 921 jest z tuzin planet takich jak ta. Są jak beczki prochu, które tylko czekają, żeby wybuchnąć. Pokój nie jest naturalnym stanem rzeczy na żadnej planecie. Nie bój nic, McGill. Podczas naszych międzygwiazdnych podróży i kolejnych „egzekucji” sam się o tym przekonasz.

Nie bardzo wiedziałem, jak odpowiedzieć na tę tyradę, więc milczałem. Carlos wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale choć raz postanowił trzymać gębę na kłódkę.

Leeson odszedł od nas, policzył żołnierzy i włączył kanał jednostki.

– Dobra, ludzie, zaczynamy – oznajmił, wymachując rękami dla zwrócenia uwagi i podkrecając mikrofon do ogłuszającego poziomu. – Jest nas o połowę mniej, ale więcej wskrzeszeń już dziś nie będzie. Wychodzimy przednimi drzwiami i władowujemy się na ciężarówki, które czekają na zewnątrz. Wyruszamy na front! A to wszystko dzięki uprzejmości obecnego tu pana McGilla!

Carlos ustawił się za mną i wszyscy pomaszerowaliśmy w stronę oczekujących na nas środków transportu naziemnego. Przed budynkiem stały trzy ciężarówki. Pomieściliśmy się z trudem. Carlos i ja wsiedliśmy do drugiej i musiałem mocno tulić do brzucha swój rzygacz.

– Ale kijowo! – narzekał Ortiz. – Transport naziemny? Co to ma, kurna, być? Miną wieki, zanim przedrzemy się przez to zakorkowane miasto. Na pewno gdzieś jakiś żółw lata sobie w dużo lepszym pojeździe niż ten!

Spojrzałem w górę, ale nie stwierdziłem, by ruch powietrzny miał takie natężenie jak zwykle. Kiedy przybyłem na Świat Postępu, na każdej ulicy roilo się od świateł, warkoczających pojazdów i tłumów mieszkańców. Teraz było tam więcej kup gruzu niż Tau i więcej wraków niż działających środków lokomocji.

Ignorując Carlosa, który dalej utyskiwał, sięgnąłem do stuka. Napisałem wiadomość do Natashy, a ona od razu odpowiedziała.

„Szukamy odpowiedzi” – powiadomiłem ją.

„Wiem” – odczytałem po chwili. „Jestem w trzeciej ciężarówce i wszyscy mnie nienawidzą”.

Leeson przepchnął się przez zatłoczony pojazd i stanął naprzeciwko mnie, hełm w hełm.

– Zabieram cię na front – oznajmił z wyrzutem. – Wasza świątobliwość ma jakieś szczególne życzenia co do planu wycieczki?

Poczułem się niezręcznie. Jako specjalista faktycznie nie powinienem kontaktować się z szychami. Może właśnie dlatego Natasha tak się wahała, czy warto obchodzić dowódców i wnioskować o tę misję.

– Wiem, gdzie możemy zacząć – powiedziałem po chwili zastanowienia. – Wróćmy tam, skąd przyszło tych sześciu Tau na samym początku. Mam na myśli tych ze skrzyniami z bronią.

– Że co? – zaskrzeczał Carlos – Zabierasz nas z powrotem do głównianej rzeki? Nie mam ochoty znów się w niej taplać, McGill!

– Dlaczego mamy iść do kanałów? – zapytał Leeson.

Potrząsnąłem głową.

– Nie tam. Niezupełnie. Pamięta pan, jak do nas zjechali na jakiejś windzie? Oznacza to, że nad tamtym miejscem musi być budynek. Ale jaki? I kto tam pracuje? Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.

Leeson patrzył na mnie przez chwilę, a potem skinął głową.

– Dobra myśl, McGill. Tam właśnie pójdziemy. Ale lepiej dla ciebie, żebyśmy znaleźli coś ważnego. Chcę jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Dopiero wtedy będę zadowolony. Nie lubię niedoróbek.

– Nigdy w pana nie wątpiłem, sir! – zapewniłem.

Adiunkt spojrzał na mnie ponuro, a potem wrócił na miejsce przy kierowcy, przeciskając się przez tłum żołnierzy. Ciężarówką tak trzęsło i bujało, że robiło się niedobrze. Wszyscy chwialiśmy się, ale na szczęście nikt się nie przewrócił, gdy pojazd ostro skręcił, obierając nowy kurs.

Obserwowałem mijane budynki. Ulice były opustoszałe i ciche, nie licząc tumultu i zgiełku bitewnego gdzieś w oddali. Przynajmniej prąd już wrócił i ze sztucznego nieba spływały promienie sztucznego słońca.

Toczyliśmy się i telepaliliśmy, aż wreszcie dojechaliśmy do lokalizacji, w której kilka dni wcześniej spotkaliśmy się z przemytnikami Tau. Tym razem jednak znajdowaliśmy się na poziomie ulicy, a nie w kanałach. Pachniało tu trochę lepiej. Gdy wygramoliłem się z paki, na moim hełmie rozprysły się wielkie krople spadające z odległego „nieba”.

– Czy to deszcz? – zapytał Carlos, zadzierając głowę. Wkrótce jego też pacnęła kropla. – Faj! Coś tu nie gra. To jest ciepło i jakieś takie... no nie wiem... gęste.

Nie spoglądałem w górę, aby nie spadła na mnie kolejna.

– To na pewno był deszcz? – zapytałem go. – Z tego, co mówisz, to raczej ptasia kupa.

– Nie, nie. Aż tak źle nie jest. Ale raczej bym tego nie pił. Są w tym inne substancje oprócz wody. Może polimery. Albo jakiś smar.

– Mniem! – zawołałem, klepiąc go ze śmiechem po plecach. – Dzięki, że byłeś naszym degustatorem.

– No. Super.

Parliśmy naprzód, do wysokiego, prostopadłościennego budynku. Od wewnątrz budowla wyglądała lepiej niż na zewnątrz, a ja poczułem przypływ nadziei na widok garstki cywili Tau. Mieli ubrania typowe dla swojego rodzaju, połyskujące błękitno i pomarańczowo. Była to właściwa kombinacja do pozyskiwania towarów, wskazująca, że po prostu robią zakupy i nikomu nie wadzą.

Pasaż małych sklepów otaczał centralny torus, majaczący wysoko nad nami. Pośrodku znajdowały się luksusowe sklepy tylko dla bogaczy. Klienci pospiesznie usuwali się nam z drogi.

Za mniejszymi zewnętrznymi sklepami znajdowała się szersza centralna alejka. Wmaszerowaliśmy przez drzwi, podążając za Natashą, której GPS był w stanie wskazać naszą poprzednią lokalizację oraz punkt wyjścia poziom niżej, tam gdzie handlarze bronią musieli spotkać się z nami kilka dni wcześniej.

Wszystkie nasze stuki były oczywiście wyposażone w systemy nawigacji GPS, ale ponieważ nie byliśmy na planecie, urządzenia pracowały inaczej. Zostały tak skonstruowane, by działać blisko stałego lądu. Mimo że orbitalne miasto, w którym przebywaliśmy, miało stałą lokalizację i było przyczepione do globu pępowiną, nie pozostawało w całkowitym bezruchu. Kołysało się i kiwało jak wieżowiec poruszany miejską bryzą. Do tego wewnętrzny mechanizm obracał się, aby zapewnić grawitację przez siłę odśrodkową. Nawet wzmacniacze sygnału często przemieszczały się po mieście, aby lepiej obsługiwać dany obszar.

Krótko mówiąc, nasze stuki miały problem z podaniem lokalizacji z dokładnością do paru metrów, ale Natasha posiadała w swoim sprzęcie wystarczającą moc przerobową, aby sobie z tym poradzić. W takich chwilach naprawdę opłacało się mieć pod ręką technika.

– To tutaj. Na tyle, na ile jestem w stanie określić – oznajmiła w końcu. Zatrzymała się i rozejrzała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Na naszych zresztą też.

– Co niby tutaj jest? – zapytał Leeson, przepychając się na czoło grupy. Wcześniej trzymał się z tyłu, pozwalając nam wyniuchać ewentualną zasadzkę. – Widzę tu tylko jakąś fontannę.

Bo właśnie to znaleźliśmy. Prostą pastonową fontannę ze strużką wody nadal ciurkającą z centralnego obelisku w kształcie piramidy. W otaczającej go sadzawce na planie koła nie było żadnych ryb ani roślin.

– Może wrzucę grosik i pomyślę życzenie? – zapytał głośno Carlos.

– Rozejrzyjmy się wszyscy – zaproponowałem. – Musi tu być przejście do kanałów. Tau, którzy zlecili nam robotę, jakoś się tam dostali.

Leeson powiódł powątpiewającym wzrokiem po pomieszczeniu.

– Nie sędzę. Myślę, że Natasha się pogubiła.

Reszta grupy przeszukiwała teren, podczas gdy adiunkt wyglądał na znudzonego i wkurzonego. Natasha wodziła po ścianach przyrządem przypominającym szczoteczkę do zębów. Carlos poświęcał czas na kopanie w różne rzeczy. Kosze na śmieci, pastonową ławeczkę, a nawet samą fontannę.

Spojrzałem na nią i postanowiłem spróbować innego podejścia. Po prostu wszedłem do środka. Pobrząkiwanie przeszło w chlapanie. Po

dwóch krokach woda sięgała mi do kolan.

– Pamiętam, że była tam woda – powiedziałem na głos. – Ciekła i spływała z góry. Kiedy Tau powoli do nas zjeżdżali, platforma, na której stali, była mokra!

Sięgnąłem do piramidki, z której wypływała woda, i zacząłem się nią bawić na chybił trafił. Kiedy dotknąłem jej od góry, coś się zdarzyło. Cała woda z fontanny zaczęła spływać.

– Prr, kowboju! – zawołał do mnie Carlos. Potem roześmiał się na całe gardło. – Zepsułeś ją, durny klocu!

Przyznam, że w pierwszej chwili też tak pomyślałem. Jednak kiedy cała woda spłynęła, dno fontanny zaczęło powoli opadać. Ledwie zdołałem chwycić się krawędzi zbiornika. Po kilku sekundach podstawa fontanny zniknęła, a naszym oczom ukazała się ciemna dziura.

Zapachy, które się z niej wydobyły, nie pozostawiały wątpliwości co do tego, dokąd prowadził szyb.

– Mógłby ktoś mi pomóc? – zapytałem, zwisając z krawędzi fontanny.

Kilka silnych ramion uniosło mnie, po czym wszyscy spojrzeliśmy w otchłań. Po jakiejś minucie winda wrzuciła bieg wsteczny i wróciła do góry. Gdy fontanna była już uszczelniona, zaczęła się ponownie wypełniać świeżą wodą.

– To naprawdę dziwne – stwierdził Carlos.

– Świetnie – skomentował Leeson, składając rękawice z kłaśnięciem. – Ślepa uliczka. Wiemy, że Tau zjechali tym szybem, więc na pewno przyszli z tego centrum handlowego. I to wszystko. Jak ma nam to pomóc?

Natasha pomachała ręką, aby zwrócić uwagę.

– Jest tu jeszcze jedno tajne przejście – oznajmiła, wskazując na zaokrągloną ścianę. – Za tym pastobetonem wykryłam pustą przestrzeń, ale nie widzę żadnego wejścia. Pomóżcie mi je znaleźć!

Nie trwało to długo. Budowniczowie byli przebiegli, ale wybrali dość oczywisty mechanizm otwierający. Chodziło o instalację automatycznego oświetlenia. Kiedy poruszyło się przed nią dłoń, światła zapalały się jak należy. Ale jeśli wykonało się ten gest kilkakrotnie, otwierały się drzwi.

– No dobra – powiedział Leeson, wychodząc naprzód i zaglądając do ciemnego wnętrza. – Przyznaję, że teraz jestem pod wrażeniem. Carlos, Kivi, do przodu z bronią w pogotowiu. Włóżcie do środka i wybadajcie tę dziurę.

Wywołana dwójka wystąpiła naprzód, gderając pod nosem. Z jakichś powodów to właśnie ich wybierano najczęściej do zadań „specjalnych”. Oboje mieli talent do utyskiwania i robienia kłopotów. W Legionie Varus im ktoś był bardziej irytujący, tym chętniej dowódca szafował jego życiem.

Kivi poszła pierwsza. Wślizgnęła się po schodach w górę przez otwór. Przykucnęła na pierwszym zakręcie, a Carlos ją wyprzedził.

Chciałem pójść za nimi, ale Leeson mnie powstrzymał. Natashy również nie pozwolił wejść.

– Zaczekajcie – polecił. – Potrzebuję was żywych. Przynajmniej na razie.

– To sakramencko uczynne z pana strony, adiunkcie – powiedziałem mu prawie serio.

Natasha wypuściła brzęczyk, czyli małą pluskwę o rozmiarze i kształcie latającego żuka. Urządzenie pomknęło po krętych schodach za Carlosem i Kivi, a potem ich minęło. Schody prowadziły do pomieszczenia nad fontanną. Było wielkie, ciemne i zagracone.

Natasha sparowała brzęczyk z naszymi stukami, abyśmy wszyscy mogli śledzić eksplorację.

– Co to za sprzęty na ścianie naprzeciwko? – zapytałem.

– Nie jestem pewna – odparła. – Ale bardzo chcę to sprawdzić.

Jakieś dwadzieścia sekund później wybuchła bomba. Odpaliła ją Kivi, chodząca po pokoju nad nami.

Ładunek nie był zbyt duży, ale odpowiednio skonstruowany i ustawiony. Pancerz Kivi pękł i dziewczyna straciła stopę. Carlos zszedł po schodach chwiejnym krokiem, wlokąc ją za sobą i ciężko dysząc. Ignorując Leesona, wybiegłem mu na spotkanie, chwyciłem Kivi za drugie ramię.

Biosi przybiegli z tyłu grupy i przyklękli nad dziewczyną, która pobałała i syczała z bólu. Zastosowali wewnętrzne odcinacze (każdy pancerz miał ostrza, które w razie konieczności mogły amputować kończynę), ale widziałem, że jest za późno. Straciła zbyt dużo krwi.

Jej oddech stał się płytki i rwany. Spojrzała gniewnie na Natashę.

– To ty powinnaś tam być! – warknęła chrapliwie. – To twoje pieprzone polowanie! To ty i McGill powinniście zarobić tę bombę, nie ja!

– Przepraszam, Kivi! – powiedziała Natasha zbolalym głosem.

– Zdzira! – wydyszała Kivi. Potem zamilkła. Jeszcze ze trzy razy głośno wypuściła powietrze, ale robiła coraz dłuższe przerwy między oddechami.

A potem umarła.

Leeson wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Dobra. Kto następny? Haggerty, włącz!

– Sir, ja to zrobię! – zgłosiłem się.

– Ty jesteś moim bombardierem – zaprotestował Leeson.

– Tak, ale Kivi miała rację. To był mój pomysł. A poza tym mam najgrubszy pancerz.

Leeson przez chwilę kręcił głową, ale w końcu machnął ręką, pozwalając mi iść. Zanim zdążył się odezwać, Natasha pognęła za mną.

Szliśmy ostrożnie, na każdym kroku korzystając z wąchaczy i brzęczyków Natashy.

– Twoja pluskwa powinna wykryć tamtą pułapkę – powiedziałem.

– Myślisz, że nie wiem? – zapytała nerwowo. – Mają tu dobrą technikę. Bomba była niewykrywalna dla moich czujników!

– Super...

Po dotarciu na szczyt schodów, przeszliśmy do akcji w klasycznym stylu. Wyjąłem rzygacz i poszturchiwałem jego lufą każdy cal podłoża przede mną. Tamta eksplozja miała mały zasięg i duże natężenie. Gdybym odpalił bombę moją długą giwerą, pewnie uszedłbym z życiem, ukryty w ciężkiej zbroi.

Akurat kiedy zaczynałem już myśleć, że jesteśmy bezpieczni, znalazłem drugą bombę. Znajdowała się na lewo od wejścia, umieszczona tak, by można było na nią nastąpić podczas ostrożnego oddalania się od schodów.

Mój rzygacz uległ zniszczeniu, a lufa uderzyła mnie prosto w napierśnik, robiąc wgłębienie w metalu.

– McGill! – ryknął Leeson w moich słuchawkach. – Jak sytuacja?

– Moja broń jest skasowana, sir. Ale ja jestem cały.

Leeson kazał mi brać dupę w troki i zejść z powrotem po schodach, ale zapewniłem go, że nie mogło tam być więcej pułapek – inaczej zagrażałyby cennym przedmiotom, które miały chronić.

– Myślę, że on ma rację – powiedziała Natasha. – Bomby rozmieszczono na podłodze w wolnych przestrzeniach. Nie ma tu za wiele miejsca. Wygląda to jak strych pełen rupieci. Jeśli wybuchnie jeszcze jedna bomba, to na pewno uszkodzi rzeczy, które są tu tak zazdrośnie strzeżone.

Kiedy Natasha sprzeczała się z Leesonem, poszedłem dalej wąskim przejściem. Natasha chciała ruszyć za mną, ale uniesieniem dłoni kazałem jej zostać.

– Nie ma sensu, żebyśmy oboje poleżli w paszczę lwa – powiedziałem. – Użyj brzęczyka i znajdź rzeczy, które mam dla ciebie stamtąd zabrać.

Przykucnęła przy wejściu i obserwowała mnie uważnie.

– Stąpaj delikatnie – poprosiła.

– Ha, niezły żart – odparłem, tupiąc w stalowym wdzianku ważącym pewnie tonę.

Poszturchiwałem przedmioty na półkach wokół mnie i głośno zdawałem sprawę ze swoich obserwacji.

– Dobra, spróbuję połączyć fakty. Ci handlarze bronią mieli tu całą masę niezłych zabawek, a do tego windę prowadzącą do kanałów. Najwyraźniej nie był to ich pierwszy przemyt i nie ograniczali się tylko do broni. Czyli co? Myślisz, że te wszystkie graty są kradzione?

– Większości nie jestem w stanie nawet zidentyfikować, ale aż się palę, żeby dostać w swoje ręce coś wyjątkowego. James, widzisz to kuliste coś, podobne do skorupy ślimaka? Obok twojej lewej ręki!

Znalazłem rzecz, o której mówiła, i podniosłem ją.

– Dla mnie wygląda raczej na muszlę morską.

Brzęczyk Natashy dotrzymywał mi towarzystwa, unosząc się przy moim hełmie. Irytował mnie i miałem wielką ochotę go rozkwasić.

– Wykrywam tu jakieś dziwne odczyty. Emanuje, choć wydaje się beczynny.

– Masz na myśli wybuchowe odczyty?

– Nie – odparła. – Powinien być bezpieczny w obsłudze. Co jeszcze widzisz?

Przeszedłem jeszcze kilkanaście kroków i znalazłem dwa interesujące przedmioty. Jednym z nich był miotacz piorunów, taki jak te, którym już wielokrotnie stawialiśmy czoła na ulicy. Drugim czarne pudełko połączone z szelkami wysadzonymi odblaskowymi przyciskami. Podniosłem ostrożnie tę rzecz i pokazałem ją brzęczykowi.

– Co ty na to?

– To jeden z generatorów odzieży holograficznej. Nic szczególnego. Każdy Tau na stacji taki ma.

– Hmmm... – mruknąłem, rozciągając go przed sobą. – Zauważyłem coś dziwnego.

– Co?

– Widzisz to? Czy to nie jakiś mechanizm blokujący na tych holoszelkach? A sprzączka? Nie ma zapięcia.

Brzęczyk powoli przeskanował znalezisko, wznosząc się i opadając, aby pozwolić Natashy przyjrzeć się mu z bliska.

– Masz rację. Przynieś mi go.

Żeby nie zapeszać teraz, gdy odnalazłem coś potencjalnie przydatnego, wycofałem się, ostrożnie odtwarzając swoje kroki. Spotkałem się z Natashą przy wejściu.

– Chciałaś znaleźć tutaj fajne nowinki techniczne – przypomniałem jej. – Wybacz, że nie dałem rady skołować ci jakiejś bomby podłogowej, która nie zdążyła wybuchnąć.

– To nic. Napytałabym sobie biedy, gdybym wysadziła kogoś, kto mnie wkurzy.

Ze śmiechem podążyłem za nią po schodach.

– Nie zrobiłabyś czegoś takiego – powiedziałem. – Kivi już pręduje, ale nie ty. Nie darzysz nikogo aż taką nienawiścią, żeby go wysadzać w powietrze.

Obejrzała się na mnie i dostrzegłem błysk w jej oku.

– Pewnie masz rację. Nawet Anne aż tak sobie nie nagrabiła.

Otworzyłem usta, ale potem je zamknąłem. Nagle mnie olśniło. Była zazdrosna! Tak dobrze zgrywała fachurę, że zapomniałem już, jak ostrzegła Anne i zaprzepaściła moje szanse na randkę. Ostrożnie analizując sytuację, postanowiłem dać sobie spokój i udać, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

Wróciliśmy do pomieszczenia, pośrodku którego fontanna delikatnie sikała wodą. Byłaby to sielankowa scenka, gdyby Kivi nie odgrywała w niej roli zakrwawionych zwłok na podłodze.

– Co tam znalazłeś, McGill? – zapytał Leeson. – Niczego nie ukrywaj! Nie wysyłałem cię po to, żebyś łupił miejscowych.

Zachnąłem się na te słowa.

– Łupił miejscowych? Ci goście to zdecydowanie jacyś przestępcy. To oni uzbroili rebeliantów, którzy roznoszą miasto na strzępy. Tak tylko mówię, gdyby pan nie zauważył, sir.

Leeson zamilkł i obejrzał moje znaleziska. Natasha pożerała je wzrokiem, zwłaszcza przedmiot w kształcie muszli.

– Co to za śmieci? – spytał Leeson.

– Te szelki to generator odzieży – wyjaśniła Natasha. – Urządzenie do projekcji holograficznej. To właśnie uchodzi za ubiór wśród obywateli Tau. Nietypowe jest, że akurat to można komuś założyć i ten ktoś nie będzie mógł tego zdjąć. Drugi przedmiot jest dużo bardziej tajemniczy. Nie wiem, co to.

Leeson potrząsnął głową i oddał jej znalezione rzeczy.

– Śmieci – stwierdził. – Nie wierzę, że pozwoliliśmy Kivi zginąć dla czegoś takiego.

– A co pan powie na to? – zapytałem, pokazując mu miotacz piorunów.

– Tak lepiej – odparł. – Jakoś nigdy nie mogliśmy dorwać jednego z tych urządzeń w stanie nienaruszonym. Zbadamy je i sprawdzimy, czy da się zdalnie wyłączać. Dzięki, McGill.

Odchrząknąłem, gdy adiunkt odwrócił się, tuląc broń w ramionach.

– Sir? – zapytałem. – Straciłem rzygacz. Czy mógłbym to wziąć do czasu, aż wrócimy do sztabu? Już używałem czegoś takiego.

Leeson zmarszczył czoło, ale w końcu oddał mi miotacz.

– Niech ci będzie. Ale jeśli pošlesz mi w tyłek błyskawicę, to się odwdzięczę po wskrzeszeniu. Przyjąłeś, McGill?

– Jasno i klarownie, sir!

Potem wyszliśmy z budynku i wróciliśmy do ciężarówek. Na zewnątrz deszcz ustał, a ciało Kivi zostało upchnięte na podłodze pod naszymi stopami. Dziwnie czułem się przestępując nad nią i chwytając się poręczy.

Oczywiście nie mogliśmy jej tam zostawić. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by zostawić ciało na pastwę kosmitów. Cholera, kto wie? Mogliby nawet sprzedać ją na mięso.

Gdy jechaliśmy ciemniejącymi ulicami, co chwilę zerkalem w dół na Kivi. Myśląc trzeźwo, wiedziałem, że wróci. Wiedziałem, że w nowej wersji tych martwych, szeroko otwartych oczu znowu rozbłyśnie blask życia.

Tymczasem jednak wyglądała na zimnego trupa.

– Chciałam ci podziękować, że tam wszedłeś i zabrałeś te rzeczy – powiedziała Natasha zachrypniętym głosem. Jednocześnie wyjęła gadżety z moich rękawic i pospieszyła po schodach do zaimprovizowanego laboratorium.

Idąc za nią, uśmiechałem się w duchu. Nie ma to jak ryzykować życie, żeby podarować dziewczynie upragniony prezent. Taki wyczyn zawsze zmieniał mnie w księcia z bajki.

Natasha wyładowała tobołki i pogoniła kilku techników, którzy podeszli, chcąc przyjrzeć się fantom. Poza modulem trzeciej jednostki miała dostęp do laboratorium w module jednostki technicznej. Znajdowały się tu specjalistyczne urządzenia – komputery, czujnik, a nawet akcelerator cząstek, który legion zabrał w celu badania różnych systemów. Ponieważ lwia część obcej broni wykorzystywała promieniowanie korpuskularne, akcelerator służył do sprawdzania, jak dany sprzęt radzi sobie pod ostrzałem.

– To usankcjonowana eksploracja na polecenie trybuna Drususa! – powiedziała Natasha do ostatniego technika, którego usiłowała odegnąć. – Jeśli będę potrzebowała pomocy, to o nią poproszę. Dziękuję i do widzenia!

Technicy w końcu się usunęli, mamrocząc z poirytowaniem.

Kiedy Natasha pracowała przy urządzeniu wyglądającym jak mikrofalówka z odsłoniętymi kablami, podkradłem się bliżej. Nie protestowała, więc stałem, zaglądając jej przez ramię.

– Widzisz to? – zapytała, dysząc z podekscytowania. – To przewód zasilania. Widziałam takie na schematach, ale to pierwsza kompletna jednostka, jaką mam w rękach. Może się zdziwisz, ale dowództwo wiecznie zbywa prośby o wyposażenie wywiadowcze.

Urządzenie przypominające mikrofalówkę nie miało widocznych drzwiczek. Natasha włożyła od góry projektor holograficznej odzieży i zakryła ołowianą płytą, potem włączyła maszynkę i sprawdziła odczyty.

– Sęk w tym, że te projektory są powiązane z fizjologią Tau. Nie zmieniają wyglądu na bezpośrednie polecenie. Odczytują sygnały z organizmu właściciela i interpretują jego nastrój. W ten sposób dobierają kolory.

Zmarszczyłem brwi.

– Zawsze myślałem, że jest tam jakieś pokrętło, przy którym można majstrować.

Natasha pokręciła stanowczo głową.

– Większość ludzi tak myśli. Jednak te projektory odczytują nastrój użytkownika i dynamicznie się do niego dopasowują.

– Ale to znaczy, że Tau muszą być wkurwieni, jeszcze zanim przestawią się na rebeliancką stylówę – zauważyłem. – Nie robią tego celowo.

– Tego jeszcze nie wiemy – odparła, wciąż majstrując przy projektorze. Wreszcie wydała okrzyk radości i wyciągnęła pudełko z urządzenia. – Już mam!

– Co masz?

– Przeprogramowałam projektor tak, żeby rejestrował ludzkie sygnały wejściowe. Załóż to, proszę.

Skrzywiłem się z niepokojem.

– A nie porazi mnie czy coś?

– Mam nadzieję, że nie. No już, wyskakuj ze zbroi. To działa tylko na gołej skórze.

Uśmiechnąłem się przebiegle.

– Założę to tylko, jeśli obiecasz, że zrobisz to samo.

Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, do czego zmierzam. Potem zarobiłem od niej kuksańca.

– Rozbieraj się do gatek, a ja może się nad tym zastanowię – powiedziała. – Dalej nie podoba mi się ta sprawa z Anne.

– Co za zbieg okoliczności! Jej z kolei nie podoba się sprawa z tobą!

Chciałem, żeby moja uwaga zabrzmiała dowcipnie, ale gdy tylko ją wygłosiłem, wiedziałem, że trzeba było się powstrzymać. Było jednak za późno, więc usiłowałem zignorować spojrzenie Natashy. Wygramoliłem się z pancerza, wciągnąłem szelki przez głowę i zapiąłem sprzączkę. Dziewczyna zaciskała szelki, dopóki nie zacząłem wydawać nieprzyjemnych odgłosów. Od samego początku i tak były dość ciasne.

- Włączam – oznajmiła.
- Żadnych ostatnich życzeń?
- Już powiedziałam!

Pstryknęła przełącznikiem, a ja zajaśniałem jak choinka na święta. Czułem się dziwnie – stałem tam prawie nagi, ale wyglądałem na okrytego od stóp do głów.

– Ha! – zawołałem – Wyglądam jak zielony skrzat!

– Zielony i złoty – stwierdziła Natasha, przerzucając strony na swoim stuku. Zmarszczyła czoło, a potem znalazła właściwe objaśnienie.

– Żadny przygód i eksperymentów – przeczytała. – Tak się czujesz?

– Prawie bez przerwy! – przyznałem.

– Ach tak... Więc może to coś jednak działa jak należy.

– Poeksperymentujmy trochę. Pocałuj mnie!

Znowu zmarszczyła czoło.

– Nie, to nie będzie nasz pierwszy eksperyment. Spróbujmy raczej tego.

Nagle popieścił mnie prąd. Miałem wrażenie, że coś wibruje mi w zębach i jednocześnie pije nad biodrami.

Warcząc, chwyciłem pudełko i szarpnąłem za sprzączki.

– Napieprza mnie prądem! – krzyknąłem.

– Uspokój się! Już wyłączyłam!

Bzyczenie ustało. Obejrzałem moją widmową odzież. Zmieniła barwy na połyskującą biel z błękitnymi detalami.

– Gniew i ból – odczytała na głos Natasha. – Jeśli uszkodzony wyświetla takie barwy, szybko przyjeżdża po niego płatne pogotowie.

– A może teraz ty założysz to cholerstwo? – zaproponowałem.

Popatrzyła na mnie i roześmiała się.

– Dobra, już się wybawiłam. Jeszcze jedno małe doświadczonko.

Przyznam, że lekko się wzdrygnąłem. Wtedy podeszła blisko, stanęła na palcach i namiętnie mnie pocałowała. Zamrugąłem z zaskoczeniem, ale koniec końców wczułem się w atmosferę chwili, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie.

Pocałunek trwał przez jakieś piętnaście sekund. Gdy skończyliśmy, a Natasha próbowała się wyswobodzić, nie chciałem jej puścić. Kilku

techników, którzy zawędrowali z powrotem do laboratorium, zaczęło chichotać na nasz widok.

– Udało się! – oznajmiła Natasha, obracając się i przeszukując swoje notatki. – Pomarańczowy i szary... podniecenie i zaskoczenie! Zauważ, że kolor szary teraz blade. To dlatego, że już nie jesteś tak zaskoczony jak na początku.

– Dziewczyno, masz sopel lodu zamiast serca! – mruknąłem.

Przewróciła oczami i wróciła do swoich przyrządów.

– Poczyniliśmy spore postępy. Świetnie się sprawiłeś jako królik doświadczalny, James.

Spojrzałem na nią z nadzieją.

– A może spędzimy razem te parę ostatnich godzin czuwania? Do rana nigdzie nas nie wysyłają.

– Nie, nic z tego. Mam całą masę świeżych danych i chcę się nimi dalej bawić. Idź pomóż kogoś innego.

Zdjąłem szelki, wskoczyłem z powrotem w pancerz i powlokłem się w swoją stronę. Miałem niejasne wrażenie, że zostałem wykorzystany. Domyśliłem się, że Natasha chciała, żebym właśnie tak się czuł.

Skierowałem się na niebieski pokład, aby sprawdzić, czy nowa Kivi już się upiekła. Powtarzałem sobie, że nie planuję do niej uderzać, co zresztą było prawdą. Przyszedłem w to miejsce, bo wciąż miałem przed oczami to, jak umierała w moich ramionach, i chciałem zobaczyć jej twarz znów pełną życia. Tylko tyle.

Kiedy pytałem o nią biosów, kręcili głowami ze znużeniem.

– Nie, jeszcze jej nie ma. Twoja jednostka ma niski priorytet.

Wkurzyłem się i poszedłem porozmawiać z Anne.

– Czemu mojej jednostce skąpi się wskrzeszeń? O co chodzi? – zapytałem.

Obejrzała się na mnie i wzruszyła ramionami.

– Jeśli wiecznie podskakujesz do wszystkich wokół, to w końcu będziesz musiał za to zapłacić.

– Co?! Graves jeszcze nie został wskrzeszony! Niby do kogo miałbym podskakiwać? Zwykle dowódca jednostki wraca do walki po góra dwóch godzinach!

Anne unikała mojego spojrzenia.

– O tym będziesz musiał pomówić z imperator.

– Z Turov? To znaczy, że naprawdę tu jest? Świetnie. Uskutecznia mikrozarządzanie od samego początku. Gdyby to ona leżała teraz w tej wskrzeszarce, to opróżniłbym dolny zbiornik.

Bioska skarciła mnie wzrokiem.

– Nie powinienes tak mówić, James – powiedziała ściszym głosem.

– Ciśnie nas z byle powodu – odpowiedziałem. – Porozmawiam sobie z nią, tak jak poradziłaś.

Anne wyglądała na przestraszoną.

– Mnie w to nie mieszaj. Ale tak czy inaczej, życzę ci powodzenia...

Pozostawiłem ją z jej mokrą robotą przy maszynie wskrzeszającej i wymaszerowałem z pomieszczenia w kierunku wind. Porzucając pancerz i zabierając ze sobą tylko inteligentny mundur i broń boczną, wszedłem do windy. Przesunąłem palcem, wybierając najwyższe piętro na liście. Po chwili mknąłem przez stopy modułów.

Gdy winda wznosiła się coraz wyżej, zacząłem się zastanawiać, czy mądrze postępuję. Jednak maszyna działała aż nazbyt sprawnie i zanim zdążyłem zebrać myśli, dotarłem na miejsce. Stałem przed wejściem modułu dla dowódców.

Przyglądali mi się dwaj strażnicy o znudzonym wyglądzie. Nie znałem żadnego z nich. Obaj byli weteranami, jednak tym, co mnie zaskoczyło, był fakt, że jeden z nich pochodził z Legionu Varus, a drugi z Legionu Germanica.

– Podaj cel wizyty, specjalisto – powiedział ten po prawej, z Varusa.

– Chciałem się zobaczyć z imperator Turov, weteranie – odparłem.

– Dostałeś rozkazy?

– Owszem. Moja jednostka otrzymała specjalną misję śledczą od trybuna Drususa. Gdyby zechciał pan...

– Od Drususa i od Turov? – zapytał weteran podejrzliwie. – Trzeba być przynajmniej primusem, żeby zasłużyć na uwagę tych dwojga. Węszę ściemę, specjalisto.

– Weteranie, centurion Graves złożyłby tę wizytę osobiście, ale jeszcze nie wyszedł z maszynki. Dowiedziałem się czegoś, co chciałbym zgłosić swojemu dowódcy.

Dwaj weterani spojrzeli po sobie niepewnie. W końcu ten z Legionu Varus westchnął.

– Nazwisko?

Podałem mu swoje nazwisko i identyfikator jednostki. Weteran zniknął w służbie chroniącej moduł dla dowódców i nie było go przez całą minutę. W tym czasie weteran z Germaniki i ja mroziliśmy się spojrzeniami.

– Słyszał pan kiedyś o adiunkcie Claverze? – zapytałem go.

Zaśmiał się.

– O Srebrnobrodym? Każdy o nim słyszał. Jest śliski jak chodząca plama oleju. Niech pomyślę... Coś ci sprzedał i to coś nawaliło. Jeśli tak, to twoje kredyty już przepadły, młody.

Opis Clavera, który usłyszałem od weterana, pokrywał się z relacjami wszystkich, którzy mieli styczność ze Srebrnobrodym. We własnym legionie miał niemal tak samo złą reputację jak wśród ludzi z Varusa.

Śluza otworzyła się ponownie, a weteran z mojego legionu ponaglił mnie machnięciem ręki. Poszedłem za nim i po przedarciu się przez pompy powietrza i pstrykające gumowe uszczelki znalazłem się w niezłe urządzonej pomieszczeniu. Były tam kwiaty – najprawdziwsze kwiaty – poustawiane wzdłuż ścian w małych skupiskach. Od razu domyśliłem się, że importowano je z Ziemi. Wyglądały na orchidee. Mogłem tylko wyobrażać sobie, ile musiała kosztować taka ekstrawagancja. Stały tam również dwa fotele, wyglądające na wygodne, a pomiędzy nimi mały okrągły stolik, chyba wykonany z prawdziwego drewna. Na pokładzie położono nawet dywan. Mogłem się założyć, że został utkany ręcznie i przywieziony z jakiejś egzotycznej lokalizacji. Dywan przypominał olbrzymi podłogowy gobelin, przedstawiający wyblakłe postacie pracujące w polu.

– Zaczekaj tutaj – polecił weteran, wychodząc przez podwójne drzwi.

Zanim się zamknęły, usłyszałem głos imperator. Nie byłem pewien, jak długo przyjdzie mi czekać, więc rozsiadłem się na jednym z foteli. Gdy wtuliłem w niego tyłek, od razu mi się spodobał. Był to inteligentny mebel najwyższej klasy, dopasowujący się do kształtów i wagi.

Wpatrując się w kosmiczny dywan, stwierdziłem, że postacie na polach nie były ludźmi. Kim zatem? Podejrzewałem, że Tau, ale bez połyskujących holograficznych ubrań. Słyszałem, że najbiedniejsi

z nich biegają nago, ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem. W megadomu mieszkali tylko bogaci. Biedacy wyobrażeni na tkaninie pochodzili pewnie z powierzchni planety.

– Podziwiasz mój dywan? – usłyszałem kobiecy głos.

Podniosłem głowę zaskoczony. Zobaczyłem imperator Turov w całej krasie. Obnosiła bliźniacze złote słońca jak bogini i widziałem, że podoba jej się nowa ranga. Oznaczenia lśniły na jej kołnierzu, jakby oświetlane przez ukryte reflektory.

– Yyy... tak – powiedziałem. Rozejrzałem się, ale główne drzwi pozostały zamknięte. Czy weszła jakimś tajnym przejściem? Dotarło do mnie, że ta przytulna poczekalnia może być pułapką. Dwoje ludzi w takim miejscu, z wygodnymi fotelami i interesującym dziełem sztuki, mogłoby nawiązać ciekawą rozmowę. Dzięki temu Turov miałyby szansę wyciągnąć od kogoś informacje, które w innej sytuacji pozostałyby ukryte.

– Ten dywan to dzieło Tau – oznajmiła, spoglądając na podłogę. Trąciła czubkiem buta jedną z bladych istot. – Oczywiście ich życie na powierzchni już tak nie wygląda. Ten świat jest cały pokryty budowlami, a otwarta przestrzeń należy do rzadkości. Gobelin ma już swoje lata.

Popatrzyłem na niego i na jej stopę. Ciekawiło mnie, co pomyśleliby Tau, gdyby dowiedzieli się, że Turov wykorzystuje dzieło ich sztuki jako dywan. Tkanina pasowała raczej na jakąś ścianę, najlepiej w muzeum. Nie przyszedłem jednak, żeby spierać się na takie tematy.

– Pani imperator – zacząłem – jestem tu, ponieważ otrzymałem misję od swojego trybuna i...

– Wiem, po co tu jesteś – przerwała, zajmując miejsce obok mnie. – Zaaranżowałam eksperyment i już mam wyniki. Połknąłeś haczyk i zrobiłeś dokładnie to, czego się po tobie spodziewałam.

Nie miałem pojęcia, o czym gada, ale mi się to nie podobało. Turov była urodzoną intrygantką – i mówię to jako przedstawiciel tego samego typu ludzi. Różnica polegała na tym, że jej intrygi bywały przesadnie skomplikowane i jeszcze bardziej nastawione na korzyści osobiste niż w moim przypadku.

– Pozwolę sobie spytać, po co zadawała sobie pani tyle trudu? Mogła pani po prostu rozkazać, żebym tu przyszedł.

– Racja. Ale w ten sposób osiągnęłam swoje cele w jeszcze większym zakresie.

Potrząsając głową z zakłopotaniem, naciskałam dalej:

– Przyszedłem, żeby zameldować pani, czego się dowiedziałem. Trybun Drusus polecił mojej jednostce sprawdzić, dlaczego Tau wariują. Odkryliśmy parę rzeczy. Przede wszystkim, noszone przez nich projekcje holograficzne odzwierciedlają wewnętrzne emocje. Mam na myśli, że to ich uczucia wpływają na wygląd odzieży, a nie na odwrót.

– Fascynujące – odparła Turov oschle. – Może napiszę o tym publikację naukową, kiedy już wrócimy na Ziemię.

– Yyy... to nie wszystko. Ta konkretna projekcja, którą wyświetlają wszyscy kosmiczni rebelianci, nie występuje w żadnym przewodnikach. Uważamy, że oznacza to, że są wykolejeńcami, wykraczającymi poza normy społeczne.

– Doprawdy? – roześmiała się. – Jak na to wpadłeś, geniuszu?

Jej nastawienie zaczynało działać mi na nerwy, ale nie ustępowałam.

– To naprawdę ważne. Jeśli uda nam się zrozumieć, dlaczego ci kosmici wpadają w szal, i dowiedzieć się, w jaki sposób szerzy się to szaleństwo, będziemy mogli zatrzymać zamieszki.

– A kto powiedział, że chcę to zrobić? – zapytała.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka długich sekund. Czegoś tu nie rozumiałem.

– Zasugerowała pani, że manipulowała biegiem wydarzeń, aby mnie tu zwabić – powiedziałem. – Dlaczego?

Turov wskazała na narożniki przy suficie.

– Tam w górze są małe kamery, które wszystko nagrywają. Pozwól, że zadam ci teraz kilka pytań. Czy włamałeś się do sekretnego magazynu w sklepie i zabrałeś stamtąd pewne cenne przedmioty? Tak czy nie?

– Tak – odpowiedziałem. – Wziąłem jeden z projektorów holograficznych, o którym już wspominałem. Do celów badawczych.

– A co z drugim pozaziemskim artefaktem, który aktualnie masz przy sobie?

Przez chwilę patrzyłem na nią obojętnie, a potem pogrzebałem w kieszeniach. Wyciągnąłem muszlowaty przedmiot, który chciałem dać Natashy.

– O tym pani mówi? – spytałem.

– Daj mi to – warknęła.

Zrobiłem, jak kazała, z pewnym wahaniem. Zaczęła bawić się obiektem, uśmiechając się przy tym.

– Wiesz, co to takiego, James?

– Nie.

– Nie wierzę ci. Nie rozumiem, co to jest, wiem jednak, że to wytwór pozaziemskiej technologii, a nie zarejestrowany produkt wprowadzony do obrotu. Posiadanie go na tej planecie jest zatem nielegalne.

Spochmurniałem jeszcze bardziej.

– Skąd pani w ogóle wiedziała, że to mam?

– Istnieje coś takiego jak skanery i brzęczyki. Odkąd tu przybyłam, śledzę twoje ruchy z wielką uwagą.

– Czuję się doceniony, proszę pani – przyznałem.

– Niepotrzebnie. Twoje ciążoty do przestępstwa zostały już wielokrotnie potwierdzone. Może o tym nie wiesz, ale jesteś zagrożeniem dla wszystkiego, co dla nas ważne.

Wstrząśnięty, odchyliłem się w fotelu.

– Przykro mi, że tak to pani odbiera, pani primus... to znaczy pani imperator!

To była naprawdę pomyłka. Przez lata była moim primusem. Jeszcze nie przywykłem do jej ostatniego awansu. Widziałem jednak, że odebrała moje słowa jako celową, osobistą obelgę. Wcześniej była niefrasobliwa jak kot, bawiący się zdobyczą przed jej pożarciem. Teraz naprawdę się rozeźliła.

– Jesteś dla mnie symbolem całej masy błędów – powiedziała ponurym głosem. – Już po twojej pierwszej egzekucji powinienam dopilnować, byś pozostał martwy. Działasz lekkomyślnie i zagrażasz całemu naszemu gatunkowi. Ciągłe krzyżując innym szyki, stanowisz bezmyślne narzędzie w rękach każdego, kto zada sobie trud, by trafić w twoje, aż nazbyt oczywiste, czułe punkty.

Zacząłem podejrzewać, że Turov postradała zmysły.

– Hmm... skoro pani tak mówi...

Turov pomachała muszlokształtnym obiektem i mówiła dalej:

– Konflikt z Galaktykami, naginanie zasad, ustawianie głosowania, ciągły brak szacunku do przełożonych... koniec z tym!

Wyszarpnęła z kabury podręczny pistolet i wycelowała we mnie. Przyznam szczerze, że wzięła mnie z zaskoczenia. Zdawałem sobie sprawę, że za mną nie przepada, ale nie spodziewałem się, że posunie się do zamordowania mnie we własnym gabinecie.

– Czy to ma być jakaś małosłowna zemsta? – zapytałem. – Kamery dalej kręcą. Sama pani tak mówiła.

– Zemsta? Nic podobnego! Twoje zeznania zostały nagrane.

– A świadkowie? Potrzebuje pani ludzkich świadków, aby legalnie...

Za Turov cicho otworzyły się drzwi. Do pokoju weszły dwie osoby. Spodziewałem się weteranów, których spotkałem na zewnątrz, ale to nie byli oni. Zamiast tego otworzyłem szerzej oczy, gdy rozpoznałem samego trybuna Drususa, dowódcę Legionu Varus. Wyglądał na zatroskanego, a jednocześnie zrezygnowanego.

Drugi facet był dla mnie jeszcze większą niespodzianką. Był to adiunkt Claver! Srebrnobrody we własnej osobie! Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Uśmiechał się do mnie. Od ucha do ucha.

– Egzekucja? – Zerwałem się na równe nogi.

Turov również wstała z gracją z miejsca, z pistoletem wciąż skierowanym w moją klatkę piersiową.

– Tak – powiedziała. – Okaż choć tyle godności, by przyjąć ten werdykt bez szemrania, James.

Powiodłem wzrokiem po oficerach. Serce mi zamarło. Egzekucja w warunkach polowych wymagała obecności trójki oficerów, aby wyrok był prawomocny. Przypomniałem sobie, że było tak za pierwszym razem, gdy Turov usiłowała mnie unicestwić.

– Wygląda na to, że w końcu pani jest na wierzchu – zwróciłem się do niej. – Pozostaje mi pocieszać się myślą, że zachłapię krwią pani nowiutki dywan.

Mówiąc te słowa, z zadowoleniem dostrzegałem, że wszyscy są trochę podenerwowani – zwłaszcza Turov. O mojej skłonności do przemocy w takich okolicznościach krążyły już pewnie legendy.

Prawda była jednak taka, że skończyły mi się pomysły. Byłem jak tonący i uznałem, że zagadując ich na wszelkie możliwe sposoby,

zwiększam swoje szanse na znalezienie przysłowiowej brzytwy, której mógłbym się chwycić.

– Odbiorę mu broń, sir – powiedział Claver, obchodząc mnie szerokim kręgiem. Wyciągnął dłoń i chwycił moją spluwę. Odruchowo złapałem go za nadgarstek.

– Nie ruszaj się, specjalisto! – zawołała Turov.

Zwolniłem uścisk i Claver zabrał mi pistolet. Stał po mojej prawej stronie i wycelował mi w głowę.

– Na mocy praw nadanych mi przez Hegemonię i Galaktyków – zaczęła Turov – niniejszym...

Wskazując kciukiem Clavera, zapytałem drwiąco:

– A może ktoś chciałby odstrzelić tego kopniętego szmuglera zamiast mnie? Claver nabroił dużo gorzej niż ja. Z tego, co wiem, właśnie on stoi za tymi rozruchami. To on uzbroił rebeliantów, wykorzystując nielegalne monety kredytowe. To on...

– Oskarżony ma milczeć! – wrzasnęła Turov. – Poczynania adiunkta Clavera zostały odnotowane, możesz być tego pewien. Postąpimy z nim tak, jak wymaga tego prawo galaktyczne. Ale teraz sądzimy ciebie, specjalisto McGill, a nie jego. Niniejszym skazuję cię na śmierć za twoje przestępstwa!

– Jestem niewinny! Złożę zażalenie u Nairbów! – zawołałem.

Turov potrząsnęła głową ze śmiechem.

– Twoja buta mnie zdumiewa. Przyjęłam to do wiadomości, McGill. Jeśli Nairbowie przyjrzą się twojej sprawie, to kto wie, może zostaniesz wskrzeszony. A potem, po apelacji, stracony po raz drugi.

Ścisnęła mocniej pistolet, a ja wiedziałem, że to koniec. Spojrzałem jej w oczy, choć domyśliłem się, że nie uda mi się jej onieśmielić w ten sposób. Dla niej to była poważna sprawa. Zastanawiałem się, czy w obecnej sytuacji zdołałbym złapać się na wskrzeszenie. Musiałem przyznać, że perspektywy miałem niewesołe.

Pistolet wypalił. Przez sekundę byłem przekonany, że dostałem, mimo że jako człowiek, który już nieraz dostał kulę, powinienem zauważyć, że coś tu nie gra.

Imperator osunęła się na kolana i padła bezwładnie na pozaziemski gobelin na podłodze. Pośrodku jej czoła znajdowała się idealnie okrągła dziura, z której tryskała krew.

Trybun Drusus sięgnął po swoją spluwę, ale było już za późno. Padły kolejne strzały, tym razem trzy. Drusus, charcząc, upadł prosto na ciało Turov.

Obejrzałem się przez ramię. Stał tam Srebrnobrody z moim pistoletem w dłoni. Poczułem uderzający swąd spalonego powietrza zmieszany z zapachem krwi.

– Niepotrzebnie wygadała się, że mnie też planuje oskarżyć – stwierdził Claver.

A potem posłał mi paskudny uśmiech.

Dwoje z najwyższych rangą dowódców w całym układzie leżało martwych u moich stóp. Byłem wstrząśnięty, ale mimo to uważnie przyglądałem się Claverowi.

– Teraz też siedzisz w tym gównie po uszy! – zaśmiał się Claver, celując we mnie. – Tylko ty i ja, dwa szczury wspólnie płynące przez rynsztok.

– Ale ja nic nie zrobiłem! – zaprotestowałem.

– Ha! I myślisz, że teraz to ma jakieś znaczenie? Daj mi ten przedmiot.

Potrzebowałem chwili, żeby zajarzyć, że mówił o muszlopodobnym artefakcie, który odebrała mi Turov. Sięgnąłem w dół i wyciągnąłem go z rąk imperator. W drugiej ręce Turov wciąż trzymała pistolet. Nie zdążyła zrobić z niego użytku.

Claver musiał wyczuć moje wahanie. Może odgadł – całkiem słusznie – że myślę o sięgnięciu po spluwę Turov. Poczułem rozgrzaną lufę, gdy adiunkt przycisnął mi ją do ucha.

– Daj klucz – rozkazał, niemal szeptem.

– Jaki znowu klucz? Po co to panu?

Claver roześmiał się.

– Jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem! Nawet nie masz pojęcia, co wpadło ci w ręce. A myślałem, że już wiem, co to prawdziwe szczęście... Dobra, kilka słów wyjaśnienia. To muszlowate coś nazywane jest kluczem Galaktyków. Otwiera to i owo. A teraz podaj mi go.

Wręczyłem mu przedmiot. Celował we mnie z wyraźnym zamiarem oddania strzału. Wlepiłem w niego wzrok i dumnie uniosłem podbródek, chcąc go sprowokować.

Zastanawiał się przez sekundę lub dwie, a potem skierował spluwę w sufit i cofnął się o krok.

– To twój szczęśliwy dzień, McGill – oznajmił. – Pozwolę ci ujść z życiem. Możesz tu zostać i zająć się całym tym syfem w moim

imieniu. Kiedy przyjdą po ciebie, tłumacz się do woli. Może ktoś ci uwierzy.

Trzymając w dłoni przypominający muszlę przedmiot, który nazwał kluczem, pospiesznie wycofał się do drzwi i stuknął zamek urządzeniem. Drzwi stanęły otworem. Przeszedł przez nie, zamknęły się i już go nie było.

Patrzyłem za nim i nie wiedziałem, co robić. W głowie miałem mętlik. Stałem tak z dwoma stygnącymi ciałami u stóp i wszechobecną krwią. Weteranom na zewnątrz nie mogło się to spodobać. Pewnie zastrzeliliby mnie jako zamachowca, a dopiero potem zadawaliby pytania. Może dlatego Claver pozostawił mnie przy życiu. Chciał, żebym spowolnił ewentualny pościg.

W pierwszym odruchu pomyślałem, żeby wezwać strażników, zaręczyć o swojej niewinności i pokazać im, w którą stronę pobiegl Claver. Wiedziałem jednak, że jest bardziej nieuchwytny niż szczur w sraczu. I tak by się wywinął, a ja znowu musiałbym stawić czoła egzekucji.

Jedną z moich naturalnych cech jest impulsywność. Zawsze taki byłem. Jako dzieciak wydawałem wszystkie pieniądze na jakieś fajne rzeczy już drugiego dnia po Gwiazdce. Gdy dorosłem, zawsze kiedy udało mi się zbliżyć do kobiety, która wpadła mi w oko, próbowałem z nią szczęścia. A stając twarzą w twarz ze śmiercią, zawsze wołałem działać, zamiast beczynn timer czekać na rozwój wydarzeń.

W pośpiechu podniosłem pistolet Turov, który nadal trzymała w bezwładnych palcach, po czym wyskoczyłem za Claverem.

Na wpół świadomie oczekując, że rozwali mnie, gdy tylko wejść do pokoju, przykucnąłem i zacząłem omiatać pomieszczenie wzrokiem, spoglądając znad lufy pistoletu Turov.

Pokój wyglądał... ładnie! W porównaniu z nim poprzednie pomieszczenie dawało tylko przedsmak. Po jednej stronie stał w pełni wyposażony bar, a pośrodku znajdował się holograficzny pulpit dowodzenia. Wszędzie wokół stały samodopasowujące się fotele, a ściany były obwieszane trofeami.

Rozpoznałem kilka głów wiszących na ścianach. Podobnie jak te z kolekcji Drususa, wszystkie pochodziły od przedstawicieli obcych, prawdopodobnie inteligentnych ras. Najbliżej znajdował się

szkarłatny łeb raptora, promieniejący dumą, ze skórą jak u naoliwionego węża. Obok niego wisiała głowa modliszki, a dalej zmierzwiona kupa kłaków, wyglądająca jak zad owczarka, i wreszcie – głowa Tau.

Zdziwiłem się na widok ostatniego trofeum. Jak można oczekiwać, że ubije się interes z jakąś istotą, jeśli wcześniej wypchało się czachę jej współziomka pakułami i powiesiło na ścianie?

Pod tym łbem było coś, co zwróciło moją uwagę. Płytowe drzwi, zamykające się powoli na moich oczach.

– Cholera! – warknąłem i pobiegłem w tamtą stronę. Chwyciłem palcami krawędź płyty, ale była gruba, a silniki pracowały pełną mocą. Musiałem cofnąć ręce, aby nie stracić końców palców. Drzwi zamknęły się ze szczęknięciem, a ja stałem i gapiłem się w pustą ścianę.

Pobiegłem z powrotem do konsoli pośrodku pokoju. Było na niej sporo kontrolek. Walilem w nie na oślep i ignorowałem większość reakcji. Światła w pomieszczeniu rozbłysły, a potem pociemniały. Rozległ się łagodny odgłos przypominający powiew wiatru i od razu zrobiło się rześko. Stwierdziłem, że sala jest wyposażona w instalację klimatyzacji i wytwarzania zapachu. Kurde, ci oficerowie musieli rozbić skarbonkę z kredytami galaktycznymi. A może imperator przyjmowała... „prezenty” od miejscowych, wzorem Clavera? Trudno powiedzieć.

Usłyszałem łomotanie w drzwi za mną. Wiedziałem, co to oznacza. Weterani odnaleźli zwłoki i usiłowali wedrzeć się do sali narad.

Wkrótce mieli otworzyć drzwi, a ja do tego czasu musiałem dać nogę. Moimi dotychczasowymi działaniami jedynie utwierdzałem ich w przekonaniu, że jestem winny. To nie miało być spokojne aresztowanie.

Zachodziłem w głowę, do czego służyło tajne przejście w sali narad w centrum dowodzenia. Przychodziła mi na myśl tylko jedna odpowiedź: wyjście ewakuacyjne.

Przy pulpicie dowodzenia poszukałem ikonki wyglądającej jak symbol ucieczki. W końcu znalazłem wizerunek czerwonego płomienia i dotknąłem go.

Zabrzmiał alarm, a drzwi ewakuacyjne stanęły otworem... tak samo jak te prowadzące do poczekalni. Niezbyt zadowolony z szans na przeżycie w strzelaninie z dwoma weteranami, pognałem ku otwierającej się płycie i rzuciłem się w mrok.

Nie wiem, co spodziewałem się zastać, ale raczej nie rynną prowadzącą prosto w otchłań. Obijając się i ślizgając, sunąłem w dół metalowej zjeżdżalni. Wypadłem z rury głową w przód i wylądowałem z pluskiem w sadzawce pełnej wilgotnej, oleistej cieczy.

Kaszłąc i plując, wydostałem się na powierzchnię. Zgubiłem po drodze pistolet.

Brnąc naprzód, rozglądałem się, łapiąc oddech. Byłem na niższych poziomach megadomu. Zapach nie był tak okropny jak w kanałach, ale daleko mu było do świeżości. Taką woń wydawał pewnie jakiś rodzaj chłodziwa.

Pochyle ściany nade mną były ledwo widoczne w bladym świetle padającym z góry. Widziałem, że znajduję się wewnątrz większej rury, o średnicy jakichś dziesięciu metrów. Była na tyle głęboka, że musiałem pływać, a po sekundzie poczułem łagodny prąd. Pozwoliłem, by woda zabrała mnie, gdzie zechce.

Po kilku sekundach wytrzeszczania oczu i wiosłowania usłyszałem klekot i plusk. Zaraz potem rozbłysło zimne światło.

Granat plazmowy! Widok i odgłos takiej broni wrył się głęboko w moją pamięć. Młóćąc wodę rękami, usiłowałem odpłynąć pod prąd, jednak nie udało mi się zupełnie umknąć efektom wybuchu.

Najwyraźniej strażnicy nade mną dostrzegli właz ewakuacyjny i wrzucili do szybu mały podarunek. Efekt, choć stłumiony przez wodę, wciąż robił wrażenie. Granat przekształcał drobiny żwiru, a nawet krople samej wody i pryskał nimi na wszystkie strony. Małe igiełki przeszły moje stopy.

Już wcześniej zdarzało mi się dostać tego typu zaimprovizowanymi odłamkami. Ta broń zwykle raniła, zamiast zabijać, i tym razem nie było inaczej. Wiedziałem, że przez kilka kolejnych dni będę odczuwał ból podczas chodzenia, ale ciecz, w której się zanurzyłem, ocaliła mnie przed poważniejszymi urazami. Gdybym zanurkował, ryzykowałbym co najmniej rozerwanie bębenków przez wstrząs.

Zawzięcie wioskując i ignorując okrzyki rozchodzące się za mną echem, wkrótce zgubiłem pościg. Rura skręcała raz w jedną, raz w drugą stronę, aż w końcu rozdzieliła się w trzech kierunkach.

Zakląłem i rozejrzałem się, nie bardzo wiedząc, którą drogę wybrać. Jedyne światło pochodziło teraz z ekraniku mojego stuka. Nie było to wiele, ale przynajmniej mogłem dzięki temu stwierdzić, że rury prowadzą w prawo, w lewo i bezpośrednio w górę.

Do ściany odgałęzienia skierowanego do góry przymocowano drabinę. Miałem dość pałowania się po tym miejscu, więc wybrałem tę drogę. Przez cały czas prawa stopa bolała mnie, jakby ktoś dźgnął w nią igłą do dywanów jakieś dwadzieścia razy, ale byłem w stanie chodzić.

Krzywiąc się z bólu, bluzgając i krwawiąc, wspinałem się w górę szybu. Gdybym wiedział, jak długo zajmie mi dotarcie na szczyt, to mogę śmiało stwierdzić, że wybrałbym inną drogę. Jednak nie było odwrotu, więc brnąłem naprzód.

Gdy w końcu dotarłem do otwartej kraty, usłyszałem czyjś głos:

– Daruj sobie! Przestań się tłumaczyć i zacznij działać! Masz tu się zaraz zjawić, bo jak nie, to cię zwolnię!

To był Claver. Mówił do swojego stuka. Nie miałem pojęcia, z kim rozmawia, i nieszczególnie mnie to interesowało. Podciągnąłem się na ostatnim szczeblu drabiny, a moja przemoczona głowa wyłoniła się nad krawędzią otwartego szybu.

Próbując poruszać się cicho, aby mnie nie usłyszał, zatrzymałem się, aby złapać oddech. Wytrzeszczyłem na niego jedno oko.

Był sam. Znajdowaliśmy się na poziomie ulicy jakiś kilometr od sztabu legionu. Claver sprawdzał stuka i od czasu do czasu spoglądał w niebo. Domyśliłem się, że zadzwonił po transport i z niecierpliwością czeka na ratunek.

Po wyczołganiu się z szybu prawie udało mi się go podejść. Byłem mniej więcej w połowie drogi (i wyglądałem jak zdechły szczur utopiony przez ulewę), kiedy wreszcie odwrócił się, by sprawdzić, kto skrada się z chlupotem.

Ocaliło mnie chyba po prostu zaskoczenie. Nadal miał mój pistolet, ale teraz trzymał go w kaburze na biodrze. Wyciągnąłem rękę i złapałem go za kostkę. Był tak samo przemoczony jak ja i się poślizgnął.

Jestem człowiekiem słusznej postury, nawet bez ciężkiego pancerza bombardiera. O Claverze dało się powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że był siłaczem.

Wciągnąłem się po jego ciele jak po drabinie i wkrótce obaj chwyciliśmy za spluwę w jego kaburze. Próbowałem przycisnąć jego dłoń, aby nie mógł wyciągnąć broni, podczas gdy on usiłował się wyswobodzić.

– Sukinsynu! – syknął Claver. – Jakim cudem mnie odnalazłeś?

– Podobno mam do tego smykałkę – odparłem, miażdżąc jego nadgarstek.

Widocznie zrozumiał, że nie zdoła wycelować gnata w moją głowę, więc pociągnął za spust na oślep.

Pistolet rozbłysnął, a podmuch gorąca rozerwał jego nogę i zahaczył o moje lewe biodro. Na mojej skórze pojawiła się bruzda długa na jakieś osiem centymetrów. Wyszczерzyłem zęby w grymasie bólu.

A potem tłukłem głową Clavera o chodnik, aż przestał się ruszać.

Wielu legionistów na moim miejscu postanowiłoby oddać się w ręce przełożonych. Autentycznie rozważałem tę możliwość przez jakieś piętnaście sekund. Problem w tym, że moja dowódczyni najwyższego szczebla dopiero co dołożyła wszelkich starań, aby mnie stracić. Gdyby jej się udało, czekałby mnie permazgon.

Z mojej perspektywy powrót do dawnego stanu rzeczy nie był taki łatwy. Jeżeli istniała jakaś droga do odzyskania honoru legionisty, z pewnością wiązała się z nieprzytomnym oficerem leżącym u moich stóp. Wiedział więcej, niż ujawniał innym. Dopuścił się również aktu najwyższej zdrady, zabijając własnego dowódcę. Gdybym zdołał doprowadzić do anulowania wydanego na mnie wyroku śmierci, miałbym problem z głowy. Jednak na razie moi towarzysze broni mogli zastrzelić mnie z takim samym prawdopodobieństwem jak jego. Z kolei prawdopodobieństwo, że wskrzeszą któregoś z nas, żeby wypytać o szczegóły, było bliskie zera.

Podczas mojej długiej i zagmatwanej historii w szeregach Legionu Varus zdarzało mi się już być ściganym, znałem więc procedurę. Musiałem odłączyć stuka od sieci, aby nikt nie mógł mnie zlokalizować.

Okazało się to trudne. Stuki legionistów były aktualizowane od naszego wylotu z Ziemi i teraz wyłączenie ich było trudniejsze niż kiedykolwiek. Te cacka zawsze przypominały symbiotyczne pasożyty czy inteligentne guzy nowotworowe, a teraz stanowiły urządzenia tropiące, których nie mogliśmy tak łatwo dezaktywować. Byłem jednak zdeterminowany.

Najpierw odnalazłem w rynsztoku przedmiot przypominający zardzewiały gwóźdź. Nie był to prawdziwy gwóźdź, raczej coś w rodzaju skręconego kolca. Musiał się oderwać z jakiegoś budynku. Starając się nie drażnić tego tematu, wbiłem kolec zaostrzonym końcem w lewe przedramię. Odczułem intensywny ból, zwłaszcza

gdy napotkałem niewzruszony opór, a mimo to nie przestawałem naciskać.

Moja skóra poddała się stosunkowo łatwo, ale stuk był polimerową blaszką o grubości mniej więcej pięciu milimetrów, wciśniętą między skórę a podskórną warstwę tkanki tłuszczowej. Aby się przez niego przebić, musiałem obracać gwoździem jak wiertłem, aż w końcu udało mi się dostać do wnętrza urządzenia. Obwody broniły się dzielnie, ale nawet ich wytrzymałość miała swoje granice. Wreszcie ekranik pociemniał.

Wokół kolca wykwitły pęcherzyki krwi. Strząsnąłem je jak krople deszczu. Ukląkłem i wykonałem tę samą operację na stuku Clavera. Nie protestował, bo w końcu leżał bez zmysłów.

Potem wyrzuciłem gwóźdź i chwyciłem nieprzytomnego Clavera za kark. Wlokąc go ze sobą, powoli i w bólach kierowałem się w stronę najbliższego schronienia, którym był rozlatujący się budynek, wysoki na jakieś czterdzieści pięter.

Nie mogłem jednak ciągnąć za sobą Clavera ani tak daleko, ani tak szybko, by ukryć się przed żołnierzami, którzy teraz pewnie docierali do mojej ostatniej zarejestrowanej lokalizacji.

Westchnąłem ciężko i rozważyłem możliwości. Było ich niewiele. Miałem jeden pistolet, nieprzytomnego jeńca... i to by było na tyle.

Czy aby na pewno? Ukląkłem i zacząłem przetrzepywać kieszenie adiunkta. Może ten podły staruch... Tak! Znalazłem! W podnieceniu niemal zapomniałem o tym całym kluczu. Do czego służył? Jak działał?

Mogłem jedynie poeksperymentować. Widziałem, jak Claver przechodzi przez drzwi, które nie powinny się dla niego otworzyć. Może to właśnie robił ten klucz? Może otwierał wszystkie zamki?

Rozejrzałem się i dostrzegłem drzwi w zrujnowanym budynku. Sprawdziłem je najpierw – oczywiście były zamknięte.

Klamka różniła się trochę od tych, jakich używa się na Ziemi, ale była wystarczająco podobna. Marszcząc czoło i czując się jak ostatni krety, stuknąłem końcem muszli w zasuwę.

Spróbowałem otworzyć drzwi raz jeszcze i warknąłem z rozczarowania. Nadal były zamknięte.

Miałem ochotę rozwalić muszlowaty przedmiot. Claver bardzo pragnął tego urządzenia, a Turov uważała je chyba za cenne, ale dla

mnie był to zwykły bubel.

Potem obstukałem muszlą całe drzwi, uderzając najpierw w zawiasy, a potem znowu w klamkę. Spróbowałem z jednej strony, potem z drugiej – bez skutku. W pewnym momencie wydawało mi się, że klucz zamigotał, ale mógł to być tylko błysk światła z ulicy.

Zrobiłem w tył zwrot i już wiedziałem, co tak mignęło. Coś za mną się poruszyło.

Nietrudno było zidentyfikować źródło ruchu. Przemoczony i zakrwawiony Claver nie leżał już na ziemi. Właściwie to nigdzie go nie widziałem.

– Mam tę pańską cholerną muszelkę! – zawołałem. – Albo ją jakoś rozpracuję, albo rozwalę! Tak czy inaczej, legion pewnie przyjdzie tu po nas lada chwila.

– Ty naprawdę jesteś idiotą! – stwierdził Claver.

Obróciłem się w lewo i stanąłem z nim twarzą w twarz. Ostrożnie cofnąłem się o krok, gdy zbliżył się do mnie z kawałem pastonu w rękę. Jednak nie wyglądał najlepiej. Garbił się i wyraźnie odczuwał ból.

Uniosłem pistolet i wycelowałem w jego pierś, ale on zdawał się tego nie zauważać.

– Czemu, do diabła... – zaczął, badając swoje zranione ramię, wyraźnie zszokowany. – Strzeliłeś w mojego stuka?

– Nie – odparłem. – Tylko przebiłem go gwoździem. Swojego zresztą też.

Claver oparł się bezwładnie o ścianę, pojękując i kręcąc głową.

– Ten twój kolega... jak mu było? W każdym razie, kiedy dostarczaliśmy tamtą gotówkę do banku, zapytałem go, co jest z tobą nie tak. Powiedział mi, że jesteś jakimś wsobniakiem z leśnych ostępów. „Pierwszej wody debil”, takimi słowami cię określił.

– Pewnie mówi pan o Carlosie – odpowiedziałem.

– A tak, to ten. Wkurzający gnojek. Myślałem, że jest jeszcze większym durniem od ciebie, ale się myliłem. Zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego, na Boga, zniszczyłeś oba nasze stuki?

– Technicy legionu mogliby już nas znaleźć i pojmać.

Claver pokręcił głową.

– Mój stuk jest niewykrywalny i mam wszystkie potrzebne kody. Mogłbym też wyłączyć twój transponder – oświadczył.

– Nie wiedziałem. Może gdyby nie uciekł pan i nie usiłował mnie zastrzelić, kiedy pana dogoniłem, teraz bylibyśmy kolegami.

Adiunkt parsknął śmiechem.

– Tu masz rację. Możesz i jesteś niepełnosprytny, McGill, ale nie można ci odmówić pewnego prymitywnego, zwierzęcego sprytu. Bez wątpienia zostałeś obdarzony krzepą fizyczną i instynktem łowcy. Jestem w stanie to docenić.

Machnąłem pistoletem.

– Może pan już się zamknąć – powiedziałem i uniosłem muszlę. – Z tego, co udało mi się ustalić, to nasza jedyna szansa na ucieczkę. Proszę mi powiedzieć, jak się to obsługuje. Jak można tym otwierać drzwi?

Claver wyciągnął dłoń, ale trzymałem klucz poza jego zasięgiem.

– Wystarczy, że mi pan powie – zapewniłem.

– Działa tylko na przedmioty handlu – wyjaśnił. – Na rzeczy dopuszczone przez Galaktyków do eksportu poza dany świat, na przykład moduły. Zapłaciliśmy za nie kredytami.

Pokiwałem głową w zamyśleniu.

– To ma sens. Wiem, że Nairbowie posiadają możliwość wyłączania naszych zabawek. Czy to coś działa podobnie?

– Tak, ale nie tylko je wyłącza. Może nimi sterować, obchodzić zabezpieczenia i tak dalej.

– To znaczy, że musimy znaleźć produkt spoza tego świata. Wtedy będziemy mogli go kontrolować, tak?

– Pstryk! – zawołał Claver i znowu się zaśmiał. Wykonał gest nad głową, sugerując, że w moim ciemnym umyśle właśnie zapaliła się jakaś żarówka.

– Jakieś pomysły, panie wszechwiedzący? – zapytałem.

Spojrzał na mnie chytrze.

– Czemu w ogóle miałbym pomagać ci w ucieczce?

– Po pierwsze, trzymam w ręku taki oto pistolecik – rzuciłem, znacząco potrząsając bronią. – Po drugie, na ulicy za nami właśnie ląduje jakiś ślizgacz.

Claver przestał się uśmiechać. Spojrzał we wskazanym kierunku i syknął z niezadowoleniem.

– Szybcy są – stwierdził. – Spodziewałem się, że w Varusie potrzebujecie godziny, żeby zlokalizować ostatni sygnał z naszych urządzeń śledzących.

– My, debile, jesteśmy pełni niespodzianek – oznajmiłem.

– Nie musimy nic robić – powiedział adiunkt, kucając w najmroczniejszym cieniu. – Patrz!

Zdezorientowany, przykucnąłem obok niego, ale byłem gotowy strzelać, uciekać czy zareagować w jakiś inny sposób na wszelkie jego sztuczki. Obserwowaliśmy legionistów – pełną jednostkę, z technikami badającymi ulice w poszukiwaniu krwi i poszlak. Dlaczego Claver łudził się, że nas nie znajdą? Na pewno sprawdzą budynki. Gdybyśmy wybiegli jak spłoszone króliki, kiedy wejdą do środka, gonitwa trwałaby dalej. Tyle tylko, że w obecnej formie nie zdołalibyśmy im umknąć.

Pomyślałem o zostawieniu Clavera na łodzie z nadzieją, że zostanie schwytany i spowolni pościg, ale nie miałem na to szansy. Po przeciwnej stronie budynku wylądował kolejny ślizgacz. Następny transporter osiadł na ziemi przecznice dalej. Słyszałem, jak legionieści pokrzykują i ustawiają się na pozycjach do strzału.

– Na moje ucho spodziewają się, że nie poddamy się bez walki – powiedziałem.

Claver parsknął.

– Nie szykują się do walki z nami, matołku! Popatrz na południe!

Zrobiłem, jak kazał, i od razu zrozumiałem, co się naprawdę dzieje. Nadchodził tłum, połyskujący bordowo i srebrzyście.

– Jesteśmy na froncie? – zapytałem.

– No chyba. Musimy tu siedzieć, dopóki nie zaczną się fajerwerki.

Nie musieliśmy długo czekać. Buntownicy sunęli naprzód. Co dziwne, zbliżając się, zachowywali osobliwe milczenie. Zwykle gdy wściekły motłoch podchodził do żołnierzy w szyku, można było usłyszeć wrzaski i pogróżki. Natomiast ci tutaj maszerowali jak superszybka armia umarłych. Milcząca, zdeterminowana i nieprzeliczona.

Nasi uderzyli jako pierwsi. Poczułem chęć, by wybiec, chwycić za broń i dołączyć do nich, jednak pozostałem na stanowisku, kryjąc się, jak na ściganego przystało, w ciemnej wnęce opuszczonego budynku.

Pierwsza salwa położyła kilka zastępów Tau, którzy jednak parli naprzód, nie bacząc na straty. Bombardierzy otworzyli ogień z rzygaczy (nie wyglądało, żeby mieli ze sobą jakieś osiemdziesiątkiówsemki), a tłum początkowo cofnął się zaskoczony, ale zaraz potem ruszył naprzód. Niecałą minutę od pierwszego strzału dotarli do naszych żołnierzy, a z dwóch stron budynku, w którym się kryliśmy, rozgorzała zaciepka walka.

Kilku maruderów wpadło do naszego schronienia. Warcząc, zaatakowali nas bez ostrzeżenia. Musiałem do nich strzelać, dopóki nie padli. Na szczęście nie byli uzbrojeni w nic groźniejszego niż zwykłe pałki.

– Czas na nas – powiedział Claver. – Nie czekamy, aż którakolwiek strona wygra.

– Nie możemy porzucić naszych ludzi! – zaprotestowałem.

– Rób jak chcesz – odparł adiunkt, wyciągając rękę po muszlę.

Dostał ode mnie po łapach.

– Słuchaj no – powiedział. – Możesz tu zostać i zgrywać bohatera, ale pamiętaj, że ci żołnierze zostaną po wszystkim wskrzeszeni, a ty nie. Daj mi ten klucz, żebym chociaż ja mógł się stąd wydostać.

Przez chwilę biłem się z myślami, ale w końcu musiałem przyznać mu rację. Mógłbym pospieszyć z pomocą żołnierzom mojego legionu, ale kto wie, może rozkazano im zastrzelić mnie na miejscu. Najpierw musiałem znaleźć sposób, żeby oczyścić się z zarzutów.

– Ten kluczyk jest mój i niech pan o tym nie zapomina! – powiedziałem w końcu. – Ale może pan iść przodem.

Burcząc pod nosem, Claver pognął przez ruiny, a ja podążyłem za nim. Przeszliśmy przez ulicę, tuż za plecami walczących i wrzeszczących legionistów, pochłoniętych bojem i umieraniem. Czułem się jak zwykły szczur, ale nie wiedziałem, co mógłbym innego zrobić.

Claver odnalazł inną kratę w ulicy po przeciwnej stronie budynku i wskazał na czujnik zamka znajdujący się na wierzchu. Znałem to urządzenie, bo na Ziemi mieliśmy mnóstwo podobnych mechanizmów. Rozpoznawały personel konserwacyjny z odpowiednimi identyfikatorami.

– Puknij w to! – polecił adiunkt, oglądając się przez ramię na bitwę.

– Ruchy! Oni przegrywają!

Tłum buntowników był jak wzburzone morze. Błyskające światła i okrzyki traciły na sile, gdy nasi ginęli i łamali szyki, uciekając w poszukiwaniu schronienia. Ostatnie ośrodki oporu zostały otoczone i zniszczone. Ta rozpaczliwa walka toczyła się zaledwie kilkaset metrów od nas. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu.

– Znowu do kanału? – zapytałem. – A nie moglibyśmy na przykład doprowadzić jakiegoś ślizgacza?

Claver wskazał na motłoch.

– Musimy się natychmiast ulotnić.

Z pewnym wahaniem stuknąłem dziwną małą muszlą zamek na kracie do kanału. Obróciła się, odsłaniając drabinę prowadzącą do czarnych jak atrament, cuchnących czeluści.

– Pan pierwszy – powiedziałem.

Claver zaczął schodzić. Był dość zwawy, jak na faceta w jego wieku. Zszedłem za nim i zamknąłem właz z głośnym brzękiem.

Gdy zbliżyłem się do ostatnich szczebli drabiny, podświadomie spodziewałem się, że Claver zaatakuje mnie z zaskoczenia, więc puściłem drabinę i spadłem swobodnie. Wylądowałem z pluskiem w rzece syfu.

– Młody, do cholery! – wrzasnął Claver. – Ochlapałeś mi głowę!

– Co teraz? – zapytałem.

Claver poszedł przodem. Odniosłem wrażenie, że wcześniej był już w tych kanałach, może nawet wiele razy. Szedł krętą ścieżką i już wkrótce rury stały się czystsze, a woda – względnie słodka.

– Jesteśmy w rurociągach odpływowych. To kanalizacja deszczowa. Zwykle nie są aż tak mocno używane, ale na stacji Gelt istnieją pory roku, wiesz? Kiedy oś planety przechyla się względem miejscowej gwiazdy, natężenie promieniowania docierającego do stacji ulega zmianom. Gdy jest cieplej, unosi się więcej pary, a na suficie zbiera się więcej skroplin. Aż dziw, że stacja kosmiczna może być na tyle duża, by mieć własne wzorce pogodowe, co?

Claver lubił gadać, ale mnie to nie przeszkadzało. Znał się na rzeczy. To miejsce było dla mnie wciąż nowe, więc chciałem się dowiedzieć jak najwięcej.

– Claver, do czego pan dąży? – zapytałem, gdy wlekliśmy się przygarbieni przez ciemne rury.

– Do czego? Ano do tego samego, co każdy! Chcę żyć jak najdłużej i czerpać z życia tyle radości, ile się da.

– Wydaje mi się, że na razie marnie panu idzie – zauważyłem.

Zatrzymał się i obejrzał na mnie.

– Słuszna uwaga. Nie powiedziałbym, że to moja najszcześniejsza godzina. Ale poczekaj, jeszcze się wszystko zmieni. Jeśli przeżyjesz jeszcze kilka dni, zobaczysz, jak porządek wszechświata zmienia się... na moją korzyść.

Nie wyobrażałem sobie, jak to możliwe, ale chciałem, żeby mówił dalej.

– Na pewno coś pan wie – powiedziałem. – Bo jeśli nie, to jest pan tak kurewsko durny, że bardziej już nie można. Zaprzepaścił pan karierę w Germanice i swoje życie. Legiony nie przestaną pana ścigać. Przecież jest pan tego świadomy.

Claver potrząsnął głową i szedł dalej.

– Nie w tym rzecz. Oni nie mają pojęcia, co nadchodzi. Nawet Hegemonia o niczym nie wie. Kiedy zaczną się rozpad, będą całkowicie zaskoczeni!

– Rozpad? – zapytałem, marszcząc czoło. – Jaki znowu rozpad?

– Mówię o Imperium, chłopcze. Chyba nawet ty nie wierzysz, że jeszcze długo się utrzyma. Kiedy pójdzie centrum, rubieże będą mogły jeszcze chwilę trwać w bezwładzie, ale przecież nie możemy w nieskończoność zaprzeczać faktom!

Spochmurniałem. Wiedziałem, o czym mówi... ale nie chciałem o tym wiedzieć. Czy ten podły szczur mógł mieć rację? Czy Imperium było skazane na zagładę? Sama myśl o tym jednocześnie mnie przerażała i cieszyła.

– O czym pan mówi? – spytałem. – Co się dzieje w Układach Centralnych?

– Wojna – odparł z powagą. – Wojna domowa. Nie mogli utrzymać wszystkiego w ryzach. To właściwie śmiechu warte. Po co niszczyć coś, co działało od niepamiętnych lat? I to z powodu drobnych przepychanek? Kogo tak naprawdę obchodzi, które z ich przebogatych socjet dostaną kolejny kawałek światów na granicy? I tak możemy tylko pomarzyć o tym, co oni już mają.

– Wojna? – powtórzyłem. To słowo sprawiło mi ból. Oczywiście, że o tym wiedziałem. Wszyscy wiedzieliśmy. Układy Centralne

wojowały między sobą. Organizacja, do której należałem przez całe życie, rozpadała się gdzieś pośrodku miliarda rozjarzonych gwiazd. – A co będzie się działo tutaj, na granicy?

– Bardzo dobre pytanie! – stwierdził Claver, odwracając się ponownie. Oczy mu błyszczały. – Coś się burzy, coś się buduje. Zawsze tak było. Tam, gdzie kiedyś istniało jedno potężne Imperium, powstaną nowe małe królestwa. Jako człowiek inteligentny i oportunistą z odpowiednimi doświadczeniami, uważam, że ta chwila mogła nadejść właśnie teraz.

Wycelowałem w niego palcem.

– A co ze służbą Ziemi w tych ciężkich czasach? Pańska planeta potrzebuje wielu tęgich głów!

Zmarszczył czoło i wykrzywił usta w szyderczym grymasie.

– Ziemia? Będzie szła owczym pędem, trwając w ułudzie. Będzie służyć Imperium, które przestanie istnieć. Nie ma już jednego Imperium! Nie widzisz tego, durniu? Rubież 921 jest częścią terytorium frakcji Mogwa. Zawsze była. To oni nami rządzą. Teraz, kiedy uniezależnili się od Imperium, to właśnie im służymy. Niestety, Mogwa to wciąż płotki pośród Galaktyków.

Z jakiegoś powodu po tych słowach poczułem się gorzej. Nie chciałem mu wierzyć. Od pierwszego dnia spędzonego na oglądaniu filmów w sieci i od początku mojej szkolnej edukacji uczono mnie o zaletach Imperium, o bezpieczeństwie i oparciu, jakie nam wszystkim zapewniało. Trudno było przełknąć myśl o tym, że Imperium się rozpada.

– Mogwa? – zapytałem. – Czy nadinspektor Xlur nie jest przypadkiem jednym z nich?

– Owszem, jest – odparł Claver.

– To trochę nie w porządku, że o naszym losie zdecydują stworzenia, z którymi rzadko mamy do czynienia – stwierdziłem.

– Otóż to! Wreszcie załapałeś! Uchwyciłeś cienką nić rzeczywistości, ale sądzę, że będzie ona rosła w siłę i zapuści korzenie nawet pod tym twoim głupim czerepem. Rozgryziesz to, McGill. Wierzę w ciebie, tak samo jak we wszystkich prostych ludzi. Nie będziemy już niewolnikami jakiegoś odległego Imperium. Kopniemy Mogwa w tyłek, bo zaczną słabnąć. Już teraz wycofali swoją flotę bojową, bo ich terytorium w Układach Centralnych jest

dla nich tysiąc razy cenniejsze niż nasze żałosne gwiazdne systemy. Ale to właśnie odpowiedź, nie rozumiesz? Zbuntujemy się. Tak trzeba. To tylko kwestia czasu. Na tej stacji to już się zaczęło.

– Chaos i śmierć – powiedziałem. – To wszystko, co widzę.

– Rewolucje rzadko są poukładane. Kim ty jesteś, McGill? Żołnierzem lojalnym wobec Imperium do ostatniej kropli krwi? Pomyślałbym raczej, że ze wszystkich istot czołgających się przez bagno na tej stacji, ty byłbyś najbardziej skłonny kasać rękę, która cię karmi.

– Oj tak, potrafię być kąśliwy – przyznałem. – Ale czy nie sądzi pan, że powinniśmy iść naprzód?

– Nie – odrzekł, wskazując w górę na zamknięty właz. – Jesteśmy na miejscu.

Zadarłem głowę.

– To jest wyjście? – zapytałem.

Claver przewrócił oczami i nic nie odpowiedział.

Zawahałem się.

– Po co panu to wszystko? – spytałem. – Handel bronią, najemne zbiry czekające pod bankiem, żeby nas obrabować... Kiedy nie pozwoliłem panu ukraść tych kredytów, zwił pan i polecił wszystkim ulicznym bandziorom, żeby na nas napadli, prawda? I to wszystko za garść imperialnych monet.

– Otworzysz w końcu ten właz? – zapytał Claver. – Wystarczy, że dotkniesz go kluczem!

– Zrobię to, kiedy odpowie pan na moje pytania.

– Nie mamy wiele czasu.

– Zatem powinien pan zacząć mówić.

Przez chwilę wlepił we mnie wzrok, ale w końcu skapitulował.

– Dobra, to moja sprawa. Wszystko zaaranżowałem. I rzeczywiście, jak już mówiłem, uważam, że dla kogoś takiego jak ja to życiowa szansa na potężny zysk!

– A teraz stoi pan w kanale, cały pokrwawiony – zauważyłem. – Pana plany spełżyły na niczym.

– To tylko chwilowa niedogodność – warknął. – Przyznaję, nie wszystko poszło gładko. Byłoby inaczej, gdybym miał więcej czasu, ale okoliczności zmusiły mnie do działania z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

Już miałem go zapytać o powód, ale wtedy zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Legion Varus... przybyliśmy za wcześnie. Germanica miała wrócić do domu dopiero za pół roku, ale Turov przyspieszyła rotację, przez co musiał pan szybciej wkroczyć do akcji.

– Właśnie – powiedział z goryczą. – Teraz znasz jeszcze jeden powód, dla którego zastrzeliłem tę babę. Możemy już iść czy może mam ci teraz opowiedzieć, skąd się biorą dzieci?

Wyciągnąłem rękę i stuknąłem włącz kluczem. Otworzył się. Najpierw spłynął na nas strumień gorącej wody, a potem Claver zaczął gramolić się w górę.

– Szybciej! – rozkazał. – To woda z komór chłodzących. Jest lekko radioaktywna.

Jego słowa dodały mi energii i wkrótce stanąłem obok niego. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że jesteśmy na szerokiej, otwartej przestrzeni.

W pobliżu stały statki – promy i ślizgacze. Claver uważnie mi się przyglądał.

– Wszystkie zostały zbudowane poza tym światem – powiedział. – Co za tym idzie, nawet najbardziej podrzędny galaktyczny urzędniczyna może nimi sterować. Wystarczy, że użyje klucza, takiego jak ten.

Spoglądając na muszlę w mojej dłoni, zaczynałem zdawać sobie sprawę, jaką daje władzę. Mogłem kontrolować wszystko, co stworzono z myślą o handlu w obrębie Imperium.

Wypatrzyliśmy cichutką pinasę bez załogi, przycupniętą na odległym krańcu hangaru. Stała w ciemności, bo w jego pobliżu nie było sztucznych świateł, które mogłyby oświetlać jej smukły kształt.

Podchodząc bliżej, czułem dreszcz podniecenia. Bywałem już na pokładach kilkunastu statków kosmicznych, ale nigdy nie myślałem, żeby któryś ukraść i spróbować pilotować. Był to jeden z tych szalonych pomysłów, które mogłem sobie wyobrazić, ale którego nigdy wcześniej nie brałem na serio pod uwagę.

Claver był chyba przekonany, że ma do czynienia z kompletnym tępakiem, bo zamęczał mnie paplaniną przez całą drogę.

– Widzisz, jak te gwiazdy świecą? Jest tam zapora chroniąca przed próżnią... a raczej utrzymująca atmosferę.

Światło gwiazd spływało na mały statek. Musiałem przyznać, że jest piękny. Pinasy – o opływowych kształtach, umożliwiających lot zarówno w kosmosie, jak i w atmosferze – służyły do przewozu ważnych osobistości pomiędzy okrętami kosmicznymi a planetami bądź stacjami. Wielkie jednostki takie jak „Minotaur” nie miały nigdy dotknąć powierzchni jakiegokolwiek świata. Nie zbudowano ich tak, by opierały się siłom grawitacji i wytrzymywały tarcie powietrza. Do ciężkiego transportu używano barek – pokracznych statków, które mogły wchodzić w atmosferę i opuszczać ją, ale nie mogły żeglować do gwiazd, ponieważ nie posiadały żadnego napędu nadświatlnego.

Stuknąłem kluczem we właz, czując dreszcz emocji. Pamiętam to wrażenie – jakbym był urwisem, kradnącym owoce z cudzego drzewa.

Właz otworzył się natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ten klucz coraz bardziej mi się podobał.

– Podoba ci się to, prawda? – zapytał Claver, przyglądając mi się uważnie. – Po raz pierwszy posmakowałeś prawdziwej władzy. Nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak myślisz, McGill. Potrafię od razu rozpoznać pokrewną duszę. Obaj lubimy łamać zasady.

Klasyczna stara szkoła. Nie dla nas wszechświat pełen przepisów, dronów i kamer.

– Czy choćby zamków, jak widać – dodałem.

Śmiejąc się pod nosem, Claver pochylił się i wszedł do środka, a ja podążyłem za nim. Nie miałem do starego łotra grama zaufania.

Na pokładzie nikogo nie było. Wślizgnęliśmy się do kokpitu i zapięliśmy pasy. Claver ujął w dłonie stery.

– Nie jesteś technikiem, więc zakładam, że nie umiesz pilotować nawet brzęczyka – powiedział.

– Z tym mógłbym sobie poradzić – odparłem. – Ale może pan prowadzić. A tak przy okazji, gdzie lecimy?

Zdażyłem przewidzieć odpowiedź, zanim jeszcze zadałem to pytanie. Byłem bardziej niż pewien, że dowiem się o jego kryjówce na powierzchni planety. Wszystkie raporty opisywały to miejsce jako gniazdo występku i chaosu. Gdzie indziej mogła uciec dwójka zbiegów? Nie mogliśmy dryfować po orbicie. W końcu ktoś by nas znalazł.

Uśmiechając się przebiegle, Claver wycelował palcem w przednią szybę pinasy. Osłony przeciwwuderzeniowe rozsunęły się, więc mogłem zobaczyć, gdzie zmierzamy, gdy stateczek nabierał mocy i szybował w kierunku przypominającego wielką bańkę pola siłowego.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zdałem sobie sprawę, że nie miał na myśli planety, która rozciągała się pod nami, olbrzymia i szara jak dym. Wstrząśnięty, spojrzałem na niego, podejrzewając, że robi sobie ze mnie jaja. Jednak jego skupiona mina mówiła, że to nie żarty.

– Lecimy na „Minotaura”?! – zapytałem z niedowierzaniem. – Jak niby, pana zdaniem, mamy się dostać na pokład okrętu?

Niedbale machnął palcem w kierunku mojej muszli.

– Przecież masz klucz, młody!

Powoli zaczęła do mnie docierać skala ambicji tego człowieka.

– Pan zwariował! – stwierdziłem.

– A jaki miałeś plan?

– Myślałem, że może ma pan na planecie jakąś kryjówkę. Do tego może jakichś opłaconych, zaprzyjaźnionych szmuglerów albo zapas monet kredytowych, za które mógłby pan ich kupić.

– Tak po prawdzie, to nieźle główkujesz – przyznał. – Jeszcze niedawno miałem to wszystko, o czym mówisz. Ale te zamieszki zaszły za daleko. Objęły nie tylko stację, ale i planetę. Szychy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Powiedzieli ci o tym?

Spojrzałem na niego ponuro, a potem wpatrzyłem się w krajobraz pod nami. Moi dowódcy niewiele mówili o tym, co dzieje się na planecie.

– Sugeruje pan, że straciliśmy cały ten świat? – zapytałem. – Jak to możliwe? Co tu się rozpętało? I to z pana pomocą?

Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, zobaczyłem u Clavera oznaki zakłopotania. Wzruszył ramionami.

– Człowiek planuje i kombinuje. Stara się jak może. Ale czasem sytuacja wymyka się spod kontroli. Łatwiej wypuścić dzina z butelki, niż wepchnąć go z powrotem. Wiesz, o czym mówię?

– Nie do końca. Proszę powiedzieć...

Przerwało mi światło migające na konsoli. Usłyszeliśmy czyjś głos:

– Tu „Minotaur”. Rozkład lotów nie przewiduje dokowania waszego statku. Podajcie swoją tożsamość i cel rejsu.

Spojrzałem bezradnie na Clavera.

– Co mamy powiedzieć? Zaraz nas zestrzelą!

– Morda w kubeł. Myśl jak Galaktyk. Bądź arogancki jak wszyscy diabli!

Potem wskazał palcem konsolę.

– Dotknij kluczem tego styku – polecił.

Zrobiłem, jak kazał, mimo że człowiek z „Minotaura” powtórzył polecenie. Przekaz urwał się w połowie.

– Yyy... macie pozwolenie na wejście na pokład – powiedział głos, wyraźnie zaskoczony i zdezorientowany. – Czy potrzebujecie... czy potrzebują panowie specjalnego zakwaterowania?

– Morda w kubeł – powtórzył Claver. – Niech się najedzą strachu. Wlecimy i wylądujemy jak u siebie. Bo w pewnym sensie jesteśmy u siebie.

– Co im powiemy?

– Że eskortujemy Galaktyka. Jest na pokładzie tego statku, a my wpadliśmy z niezapowiedzianą kontrolą. Zobaczysz, zaczną kwilić jak myszki. Poprzycinamy im ogonki i będziemy mieli ubaw!

Nie dowierzałem adiunktowi, ale na moich oczach wszystko rozgrywało się dokładnie tak, jak zapowiedział. Gdy podeszliśmy do lądowania, Claver wymaszerował z pinasy, roztaczając aurę wyniosłości i epatując pogardą dla każdego, kogo spotkał po drodze. Wszyscy łyknęli jego historyjkę.

– Cały personel ma się zgłosić do swoich modułów i tam pozostać – polecił.

Oficer, który wyszedł mu na powitanie, zawahał się. Był to sam centurion Dubois z Germaniki. Człowiek, który kilka dni wcześniej wydał Clavera Gravesowi i mnie. Mnie musiał pamiętać, a Srebrnobrodego rozpoznać. Z pewnością myślał, że znalazł się w samym środku jednej ze sławetnych intryg adiunkta.

– Ten tutaj był gorylem Gravesa, prawda? – zapytał centurion. – Już chwytam, Claver. Dałeś mu w łapę! Dobra robota! Przekabaciłeś własnego klawisza i nawiałeś Gravesowi w dobrym stylu. Dostaliśmy jednak niepokojący raport od Varusa. Powiedzieli... wiem, że to wariactwo, ale mówią, że zamordowałeś imperator...

– Łżą jak psy! – odparł Claver z przekonaniem, którego ja nie zdołałbym naśladować. – Ale to i tak bez znaczenia. Wszystkie te drobne sprzeczki zeszły na dalszy plan. Tą pinasą pod moją eskortą przyleciał prawdziwy VIP.

– Tak – powiedział Dubois. – Dyżurny już mi o tym mówił. Aż trudno uwierzyć, że jeden z nich jest na pokładzie...

– Centurionie Dubois – przerwał mu Claver – to, w co pan wierzy, jest teraz nieważne, ale spróbuję rzucić nieco światła na sytuację.

– Byłbym wdzięczny.

– Po pierwsze, mamy to. – Claver wyciągnął garść złotych monet. Połyskiwały w jasnym świetle lamp hangaru.

Od razu je rozpoznałem – to były nielegalne monety kredytowe. Kredyty galaktyczne z Układów Centralnych.

Dubois wytrzeszczył oczy i schował monety tak szybko, jak Claver je wyciągnął. A może nawet szybciej.

– Po drugie, mam coś do przekazania – ciągnął siwy adiunkt. – Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, wykonałby niezwłocznie moje rozkazy, ponieważ życie jedynej osoby, która naprawdę coś znaczy w całym tym układzie, jest teraz zagrożone. Agenci galaktyczni krążą po wielu światach. My akurat mamy zaszczyt gościć

osobistość z samej góry. Tak się złożyło, że zostałem jej obrońcą i rzecznikiem.

Dubois pokręcił głową.

– Ale z ciebie sprytna bestia! W pełni zasłużyłeś na swoją reputację! Jak zamierzasz to rozegrać?

– Jak być może panu wiadomo, stacja wkrótce zostanie przejęta przez rebeliantów – odparł Claver.

Dubois i jego podkomendni spojrzeli po sobie.

– Sądzisz, że jest aż tak źle? – zapytał centurion.

– Galaktyczka, którą eskortuję, uważa, że tak właśnie jest. To, co ja myślę, nie ma tu nic do rzeczy.

– Ach tak? Więc chce po prostu ocalić skórę? Rozumiem. Co robimy?

Claver zażądał, by wokół pustej pinasy ustawiono poczet sztandarowy, po czym Dubois miał nas poprowadzić osobiście na mostek „Minotaura”. Poprosił również o skafander kosmiczny, który zaraz otrzymał.

Odchrząknąłem znacząco. Claver spojrzał na mnie jakby po głębszym namyśle. Wiedział, że jako jedyny mógłbym storpedować jego intrygę. A co gorsza, klucz galaktyczny nadal był w moim posiadaniu. Adiunkt machnął na żołnierzy, nakazując im przynieść skafander również dla mnie. Ubieraliśmy się pod spojrzeniami głęboko osadzonych oczu Skrullów z załogi na mostku.

Naturalnie załoga składała się z obcych. Skrulowie wyglądali jak patykowate pająki z twardymi pancerzami i pomarszczonymi małpimi twarzami. Byli dziwną rasą i zaciągali się na służbę na statkach kosmicznych w dziesiątkach światów. Pod tym względem przypominali Ziemian. Ich dobrem handlowym była wykwalifikowana siła robocza, podczas gdy dobrem handlowym Ziemi byli najemni żołnierze.

Gdy już byliśmy w skafandrach, Claver polecił centurionowi Dubois wysłać wszystkich załogantów do modułów i trzymać ich tam w zamknięciu. Miał to być warunek konieczny, żeby Galaktyczka zechciała wyjść ze statku.

Dubois gwizdnął.

– Ale z nich tchórze! Cóż, tysiąc lat długowieczności robi swoje. Niech ci będzie, chociaż to uwłaczające.

– Proszę również zamknąć załogę Skrullów na mostku – powiedział Claver.

– Bez przesady! Ich gatunek jest łagodny jak kociaki!

Skrulowie patrzyli na nas tak samo uważnie jak na swoje przyrządy, ale milczeli. Przedstawiciele tej rasy rzadko rozmawiali z obcymi. Byli powściągliwi i poprzestawali na wykonywaniu zadań, które powierzono im jako członkom załogi. Nie miałem pojęcia, co o nas myślą. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że jesteśmy stworzeniami bliskimi dzikim bestiom. W moich oczach sprawiali wrażenie rasy miłującej pokój i porządek.

– Możliwe, że ma pan rację – powiedział Claver, sięgając do zepsutego stuka i udając, że go obsługuje. – Niezwłocznie poinformuję jej ekscelencję o pańskich spostrzeżeniach. Centurionie Dubois, będę potrzebował pańskiego imienia, nazwiska i numeru identyfikacyjnego do raportu dotyczącego pańskiej odmowy...

Centurion Dubois zaczął bełkotać:

– Ależ, Claver! Jaka znowu odmowa? Słuchaj, powiedz jej, że wszystko załatwione!

Odwrócił się na pięcie i zaczął wyszczekiwać rozkazy. Claver przyglądał mu się surowo, nie wychodząc z roli.

Wkrótce pokład opustoszał. Legioniści Germaniki siedzieli już bezpiecznie w kwaterach jak chomiki w klatce. Wyłącznie grupa otaczająca pustą pinasę pozostała uzbrojona i do naszej dyspozycji.

Następnie Claver zajął się poczem sztandarowym. Kiedy w końcu wykonał swój ruch, musiałem przyznać, że działał szybko i bez skrupułów. Podeszedł do konsoli służącej do sterowania próżnią. Nie wahając się ani chwili, wyłączył obszar odpowiedzialny za utrzymywanie powietrza wewnątrz hangaru.

Skrulowie gapili się na niego i kilku z nich rzuciło jakieś skrzekliwe uwagi, jednak nie przeszkadzali. Mieli transportować szajbniętych ludzi do walki. To, co robimy naszym współziomkom, nie było ich sprawą.

Pod nami, na pokładzie hangaru, próżnia wsysała ludzi, którzy krzyczeli do utraty tchu w płucach. Wirując, odlatywali w czarną otchłań i wkrótce przestawali się szamotać.

Obserwowałem konsolę, a jednocześnie widziałem, jak ich oczy nabrzmiewają, krew buzuje im w żyłach, a chemia organizmów

wariuje z braku ciśnienia.

– Czy to było konieczne? – zapytałem.

Claver uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Przestań ich opłakiwać! Koniec końców będą żyli. Ale jeśli my teraz zginiemy, to wylądujemy na permach.

– No dobrze, ale po co w ogóle była ta szopka z poczem sztandarowym?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, dzięki temu cała ta sytuacja stała się bardziej wiarygodna, a wszyscy skupili się na pinasie, w której przebywa Galaktyczka. Po drugie, na pewno kilku z nich upuściło po drodze jakąś broń.

– Ach tak. – Już zacząłem nadążać. – To dlatego nalegał pan na te skafandry?

– Właśnie. Idziemy.

Poszedłem za szaleńcem, z którym się sprzymierzyłem. Wróciliśmy do hangaru, gdzie istotnie znaleźliśmy kilka trachów. Powstrzymałem Clavera, który chciał podnieść jeden z nich.

– Niech się pan nie rusza – poleciłem, przystawiając mu pistolet do głowy.

– Nie powinienem pozwolić ci iść za mną – stwierdził Claver z niezadowoleniem.

– Święta racja.

Wziąłem jednego tracha i skierowaliśmy się z powrotem w stronę modułów.

– I co teraz? – zapytałem. – Chyba nie sądzi pan, że wróci „Minotaurem” na Ziemię?

– A niby dlaczego nie?

– Bo nie sądzę, żeby udało się panu z tego wykpić przed całą Hegemonią.

– Pewnie masz rację. Będziemy musieli wszystko naprawić tutaj.

Zmarszczyłem czoło i nie odstępowałem go na krok. Mój nowo pozyskany trach był naładowany i odbezpieczony. Trzymałem palec przy spuście. Pomyślałem, że w tej chwili Claver mógł uznać, że jego „ochroniarz” nastroczał więcej problemów, niż był tego wart.

Przeszliśmy do centralnej konsoli na zewnątrz modułów poustawianych jeden na drugim. Wiedziałem, że większość z tych kontenerów jest pusta. Według wskazań na tablicach tylko cztery

były zajęte. W trzech znajdowały się trzy jednostki żołnierzy Germaniki, którzy wcześniej tu stacjonowali. Reszta załogi czekała, aż będzie mogła zabrać cały legion z powrotem na Ziemię.

– Oj, mamy naruszenie – powiedział Claver. – Stuknij kluczem tę konsolę.

Zawahałem się. Na tablicy zobaczyłem migający żółty kwadrat. Jeden z modułów został otwarty. W tej chwili zapewne wysypywali się z niego żołnierze.

Coś poszło nie tak. Mogło to być cokolwiek. Może primus porozmawiał z kim trzeba na stacji. A może ludzie, których Claver zabił w hangarze, zdążyli przesłać raport. Możliwe, że imperator wróciła do gry i rozkazała nas aresztować.

Nieważne. Na pewno coś się pochrzało.

– Przebrnęliśmy przez cały ten gnój, a ty teraz mi tu pękasz, w ostatniej chwili? – zapytał ostro Claver. – Chcesz nam załatwić permazgon, McGill?

Sycząc przez zęby, z żalem wyciągnąłem klucz i stuknąłem w konsolę.

Ręce Clavera śmigały nad nią. Nie umiałem jej obsługiwać, ale wiedziałem, że to pozaziemski sprzęt – układ sterowania.

Trzy z modułów poczerwieniały. A potem zniknęły ze stosu.

– Co?! – wybuchnąłem. – Co pan narobił?

– Wypuściłem ich. Żołnierze... wysiedli.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem.

– Wyrzucił ich pan za burtę? To pańscy ludzie, Claver! Pana legionieści! Lojalni żołnierze, gotowi zginąć na pana rozkaz!

Srebrnobrody wzruszył ramionami. Wyglądał na lekko zmartwionego.

– Masz rację – przyznał. – Byli gotowi umrzeć za oficera Germaniki... I proszę, teraz rzeczywiście są martwi, czym po raz kolejny dowiedli swojej lojalności. Spójrz na to z innej strony. Trzeba było wybrać: albo oni, albo my. Z tą tylko różnicą, że oni posłaliby nas na permy! Nie udałooby się nam ciągnąć tej farsy w nieskończoność.

Miał rację, ale i tak mi się to nie podobało.

– Co zamierza pan teraz zrobić? – warknąłem.

– Czas na gwóźdź programu. Rozwiązę problemy nas wszystkich.

Claver poprowadził mnie do centrum sterowania działami. Na „Minotaurze” układy sterowania były porozmieszczane dość dziwnie. Wymagała tego imperialna biurokracja.

Każdy gatunek w Imperium miał monopol na określone dobro handlowe – usługę albo produkt. Jednak w lokalnej sferze wpływów, takiej jak Rubież 921, konkretny wyrób nie mógł być powielany. Niektóre towary i usługi nie były dostępne na odległej prowincji... A Rubież 921 była tak odległa, jak tylko się dało. W takim przypadku świat mógł nabywać dobra z zewnątrz, ale za wyższą cenę.

Imperialne systemy handlowe i prawne działały, ale często okazywały się uciążliwe. Skutek był taki, że zgodnie z wytycznymi systemu jedna planeta mogła budować statki, ale nie mogła nimi latać. Usługi pilotowania zapewniała inna planeta. W naszej prowincji wszyscy piloci byli Skrullami. Na tym jednak nie koniec. Skrulowie byli naszymi jedynymi pilotami posiadającymi lokalne uprawnienia do prowadzenia dowolnego pojazdu międzygwiazdowego, ale w żadnym wypadku nie byli wojownikami. A nawet gdyby chcieli nimi się stać, uczestnictwo w jakichkolwiek faktycznych walkach byłoby dla nich zakazane. A zatem, mimo iż „Minotaur” posiadał uzbrojenie, załoga pilotująca statek nie miała pozwolenia na obsługę broni. Gdyby Nairbowie, czyli nasi miejscowi eksperci od systemu prawnego – coś jak prawnicy, księgowi i biurokraci w jednym – stwierdzili, że złamano prawo, ukaraliby ojczysty świat Skrullów. Wymiar kary mógł zaczynać się od zwykłej grzywny w kredytach galaktycznych, a kończyć na unicestwieniu gatunku.

Na szczęście ludzkość posiadała licencję na zabijanie w innych układach gwiazdnych, więc mogliśmy sobie postrzelać. Dla wygody i aby zapobiec ewentualnym nieporozumieniom, układ sterowania tą bronią nie znajdował się na głównym mostku. Został wbudowany w oddzielne pomieszczenie na niższych pokładach. Claver podążał właśnie tam.

Gdy zbliżaliśmy się do centrum sterowania działami, zaczynałem się coraz bardziej martwić.

– Adiunkcie? – zagadnąłem. – Chyba nie myśli pan o ostrzelaniu stacji? Jeśli to pański plan, ja się na to nie piszę. Na tej stacji są miliony mieszkańców, nie wspominając już o żołnierzach z pańskiego i mojego legionu.

– Spokojnie – odparł. – Jeszcze nie zwariowałem. Nie próbuję pozabijać wszystkich w tym układzie, żeby ujść z życiem. Nie taki jest cel. A tobie przypominam, że zabiłeś własnoręcznie więcej tubylców niż ja.

Wzdrygnąłem się na myśl, że ma rację. Osiemdziesiątkąósemką usmażyłem kilka tysięcy miejscowych. Ci goście nie mieli już wrócić do życia. Działalem w samoobronie i wykonywałem rozkazy, ale mimo to trochę współczułem Tau.

– Co pan zamierza? – zapytałem, gdy dotarliśmy do wielkich rozsuwanych drzwi prowadzących do centrum sterowania.

– Chwileczkę – rzucił, stając po jednej stronie wejścia. – Kiedy sprawdzałem ostatnim razem, ktoś tu przebywał.

Wypróbował zamek, ale ten odrzucił jego biometrię. Najwyraźniej odcisk dłoni i skan siatkówki adiunkta nie znajdowały się w systemie zabezpieczeń.

Stałem po przeciwnej stronie wielkich drzwi. Obaj przywarliśmy do ścian, jak duet gliniarzy przed nalotem na złodziejską melinę.

Claver wykonał gest chwytania, sugerując, bym rzucił mu klucz, ale go nie usłuchałem. Warknął z irytacją i machnął na mnie, żebym podszedł. Tym razem zrobiłem, jak prosił, choć z ociąganiem.

– Otwórz te parszywe drzwi, specjalisto! – polecił.

– Nic z tego. Najpierw muszę wiedzieć, co pan zamierza.

– Już ci mówiłem. Rozwiązać problemy nas wszystkich.

Zmarszczyłem brwi.

– A niby jak chce pan to zrobić?

– Projekторы holograficzne, te, które nosi teraz chyba każdy Tau, mają usterkę. Prawda jest taka, że ktoś przy nich majstrował. Tak się składa, że wiem, skąd pochodzą te zmodyfikowane urządzenia. Zniszczę to miejsce z orbity.

– Tu pana mam! – zawołałem, celując w niego palcem w oskarżycielskim geście. – Niech zgadnę... sprzedał im pan wadliwe części? Czy może to wszystko zrobił pan celowo?

Claver wzruszył ramionami.

– Po co wchodzić w takie szczegóły? Chcesz zatrzymać to szaleństwo czy nie?

Zastanowiłem się nad tym. Gdyby jego plan się powiódł, moglibyśmy stłumić powstanie. Ocalić wiele istnień. Najwyraźniej Tau rozprawdzali urządzenia z zaprogramowanym morderczym nastawieniem, którego nie dało się wyłączyć. Jednak w tym, co mówił, nadal nie wszystko trzymało się kupy.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Myślałem, że systemy holograficzne jedynie odzwierciedlają nastrój noszącego. W jaki sposób mogą go zmieniać, nawet jeżeli działają wadliwie?

Claver przewrócił oczami.

– Naprawdę chcesz tego wysłuchiwać? – spytał.

– Z całą pewnością – odpowiedziałem.

– Pomyśl chwilę – zaczął. – Projektory Tau muszą odczytać nastrój, aby go poprawnie zinterpretować. Rejestrują sygnały umysłowe i emocjonalne. A co by było, gdyby te urządzenia mogły przesyłać nastrój, a nie tylko go odbierać?

Gapilem się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Maczał pan w tym palce? Zbudował pan coś, co wpływa na ich nastrój? Zasłużył pan na permy!

Claver zezłościł się.

– Ach tak, już rozumiem. Jesteś cięty na przedsiębiorców. Jasne, w końcu w Imperium nie ma miejsca na innowację!

– Nie o to chodzi. To, co pan zrobił, jest nielegalne i oczywiście niebezpieczne!

– Nie złamałem żadnego przepisu prawa galaktycznego – zapewnił. – Te urządzenia są przeznaczone do dystrybucji tylko w tym układzie gwiazdny. To sprawa czysto wewnętrzna.

– I co z tego? Zabił pan tysiące, a może miliony osób!

– Nikt nie docenia prawdziwie genialnego wynalazku, dopóki jego działanie nie zostanie potwierdzone – mruknął. – Pomyśl tylko, ile moglibyśmy tu zarobić. Wyobraź sobie: ktoś czuje się podle, więc obraca pokrętkę i od razu poprawia mu się humor! Takie cacko

mogłoby odmienić życie. To żyła złota. Istnieją niezliczone miliony Tau, a wielu z nich śpi na pieniądzach.

– Te projektory nie działają, Claver – zauważyłem.

– Owszem, działają... Nawet odrobinę za dobrze. Dobra, zapomnijmy o tym. Otworzysz wreszcie te drzwi, żebym mógł położyć kres zamieszkom?

Zawahałem się, a potem westchnąłem. Tu mnie miał. Nawet jeśli był powodem tej katastrofy, musiałem pomóc ją zatrzymać.

Dotknąłem zamka kluczem i drzwi się rozsunęły. W środku zastaliśmy dwóch zaskoczonych szeregowych techników. Odwrócili się w naszą stronę.

– Kim jesteście? Uciekliście z modułów?

– Tak – odrzekł Claver, wchodząc do sterowni jak do siebie. – Nie mogę znaleźć na pokładzie żadnych oficerów. Chciałem się upewnić, że to pomieszczenie jest bezpieczne.

Spojrzeli podejrzliwie na niego, a potem na mnie, z jeszcze większą nieufnością.

– Przykro mi, ale nie ma pan prawa nawet przebywać na tym pokładzie – oznajmił jeden z nich. – Jesteśmy zmuszeni pana wyprosić.

– Gdzie wasz dowódca? – zapytał adiunkt.

– O ile nam wiadomo, centurion był w modułach, kiedy je odłączono. Porozumiewamy się ze Skrullami. Manewrujemy okrętem, żeby ich dogonić, zanim wejdą w atmosferę i dojdzie do katastrofy.

– Doskonale – stwierdził Claver – ale powiedzcie, dlaczego tamta kontrolka miga na czerwono?

Obaj technicy obrócili się z niepokojem w stronę swoich paneli. Claver wyciągnął podręczny pistolet spod tuniki i strzelił obu w plecy.

Zakrztusiłem się z wrażenia, a technicy osunęli się na płyty pokładu.

– Co pan odważa?! – zapytałem, chwytając Clavera za nadgarstek. Drugą ręką przycisnąłem lufę tracha do jego brzucha.

– Łapy przy sobie, specjalisto! – rozkazał władczym tonem.

– Skąd ma pan tę broń? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie byłeś wystarczająco uważny.

– Niech pan ją rzuci!

Wykonał polecenie z ociąganiem. Wcześniej walczyliśmy wręcz i ewidentnie nie miał ochoty na powtórkę.

– Ci dwaj musieli zginąć – powiedział. – Naprawdę myślałeś, że pozwolą mi strzelać bez uprawnień?

– Nie – przyznałem. – Ale nie musiał ich pan zabijać.

Claver pokręcił głową, jakbym był pierwszorzędnym kretynek.

– Niedokończone sprawy potrafią zrujnować najlepsze plany. Daj już spokój, musimy się sprężyć. Ci panowie i tak wrócą w końcu do życia.

Nie odstępowałem go i nadal kłułem lufą tracha.

– Dlaczego nie zastrzelił mnie pan tym ukrytym pistoletem? – zapytałem.

Claver poweselał.

– Nie wiem, ale chyba nawet cię polubiłem. Jesteś buntownikiem z prawdziwego zdarzenia. Przypominasz mi mnie samego za młodu.

Zaśmiałem się.

– Jasne. Myślę raczej, że po prostu miałem fart. I zawsze pilnowałem, żeby szedł pan przede mną.

Claver wzruszył ramionami i wskazał panele sterowania.

– Z każdą godziną coraz więcej obywateli Tau zmienia się w rozszalałych buntowników – przypomniał.

Wypuściłem go z ciężkim westchnieniem. Mój instynkt podpowiadał mi, że bym nafaszerował go pociskami, jednak nie zrobiłem tego. Jeśli był w stanie zatrzymać te zamieszki, to mógł ocalić stację. A może i cały układ.

Podeszliśmy do konsoli sterowniczej. Nie była zbyt skomplikowana, ale i tak nie wiedziałem, jak ją obsługiwać. Po kilku minutach zauważyłem, że Claver także się nad nią biedzi.

– Trzeba było zostawić tych techników przy życiu i trzymać ich na muszce – stwierdziłem. – Teraz by nam się przydali.

– Już rozumiem! – oświadczył Claver chwilę później. – Dotknij tego modułu zabezpieczeń, kiedy będę trzymał na nim rękę. Potem dotknij tamtego.

– Co to jest? – zapytałem, podchodząc do wskazanego przez adiunkta wypukłego metalowego elementu w kolorze cyny.

– Tego używasz do wystrzałów. Druga konsola jest od celowania.

Wyszczerzyłem zęby, myśląc intensywnie. Byłem bombardierem, ale te panele pasowały raczej do układu sterowania dla pilota okrętu międzygwiazdowego. Przyrządy sterownicze nieobsługiwane ręcznie. Wszystkie opierały się na technologii paneli dotykowych. Wszędzie wyświetlały się liczby.

Wciągając powietrze i zaciskając zęby, dotknąłem modułów, o których mówił Claver. Adiunkt dokonał paru korekt, a okręt w odpowiedzi zaczął wydawać dziwne odgłosy.

Powoli zwróciłem oczy w stronę sufitu. Nade mną przesuwały się potężne zautomatyzowane działa, skupiając się na nowo wskazanym celu. Wydawały złowieszcze odgłosy, jakie można usłyszeć w wielkim statku poniżej linii wody.

Na panelu znalazłem przełącznik otwierający osłony przeciwwuderzeniowe. Widok na zewnątrz był niepokojący. W polu widzenia miałem dwa działa – a przynajmniej ich długie lufy. Sięgały poza zasięg mojego wzroku, celując w dół, w stronę planety. Przypominały mi kominy fabryczne. Rzucały ostre cienie w blasku odległego słońca.

– McGill, do cholery! – zaprotestował Claver, gdy podniósł głowę i zobaczył, co zrobiłem. – Nie możemy strzelać przy otwartych osłonach!

Spojrzałem na niego, a lufa mojego tracha wykonała obrót tak, by celować prosto w niego.

– Chciałem się upewnić, że nie celuje pan w stację – powiedziałem.

– A dlaczego miałbym to robić, mój drogi paranoiku?

– Bo boi się pan śmierci – wyjaśniłem. – Na tej stacji znajduje się każdy, kto ma prawo i motywy, żeby pana stracić.

– Myślisz, że jestem aż taki samolubny?

– Tak właśnie myślę, Srebrnobrody. Nikt nie byłby w stanie przeżyć tak długo w legionie, nawet w Germanice, nie będąc do przesady ostrożnym.

Gapił się na mnie, od czasu do czasu mimowolnie zerkając na lufę mojej broni.

– To jakaś groźba? Jakaś ostatnia zagrywka, którą wcześniej zaplanowałeś?

– Chciałbym... – przyznałem. – Ale przez cały ten czas improwizowałem.

Claver parsknął śmiechem i ponownie skupił się na panelu sterowania.

– Zamknę osłony, oddam jedną salwę, a potem otworzę je znowu. Będziesz mógł podziwiać uderzenie z pierwszego rzędu.

W tym momencie zacząłem żałować, że do niego celuję. Wolałbym, żeby działał bez mojej wiedzy. Fakt, że stałem tam i zastanawiałem się, czy pozwolić temu szaleńcowi samodzielnie kierować okrętem, dobitnie świadczył o mojej desperacji.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Jeszcze nie teraz.

– Co?! – wybuchnął Claver. – Oni wkrótce spustoszą całą stację! Widziałeś tę bitwę uliczną!

– I tak mogą wygrać.

– Bez nowych żołnierzy nic nie wskórają. Jeśli odetniemy dostawy po drugiej stronie, możemy zwyciężyć. Każda minuta zwłoki zmniejsza nasze szanse.

– Sęk w tym – odpowiedziałem mu – że panu nie ufam. Ani trochę.

– Jestem w stanie to zrozumieć – przyznał. – Jednak w tym przypadku nie masz innej opcji, synku. Przegrywamy tę walkę. Przecież to widzisz, prawda? Traciliśmy grunt pod nogami każdego dnia, od samego początku.

– To wszystko przez pana głupi skok na kasę!

– Nie żaden skok na kasę, tylko produkt. Co prawda wadliwy, ale chodziło tylko o niego.

Patrzyłem na Srebrnobrodego, mrużąc oczy. Widziałem, że jest spięty, ale usiłuje zgrywać nonszalancję. Chciał odpalić działa na burcie, prawdopodobnie z przyczyn, które mi podał. Jednak nie mogłem być tego pewien. Facet był zdecydowanie zbyt przebiegły.

– W porządku – powiedziałem w końcu, głośno wydychając powietrze, które wcześniej wstrzymywałem. – Ale jeżeli po otwarciu tych drzwi zobaczę, że trafiliśmy w stację, to zaręczam, że pana rozwalę. I nikt, ale to naprawdę nikt nigdy nie ożywi pana żalosnego dupska.

– Przyjmuję twoje warunki. A teraz pstryknij w końcu tym przełącznikiem!

Wyciągnąłem rękę i zrobiłem, o co prosił. Masywne drzwi zasunęły się, przesłaniając światło gwiazd.

Kilka sekund później rozległ się strzał. Czułem drgania przetaczające się falą przez okręt. Przez wstrząs zachwiałem się i prawie przewróciłem, mimo że sterownia posiadała specjalny system amortyzacji. Co dziwne, działa nie narobiły tyle huków, ile można by się spodziewać. Lufy były w przestrzeni kosmicznej i spora część energii poszła w próżnię. Jedyne hałasy i drgania spowodował odrzut.

Uderzyłem w przełącznik. Osłony rozsunęły się – wolniej niż wcześniej, jeśli mnie pamięć nie myliła.

Wyciągając szyję, mogłem dostrzec gazowe smugi ciągnące się za szesnastoma pociskami. Zdążyły się już przedostać do atmosfery. Osiągały niewiarygodne prędkości.

Pociski torowały sobie drogę przez cienkie warstwy gazu w stronę bezkresnego miasta rozciągającego się w dole. Była tam już noc. Światła migąły, podczas gdy niczego nieświadomi obywatele Tau zajmowali się zwykłymi sprawami, nie mając pojęcia o tym, co spada na nich z nieba. Zrobiło mi się niedobrze na myśl, ilu z nich zginie jako przypadkowe ofiary, aby dało się powstrzymać zarazę, którą rozpętał Claver.

Pociski rozjarzały się, wchodząc coraz głębiej w atmosferę. Wiedziałem, że to przez ich zewnętrzną osłonę – połączenie pola siłowego i ceramiki.

– Strzał w dziesiątkę – szepnął Claver.

– Co zrobiliśmy? – zapytałem.

– Ocaliliśmy świat. Trzeba było wyciąć ten nowotwór. Nie obwiniaj się, chłopcze.

Zmarszczyłem brwi.

– O co niby mam się obwiniać?

Kiwnął głową w stronę tego, co działo się pod nami. Salwa dotarła już do planety i zobaczyłem szesnaste jednoczesnych rozbłysków. Niemal zaraz potem zasłoniły je wzbijające się chmury pyłu. Świeące fale uderzeniowe rozchodziły się kręgami, niszcząc budynki i zabijając mieszkańców w promieniu kilku mil.

– Nie wiedziałem, że uderzymy tak ostro! – powiedziałem przerażony. – Wystarczyłby jeden pocisk!

– Z nowotworem nie ma żartów – odparł Claver. – Każdy chirurg ci to powie. Kiedy go wycinają, większość z tego, co usuwają, to zdrowe tkanki. Wiesz o tym, prawda?

Nie patrzyłem na niego ani nie przytakiwałem. Byłem zbyt wstrząśnięty widokiem. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak działa galaktycznego okrętu wojennego trafiają w cel. Cholera, nie wiem, czy jakikolwiek człowiek kiedykolwiek to widział. Ogrom zniszczeń był oszałamiający.

Białe błyski osłabły, a pod kłębiącymi się chmurami dymu zajaśniał ponury czerwony blask. Zobaczyłem coś jakby grubą czarną nić wychodzącą z tego pobojuwiska. Na moich oczach nić sunęła w górę, skręcając się i wijąc jak wąż w zwolnionym tempie.

– Pępowina! – powiedziałem, z trudem łapiąc oddech. – Ten strzał... trafił pan w jej podstawę!

Wtedy mnie dorwał. Musiałem przyznać, że miał mistrzowskie wyczucie czasu. Patrzyłem na niego ledwie dziesięć sekund wcześniej, ale później zagapiłem się na krajobraz w dole, kiedy powoli docierała do mnie skala katastrofy, która wydarzyła się za moim przyzwoleniem.

Połączenie zostało zerwane, stacja zaczęła dryfować... a ja nie zrobiłem nic, by to powstrzymać.

W mojej czaszce eksplodował biały ból i osunąłem się na kolana.

Wtedy już wiedziałem, że źle zrobiłem, ufając Srebrnobrodemu.

Gdybyście mieli kiedyś okazję pogadać z moją mamą, na pewno potwierdzi jedną rzecz – mianowicie, że mam twardy łeb. Niejeden raz mówiła, że według wszelkich praw rządzących światem wielokrotnie powinienem wyzionąć ducha. Przykładowo, pewnego razu potrafiła mnie podciąć podczas jazdy na wstecznym rodzinną ciężarówką, kiedy ja akurat przemykałem na aerocyklu. A znowu innym razem wypadłem z balkonu naszego mieszkania na czwartym piętrze i wylądowałem głową w dół na sośnie.

Przy obu tych okazjach, a także przy jeszcze kilku innych, medycy później opukiwali, poszturchiwali i badali moją czachę, żeby sprawdzić, czy doznała jakichś pęknięć. Nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

Niestety, nie jestem niewrażliwy na ból. Mój mózg, ta kupa szarej i białej materii ulokowana pod moim grubym czerepem, protestował, fundując mi ból głowy rodem z najgorszych koszmarów. Jednak, jak zwykle w takich sytuacjach, pozostałem przytomny przez całą tę traumę.

Upadając, obróciłem się na plecy. Claver stanął nade mną z kluczem francuskim. Było to narzędzie ciężkie jak jasny gwint, zbudowane do odkręcania mocowań włączników i tym podobnych rzeczy. Jego połyskująca końcówka wyglądała jak wytarta stal. Najwyraźniej ten przyrząd przeszedł w przeszłości przez ręce kilkunastu siłaczy.

Leżałem oszołomiony, a Claver uniósł ręce, szykując się do kolejnego ciosu. Trzymał klucz w obu dłoniach i tym razem zamierzał wałnąć z całej siły. Krzywił się z wysiłku, obnażając zęby niczym małpa, chcąc zmiążdżyć rywala w morderczym szale. Nie musiałem wysilać intelektu, aby się domyślić, że tym razem zamierza rozkwasić mi głowę.

Zacisnąłem odrętwiałe palce. Trach w mojej dłoni zaczął terkotać. Nawet nie wiedziałem, gdzie celuje, i prawie mnie to nie obchodziło. Wystarczyło, że słyszę, jak działa.

Nie mierzyłem zbyt precyzyjnie. Odrzut z tracha, choć łagodny, okazał się pomocny. Karabin podskoczył w górę i jakimś cudem nie wyslizgnął mi się z rąk. Ledwie udało mi się utrzymać palec na spuście.

Pierwszy grad śrutu rozprysnął się na suficie sterowni dział. Dziesiątki pomarańczowych iskier zajaśniały, zanim odrzut skierował moje ramię jeszcze bardziej do góry. Machnąłem ręką przed brzuchem Clavera, wbijając w niego co najmniej dziesięć pocisków. Pomknęły w górę jego tułowia, rozrywając go, a kilka utknęło w jego czaszce.

Trachy strzelają szybko i obficie, ale ich pociski są małe. Jednak przy prędkości, z jaką się poruszają, i tak nie miało to znaczenia. Przedarły się przez nieosłonięte ciało adiunkta i zostawiły większe rany wylotowe niż wlotowe.

Claver nie zdołał zadać drugiego ciosu. Padł na pokład obok mnie.

Dopiero po kilku minutach udało mi się stanąć. Miałem we włosach sporo krwi, a jeszcze więcej spływało mi po plecach. Gdyby w pobliżu był jakiś bios i obserwował tę sytuację, mógłby mi polecić, żebym zaczął od nowa, ze świeżym ciałem. Biorąc pod uwagę, jak się wtedy czułem, zapewne przyznałbym mu rację.

Koniec końców dałem radę najpierw uklęknąć, a potem wstać. Ślaniając się na nogach, zerknąłem na Srebrnobrodego.

Był w strasznym stanie. Oczy, szeroko otwarte i wytrzeszczone w wyrazie szoku, wyglądały jak jajka na twardo z błękitnymi żółtkami. Wszędzie wokół widziałem krew i kawałki kości.

– Obyś nigdy nie ożył – zwróciłem się do trupa. Potem spojrzałem na planetę pod nami.

Na widok tej katastrofy zachciało mi się rzygać. Patrzyłem w unoszące się chmury pyłu, w roztargnieniu masując głowę. Wyglądało to jak krajobraz po uderzeniu wielkiego meteorytu.

Zbierając myśli i siły, wyszedłem z pomieszczenia chwiejnym krokiem i skierowałem się w stronę modułów. Może na pokładzie zostali jeszcze jacyś ludzie?

Mogłem się skontaktować ze Skrullami... ale co by to dało? Byli najemnikami, nie mieli żadnego interesu w tej bitwie. Gdyby wszyscy w tym układzie pozabijali się nawzajem, ich by to nie obeszło, jeśli tylko nie zawracalibyśmy im gitary. Tak naprawdę nie

mogli ingerować, ani nawet zignorować rozkazu od upoważnionych osób, nie narażając się przy tym na gniew Galaktyków.

Niestety, nie reprezentowałem tu upoważnionych władz. Byłem żołnierzem na służbie. Traktowali mnie jak jeszcze jeden element ładunku. Oznaczało to, że nie byłem w stanie kontrolować okrętu, nawet za pomocą klucza Galaktyków. Mogłem sterować poszczególnymi systemami, ale pilotowanie nie wchodziło w rachubę. Skrulowie posłuchaliby jedynie oficera.

Kuśtykałem przez moduły, ale nikogo nie znalazłem. Kłąłem i warczałem ile wlezie. Claver był dokładny, a jego ofiary z Germaniki okazały mu posłuszeństwo. Wszyscy legionieści pozamykali się w modułach i zostali zaraz potem wystrzeleni w kosmos.

Przeprowadziłem inwentaryzację zasobów, które mi pozostały. Nie było tego wiele. Mógłbym zarekwirować pinasę i wrócić na stację, ale w tej chwili nie wydawało się to dobrym pomysłem. Stacja mogła równie dobrze być już skazana na zagładę i wirować po rozpadającej się orbicie. Z całą pewnością była pełna morderczych buntowników i jeszcze bardziej morderczych legionistów. Każdy z nich na pewno wiedział, że ma mnie zabić.

Zdałem sobie sprawę, że wciąż posiadam kontrolę nad działami na burtach. Ale kogo miałem teraz rozwalić? Z trudem mogłem się połapać w obsłudze tej broni, nie mówiąc już o precyzyjnym celowaniu. Poza tym nie chciałem tego dnia sprawiać jeszcze większego bólu i cierpienia.

Skupiłem się ponownie na modułach. Szybko omiotłem wzrokiem niestandardowe jednostki. Był tam moduł techników – połączenie laboratorium i warsztatu. W należycie wyposażonym arsenale znajdowały się tysiące sztuk broni, której zupełnie nie potrzebowałem.

Potem natrafiłem na moduł biosów. Tak jak na każdej innej jednostce, tak i tutaj nazywano go niebieskim pokładem. Wszedłem do środka. Wkrótce dorwałem w swoje ręce skórodruk i przesunąłem podłużnym narzędziem z tyłu głowy. Środki przeciwbólowe, świeże komórki skórne i odrobina stymulantów niemal od razu poprawiły mi samopoczucie.

Mój wzrok powędrował w stronę zamkniętego pokoju. Pomyślałem, że znajduje się tam moduł wskrzeszający. Musiał tam być.

Wyłączyłem skórodruk i podszedłem do drzwi. Były zaryglowane, ale jedno dotknięcie kluczem rozwiązało ten problem.

W środku zobaczyłem maszynę wskrzeszającą w trybie uśpienia. Nie cierpiałem tych urządzeń. Nigdy nie rozumiałem, jak biosi mogą znosić pracę przy nich przez cały dzień. Były oślizgłe, niepokojące... a przy tym śmierdziały jak siedem nieszczęść.

Ze względu na nietypową, barwną przeszłość w szeregach Legionu Varus potrafiłem obsługiwać ten dziwaczny sprzęt. Potrzebowałem teraz innych ludzi. Nie mogłem sam prowadzić okrętu. W związku z tym stuknąłem w listę oczekujących i nacisnąłem przycisk uruchamiający. Maszyna miała sama zdecydować, kogo będę potrzebował w pierwszej kolejności, a ja zdałem się na jej osąd. Ktokolwiek znajdował się na szczycie listy, był najlepszą z dostępnych osób.

Wskrzeszarka bulgotała i chlupotała. Myśl o tym, że pracowała nad wyhodowaniem nowego człowieka, mogła napawać strachem, jednak zdążyłem się uodpornić na takie emocje.

Zacząłem rozmyślać o Tau. Wiadomo, byli przesadnie licznym, irytującym gatunkiem, ale nie uważałem, by zasługiwali przez to, żeby ich hurtowo wyrzynać.

Zanim maszyna wskrzeszająca wreszcie zasygnalizowała koniec pracy, zdążyłem znaleźć szafkę ze stymulantami i opróżnić ampułki. Na mojej twarzy wykwitł słaby uśmiech, a po bólu głowy zostało jedynie nieprzyjemne wspomnienie.

Paszcza wskrzeszarki otworzyła się z mokrym cmoknięciem. Westchnąłem i wyciągnąłem przyrząd w kształcie łopaty.

Stopy. Bose stopy. Sądząc po ich wyglądzie, byłem świadkiem narodzin kobiety. Wsunąłem pod jej pośladki końcówkę narzędzia i pociągnąłem, jednak nie chciała wyjść od razu. Musiałem szarpać ją za nogi, stękając z wysiłku.

W końcu wyleciała z głośnym pyknięciem i w towarzystwie strumienia gęstych płynów. Marszcząc nos, usiłowałem przenieść ją na nosze tak, by jej przy tym przypadkowo nie zranić.

Założyłem, że jest oficerem, możliwe, że bioską z Germaniki. I że gdy dojdzie do siebie, będzie miała do mnie masę pytań. Wolałem nawet się nie zastanawiać, jak na nie odpowiem.

Kobieta była atrakcyjna i wyglądała na o wiele za młodą na oficera. Ułożyłem ją na stole. Próbowала coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Mrużąc oczy, sprawdziłem odczyty.

– Migotanie przedsionków? – przeczytałem na głos. Nikt nie odpowiedział. Nie było nikogo, kto mógłby mnie poinstruować. – Zły odrost? Tak od razu? Szlag!

Pomyślałem, czy nie chwycić jej i nie wepchnąć w otwór do recyklingu. Była prawie nieprzytomna i nie zapamiętałaby swojego krótkiego żywota. Jednak z jakiejś przyczyny nie mogłem się na to zdobyć. W tej kobiecie było coś znajomego, choć nie byłem w stanie tego dokładnie nazwać.

Przygotowałem sprzęt do defibrylacji i zafundowałem jej kilka wstrząsów. Po czwartej próbie obudziła się, po czym zaczęła rzygać i łapać oddech. Sprawdziłem odczyty.

– Wszystko gra – oznajmiłem z uśmiechem. Zrobiłbym to, nawet gdyby moje ciało nie jechało na stymulantach i gdybym nie oberwał w głowę. Byłem z siebie nawet trochę dumny.

Kobieta odtoczyła się ode mnie, zwijając się w kłębek na noszach. Wtedy wszystko zrozumiałem.

Posiadała dość charakterystyczne biodra. Jej krągłe pośladki wyglądały bardziej niż odrobinę znajomo. Gapilem się na nią latami. Oczywiście nigdy nie widziałem jej nago, ale facet taki jak ja potrafi rozpoznać kształty, które aż tak rzucają się w oczy.

– Turov? – zapytałem.

Zakaszła i niedołącznie spróbowała usiąść.

– McGill? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Ja cię zabiję. A potem jeszcze raz. I jeszcze...

– Tak jest – odparłem. – Pewnie tak będzie. O, ma pani inny kolor włosów?

– Przecież je farbuję, kretynie!

– Ach. No tak. Ale wygląda pani o wiele młodziej niż wtedy, gdy ostatni raz panią widziałem. Czy nie robiła pani kopii zapasowej swojego ciała przez ostatnie kilka...dziesiąt lat?

Wlepila we mnie przekrwione oczy.

– Już od dawna nie ginęłam w służbie legionom.

Pokiwałam głową.

– Tak, ale wygląda pani, jakby dopiero zaciągnęła się do służby.

– Naćpałeś się czy co? – zapytała.

Pomyślałem o środkach przeciwbólowych, które dość hojnie sobie zaaplikowałem. Zdobyłem się na uśmiešek.

– Może odrobinę – przyznałem.

Turov parsknęła z obrzydzeniem.

– Daj mi jakieś ciuchy, do cholery! – zażądała.

Inteligentny materiał wkrótce okrył jej ciało. Opinając się i zamykając jak papiererek cukierka, zasłonił jej piersi i uda. Z rozczarowaniem patrzyłem, jak znikają.

– Czeka panią ciężka przeprawa jako imperatora – zauważyłem. – Wygląda pani jak dzieciak. Tak właściwie to jest pani teraz pewnie młodsza ode mnie.

Skrzywiła się, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Dlaczego, u licha, wskrzesiłeś akurat mnie?

Otworzyłem usta i już miałem jej powiedzieć, że nacisnąłem przycisk wskrzeszania według listy, jednak jakieś obszary mojego mózgu nadal działały jak trzeba. Wiedziałem, że dziewczynie nie mówi się, że połączył nas zwykły przypadek. Musiałem sprawić, by poczuła się wyjątkowo.

– Potrzebowałem pomocy – powiedziałem. – Nikt inny nie nadawałby się do tej roboty lepiej niż pani.

Zmrużyła powieki z niedowierzaniem, potem zauważyła tracha, wciąż przewieszzonego na pasku przez moje ramię. Miałem krew na rękach, na twarzy... wszędzie. Otworzyła szerzej oczy i przygryzła wargę.

– A może raczej chodzi o realizację jakichś dziwnych fantazji? – zapytała. – Wskrzesiłeś mnie, żeby zadać mi ból? Nie podejrzewałam cię o coś takiego.

Jej głos brzmiał dość pewnie, ale słyszałem w nim cień niepokoju. Wreszcie dotarło do niej, że w pobliżu nie ma nikogo oprócz nas dwojga.

Po zastanowieniu stwierdziłem, że ma rację. Mogłem ją od razu zabić. Gdybym wepchnął jej zwłoki do rury recyklingowej, nikt by się o niczym nie dowiedział.

– Nie jestem jakimś psycholem – zapewniłem. – Potrzebowałem wysokiego rangą oficera, który pomógłby mi w tej krytycznej sytuacji. Od razu pomyślałem o pani.

– O jakiej krytycznej sytuacji mówisz?

– Hmm... jakie ma pani ostatnie wspomnienie?

– Byłam w holu przed moim gabinetem... i ten padalec, Claver, zastrzelił mnie!

– No tak, a więc... od tamtego czasu trochę się działo. Może pani chodzić?

– Oczywiście! – odparła, odtrącając moją pomocną dłoń.

Zsunęła się z noszy i od razu prawie zaliczyła glebę. Byłem na to gotowy i zdążyłem ją chwycić.

– Odwal się! – krzyknęła.

Zignorowałem jej utyskiwania i ustawiłem ją do pionu jak lalkę. Mimo jej protestów podtrzymałem ją za łokieć, gdy stawiała pierwsze kroki. Wkrótce ponownie opanowała sztukę chodzenia.

– Od razu widać, że nie wskrzeszali pani od dłuższego czasu – stwierdziłem.

– Nie wymigasz się przez to od egzekucji, jeśli taki masz plan – ostrzegła. – Każdy mógł mnie ożywić.

– Cóż... nie byłbym tego taki pewien – odparłem.

– Co to ma znaczyć? Daj mi jakieś słuchawki! W tej chwili!

– Proszę mi dać parę minut na objaśnienie całej sytuacji.

Turov wytrzeszczyła na mnie oczy.

– To znaczy... że jestem twoim więźniem? Nic dobrego cię nie czeka, McGill. Możesz być tego pewien.

Maszyna wskrzeszająca znowu zaczęła bulgotać i szumieć, tworząc nowe życie. Mogłem tylko zgadywać, kogo wybrała jako drugiego w kolejce. Ten proces miał zająć kilka minut, więc uznałem, że mogę poświęcić chwilę na wtajemniczenie pani imperator.

Domyśliłem się, że nie uwierzy w nic, co miałem jej do powiedzenia, więc stwierdziłem, że jedynym wyjściem będzie pokazanie jej sytuacji. Zabrałem ją do sterowni dział. Gdy nasze kroki odbijały się echem po pustych korytarzach, zastanawiałem się, dlaczego wskrzeszarka postanowiła przywrócić do życia imperator Turov. Prawdopodobnie uznała, że osoba o takiej randze zasługuje

na szczególne traktowanie. Biosi na stacji pewnie byli zbyt zajęci produkowaniem żołnierzy i posyłaniem ich na front, żeby kłopotać się szynchami. Nie mieli czasu na podlizywanie się oficerom. Potrzebowali walczących legionistów, aby zatrzymać napierającego nieprzyjaciela.

Kiedy udało mi się zaprowadzić Turov do centrum sterowania działami, zdążyła już się domyślić, że jest na pokładzie „Minotaura” i że coś w tym wszystkim zdecydowanie nie gra.

– Co tu tak pusto? – zapytała. – Nie mogłeś przecież wszystkich pozabijać?

Nawet nie chciało mi się odpowiadać.

– Gdzie jest personel? – dopytywała się dalej. – Gdzie są legionieści Germaniki? Coś ty narobił, chory pojebie?

Wskazałem na ciało Clavera, wciąż leżące bezwładnie z wybałuszonymi oczami. Postanowiłem trochę nagiąć fakty.

– Pani imperator, przyznam, że trudno mi to wytłumaczyć, ale ścigałem pani zabójcę przez cały dzień. Dogoniłem go tutaj. Wpadł w szal i wykrzykiwał coś o powstrzymaniu ataku na stację.

Pospieszenie opowiedziałem jej, że według Clavera ktoś majstrował przy holograficznych projektorach noszonych przez cywili Tau. I że tym kimś był sam Claver. Potem objaśniłem, że zdaniem adiunkta właśnie to była przyczyna wszystkich zamieszek i że należało powstrzymać produkcję tych systemów.

Kiedy mówiłem, Turov podeszła do okien i spojrzała na zewnątrz. Na jej ładnej buzi odmalowała się zgroza.

– Rozwaliłeś całą planetę!

– Ależ nie – zapewniłem. – Po pierwsze, zrobił to Claver. Po drugie, uszkodził tylko niewielki fragment planety. Wystrzelił z dział jeden raz, a potem go zabiłem.

Turov spojrzała najpierw na mnie, a potem na Clavera.

– Zranił cię? – spytała.

– Tak. Na mojej głowie rośnie teraz nowa skóra. Trochę swędzi.

– To zdumiewające – odpowiedziała. – To niewiarygodne naruszenie etykiety dyplomatycznej. Dziękuję, że go powstrzymałeś. Teraz już rozumiem, dlaczego mnie wskrzesiłeś.

– Naprawdę?

– Oczywiście, McGill. Może i wyglądam na dziewiętnaście lat, ale nie jestem naiwnym podlotkiem.

Dziewiętnaście? Ta myśl mną wstrząsnęła. Czy mogła być aż tak młoda? Patrząc na nią, wiedziałem, że może mieć rację. Trzydziestodwuletni umysł w dziewiętnastoletnim ciele. Trudno to będzie ogarnąć.

– Masz pewnie nadzieję, że wkradniesz się w moje łaski – ciągnęła.

– Zabiłeś mojego zabójcę i najwyraźniej powstrzymałeś tego szaleńca przed zniszczeniem całego świata. Jakkolwiek dziwnie się z tym czuję, jestem teraz twoją dłużniczką. Być może podobnie jak miliony Tau. Mimo to jedna rzecz wciąż jest dla mnie niejasna.

– Yyy... – wyjąkałem, nie wiedząc, który z naprędce wysnutych przez nią wniosków budzi takie wątpliwości.

– Dlaczego nie pozwalasz mi skontaktować się ze stacją?

– A... o to chodzi – powiedziałem. Potem pokazałem stację, która zdążyła już niemal podryfować poza zasięg naszego wzroku, i wyjaśniłem, że działa zerwały połączenie.

Turov miała oczy jak spodki.

– Nie wierzę – powiedziała. Spojrzała na mnie. – On zabił ich wszystkich! To pewnie dlatego nie wskrzeszono mnie na stacji. Wszyscy mogą już być martwi, jeśli doszło do uszkodzenia poszycia. Tylko pomyśl: legionieści Germaniki i Varusa polegli razem, za jednym zamachem. Ziemia nigdy nie straciła dwóch legionów w jednej kampanii, James. Nigdy od czasów Rzymian.

– I bitwy w Lesie Teutoburskim – dodałem zamyślonym tonem.

– Właśnie. Jestem zaskoczona, że o tym wiesz. Cieszę się, że Varus nadal przekazuje legionistom swoje tradycje.

– Skontaktujmy się ze stacją i poznajmy prawdę – zaproponowałem. Podałem jej słuchawki.

Zawahała się przed nawiązaniem połączenia. Spojrzała na mnie przez chwilę, a ja dostrzegłem w jej oczach zagubienie. Wiedziałem, że nie chce sprawdzać, czy aby nie jesteśmy ostatnimi przedstawicielami rodzaju ludzkiego w tym układzie. Albo czy wkrótce nimi nie będziemy.

Patrząc na jej młode, niewinne liczko, zauważyłem, że moje nastawienie do niej ulega zmianie. Wiedziałem, że mój umysł po

prostu reaguje na to, co widzę, a nie na to, co o niej wiem. Jednak nic nie mogłem na to poradzić.

Stojąca przede mną imperator Turov była urodziwą, przestraszoną panienką. Miałem ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć.

Mówiłem sobie w duchu, że chyba całkiem zwariowałem, ale tak właśnie się czułem.

Czy to możliwe, żeby młodsza wersja jakiejś osoby była tak naprawdę kimś innym? Kimś bardziej w rodzaju krewnego oryginału niż jego bezpośredniej kopii?

Rozwahałem tę kwestię, gdy patrzyłem, jak imperator Turov próbuje skontaktować się z naszymi legionami na dryfującej nieopodal stacji. Kiedy nikt nie odpowiadał, oczy jej się zaszklily. Nigdy wcześniej nie widziałem takich emocji u Turov. Czy rzeczywiście mogła lada chwila załamać się i wybuchnąć płaczem?

Jej stan emocjonalny musiał być po części związany z niedawnym wskrzeszeniem. Z jej perspektywy upłynęło sporo czasu i z pewnością wpłynęło to na jej myśli. Sam wielokrotnie przez to przechodziłem. Nic tak nie skłania do refleksji nad naszym miejscem we wszechświecie, jak śmierć i odrodzenie się z bezkształtnej masy.

Jednak w przypadku Turov chodziło o coś więcej. Jej nowe ciało było dla niej za młode, aby mogła pozostać tym, kim była tuż przed śmiercią. Z wiekiem u ludzi zachodziły potężne zmiany. Nie wszystkie z nich wynikały z powolnego przekierowywania naszych ścieżek neuronowych – zwanego przez nas wspomnieniami i doświadczeniami. Nasze mózgi starzały się tak samo jak reszta ciała. Włosy siwiały, a narządy się zużywały. Zmieniały się cykle snu, a także sposób, w jaki funkcjonuje umysł.

Młodszy ludzie mieli lepiej rozbudowaną muskulaturę, rany goiły się dużo szybciej i osiągalni całkiem inne wyniki w testach IQ. Ich mózgi pracowały szybciej, ale również bardziej chaotycznie, impulsywnie i emocjonalnie.

Turov była już zgorzkniałą kobietą, jaką zapamiętałem z naszego ostatniego spotkania. Teraz zmagala się z młodością, niepewnością i buzującymi hormonami.

Jeśli o mnie chodzi, kiedy ginąłem, zyskiwałem mniej niż rok, więc ogólnie rzecz biorąc, pozostawałem od lat tym samym

gościem. Ewentualnie trochę mądrzałem, ale tylko odrobinę. Może dlatego wszyscy powtarzali, że powinienem „dorosnąć”.

Imperator Turov była zahibernowana w czasie. Dziś powróciła w dużo młodszej postaci. Każdy sądzi, że chciałby odzyskać młodość, ale zdążyłem już zauważyć, że akurat jej nie będzie z tym lekko.

Usiłując porzucić te rozmyślenia i skupić się na naszych aktualnych problemach, czekałem, aż zakończy próby połączenia najpierw z Legionem Varus, a potem z Germanicą.

Odłożyła słuchawki i gapiała się na nie.

– Chyba wszyscy nie żyją – powiedziała w końcu.

– Słucham? Fakt, stacja straciła trochę atmosfery, ale nie może być jeszcze aż tak źle! – odparłem.

Potrząsnęła głową.

– Ci buntownicy atakowali naprawdę ostro tuż przed tym, jak zostałam zabita. Mogli pokonać legion. Mieli nad nami przewagę liczebną kilku tysięcy na jednego.

Wstrząśnięty, spojrzałem w kosmiczną pustkę. Jak to możliwe, że wszyscy zginęli? Wychodziło na to, że bitwa potoczyła się jeszcze gorzej, niż sądziłem. Źle się czułem z myślą, że nawiałem stamtąd w pogoni za Claverem.

– Przynajmniej jacyś cywile Tau nadal żyją – ciągnęła imperator. – Słyszałam zgiełk uliczny, ale żadnych zrozumiałych słów na kanałach dla dowódców. Możliwe, że straciliśmy łączność, a na stacji wciąż jeszcze walczy garstka żołnierzy.

Oboje spojrzeliśmy przez okno.

– Co zrobimy? – zapytałem.

– Skontaktuję się ze Skrullami. Rozruszamy „Minotaura” i oblecimy stację, żeby ocenić, jak się sprawy mają. Zostań na otwartych kanałach.

– Dobry pomysł – przyznałem. – Proszę jednak o pozwolenie na powrót do jednostki wskrzeszającej. Właśnie rodzi się kolejny człowiek, więc muszę być w pobliżu, aby utrzymać go przy życiu.

– Och... oczywiście. Idź tam natychmiast. Na pewno masz do tego kwalifikacje?

– Ależ skąd! Ale robiłem to już wcześniej, a poza tym nie ma tu nikogo innego.

Odwróciłem się i już miałem odejść, ale zawołała mnie.

– James?

– Tak, pani imperator?

Wyciągnęła drobną, gładką dłoń i ścisnęła mnie za ramię.

– Dziękuję. Oficjalnie wycofam zarzuty przeciwko tobie.

– Yyy... będę wdzięczny.

Pospiesznie wyszedłem, wiedząc, że wskrzeszarka za chwilę wypłuje kolejną ofiarę. Truchtając pustymi korytarzami, pokręciłem lekko głową.

To jej spojrzenie... Myślała o tym, by mnie pocałować! Możecie mówić, że zgłupiałem albo mam nierówno pod sufitem, ale widywałem takie spojrzenia już wcześniej. I to nie raz.

Gdy dotarłem do jednostki wskrzeszającej, czekał mnie kolejny wstrząs. Ktoś już się urodził – był to mężczyzna, który wypadł z paszczy maszyny i leżał zsiniały na podłodze.

Próbowałem go przywrócić do życia, ale nie jestem biosem. Nie udało mi się.

Klnąc i dysząc przez zaciśnięte zęby, zaniósłem ciało do zsypu. Wiedziałem, że powinienem go oddać do recyklingu, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nawet nie wiedziałem, jak nazywał się ten facet. Leżał martwy w moich ramionach, i to przeze mnie, bo nie było mnie przy nim, gdy potrzebował pomocy.

Poczułem w sercu ostry ból, wywołany poczuciem winy. Musiałem jednak wziąć się w garść, więc przypomniałem sobie, że tego dnia zginęły już miliony ludzi i na tym nie koniec.

Miałem już po dziurki w nosie całego tego syfu i nie chciałem na dokładkę upychać tego gościa w rębaku. W przeszłości zdarzało mi się słyszeć tę bzyczącą maszynę, wykonującą swoją ponurą pracę i teraz nie byłbym w stanie tego znieść. Byłem u kresu wytrzymałości.

– Ktoś inny powinien tu zapierdalać, nie ja! – oznajmiłem głośno. Podszedłem zdecydowanym krokiem do konsoli. Przemknąłem przez interfejs dotykowy, przewijając listy biosów. Do ciężkiej cholery, ta maszynka nie będzie sama decydować, kogo wyrzuci następnym razem! To ja zamierzałem dokonać wyboru.

Tyle trupów! Prawie nie byłem w stanie w to uwierzyć. Jeszcze nigdy podczas mojej służby w Varusie nie byłem świadkiem takiej katastrofy. Wiedziałem, że ta lista zawiera całe dwa legiony nazwisk

i sam ten fakt był zbyt ponury, aby nad nim rozmyślać. Ożywianie tych ludzi zajęłoby kilka tygodni.

Przerzucając nazwiska biosów, z automatu wybrałem żołnierzy Legionu Varus. Germanica sprezentowała mi Srebrnobrodego, więc niech spadają na drzewo. Uznałem, że mogą odstać swoje w bardzo długiej kolejce.

Jedno z nazwisk rzuciło mi się w oczy. Anne Grant.

Już miałem ją wybrać, jednak się powstrzymałem. Znienawidziłaby mnie za to. Tysiące ludzi do wskrzeszenia? Dni wypełnione pracą bez wytchnienia? Czemu miałbym jej to robić? Postanowiłem, że dam biednej dziewczynie odpocząć.

Zmieniłem plan i przewijałem dalej. Znalazłem kogoś innego – kogoś, z kim nie miałem przyjemności już od dawna. Centurion Thompson.

Dawno temu, podczas mojej pierwszej kampanii na Świecie Stali, ona i ja nie mogliśmy się dogadać. Była bioską i oficerem. Starła się jak mogła, żeby posłać mnie na permy, a ja, mimo jej najlepszych chęci, kurczowo trzymałem się życia. Uśmiechając się, stuknąłem jej nazwisko.

Czy był ktoś, kto bardziej zasługiwał na przykucie do tej maszyny jak niewolnik niż moja najmniej ulubiona czołowa bioska? Nie przychodził mi na myśl żaden lepszy kandydat.

Następnie napełniłem zbiorniki i pogałęm odnaleźć Galię... to znaczy panią imperator. Nadal stała w sterowni dział. Widok za oknami uległ zmianie. Nie wpatrywaliśmy się już w planetę. Zamiast tego obróciliśmy się i oglądaliśmy stację.

Potężna konstrukcja wyglądała, jakby działała normalnie, ale potem dostrzegłem gaz ulatujący z dolnej części. Wyglądał jak strumień pary wystrzelony w kosmos.

– Co to takiego? – zapytałem.

Turov patrzyła wciąż w tym samym kierunku, nie spojrzała na mnie.

– Początkowo myślałam, że dolny koniec stacji zetknął się z atmosferą. Ale nie sądzę, żeby o to chodziło. Ona traci powietrze. Przegrzewa się. Teraz, kiedy dryfuje, słońce oświecila ją zbyt mocno.

– Zakładam, że udało się pani skontaktować ze Skrullami?

– Owszem. Monitorują stację, ale bez „ingerencji”, jak to ujęli. Jak to możliwe, że kosmiczna załoga obserwuje katastrofę z taką obojętnością i czeka w milczeniu na śmierć milionów, nie zamierzając nawet kiwnąć palcem?

Nie odpowiedziałem. Oboje znaleźliśmy prawdę. Przez politykę Imperium takie chore poziomy ostrożności stały się koniecznością dla wszystkich cywilizacji na granicy. Każdego dnia musieliśmy działać jak w bezdusznym mechanizmie. Naruszenie prawa galaktycznego, nawet w jak najlepszej wierze, mogło ściągnąć zagładę na cały gatunek. Sytuacje takie jak ta ukazywały nam Imperium od najgorszej strony.

– Wskrzeszam teraz bioskę – oznajmiłem. – Mam też pewien pomysł. O ile pamiętam, Claver powiedział, że wystrzelił kilka modułów pełnych żołnierzy Germaniki.

Odwróciła się do mnie.

– Rzeczywiście, Skrullowie powiedzieli mi o tym. Co za psychopata! Skazał swoich ludzi na taką śmierć...

– Wiadomo – przerwałem jej. – A jeżeli jeszcze orbitują? Może udałoby nam się odzyskać jeden czy dwa moduły?

Turov się rozpromieniła.

– Doskonała myśl, specjalisto! – pochwaliła mnie.

Skontaktowała się ze Skrullami i po chwili okręt wykonał obrót. Mknęliśmy nad chmurami, a mały obiekt przypominający pudełko zaczął się przybliżać.

Turov patrzyła na swojego stuka, jednocześnie przysłuchując się Skrullom.

– Został tylko jeden – powiedziała mi.

Tylko jeden moduł. Z setką legionistów Germaniki. Nie chciałem być wybredny w takiej chwili, ale żywiłem nadzieję, że żołnierze na pokładzie tego modułu mnie nie rozpoznają. Mogliby przedstawić Turov inną wersję wydarzeń, jeśli chodzi o moje interakcje z Claverem.

– Muszę znowu sprawdzić wskrzeszarkę... jeśli można – powiedziałem.

– Jasne. Leć.

Po raz kolejny pobiegłem przez korytarze. Tym razem udało mi się wrócić do maszyny, zanim się otworzyła. Krzywiąc się

i marszcząc nos, przetrwałem nawałnicę płynów, gdy machina wreszcie rozdziawiła paszczę.

Wyślizgnęło się z niej ciało kobiety. Była szczupła i miała napiętą twarz, ale nie brakowało jej energii. Kaszłała i dyszała. W oczach miała gniew.

– Wszystko z tobą w porządku – oznajmiłem, pomagając jej przejść na stół.

– Zostaw mnie! – wydusiła, niemrawo uderzając mnie po rękach.

Uśmiechnąłem się. Ona akurat nie potrzebowała defibrylacji ani żadnego innego zabiegu, który mógłby być dla mnie jeszcze większą zagadką. Była gotowa do akcji zaraz po wyjściu z pieca.

– Centurion Thompson – powiedziałem – niniejszym oświadczam, że mamy dobry odrost.

Rozejrzała się, oszołomiona, a jednocześnie rozdrażniona.

– Co to ma znaczyć? – zapytała. – James McGill? Co ty, u licha, robisz w pokoju wskrzeszeń? Gdzie są biosi?

– Ja za nich robię – odparłem. – Przykro mi, że panią rozczarowałem.

– Nie rozumiem – powiedziała, tocząc wokół zmrużonymi oczami.

– To nawet nie jest właściwy moduł. Jesteśmy na stacji?

– Nie – zaprzeczyłem. – Na „Minotaurze”. Straciliśmy kontakt ze stacją. Obawiamy się, że legion mógł zostać unicestwiony.

Jej spojrzenie stało się jakby nieobecne, dalekie od skupienia. Wiedziałem, co się dzieje. Przeżywała na nowo okoliczności swojej śmierci.

– Już pamiętam. Myślałam, że to sen. Wylewali się chmarami z tuneli metra i szybów wentylacyjnych. Kiedy z nimi walczyliśmy, kolejni napierali ulicami i podchodzili pod drzwi frontowe. Obserwowałam monitory. Nasi żołnierze wybijali ich tysiącami, ale ich wcale nie ubywało.

– Lepiej teraz już tego nie roztrząsać – poradziłem. – Proszę o tym myśleć jako o śnie.

Ponownie zwróciła głowę w moją stronę, ale nadal patrzyła niewidzącym wzrokiem. Przed oczami wciąż miała inne miejsce i inny czas.

– Wspinali się po ścianach – ciągnęła. – Rozrywali ludzi na strzępy gołymi rękami. Pracowałam na niebieskim pokładzie. W końcu

wdarli się do środka i wszystkich nas pozabijali. Mieli karabiny... nasze karabiny. Po drodze okradali trupy, a my nie mogliśmy ich powstrzymać. McGill, musisz...

Mówiła coraz głośniej i otwierała oczy coraz szerzej. Jej oddech przeszedł w hiperwentylację.

Wymierzyłem jej delikatny policzek. Wzdrygnęła się i warknęła:

– Podam cię za to do raportu!

– Pani centurion – powiedziałem, starając się brzmieć rozsądnie – ma pani wstrząs pamięciowy.

– Wcale nie! – krzyknęła. – Dobrze się czuję! Znajdź mi jakieś ubrania!

Zrobiłem, jak kazała. Zaczęła się wycierać ręcznikiem, a jakąś sekundę później przywaliła tyłkiem w podłogę. Chwyciłem ją za łokieć, ale zareagowałem zbyt wolno.

– Pozwoliłeś, żebym się przewróciła – mruknęła słabym głosem.

Marszcząc czoło, mignąłem jej w oczy miernikiem. Żrenice trochę za mocno się rozszerzały, ale urządzenie nie zarejestrowało żadnego urazu mózgu.

– Ile czasu minęło od pani ostatniego wskrzeszenia, centurion Thompson? – zapytałem.

– Ja... nie wiem. Kilka lat.

Pokiwałem głową i pomogłem jej stanąć.

– Proszę spróbować się pozbierać. Po prostu doświadcza pani tego, co każdy żołnierz wracający do życia po kiepskim zgonie. Dla takich jak ja to normalka. Rutynowa sprawa. Niech się pani z tego otrząśnie.

Próbowała. Prawie zrobiło mi się jej żal mimo naszej burzliwej przeszłości. Oparła łokcie na stole i przygarbiła się.

– Możesz mi podać wodę? – zapytała.

Spełniłem jej prośbę, a potem stuknąłem we wskrzeszarkę. Czas uciekał. Wybrałem starszego biosa z listy. Podoficera, którego na pewno znała Thompson i z którym była w stanie pracować. Potrzebowała asystenta.

– Już zapomniałam... – zaczęła, sącząc wodę – zapomniałam, jakie to parszywe doświadczenie. Pytałeś, kiedy ostatnio mnie wskrzeszano?

– Owszem, proszę pani.

Obróciła się i spojrzała na mnie. Odsłoniła zęby i wskazała mnie palcem w oskarżycielskim geście.

– Nie pamiętasz? To przez ciebie! Ożywiono mnie po tym, jak mnie zamordowałeś!

Poczułem lekkie ukłucie zażenowania. Od tego zdarzenia minęło już kilka lat, dlatego o tym nie pomyślałem. Ze wszystkich sił starałem się ukryć zakłopotanie i wzruszyłem ramionami.

– Było, minęło. Tamto niefortunne nieporozumienie to już przeszłość.

– Może dla ciebie – odparła. – Tak w ogóle, po jaką cholere wybrałeś mnie do wskrzeszenia?

– Potrzebowałem fachowca. Jestem ciężkozbrojnym piechurem, który raczej odbiera życie, i to hurtowo, zamiast je ratować. Nie mam kompetencji do obsługi tego systemu, więc szukałem kogoś, kto na pewno się do tego nadaje.

Thompson zamrugła.

– Ale ja nie harowałam w takich salach już... zresztą nieważne.

Wyglądało na to, że wzięła się w garść. Podczas pierwszych chwil w nowym ciele ludzie często zachowywali się jak trzeźwiejący pijacy albo lunatycy. Jednak widziałem, że centurion szybko dochodzi do siebie.

Wyprostowała się i skrzyżowała ramiona. Była już ubrana i wyglądała niemal normalnie, jeśli nie liczyć mokrych i sklejonych włosów.

– W porządku, specjalisto – rzekła. – Z pewnością należą ci się podziękowania za zaufanie, jakim mnie obdarzyłeś. Nie zawiodę Legionu Varus. A teraz, z łaski swojej, wypad z mojej pracowni. Mam robotę.

Posłałem jej nerwowy uśmieszek i wyszedłem. Gdy już znalazłem się na korytarzu, poczułem się na tyle swobodnie, by wyszczerzyć się od ucha do ucha. Uśmiechałem się do siebie, pewien, że na tym okręcie jest przynajmniej jeden oficer, który dobrze wykona to, za co mu płacą.

– McGill? – zaskrzeczał głos w mojej słuchawce. To była Turov. Mówiła na wyższych rejestrach niż jeszcze parę dni wcześniej, dlatego prawie jej nie rozpoznałem.

– Słucham, pani imperator.

– Zejdź do hangaru. Pousuwaj z drogi co się da. Moduł nadlatuje.
Zmarszczyłem brwi.

– Nie bardzo rozumiem, sir.

– Chodzi o to, że nie będzie to dokowanie idealne, specjalisto. Moduł koziółkuje, a my nie mamy czasu na zabawy. Wciągniemy go do hangaru. Miejmy nadzieję, że ktoś to przeżyje.

– Pani imperator, nie zalecałbym takiego postępowania – ostrzegłem, spiesząc tunelami i korytarzami w stronę hangaru. – Może lepiej będzie pozwolić, żeby moduł spłonął, a potem wskrzesić żołnierzy.

– Tak bym właśnie normalnie zrobiła – odparła. – Ale potrzebujemy tyle karabinów, ile się da.

Jej głos znowu się zmienił i zabrzmiał mniej profesjonalnie.

– McGill – ciągnęła – w naszą stronę lecą ze stacji jakieś jednostki. Nie odpowiadają na wezwania, a Skrullowie mówią, że są na kursie kolizyjnym.

Moje myśli pędziły prawie tak szybko jak moje stopy. Żałowałem, że zdjąłem pancerz, kiedy pracowałem w laboratorium biosów, ale nie miałem już czasu, żeby założyć go z powrotem. Turov chyba zwariowała, skoro porywała się na coś takiego.

– Ależ, pani imperator... to mogą być grupy abordażowe. Nie możemy ich wpuścić na „Minotaura”.

– Zmierzają prosto w naszą stronę i teraz są już zbyt blisko, żebyśmy mogli użyć dział na burcie. Mamy jakiś arsenał, ale za cholerę nie będę go w stanie użyć. Nie mam kodów. Jesteśmy bezbronni, James.

– Rozumiem. Co mam robić w hangarze?

– Zamierzam wyłączyć zaporę i opróżnić hangar z powietrza. Będiesz mieć do czynienia z zabójczą próżnią. Przyjąłeś?

– Tak jest! – potwierdziłem, skręcając po raz ostatni i zasuważąc przyłbicę. Miałem na sobie lekki skafander i niewiele więcej. Turov miała nienaganne wyczucie czasu.

– Idź tam – poleciła – i odsuń tyle małych statków, ile zdołasz. Liczę na to, że kiedy moduł wpadnie do hangaru, nie wyrządzi zbyt wielu szkód.

– No tak... – odpowiedziałem, zdjęty lękiem. Myślałem tylko o tym, jak szalone były jej rozkazy. Gdyby moduł rąbnął prosto w pokład,

zabiłby mnie i zmiażdżył wszystko na swojej drodze.

– Masz cztery minuty, McGill. Gazu!

– To sporo czasu, pani imperator. Proszę się o nic nie martwić!

Moduł, który doścignęliśmy, rzeczywiście się obracał, ale w dość spokojnym tempie. Według mnie wykonywał pełny obrót mniej więcej raz na minutę.

Zadanie, które miałem wykonać w hangarze, było, rzecz jasna, niemożliwe. Ale i tak mi się udało. Jednak nie zdołałbym niczego osiągnąć, gdyby nie klucz Galaktyków. Schowałem go do kieszeni tuż po tym, jak zastrzeliłem Clavera, ale od tamtej chwili go nie używałem.

Wszystko wskazywało na to, że mam szansę, żeby trochę poczarować. Biegałem od statku do statku, wchodziłem przez właz po uderzeniu kluczem Galaktyków w kadłub i ustawiałem jeden po drugim na protokół autopilota w trybie rozproszenia.

Nie jestem pilotem, ale te pinasy i holowniki nie zostały zbudowane dla jakichś magików. Były to standardowe, małe jednostki kosmiczne, wyprodukowane w obrębie Rubieży 921 i zaprojektowane tak, by mógł je obsługiwać dowolny humanoid. Większość tych maszyn akceptowała komendy głosowe, a dzięki kluczowi Galaktyków byłem w stanie szybko przesyłać polecenia.

Dokonałem ustawień na dwóch małych statkach i zobaczyłem, jak umykają w kosmos. Wtedy skierowałem się do trzeciej jednostki, choć wiedziałem, że nie zdążę. Po prostu nie miałem już czasu.

Moduł majaczył na zewnątrz. Zbliżał się stosunkowo niespiesznie, ale obiekt o takiej masie mógł zmiażdżyć człowieka, nawet poruszając się w ślimaczym tempie.

Zrobiłem w tył zwrot i pobiegłem do śluzy powietrznej. Prawie udało mi się do niej dotrzeć, co zawdzięczałem długim nogom i nieprzeciętnie silnemu instynktowi przetrwania.

Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, co miała zrobić Turov w ostatniej sekundzie. Dezaktywowała pole ochronne, a powietrze uciekło w przestrzeń kosmiczną. Zostałem pociągnięty do tyłu i chcąc szybko rozpląszczyć się na ziemi, rymnąłem na płyty pokładu tak ostro, że aż pękła mi zasłona hełmu. Ledwie zdołałem

utrzymać i zabezpieczyć klucz Galaktyków. Całe szczęście, że pamiętałem o podwyższeniu ciśnienia w skafandrze przed wejściem do hangaru.

Moduł przefrunął tuż nade mną, blokując wszystko na kilka długich sekund. Jakby ktoś rzucił we mnie domem! Usiłowałem trzymać się przy podłodze, ale nie przestawałem sunąć w otchłań kosmosu, wysysany razem z atmosferą.

Jakimś cudem udało mi się uniknąć zmiżdżenia. Moduł miał trochę mniej szczęścia – najpierw zarył w pinasę, która rozbłysła pomarańczowym płomieniem w bezgłośnym wybuchu. Moduł zatrzymał się dopiero na najdalszej ścianie hangaru, po czym pękł i zaczął przyskać wokół gazem.

– Turov! – zawołałem. – Moduł jest już w środku, ale został uszkodzony! Proszę ponownie aktywować pole!

Zrobiła to, ale dla mnie było za późno. Już minąłem zapórę i wirowałem w przestrzeni kosmicznej.

– Jak twoja sytuacja, McGill? – zapytała imperator.

– Przy spuszczeniu powietrza zostałem wypchnięty z „Minotaura” – zameldowałem. – Czy da pani radę zorganizować ratunek?

– Nie. Schodzę, żeby pomóc żołnierzom. Potrzebuję ludzi gotowych do walki, zanim dotrą tu najeźdźcy.

– Przyjąłem.

– Jesteś zdany na siebie, McGill. Przykro mi.

– Nie ma problemu. Rozumiem.

Zakończyła połączenie. Przez kilka sekund, które wydawały mi się wiecznością, sądziłem, że zafundowałem sobie kolejny zgon. Obracałem się łagodnie, kierując się w stronę planety, rozciągającej się pode mną jak wielki dysk.

Ktoś inny na moim miejscu mógłby od razu rozpiąć skafander, uznając, że lepsze to, niż zostać ugotowanym na śmierć godzinę później, podczas wchodzenia w atmosferę. Ja jednak nie chciałem się poddać. Choćby dlatego, że na wskreszenie mógłbym sobie trochę poczekać – być może bezowocnie. Gdyby garstka żołnierzy na pokładzie „Minotaura” nie zdołała odeprzeć napastników, wszystko byłoby stracone.

W pierwszej kolejności musiałem zapanować nad obrotami. Wykorzystałem do tego tracha, nadal przewieszzonego przez moje

ramię. Ustawiłem karabin na tryb jednostrzałowy i wypalałem z niego w kierunku, w którym się kręciłem, aż w końcu prawie się zatrzymałem.

Wykorzystując każdy trik, jaki pamiętałem ze szkolenia w stanie nieważkości, zmusiłem się do obrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zacząłem strzelać w stronę planety, aby zwolnić.

Na szczęście trach miał dość mocny odrzut. Udało mi się wykorzystać uwolnioną energię do skontrowania i odwrócenia kierunku mojego ruchu. Najbardziej obawiałem się tego, czy Skrullowie nie postanowią czasem...

– Jasny gwint! – krzyknąłem.

Silniki „Minotaura” rozjarzyły się na niebiesko. Próbowali uciekać i przez to zostawili mnie w tyle.

Rozluźniłem się, godząc się z losem, jednak po chwili moją uwagę przyciągnęły srebrzyste błyski w pobliżu. Pomiędzy miejscem, w którym się znajdowałem, a powierzchnią planety małe promy i pinasy nieprzyjaciela wyłaniały się z mroku jak zjawy. Wszystkie były jednostkami użytkowymi – holownikami i tak dalej. Żaden nie był uzbrojony. Mimo to ścigały „Minotaura” i były od niego nieskończenie bardziej zwrotne.

Zdając sobie sprawę, że to moja ostatnia i jedyna nadzieja, zwróciłem tracha w przestrzeń i zacząłem strzelać. Nabrałem rozpędu i poleciałem w dół, zbliżając się do klucza małych stateczków. Zaczęły rosnać w oczach i...

Bach! Zderzyłem się z czymś. Poczułem się, jakby rozjechał mnie wieloryb. Przywaliłem w statek i uchwyciłem się elementu wyglądającego na chwytak – majtając się na wszystkie strony, bez jakichkolwiek zabezpieczeń.

Byłem oszołomiony i z trudem mogłem się skupić na tym, by trzymać uchwyt.

Kiedy odzyskałem oddech, zacząłem kląć i szamotać się, aż w końcu znalazłem pasy zabezpieczające i przewody, którymi mogłem się obwiązać. Już za chwilę miałem...

Nagle zaczęło mną trząść tak, że zrobiło mi się niedobrze. Wydawało się to nie mieć końca. Wszechświat wirował, a ja walczyłem ze sobą, żeby nie zwymiotować. Kiedy już odzyskałem

kontrolę, oślepił mnie blask silników. Holownik, który złapałem na stopa, okręcił się i zaczął zwalniać.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Zabezpieczyłem się wszystkimi dostępnymi środkami, ale nic nie mogło całkowicie zamortyzować nadchodzącego zderzenia.

Holownik wrył się w „Minotaura” z niską prędkością, ale to wystarczyło. Chwytaś, którego się trzymałem, pomknął do przodu (tym razem już włączony), zaciskając się na kadłubie. Wokół mnie pół tuzina jego braci robiło to samo.

Dokonaliśmy abordażu „Minotaura”, a ja byłem pierwszym z najeźdźców, który dotknął kadłuba.

Czołgając się ostrożnie, pełzłem po ramieniu chwytaka. Dziób holownika zanurzył się w delikatnym punkcie kadłuba. „Minotaur” był opancerzony tylko na dziobie, w okolicach burt. Holownik przywalił w rufę.

Byłem pewien, że nieprzyjaciele już wylewają się na pokład okrętu. Z jakiegoś powodu ostro mnie to wkurzało. Zaczynali mnie już męczyć ci wszyscy porąbani Tau, a teraz, kiedy postanowili opuścić stację i wdrzeć się ze swoimi bojowymi klimatami na coś, co uznawałem za swoją ziemię... cóż, powiedzmy, że moja cierpliwość się wyczerpała.

Zamiast wczołgać się na kadłub „Minotaura”, poleciałem w stronę silników holownika. Nie był to okręt wojenny. Nie miał pancerza, zabezpieczeń... Nie byłem nawet pewien, czy załoganci są w stanie dostrzec mnie za pomocą zewnętrznych kamer. A nawet gdyby, to nie wiedziałem, czy byliby tym jakoś szczególnie zainteresowani.

Powinni jednak się przejmować. Stuknąłem kluczem Galaktyków włącz z samego tyłu, otwierając go na siłę. Oba końce śluzy powietrznej stały teraz otworem, gdy każdy możliwy kod zabezpieczający został złamany.

Strumień gazu niemal wypchnął mnie z powrotem w kosmos. Na szczęście spodziewałem się tego i zdołałem się utrzymać.

W ciągu zaledwie trzech sekund statek stracił ciśnienie. Ciała członków załogi wirowały wokół mnie i wylatywały w otchłań jak wystrzeliwane z armaty. Kosmici obracali się, skręcali i ginęli. Nie trwało to zbyt długo.

Wgramoliłem się do środka przez służę na rufie i trąciłem szczątki, które znalazłem wewnątrz. Dwaj Tau mieli skafandry, które pewnie ukradli innym. Żyli, ale byli skołowani.

Zanim udało im się pozbierać myśli na tyle, żeby podebrać giwerę któremuś z uduszonych towarzyszy, zginęli ostrzelani gradem pocisków z tracha.

Kiedy drugi znieruchomiał, mój magazynek był pusty. Rzuciłem karabin i czołgałem się po statku, aż znalazłem jeden z miotaczy błyskawic, za którymi Tau tak przepadali. Sprawdziłem wskaźniki. O ile się orientowałem, broń była w pełni naładowana.

Uśmiechając się ponuro, przedarłem się przez tuzin sztywniejących trupów w pozbawione powietrza przejście za dziobem holownika.

Wróciłem na „Minotaura” uzbrojony i gotowy na więcej!

„Minotaura” z całą pewnością nie zbudowano z myślą o odpieraniu desantów z małych statków. Tego typu działania były zapewne nie do pomyślenia dla projektantów jakiegokolwiek imperialnego okrętu wojennego. W końcu Imperium nie miało równych sobie przeciwników. Wobec braku nieprzyjaciół z zewnątrz nie istniało zagrożenie, przed którym należało się zabezpieczać. Okręty wojenne były przeznaczone do transportu żołnierzy, zastraszania bezradnych populacji różnych planet, ewentualnie do uczestnictwa (jako część potężnej armady) w bitwie z rywalem z innego Układu Centralnego.

Ta swoista bezbronność zawsze mnie zastanawiała, ale teraz chyba zacząłem to rozumieć. Projektanci z Układów Centralnych nigdy nie postrzegali populacji takich jak te zamieszkujące Rubież 921 jako rzeczywistego zagrożenia. Bardziej obawiali się siebie nawzajem. Dlatego ich okręty były budowane tak, by tworzyć ogromne formacje, z działami burtowymi wycelowanymi w równie imponującą nieprzyjacielską flotę kosmiczną.

Jeśli o mnie chodzi, od samego początku miałem wrażenie, że sojusz między Układami Centralnymi był pełen napięć. Nie został podyktowany bratnią miłością. Układy współpracowały ze sobą, bo im się to opłacało.

Dlaczego teraz wszystko zaczęło się sypać? Nie sądzę, by ktokolwiek z ludzi znał prawdę. Być może ktoś, kto żył na krawędzi i każdego dnia miał do czynienia z obcymi – taki Claver na przykład – mógł wiedzieć więcej niż większość. Trochę nawet żałowałem, że nie miałem szansy zapytać o to Srebrnobrodego. Z akcentem na „trochę”.

Moją pierwszą misją po powrocie na pokład „Minotaura” było przedostanie się do hangaru. Monitorując taktyczny obraz ruchu za pomocą stuka, wiedziałem, że na statku działają już legioniści i że trwa ostra walka. Nie kontaktowałem się z żołnierzami, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi nieprzyjaciela przez nadawanie aktywnego sygnału. Byłem sam i stanowiłem łatwy cel dla błakających się po

pokładzie grup napastników. Nie miałem gwarancji, że drugi raz zdobędę nad nimi przewagę.

W drodze do hangaru użyłem świeżo zdobytej broni tylko dwukrotnie. Pierwszy raz po to, aby spopielić Tau strażującego w korytarzu. Prawie zrobiło mi się go żal, gdy palił mu się łeb. Mogłem sobie tylko wyobrażać, ile wysiłku włożył w to, żeby zająć tak daleko – wyleciał w kosmos i przebił się przez kadłub ogromnego okrętu imperialnego, a ja zaszedłem go od tyłu i załatwiłem bronią używaną przez jego zbuntowanych pobratymców.

Po raz drugi użyłem miotacza, żeby wyważyć właz, którego strzegł wartownik. Doszedłem do wniosku, że nie czas na subtelność. Mogliśmy utrzymać albo utracić okręt w ciągu kolejnych kilku minut i jeśli miałem w jakikolwiek sposób wpłynąć na ostateczny wynik, musiałem natychmiast wrócić do gry.

Właz opadł z głośnym brzękiem, co było dla mnie istotne. Gdybym nie usłyszał żadnego odgłosu, znaczyłoby to, że hangar jest nadal zdekompresowany. Był jednak wypełniony powietrzem... i żołnierzami.

Kiedy przeszedłem przez dymiący otwór, trwała zacięta bitwa. Jedna grupa składała się z legionistów Germaniki. Wyczolگیiwali się przez wyrwy modułu, który leżał do góry dnem, oparty o tylną przegrodę hangaru. Pod modułem znajdowała się zmiażdżona pinasa.

Dwa nieprzyjacielskie holowniki przeniknęły przez pole ochronne i zaczęli się z nich wysypywać napastnicy. Połyskiwali lawendową poświatą i byli lepiej uzbrojeni niż motłoch, z którym miałem wcześniej do czynienia. Oprócz tego mieli co najmniej dwukrotną przewagę liczebną.

Żołnierze Germaniki, choć byli niedostatecznie uzbrojeni i przyparci do muru, nie dawali za wygraną. Nadal wyczolگیiwali się z popękanego modułu, otwierając ogień zaporowy i szukając schronienia. Byli lepiej wyszkoleni i bardziej zdyscyplinowani, ale wielu z nich dołączało do walki już z obrażeniami – połamanyimi żebrami i tak dalej. Wypełzali z kontenera, warcząc z bólu.

Z mojego stanowiska dostrzegałem dla siebie jedną przewagę – byłem za linią wroga. Napastnicy ustawili się w półkolu i ostrzeliwali nadchodzących legionistów, a ja znajdowałem się przy jednym

końcu tej formacji. Widziałem tylko plecy rebeliantów, siejących spustoszenie. Niektórzy z nich byli uzbrojeni tak jak ja, ale nie było ich wielu. Większość najeźdźców miała trachy i karabinki laserowe, które niewątpliwie ukradli naszym żołnierzom.

Ktoś inny mógłby się wahać, ale ja po prostu taki nie byłem. W widoku ludzi ginących z rąk obcych jest zawsze coś, co działa na mnie jak płachta na byka. Poszedłem naprzód, pewny, że stanowią dla nich cel najmniejszy z możliwych.

Powaliłem kilkunastu, uderzając ich od tyłu śmiertelnoścą wiązką energii. Nie miałem pojęcia, jak się obsługuje mój nowy oręż, więc poszedłem na całość. Siekłem ich nieprzerwanym strumieniem prądu, aż w końcu pozostali przy życiu odwrócili się i mnie zobaczyli.

Wpadli w szal. Z głośnym wyciem przypuścili szarżę ku mnie, nie przestając strzelać. Wszędzie wokół błyskały i iskrzyły pociski, a tymczasem moja broń wysiadła. Prawdopodobnie usmażyłem ją, naparzając nieprzerwaną wiązką energii przez tak długi czas.

Pochyliłem się i szybko wycofałem do korytarza za moimi plecami. Napastnicy dotarli do otworu po jakichś trzech sekundach i posłali za mną grad maleńkich pocisków z terkoczących trachów.

Na szczęście do tego czasu zdążyłem już zniknąć za zakrętem. Na nieszczęście goniło mnie tyle pocisków, że parę razy oberwałem rykoszetem. Trzy metalowe igielki przebiły się przez mój lekki skafander. Nie byłem pewien, czy dostałem seriami z trachów, czy odłamkami ze ścian, ale to nie miało prawie żadnego znaczenia. Moja prawa noga była w nie najlepszym stanie. Krew wypływała mi z okolic nerek i ściekała do butów.

Zapędzony w kozi róg, odwróciłem się i potrząsałem miotaczem piorunów. Nie widziałem na nim wskaźnika ciepła ani miernika energii – a przynajmniej takiego, który mógłbym odczytać. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co jest nie tak z tym urządzeniem.

– Szlag... – mruknąłem. Zdając sobie sprawę, że nie zdołam umknąć pościgowi, potruchtałem z powrotem tam, skąd przybiegłem. Wyciągnąłem nóż i postanowiłem, że spróbuję załatwić pierwszego Tau, który wychynie zza zakrętu. Jeśli będę miał szczęście – i to wielkie szczęście – to może uda mi się dorwać jego broń i wrócić do walki.

Mój plan, i tak nieskładny i desperacki, w ogóle się nie powiódł. Poruszałem się zbyt wolno. Zamiast jednego nieprzyjaciela wyszło dwóch. Dotarli do zakrętu, zanim zdążyłem do nich dobiec na długość noża.

Odruchowo nacisnąłem spust miotacza błyskawic. Ku mojemu zaskoczeniu wyemitował krótką wiązkę energii. Najwyraźniej to cacko zdołało jeszcze wydać ostatnie tchnienie.

Dwaj napastnicy upadli, spaleni na żużel, zanim zdążyli odpowiedzieć ogniem z trachów. Pokuśtykałem bliżej i nasłuchiwałem.

Cisza jak makiem zasiał.

Marszcząc brwi, z wahaniem upuściłem miotacz piorunów i podniosłem jeden z trachów. Czułem się pewniej, mając w rękę broń, którą potrafiłem obsługiwać.

Gdy w końcu przestałem się cykać na tyle, żeby wyjrzeć za róg, stanąłem twarzą w twarz z innym człowiekiem, uzbrojonym tak samo jak ja.

Mało brakowało, a byśmy się nawzajem zastrzelili. Jednak po chwili napięcia zdjęliśmy palce ze spustów i wyszczerzyliśmy do siebie zęby.

– Germanica? – zapytałem stojącego przede mną rekruta.

– No – odparł. – A ty Varus?

– Jasne! Co się dzieje w hangarze?

– Załatwiliśmy wszystkich. Dostali cios w plecy, nie wiadomo skąd, a my tymczasem daliśmy radę wyjść z tamtego wraku i zająć dobre pozycje do strzału. Uporaliśmy się z nimi w try miga. To zwykli amatorzy.

Pokiwałem głową, widząc, że dzieciak wręcz puchnie z dumy. Tak właśnie wysławiała się większość legionistów Germaniki. Wszyscy byli twardzi jak stal i przebiegli jak lisy.

– Na okręcie jest więcej napastników – poinformowałem go. – Muszę pomówić z twoim dowódcą. Trzeba też będzie znaleźć imperator.

– Imperator? – zapytał chłopak, marszcząc brwi. – Mówisz, że jest na pokładzie?

– Sam ją wskrzesiłem – powiedziałem, na co mój rozmówca spochmurniał. Widziałem, że mi nie dowierza.

– Niech ci będzie – stwierdził. – Tędy, Varusie.

Poszedłem za nim, wlokąc za sobą zranioną nogę. Mój towarzysz podał mi plaster z neoskórą, który z wdzięcznością nałożyłem na ranę. Dzięki temu przynajmniej zatamowałem krwotok i trochę złagodziłem ból.

Na pobojuwisku w hangarze spotkałem się z kobietą, która była centurionem Germaniki.

– To bezprecedensowa sytuacja – powtarzała. – Ilu ludzi straciliśmy?

– Sześćdziesięciu jeden, sir – poinformował ją weteran. – Większość przy pierwszym uderzeniu. Połowa ocalałych jest ranna.

– Nadal nie mamy łączności z dyspozytornią? A może udało się połączyć bezpośrednio ze sztabem?

– Nic z tego.

– To niedopuszczalne – stwierdziła centurion. Przynajmniej się angażowała. Pomagała w przenoszeniu rannych do modułu, gdzie ustawiono punkt sanitarny, co nie przeszkadzało jej w utyskiwaniu na niewiarygodny charakter sytuacji.

Co do mnie, to odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem jej twarz. Nie znałem tej kobiety. Nie było szans, żeby dała cynk pani imperator ani komukolwiek innemu, jeśli chodzi o moje konszachty z Claverem.

– Pani centurion? – zagadnąłem ją.

Spojrzała na mnie, jakbym był kawałem zgniłego mięcha.

– Varus? Czego tu szukasz?

– To ja zorganizowałem pani wskrzeszenie – oświadczyłem.

– Doprawdy? – zapytała, oglądając się i biorąc się pod boki.

Była wysoka i wąska w talii. Miała małe oczka o podejrzliwym spojrzeniu. Była starsza niż większość centurionów w Varusie, ale nie znaczyło to, że jest mięczakiem. Odniosłem raczej wrażenie, że bardziej ciągnęło ją do wojaczki niż zachowywania ostrożności.

– Jestem centurion Leeza – przedstawiła się. Mówiła z obcym, lekko brytyjskim akcentem. – Na mocy regulaminu postępowania Hegemonii niniejszym uznaję cię za nabytek do celów bojowych. Jako taki będziesz mi podlegał. Czy masz z tym jakiś problem, specjalisto?

– Nie, sir – zapewniłem. – Jeśli tylko w pobliżu nie będzie oficerów mojego legionu.

– Znakomicie. Nazwisko?

– Specjalista James McGill, sir!

– McGill... Gdzieś słyszałam już to nazwisko. Tylko gdzie?

Wzruszyłem ramionami.

– Trudno powiedzieć. Może pani imperator coś o mnie wspominała?

Wzmianka o imperator wywołała natychmiastową reakcję, na którą liczyłem. Centurion całkiem zapomniała wypytać mnie o moją historię.

– Widziałeś się z imperator? Ona żyje?

– Tak, sir. I o ile mi wiadomo, nadal tutaj dowodzi. Ostatni raz widziałem ją w sterowni dział.

Leeza spochmurniała.

– Dlaczego jeszcze się ze mną nie skontaktowała? Ani przez stuka, ani przez lokalny kanał taktyczny?

Serce mi zamarło. Turov nie miała w zwyczaju zbyt długo milczeć. Jeśli się nie odzywała, najprawdopodobniej była martwa. Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny nie podobała mi się ta myśl.

– Proponuję, żebyśmy sprawdzili, co się z nią dzieje, proszę pani – powiedziałem.

Leeza rozejrzała się wokół i wypatrzyła rekruta stojącego obok mnie.

– Pójdiesz z tym tutaj, Chisholmem – poleciła. – Złóżcie mi meldunek, gdy tylko dowiecie się czegoś o jej sytuacji.

– Rozkaz! – odparłem.

Odeszliśmy w pośpiechu. Nadal kulałem, ale i tak było ze mną lepiej niż wcześniej. Potrzebowałem kilku sekund, żeby dorwać się do apteczek dwóch ocalałych biosów z Germaniki, którzy dali mi wszystko, czego potrzebowałem.

Udało nam się ominąć dwie strzelaniny, ale złapała nas trzecia, gdy zbliżaliśmy się do centrum dowodzenia. Stało się tak dlatego, że walka wrzała pod samymi drzwiami pomieszczenia.

Zobaczyłem dziwny pancerz bojowy przemierzający korytarze. Był tak wielki, że w pierwszej chwili wziąłem go za drona, ale potem dostrzegłem ludzkie oczy wyglądające przez szczelinę hełmu.

Serwomotory zapiszczały, gdy tułów zbroi wykonał obrót, chwytając w tali jednego z Tau szponiastymi szczypcami. Kosmita szamotał się i dzielnie strzelał bestii prosto w twarz, jednak pociski zmieniały się w pomarańczowe iskry na ciężkim tytanowym pancerzu.

Szczypce zacisnęły się mocniej, rozcinając Tau na połowy, utrzymywane razem już tylko cienką nitką kręgosłupa. Gdy zbroja rozluźniła chwyt, kosmita osunął się, tworząc mało estetyczną stertę szczątków na podłodze. Wokół szeroko rozstawionych stóp metalowego olbrzyma leżały zmiażdżone zwłoki jeszcze kilku innych napastników.

Potwór obrócił się i zauważył nas. Z grzechotem zrobił krok naprzód.

Towarzyszający mi rekrut stracił rezon. Cofnął się, unosząc broń i klęcząc ile wlezie. Chwyciłem lufę jego karabinu i skierowałem ją w dół.

– Proszę się przedstawić! – krzyknąłem w stronę pancerza.

Wykonał jeszcze dwa kroki w naszą stronę. Przy każdym z nich młodzik obok mnie aż malał w oczach. Wreszcie hełm pancerza odpadł, a z góry spojrzała na nas rozbawiona młoda dama. Galina Turov we własnej osobie.

– Miło znów cię widzieć, McGill! – powiedziała. – Znalazłam to cacko w jednej z szaf w arsenale. Fajna rzecz, nie? Myślę, że wszystkie nasze legiony powinny sobie takie sprawić. Świat Postępu to dobry rynek.

– Pani imperator – odparłem – centurion Leeza z Germaniki poleciła mi panią odnaleźć. Czy zechciałaby pani wyjaśnić, dlaczego nie komunikowała się pani z innymi obrońcami statku?

– Nie dałam rady – wyjaśniła. – W tej zbroi trudno cokolwiek usłyszeć. Silniki strasznie ryczą. Poza tym miałam rękę w serwomotorze i nie mogłam dosięgnąć stuka.

– Rozumiem. Co pani rozkaże?

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Najpierw pozabijajmy wszystkich Tau. Potem zaplanujemy kolejny ruch – stwierdziła.

– Tak jest!

Kolejne pół godziny wprawiło mnie w lekkie zakłopotanie. Zacząłem rozumieć osobowość Turov... A dokładniej jej mroczniejszą stronę. Lubiła się bić, pod warunkiem że nieprzyjaciel nie mógł jej tknąć.

Pomyślałem, że miotacz piorunów mógłby ją załatwić, w pancerzu czy bez niego. Jednak, choć podążaliśmy za każdym jej ciężkim krokiem, tłumiąc resztki oporu nieprzyjaciela na statku, nie natrafiliśmy już na żadne z tych urządzeń, więc nie mogłem sprawdzić swojej teorii.

Kilka godzin później, gdy już oczyściliśmy statek, wróciłem do sterowni dział. Była tam Turov. Stała nad pulpitemi, prowokacyjnie przekrzywiając prawe biodro. Poczułem przypływ ulgi na myśl o tym, że bitwa już się skończyła i że imperator uszła z życiem.

„Jakie to dziwne” – pomyślałem. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego w ogóle obchodzi mnie, czy ta kobieta przeżyje. Myślałem nad tym przez całą minutę, nie spuszczając jej z oka. Stała odwrócona plecami do mnie, nieświadoma, że ją obserwuję.

Jeśli o mnie chodzi, to Turov była diabłem wcielonym od dnia, w którym ją poznałem. Powinienem chcieć zobaczyć ją martwą. Myśl o odnalezieniu zwłok Turov – czy to młodej i pięknej, czy starszej i zgorzkniałej – powinna wywoływać mój uśmiech. W końcu czy to nie ona nasłała goryli, którzy napadli mnie w moim własnym domu? I którzy koniec końców mnie zabili?

Jednak gdy wodziłem oczami po jej kształtach, stwierdziłem, że wcale nie chcę, żeby umarła. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi na myśl, było takie, że mój nastrój to naturalna reakcja na jej młodość i urodę. Faceci mojego pokroju łatwo dają się wodzić za nos pięknym paniom. Jesteśmy po prostu zaprogramowani tak, by odpuszczać im winy.

Solidaryzowałem się z każdym gliną, który kiedykolwiek puścił płazem wykroczenie popełnione przez jakąś laskę. Mimo to przypominałem sobie z całą stanowczością, że w przypadku Turov wina nie polegała na niepłaceniu mandatów. Ta kobieta była przebiegłą czarownicą o kamiennym sercu.

– Złożysz meldunek czy będziesz tak stał i się gapił, specjalisto? – zapytała nagle Turov, nie odwracając się.

Wzdrygnąłem się i wszedłem do pomieszczenia. Z całą pewnością śledziły mnie kamery. Szlag by to...

– Proszę wybaczyć – powiedziałem, postanawiając ukryć swoje myśli przez całkowite zignorowanie sytuacji. – Rzeczywiście przyszedłem złożyć meldunek i sprawdzić, jak się pani miewa.

„Po jaką cholere to powiedziałem?” – przemknęło mi przez myśl.

Odwróciła się powoli. Z zaciekawieniem przechyliła głowę na bok. Ten gest wydał mi się jednocześnie niepokojący i czarujący. Wyglądała jak jakaś złowieszcza, ożywiona lalka. Wiedziałem, że pod tą fasadą skrywa się zły duch. Mogłem sobie wyobrazić, że urok pomógł jej piąć się coraz wyżej w hierarchii na początku jej kariery, a z biegiem lat bezwzględna ambicja zrobiła resztę.

Zdążyła już przypiąć złote słońca na klapy munduru. Wiedziałem, że powinienem poczuć się onieśmielony i stanąć na baczność, jednak nie mogłem się na to zdobyć. Byłem zmęczony, a ona wizualnie zupełnie nie pasowała do roli oficera z samej góry. Sprawiała raczej wrażenie, jakby dopiero ukończyła liceum. Wskreszenia tego typu potrafiły nieźle namieszać w głowie.

Taksowała mnie w zamyśleniu.

– Rozumiem – stwierdziła po chwili, wzdychając – i wybaczam ci.

Odwróciła się z powrotem do konsoli, a ja ostrożnie podszedłem. Rozumiałem, że mi wybaczyła, ale nie bardzo wiedziałem, o jaką winę jej chodzi. Może o mój brak szacunku albo po prostu o to, że przyłapała mnie na gapieniu się na jej tyłek. Choć mogło to być jeszcze coś innego. Jako człowiek, który często potrzebował wybaczenia, zdecydowanie nie chciałem tym razem spieprzyć szansy.

– Dziękuję pani – powiedziałem obojętnie.

– Ale nadal czekam na ten twój meldunek – przypomniała.

Poczułem ulgę i złożyłem jej sprawozdanie. Starłem się przy tym nie spoglądać na nią i zamiast tego wpatrywałem się w kosmos. Zauważyłem, że łatwiej mi przyjąć do wiadomości, że rozmawiam z imperator, jeśli nie muszę na nią patrzeć.

Powiedziałem, że na statku już nie ma najeźdźców. Jednak o ile wiedzieliśmy, stacja Gelt znajdowała się całkowicie w rękach nieprzyjaciela. Przynajmniej nie zanurzała się w atmosferze planety, w każdym razie jeszcze nie teraz. Jeśli chodziło o naszą liczebność na pokładzie „Minotaura”, udało nam się już prawie utworzyć jednostkę w pełnej sile dzięki niezmordowanej pracy centurion Thompson.

– Żałosne... – podsumowała Turov, kiedy skończyłem.

Nie zamierzałem się sprzeczać. Miała rację. Dwa ziemskie legiony zostały praktycznie unicestwione i zostaliśmy z garstką żołnierzy walczących o przetrwanie na „Minotaurze”. Byliśmy jak karaluchy – trudni do rozdeptania, ale poza tym prawie zupełnie nieszkodliwi.

– Spieprzyłam sprawę, wiesz? – powiedziała imperator nieoczekiwanie.

Spojrzałem na nią. To był błąd. Wyglądała na smutną. Czy jej dolna warga drżała? Widziałem, że panuje już nad swoim umysłem lepiej niż zaraz po wskrzeszeniu, ale nadal nie wszystko było w porządku.

– To po prostu był kiepski zgon, nic więcej – zapewniłem, powtarzając słowa, które słyszałem od dowódców, odkąd zaciągnąłem się do Varusa. – Każdy przez to przechodzi i trzeba nauczyć się z tego otrząsać.

Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Pomyślałem, że zaraz się rozplacze albo coś w ten deseń, więc usiłowałem skupić wzrok na planecie pod nami. A było co oglądać. Efekty ostrzału z dział „Minotaura” nadal się utrzymywały. Na jednej ćwiartce planety szalały burze i unosiły się chmury pyłu. Mogłem się tylko domyślać, ile istnień zabrała ze sobą ta jedna salwa, którą oddał Claver.

– Zwykle – odparła Turov, tym razem bardziej zdecydowanym tonem – taka rada byłaby rozsądna. Ale sytuacja nie należy do zwykłych. Czy przyjrzałeś mi się, specjalisto?

Wytrzeszczyłem oczy. Dla mnie nie było to bezpieczne pytanie. Zamiast odpowiadać, grałem na zwłokę. Tak jak oczekiwałem, znowu się odezwała, przełamując niezręczną ciszę.

– Jestem jakąś... sikszą! – powiedziała. – Ale byłam głupia!

Grzmotnęła drobną pięścią w konsolę.

– A... o to chodzi? – zdziwiłem się. – Fakt, wygląda pani trochę młodziej.

– To mnie zrujnuje – powiedziała z goryczą. – Nie widzisz tego? W normalnej sytuacji śmierć legionisty jest wstrząsem. Ale wstrząsem, z którego można wyjść. Ludzie traktują was tak samo jak poprzednie wcielenia. A w moim przypadku to w ogóle możliwe? Jak niby mam dowodzić czy pięć się wyżej, jeśli wyglądam, jakbym co wieczór miała być w domu przed zmrokiem?

Wzruszyłem ramionami.

– Proszę spojrzeć na to z innej strony, pani imperator. Odzyskała pani młodość. Przecież każdy czasem chciałby cofnąć się w czasie.

– Racja. Oczywiście. Właśnie dlatego nie robiłam aktualizacji. Choć dostawałam przypomnienia, ażebyś wiedział! Jeśli uda ci się utrzymać przy życiu odpowiednio długo... przez ponad pięć lat czy coś koło tego... biosi zaczynają ci wysyłać prośby o uaktualnienie rejestrów ciała. W niektórych przypadkach mogą kogoś do tego zmusić. Ale nie mnie, bo stałam zbyt wysoko. Obchodziłam ich szerokim łukiem, niepomna na ich mądrość.

– Dlaczego pani to zrobiła... jeśli mogę spytać?

– Z czysto egoistycznych pobudek. Przez marzenia. Kto nie chciałby zamrozić swojego ciała w jakimś idealnym momencie życia? Byłam próżna. Chciałam któregoś dnia odzyskać młodość. Od czasu do czasu snułam fantazje na ten temat.

Byłem lekko zaskoczony, że Turov zwierza mi się z tego wszystkiego, jednak z drugiej strony nie był to dla mnie żaden szok. Zauważyłem, że ludziom zbierało się na największą szczerłość i filozofowanie po naprawdę porządnym doświadczeniu śmierci. Przypadek Turov był ekstremalny. A poza tym musiałem przyznać jej rację. Będzie potrzebowała wielu lat, aby odzyskać szacunek, którym się cieszyła. Zasrańcy z Hegemonii pozostający na Ziemi potrafili być podli. Pewnie i tak nie darzyli jej sympatią – cholera, trudno było ich za to winić!

Co gorsza, ludzie z Hegemonii rzadko ginęli. Nie byli jak legionieści na linii frontu. W Varusie mieliśmy przynajmniej trochę zrozumienia i współczucia dla efektów ubocznych wskrzeszenia. Nie przekładałoby się to zbyt dobrze na realia ziemskie, gdzie trybuni i imperatorzy mieli brzuszyska wciśnięte w białe biurek i przerzedzające się fryzury do kompletu.

– Teraz już rozumiesz, prawda? – zapytała imperator, trafnie odczytując wyraz mojej twarzy.

– Owszem, dostrzegam, w czym tkwi pani problem. Ale to tylko chwilowa niedogodność.

Potrząsnęła głową.

– W połączeniu z tą katastrofą? – zapytała, machnięciem ręki wskazując portal, za którym nadal kotłowała się atmosfera planety. –

Jeśli za rok od teraz utrzymam się chociaż na stanowisku centuriona, będę mogła mówić o dużym szczęściu.

Zastanawiałem się, czy ma rację, ale nic nie odpowiedziałem.

– Nie do wiary, McGill – ciągnęła Turov. – Naprawdę potrafisz słuchać. Ze wszystkich ukrytych cech, o jakie mogłam cię podejrzewać, ta byłaby pewnie jedną z ostatnich.

– Yyy... dziękuję – wyjąkałem.

– Nie próbuję cię obrażać – zapewniła, wyciągając dłoń, by dotknąć mojego ramienia.

To był zwykły, naturalny gest, ale dla mnie jej dotyk przypominał rażenie pioruna. Nie przywykłem do delikatności ze strony oficera. A zwłaszcza takiego, który wyglądał jak cheerleaderka.

Cofnęła rękę, ale ja i tak czułem jej dotyk, jakby wypalony na mojej skórze.

– Jaki mamy plan? – zapytałem, usiłując zmienić temat.

– Będziemy zbierać siły. I czekać. Rebelianci mają bardzo mizerny arsenał. Sytuacja na stacji jest stabilna, więc myślę, że będziemy mieć trochę czasu.

Zmarszczyłem brwi.

– Czasu na co? – zapytałem.

– Na ożywienie naszych legionów i odzyskanie stacji. A niby na co?

Zamrugalem, ale zdobyłem się na kiwnięcie. Myślałem raczej o powrocie na Ziemię, gdzie moglibyśmy przywrócić do życia wszystkich ludzi w jeden dzień. Już miałem to zaproponować, ale się powstrzymałem. Widziałem, że Turov nie jest dziś w nastroju na dalsze sugestie ze strony zwykłych żołnierzy.

Im bardziej o tym myślałem, tym lepiej rozumiałem jej tok rozumowania. Nie mogła wrócić na Ziemię – a już na pewno nie teraz. W tym momencie poniosła sromotną klęskę, na miarę samego rzymskiego trybuna Warusa. Facet zdołał za jednym zamachem stracić prowincję Germanii i trzy legiony, czym prawie pobił nowy rekord Turov. Kto wie, może Ziemia powinna nadać kolejnemu legionowi pełnemu wyrzutków właśnie nazwę „Turov”?

Na myśl o tym uśmiechnąłem się. Niestety, imperator szybko to dostrzegła.

– Co cię bawi? – spytała.

– Yyy... nic takiego. Pomyślałem po prostu o kantynie.

– O czym? – spytała, marszcząc czoło.

Byłem dumny z szybkiego uniku. Rzeczywiście pomyślałem o kantynie – ale tylko przelotnie. Najlepszy kit powinien zawierać w sobie ziarno prawdy. Zresztą faktycznie byłem trochę głodny.

– Claver nie wystrzelił wszystkich modułów – wyjaśniłem. – To oznacza, że gdzieś w pobliżu jest kantyna pełna jedzenia i picia. I że na pokładzie nie ma prawie nikogo, z kim można by się podzielić tymi zapasami.

– Picia... – powtórzyła, jakby ta myśl nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy. Otworzyła kanał i połączyła się z centurion Leezą. Rozkazała, żeby przy centrum sterowania działami stanęli wartownicy, a potem zwróciła się znowu do mnie. Patrzyła jakoś tak... dziwnie.

– Chodź ze mną, specjalisto.

Co miałem zrobić? Przecież to był bezpośredni rozkaz od wysokiego rangą oficera. Podążałem za nią korytarzami, aż dotarliśmy do rzeczonej kantyny. Mówiąc dokładniej, zatrzymaliśmy się w pubie dla oficerów. Zajęła miejsce i pacnęła otwartą dłońią w bar.

– Potrzebuję czegoś mocnego – oświadczyła. – Co takiego pije bombardier, kiedy chce się szybko narębać?

Skrzywiłem się.

– Pani imperator, to chyba nie najlepszy... – zacząłem.

Ponownie plasnęła drobną rączką o bar.

– Przymknijże się w końcu, McGill! Gęba ci się nie zamyka! Będiesz robił za barmana – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami i zajrzałem do szafek.

– Wow, jestem pod wrażeniem – stwierdziłem chwilę później. – Te sukinkoty z Germaniki wiedzą, co dobre.

Nalałem jej szklankę osiemnastoletniej szkockiej single malt i postawiłem ją na barze między nami. Turov spojrzała podejrzliwie na bursztynowy płyn.

– A mógłbyś, z łaski swojej, dać mi chociaż kostkę lodu? – zapytała.

– Pewnie – odparłem.

Dałem jej trzy kostki. Poczekala, aż trochę stopnieją, po czym pociągnęła tęgi łyk. Efekty były przekomiczne, ale udało się jej nie wypluć whisky na podłogę.

– Moje kubki smakowe! – jęknęła. – Teraz, kiedy jestem młoda, są znowu w pełni sprawne. To paskudztwo smakuje jak benzyna!

– Ponad sześćset kredytów Hegemonii za butelkę – powiedziałem, nalewając sobie drugą szklankę i stukając nią o szklankę Turov. – To kosztowne paliwo.

Galina zaśmiała się i wróciła do drinka. Piła zbyt szybko, ale jej nie powstrzymywałem. Po ciężkiej bitwie żołnierz ma większą ochotę na kilka głębszych niż w jakimkolwiek innym momencie życia.

Pod barem znalazłem trochę chipsów i orzeszków ziemnych. Zaczęliśmy je chrupać, ale było za późno, żeby spowolnić działanie alkoholu. Mieliśmy już nieźle w czubie.

– Galino... – zagadnąłem, wpatrując się w nią szklistym wzrokiem.

– Co? – zaśmiała się.

– Czemu wysłałaś tamtych zakapiorów do mojego domu na Ziemi? Przewróciła oczami z wyrazem lekkiego zażenowania na twarzy.

– Aaa... tamto. Nie moglibyśmy pogadać o czymś innym?

– Jasne, kiedy tylko powiesz mi prawdę.

Uznałem, że to moja jedyna szansa, by naciągnąć tę kobietę na odrobinę szczerości. Była już mocno natrąbiona i opuściła gardę.

Potrząsnęła głową.

– Zrobiłam to przez twoją wiadomość. Tę, w której nakłaniałeś ludzi do głosowania przeciwko dołączeniu do Hegemonii.

– Dobra, tyle zdążyłem się domyślić – przyznałem. – Ale czy chodziło tylko o to? O twoją prywatną zemstę?

– Nieee! – zaprzeczyła. – Nic z tych rzeczy. Ja nie z takich. Chciałam cię zdyskredytować.

Przetrawiałem jej słowa przez chwilę w lekkim otępieniu. Spróbowałem zjeść jeszcze trochę orzeszków, ale i tak wciąż byłem skołowany.

– Nie rozumiem. Aresztowanie mnie miało sprawić, że ludzie przestaną wierzyć moim słowom?

Posłała mi uśmiech, który wyglądał niemal na nieśmiały.

– Przecież cię znam, James – powiedziała. – Wiedziałam, co zrobisz. A ty wykonałeś wszystko zgodnie z planem.

Zastanowiłem się nad tym ze zmarszczonym czołem.

– Wiedziałaś, że pozabijam tych gości?

– Istniały spore szanse, że będziesz stawiał opór przy arestowaniu. I przez to zaczniesz wyglądać na winnego.

– Kumam – odparłem poirytowany. – Ale to nie podziałało. Głosowanie poszło po mojej myśli.

Galina kiwnęła głową.

– Rzeczywiście. Tym razem wygrałeś.

Gdy to przyznała, łatwiej było mi jej wybaczyć. A szkocka jeszcze w tym pomogła. Po dwóch kolejkach oboje zaśmiewaliśmy się z tego do rozpuku.

To, co nastąpiło później, było możliwe do przewidzenia, choć nieplanowane... Przynajmniej ja nie miałem tego w planach, nie wiem jak Turov. W końcu była kobietą, która dostaje to, czego chce, choćby nie wiem co.

Koniec końców opróżniliśmy butelkę i kochaliśmy się na stole bilardowym. Wszystkie bile były wessane do luz na czas lotu, więc nam nie przeszkadzały. Przez cały ten czas w mojej głowie kołatały się myśli w stylu: „To wariactwo! Całkiem ci odwalilo, McGill!”.

Jednak nie miało to znaczenia. Tak czy inaczej, zrobiliśmy to i mieliśmy szczęście, że nikt nas nie przyłapał.

Już po wszystkim wyciągnąłem się na wznak, podczas gdy Galina leżała na mnie, pochrapując. Czułem na brzuchu dotyk jej drobnych, jędrnych piersi. Ciekawiło mnie, czy rano ktoś zauważy wielką plamę potu na stole do bilardu. Na myśl o tym zaśmiałem się, a policzek imperator Turov podskoczył na moich żebrach.

Nie chcąc zakłócać jej snu, delikatnie wplotłem palce w jej włosy. Były jedwabiste i miłe w dotyku.

Miałem trochę czasu, żeby dobrze zastanowić się nad tym, kto tu kogo wykorzystał. Istniał szereg okoliczności łagodzących wartych rozważenia. Przede wszystkim ona była oficerem, a ja żołnierzem z poboru. Formalnie rzecz biorąc, winą leżała zatem po jej stronie. Jednak i ją można było usprawiedliwić na niezliczone sposoby. Byłem postawnym facetem, fizycznie starszym od niej. Urobiłem ją mocnym drinkiem, któremu jej młody organizm nie mógł stawić oporu... To było nie w porządku, nawet jeśli rozkazała mi to zrobić.

Wreszcie uznałem, że żadne z nas nie jest bez winy. Szczerze mówiąc, doszedłem do wniosku, że nawet rada Nairbów ogłosiłaby w takiej sytuacji remis.

Kiedy się obudziłem, Galiny już nie było. Zamiast tego mój wzrok natrafił na centurion Leezę. Wyglądała na ostro wpienioną.

Zbliżyła swoją twarz do mojej. Już wcześniej odniosłem wrażenie, że jest zbyt wysoka i ma małe oczka jak u fretki, a gniew nie przydawał jej uroku. Była tak oziębła i pełna pogardy jak to tylko możliwe u oficera.

– Złaż z tego stołu, specjalisto! – wydarła się na mnie.

Pojękując, sturlałem się z blatu. Wraz ze mną do krawędzi stołu potoczyła się pusta butelka, która następnie roztrzaskała się na podłodze w drobny mak.

– Hołota z Varusa – krzyknęła Leeza. W jej ustach nazwa mojego legionu zabrzmiała jak jakiś bluzg. – Z tego właśnie słyniecie. Z robienia bajzlu, niechlujstwa, pijaństwa...

Dalej już niespecjalnie jej słuchałem, ale lista przewinień była długa. Podniosłem się. Za centurion stało kilku jej podoficerów z szyderczymi uśmieszkami na twarzach. Najwyraźniej bawiła ich ta sytuacja.

– Przepraszam – powiedziałem. – Ciężka bitwa. Wrócę już do swojej jednostki.

– Jednostki? – zachnęła się. – Jakiej znowu jednostki? Jesteś sam na tym okręcie, Varusie... Jeśli nie liczyć tej kopniętej bioski i paru jej pomagierów. W pierwszej kolejności wskrzesiła całą moją jednostkę.

Pokiwałem głową, kompletnie niezaskoczony. Po dotkliwych stratach standardową procedurą było przywracanie całych jednostek za jednym zamachem zamiast rozmieniania się na drobne. Na co komu kilkunastu centurionów działających solo? Lepiej było zebrać zwartą grupę żołnierzy, którzy się znali i wspólnie przeszli szkolenie.

– Czy mogę odejść? – zapytałem, szarpiąc i poklepując swój mundur, aż w końcu chwycił i zaczął ściśle przylegać do moich ramion.

Ogólnie rzecz biorąc, inteligentna odzież sama próbowała okryć ciało, ale jeśli się ją kilkukrotnie ściągało, to była na tyle bystra, aby zaprzestać dalszych prób. Później trzeba było ją udobruchać tak, by ponownie leżała jak trzeba. Właśnie tym zajmowałem się w tej chwili.

– Nie możesz – odparła Leeza, opierając się jednym biodrem o róg stołu bilardowego i zamiatając nogą jak kot wymachujący ogonem.
– Chcę, żebyś mi wyjaśnił, jak ktoś taki jak ty, ewidentny półgłówek, zdołał niemal samodzielnie poradzić sobie ze statkiem pełnym najeźdźców.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Nie „niemal”, proszę pani. Sam ich wszystkich usmażyłem!

– Jak?

– Ci buntownicy nie grzeszą intelektem. Są nieprzeszkoleni i według mnie ich mózgi pracują na pół gwizdka. Wystarczyło, że zapędziłem ich w kozi róg i otworzyłem ogień.

Centurion pokiwała głową i ciężko westchnęła.

– To mesa oficerów Germaniki. Wiesz o tym, prawda?

– Tak jest.

– Dlaczego stawiasz mnie w takiej sytuacji? Jestem twoją dłużniczką. Gdyby nie ty, oba nasze legiony mogłyby wylądować na permach. A ty zaraz po swoich heroicznych dokonaniach musiałeś wyciąć taki numer. Moi ludzie za coś takiego dostają chłostę. I co ja mam z tobą zrobić?

Wiedziałem, że nie przesadza z tą chłostą. Tak samo jak w zamierzchłych czasach Imperium Rzymskiego, tak i teraz w naszych legionach nadal wymierzano karę cielesną za przewinienia takie jak włamanie do barku oficerskiego. A jeśli żołnierz dostał tak ciężki łomot, że skóra w sprayu nie mogła mu pomóc, to cóż, zawsze można było go przepuścić przez wskrzeszarkę, żeby się trochę odświeżył.

– Może tym razem wystarczyłoby pouczenie? – zaproponowałem z nadzieją.

Leeza pokręciła głową, a jej żołnierze zarechotali. Obejrzała się przez ramię i rzuciła im pełne irytacji spojrzenie, po którym natychmiast zamilkli.

– W porządku – powiedziała. – Pod warunkiem że wyjaśnisz mi, po co w ogóle się tu włamałeś.

Gapiliśmy się na siebie przez długą sekundę. Przez moją głowę przemykały słowa, których nie ważyłem się wypowiedzieć. Mógłbym powiedzieć jej prawdę – że bardzo odmłodzona wersja naszej imperator kazała mi tu zejść, spiła mnie tak, że nam obojgu puściły hamulce, po czym zaczęła zdzierać ze mnie ciuchy na stole bilardowym. Jednak coś mi mówiło, że lepiej zachować takie informacje dla siebie.

Przez chwilę nie wiedziałem, co, u licha, mam powiedzieć, ale na szczęście Bozia obdarzyła mnie bystrością i gładką gadką, przynajmniej w chwilach, gdy stoję przed dylematem, że albo wymyślę jakąś dobrą historyjkę, albo czeka mnie manto.

– Kiedy bitwa się skończyła, naprawdę potrzebowałem się napić, pani centurion – wyjaśniłem. – O ile wiem, to jest jedyne miejsce, gdzie mógłbym to zrobić.

Leeza po raz kolejny westchnęła i pokiwała głową.

– Cóż, przynajmniej jesteś ze mną szczery. Wszyscy na tym okręcie zostali unicestwieni, czy tak? Wszyscy poza tobą i imperator? A potem zacząłeś wskrzeszać biosów...

Przytaknąłem ostrożnie. Czy to możliwe, żeby ta kobieta знаła prawdę o Turov i mnie? Czy postanowiła się teraz trochę zabawić moim kosztem? Może cała ta rozmowa była na bieżąco zapisywana i wrzucana na forum Legionu Germanica, do działu z humorem?

– Możesz odejść, specjalisto – oświadczyła nagle Leeza. – Ale żeby mi to było ostatni raz. Nie będę tolerować dalszych wykroczeń, nawet w twoim wykonaniu.

Kiedy kończyła zdanie, byłem już w połowie drogi do drzwi.

– To się nie powtórzy, pani centurion – zapewniłem ją, oglądając się przez ramię. – I... dziękuję.

Jeden z jej weteranów, który stał za jej plecami przez cały ten czas, pokazał mi środkowy palec, kiedy wychodziłem. W odpowiedzi przyłożyłem dłoń do czoła, salutując mu nonszalancko.

Ponieważ nie wiedziałem, gdzie indziej mógłbym pójść, i nie chciałem się na razie natknąć na Galinę, skierowałem się do modułu biosów.

Na niebieskim pokładzie panował jeszcze większy ruch niż poprzedniego wieczora. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem po wejściu, była lufa wycelowana w moją twarz. Germanica wystawiła strażników. Pomyślałem, że to rozsądne posunięcie.

– Mów, po co przyszedłeś... – zaczął wartownik, ale potem się zreflektował. – A, to ty, Varus. Czego chcesz?

Opuścił broń. Zdziwiłem się, że mnie rozpoznał. Wyglądało na to, że zrobiłem niezłe wrażenie, przychodząc im z pomocą, kiedy byli przyskrzynieni w tamtym module.

– Gdzie jest centurion Thompson? – zapytałem.

W odpowiedzi machnął kolbą tracha. Spojrzałem we wskazanym kierunku i rzeczywiście zauważyłem bioskę. Leżała bezwładnie w fotelu. Włosy miała zmatowiałe od krwi, potu i tej bliżej nieokreślonej mazi, która wycieka z dolnych partii maszyn wskrzeszających.

– Harowała całą noc i w końcu zemdląła – wyjaśnił żołnierz. – Skończyli zbierać jednostkę Leezy i zaczęli ożywiać twoją. Teraz wasi ludzie pracują przy tej maszynie.

Minąłem go i zajrzałem do sali wskrzeszeń. Zobaczyłem Anne Grant, uwijającą się przy wskrzeszarce wraz z dwójką sanitariuszy. Uśmiechnąłem się, ale ona nawet się na mnie nie obejrzała.

Pomyślałem, że przywrócenie do życia centurion Thompson było dobrą decyzją. Nie była z Germaniki, więc kiedy ożyła już pełną jednostkę ich legionistów, zabrała się za jedną z naszych. A którą? Oczywiście moją! Bo dlaczego by nie? Przecież był w niej już bombardier gotowy do działania i zorientowany w sytuacji. Na początek to wystarczyło. Maszyna wskrzeszająca dokonałaby tego samego wyboru, gdyby decyzję miała podjąć sztuczna inteligencja.

– Anne? – zagadnąłem Grant, stając za jej plecami.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się słabo. Wyglądała na zmęczoną, ale zdeterminowaną. Współczułem jej. Po bitwie biosi dostawali najgorszą robotę i ogólnie rzecz biorąc, ich męki piekielne trwały dłużej niż sama walka.

– McGill! Mógłbyś mi pomóc? – poprosiła.

Podszedłem bliżej, choć w żołądku przewracało mi się od nadmiaru alkoholu i niedoboru jedzenia. Wiedziałem, że potrzebuje

wsparcia, a ja na tym etapie wskrzesiłem wystarczająco wielu świeżych żołnierzy, żeby samemu kwalifikować się jako sanitariusz.

Kilka minut później skorzystałem z okazji, żeby sprawdzić listę na konsoli maszyny.

– Następny jest Sargon? – zapytałem.

– Tak – odparła Anne. – Wszyscy biosi z jednostki już wrócili do gry. Teraz będziemy pracować nad żołnierzami z linii frontu, następnie nad oficerami i przybocznymi.

– Mógłbym o coś poprosić?

Anne od razu spochmurniała. Z jakiegoś powodu specjaliści biologiczni byli bardzo drażliwi, jeśli chodzi o ich technologię. Nie chcieli, żebyśmy cokolwiek o niej wiedzieli, a tym bardziej, żeby jakiś amator kwestionował ich decyzje.

– Co? – zapytała z ciężkim westchnieniem.

– Ożyw teraz Natashę.

Zrobiła ponurą minę i od razu zrozumiałem, że popełniłem straszliwy błąd.

– Nie, nie, nie! – powiedziałem, wyciągając ręce w obronnym geście. – Po prostu myślę, że nasza jednostka jej potrzebuje. Pracowała nad systemem mającym zatrzymać te zamieszki.

Nie przestając marszczyć czoła, Anne skrzyżowała ramiona. Łagodnym gestem wskazała, abym mówił dalej. Opowiedziałem jej o odzieży holograficznej, zmodyfikowanych projektorach i o wszystkim innym.

– I właśnie o to chodziło Claverowi – podsumowałem.

– Zwalasz całą winę na niego? Za to wszystko? Twierdzisz, że posunął się do rozpieprzenia planety, żeby przestano rozprowadzać zainfekowane urządzenia holograficzne?

– Właściwie to tak. Miał na koncie kilkanaście przekrętów. Próbował się wzbogacić. Decyzja Turov, kiedy rozkazała Legionowi Varus zastąpić przed czasem Germanicę, pokrzyżowała mu szyki. Musiał wszystko przyspieszyć, żeby potem wrócić do domu. Plany mu się posypały. I niestety, zdołał niemal pociągnąć za sobą całą planetę.

Anne wpatrywała się we mnie nieufnie.

– Ta historyjka jest dłuższa niż zwykle – stwierdziła.

– Daj spokój! Nie zmyśliłem tego! – zapewniłem.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Owszem. Właśnie Natasha.

Anne westchnęła, a potem zaczęła stukać w ekran sterowania wskrzeszarki, aż pokazało się nazwisko dziewczyny. Wybrała je i włączyła maszynę.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – powiedziała.

– Raczej zadowolony. Hej, tutaj pracuje już wystarczająco dużo ludzi. Może zjemy razem jakieś śniadanie?

– Nie – odparła cicho, nie patrząc na mnie.

Dwaj stojący za nią sanitariusze spojrzeli po sobie i kiwnęli do siebie porozumiewawczo. Zgromiłem ich wzrokiem, po czym znów skupiłem się na Anne. Zachodziłem w głowę, dlaczego wszyscy w jednostce traktowali mnie jak jakiegoś psa na baby. Wiadomo, miałem za sobą kilka burzliwych związków, ale nie byłem w tym odosobniony. Swoją reputację zawdzięczałem pewnie temu, że moje romanse były trochę głośniejsze, niż przewidywały to normy.

– Daj spokój – zwróciłem się do Anne. – Kiedy ostatni raz cokolwiek jadłaś?

– W ogóle nic nie miałam w ustach, odkąd ona sprowadziła mnie z powrotem – odpowiedziała, wskazując kciukiem wymizerowaną centurion Thompson.

– Jeśli się obudzi i zacznie się pruć, że opuściłaś stanowisko, po prostu zwał wszystko na mnie – zaproponowałem. – Łyknij każdy kit, jeśli tylko powie się jej, że to ja zawiniłem.

Anne parsknęła śmiechem. Wreszcie ustąpiła i wyszła wraz ze mną. Zauważyłem, że jeden z sanitariuszy za nami wciska drugiemu do ręki jakieś pieniądze. Dzięki mnie ktoś tu wygrał zakład.

Poszliśmy razem do mesy. Jedliśmy łapczywie, prawie nie odzywając się do siebie, dopóki nie nasyciliśmy się prawdziwymi jajkami, grzankami, plackami ziemniaczanymi i kawą.

– Wow – westchnąłem z zadowoleniem, rozpierając się na krześle.

– Takie coś mogłoby mnie przekonać, żebym został szmuglerem, jak te gnojki z Germaniki.

Anne skarciła mnie wzrokiem.

– Nie wszyscy tacy są. To znaczy tacy jak Claver – powiedziała.

– Tak mówisz? Cóż, mógłbym ci trochę na ten temat opowiedzieć, ale tego nie zrobię. Powiem tylko tyle, że ci goście lubią żyć

dostatnio na misjach. My dostajemy przetworzoną wieprzowinę i fasolę, a oni raczą się jedzeniem i pić z prawdziwego zdarzenia.

– Fakt, to jest naprawdę dobre – przyznała.

Potem przez chwilę wierciła się na krześle, jakby skrupowana, nie patrząc na mnie. Widziałem, że chce coś powiedzieć, więc nie odzywałem się i sączyłem kawę.

Kiedy miała już dość gapienia się w talerz, w końcu przemówiła:

– James? Czy mogę cię o coś zapytać? Tym razem na serio?

– Pewnie! – odparłem.

– Czy kiedykolwiek traktujesz nas poważnie? Nas to znaczy kobiety?

– Yyy... jasne! Zwłaszcza kiedy któraś z was próbuje mnie zabić.

Anne pokiwała głową, jakbym potwierdził jej podejrzenia. Następnie wstała i zaniósła tacę do kosza na odpadki.

– Powiedziałem coś nie tak? – zawołałem za nią.

Posłała mi zmęczony uśmiech.

– Nie, nic. Dzięki za wspólny posiłek. Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę zajrzeć na niebieski pokład, a potem idę się przekimnąć.

Wypiłem jeszcze jedną filiżankę kawy, zanim skierowałem się do wyjścia. Znalazłem sobie jakąś prycę i wyciągnąłem się na niej. Nie było to trudne, bo na okręcie i w większości modułów dla jednostek było pusto jak w grobowcach.

Mimo kofeiny krążącej w moich żyłach oczy same mi się zamykały. Głowa opadła na stęchlą poduszkę i już po dwóch minutach spałem jak niemowlę.

Kilka godzin później ktoś mnie obudził. Tym razem była to Natasha. W przeciwieństwie do innych pań na pokładzie wydawała się autentycznie cieszyć, że mnie widzi.

– James – powiedziała. – Słyszałam, co zrobiłeś. Aż trudno uwierzyć! Dałeś nam wszystkim drugą szansę!

– Taa? – wymamrotałem.

– Śpisz jeszcze?

Prawdę mówiąc, byłem wciąż półprzytomny. Alkohol pozostały w moich żyłach po zeszłej nocy do końca nie odpuścił, podobnie jak

myśli o Galinie Turov. Na wszystkie gwiazdy, przysięgam, że ta kobieta potrafiła wyczyniać rzeczy, które nie śniły się jej fizycznym rówieśniczkom! Musiałem sobie przypominać, że o ile mi wiadomo, mogła równie dobrze mieć siedemdziesiąt lat. Dziwnie się czułem z tą myślą.

– Słuchasz mnie w ogóle? – zapytała nagle Natasha.

– Co? A tak, pewnie. Mów dalej.

Popatrzyła na mnie z rozbawieniem, po czym znów się rozgadała:

– Dzięki tobie mamy szansę się zrehabilitować. Niewielką, ale jednak. Musimy ją wykorzystać, zanim oni przylecą.

Kiedy przyswoilem sobie to ostatnie zdanie, Natasha zyskała moją pełną uwagę. Nie pytałem, kim są ci „oni”. Byli tylko jedni „oni”, którzy się tu liczyli.

– Kiedy tu będą? – zapytałem.

– Generalnie są już w obrębie układu i powoli zmierzają w naszą stronę. Myślę, że nas obserwują i pewnie chcą zobaczyć, jak zareagujemy na tę sytuację.

Z całą pewnością miała na myśli Nairbów. Pod względem fizycznym Nairbowie byli zielonymi workami protoplazmy, przypominającymi foki, ale zachowywali się jak nietykalni księżowi na usługach rządu.

– Czy tym razem przylecieli ze sprzętem do rozwałki planet? – zapytałem z goryczą. Przeszło rok wcześniej widziałem, jak niszczą całą cywilizację. Pewnie, kalmarowaci kosmici z układu Zeta Herculis byli podłymi bydlakami, ale który gatunek zasługuje na unicestwienie za straszliwą zbrodnię, jaką jest pragnienie bycia niezależnym od Imperium? Moim zdaniem kalmaropodobni mieli rację. Ale moje zdanie nikogo nie obchodziło.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała Natasha. – Ich okręt jest na pewno na tyle wielki, żeby zmieściły się na nim bomby. To gwiazdny krążownik o nietypowej konfiguracji.

– Po co mieliby tu przylatywać, jeśli nie po to, żeby wymierzyć sprawiedliwość bezradnej populacji? – zapytałem.

Dziewczyna zamyśliła się.

– Najbardziej lubią organizować procesy i orzekać o winie lub jej braku. Jeśli doszukają się tutaj jakichś przestępstw, to masz rację, w końcu kogoś zlikwidują.

Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej mnie wkurzało. Nairbowie nie musieli się w to mieszać. Sprawy lokalne nie były ich problemem. Mimo to byłem pewien, że na stacji znajdowało się wystarczająco dużo galaktycznych dóbr handlowych i kosmitów, by ta kwestia urosła do rangi międzygwiazdowego kryzysu. Najprawdopodobniej któryś z obcych zgłosił tę sytuację i zwrócił na nią uwagę Nairbów.

– Przecież mianowali nas lokalnymi egzekutorami – utyskiwałem, szamocząc się z butami. – Powinni trzymać się z dala od Rubieży 921 i pozwolić nam rozwiązać tę sprawę. Zrobimy, co będzie trzeba.

Natasha potrząsnęła głową i poklepała mnie po ramieniu.

– Nie mamy nad tym kontroli, James – powiedziała. – Możemy jedynie wpłynąć na bieżącą sytuację.

– Jak? – spytałem.

– Stacja Gelt runęła, James. A Turov jest zdania, że powinniśmy pozwolić jej spaść.

Zmarszczyłem brwi.

– Ale przecież na tej stacji są miliony mieszkańców. Większość z nich nie zadaje się rebeliantami. Oni...

– Turov rozmawiała, z kim trzeba. Zeszłam na niebieski pokład, kiedy usłyszałam, że Graves wychodzi z maszynki. Ci biosi słyszą to i owo. Turov rozmawiała z Gravesem jakąś minutę po tym, jak zszedł ze stołu. Wysłuchał jej i zgodził się z nią. Facet ma serce z kamienia.

Zadrżała lekko, podczas kiedy ja ochlapywałem twarz wodą nad umywalką ze stali nierdzewnej. Cholera, przydałby mi się prysznic.

– Mówisz, że Graves poparł jej wniosek? – zapytałem. – Aby pozwolić zginąć wszystkim cywilom Tau?

– Nie chodzi tylko o to. Zszedł z tego stołu całkiem spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Jakby obudził się po drzemce przed telewizorem na kanapie. Siedział na stole, machał nogami, słuchał Turov i zgodził się z jej osądem. Potem podziękował biosom i wyszedł. Jakby niczego się nie obawiał ani nie miał wątpliwości, kim jest. Nic z tych rzeczy.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że jest trochę zaniepokojona. Nie miałem teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Gra szła o dużo wyższą stawkę.

– Chodź ze mną – poleciłem. – Musimy im przemówić do rozsądku.

– Komu? Gravesowi?

– Tak, najpierw jemu.

– A potem Turov – podchwyciła. – To właśnie masz na myśli, prawda?

Popatrzyłem na nią. Miała dziwną minę. Co to mogło oznaczać? Wyrzuciłem z głowy tę myśl. Nie byłem dobry w rozumieniu kobiet i nie była to odpowiednia chwila, żeby się tego uczyć.

– Dobra – stwierdziłem. – Musimy ustalić plan, przedstawić go dowódcom i przekonać ich, że da się to zrobić.

– Jaki znowu plan?

– Powiem ci wszystko po drodze.

Ja wyjaśniałem, a Natasha nabierała obaw. Przez całą drogę wyklócała się ze mną. Przestała protestować dopiero pod kwaterami Gravesa, jednak szeptem nadal wyliczała powody, dla których to nie miało prawa się udać. W końcu jednak przystała na mój plan.

I za to ją lubiłem. Zawsze była gotowa spróbować szczęścia.

Graves był schludnie ubrany, wykąpany i najedzony. Jakimś cudem wyglądał o wiele lepiej niż ja, mimo że jeszcze godzinę temu był martwy jak sam kosmos.

Natasha i ja spojrzeliśmy po sobie. Zmusiłem się do uśmiechu. Graves nie odwzajemnił się tym samym.

– Sir? – zagailem, zwracając na siebie jego uwagę.

– O co chodzi, McGill?

– Musimy z panem porozmawiać.

Popatrzył na mnie obojętnie. Po chwili gestem zaprosił, żebyśmy usiedli na składanych fotelach przed jego biurkiem.

– Mówcie.

– Centurionie, dowiedzieliśmy się, że Nairbowie są już w układzie i że... – zacząłem.

– Stop! – przerwał Graves, podnosząc głowę. Był w pełni skupiony na nas. Wodził wzrokiem ode mnie do Natashy. – McGill, nie ujdzie ci to na sucho. Nie tym razem.

– Yyy... a co konkretnie miałoby mi ujść na sucho, sir? – spytałem.

– Ingerowanie w sprawy Galaktyków. Strzelanie do Nairbów i tak dalej.

– Nigdy nie zastrzeliłem Nairba, sir! Incydent, o którym pan myśli, dotyczył Galaktyka.

Centurion przymknął oczy ze zboląłą miną.

– Próbowałem cię kryć. Nie powinieneś nawet słowem wspominać o tym, co wtedy zaszło, McGill.

Kątem oka spojrzałem na Natashę. Błądziła wzrokiem po pokoju, a potem skupiła się na Gravesie.

– Ja już wcześniej wiedziałam o zdarzeniu, o którym mowa – przyznała cicho.

Graves zaczął masować czoło palcami.

– McGill, powiedz mi, jak to jest, że mogę zginąć i wrócić do życia, czując się jak nowo narodzony, ale wystarczy, że pogadam z tobą dłużej niż pół minuty, i od razu zaczyna mnie boleć głowa?

– Mama zawsze mówiła, że mam do tego talent, sir.
– I miała rację. A teraz wyjaśnij mi, o co ci chodzi.
– Centurionie, czy to prawda, że stacja Tau spada? I że wkrótce spłonie w górnych partiach atmosfery?

– Oczywiście. Powinieneś wiedzieć, co ma się stać. W końcu osobiście rozwaliłeś pępowinę, czyż nie?

Wzdrygnąłem się zaniepokojony, słysząc te słowa.

– Ekhm... Claver to zrobił, sir.

– Jasne... Wpadł tutaj, załatwił trzy jednostki żołnierzy Germaniki, a potem personel sterowania działami. A ty dopadłeś go, gdy było już za późno, po czym go zastrzeliłeś. Z pozycji leżącej, jak donoszą biosi, którzy na moje polecenie badają teraz miejsce zajścia.

Zacząłem się wiercić na fotelu. Nagle wydał się zbyt mały, żeby utrzymać mój tyłek.

– Claver był szczwanym lisem. Sam pan tak powiedział.

Graves nie przestawał się na mnie gapić.

– Na tyle szczwanym, by zabić strażników, włamać się do układu sterowania i wystrzelić z dział burtowych „Minotaura”? A potem prawie wykończyć cię przy pomocy broni, którą akurat miał pod ręką?

– Na to wygląda, sir.

Graves wykrzywił wargi w ponurym grymasie. Widziałem, że mi nie wierzy. Wiedział, że w mojej wersji wydarzeń nie wszystko zgadzało się z prawdą. Cholera, tak właściwie to było w niej pełno dziur. Na razie udawało mi się ocalić skórę tylko dlatego, że centurion nie był do końca pewien, co tak naprawdę się stało.

Nie należę do ludzi, którzy zamartwiają się ewentualną katastrofą jeszcze przed jej nadejściem, ale wiedziałem, że sprawy mogą przybrać paskudny obrót. Żywiłem szczerą nadzieję, że nikt nie dowie się, jak mocno zostałem uwikłany w ciemne sprawy Clavera. Szlag, dlaczego Graves musiał być taki dociekliwy?

W roztargnieniu sięgnąłem dłonią do kieszeni, w której trzymałem przypominający muszlę przedmiot nazywany przez Clavera kluczem Galaktyków. Na szczęście nadal tam spoczywał. Postanowiłem, że jeśli będzie trzeba, użyję go ponownie, by nawiać z aresztu.

– Sir – powiedziałem – a jeśli Natasha i ja będziemy w stanie naprawić cały ten bajzel?

W odpowiedzi Graves spojrzał na mnie chłodno.

– Mów dalej – polecił.

– Claver powiedział, że te skrzynki zostały zhakowane. Mam na myśli projektory holograficzne, noszone przez wszystkich Tau. Mówił też, że to on je zhakował i wypuścił do obrotu. Mieliśmy szansę przyjrzeć się jednemu z tych urządzeń i rozłożyć je na czynniki pierwsze. Obecna tu Natasha ma dość dobre pojęcie na temat rozwiązania tego problemu.

Moja towarzyszka zaczęła się nerwowo kręcić. Gapiała się na mnie, a ja zdałem sobie sprawę, że trochę się zagalopowałem. Do tej pory milczała i miałem nadzieję, że zdoła zachować pozory.

– Mówisz poważnie, McGill? – zapytał Graves.

– Jak najbardziej, sir – zapewniłem. – Chodzi nam o powstrzymanie zamieszek i ocalenie milionów istnień. Chyba warto spróbować? Co złego może się stać?

Graves parsknął.

– Na przykład to, że możemy wszyscy wylądować na permach. To samo może spotkać całą Ziemię. Przychodzi mi na myśl jeszcze wiele innych skutków, już nie tak dramatycznych, ale wciąż nieprzyjemnych.

– Nie wątpię, sir – odparłem. – Proszę tylko o szansę, by wszystko naprawić. Przecież wie pan, że Nairbowie nas obserwują. Szybują w kosmosie i oceniają nasze posunięcia. Gdyby udało nam się to odkręcić...

Graves przerwał mi uniesieniem ręki.

– Nie wiemy, czy to okręt Nairbów – stwierdził. – To jednostka międzygwiazdowa, ale nie została zbudowana według żadnego znanego projektu.

Zmarszczyłem brwi.

– To może pochodzi z Układów Centralnych? – zapytałem.

– Możliwe – odpowiedział Graves. – Rzecz w tym, że z nikim się nie komunikuje ani nie wykonuje żadnych działań. Pod tym względem przypomina jednostkę Nairbów lub Galaktyków. Oni lubią nas obserwować z daleka i po cichu osądzać. Ale nie możemy być tego pewni.

– A zatem dajmy im pokaz, centurionie – zaproponowałem.

Graves westchnął ciężko.

– Osobiście uważam, że to rzeczywiście statek Nairbów. Moim zdaniem nie odzywają się i wypisują nam cenzurkę. Pamiętaj, że jesteśmy teraz egzekutorami, i to świeżo upieczonymi. Prawdopodobnie zastanawiają się, czy powinni nas ostrzelać za cały ten bałagan, czy też nie. Jednak to wszystko działa na twoją korzyść, McGill, bo nie możemy pozwolić sobie na czekanie, aż to się skończy.

Graves rozparł się w skrzypiącym fotelu i na kilka sekund utkwiał wzrok w suficie.

– W porządku – rzekł w końcu. – Jestem przekonany, że warto zaryzykować. I niech Bóg ma nas w swojej opiece. Ilu żołnierzy potrzebujecie, żeby podjąć tę próbę?

Byłem tak zaskoczony, że szczeka mi opadła. Trudno mi było uwierzyć we własne szczęście.

– Wystarczy jedna drużyna, sir. Najlepiej ciężkozbrojna. Będą nas kryli podczas testowania systemu.

– Testowania? – wtrąciła się Natasha. – Co mamy testować?

– Twój sprzęt – odparłem zdecydowanym tonem. – Zobaczymy, czy uda nam się nadać sygnał, który zainfekuje ich projektory. Będzie się szybko rozchodził w tłumach. Oprogramowanie Clavera potrafiło to zrobić. Twoje też da radę!

Natasha otworzyła szeroko oczy, gdy nasze spojrzenia się spotkały, po czym lekko potrząsnęła głową.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem do niej, jakby potwierdzała każde moje słowo.

– Jest jeszcze jedna sprawa, McGill – powiedział Graves.

– To znaczy?

– Udało ci się mnie namówić, ale nie ja tu dowodzę. Musisz jeszcze przekonać imperator Turov.

Przez chwilę rozważałem jego słowa.

– Chyba dam radę, sir – stwierdziłem w końcu.

Graves zmarszczył brwi. Pewnie oczekiwał raczej, że zacznę jęczeć, próbując naciągnąć go, żeby pozwolił mi wykonać tę misję cichaczem. Jednak zachowałem się inaczej, a on nie wiedział dlaczego.

– McGill, nie zapominaj tylko, że ona nie jest dzieciakiem – upomniał mnie z powagą. – Mimo że wygląda, jak wygląda.

– Na pewno nie popełniłbym tego błędu, sir! – skłamałem.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, dostało mi się od Natashy.

– James! – syknęła. – Przecież ja nic nie mam! I dobrze o tym wiesz. Potrzebuję co najmniej tygodnia albo dwóch, żeby to ogarnąć!

Wyciągnąłem z kieszeni klucz Galaktyków.

– Co to ma być? Muszelka? – zapytała.

– Prezent idealny dla technika – odpowiedziałem. – Najlepszy, jaki można sprawić dziewczynie!

Wyjaśniłem jej, co potrafi to urządzenie. Natasha osłupiała.

– Tyle możliwości... – powiedziała rozmarzonym tonem.

– Tak, ale o tym później – odparłem. – Teraz potrzebujemy cudu techniki wykorzystującego to narzędzie. Systemy holograficzne są dobrami handlowymi, prawda?

– Tak, nie pochodzą z tego układu. Jednak miejscowi naprawdę je uwielbiają. Gdzieś tam jakiś świat na pewno trzepie grubą kasę na sprzedaży tych zabawek!

– W grę wchodzi miliardy kredytów. O to chodziło Claverowi. Próbował skopiować ten produkt i stworzyć własny, ale tańszy.

Natasha westchnęła.

– Przecież to nielegalne! To opatentowane wyroby, wprowadzone do obrotu w dobrej wierze! – powiedziała.

– Pewnie, masz rację. Ale Claver domyślił się, że Imperium się rozpada, a taki rekin biznesu jak on mógłby dorobić się szybko grubych miliardów na takim przekręcie. Skoro w sektorze nie ma floty bojowej, to kto miałby go powstrzymać?

Na myśl o tym Natasha wyraźnie zmartwiała. Uważnie przyjrzała się muszłowatemu przedmiotowi.

– Muszę to zabrać do warsztatu i przetestować. Nie wiem, czy to, co obiecałem Gravesowi, jest w ogóle wykonalne.

– Musi zadziałać. Albo wszyscy, którzy są na tamtej stacji, zginą.

Spojrzeliliśmy na siebie. Natasha potrząsnęła głową.

– Pójdę do pracowni i zobaczę, co da się zrobić. Życz mi szczęścia.

Potem cmoknęła mnie w policzek i odeszła. Ja z kolei odwróciłem się w stronę windy, którą mogłem dojechać na sam szczyt modułów.

Turov opuściła już sterownię dział i przeniosła się z powrotem do modułu na najwyższym piętrze. Pomknąłem windą w górę, zastanawiając się, czy zastanę ją w obstawie legionistów, czekających, aby mnie stracić.

„Co mnie opętało, żeby przespać się z imperator?” – pytałem się w duchu. Gdybym kiedyś wpadł z wizytą do psychologa i opowiedział mu swoje dzieje, nie sądzę, żeby miał dla mnie optymistyczne prognozy.

Tym razem Turov nie postawiła przed biurkiem strażników. Domyśliłem się, że mieliśmy zbyt mało żołnierzy, by mogła sobie na to pozwolić. Miała za to innego gościa. Był nim nie kto inny, a sama centurion Leeza.

Kiedy zastukałem w otwarte drzwi, obie oficer spojrzały na mnie. Obie też zeszywniały i miałem wrażenie, że żadna z nich nie cieszy się na mój widok.

Stałem na baczność i zasalutowałem.

– Specjalista McGill. Czy mógłbym zająć chwilę, pani imperator? – zapytałem.

Centurion Leeza odchrząknęła.

– I tak muszę już wracać do swojej jednostki – stwierdziła.

– Oczekuję raportu o naszych środkach obrony do czternastej, pani centurion! – warknęła Turov.

– Tak jest, pani imperator.

Leeza rzuciła mi dziwne spojrzenie, potem prześlizgnęła się obok i zniknęła. Wszedłem do pokoju.

Tego dnia Galina Turov dużo bardziej przypominała imperatora. Nadal wyglądała oszałamiająco młodo, ale w jej spojrzeniu i zachowaniu zaszły zmiany. Od razu domyśliłem się, że szok wywołany śmiercią już minął, a jej dawne ja utwierdziło swoją dominację.

Ten schemat był mi znany. Kiedy ludzie umierali po raz pierwszy albo po długim czasie, lub też w szczególnie paskudny i przerażający sposób, po powrocie zwykle błędzili we mgle introspekcji. Mogli robić i mówić rzeczy, których później żałowali. Biosi mówili mi, że istnieją ku temu podstawy neurologiczne i psychologiczne. Prawda była taka, że nowo wyhodowany mózg był kopiowany i wypalano

w nim świeże ścieżki neuronowe, ale i tak pozostawał nowym mózgiem. Czasem trzeba było czasu, by wszystko wróciło do normy.

W końcu Turov podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– James McGill – stwierdziła. – I co my mamy z tobą zrobić?

Przez myśl przemknęło mi kilka celnych ripost, ale się powstrzymałem. Jeśli ktokolwiek miał wspomnieć o tym, co zaszło między nami minionej nocy, to na pewno nie ja.

– Przyszedłem prosić panią o pozwolenie na udział w operacji o krytycznym znaczeniu – oznajmiłem.

– Doprawdy? Myślałam, że chodzi o coś innego. Coś bardziej osobistego.

Przyjrzałem jej się. Nie mogłem się powstrzymać. Wyglądała na rozbawioną, ale pod tą fasadą widać było lekkie napięcie. Z całą pewnością myślała o naszej wspólnej nocy na stole bilardowym. Nie byłem pewien, co to oznacza. Miałem nadzieję, że do tej pory już to jakoś przetrawiła. Najwidoczniej nie miałem tyle szczęścia.

– Może moglibyśmy porozmawiać o tym kiedy indziej – zaproponowałem. – Przyszedłem tutaj, by ocalić miliony istnień.

– Ach, to... – odparła. – Graves wysłał mi już wiadomość na ten temat. Coś o tym, że miałbyś się przekraść na stację z czarodziejskim pudełkiem. Nic z tego.

– Dlaczego?

– Bo nie mamy środków technicznych. A nawet gdybyśmy mieli, i tak nie miałyby to znaczenia.

– Nie nadążam.

– Pomyśl tylko. Gdybyś nawet przestawił wszystkie mózgi na tej stacji na spokojne myśli, to za kilka dni i tak stacja poszłaby z dymem. Kiedy orbita już się zmieni, dolna krawędź konstrukcji zanurzy się w atmosferze. Wtedy dojdzie do zapłonu. W układzie jest za mało statków. Nie mielibyśmy wystarczającej siły ciągu, żeby ją wydźwignąć.

Zmarszczyłem czoło.

– Ależ, pani imperator, nie wiemy tego na pewno.

– Wręcz przeciwnie. Przyjrzałam się problemowi. Rozmawiałam także z ich inżynierami na planecie. Dasz wiarę, że nalegali, żebym zapłaciła za konsultację? My tu staramy się pomóc im ocalić ich

własną stację, a oni nawet nie chcą mnie poratować darmową poradą. To niewyobrażalnie niewdzięczny gatunek.

– Czy stacja nie ma własnych silników albo stabilizatorów? Jakoś umieścili ją na orbicie.

– W pewnym stopniu tak. Ale za wspomaganie i utrzymywanie megadomu w jednym miejscu odpowiedzialna była pępowina. Główne silniki były urządzeniami jednorazowymi, zaprojektowanymi do wyniesienia całego tego ciężaru. Już dawno temu zostały przeżute i przetworzone na budulce stacji. Reszta została w większości przywieziona tu z asteroid i zbudowana już w kosmosie, kawałek po kawałku.

– I tak uważam, że warto spróbować. Gdyby udało nam się wykorzystać „Minotaura” i ich własne promy, moglibyśmy uratować tysiące, a może nawet miliony osób!

– To bardzo szlachetne z twojej strony, McGill. Jestem pod wrażeniem. Jednak...

– Proszę posłuchać – powiedziałem, podchodząc bliżej. – Nie oczekuję wiele. Wystarczy aprobata i jedna drużyna. Wylecimy pinasą i spróbujemy. Jeśli rebelianci nie zareagują – wzruszyłem ramionami – to cóż, przynajmniej się staraliśmy.

Turov rozmyślała o tym przez parę chwil, ale pokręciła głową.

– Nie – powiedziała.

– Dlaczego? – zapytałem, możliwe, że ostrzejszym tonem, niż oczekiwała.

Początkowo spiorunowała mnie spojrzeniem, jednak zaraz potem złagodniała i odpowiedziała:

– Nairbowie już tu są i obserwują każdy nasz krok. Wydają wyrok. Czuję to. Nie chcę być obarczona winą za to, co się dzieje ze stacją. Moglibyśmy przez to stracić funkcję lokalnych egzekutorów Imperium.

– Pieprzyć Nairbów! – powiedziałem – O ile to rzeczywiście oni pilotują ten statek.

Galina wyglądała na wstrząśniętą. Zmarszczyła brwi.

– To twoja odpowiedź na wszystko, prawda? „Pieprzyć to” i już?

Potrzebowałem chwili, żeby załapać, o co jej chodzi. Przewróciłem oczami. To naprawdę ją wkurzyło.

– Teraz już wszystko rozumiem – warknęła, po czym wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

Przyglądałem się jej tak, jak można przyglądać się wężowi – pięknemu, smukłemu i zabójczemu.

– Właśnie dlatego nie powinno się uprawiać seksu z podkomendnymi – ciągnęła, mówiąc jakby do siebie. – Wcześniej była to dla mnie ot, taka ogólna zasada, ale chodzi o coś więcej. To przedwieczna mądrość. Ty, McGill, jesteś wręcz podręcznikowym przykładem. Nie szanujesz już mojego autorytetu, bo doszło między nami do zbliżenia.

– Pani wybaczy – odparłem – ale myli się co do mojej motywacji. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie wolno mi zaryzykować własnego życia, by ocalić tyle istnień. Jeśli mi się nie uda, zawsze można mnie wskrzesić.

– Twoja postawa jest godna podziwu, ale odpowiedź w dalszym ciągu brzmi „nie”. Możesz odejść, specjalisto.

Zawahałem się. Zaczynałem się gotować i nie wróżyło to nic dobrego. Próbowałem się powstrzymać, ale bezskutecznie. Słowa same cisnęły mi się na usta.

– Ona coś podejrzewa, wiesz? – wypaliłem.

Turov odwróciła się i spojrzała na mnie bacznie.

– Kto i co podejrzewa?

– Leeza. Zanim wyszła, uśmiechnęła się pod nosem porozumiewawczo. Chwileczkę... Powiedziałaś jej o tym, prawda?!

Turov poczerwieniała.

– Niczego jej nie powiedziałam! I ty też nie puścisz pary z gęby!

Uniosłem ręce.

– Mówię tylko, że ona może coś podejrzewać. Przyłapała mnie na stole bilardowym, kiedy mnie tam zostawiłaś. Na pewno nie wyszłaś dużo wcześniej i...

– Zamknij się! – wrzasnęła, podchodząc bliżej i patrząc mi prosto w twarz. – Jak możesz nastroczać mi tylu problemów? Nie rozumiem tego. Wielu mężczyzn mi się stawiało, McGill. Wszelki słuch po nich zaginął. Stracili stopnie, uprawnienia. Nawet nie służą już w legionach.

Przez kilka chwil wpatrywaliśmy się jedno w drugie.

– Nie próbuję wszczynać awantury – zapewniłem, zdobywając się na łagodniejszy ton. – Chcę tylko szansy, by wszystko naprawić. Bez względu na to, kto odpowiada za całą tę katastrofę. Jestem pewien, że te wszystkie istoty zginęły z ręki Ziemianina.

– Ach tak. Wydaje ci się, że masz moralną przewagę, więc jesteś gotów mi grozić. Rozumiem.

Nagle pochyliła się i zaczęła dźgać i przesuwając palcami po swojej konsoli. W odpowiedzi wyświetliła się czyjaś twarz. To była bioska z zespołu pracującego przy wskrzeszarce.

– Pani imperator? – zapytała. Była zaskoczona, choć usiłowała ukryć niepokój.

– Mam dla was rozkaz wskrzeszenia. Sprawa jest pilna – oświadczyła Turov.

– W porządku, sir. Dodamy tę osobę do kolejki. Czy może pani podać nazwisko?

– Nie rozumiałaś mnie – powiedziała Turov. – Nie chcę, żeby ten ktoś czekał w kolejce. Zastąpisz aktualne zadanie wskrzeszenia nowym. Natychmiast.

– Ja... nie bardzo rozumiem, sir.

– Macie wyrzucić to, co tam macie w maszynie, do cholery! Przerwać. Oddać aktualny odrost do recyklingu i zacząć od nowa. W tej chwili!

– Aha... tak jest!

Trochę mnie zemdliło. Turov właśnie rozkazała biosce zabić w połowie wyhodowanego człowieka. Zaciśnięm zęby, ale nie odzywałem się. Nie byłem do końca pewien, co zamierza. Początkowo spodziewałem się, że wezwie do gabinetu pluton egzekucyjny, aby wykończyć mnie na dobre. Teraz, gdy zyskałem pewność, że to nie to, kompletnie nie miałem pojęcia, co jej chodzi po głowie.

– Pani imperator? – odezwała się bioska chwilę później. – Już... już zrobione.

– Dobrze – odparła Turov, patrząc znowu na mnie. – A teraz wywołaj adiunkta Clavera z Germaniki. Natychmiast!

– A czy on czasem nie... – zaczęła bioska.

– Czy mam znaleźć kogoś na twoje miejsce, specjalistko? – zapytała Turov, podnosząc głos.

– Nie, sir. Polecenie zmiany zostało wprowadzone i zatwierdzone. Odezwę się, kiedy przetwarzanie się skończy.

– Nie kłopot się. Już schodzę do waszego stanowiska.

Rozłączyła się i spojrzała na mnie z mieszaniną pogardy i triumfu.

Musiałem przyznać, że w tej chwili zobaczyłem w jej oczach dawną Turov. Galina, zagubiona panienka, z którą zabawiałem się poprzedniej nocy, gdzieś przepadła.

Turov miała plan i choć nie miałem pojęcia, co zamierza, wiedziałem, że nie będzie to nic przyjemnego.

– Claver? – zapytałem oszołomiony. – Po jaką cholere sprawadzać akurat jego? Nie lepiej zostawić go na permach?

– Nie poradzisz sobie bez niego – odpowiedziała. – Kto nadawałby się lepiej do przeprogramowania tych szajbniętych Tau niż facet, który wcześniej namieszał im we łbach?

Po chwili namysłu musiałem przyznać jej rację. Zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. Claver wskaże mnie jako winowajcę, gdy tylko wróci do życia. Każdy nasz wspólny grzech spadnie na moją głowę. Kiedy skończy mówić, będę oskarżony o to, że sam jeden zniszczyłem pępowinę, rozplenilem raka i przy okazji osobiście stworzyłem sześć nowych podgatunków muchy domowej.

Co więcej, rozumiałem teraz, dlaczego Turov tak postąpiła. Z jej perspektywy miałem na nią haka, który jej zagrażał. Teraz ona miałaby coś na mnie.

– Rozumiem, pani imperator – powiedziałem.

– Czyżby? Tak, widzę, że istotnie rozumiesz. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem zechcesz mi grozić.

Westchnąłem cicho w duchu. Imperator Turov wróciła. W nowej wersji była słodka jak cukiereczek i groźna niczym nadepnięty grzechotnik.

Gdy pół godziny później Claver zjawił się w warsztacie Natashy, przyjrzałem mu się z dużą dozą nieufności. Odwzajemnił się tym samym.

Dziwnie było widzieć Srebrnobrodego z zaledwie paroma siwymi kosmykami we włosach. Odmłodził co najmniej o dziesięć lat. Z lekkim zaskoczeniem zauważyłem, że pod tym względem nie był tak próżny jak Turov. Nie kazał się zamrozić w postaci wiecznego dwudziestolatka. Gdybym miał zgadywać, to jeśli chodzi o wygląd, dałbym mu jakieś trzydzieści osiem lat. Wiek, w którym do pięćdziesiątki jeszcze sporo brakuje, ale i tak można już wzbudzać szacunek.

Ręce trzymał z tyłu, zakute w kajdanki. Za jego plecami stało dwóch policjantów wojskowych, o paskudnych gębach i z jeszcze paskudniejszymi paralizatorami w dłoniach.

Turov wystąpiła naprzód, prześlizgując się z gracją i gibkością między żandarmami.

– McGill, oto twój przewodnik – oświadczyła. – Przyda ci się. Został poinformowany o swojej sytuacji i mam nadzieję, że nie sprawi ci więcej kłopotów, niż jego egzystencja jest warta.

Jej słowa były podszyte słabo skrywaną groźbą. Nietrudno było się domyślić, że Turov nienawidziła Clavera, być może bardziej niż ktokolwiek z nas.

Kiedy wyszła, uśmiechnąłem się podle do adiunkta.

– Przy tej damie trzeba uważać na słowa – doradziłem. – Chyba za panem nie przepada.

– McGill – odparł – ja z kolei nie przepadam za tobą. Jednak jestem szczerze zdumiony, że w ogóle żyję. Sądzę więc, że powinniśmy uścisnąć sobie dłonie i zostawić za sobą wszystkie niesnaski.

Podszedłem do niego, marszcząc brwi. Natasha obserwowała nas, podrygując nerwowo. Nie miała do Clavera ani krzty zaufania, ale mogła sobie darować takie szopki. Facet był cwany, ale przecież nie był magikiem.

Gdy się do niego zbliżyłem, zadał sobie trud, by wyciągnąć zza pleców obie dłonie, pojękując i szarpiąc się. Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

– Wybacz – powiedział. – Kompletnie zapomniałem o tych kajdankach. Bądź tak miły i każ strażnikom je zdjąć. Jeśli mam być skutym, nie dam rady pracować, nie mówiąc już o uściśnięciu twojej ręki.

Uśmiechnąłem się, zrobiłem krok naprzód i sięgnąłem za jego plecy. Chwyciłem go mocno za jedną dłoń i potrząsnąłem nią niezdarnie.

– To żaden problem. Widzi pan? Możemy sobie dać grabę. A co do pomocy też proszę się nie martwić. Do tego zadania potrzebujemy pańskiej wiedzy, a nie rąk. Wystarczy, że opowie pan Natashy o tym, jak zostały zbudowane te zhakowane holoprojektory, a my sobie dalej poradzimy.

Wyraz jego twarzy, już wcześniej zmieniony, uległ kolejnej metamorfozie. Wyszarpnął rękę z mojego uścisku i warknął:

– Czemu mam ci pomagać? Przecież mnie zamordowałeś. Zamordowałeś wszystkich! Miliony niewinnych na samej tylko planecie!

Mój uśmiech stał się trochę bardziej nerwowy, ale nie schodził mi z twarzy.

– Tylko spokojnie – powiedziałem. – Przecież nie chce pan w to brnąć. Powinniśmy zacząć od nowa. Pan dostał świeży odrost, a ja chwilowo mam przewagę. Niech pan się z tym pogodzi, Claver. Nie pora wyzywać się na mnie.

Przekrzywił głowę i przez chwilę gapił się na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Zaczynam już nadążać – stwierdził. – Znasz się na drobnych przekrętach, co? Nie jesteś idiotą... Przynajmniej nie kompletnym. McGill, tak przekonująco rzniesz głupa, że dałem się nabrać. Przyznaję bez bicia, że dałem się wyrolować. Wow. Zdołałeś mnie olśnić i upokorzyć jednocześnie. Czy wiesz, że...

Zanim Claver zaczął mi jeszcze bardziej działać na nerwy, przerwałem mu.

– Dość tej gadaniny. Bierzmy się do roboty. Natasha, pokaż panu, co tam masz.

Nie byłem technikiem, ale odbyłem małe szkolenie. Natasha zbudowała skrzynkę z ukrytym w niej przekaźnikiem zamiast prostego projektora. Urządzenie służyło do przesyłania sygnału do innych tego typu skrzynek. Sęk w tym, że nie posiadaliśmy protokołów. Mogliśmy zasymulować sygnał wejściowy i przesłać go do innego urządzenia, nasłuchującego danych o nastroju, ale nie mogliśmy dojść do tego, jak sprawić, żeby inne urządzenia przyjmowały sygnał.

Zamiast łamać sobie głowę nad technicznym żargonem, obserwowałem Clavera. Nie gapiłem się prosto na niego, ale pilnowałem, aby żaden jego ruch nie umknął mojej uwadze. Jeśli się nad tym zastanowić, nie raz widziałem, jak Harris robi to samo. Stawał w miejscu, z którego mógł uważnie śledzić poczynania żołnierza. Kiedy nieszczęśnik wykonał jakiś ruch, przekonany, że nikt nie patrzy, weteran uderzał znienacka.

Claver widział, że nie ma możliwości zdobycia przewagi, więc, chcąc nie chcąc, postanowił współpracować. Gdy odpowiadał na pytania Natashy, błędził wzrokiem we wszystkich kierunkach, z zaciekawieniem rozglądając się po pomieszczeniu. W końcu dostrzegł muszlowaty klucz, prawie całkiem wciśnięty pod wydruk z komputera na biurku.

Natasha użyła klucza, by otworzyć holoskrzynkę i ją przeprogramować. Kiedy Claver już zauważył klucz, podkradł się do niego, obracając się plecami. Jego chytry plan był tak łatwy do rozpracowania, że postanowiłem trochę się pobawić.

Na długo przed tym, jak Claver zdołał sięgnąć pod wydruk, ubiegłem go i wyciągnąłem klucz. Trzymając go teraz za plecami, udawałem pochłoniętego monologiem Natashy na temat projektorów holograficznych.

– Tak wiele się nauczyłam – mówiła dziewczyna. – Te urządzenia są genialne! Tak złożone, a jednocześnie tak proste! Zafascynowała mnie ich wewnętrzna konstrukcja. Wszczepienie przekaźnika, aby obejść receptory w innych jednostkach, zakrawa prawie na przestępstwo.

– Yhym... – mruknął Claver, cofając się o krok i miedląc wydruk, który miał za plecami. Widziałem, że szuka klucza, którego już tam

nie było. Ze wszystkich sił starałem się powstrzymać złośliwy uśmiech.

Claver dalej grał swoją rolę, szczerząc się i rzucając miłe słowa. W końcu uznałem, że dość tego dobrego.

– Za czym pan tam gmera? – zapytałem ostro, występując naprzód.

Claver zrobił minę niewiniątka.

– No co? Ja tu pracuję, jakbyś nie zauważył – powiedział.

Zerknąłem mu przez ramię. Strażnicy zbliżyli się do niego.

– On coś trzyma! – zawołałem. – O tam! Straże!

Żandarmi do tej pory nudzili się jak mopsy, ale bez chwili wahania wyrwali się ze stagnacji, kiedy tylko dałem im pretekst. Wyciągnęli i unieśli wysoko paralizatory, trzeszczące od lawendowo-zielonych ładunków energii. Spałowali Clavera, a on, roztrzęsiony, osunął się na pokład.

– Jest tutaj – powiedziałem głośno, wymachując mu przed oczami kluczem Galaktyków. – Tego właśnie szukał. Całe szczęście, że jest niezdarą. Te kajdany są z importu. Mógłby się uwolnić, używając tego cacka.

Claver zapomniał języka w gębie, zbyt oszołomiony uderzeniami dwóch paralizatorów. Jednak jego oczy śledziły klucz, który miałem w garści. Z pewnością nie mógł uwierzyć, że nie zdołał go dorwać w swoje ręce lub że go nakryłem. Mnie to nie ruszało. Przez swoje knowania zabił niezliczone rzesze istot. Aby pomścić zmarłych, mogłem chociaż trochę z nim poigrać.

Strażnicy brutalnie postawili go na nogi. Oni gapili się na Clavera, a ja się uśmiechałem od ucha do ucha.

Za to Natasha patrzyła na mnie ponuro. Za dobrze mnie знаła.

– James, przestań pajacować i doprowadź go do porządku. Potrzebuję jego pomocy – zganiała mnie.

– Dobrze już, dobrze – odparłem. Chlusnąłem Claverowi w twarz kubkiem wody i wymierzyłem mu lekki policzek.

– Nie kazałam ci go bić! – zaprotestowała Natasha.

– Nic mu nie jest. To twardziel. Facet z Germaniki da radę się pozbierać po paru kilowoltach.

Kiedy mógł już ustać sam na nogach, powiódł po nas wszystkich nienawistnym spojrzeniem.

– Mam dość – powiedział. – Jak dla mnie, możecie spłonąć! Wy i wszyscy Tau!

– Jeśli nie będzie pan współpracował, czeka pana śmierć – ostrzegłem go. – Imperator straci pana bez chwili wahania.

– Myślisz, że o tym nie wiem, durniu? – Po błysku w jego oczach poznałem, że częściowo odzyskał hart ducha. – Nie jestem tak naprawdę Claverem, tylko kopią! Nie sądzisz chyba, że podjąłbym całe to ryzyko, gdybym nie wiedział, że nie dacie rady mnie załatwić?

– O czym pan mówi?

– W tym tkwi twój problem, McGill – ciągnął – Wychodzisz poza schematy, ale nie dalej niż na kilka kroków. A ja? Cholera, chłopcze, ja nawet nie wiem, gdzie zostawiłem te schematy!

Spojrzałem na niego gniewnie – nie rozumiałem, o co mu chodzi, i wcale mi się to nie podobało.

Wtedy Claver wykonał swój ruch. Sięgnął do tyłu i chwycił pistolet strażnika po swojej lewej – co było o tyle szalonym posunięciem, że ręce miał nadal skute za plecami.

Nacisnął spust i wyorał dymiącą bruzdę na nodze policjanta. Drugi strażnik wyszarpnął swój pistolet i strzelił do Clavera.

Adiunkt zakręcił się i runął na plecy, z trudem łapiąc oddech.

Położyłem dłonie na kolanach i nachyliłem się, patrząc mu w twarz.

– Właściwie to sam się pan zabił – oznajmiłem. – I kto wyszedł na durnia? Turov już drugi raz pana nie wskrzesi!

Claver usiłował coś powiedzieć. Smród spalonej skóry kręcił mnie w nosie, ale nie odsuwałem się. Chciałem wysłuchać, co miał do powiedzenia.

Oblizął wargi i zwilżył je świeżą krwią.

– Nie jestem Claverem – powiedział. – Nie tym prawdziwym. Módl się, byśmy się więcej nie spotkali, McGill.

I to tyle. Umarł na miejscu.

Natasha skrzyżowała ręce. Miała niewesołą minę.

– Nie mogłeś pozostawić go przy życiu jeszcze chociaż przez pięć minut? – zapytała.

Popatrzyłem na nią.

– To on chwycił za tę spluwę, nie ja! Już wcześniej próbował się wyswobodzić, a ja go powstrzymałem. Może dla odmiany ktoś inny by popatrzył, co się wokół dzieje?

Dwaj strażnicy wyglądali na zażenowanych. Ten z oparzoną nogą mocno utykał, więc poleciłem mu, żeby udał się na niebieski pokład.

Gdy zostaliśmy sami, Natasha westchnęła.

– Chyba poradzę sobie z tym sama – stwierdziła. – Claver nie przekazał dokładnych protokołów, ale podsunął mi kilka pomysłów na to, jak je znaleźć. Zaprogramuję pętlę i wypróbuje każdą częstotliwość, aż znajdę tę właściwą. Potem stworzę sekwencję kombinatorów. Dojdziemy do tego, nawet siłą, jeśli będzie trzeba. W końcu wykonałam już dziewięćdziesiąt procent pracy.

– To dobrze – powiedziałem. – Jak myślisz, o co mu chodziło z tą kopią?

Natasha popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Nie załapałeś? To znaczy, że został zduplikowany. Wskrzeszono go gdzie indziej.

Zmarszczyłem czoło.

– Skąd mógł o tym wiedzieć? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie jego umysł był przechowywany w innym systemie. Dane, gdziekolwiek je trzymano, były aktualizowane od jego ostatniego wskrzeszenia. Dlatego pamiętał, że przywrócono go do życia w innym miejscu, ale nie to, że umarł. Nasz system wybrał najnowszą kopię jego umysłu i odbudował go tutaj.

Myśl o tym przeraziła mnie.

– To znaczy, że mieliśmy tu klona? Nielegalną kopię? Przecież to galaktyczne przestępstwo!

Natasha parsknęła.

– Nie zgrywaj zbulwersowanego. Sam masz za uszami parę przestępstw w skali galaktycznej. Poza tym pamiętaj, że ja też mogę mieć swojego klona w układzie Zeta Herculis. Pewnie zdążył już zamarznąć albo się usmażyć... ale być może nigdy nie poznamy prawdy.

Z jakiegoś powodu ta rozmowa wywołała u mnie niepokój. Byłem chyba przekonany, że jestem jedynym prawdziwym Jamesem McGillem. I że kiedy ginąłem i powracałem, było tak, jakbym śnił

w jednym życiu, a obudził się w innym. Jednak kiedy musiałem przyjąć do wiadomości, że po kosmosie błąka się kilka kopii Clavera, mój wszechświat rozsypał się jak domek z kart.

– Muszę przestać o tym myśleć – powiedziałem, siadając i masując skronie.

Na szczęście wtedy zadzwoniła Turov. Rozmowa zepchnęła na dalszy plan wszystkie moje inne zmartwienia.

– McGill – odezwała się – staw się natychmiast u mnie.

– Przepraszam – powiedziałem, krzywiąc się.

– Za co?

– Za Clavera. Nie mogliśmy go powstrzymać przed odebraniem sobie życia.

– W nosie go mam! Okręt, który skradał się przez układ, w końcu nawiązał z nami kontakt. Musisz tu niezwłocznie przyjść!

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem do drzwi. Otworzyły się, a ja w kilku susach dotarłem do windy.

– Jadę już do modułu dowódców – zameldowałem przez mikrofon.

– Nie! Przyjdź do centrum dowodzenia!

– O co chodzi, pani imperator? – zapytałem. – Czego chcą ci Nairbowie?

– To nie Nairbowie, James – odparła. – Ani Galaktycy. Potrzebuję twojej pomocy, bo już miałeś do czynienia z tymi istotami. Czekam na moim stanowisku. Bez odbioru.

Zaniepokojony, pobiegłem do sali narad. Jeśli statek nie pochodził z Imperium, to kto mógł na nim być? I co miała na myśli Turov, mówiąc, że już miałem z tym kimś do czynienia?

Przyszła mi na myśl odpowiedź, która mi się nie spodobała, ale która – wiedziałem to w głębi serca – była prawidłowa.

Przyspieszyłem kroku, gnając przez korytarze na pełnych obrotach. Gdy włączyłem egzoszkielec, ledwo mogłem panować nad metalowymi nogami.

Potrąciłem dwójkę ciężkozbrojnych, spychając ich na ścianę i wykrzykując przeprosiny, ale wciąż nie zwalniałem.

Jeśli miałem rację, nie było czasu do stracenia.

Gdy dotarłem do centrum dowodzenia, Turov już na mnie czekała. Nie musiała nic mówić. Monitor na przeciwległej ścianie klarownie przedstawiał sytuację.

Cały ekran wypełniała groźnie wyglądająca postać. Kosmita pokaźnych rozmiarów. Roztaczał wokół siebie nieopisanie złowrogą aurę. Było coś wyjątkowo niepokojącego w tym, jak jego grube, ciemne macki unosiły się i szorowały po pokładzie wokół.

Istota była głowonogiem – powszechnie znanym wśród legionistów Varusa jako „kosmokalmar”. Myślałem, że wszyscy jemu podobni zostali unicestwieni. Rok wcześniej widziałem na własne oczy, jak na ich oceaniczny świat spadły żarbomby, niszcząc wszelkie życie i przygotowując planetę na coś, co Galaktycy nazywali „ponownym zasiewem”.

W sterowni stawili się wszyscy oficerowie dowodzący, których udało się do tej pory wskrzesić. Byli tam Turov, Graves, a nawet Leeson. Nic dziwnego, że posłali po mnie. Nie znałem gorszych dyplomatów niż ta trójka, może nie licząc samej Turov. Byli wojownikami i zabójcami, ale niezbyt dobrze znali się na sztuce gładkiej gadki.

Popatrzyłem na Turov, a ona odwzajemniła spojrzenie ciemnych, niewzruszonych oczu. Widziałem, że się boi, ale dobrze to ukrywa. Wyglądała zbyt młodo, żeby zgrywać wyrachowaną.

– Specjalisto McGill – zwróciła się do mnie wyniośle. Machnęła ręką w stronę istoty widocznej na ścianie. – Oto ambasador Ślizg... tak przynajmniej nasze systemy tłumaczące przełożyły znaczenie jego imienia.

– Wasza ekscelencjo – powitałem rozmówcę, kłaniając się obrazowi na ekranie.

Imperator posłała mi dyskretny uśmiech. Wiedziałem, że cieszy ją moje dyplomatyczne podejście do sprawy.

– Pozwól, że objaśnię sytuację – powiedziała. – Okręt wojenny głowonogów przebywający w tym układzie wpadł do nas

z niezapowiedzianą wizytą. Ze względu na dawne zaszłości i ewentualne nieporozumienia ci kosmici uważają, że technicznie rzecz biorąc, są w stanie wojny z Imperium Galaktycznym.

Kiedy mówiła, oczy robiły mi się wielkie jak spodki. To oznaczało, że planeta, którą spopielili Nairbowie, musiała być kolonią tych istot, a nie ich światem ojczystym. Co więcej, obecność okrętu wskazywała, że musieli mieć jeszcze jakieś podstawy, by przeprowadzać operacje w tym obszarze.

Czy to możliwe, że aż tak się przeliczyliśmy podczas naszej konfrontacji z kalmarami? Założyliśmy, że są gatunkiem zamieszkującym jedną planetę. Na Rubieży 921 wieloświatowe cywilizacje należały do rzadkości. Tak właściwie, o ile było mi wiadomo, Ziemia ze swoją samotną placówką kolonizacyjną na Zeta Herculis była jedyną cywilizacją poziomu drugiego w tym regionie.

Czy to wszystko mogło być jedną wielką pomyłką? Patrząc na kalmara, który na razie milczał, stwierdziłem, że rzeczywiście znajduje się na okręcie zbudowanym dla istot jemu podobnych. Miał pod swoim cielskiem chlupoczący zbiornik z wodą, na której się unosił. Głownogi były stworzeniami wodno-lądowymi, ale czuły się lepiej w wodzie niż na lądzie.

– To była tylko jedna z ich kolonii... – powiedziałem na głos.

Graves i Turov byli wyraźnie zaniepokojeni, a Leeson, mrużąc oczy, spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Specjalisto – powiedziała Turov głośno. – Wyjaśnię ci, dlaczego tu jesteś. Ambasador zażądał spotkania ze wszystkimi, którzy byli świadkami wydarzeń na Zeta Herculis, i nie przyjmuje do wiadomości, że wyłącznie obecnemu tu Gravesowi znane były szczegóły...

Kalmar uniósł jedną z grubych macek i przemówił:

– Czekać!

Wszyscy spojrzeliśmy na niego.

– Niechaj duże stworzenie mówi – nakazał kalmar. – Pragnę prześledzić jego procesy myślowe, dokonując bezpośredniego przeglądu ich rezultatów.

Turov spojrzała na mnie zmartwiona. Byłem niemal pewien, że zdążyła już pożałować zaproszenia mnie na tę imprezę.

– Niech i tak będzie – powiedziała. – Tłumacz się, McGill.

– Po prostu głośno teoretyzowałem – wyjaśniłem. – Proszę o wybaczenie. Nie powinienem był przerywać.

– Lecz w istocie przerwałeś! – stwierdził kalmar. – Jest to jednakże bez znaczenia, gdyż dotychczasowe postępowanie nie przyniosło owoców. Dokończ swą wypowiedź, stworzenie.

– Hmm... Miałem zamiar powiedzieć, że teraz wszystko nabrało już dla mnie sensu. Skoro mieliście jeden duży okręt w układzie Zeta Herculis, to powinniśmy się domyślić, że możecie mieć ich więcej. Skoro potrafiliście szybko przemieszczać się między planetami, to równie dobrze moglibyście podróżować między gwiazdami.

– Rozumiem – odparł kalmar. – I dlatego wysnuliście przypuszczenie, że mój rodzaj zamieszkuje co najmniej dwa światy, a być może więcej.

– Teraz wydaje się to logiczne, sir.

Głownóg wytrzeszczył gały z wyrzutem na moich oficerów.

– Czy na tym polegał wasz błąd w obliczeniach? – zapytał. – Czy wasz podwładny oddał strzał, którym dosięgnął liczby dziesięć? Czy zwykła niekompetencja wywołała u was przekonanie, że możecie bezkarnie przypuścić atak na nasze królestwo?

Turov wystąpiła naprzód.

– Nie wydaliśmy rozkazu ataku na wasz lud – zapewniła zdecydowanym tonem. – Zrobili to Nairbowie i nadinspektor Xlur. To oni są bezpośrednimi przedstawicielami Imperium.

– Jak zatem należałoby sklasyfikować waszą rolę w tej sprawie? – zapytał kalmar.

Musiałem się odezwać. Czasem mam taką palącą potrzebę. Wystarczy spytać kogokolwiek, kto kazał mi stulić mordę więcej niż raz – lista takich osób jest długa i nie brakuje na niej znamienitych nazwisk.

– Jesteśmy najemnikami, panie ambasadorze – powiedziałem.

Głownóg obrócił się znów w moją stronę i uniósł mackę wyżej.

– Jeśli chodzi o to słowo... ambasador... Dopiero teraz byłem w stanie je przetłumaczyć. Nie jestem ambasadorem.

Miałem w zanadrzu kilka innych określeń, ale udało mi się utrzymać język na wodzy, tak samo jak innym, którzy nerwowo gapili się na ekran.

– Skoro nie jest pan ambasadorem, to kim? – zapytała Turov bez ogródek.

– Jestem pogromcą. Rolą moją jest koordynowanie zniewolenia wszystkich stworzeń, jakie przyjdzie mi spotkać.

„Łowcy niewolników” – pomyślałem. To by się zgadzało. Kiedy pierwszy raz miałem do czynienia z kalmarami, ich statek był pełen zmodyfikowanych ludzi, których faktycznie traktowano jak niewolników.

– Wasz lęk jest aż nazbyt widoczny – stwierdził kosmita, taksując nas. – Fakt ów chłodzi me ciało. Nie ma wszak żadnej przyjemności w podporządkowywaniu sobie istot nieświadomych czyhającego na nie zagrożenia.

– Przemoc jest tu niepotrzebna – zapewniła Turov. – Niech jednak będzie panu wiadomym, że ten okręt jest w stanie się obronić.

Głownóg sieknął uniesioną macką jak biczem.

– Toż to nonsens. Gdybyście mieli skuteczną broń, użylibyście jej, by nas zniszczyć po wykryciu naszej obecności w tym układzie. Jednakże okazywaliście słabość na każdym kroku. Pobliskie orbitalne siedlisko tętni życiem, ale nie macie nad nim kontroli. Zamiast tego zostaliście przezeń zaatakowani. To ze wszech miar wskazuje na waszą politowania godną słabość.

– Nie uderzyliśmy na stację, ponieważ jest dla nas cenna. Chcemy odzyskać nad nią kontrolę, nie zaś ją niszczyć.

– Ha! – wybuchnął Ślizg. – A zatem przyznajesz, że nie macie władzy nad tym siedliskiem? Wyśmienicie. Kolejna oznaka słabości. Jako rzekłem, okazujecie ją przy każdej okazji. Ledwie mogę uwierzyć, że tak lichy istoty zdołały stawić opór furii głownogów przy naszym poprzednim spotkaniu.

– Słuchaj no, kalmarze – powiedziałem. – Damy radę bez problemu się obronić, ale wyjaśnijmy sobie jedno. To nie my zbombardowaliśmy wasz świat w Zeta Herculis. Tamtym okrętem kierowali Nairbowie, którzy działali, nie pytając nas o zdanie. Rozkaz do ataku musiał wydać inspektor Xlur.

– Po czym wnosisz? – zapytał kalmar.

– Byłem tam. Wyglądałem przez okno, gdy nasz okręt przelatował w pobliżu. Patrzyłem na spadające żarbomby. Było ich dziewięć.

– Interesujące. Twoja relacja idealnie pokrywa się z przekazami otrzymanymi od osadników w ostatnich chwilach ich życia. Założmy przez chwilę, że wierzę, iż byłeś naocznym świadkiem tamtej czystki. Niewyjaśnioną pozostaje jednak dla mnie powtarzana przez ciebie sugestia, jakobyście byli istotami niezwiązanymi z Galaktykami i ich słabnącym Imperium. Określiłeś was mianem najemników. Rzekłeś, że nie wydaliście rozkazu do ataku. Neutralność? Rebelia? Czy są to określenia opisujące wasze stanowisko polityczne względem Galaktyków?

Wszyscy popatrzyliśmy na Turov. Ja już dość się nagadałem.

Imperator odchrząknęła.

– Tak – przyznała. – Jesteśmy niezależni. Prowadzimy interesy z Imperium, ale nasze światy nie ponoszą winy za jego działanie.

Przyglądałem się jej, myśląc nad jej słowami. Oczywiście kłamała jak z nut. Przecież byliśmy aktywną częścią Imperium. Cholera, dopiero co przyjęliśmy na siebie rolę lokalnych egzekutorów. Z całą pewnością mieliśmy obowiązek odeprzeć atak okrętu kalmarów i chronić miejscowych. Jednak Turov, jak to zwykle ona, nie miała ochoty nadstawiać karku.

– Stawiacie mnie w niezręcznej sytuacji – powiedział kalmar. – Sądziłem, iż moje decyzje zostaną objaśnione podczas niniejszej telekonferencji, jednakże zamiast tego zmąciliście wodę jeszcze bardziej.

– Powinniśmy skorzystać z okazji i porozmawiać – odparła Turov.

– Nie darzymy Imperium uwielbieniem. Odcinamy się od niego. Możecie naprawdę skorzystać na współpracy z nami. I na danych, które zebraliśmy.

Najwyraźniej się zaprzedawała. Może wiedziała na temat tej sytuacji więcej niż ja? Choć szczerze w to wątpiłem.

Jeśli się nie myliłem, próbowała to bezpiecznie rozegrać. Musiałem przyznać, że postąpiła rozsądnie. W końcu Ziemia mogła być zagrożona. Flota Bojowa 921 odleciała, wezwana do Układów Centralnych. Z drugiej strony, kalmary przyleciały okrętem. Może była to ich jedyna jednostka tego typu, a może mieli takich jeszcze tysiąc.

– Rozważę twoje słowa, stworzenie – oznajmił pogromca Ślizg. – Nie prowokujcie nas. Nie zbliżajcie się do tego okrętu.

– Cieszę się, że nie zmusiliście nas jeszcze do zniszczenia waszego okrętu – odparła Turov. – Byłoby to doprawdy niefortunne. Niech mi pan powie, Ślizg, ile układów gwiazdnych zamieszkuje wasz gatunek.

Macki kalmara przez chwilę się kotłowały.

– Opływamy wiele światów. Więcej niż wy i podobne wam zwierzęta z nogami... ale nie aż tyle, ile jest we władaniu Galaktyków.

Turov zaakceptowała tę odpowiedź, choć była trochę niejasna. Jeśli wierzyć słowom kalmara, to jego królestwo mogło zajmować obszar od trzech do miliona gwiazdnych układów.

– Serdecznie zapraszamy na rozmowę w późniejszym terminie – powiedziała Turov.

– Uczynimy tak, jeżeli będzie to dla nas dogodne – odparł głowonóg, po czym ekran zgasł.

Zaraz potem troje oficerów westchnęło i rozeszło się, kręcąc głowami.

– Mówiłem, żeby nie zapraszać McGilla – utyskiwał Leeson. – Mało brakowało, a skończylibyśmy jako karma dla kalmarów.

– Adiunkcie Leeson – powiedziała Turov – może pan odejść.

Leeson popatrzył ze zdziwieniem najpierw na nią, a potem na mnie. Wyszedł, kręcąc głową i mamrocząc pod nosem.

Graves studiował okręt na wyświetlonym schemacie układu.

– Siedzą na dalekiej orbicie – stwierdził. – Szkoda, że „Minotaur” nie jest prawdziwym krążownikiem bojowym. Moglibyśmy szybko ich załatwić, gdybyśmy mieli wyposażenie odpowiednie do podboju kosmosu. Ten okręt nadaje się raczej do obsługi wojsk. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie uzbrojenie mają głowonogi.

Turov zwróciła się do mnie:

– McGill, jak zwykle dałeś popis kompletnego braku dyplomacji, ale przynajmniej powiedziałeś kalmarowi to, co chciał usłyszeć. Twój opis bombardowania przekonał go, że widziałeś je na własne oczy.

– No tak – odparłem. – Mam nadzieję, że zyskaliśmy trochę na czasie. Jaki mamy plan, pani imperator?

Potraktowała to pytanie bardzo poważnie. Widziałem, że ostro nad tym myślała. Zawsze była raczej karierowiczką, ale tym razem

sytuacja się zmieniła. Nie chodziło tu o zbieranie laurów, ale o przetrwanie.

– Prawda jest taka – zaczęła – że już od ponad wieku Ziemia działa tutaj, na granicy, polegając na improwizacji.

Podeszła do konsoli i zaczęła przy niej majstrować. Obraz okrętu kalmarów, nad którym ślęczał Graves, zniknął. Centurion rzucił Turov poirytowane spojrzenie, ale ona tego nie zauważyła. Zresztą i tak by się tym nie przejęła.

W miejsce okrętu pojawił się potężny wir gwiazd. Było na nim wiele świetlnych punktów, a wszystkie zdawały się stapiać w kształt wiatraczka.

– Oto nasza Galaktyka – oznajmiła imperator. – Imperium ma w posiadaniu większość układów gwiazdnych po części ze względu na tak wysokie zagęszczenie gwiazd blisko centrum. Wciąż jednak istnieją liczne niezbadane terytoria poza Ziemią, która znajduje się w połowie drogi od centrum do krawędzi. Mniej więcej jedna czwarta wszystkich układów gwiazdnych w Galaktyce znajduje się poza zasięgiem Imperium. Ze względu na realia wokół starszych centralnych gwiazd wiele z tych odległych układów uważa się za zamieszkałe. A my najwyraźniej zetknęliśmy się z nowym nieprzyjacielem. Jakiego słowa użył ten kalmar do określenia swojego ustroju politycznego?

– Królestwo – odpowiedziałem.

– Właśnie. Królestwo. A zatem Ziemia została złapana w kleszcze pomiędzy rozległym Imperium a królestwem o nieznanych rozmiarach. Załóżmy, czysto teoretycznie, że skolonizowali sto gwiazd.

Użyła rysika, żeby podświetlić gwiazdy układające się w elipsę za lokalizacją Ziemi, bliżej krawędzi Drogi Mlecznej. Gwiazdy rozjarzyły się na czerwono.

– A tu mamy dwie samotne gwiazdy.

Przesunęła palcami i Sol zapaliła się na zielono razem z Zeta Herculis. Następnie Turov dotknęła styku i ogromna ilość gwiazd zaświeciła się na niebiesko. Całe centrum Galaktyki było niebieskie – miliony słońc.

– Widzicie? – zapytała Turov. – Królestwo głowonogów jest absurdalnie małe w porównaniu z Imperium, jednak nie ma to

znaczenia, bo z kolei my jesteśmy absurdalnie mali w porównaniu z ich królestwem. Konfrontacja z nową jednostką polityczną, pełną wrogich kosmitów, to z pewnością najgorsza rzecz, jaką jestem w stanie sobie wyobrazić. Zwłaszcza że nasi obrońcy są wielkimi nieobecnymi. Z tego, co wiemy, znaleźliśmy się w beznadziejnej sytuacji.

Graves przyglądał się mapie z zainteresowaniem.

– Sądzi pani, że jest aż tak źle? – zapytał.

– Musimy to założyć – odparła imperator.

Podszedłem bliżej. Nie podobało mi się to, co zobaczyłem. Nasze światy były dwiema małymi kropkami – wyglądały jak wyblakłe ziarenka piasku na wielkiej plaży.

– Jesteśmy jak jajko wciśnięte między dwa głazy – stwierdziła Turov, jakby na potwierdzenie moich myśli. – Jeśli dojdzie do starcia tych dwóch tytanów, zostaniemy zmiażdżeni w ciągu pierwszych lat konfliktu.

– Kalmary wyglądają na twardzieli – powiedział Graves w zamyśleniu. – Na pewno wiedzieli o Imperium, kiedy zetknęliśmy się z nimi po raz pierwszy. To oznacza, że mają zwiadowców, albo przynajmniej działające sondy.

– Zgadzam się. Musieli mieć jakieś pojęcie, na co się porywają. Choć i tak zaatakowali „Corvusa” – odparła Turov, również nad czymś się zastanawiając. – Dla mnie sam ten fakt wskazuje na to, że ich królestwo jest na tyle duże, by mogli rozważać przygraniczne przepychanki z Imperium.

– Dla nich była to kwestia wyboru: walczyć albo ulec – powiedział Graves. – Wygląda na to, że sądzili, iż mogą stanąć do walki z Imperium. Teraz sądzę, że orientują się w sytuacji lepiej niż my. Nie mieliśmy pojęcia, jak bardzo Imperium osłabło wzdłuż granicy, dopóki inspektor Xlur sam tego nie przyznał i nie mianował nas lokalnymi egzekutorami. Kalmary na pewno mają szpiegów. Ich drony mogą pełzać wśród nas nawet już teraz. A my nie mamy nic.

– To nie do końca prawda – odpowiedziała Turov. – Hegemonia wie więcej, niż nam się wydaje. Jednak teraz najważniejszą sprawą jest dokonanie najrozsądniejszego wyboru w tej krytycznej chwili.

Graves spojrzał jej w twarz.

– Pani imperator Turov, skoro już o tym mowa, chciałbym złożyć oficjalny wniosek o wskrzeszenie trybuna Drususa w następnej kolejności. Potrzebujemy jego intuicji.

– Intuicji? Kiedy jeszcze dychał ostatnim razem, Claver zastrzelił go jak psa. Tego jakoś nie przewidział.

– Możliwe. Jednak to myśliciel. Spędził na granicy więcej lat niż ktokolwiek z nas.

Turov przetrawiała chwilę jego słowa. Potem zwróciła się do mnie.

– A co ty o tym sądzisz, James? – zapytała.

Zaskoczony, pokręciłem głową.

– Ja chcę tylko wykonać swoje zadanie. Proszę pozwolić mi wziąć drużynę i polecieć na stację, abyśmy mogli zatrzymać rzeź Tau. Choć tyle mogę zrobić. Może oni nam pomogą?

Turov parsknęła.

– Tau? Mieliby pomóc? Raczej spróbują pobrać opłatę za pozwolenie na zadokowanie pinasy. A może jeszcze pozwą nas za naruszenie umów licencyjnych w związku z tymi twoimi przerobionymi projektorami.

– Mimo to proszę o pozwolenie na przeprowadzenie misji.

Przez chwilę patrzyła na mnie i wreszcie skinęła głową.

– Leć. Jeśli stacja znajdzie się chociaż pod jakąś namiastką kontroli, może kalmary pomyślą, że nadal jesteśmy groźni.

Szybko wyszedłem, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Niecałą godzinę później Natasha miała już działający model swojego holograficznego aparatu reprogramującego. Zabraliśmy ze sobą drużynę ciężkozbrojnych, w tym Kivi i Carlosa, wsiedliśmy na pinasę i wystartowaliśmy w stronę stacji.

Szybowaliśmy przez kosmos, zachowując czujność i wypatrując ewentualnego ataku. Nie dostrzegałem okrętu kalmarów. Był daleko w przestrzeni kosmicznej i skradał się wokół planety po długiej, eliptycznej orbicie.

– Stacja wygląda na ciemniejszą niż ostatnim razem, kiedy widziałam ją z kosmosu – zauważyła Natasha.

– Masz rację – powiedziałem. – Na pewno wyłączyli sporo układów zasilania. Oby systemy podtrzymywania życia nadal działały.

– Przestudiowałam schematy stacji, zanim opuściliśmy Ziemię. Urządzenia podtrzymujące życie zostaną dezaktywowane jako ostatnie.

Pomyślałem o tych ogromnych maszynach w rejonie znanym jako Wyloty.

– A jeśli dolna część zacznie się przegrzewać? Czy wtedy moduły podtrzymywania życia nie padną? – zapytałem.

Natasha rzuciła mi zatroskane spojrzenie i oblizwała wargi. Potem potrząsnęła głową.

– Gorzej. Jeśli dolny kraniec stacji zetknie się z atmosferą, ciśnienie rozerwie całą konstrukcję na strzępy. To będzie jak zanurzenie pajęczyny w rzece – za wysokie ciśnienie i zbyt mocne tarcie. Stacja zacznie się rozpadać.

Pokiwałem głową.

– Rozumiem. Cóż, po prostu będziemy musieli się sprężyć.

Czas włókł się niemiłosiernie, tak samo jak nasza pinasa. Pomyślałem, że najlepszym posunięciem byłoby dodać gazu, pomknąć z rykiem silników, wykonać obrót w ostatniej sekundzie i wylądować z silnikami wciąż pracującymi pełną parą. Po co mielibyśmy dawać im szansę, by nas zauważyli i odpowiedzieli na

nasz ruch? Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że nie ja byłem pilotem.

Kilka minut później wylądowaliśmy na zewnętrznym poszyciu stacji. Nasze przybycie obwieścił grzechot i łomot. Słyszałem syk uchodzących gazów.

– Jesteśmy! – oznajmiłem drużynie. – Włączcie magnesy w podeszwach i sprawdźcie parametry mocy. Dalej idziemy piechotą. Pamiętajcie, Natasha jest podczas tej misji naszą „królową pszczół”. Jeśli znajdzie się w tarapatach, musicie ją ratować nawet za cenę własnego życia. W przeciwnym razie wszystko pójdzie na marne.

– Łatwo ci mówić, McGill – burknęła Kivi.

Popatrzyłem na nią, ale nie odpowiedziałem. Domyśliłem się, że nadal jest na mnie trochę cięta z powodu dawnych zaszłości. W duchu machnąłem na to ręką. Mogła mnie nienawidzić do woli, byle tylko wykonywała rozkazy.

Postępując, wyszliśmy z pinasy i uczepiliśmy się kadłuba. Po mojej lewej ziała otchłań kosmosu, a po prawej rozciągała się szerokim, błękitno-białym łukiem powierzchnia planety. Miałem wrażenie, że zaraz się potknę i będę spadał w nieskończoność. Świadomość, że coś takiego rzeczywiście mogło się wydarzyć, wcale mi nie pomagała.

Kiedy nasze systemy nawigacyjne zorientowały się już, co i jak, poprowadziły nas do wjazdu konserwacyjnego. Próbowaliśmy go otworzyć, lecz ani drgnął.

– McGill? – powiedziała Natasha. – Chyba został zaspawany. Od wewnątrz.

– Super – stwierdziłem.

Podszedłem do niej i przyklęknąłem. Razem z Carlosem użyliśmy egzoskieletów i zaczęliśmy ciągnąć za kolisty uchwyt.

– Na trzy! – zawołałem. Obaj warczeliśmy i stękaliśmy z wysiłku. Buty się ślizgały, ale udało się wreszcie zaprzeć o pobliskie rozpórki. Po jakichś dwudziestu sekundach usłyszeliśmy świdrujący uszy zgrzyt.

– Już! – krzyknął Carlos.

Uniosłem okrągły uchwyt. Wyślizgnął się z mojej dłoni i poszybował w przestrzeń.

– A jakże – powiedziałem, odpychając uchwyt. – Oderwaliśmy go wręcz idealnie.

Poszedłem poszukać innego wjazdu. Wkrótce go znaleźliśmy, mniej więcej dwieście metrów wyżej w poszyciu stacji. Ten także był zaspawany.

– Jesteśmy w czarnej dupie! – utyskiwał Carlos, wlokąc się za mną.
– W bezdennej, czarnej dupie! Wyszliśmy na durniów! To kompletny absurd! Ci zasrani Tau, którzy to zrobili, siedzą pewnie w środku, obserwują nas przez kamery monitoringu i zaśmiewają się do rozpuku!

– Wątpię – odparłem. – Jakoś nie ciągnie ich do żartów. Zwłaszcza kiedy noszą te swoje rebelianckie barwy. Odsuń się. Mam pomysł.

Carlos odskoczył do tyłu z zabawną nerwowością.

– Ludzie, chodu! McGill coś wymyślił! Wszyscy zginiemy... znowu!
– krzyknął.

Zaśmiałem się, wyciągając coś, co miałem w swoim ekwipunku. Była to broń krótkolufowa z końcówką ze stopionego metalu.

– Czy to jeden z tych wihajstrów od piorunów? – zapytał Carlos. – Tych, które Tau przynieśli...

Nie dokończył, bo zamiast odpowiedzieć, posłałem wiązkę energii. Trafiłem w drugi wjazd, którego nie mogliśmy otworzyć. Odrzut nie był aż taki zły, ale kiedy popieścił mnie prąd, który przepłynął od poszycia do moich butów, a potem palców u stóp, trochę zabolalo.

– Kurwa mać! – zaskrzeczał Carlos, przeskakując z nogi na nogę. – Pokopało mnie przez ciebie! Ty chory skur...

Podskoczyłem lekko, aby unieść się nad poszyciem stacji, a potem nacisnąłem spust ponownie. Broń znowu ożyła. Tym razem nie odpuszczałem, dopóki wskaźnik energii nie spadł do zera, a rozjarzony łuk błękitnobiałej energii elektrycznej nie osłabł, zmieniając się w kilka smętnych iskieł.

– Ty gnojku! – zawołał Carlos, stąpając ciężko w moim kierunku. Musiał zadrzeć głowę, żeby na mnie popatrzeć. – Giry mi całe zdrętwiały i jeszcze mnie zęby bolą!

Wskazałem na dymiącą dziurę pode mną. Środek wjazdu został przepalony na wylot.

– Przestań marudzić i włóż tam rękę. Powinieneś dać radę rozwalić zawiasy.

Gderając pod nosem, wykonał moje polecenie. Tymczasem Natasha rzuciła mi linę, po której przeciągnąłem się z powrotem.

– Mogłeś nas usmażyć przez swój popis – skarciła mnie. – Albo przynajmniej siebie.

– No – przyznałem. – Ale nie mamy wiele czasu. Jeśli nie uda nam się przedostać na stację, to równie dobrze możemy tu sobie umrzeć.

Kilka minut później wyważyliśmy dymiący właz. Wślizgnęliśmy się w służę powietrzną, a potem w ciąg korytarzy. Na szczęście nie natrafiliśmy na opór.

Błądziliśmy przez jakiś czas po labiryncie tuneli, aż w końcu znaleźliśmy wyjście na opuszczone ulice. Pierwsze oznaki obecności nieprzyjaciela dotarły do nas, gdy zobaczyliśmy liczną bandę Tau kroczących ulicą, tłukących szyby aerowozów i oddających się ogólnie demolce wszystkiego. Wyglądali, jakby się świetnie bawili.

Jednak kiedy tylko nas zauważyli, ich nastrój uległ zmianie. Zastygli jak jeden mąż i zwrócili się w naszym kierunku. Już wcześniej widziałem takie zachowanie. Chcieli przypuścić na nas szarżę.

– Włączaj ten aparat, Natasha! – poleciłem.

– Przecież włączyłam! – syknęła w odpowiedzi.

– No to, kuźwa, chyba coś nie styka – zawołał Carlos.

– Może trzeba poczekać... – zacząłem, ale on zdążył już wyciągnąć i wycelować karabin.

Chwyciłem lufę i przygiąłem ją w dół.

– Wstrzymaj ogień! To rozkaz!

– Powaliło cię? Wszyscy wylądujemy na permach!

– Nigdzie nie wylądujemy – zapewniłem go z przekonaniem, którego tak naprawdę nie czułem. – Natasha przesyła nasze dane. Ożywią nas na „Minotaurze”, jeśli...

Niestety, czas, który dał mi gang liczący około trzystu rebeliantów, właśnie wtedy minął. Ruszyli na nas milczącą falą. Zobaczyli kogoś innego niż oni, namierzili cel i jednomyślnie postanowili przejść do działania.

– Za nami! – wrzasnęła Kivi.

Obróciłem się w jej stronę. Zza rogu wychynęła kolejna zgraja buntowników, większa niż pierwsza grupa. Może to na nich czekali Tau, których spotkaliśmy jako pierwszych? Tego już się nie dowiem.

Bandy uderzyły na nas z dwóch stron. Powodowani zachłanną, lekkomyślną żądzą krwi, tak bardzo chcieli nas dorwać, że przewracali jeden drugiego i tratowali własnych towarzyszy.

Już wcześniej widziałem coś takiego. Przez to, że nie dbali o własne bezpieczeństwo, byli jeszcze groźniejsi. Na szczęście nie zauważyłem, żeby mieli przy sobie jakąś zaawansowaną broń. Byli zwykłymi obywatelami, których cyfrowy wirus Clavera zmienił w zdiczających szaleńców.

– Dobra! – zawołałem, gdy Tau do nas podchodzili. – Wyciągnąć noże bojowe! Jeśli będą walczyć w zwarciu, możecie ich załatwić!

– Jakie to uczynne z twojej strony, McGill – odparł Carlos z goryczą.

Przygotowaliśmy się do walki, stając w kręgu, plecami do siebie. Połyskujące, śmiertelne ostrza wysunęły się z naszych ramion. Upewniłem się, że Natasha i jej urządzenie znajdują się pośrodku kręgu. Pudełko, którym opiekowała się, odkąd opuściliśmy „Minotaura”, brzęczało i świeciło, jednak sądząc po zbliżających się zastępach nieprzyjaciół, na razie niewiele pomagało.

– Przytrzymajcie ich! – krzyknąłem. – Czekaście!

Fala ciał zalała nas jak gwałtowny przypływ. Choć byłem w pancerzu, zakołysałem się w tył. Rebelianci wspinali się po zwłokach kamratów, gdy ich zarzynałem.

Z całych sił starałem się powstrzymać tych, którzy usiłowali nas stratować i dotrzeć do środka formacji. Nie mogłem pozwolić, żeby dopadli Natashę. Nie było to proste, bo stosy ciał szybko rosły, a ostatnia grupa wspierała się po poległych tak, że niemal mogli ześlizgnąć się do środka po naszych hełmach.

Pomyślałem, że może wiedzą, co się święci. Ale jak mieliby na to wpaść?

Chwilę później przełamali nasz szyk. Nie wiem, kto zawiódł, ale nie miało to znaczenia. Ktoś pewnie potknął się albo poślizgnął na krwi i flakach, potem upadł i zrobił wyrwę w kręgu.

Kłuję i siekłem, skróciwszy ostrza do pół metra i utwardzając je. Próbowiałem dopchać się do wyrwy i zamknąć ją, ale ledwie mogłem się ruszyć. Wokół mnie było tak wiele wijących się ciał – żywych i martwych – że utknąłem na swoim stanowisku.

– Mają mnie, James! – usłyszałem rozpaczliwe wołanie Natashy. – Przejęli skrzynkę!

Serce mi zamarło. Wyglądało na to, że wszyscy zginiemy, zmiażdżeni przez stado tysięcy psycholi. Cóż to będzie za śmierć...

Jednak wtedy coś się zmieniło. Nie wiem, skąd to wiedziałem, ale miałem nieodparte wrażenie, że tak jest.

– Zwalniają! – stwierdził Carlos. – Tracą siły. Teraz się odegramy!

– Stop! – wrzasnąłem. – Jeśli spróbują uciekać, pozwól im na to!

Hansen padł. Tak samo Gorman. Ponieważ dowodziłem drużyną, u dołu wyświetlacza, teraz popękanego od uderzeń, widziałem listę nazwisk żołnierzy. Siedem z nich wyświetlało się na czerwono, co oznaczało, że ich właściciele polegli. Reszta nadal świeciła na zielono, w tym także nazwisko Natashy.

– Odpełzają! – powiedziała Kivi. – Wykończmy ich, zanim się przegrupują.

– Nie! – ryknąłem. – Dajcie im odejść. To rozkaz!

Wkrótce było po walce. Zostaliśmy ze stosem ciał. Musieliśmy się wspinać po nich na czworakach, gdy szczątki przesuwwały się pod nami i ześlizgiwały się pod ciężarem poobijanych pancerzy.

Kiedy w końcu mogliśmy ponownie dojrzeć sztuczne niebo, rozglądaliśmy się z tępych niedowierzaniem.

W pobliżu stali rebelianci, ale wyglądali inaczej. Nie nosili się już na bordowo i srebrno, tylko na niebiesko-szaro. Niczym żywe posągi z granitu wyrzeźbione w humanoidalne kształty, stali wszędzie wokół, najwidoczniej zupełnie zdezorientowani.

– Mieszkańcy Tau Ceti – przemówiłem głośno przez głośnik w moim pancerzu. – Słuchajcie mnie! Zostaliście wyzwoleni!

Patrzyli po sobie, osłupiali i oszołomieni.

– Potrzebujemy waszej pomocy – ciągnąłem. – Musicie pójść do innych. Podkradajcie się do nich. Uściskajcie swoich bliskich! Uwolnijcie ich tak, jak my uwolniliśmy was! Wasze projektory będą przekazywać lekarstwo dalej i wszyscy zostaniecie ocaleni!

Zignorowali mnie i cofnęli się. Ociekali posoką poległych towarzyszy. Gapili się na siebie ze strachem i niedowierzaniem.

– Spanikowali! – stwierdził Carlos. – Za bardzo się boją, żeby pomóc.

– Może to i tak podziała – powiedziała Natasha. – Wirus, którego wprowadziłam do ich holoubrań, zarazi każdego, z kim się zetkną. Ale to trochę potrwa.

– To nie wystarczy – odparłem, brnąc przez ciała w kierunku wycofujących się Tau. – Musicie z nami współpracować! – wołałem za nimi. – Stójcie!

Mężczyzna Tau najbliżej zatrzymał się i spojrzał na mnie uważnie.

– Co oferujesz nam w zamian, Ziemianinie? – zapytał.

Potrząsnąłem głową i parsknąłem z niedowierzaniem.

– Życie! – krzyknąłem. – Wolność! Odzyskacie swoje miasto.

Tym razem to on potrząsnął głową.

– Idźcie z tym do kogoś innego. Jeśli wam pomogę, to zginę. Nikt wam nie pomoże, jeśli nic nie będzie z tego miał.

– I tak zginiecie – powiedziałem. – Zdołasz przetrwać tylko, jeśli będziesz współpracować!

Tau ponownie pokręcił głową i odwrócił się, zamierzając odejść.

– Nie rozumiesz nas. Pomógłbym, gdybym sądził, że inni też to zrobią. Ale wiem, że tak nie będzie. My tak nie postępujemy. Postaram się znaleźć jakąś drogę na planetę.

Stałem tam osłupiały. Plan przecież zadziałał. Rozwiązanie było w zasięgu ręki. Ale ci goście byli zbyt chciwi i samolubni, by zrobić cokolwiek dla współziomków.

Gdy patrzyłem, jak odchodzą, musiałem zastanowić się nad sensem naszej pracy. Może jednak nie byli warci zachodu.

– Można się było tego spodziewać – narzekał Carlos, gdy obywatele Tau wędrowali coraz dalej w poszukiwaniu kryjówek.

Popatrzyłem na niego, mrużąc oczy.

– Dawaj swoje imperialne monety, Carlos – poleciłem.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Co? O czym ty mówisz?

Chwyciłem go i wyciągnąłem nóż bojowy.

– Daj mi je. Wszystkie. Wiem, że je masz. Inni mi powiedzieli.

Carlos popatrzył na Kivi.

– Laska, niech cię szlag! – jęknął.

Uśmiechnąłem się. Nie miałem pojęcia, czy Carlos zwędził jakieś kredyty, ale założyłem, że istniała na to spora szansa. A teraz moje podejrzenia się potwierdziły.

– Dobrze ci tak – powiedziała Kivi. – Ale ja mu nic, kurna, nie wygadałam!

Spojrzałem na nią.

– Ty też swoje oddaj. Skończysz przez nie na permach.

Oboje dali mi ze sto monet, pomstując przy tym pod nosem. Podejrzywałem, że mają ich więcej, ale uznałem, że tyle i tak wystarczy.

– Tysiąc imperialnych kredytów dla każdego z was, płatne w prawdziwym pieniądzu! – zawołałem w stronę odchodzących Tau.
– Wracajcie tu!

Efekt przerósł moje oczekiwania. Zatrzymałem nie tylko kilku z nich, ale wszystkich! Nawet kobiety, starsi i ranni stanęli w miejscu. Zrobili wspólnie w tył zwrot i ostrożnie ruszyli w moim kierunku.

Uniosłem imperialną monetę kredytową, która była tak złota i lśniąca, jak ich iluzoryczne ubrania były bezbarwne.

– Oto i ona – zagrzemiałem. – Jedna moneta teraz, a druga, kiedy kryzys już się kończy. Przekażcie swoje dane tej kobiecie. – Wskazałem Natashę. – Waszym roszczeniom stanie się zadość!

Udało nam się zebrać prawie setkę rekrutów. Monety mi się skończyły i nie mogłem już dalej nawracać Tau na ścieżkę światłości.

Ich naturalna pazerność jako rasy miała też swoją dobrą stronę. Byli pracowici i rzetelni... pod warunkiem że ktoś im za to płacił.

– To chyba największy związkowy zakład pracy w Galaktyce! – zaśmiał się Carlos, gdy Tau ustawiali się w kolejce i odbierali należność.

– To za mało – stwierdziła Natasha.

Popatrzyłem na nią.

– Dlaczego? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Setka osób próbująca przekabacić kilku innych? Nie ma sprawy... ale robią tylko tyle, za ile im zapłacisz. Potem znowu się pochowają. Nie będą ryzykować, kiedy pieniądze się skończą. A my nie mamy dość monet, żeby dać w łapę każdemu na tej stacji.

Kiwając głową, myślałem przez chwilę nad jej słowami. Odpowiedź wydawała się oczywista. Wystąpiłem naprzód i zamachałem rękami. Włączając zewnętrzne głośniki, użyłem dudniącego, wzmocnionego głosu, by przebić się przez paplaninę Tau.

Najbardziej zdziwiło mnie, że tubylcom ani trochę nie przeszkadzał stos zwłok, leżących na ulicy zaledwie parę metrów dalej. Widok może i ich zaniepokoił, ale nie wywoływał mdłości ani żalu, jakie powodowałyby u ludzi.

– Kolejna propozycja! – krzyknąłem. – Za każdych dziesięciu Tau, których nawrócicie i namówicie do pomocy, dostaniecie dodatkową monetę!

Wokół mnie usłyszałem podekscytowane szepty.

– Bez ograniczeń? – zapytał pierwszy koleś, którego zwerbowałem.
– Są tu nas miliony. Na pewno nie macie aż tyle monet.

Był podejrzliwy, zresztą całkiem słusznie. Już teraz prawie skończyły mi się zapasy gotówki.

– Owszem, istnieją pewne ograniczenia – powiedziałem, dokonując w głowie szybkich obliczeń. – Powiedzcie innym Tau, że będą musieli dla was pracować. Podzielią się z wami zyskiem. Oni dostaną połowę kwoty, a z kolei ci, którzy będą pracować dla nich, otrzymają połowę tego, czyli jedną czwartą pierwotnej nagrody!

Mój rozmówca wytrzeszczył oczy.

– Wychodzi na to, że dziesiąta osoba w kolejce otrzyma mniej niż jeden kredyt.

– Tak – przyznałem. – Ale co was to obchodzi? Przecież wy dostaniecie ich kredyty! Forsa od tysięcy Tau będzie wpływać do waszych kieszeni.

Na nowo rozpałilem ich chciwość. Teraz nie oferowałem im zwykłej opłaty, ale możliwość wzbogacenia kosztem innych, którzy będą harować za mniejszą stawkę.

– A kto spłaci ten dług, gdy już narośnie? – dopytywało się kilku z nich.

– Podam wam nazwisko. To bogaty biznesmen, znany jako adiunkt Claver. Być może o nim słyszeliście.

Patrzyli po sobie z zakłopotaniem. Okazało się, że jeden z nich słyszał o wyskokach Clavera.

– To prawda! – powiedział. – Słyszałem, że ten człowiek ukradł kilka milionów kredytów z banków centralnych!

– A zatem do dzieła! – ryknąłem. – Na co jeszcze czekacie? Jeśli uważacie, że nie mam dość pieniędzy, to ruszcie się, żeby dostać swoją dolę, zanim forsa mi się skończy!

I to by było na tyle. Rozdzielili się i pognali we wszystkie strony.

– Jak zamierzasz im wszystkim zapłacić? – zapytała Natasha, stając obok mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– W ich bankach jest wiele kredytów. I założę się, że jeśli potrząśniemy kilkoma wypierdkami z Germaniki, to usłyszymy brzęk zagrabionych monet.

Carlos podszedł do mnie, kręcąc głową.

– Nie daj się oszukać – ostrzegł Natashę. – On wcale nie zamierza płacić. Cały McGill. Obmyśla szwindel, namawia biednych frajerów, żeby ganiłi jak koty z pęcherzem, przekonani, że się wzbogacą... a potem wystawia ich do wiatru!

Roześmiałem się. Musiałem mu przyznać rację. Carlos znał mnie aż za dobrze.

– Czy to ważne? – zapytałem. – Przecież odzyskają stację. Przeżyją i zaczną od nowa. Przybyłem tu ocalić ich pazerne dupska, a oni mogliby mi chociaż trochę pomóc, do cholery!

– Myślałem, że stacja jest już spisana na straty – powiedział Carlos.

– Wierzę w nich – powiedziałem. – Zbudowali to miejsce, a jeśli uda im się je naprawić, mogą naprawdę na tym zyskać. Zobaczymy, czy podołają zadaniu i pomogą sobie nawzajem. To już zależy tylko od nich.

Nikt się ze mną nie spierał. Gdy ostatnia szara postać odeszła ulicą, by spotkać się z buntownikami, odwróciliśmy się i podążyliśmy do pinasy. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Bez względu na to, czy przyniosło to jakieś efekty.

Nic nie szerzy się szybciej od cyfrowego wirusa. Kiedy wsiedliśmy na pokład i wystartowaliśmy, wyzwoleni przez nas Tau zdążyli już zarazić ponad trzy tysiące swoich rodaków. Kolejna generacja była jeszcze skuteczniejsza. Wrogie projektory nie były w ogóle odporne na wirusa Natashy, który nadpisywał oryginalny skrypt Clavera.

– Odzyskają Gelt w kilka dni – stwierdziła Natasha. – A gdy już to się stanie, będą oczekiwać zapłaty.

Zbyłem jej słowa machnięciem ręki.

– W takim razie lepiej dla Clavera, żeby miał spore oszczędności – odparłem. – Tyle powiem. Będzie potrzebował kasy, kiedy Tau go namierzą.

Carlos roześmiał się złośliwie.

– Dobrze. Naprawdę dobre, McGill. Jeśli ktoś zasłużył, żeby go wydymać bez mydła, to właśnie ten facet. A skoro już mowa o dymaniu, to cóż to za pogłoski o tobie i naszej uroczej imperator Turov?

Zamarłem. Uśmiech na mojej twarzy powoli stopniał. Jeśli Carlos miał w ogóle jakiś talent, to była nim umiejętność wywlekania czyichś wad i sprawek na światło dzienne. Mógł człowieka skopać niezależnie od tego, czy było się na szczycie, czy na dnie. Tym razem jego stopa wylądowała boleśnie na moim tyłku.

Choć wiedziałem, że nie powinienem tego robić, rozejrzałem się, aby sprawdzić, kto usłyszał jego przytyk. Patrzyły na mnie tylko Natasha i Kivi. Pozostali wydawali się niczego nie zauważać. Jednak, z drugiej strony, tylko te dwie dziewczyny się dla mnie liczyły.

Posłałem Carlosowi mordercze spojrzenie. W odpowiedzi wyszczerzył zęby.

– A więc to prawda? – zapytał, wydając bojowy okrzyk rozbawienia. – Tylko cię wkłęcałem, przysięgam! Nie miałem o niczym pojęcia! Jasne, słyszałem, że wyskoczyłeś z nią na drinka, a potem obudziłeś się na stole bilardowym. Jaja jak berety! Musiałeś

się nawalić do nieprzytomności! A może na dodatek narobiłeś w portki? To by dopiero była wisienka na...

Przyłożyłem mu z pięści. Jeszcze przed chwilą obaj wspólnie walczyliśmy na śmierć i życie, stając ramię w ramię przeciwko znacznie liczniejszej hordzie rozszalałych Tau, ale teraz to nie miało znaczenia. Chciałem go zabić i zamknąć mu tę jego nalaną gębę na wieki.

Carlos nie dorównywał mi gabarytami, ale zawsze potrafił przyjąć cios. Był jednym z tych gości, których szczególnie trudno powalić. Myślę, że jego czacha musi być gruba na parę ładnych centymetrów.

Warknął i oddał uderzenie. I się zaczęło. Większość ludzi wokół nie miała pojęcia, co się dzieje, ale widywali nas już wcześniej w takiej sytuacji. Odsunęli się, żeby zrobić nam jak najwięcej miejsca na zatłoczonym pokładzie.

Dałem się ponieść złości. Przygwoździłem Carlosa do ziemi mniej więcej po trzydziestu sekundach. Obaj dyszeliliśmy ciężko. Carlos wypłuł zęba, a jego pokrwawiona twarz przybrała groźny wyraz.

– Aż taka była dobra? – zapytał. – Po co to wszystko? Chcesz bronić jej czci? Zapomniałeś już, co robiła? Facet, co się z tobą stało?!

Wtedy cały duch walki mnie opuścił. Wstałem, westchnąłem i usiadłem z dala od innych. Wcale nie broniłem Turov. Po prostu skręcało mnie z zażenowania.

Z pewnego punktu widzenia nie mogłem mieć Carlosowi za złe, że plotkuje przy innych. To ja przespałem się z kobietą, nie on. Varus był dość zwartą kliką. Mieliśmy wiele tajemnic przed postronnymi, ale w obrębie legionu w końcu każdy się o wszystkim dowiadywał. Skoro nie chciałem, żeby inni o tym wiedzieli i żeby się ze mnie nabijali, to po prostu nie powinienem tego robić.

Przez resztę rejsu na „Minotaura” nie rozmawiałem z nikim. Zostałem upokorzony. W naszej grupie postrzegaliśmy Turov jako demona. W oczach moich towarzyszy fakt, że się z nią zabawiłem, nie był powodem do dumy. Uznawali raczej mój występki za coś poniżającego i godnego pogardy. Nie byłem przyzwyczajony do takiego traktowania, więc nie zareagowałem zbyt dobrze.

Kiedy statek zadokował i wyszliśmy z niego, wygramoliłem się przez służbę jako ostatni.

Kivi czekała na mnie, gdy już zszedłem na pokład hangaru. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Spodziewałem się, że będzie mnie wyśmiewać albo karcić, ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

– Co się stało, James? – zapytała. – Zmusiła cię do tego?

Zamrugąłem zaskoczony.

– Yyy... niezupełnie – wydukałem.

– Wiem, że strasznie się na ciebie uwzięła. Na litość boską, przecież skazała cię na permy. Przy okazji, wiem o tym. Wszyscy już wiemy. Czy ten romansik miał ją skłonić do odwołania wyroku?

Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, co się stało – przyznałem. – Ostro walczyliśmy, przetrwaliśmy tę bitwę, a potem postanowiliśmy się napić, podczas gdy wskrzeszarka wypompowywała świeżych żołnierzy.

Kivi wpatrywała się we mnie przez kilka długich sekund. Potem spochmurniała.

– Czyli mówisz, że faktycznie jesteś jakąś męską dziwką?

– Daj spokój, Kivi – powiedziałem. – Przecież zdarzało ci się ginać, prawda?

– Pewnie, że tak.

– No właśnie. Sam przy tym byłem nie raz i nie dwa. Czasem przeżyjemy, czasem umrzemy, a potem wrócimy. I jedno, i drugie potrafi namieszać w głowie. Czy nigdy nie miałaś ochoty poświętować po ciężkiej walce? Czasami seks to po prostu sposób na poradzenie sobie z trudną sytuacją.

Kivi wciągnęła głośno powietrze, a potem westchnęła.

– Dobra – odparła. – Wiem, o czym mówisz. Znam to uczucie. Ale... Turov? Jak mogłeś? Przecież to wiedźma! Jest taka podła! Nie mogę sobie ciebie wyobrazić, jak to z nią robisz, nawet jeśli znowu jest młoda i śliczna. Co, swoją drogą, jest już zupełnie nie fair. Nie powinna się odmładzać. To nie w porządku.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc nic nie mówiąc, ruszyłem przed siebie. Kivi dotrzymywała mi kroku.

– A więc – nie ustępowała – jeśli nie chodziło o jakąś zapłatę w naturze, to jak ją przekonałeś, żeby ci odpuściła? Przecież już cię skazała i tylko czekała, aż wylądujesz na permach.

– Uratowałem ją – wyjaśniłem. – Wskrzesiłem ją jako pierwszą, a potem razem ostro walczyliśmy. Sądzę, że jej się to podobało.

Kivi dała mi kuksańca w ramię. Nie odczułem tego, ale mój pancerz zagrzechotał.

– Nie łudź się – ostrzegła. – Może i przeżyła z tobą chwilę słabości, ale to nic nie znaczy. Ma toksyczną osobowość. Po wszystkim stanie się z powrotem żmiją, którą zawsze była.

Wiedziałem, że zapewne ma rację, i pokiwałem głową. W głębi serca miałem jednak nadzieję, że Kivi się myli. Doświadczenia potrafiły zmieniać ludzi. Pod względem fizycznym Turov nie była już tą samą osobą, co przed śmiercią. Wiele lat starzenia przepadło, a starszy umysł w młodszej ciele nie był już aż tak sędziwy. Wiedziałem, że toczy się w niej walka młodości z doświadczeniem. Gdybym był psychologiem, byłby to ciekawy materiał do obserwacji.

Po rozmowie z Kivi poczułem się lepiej. Przynajmniej jedna osoba nie znienawidziła mnie za to, co zrobiłem.

Kiedy dotarłem do modułu trzeciej jednostki, Graves zażądał raportu. Z dumą zdałem mu relację. Opisałem bitwę na ulicach i zameldowałem o zgonach zarejestrowanych na moim stuku.

– Centurionie – podsumowałem – uważam, że misję należy uznać za nasz sukces. Instalacja wirusa trwała dłużej, niż oczekiwaliśmy i musieliśmy ją przeprowadzić w bardzo małej odległości. Jednak dałem radę improwizować i nakłonić miejscowych, aby przekazali wirusa dalej. Teraz pozostaje tylko czekać.

Graves pokiwał głową w zamyśleniu.

– Szkoda, że to wszystko nie stało się szybciej. Trochę się pozmieniało i nie sądzę, by można było teraz odwrócić bieg wydarzeń. Szkoda.

Zmarszczyłem brwi.

– O czym pan mówi? – zapytałem.

– Nieważne. Zechciałbyś teraz pojechać na górę do imperator? Wyraźnie prosiła, żebyś stawiał się u niej osobiście.

Graves patrzył na mnie z kamienną twarzą. Czy dostrzegałem w jego oczach cień rozbawienia? Poczułem, jak cały się gotuję ze wstydu.

– Ekhm... w porządku, sir. Dziękuję.

– Możesz odejść, McGill.

Odwrócił się, kręcąc głową. Wyszedłem z jego gabinetu, nie wiedząc, co miał na myśli. Dał mi do zrozumienia, że moja misja nie zakończyła się wystarczająco szybko. Miałem nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z opadaniem stacji ku atmosferze. Czy podjęliśmy ten nadludzki wysiłek tylko po to, żeby spóźnić się o jeden dzień?

Próbując wyrzucić z głowy te myśli, pospieszyłem do windy i pomknąłem w górę, do gabinetu Turov. Przy drzwiach powitał mnie uzbrojony żandarm. Weteran. Popatrzył z niechęcią na mnie i na kaburę przy moim boku.

– Sądzę, że powinienem tego popilnować, specjalisto – powiedział. Zmarszczyłem czoło i położyłem dłoń na pistolecie.

– Nic z tego. Nie tym razem.

Kolejny głos przerwał naszą dyskusję, która już miała stać się bardziej ożywiona.

– Zostaw, Sullivan – powiedziała Turov. Wyjrzała zobaczyć, co się dzieje.

Wciąż nie mogłem się nadziwić, jak młodo brzmi teraz jej głos. Obróciła się i zniknęła ponownie w gabinecie, a ja podążyłem za nią. Zdusiłem w sobie przemożną chęć, by wyszczerzyć się do żandarma. I tak dość sobie napytałem ostatnio biedy.

Drzwi zamknęły się za mną ze świstem. Obejrzałem się, ale nie dostrzegłem uzbrojonych żołnierzy gotowych mnie dorwać. Próbowałem się rozluźnić, lecz słabo mi to szło.

– Chciała pani mnie widzieć? – zapytałem.

– Tak, specjalisto – odparła Turov. – Czy mógłbyś tu podejść i mi pomóc?

– Ale w czym miałbym pani...?

Umilkłem, gdy odpowiedź na moje pytanie od razu stała się oczywista. Turov rozpinała mundur.

Szczeka mi opadła, gdy z każdą sekundą ukazywało się więcej ciała.

– Pani imperator... – odezwałem się w końcu – nie sądzę, by to była odpowiednia pora na...

– Zamknij się i ściągnij mi to przez głowę! Czy może mam wszystko robić sama?

Westchnąłem ciężko. Odwróciła się i rozbierała się dalej. Czułem, jak serce zaczyna mi mocniej bić.

– To naprawdę nie fair – powiedziałem.

Obejrzała się przez obnażone ramię i zachichotała.

– Żartujesz sobie? Usiłujesz mi wmówić, że jesteś niewiniątkiem? Nie nadużywam władzy. Nie rozkazuję ci tego zrobić. Po prostu od ostatniego wskrzeszenia czuję się... no nie wiem, jakoś inaczej. Hormony mi buzuja.

– Nie o to mi chodzi. Rzecz w tym, że to niesprawiedliwe, że odsłania się pani tak przed mężczyzną. Nie zawsze potrafimy robić, co trzeba, stając przed taką pokusą.

Patrzyła na mnie z zakłopotaniem pomieszany z rosnącą irytacją.

– Co ty chrzanisz?! – spytała, już prawie naga. – McGill, normalnie posuwasz wszystko, co się rusza, a teraz nagle będziesz zgrywał cnotkę?

– To nie tak! Ludzie... ludzie już coś podejrzewają, sir. Wiedzą, co zaszło między nami tamtej nocy.

– Ach tak – odparła, wychodząc z butów. Okrążyła biurko i podeszła do mnie.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Była naga jak ja Pan Bóg stworzył i wyglądała oszalamiająco. Stąpała zwinnie i z gracją, jak tancerka.

– Już rozumiem – powiedziała, dotykając jednym palcem mojego policzka. – Koledzy się z ciebie naśmiewają. I przezywają cię. Mówią, że jesteś moją seks-zabawką, prawda?

– Nie bardzo, pani imperator.

– Przestań z tym tytułem, do cholery!

– Tak, proszę... to znaczy Galino. Widzisz? O to właśnie chodzi. To trochę dziwne. Ty jesteś oficerem na wysokim szczeblu, a ja jestem tylko oczko wyżej od zwykłego szeregowca.

– Że co? Już teraz chcesz się targować o rangę? Zapomnij. O takie bonusy trzeba się bardziej postarać.

Przewróciłem oczami.

– Nie o to... – zacząłem.

Przerwała mi pocałunkiem, przysysając się do moich ust. Przycisnęła swoje ciało do mojego, a ja prawie ją objąłem.

– Wyskakuj z tej cholernej zbroi – syknęła. – Teraz mogę dotykać cię tylko po twarzy.

Zdałem sobie sprawę, że mam możliwość wystawić ją do wiatru. Nie musiałem tego znosić. Mogłem obrócić się na pięcie, otworzyć drzwi i wyjść. Może żandarm zobaczyłby swoją przełożoną nago, może nie, ale tak czy inaczej, wywinąłbym się i wątpię, czy Turov próbowałaby później do mnie uderzać. Jasne, mogłaby mnie zmieszać z błotem i zaleźć mi za skórę, ale to żadna nowość. Jednak nie ryzykowałaby powtórnego upokorzenia.

Nie czekała, aż się ruszę, tylko ściągnęła mi rękawice i położyła moją dłoń na swojej gołej skórze. Wtedy odleciałem. Jej ciało było ciepłe, gładkie i zachęcające.

O czym myślałem, kiedy wspólnie wyswobodziliśmy mnie z pancerza i zaczęliśmy się kotłować na jej biurku? Tego nie wiem. Nie sądzę, żeby w takich chwilach facetom zbierało się na głębokie refleksje. Jeśli o czymś rozmyślają, to pewnie nie bawią się tak dobrze, jak powinni.

Imperator Turov i ja nie hamowaliśmy się. Drugi raz był jeszcze bardziej intensywny niż pierwszy. Oddaliśmy się namiętności w pośpiechu, ale i dogłębnie. Po tym wszystkim nie mogłem się nie zastanawiać, czy Turov przez te wszystkie lata nie zaczęła czuć do mnie mięty. Może dopiero teraz, w swoim nowym, młodym ciele, była na tyle pewna siebie, żeby mnie uwodzić. Cokolwiek nią kierowało, udało jej się w zupełności.

Rozpierając się w fotelu, westchnąłem donośnie i wciągnąłem z powrotem pancerz. W tym czasie Galina taksowała mnie drapieżnym wzrokiem. Widziałem na jej twarzy uśmieшек zadowolenia.

Niespecjalnie obchodziło mnie, jakie fantazje o dominacji i triumfie krążyły w tej jej główce. Ja się wybawiłem i stwierdziłem, że skoro i tak wszyscy w legionie o nas wiedzą, nie ma to większego znaczenia.

– Pani imperator? – zagailem, gdy już cały mój sprzęt był na miejscu. Ona też zdążyła się w tym czasie ubrać. Szkoda, ale w końcu nie można mieć wszystkiego.

– O co chodzi, specjalisto?

– Graves powiedział mi coś dziwnego. Zasugerował, że sukces mojej misji przyszedł za późno i szkoda, że nie udało mi się wyleczyć Tau wcześniej. Wie pani, co miał na myśli?

– Nie. Ale przywracanie systemów na stacji przebiega nadspodziewanie dobrze. Gelt znowu powoli się wznosi. Nie zdawałam sobie sprawy, do czego są zdolni jej mieszkańcy, żeby się ratować. Sami naprawiają stację z niespotykaną jak na nich energią. Jestem mile zaskoczona. W końcu nie mają budżetu na naprawy. Pracują razem, jakby oczekiwali za to sowitego wynagrodzenia. To zastanawiające.

Zmarszczyłem czoło, myśląc o swoim szwindlu. Czy sprawy mogły zająć aż tak daleko? Zacząłem się wiercić na fotelu.

– To o czym Graves właściwie mówił? – spytałem.

Turov spuściła oczy na biurko, a potem znów uniosła głowę, by spojrzeć na mnie.

– Znowu się z nami kontaktowali, James. Głowonogi. Kiedy walczyliście na stacji, musiałam podjąć trudną decyzję. I podjęłam.

Pochyliłem się do przodu z ponurą miną.

– Mogłaby pani powiedzieć coś więcej? – zapytałem.

– Jakieś dwie godziny temu postawili nam ultimatum – odparła.

– Ultimatum?

– Zażądali pokrycia szkód na Zeta Herculis. Powiedzieli, że jeśli się nie zgodzimy, obciążą odpowiedzialnością całą ludzkość. Była to kłopotliwa sytuacja i przyznam, że wtedy nie spodziewałam się, że twój plan się powiedzie. Musisz to zrozumieć, James.

Patrzyła mi w oczy z wyrazem chłodnej rezygnacji. Zmarszczyłem brwi. Nie wszystko jeszcze rozumiałem, ale z pewnością mi się nie podobało to, czego już się domyśliłem.

– Co zrobiłaś? – zapytałem.

– James, nie tym tonem, proszę...

– Bez jaj! – odparłem. – Nie pasuje ci mój ton? Dopiero co grzmociliśmy się na tym biurku!

– Straszanie zszarganiem mojej reputacji nic ci nie da – powiedziała groźnym głosem.

Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

– Po prostu powiedz, co zrobiłaś. Co to było za ultimatum?

– Głowonogi są bezkompromisową rasą. Zażądali słonego odszkodowania w zamian za straty w swojej kolonii. A pamiętaj, że Nairbowie spalili całą planetę do gołej ziemi.

– Jasne – odpowiedziałem – ale co im dałaś?

– Stację – powiedziała.

Przez chwilę gapiliśmy się na siebie. Pot stygł na naszych ciałach i nadal czułem w nozdrzach zapach jej włosów, jeszcze buzowały we mnie wspomnienia upojnego seksu, ale jej słowa mnie zmroziły.

– Oddałaś im Gelt? I co, odholują ją do swojej planety czy jak?

Powoli pokręciła głową.

– Splądrują ją. Spodziewam się, że już dokują. Poślą tam swoich łowców niewolników i regularne wojsko. Zbiorą mieszkańców, których chcą uczynić jeńcami, i wezmą, co tylko się da, zanim stacja wejdzie w atmosferę i spłonie.

– Mówiłaś chyba, że naprawy idą jak należy.

– Bo tak jest. – Wzruszyła ramionami. – Domyślam się jednak, że atak i złupienie tej konstrukcji zaburzy ten proces.

– Czy ty do reszty zwariowałaś?

– James – powiedziała surowo – rozumiem, że to dla ciebie trudny temat, bo jeszcze chwilę temu walczyłeś, żeby uratować Tau, ale spójrz na to z mojej perspektywy. Głównonogi mogą być zdolne do unicestwienia Ziemi. Flota Bojowa 921 powróci może za rok i w odwecie ich unicestwi. Ale równie dobrze może to nastąpić za kilkadziesiąt lat. Nie wolno mi narażać całego naszego gatunku, żeby ocalić kilka milionów Tau.

Powoli pokiwałem głową. Rzeczywiście rozumiałem jej punkt widzenia. Przynajmniej w jakimś stopniu.

– Założyłaś, że mi się nie uda – powiedziałem. – A Tau tak odpierdoliło, że są straceni. O to chodzi? Może udałoby ci się ich przy tym trochę wykorzystać? Może nawet zabiliby na dokładkę kilka kalmarów? Cholera, to się nazywa służba i ochrona.

– Nie ujęłabym tego tak ostro, ale ogólnie rzecz biorąc, masz rację.

Przez kilka sekund siedziałem, gapiąc się tępo w bliżej nieokreślony punkt. Turov wciąż o czymś gadała, ale jej nie słyszałem. Po chwili wstałem z miejsca.

Galina mimowolnie wytrzeszczyła oczy. Wykonałem ruch rozmyślnie, do tego byłem uzbrojony i miałem na sobie pancerz bojowy. Wtedy zrozumiałem to, z czego i ona zdała sobie sprawę – że gdybym chciał, mógłbym ją rozerwać na strzępy.

Jednak nie zaatakowałem jej. Byłem w podłym nastroju, ale wyżywanie się na niej i tak nic by nie zmieniło.

– Pani imperator – powiedziałem głośno – czy mogę odejść?

Patrzyła na mnie przez sekundę, a potem kiwnęła głową.

– Tak. Możesz odejść, specjalisto.

Zostawiłem ją i pobrzękując ruszyłem do wyjścia. Żandarm spojrzał na mnie ze złośliwym uśmiechem. Miałem ochotę mu przywalić, ale się powstrzymałem. Teraz czekała mnie nowa misja i nic nie mogło mi przeszkodzić.

Nic.

Nie sądziłem, żebym dał radę zrealizować swój plan bez pomocy, więc skierowałem się do modułu trzeciej jednostki i wszedłem do pokoju socjalnego. Gdy stanąłem w drzwiach, wszyscy podnieśli wzrok. Kilku ludzi powitało mnie okrzykami, jednak większość milczała. Niektórzy od razu wstali i wyszli – nie wróżyło to dobrze.

Wypatrzyłem Nataszę i zbliżyłem się do niej. Unikając mojego wzroku, wstała, zbierając stos urządzeń.

– Czy to twój układ sterowania brzęczykiem? – zapytałem ją.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie, a potem odwróciła się i rozejrzała po pokładzie.

– Muszę iść – powiedziała.

– Yyy... – zająknąłem się i powiodłem wzrokiem wokół.

Zobaczyłem liczne uśmieszki i kilka karcących spojrzeń. Niektórzy chichotali pod nosem. Zacząłem podejrzewać najgorsze.

Natasha próbowała prześlizgnąć się obok mnie, ale chwyciłem ją za nadgarstek. Kobiety tego nie cierpią, ale to była sytuacja nadzwyczajna.

– Puszczaj, James! – warknęła, wciąż na mnie nie patrząc.

– Posłuchaj przez chwilę! Turov ich sprzedała! Pozwoli umrzeć wszystkim na stacji!

Natasha wreszcie popatrzyła na mnie.

– Co?

Szybko wyjaśniłem, o co chodzi. Dziewczyna wydawała się bić z myślami.

– Nie możemy nic zrobić – stwierdziła w końcu. – Wychodzę.

– Słuchaj – powiedziałem do niej cicho. – Mam plan. Może się udać. Ale potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuję przyjaciół.

– Nie zamierzam niczego dla ciebie robić.

Spojrzałem przez jej ramię na przedmioty, które trzymała. To rzeczywiście był sprzęt do obsługi brzęczyka!

– Szpiegowałeś mnie, prawda? – zapytałem.

– To bez znaczenia.

– Cóż, dla ciebie najwyraźniej ma to jakieś znaczenie. Zapomnijmy o tym, co pokazały ci twoje pluskwy, cokolwiek to było. Miliony osób wylądowało na permach. Może i są wkurzającymi kosmitami, ale nie uważam, żeby zasługiwali na to, żeby ich hurtem zniewolić i powyrzynać.

Natasha wypuściła powietrze tak mocno, że aż brakło jej tchu. Potem szybko usiadła.

– Po prostu powiedz, co chcesz zrobić – poprosiła.

Powiedziałem, ale to nie poprawiło jej humoru.

– Czyś ty oszalał? – zapytała ostrym szeptem.

– Często to słyszę – odparłem.

– Nie możemy przejąć okrętu!

– Nie będziemy musieli. Taką przynajmniej mam nadzieję.

– James, aktualnie wskrzeszono już cztery pełne jednostki. Na twojej drodze nie stanie garstka ludzi, ale całe setki! Do tego jest jeszcze kohorta Germaniki, znowu w pełnym składzie.

– No tak... o nich też wiem.

– To nie wszystko! Turov kazała wskrzesić obu trybunów, Drususa i Armela.

– Naprawdę? To rzeczywiście trochę zmienia. Poczekaj tu na mnie i popracuj nad obliczeniami.

– Myślisz, że możesz mi rozkazywać jak gdyby nigdy nic? – zapytała z gniewem. – Nawet nie spytałeś, czy ci pomogę.

– No więc? Jak będzie?

– Możemy trafić na permy.

– Ludzie na stacji już na nie trafiają.

– To nie ludzie, James... niezupełnie.

Spojrzałem na nią, marszcząc brwi.

– Słuchaj, Tau są o wiele bardziej przyjaźni niż kalmary. Gdyby Claver nie nakręcił ich tym wirusem z holoskrzynek, nadal sprzedawaliby swoje zabawki, nikomu nie wadząc. A tymczasem my najpierw dopiekliśmy im do żywego, a teraz napuściliśmy na nich głowonogi.

Natasha skrzywiła się. Wiedziała, że mam rację.

– Dobra – powiedziała. – Zobaczą, co uda mi się upichcić.

– Dzięki! – odparłem. – Nie mogę obiecać, że nie będziesz tego żałować, ale na pewno postępujemy słusznie.

Przesunąłem klucz po stole, a ona szybko go przejęła. Wstała i poszła do warsztatu. Wyglądała jak skazaniec wstępujący na szafot.

Podążyłem w przeciwnym kierunku i spotkałem się z Carlosem na sali rekreacyjnej.

– O nie! – zawołał, gdy tylko mnie zobaczył. – Zapomnij! Nawet nie zaczynaj!

– O czym gadasz? – zapytałem.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Obojętnie, na co właśnie naciągnąłeś Natashę, daruj sobie. Nie chcę o tym słyszeć!

Spochmurniałem, ale i tak do niego podszedłem. Stał w strefie zerowej grawitacji, gotowy do ćwiczeń i ubrany tylko w przylegający do ciała skafander z inteligentnego materiału.

– Czy mógłbym się przyłączyć? – zapytałem.

– Nie ma bata! Nie mógłbyś – odpowiedział.

Zrzuciłem sprzęt i dołączyłem do niego. Na sali było jeszcze kilku ludzi, gdy wzlecieliśmy i przeciągaliśmy się po suficie, używając pierścieni przymocowanych tam specjalnie w tym celu, jednak byliśmy poza zasięgiem słuchu, a uchwyty robiły zbyt wiele hałasu, żeby ktoś mógł nas podsłuchać.

– Carlos, potrzebuję twojej pomocy – wyznałem.

– Wcale nie! Potrzebujesz raczej psychiatry! – odparł.

Pokrótkę przedstawiłem mu sytuację, w jakiej znaleźli się Tau. Co dziwne, moja opowieść wydała mu się zabawna.

– Jaja sobie robisz? – zapytał. – Te zimne dranie zostały sprzedane kalmarom jako niewolnicy? Cóż za ironia!

– Nie bardzo – odparłem, lekko poirytowany. – No dobra, może trochę. Ale to nie tylko ironia. To tragedia. Przylecieliśmy tu, by ich chronić. A teraz sprzedaliśmy całą populację stacji głowonogom.

– Lepiej oni niż my, brachu.

Już widziałem, że muszę podejść do Carlosa w całkiem inny sposób. Odwoływanie się do wrażliwości nic nie dawało.

– Spójrzmy na to z szerszej perspektywy – zaproponowałem. – Jak sądzisz, co kalmary robią później?

– Nie wiem. Może będą plądrować ten system tak długo, aż zwróca na siebie uwagę Galaktyków. Wtedy, miejmy nadzieję, Układy Centralne przyślą flotę i powyrywają im z tyłków kilka bilionów macek. A potem będziemy się zjadać owocami morza!

– Taa... – mruknąłem. – Może tak być. Ale jak zareagują Galaktycy, kiedy zobaczą, że ich nowi egzekutorzy spękali i zwiali?

Carlos zmarszczył brwi.

– Hmm... to im się nie spodoba.

– No właśnie. Nairbowie wynajdą w swoich kodeksach jakieś szczególne przestępstwo na tę okoliczność. Wiesz, że tak będzie.

– No tak. Jakimś cudem wyjdzie, że to wszystko nasza wina. W końcu zostawili nas na straży.

Nadażał za mną i stwierdziłem, że już prawie mam go w garści.

Po rozgrzewce na pierścieniach poszybowaaliśmy na arenę sparingową. Miała postać sferycznej klatki. Gdy jej drzwi zamknęły się za nami z hukiem, zaczęliśmy się siłować. W stanie nieważkości jest to trudniejsze, niż się wydaje. Raz po raz zwieraliśmy się w klinczu, wirując i warcząc, ale żadnemu nie udało się powalić drugiego.

– A może inna hipoteza? – wystękałem. – A jeśli Galaktycy jednak nie wrócą? Jak wtedy potoczą się sprawy?

Carlos zwolnił chwyt, a ja go nie powstrzymywałem. Wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego.

– Byłoby do dupy – stwierdził. – Kalmary nie mają skrupułów. Niedługo potem wyciągną macki po Ziemię i załatwią nas. Będziemy kolejną zniewoloną rasą w ich menu. Już teraz lubią wyłapywać i hodować nasz gatunek. Dla nich to nie byłaby żadna nowość.

– Właśnie – odparłem i im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że mobilizuję do działania nie tylko jego, ale i siebie.

– Mamy przerabane, obojętnie, czy coś zrobimy, czy nie – stwierdził Carlos, wykonując salto i opadając na podłogę.

– Nie – odpowiedziałem. – Przerabane będziemy mieć, jeśli usiądziemy z założonymi rękami. Bez względu na to, czy Galaktycy wrócą, czy nie.

Carlos wygramolił się z klatki sparingowej, a ja podążyłem za nim. Spojrzał na mnie.

– To co chcesz właściwie zrobić? Oczywiście oprócz posuwania naszej imperator o lodowym sercu?

Z wielkim trudem puściłem to ostatnie zdanie mimo uszu.

– Musimy załatwić kalmary.

Pokręcił głową i parsknął.

– Ot tak, po prostu?

– Jasne.

Widział, że mówię poważnie, więc podpłynął bliżej i ściszył głos.

– Idź lepiej do Turov. Podliż się jej, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przemów jej do rozsądku. Zaatakujemy głowonogi, kiedy wylegną na stację. Wtedy będzie na to najlepszy moment.

– Już próbowałem – odparłem. – Nie chciała słuchać.

Carlos wyszczerzył zęby.

– A więc to prawda? Żandarmi mi o tym mówili, ale im nie dowierzałem.

– Co? – zapytałem, czując, jak serce mi zamiera.

– Powiedzieli, że ty i Turov mieliście kolejne spotkanko. I to w jej gabinecie. Jesteś naprawdę niewyżyty! Istny buhaj!

Podleciałem w jego stronę i zwarliśmy się w uścisku. Potem zaczęliśmy wirować. Inni obserwowali nas, śmiejąc się. Musieliśmy wyglądać komicznie.

– Albo mnie puścisz, albo czeka nas twarde lądowanie! – warknął Carlos przez zaciśnięte zęby.

– Nic z tego – odpowiedziałem. – Na pięćdziesiąt procent będziesz na dole. Zaryzykuję.

Szamotaliśmy się w klinczu i przywaliliśmy w ścianę. Niestety, to moje plecy i czacha ucierpiały na zderzeniu.

– Dobra – powiedział Carlos, odpływając i ciężko dysząc. – Pomogę ci. Ale najpierw musisz mi opowiedzieć o Turov. Co się kroi między wami? Czy to stanie się już normą? Nie wiem, czy dam radę to zaakceptować.

– A co tu niby masz do akceptowania? – zapytałem, masując tył głowy. Poczulem na palcu krew.

– Uprawianie miłości z kobietą więcej niż raz całkiem zmienia postać rzeczy – oznajmił Carlos. – Teraz to już oficjalnie jest romans, a nie jednorazowa przygoda, McGill.

– Dwa razy to już romans? W takim razie kiedy zostanie moją dziewczyną?

– No nie wiem... może po dziesięciu razach?

Potrząsnąłem głową.

– Chylę czoło przed ekspertem! Przecież ty się znasz na tym najlepiej, co, Carlos?

Moje słowa go rozgniewały. Ortiza wkurzało wiele rzeczy, ale jakakolwiek wzmianka o jego stosunkowym braku powodzenia u płci przeciwnej zawsze działała niezawodnie.

– Zamiast z nimi walczyć, lepiej się z nimi walić, tak? – zapytał. – To twoja zasada, prawda, McGill? I nie kłam mi tu. Wszyscy już wiedzą, co wyprawiasz z Turov. Naprawdę wszyscy!

– Czy to aż taka zła zasada? – spytałem. – To coś w stylu „make love, not war”.

– Taa, jasne... Brzydzę się tobą!

– Tylko dlatego, że nie jesteś w tym tak dobry jak ja.

Carlos wyciągnął ręce w górę, potem przedostał się powoli do wyjścia i opuścił pomieszczenie. Trzasnął drzwiami za sobą. Ulżyło mi, gdy już wyszedł. Jak można być takim egoistą i jednocześnie tak łatwo ferować wyroki? Nie rozumiałem tego. Sam byłem raczej samolubny i zawsze otwarcie to przyznawałem. Ale przynajmniej nie pouczałem wszystkich naokoło, jak mają postępować.

Zakląłem, gdy przypomniałem sobie, że musi mi pomóc. Przeciągnąłem się do wyjścia po grzechoczących pierścieniach i pobiegłem za nim.

– Powiedziałem ci o wszystkim, a ty obiecałeś pomóc, jeśli to zrobię – przypomniałem mu.

– Wiem. Przecież idę do arsenału, nie?

– Nie trzeba będzie. Załóż lekki skafander. Hermetyczny!

Wytrzeszczył na mnie oczy, kręcąc głową.

– Już mi się to nie podoba. Dlaczego po prostu nie możemy chwycić za giwery?

– Bo nie chcemy, żeby po wszystkim nas usmażyli.

Pogderał chwilę, ale posłuchał mnie. Założyliśmy lekkie skafandry i wzięliśmy tylko butle tlenowe. Nie mieliśmy pistoletów ani w ogóle żadnej broni.

Natasha spotkała się z nami na korytarzu.

– Graves może coś podejrzewać – powiedziała mi. – Zwołuje zbiórkę o siedemnastej.

– Musimy się sprężyć. Co masz?

Wręczyła każdemu z nas po granacie. Nie były to granaty odłamkowe. Wyglądały jak puszki piwa.

– Wyciągasz zawleczkę na górze i rzucasz blisko celu. Ma mały zasięg. Nie wydziela zapachu ani nie zostawia widocznych smug dymu – poinstruowała mnie Natasha.

Przyjrzałem się puszcze z powątpiewaniem. Nie wyglądała zbyt fachowo.

– Na pewno będzie działać? – spytałem Nataszę.

– Na pewno chcesz się na to porywać? – zapytała w odpowiedzi. – Bo to wszystko twój pomysł, a ja bardzo chętnie spasuję.

– A co z kamerami i ich stukami?

– Przyblokuję je. Tylko tyle mogę zrobić.

Westchnąłem.

– A nie dałaś rady jakimś cudem nagrać sfingowanego ataku kalmarów?

– Pewnie, że nie – parsknęła. – Chyba że dałbyś mi studio i tydzień, żebym nad tym popracowała. Poza tym kto by uwierzył, że to robota kalmarów?

– Nikt – przyznałem. – No dobra. Do pracy! Natasha... dezaktywacja!

Oblizwała wargi i uważnie przyjrzała się małemu ekranikowi.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? Na sto procent? – zapytała.

– O tak – odpowiedział za mnie Carlos. – Na dwieście. W sprawach niebezpiecznych, szalonych i zwyczajnie złych zdaj się na McGilla.

Natasha wyciągnęła rękę w górę i aktywowała skrypt. Kilka chwil później światła na korytarzu pogasły, a ja zerwałem się do biegu.

Dwie sekundy po tym, jak wrzuciliśmy nasze puszki do centrum sterowania działami, wpadliśmy na gości z personelu taktycznego. Większość z nich była nieprzytomna, ale jeden klęczał i gapił się na mnie. Chwytał się konsoli obiema dłońmi, jakby tonął. Potem osunął się na podłogę i padł bez zmysłów na plecy.

– Mówiłaś chyba, że te puchy działają od razu! – zwróciłem się z wyrzutem do Natashy. – Tamten facet na bank mnie zobaczył.

– Zrobiłam, co mogłam – odparła.

– Widać za mało.

– Dajmy sobie z tym siana – zaproponował Carlos.

Smugi oparów unosiły się w stronę wywietrzników nad nami. Gaz ulatniający się z puszek, ponownie wbrew zapewnieniom Natashy, nie okazał się wcale zupełnie niewidzialny. Przez jedną nerwową sekundę zastanawiałem się, co by się stało, gdyby rozprzestrzenił się po „Minotaurze” i powalił ludzi na całym pokładzie. W tej chwili wszystko wydawało się możliwe.

– Nie – powiedziałem zdecydowanym tonem. – Natasha, spróbuj usunąć ich wspomnienia z poprzedniej minuty i podaj mi klucz. Carlos, pomóż mi sterować.

Z kluczem Galaktyków podszedłem do konsoli.

– James, zabawa z ich kopiami pamięci jest niebezpieczna – ostrzegła Natasha. – Możemy wymazać całe miesiące, może lata. Poza tym to i tak nic nie da, chyba że ich zabijemy. Wiesz o tym, prawda?

– Taa... – mruknąłem. – Po prostu to zrób.

Carlos wydał jęk bólu i zmartwienia, ale nic nie powiedział. Dla niego musiała to być nowość.

Podszedłem do konsoli i wstukałem współrzędne, które uzyskała Natasha. Na zewnątrz potężne, cylindryczne lufy dział „Minotaura” budziły się do życia, obracając się i obierając nowy cel – okręt kalmarów.

Można by pomyśleć, że po tym wszystkim, co przeszedłem z kalmarami, atak z zaskoczenia na ich okręt to będzie pestka. Jednak wcale tak nie było.

Jeszcze doszczętnie nie zgłupiałem, więc miałem świadomość, że na dobrą sprawę rozpętuje wojnę międzygwiazdową. Czerpałem jednak pocieszenie z faktu, że to głowonogi zaczęły całą tę aferę. A może zrobili to Galaktycy? Tak czy inaczej, to nie Ziemianie uderzyli jako pierwsi. Kalmary od dziesięcioleci wyzyskiwały naszych osadników na Zeta Herculis. Poza tym podczas naszej poprzedniej kampanii zaatakowali Galaktyków i zestrzelili „Corvusa”.

Z kolei Galaktycy stopili ich kolonię do cząsteczek organicznych. Żadne z tych działań nie zostało wszczęte przez moich współziomków. Jednak teraz to my wykonywaliśmy pierwszy ruch.

Gdy tylko działa burtowe obróciły się i zablokowały na pozycjach, nacisnąłem panel dotykowy na konsoli. Rozpoczął się proces wystrzału, jednak zamiast huku dział usłyszeliśmy alarm. Panel rozjarzył się światłami ostrzegawczymi i komunikatami o błędach migającymi na pomarańczowo.

– Co się dzieje? – krzyknąłem.

– Musisz najpierw zamknąć osłony przeciwwuderzeniowe na oknach, inaczej odrzut nas zabije – podpowiedziała Natasha.

– Racja. – Zdecydowanym ruchem przesunąłem odpowiedni przełącznik w dół. Osłony zaczęły szybko opadać za oknami.

– Wiejemy – poleciłem. – Działa wystrzelą, gdy tylko osłony się zamkną.

Pędziliśmy tak szybko jak nigdy wcześniej. Byliśmy trzema zjawami w cienkich skafandrach. Udało nam się odbiec na jakieś sto metrów, zanim zagrzmiały działa.

Drgania powaliły mnie na pokład. Jeszcze sekundę wcześniej podłoga była jakieś dwa metry pode mną, a za chwilę miałem

wrażenie, że podleciała do góry i rąbnęła mnie w twarz. Z bólem zacząłem podnosić się z powrotem na nogi.

Carlos chwycił mnie pod pachę.

– Nie pora na kimanie, McGill! – warknął, pchając mnie do przodu.

Zmusiłem się do niezdarnego biegu. Teraz plan był względnie prosty. Zamierzaliśmy dotrzeć mało uczęszczanymi korytarzami do modułu naszej jednostki i uwalić się na prycze. Blokady wideo nałożone przez Natashę miały przestać działać, a my powinniśmy wyglądać na niewinne baranki.

Ten plan prawie się powiódł. Wiadomo, zawyły syreny alarmowe, a Natasha została wezwana, żeby razem z brygadą techników zbadać usterkę, ale przez jakieś trzy minuty Carlos i ja rzeczywiście mogliśmy poleżeć w koi.

Usiłowaliśmy złapać oddech i nadać naszym twarzom jak najbardziej naturalny wyraz.

– McGill – szepnął Carlos.

– Co?

– Słuchaj, teraz ty mi coś wisisz, nie? Wiesz o tym, prawda?

– Tak. Chyba tak.

– To dobrze. Bo chcę, żebyś coś zrobił.

Przewróciłem oczami. Najwyraźniej już obmyślił formę spłaty mojego świeżo zaciągniętego długu.

– Po pierwsze – zaczął – kiedy sprawa się rypnie, a wiem, że tak będzie, nie wspominaj nikomu o mnie, dobra?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę i wzruszyłem ramionami.

– Jasna sprawa – zapewniłem. – Działalem solo. Mogą mnie nawet posłać na permy, ale tej wersji będę się trzymał.

– Zuch chłopak. Po drugie...

– Do licha ciężkiego, to ci nie wystarczy? – zapytałem z gniewem.

– Czekał, druga sprawa jest łatwa! Po prostu opowiedz mi, jak ci było z Turov. Znaczący... czy jest tak ostra, na jaką wygląda? Lubi sobie pokrzyknąć?

Ponownie przewróciłem oczami.

– Naprawdę daje czadu, Carlos. Aż cały pokój chodzi. Za każdym razem.

– Ha! Wiedziałem!

– Już? Zadowolony?

– Tak właściwie to jest jeszcze coś...

Nigdy nie dowiedziałem się, jakie było jego trzecie żądanie, bo właśnie w tej chwili drzwi rozwarły się na oścież.

Jeśli nigdy nie byliście w takiej sytuacji, kiedy siedzicie sobie w cichym pokoju, a ktoś nagle wyrywa drzwi z zawiasów (i to dosłownie), to nie wiecie, jaki można przy tym przeżyć wstrząs. Chwilę wcześniej gawędziłszy na kojach i udawaliśmy, że co złego, to nie my, aż tu nagle metalowe drzwi zaskrzypiały i wygięły się, wyrwane na zewnątrz jak kawałek folii aluminiowej.

Przy wejściu stał stwór z koszmarów, gorszy niż jakikolwiek kalmar w historii kosmosu. Była to zbroja bojowa – bestia z metalowymi szponami i sapiącymi serwomotorami. Co gorsza, rozpoznałem twarz pod zasłoną hełmu. Już wcześniej widziałem ją w tym pancerzu i wiedziałem, do czego jest zdolna.

Imperator Turov może była młoda i ładna, ale w tej chwili jej twarz była tak zniekształcona wściekłym grymasem, że ledwo ją rozpoznałem. Przepychając się łokciami do małego pomieszczenia, wyszczerbiła przegrodę między wręgami i upuściła właz, który nadal niosła zaciśnięty w jednym chwytaku.

– Pani imperator? – zawołałem, zrywając się na równe nogi i stając na baczność.

Carlos poszedł za moim przykładem. Wyglądał, jakby miał się zaraz zsikać. Ja pewnie miałem taką samą minę.

– McGill... – przemówiła Turov, obracając tułów zbroi w przód i w tył. – McGill i Ortiz. Czy tak? Gdzie pozostali? Wy dwaj nie macie tyle oleju w głowie, żeby zrobić coś takiego bez pomocy.

– Słucham? – spytałem. – Czy coś się stało?

Syknęła na mnie. To był najprawdziwszy syk niezadowolenia.

– Serio? Teraz będziesz mi wciskał kit? – zapytała. – Naprawdę zamierzasz tego próbować?

Głośność jej zewnętrznego mikrofonu była podkreślona do tak boleśnie wysokiego poziomu, że się krzywiłem.

Zdecydowanie wyszedłem naprzeciw maszynie. Górując nade mną w swojej zbroi, Turov spojrzała na mnie z morderczym gniewem. Balansujący tylny moduł pancerza kołysał się i skręcał w odpowiedzi na każdy jej ruch.

Carlos przez cały ten czas nie powiedział ani słowa.

– Pani imperator – odezwał się w końcu – nie wiem, co zrobił McGill, ale ja nie brałem w tym udziału. Przepraszam, że dzielę z nim kwaterę, ale nie uważam, żeby było sprawiedliwe...

Urwał, gdy Turov wyciągnęła chwytak w jego kierunku. Rozwarł się, a potem zwarł z trzaskiem. Trysnęła krew, jakby pękł balon pełny czerwonej farby. Carlos został skrócony o głowę. Tak po prostu. Patrzyłem tępo na podłogę, skąd on gapił się na mnie. Miał szeroko otwarte oczy i wyglądał chyba na jeszcze bardziej zaskoczonego niż ja.

Turov pochyliła się nad odciętą głową i zwróciła się do niej.

– Nie wiem, czy mnie jeszcze słyszysz, Ortiz – powiedziała – ale przyjmuję twoje przeprosiny.

Przez chwilę myślałem, czy jej nie zaatakować, ale wiedziałem, że to bez sensu. Co więcej, taki ruch mógłby ją sprowokować do drugiej dekapitacji. Stałem na baczność, odwracając wzrok od bałaganu na podłodze.

Turov ponownie skupiła się na mnie. Serwomotory jej zbroi świszczwały, gdy zbliżyła kleszcze do mojej twarzy.

– Dlaczego to zrobiłeś, McGill? Dlaczego rozwalisz okręt kalmarów na atomy? – zapytała.

Mimo wszystko odczułem ulgę. Przecież nie dane mi było zobaczyć, jak salwa z dział dosięga i niszczy jednostkę głowonogów. Teraz wiedziałem przynajmniej, że nawet jeśli zginę, tym razem bezpowrotnie, moje wysiłki nie poszły na marne.

Spojrzałem Turov prosto w oczy.

– Zrobiłem to, bo i tak jesteśmy już w stanie wojny z kalmarami, pani imperator – oznajmiłem. – Nie ma sensu temu zaprzeczać. Naprawdę sądziła pani, że zadowolą się splądrowaniem Świata Postępu? Nic z tego! Gdybyśmy zapewnili im łatwe zwycięstwo, opisaliby nas w raportach jako słabych i podatnych na atak. Przysłałiby więcej okrętów. Ziemia i tak musiałaby toczyć z nimi wojnę. A tak przynajmniej to my zadaliśmy pierwszy cios.

– Nie do ciebie należy podejmowanie takich decyzji, McGill. Ty jesteś ledwie specjalistą, do diabła!

– Ma pani rację – przyznałem. – Wiem, że przekroczyłem granice.

Turov zaczęła obchodzić mnie po ciasnym okręgu. Ciężkie metalowe stopy jej maszyny tupwały blisko moich, grożąc

zgruchotaniem kości i zmiżdżeniem palców.

– Nie jestem nawet w stanie pojąć, jak to zrobiłeś! – wysapała. – Jak udało ci się przekonać ludzi z obsługi dział do oddania strzału? Nawet się z nimi nie kumplujesz!

Popatrzyłem na nią, zdając sobie sprawę, że nie zna całej prawdy.

– Najwyraźniej moje argumenty przekonały wszystkich poza panią – stwierdziłem.

– Sama również doszłam do takiego wniosku, jakkolwiek nieprawdopodobny się wydaje. Ludzie bredzili coś o tym, że ktoś pozbawił ich przytomności, ale przecież wiem, jak działa ten okręt. Musieli sterować osobiście. System jest powiązany z ich biometrią.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Co powiedzieli, kiedy im pani to uświadomiła?

– Dalej kitowali, więc obu zabiłam.

Wyciągnęła chwytną rękę i zacisnęła mi go przed nosem kilka razy. Prysnęła z niego odrobina krwi. Wydawało mi się, że widzę tam kosmyki ciemnych włosów. Prawdopodobnie należały do Carlosa, ale mogłem również patrzeć na szczątki operatorów dział.

– Co pani rozkaże? – zapytałem, ponownie spoglądając przed siebie.

Turov okrążyła mnie jeszcze raz.

– Muszę pomyśleć – powiedziała w końcu. – A ciężko mi się myśli, kiedy stoisz przede mną. Rozpraszasz mnie, McGill. Jak zawsze.

Nie byłem pewien, jak mam to rozumieć, i już otworzyłem usta, formułując łagodną ripostę, gdy nagle Turov podjęła radykalne kroki.

Wykonała gwałtowny ruch, po którym nastąpił głośny trzask. Gdy potem to wspominałem, nie byłem w stanie powiedzieć, czy ostatnim odgłosem, jaki słyszałem, było pękanie mojego kręgosłupa, czy dźwięk zaciskających się szczypców.

Bez względu na wszystko efekt był taki sam. Upadłem na pokład rozcięty na pół i umarłem.

Ile razy ginąłem w służbie Legionu Varus i ogólnie w służbie ludzkości? Tego nie wiem. Chyba straciłem rachubę. A może po

prostu nie chcę o tym pamiętać. Na samą myśl robi mi się słabo.

Tym razem powrotowi świadomości towarzyszył ostry ból, uderzający raz po raz po prawej stronie żeber.

Odzyskiwanie przytomności po śmierci przypomina budzenie się ze snu. Umysł nie od razu orientuje się, co i jak. Tak właśnie stało się tego dnia, gdy byłem przekonany, że to, co rejestrują moje zmysły, nie może być prawdą.

Ktoś deptał moją klatkę piersiową. Tupał nogą po żebrach, jakby próbował zabić szczura.

Później włączył mi się słuch. Był tam ktoś jeszcze – kobieta. Mówiła coś i kibicowała łowcy szczurów.

– Dajesz, Carlos! Włóż go z powrotem do tego rębaka!

Kivi! Wszędzie poznałbym ten akcent.

– Kivi? – jęknąłem słabym głosem. Uniosłem dłonie, by powstrzymać deptanie, ale wtedy atak przeniósł się na moją twarz.

– Rozgniotę mu gardło – powiedział Carlos. – Właśnie tak! Zasłużył sobie. I niech jego kolejna wersja nas przeprosi!

– Jeśli zabijesz go dość szybko – podpowiedziała Kivi głosem ociekającym jadem – to w ogóle nie będzie tego pamiętać.

Wracały mi siły. Instynktownie zasłoniłem gardło dłońmi. Gdyby zmiażdżyli mi krtań, byłoby po wszystkim. Zwyczajnie bym się udusił.

Starczyło mi krzepy, żeby chwycić bosą stopę i skrócić ją, gdy uderzała ponownie. Carlos zaklął i runął na podłogę. Po skróceniu mu stopy postanowiłem go jeszcze kopnąć. Trafiłem, ale to nie wystarczyło, żeby gada znokautować. Odpełzł ode mnie.

Unosząc się na łokciu i ocierając śluz z oczu, rozejrzałem się szybko i niespokojnie.

Kivi przykucnęła obok mnie. W dłoni miała ostrze. Dokładniej mówiąc, skalpel. Obrzuciłem wzrokiem pomieszczenie. Oprócz Carlosa było tam jeszcze jedno ciało. Musiało należeć do Anne Grant.

To mnie wkurzyło. Chwyciłem Kivi za nadgarstek. W nagrodę ozdobiła moje ramię długą raną ciętą.

– Pogięło was? – zapytałem ze złością, podnosząc się do siadu.

Przyjęła pozycję bojową. Czekałem na kolejny atak. Sądziłem, że dam radę bronić się, siedząc, ale jeśli uderzy, kiedy podniosę się

i stracę równowagę, wówczas to lśniące ostrze rozorze mi wnętrzności.

Carlos stanął na nogi. Zdałem sobie sprawę, że wszyscy troje jesteśmy nadzy. Wskrzeszono nas i zostawiono bez ubrań i sprzętu. Zacząłem szybko odtwarzać kolejność zdarzeń, jakkolwiek trudno było zmusić do pracy mój nowy mózg.

– Niech zgadnę – odezwałem się. – Ożywili nas i unieruchomili zaraz po wyjściu z maszyny. Jedno z was uwolniło się i zabiło Anne. Dumni jesteście z siebie?

– Ja jestem – odparła Kivi tonem groźniejszym niż zwykle. Zawsze miała wybuchowy charakter i emocjonalne podejście do życia. Mogła być najlepszą przyjaciółką i najgorszym wrogiem – a może nawet jednym i drugim.

– A niby co takiego zrobiła ci Anne? – zapytałem.

– Przywróciła mnie do życia, żebym mogła stanąć przed sądem!

Zmrużyłem oczy, a potem popatrzyłem na Carlosa.

– Przed sądem? – powtórzyłem.

– Właśnie tak, stary druhu – powiedział. – Już po nas. Skończymy na permach przez twój idiotyczny plan. Przemyśl to sobie, zanim zabijemy cię teraz w ramach zemsty. Chcę, żebyś dostał za swoje.

Powoli się podniosłem, a wtedy Kivi na mnie skoczyła. Wiedziała, że lepiej dla niej, żebym nie wstawał. Na szczęście przewidziałem jej ruch. Odtoczyłem się do tyłu i zdzieliłem ją prosto w twarz moją wielką stopą, skutecznie ją zatrzymując.

Zarobiłem kolejną ranę, tym razem na łydce, ale Kivi upadła, a skalpel zagrzechotał na podłodze. Carlos chciał sięgnąć po narzędzie, ale rzuciłem się na niego. Wcisnąłem kolano w jego nerkę i przygwoździłem go do podłogi, wyszarpując mu ostrze z rąk.

W tym czasie Kivi wstała i krążyła po pokoju, niespokojnym wzrokiem wypatrując innej broni. Nie puszczałem Carlosa. Krew ciekła mi z ramienia i nogi, rozpryskując się na jego plecach.

– Powinienem zabić was oboje, wy pajace! Tu i teraz! – wydyszałem ciężko.

– Śmiało – odparł Carlos z poziomu podłogi. – To i tak bez różnicy! Wszyscy mamy przesrane!

– Więc może powinniśmy się zastanowić, jak się z tego wypłatać, zamiast się bić? Turov pewnie w tej chwili wszystko nagrywa

i popija martini. Może to wszystko był jej plan? Jeśli tak, to jedziemy dalej. Nie chciałbym jej zawieść.

Kivi zmarszczyła brwi i popatrzyła po ścianach, w których rzeczywiście mogły znajdować się kamery. W tych czasach były już wszędzie, a modele o niskiej rozdzielczości nie były większe od igły.

– Daj mu wstać – poleciła Kivi, wskazując na Carlosa.

– Obiecujesz, że nie będziesz próbował mnie zabić? – zapytałem Ortiza.

– Jasne – odparł. – Czemu nie? McGill, jeśli uda ci się nas z tego wyciągnąć, to przez rok będę czyścił twój ekwipunek. A Kivi... cóż, przez rok będzie dzielić z tobą łóżko, i to za darmo. Idziesz na to, laska?

Kivi kopnęła go, a ja jej nie przeszkadzałem. Należało mu się. Jak zawsze.

Zszedłem z pleców Carlosa, a on z trudem stanął na nogi.

– Mocno krwawisz – zwróciła się do mnie Kivi.

– I teraz nagle się tym martwisz? – zapytałem z niedowierzaniem. Znalazłem skórodruk i przeciągnąłem podłużnym urządzeniem po ranach.

– Mówiłeś serio z tym planem? – spytała dziewczyna. W oczach miała rozpacz.

„Jakie to dziwne” – pomyślałem. Jeszcze minutę wcześniej była zdeterminowana, żeby mnie pochłostać. Przez sekundę myślałem o tym, jak ciągle umieranie może wykrzywić umysł. Byliśmy praktycznie nieśmiertelni... jednak to wzbudzało w nas jeszcze większy strach przed procesem umierania, bo znaliśmy go aż za dobrze. Jednocześnie stawaliśmy się nieczuli na życie innych osób i nabieraliśmy paraliżującego strachu przed wylądowaniem na permach. Teraz, gdy permazgon był naprawdę możliwy, czy wręcz prawdopodobny, porzuciliśmy wszelkie namiastki cywilizowanego zachowania.

– Ludzie – powiedziałem – musimy wziąć się w garść. Gdzie Natasha? Ją też złapali?

Kivi spoliczkowała mnie.

– Wiecznie myślisz o tych swoich babach! – powiedziała z wyrzutem. – Oczywiście o wszystkich oprócz mnie! Ja nawet nie brałam udziału w twojej intrydze, ale Turov mi nie uwierzył.

Wpadła do mojego pokoju i mnie zabiła. Najpierw obcięła mi ręce i nogi. Głowę zostawiła na koniec.

Wydawało mi się, że widzę pojedynczą łzę w kącie jej lewego oka. Było to coś nietypowego i znaczącego. Turov musiała zafundować Kivi istną traumę, skoro dziewczyna była choć trochę bliska płaczu.

– Zapomnij o tym – powiedziałem. – Zapomnij o Turov. Pytałem o Natashę, bo tylko ona może nam pomóc.

– Jeśli tak, to jesteśmy uwaleni, wielkoludzie – stwierdził Carlos. – Ją też aresztowali. Nie wiem, jakie postawili jej zarzuty, ale mogę się domyślać.

Wtedy maszyna wskrzeszająca zabulgotała. Kivi wykrzywiła usta.

– Jak myślicie, kto... – zaczęła.

Podeszliśmy do urządzenia, a ja otworzyłem jego szczęki. Były tam stopy. Należały do kobiety. Wyciągnąłem Natashę i wybudziłem ją tak delikatnie, jak się dało.

– Dobrze – stwierdziła Kivi. – Zasługuje na to, żeby do nas dołączyć. Tylko mnie nie powinno tu być.

– Kivi – zwróciłem się do niej, zajmując się wycieńczoną i osłabioną Natashą – powiem o tym Turov. Nie jestem pewien, czy mi uwierzy, ale wspomnę o tym na procesie.

– Będzie jakiś proces? – zapytała Natasha słabym głosem.

Poczułem przypływ żalu. Pewnie, rozwalilem okręt kalmarów i ocaliłem Tau wraz z ich stacją, ale moi przyjaciele i ja zapłaciliśmy za to wysoką cenę, a nasza sytuacja miała jeszcze ulec pogorszeniu.

Gdy włąz w końcu szczęką, stanąłem blisko wyjścia. Carlos przemknął zwinnie jak pajak i zaczął się za drzwiami, ale gestem nakazałem mu odejść. To i tak by nie zadziało.

Jak można się było spodziewać, do pomieszczenia wkroczyło trzech ciężkozbrojnych w pełnym rynsztunku. Wywlekli Carlosa z jego kryjówki. Dali nam jakieś ubrania.

Zmuszono nas do marszu długim korytarzem. Nie przypominałem sobie, żeby wcześniej był tak długi. Gdy mijaliśmy okno, rzuciłem okiem na zewnątrz.

Nie było tam już Świata Postępu. Zamiast tego mijaliśmy gwiazdy. Wiedziałem, że to projekcja, a nie rzeczywisty obraz. Mknęliśmy z prędkością nadświatłą.

Kiedy dotarliśmy do modułu dowódców, Kivi, Natasha i Carlos pozostali w poczekalni, skuci kajdankami. Przynajmniej dostali wygodne fotele.

Mnie wprowadzono do następnego pomieszczenia. Domyślałem się, że jako herszt bandy będę sądzony w pierwszej kolejności.

Imperator Turov uśmiechnęła się do mnie dyskretnie, gdy wszedłem do gabinetu. Wyczekiwała procesu z wyraźną niecierpliwością. Pomyślałem, że być może cieszy ją cała ta sytuacja. Bądź co bądź, usiłowała mnie posłać na permy w majestacie prawa niemal od naszego pierwszego spotkania. Co za oziębła jędrza! Owszem, całkiem niedawno daliśmy się ponieść namiętności, i to dwa razy, ale nie wyglądało, żeby miało to na nią jakikolwiek wpływ.

Był tam również trybun Drusus, ale nie patrzył na mnie. Chwilę później dołączył Armel. W ręku trzymał szklankę i coś mi mówiło, że nie popija mrożonej herbaty.

– Oto i on – rzekł z dziwnym uśmiechem. – Sławny James McGill. Człowiek, który uosabia łajdacki urok Legionu Varus!

– Przymknij się, Armel – rozkazała Turov łagodnym tonem. – To jest proces. Nalegam na zachowanie należytej powagi.

– Co racja, to racja – odparł trybun Germaniki, po czym znalazł sobie fotel i wtulił się w niego. Głośno siorbiąc, pociągnął łyk ze szklanki i potoczył po wszystkich wyczekującym spojrzeniem.

– Zaczynamy – powiedziała Turov wyniośle. Również zajęła miejsce.

Jeśli o mnie chodzi, to stałem na baczność, twarzą do całej trójki. Wlepiałem wzrok w jakiś punkt nad ich głowami, bacznie obserwując ścianę. Starłem się nadać twarzy jak najbardziej obojętny wyraz.

– Specjalisto Jamesie McGill – zwróciła się do mnie Turov, powoli cedząc słowa – gdzie popełniłmy błąd?

Nie byłem pewien, czy oczekuje odpowiedzi, ale i tak jej udzieliłem. Jeśli człowiek nie może się wygadać na procesie, kiedy idzie o jego życie, to nie ma już sprawiedliwości w tym wszechświecie.

– Legion Varus chciał mnie przyjąć, sir – powiedziałem. – Widzieli mój profil psychologiczny, tam jest wszystko co trzeba. Nikt nie powinien być zaskoczony.

Drusus pochylił się do przodu.

– Oglądanie cyferek na wykresie to jedno, McGill. Ale sytuacja, gdy jeden z naszych żołnierzy na służbie wznieca bunt na okręcie i rozpętuje międzygwiazdną wojnę, to coś zupełnie innego – oznajmił.

Ponieważ nie padło żadne pytanie, nie odpowiedziałem.

Armel nieoczekiwanie pokręcił głową i ryknął śmiechem. Teraz widziałem, że jest już lekko wstawiony. Zagrzechotał drinkiem, a kostki lodu zawirowały w pogoni dookoła szklanki.

– Powinniście dać mu medal – stwierdził wesołym głosem. – Ma rację. Jest idealnym reprezentantem całej waszej ekipy, Drususie!

– Odpuść, Armel – zripostował Drusus. – Gdyby nie Varus, wszyscy zostalibyście bez pracy. Po Ziemi zostałyby popioły. Dobrze o tym wiesz.

– Ha! Co za mrzonki! Hegemonia daje wam gówniane robótki i wmawia wam, że jesteście tacy ważni! Czy nie przeszło ci nigdy przez myśl, że każdy mógłby wykonywać te wasze „krytyczne” misje? I że dają je takim wyrzutkom jak wy właśnie dlatego, że nikt inny nie ma ochoty męczyć się na kolejnej zatraconej planecie, na którą was posyłają?

Drusus spochmurniał i zaczął wstawać, ale Turov gestem nakazała mu usiąść. Wcześniej niefrasobliwie śledziła wymianę zdań, ale teraz najwyraźniej zmęczyła ją ta szopka.

– Wystarczy – powiedziała. – Rozmawialiśmy przez prawie dwie godziny, panowie. Przyszedł czas podjąć decyzję. Jaki los czeka oskarżonego? Mieli panowie dość czasu, żeby wyciągnąć wnioski.

Tą wypowiedzią wzięła mnie z zaskoczenia. Spuściłem lekko wzrok i spojrzałem po twarzach zebranych. Drusus i Armel patrzyli na siebie – ten pierwszy dość wpieniony, a ten drugi wyraźnie rozbawiony. Z kolei Turov patrzyła prosto na mnie. Pod jej spojrzeniem poczułem się niezręcznie.

Trybun Germaniki był cały w skowronkach.

– Winny! – oznajmił, pochylając się i dopijając drinka. – Na permy z nim! Trzeba to było zrobić już dawno, drodzy oficerowie. Nie rozumiem, czemu nie podjęliście odpowiednich działań po jego wcześniejszych wykroczeniach. Teraz macie szansę naprawić błędy przeszłości.

Głos oddany przez Armela wcale mnie nie zdziwił. Powiodłem wzrokiem dalej i spojrzałem w oczy Drususowi. Na niego liczyłem najbardziej.

Trybun westchnął ciężko.

– Przez lata żywiłem nadzieję, że nie dojdzie do takiej sytuacji – stwierdził. – Obawiam się jednak, że tym razem muszę zgodzić się z kolegami. James, posunąłeś się za daleko. Nie możemy pozwalać, by ludzie brali przepisy w swoje ręce. Na pewno to rozumiesz.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Lubiłem Drususa i widziałem, że boli go ta decyzja. Może odwzajemniał choć trochę moją sympatię?

– Postawiłem was w niekorzystnej sytuacji, sir – przyznałem. – Jestem tego świadomy. Jednak byłem i wciąż jestem przekonany, że wcześniej czy później czeka nas walka z kalmarami. To agresywne typy. Okazując im słabość, jedynie zachęcimy ich do dalszych ataków. Bez względu na to, jak zostanie osądzony, historia pokaże, kto miał rację.

– Filozof! – zawołał nagle Armel. – Prorok! Jasnowidz! Drususie, niepotrzebnie ukrywałeś ten klejnot przez tak długi czas. To miło z twojej strony, że w końcu pozwoliłeś nam go poznać.

Drusus obrzucił Armela jadowitym spojrzeniem.

Zachowanie trybuna Germaniki – zupełnie nieprzystające do osoby w jego wieku – irytowało mnie, a jednocześnie zastanawiało. Z pewnością znał powagę sytuacji. Być może urznięcie się, drażnienie Drususa i posłanie mnie na permy to był jego sposób na udźwignięcie ciężaru wydarzeń, które rozgrywały się w tym układzie gwiezdny.

Teraz wszyscy zwrócili oczy na panią imperator. Jako oficer dowodzący w układzie mogła zawetować egzekucję... albo zgodzić się z werdyktem i przypieczętować mój permazgon.

– Panowie – zaczęła, wstając z miejsca – bądźcie tak mili i zostawcie mnie na chwilę z oskarżonym.

Obaj trybuni byli wyraźnie zaskoczeni.

– Pani imperator... – odezwał się Drusus. – Czy jest pani pewna, że to dobry pomysł? Nie jest tajemnicą, że oskarżony zwykł uciekać się do przemocy w podobnych okolicznościach.

Turov, pewna swego, poklepała splotkę przy boku.

– Dam sobie radę. Naprawdę sądzisz, że mógłby mnie zabić?

– Jeśli mam być szczery, to... tak – przyznał Drusus.

Turov zmarszczyła brwi.

– Poszli won! – poleciała.

Trybuni zawahali się, ale tylko przez sekundę.

Mijając mnie po drodze do wyjścia, Armel mrugnął i uśmiechnął się półgębkiem, jakby podejrzewał, że mogę pod jego nieobecność obcałowywać Turov. Miałem ochotę poczęstować go piąchą, albo przynajmniej obelżywym gestem, ale nie zrobiłem tego. I tak miałem już dość kłopotów. Poza tym musiałem przyznać, że jeśli Turov chodziło po głowie romansowanie, to tego dnia dostanie ode mnie to, czego chce.

Kiedy zostaliśmy sam na sam, imperator od razu przeszła do rzeczy. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła klucz Galaktyków. Położyła opalizujący przedmiot w kształcie muszli na blacie, na którym świecił ekran. Zwykle komputery biurowe służyły pomocą w identyfikacji i łączeniu się ze wszelkimi nowinkami technologicznymi, które na nich umieszczano, ale nie tym razem. Blat świecił, ale wyświetlił się tylko znak zapytania w dymku.

– Co to takiego? – zapytała Turov.

Spojrzałem na bezcenny obiekt. Starłem się, żeby moja mina wyrażała nikłe zainteresowanie.

– To taka fikuśna zapalniczka, sir – powiedziałem. – Trudno się ją obsługuje ludzkimi rękami, ale jeśli poda mi ją pani, pokażę, jak to się robi.

Wydmuchnęła powietrze i przewróciła oczami.

– Wykluczone. Wyjaśnisz mi, co to za artefakt i jak działa. Chcę wiedzieć, jaką rolę odegrał w twojej intrydze.

Po raz pierwszy od narodzin mojego aktualnego ciała wargi wykrzywiły mi się w uśmiechu. Może nie od razu od ucha do ucha, ale zawsze.

– Jaką to ma dla pani wartość? – zapytałem. – Jako skazaniec...

– Jeszcze nie zostałeś skazany. Jednak zważywszy, że z każdym twoim słowem robię się coraz bardziej poirytowana, jesteś na dobrej drodze.

Utknęliśmy w impasie. Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund.

– Niech będzie – warknęła w końcu Turov, wyciągając palec w stronę pulpitu. – Wezwę Natashę Elkin. Zostanie zaszlachtowana

tutaj, na moim dywanie. A potem ją wskrzeszę i zapytam ponownie o ten artefakt. Jeżeli jej odpowiedź mnie nie zadowoli, będę powtarzać tę procedurę, dopóki nie dolecimy nad Ziemię.

Zmarszczyłem czoło.

– Dlaczego nie spróbuje pani tego ze mną?

– Ponieważ sędzę, że to nie zadziała. A przynajmniej nie tak szybko, jak w przypadku tej specjalistki.

Westchnąłem.

– W porządku – powiedziałem. – Ale proszę nie mieszać do tego innych. Nie oni są za to odpowiedzialni, tylko ja. Do licha, Kivi nawet nie wiedziała, co chcemy zrobić!

– Doprawdy? – spytała zamyślonym tonem. – A zatem pomyliłam się co do niej. Nie sądziłam, że mógłbyś zrealizować tak misterny plan bez pomocy wszystkich swoich kamratów.

– Nie był aż tak misterny.

– Ależ był! Ogólnie rzecz biorąc, przejąłeś kontrolę nad naszymi systemami sterowania bronią i zdołałeś uderzyć w wybrany cel. Nie tylko go trafiłeś, ale też zniszczyłeś.

– Jestem bombardierem, sir. Legion Varus przeszkolił mnie jak trzeba.

Postukała kluczem o pulpit.

– Do czego to służy?

– A będzie pani głosować za moim permazgonem?

– To już zależy całkowicie od twojej odpowiedzi.

Przetrawiając jej słowa przez kilka sekund, rozważyłem możliwości. Wybór miałem niewielki. Mógłbym spróbować się na nią rzucić, ale stała po drugiej stronie dużego biurka. Wystarczyło, że wyciągnie spluwę i odda jeden strzał.

– Po pierwsze, oczekuję pewnych gwarancji – oznajmiłem. – Chcę, żeby odpuszczono także moim przyjaciołom, nie tylko mnie.

– Dobrze. Pod warunkiem że ten przedmiot jest cokolwiek warty.

– Jest. O to proszę się nie martwić.

– Więc cóż to takiego, do licha? Jakim cudem udały ci się te wszystkie sztuczki?

– To nie były żadne sztuczki – zapewniłem. – Zadziałała tu wyłącznie magia techniki. Ten obiekt znany jest jako klucz Galaktyków.

Przez kilka kolejnych minut objaśniałem przeznaczenie i działanie klucza. Gdy mówiłem, Turov otwierała oczy coraz szerzej.

– Nie do wiary – powiedziała, podnosząc przedmiot i obracając go powoli w dłoniach. – To naprawdę wiele wyjaśnia... Szczerze mówiąc, jestem ci wdzięczna, że mi go przyniosłeś.

Zmarszczyłem brwi.

– On jest mój.

– Otóż nie. Teraz należy do mnie. A ty zachowasz jego właściwości, a nawet sam fakt istnienia, w całkowitej tajemnicy. W zamian umorzę postępowanie w twojej sprawie i ułaskawię twoich przyjaciół. Ponadto, jako że cała twoja intryga była pierwotnie moim pomysłem, awansuję cię na kandydata do rangi weterana, w ramach nagrody za bezbłędną realizację moich planów.

Zmrużyłem oczy w wąskie szparki.

– Że co? To był pani pomysł?

– Jak najbardziej. Wykonywałeś moje rozkazy. Pomyślnie wykonałeś tajną misję. Nie pozwalam ci rozmawiać o niej więcej z kimkolwiek innym. Czy moje warunki są jasne?

Skrzywiłem się zdegustowany, jednak szybko dostrzegłem plusy jej oferty.

– Przyjmuję pani warunki – powiedziałem. – I mam nadzieję, że jest pani zadowolona z tego, w jaki sposób zrealizowałem pani genialny plan.

Turov prawie mnie nie słuchała. Trzymała w dłoniach muszlowaty klucz, obracała go i oglądała z każdej strony, jakby został wykonany z najszlachetniejszego diamentu.

– Tak – rzuciła. – Jestem z ciebie zadowolona, James. I to bardzo.

Graves zaśmiał się.

– Upiekło ci się, McGill – stwierdził. – Masz pojęcie, w jakiej sytuacji postawiłeś panią imperator? Musiała powiedzieć, że to był jej pomysł. W przeciwnym razie co pomyślałaby o niej Hegemonia? Co by się stało, gdyby usłyszeli, że jakiś specjalista zdołał rozpętać wojnę, kiedy to ona dowodziła? Jak sądzisz, co powiedzieliby na to ważniacy?

– Z pewnością nic dobrego, sir.

– Otóż to. Obiliby jej nowiutką, śliczną dupeczkę, a jej ostatni awans poszedłby w niepamięć. A tak może udawać, że to kalmary zaatakowały stację, a ona postanowiła ich ostrzelać. To rozsądne działanie i każdy dowódca musiałby je podjąć. Każdy z wyjątkiem naszej pani Turov. Ona nie lubi się w coś mieszać, jeśli nie wie, jak ma z tego wyjść obronną ręką.

Przemyślałem słowa Gravesa i musiałem się z nim zgodzić. Początkowo myślałem, że Turov zapalała do mnie sympatią, ale zdażyłem już dawno odrzucić taką ewentualność. Zawetowała moją egzekucję nie dla mojego dobra, ale po to, żeby ocalić własną skórę.

Nie mogłem powstrzymać się przed porównaniem jej postępowania teraz i tuż po odrodzeniu. Kiedy pomogłem jej przejść ze śmierci do życia, była przede wszystkim młoda i gładka. Jednak Natasha miała rację. Wystarczyło kilka dni, żeby wróciła do starych nawyków. Z zewnątrz nadal promieniała młodością, jednak w głębi jej serca czaiła się przebiegła karierowiczka, jaką stała się z biegiem lat.

– Kolejna sprawa – powiedział Graves. – Zażądała nagrania z procesu, na którym zrzuca całą winę na ciebie. Zatrzymała sobie ten filmik, gdyby miał się jej jeszcze przydać.

– Do czego, sir? – usłyszałem swoje pytanie.

– Do ochrony. Jeśli Nairbowie wreszcie się zjawią i będą chcieli wiedzieć, co tu się wyprawiało, ona pokaże im plik wideo. Z tobą

w roli głównej. Renegat McGill został schwytany i stracony. Sprawa zamknięta.

Kiwnąłem głową.

– A skoro wszyscy wyglądamy dla nich niemal identycznie, powinno nam to ująć na sucho.

– No pewnie – odparł Graves z rozbawieniem. – Gdy nadejdzie ten dzień, tobie nic się nie stanie.

Zmarszczyłem brwi, bo miałem wrażenie, że nie mówi szczerze. Świetnie. Teraz znałem już kolejny sposób, w jaki mógłbym umrzeć w przyszłości.

Graves odchrząknął i zaszeleścił wydrukiem komputerowym. Wygładził go i położył pistolet na jednej krawędzi, aby go przytrzymać.

– Ten nowy papier do komputerów, który sprzedali nam Tau, jest cieńszy, ale nie chce leżeć płasko – stwierdził z wyrzutem.

– Ciekawe, czy to podróbka – powiedziałem. – Podejrzewam, że wiele ich towarów to nielegalne kopie.

Centurion skarcił mnie wzrokiem i potrząsnął głową.

– Zapomnij, że taka myśl kiedykolwiek przyszła ci do głowy, specjalisto.

– Proszę ją uznać za zapomnianą, sir.

– I dobrze... A! – zawołał nagle Graves, ponownie wygładzając wydruk. – Jeszcze jedno!

Wezwał przez stuka weterana Harrisa.

– Co tym razem, centurionie? – zapytałem.

Graves uciszył mnie machnięciem ręki. Poczułem się niepewnie, gdy weteran Harris odpowiedział na wezwanie i wszedł do pokoju. Spojrzał na mnie z pogardą, ja natomiast unikałem jego wzroku.

– Czy ten człowiek sprawia panu kłopoty, sir? – zapytał weteran.

– Nie jestem dziewczynką w miejskim parku – zaśmiał się centurion. – Ale fakt, McGill wiecznie sprawia mi kłopoty.

– Mam tak samo, sir – zapewnił Harris.

– Zatem na pewno się ucieszysz. Weteranie Harris, oto nakaz aresztowania McGilla, podpisany przez samego trybuna Armela.

Harrisowi zabłyśły oczy. „Co za gnojek” – pomyślałem.

– Jakie są zarzuty, sir? – zapytał weteran rozochocony.

– Akcja wywrotowa. Czyny niestosowne. Napaść na przełożonych z innego legionu. Lista jest dość długa.

– Wiedziałem! – zawołał Harris, gapiąc się na mnie jak pies na hamburgera. – Wiedziałem, że dasz ciała! Germanica nie ma cierpliwości do takich numerów. Może i są wychuchanymi gogusiami, wszyscy co do jednego, ale trzeba przyznać, że grają według jasnych zasad.

– To chyba pierwszy i jedyny raz, kiedy słyszę od ciebie słowa uznania dla Germaniki – zauważył Graves.

– Jak ktoś zasłuży, to trzeba go pochwalić.

– Dobrze powiedziane. Weteranie Harris, proszę aresztować specjalistę McGilla.

Harris podszedł do mnie ostrożnie i wyszarpnął moją broń boczną. Przez chwilę chciałem się z nim siłować. Serio. Coś mi jednak mówiło, że mogę rozegrać tę partię lepiej. Jeśli pójdę z tym do imperator, może będzie mogła mnie z tego wyciągnąć. W końcu mieliśmy umowę.

Harris szczerzył się do mnie jak dzieciak w gwiazdkowy poranek.

– W porządku – powiedział Graves i westchnął ze znużeniem. – Specjalista McGill niniejszym został aresztowany.

Uniósł stuka i zaczął nagrywać. Sfilmował mnie i Harrisa stojącego obok mnie i celującego we mnie.

– Przeprowadzę teraz przesłuchanie – oznajmił Graves. – McGill, czy doprowadziłeś do śmierci żołnierzy Germaniki podczas naszego krótkiego pobytu na Świecie Postępu?

– Yyy... prawdopodobnie tak, sir – odparłem.

– Uznam to za przyznanie się do winy. Czy zignorowałeś bezpośrednie rozkazy wyższych rangą legionistów Germaniki?

– Centurionie, pracowałem z tymi ludźmi. Ocaliłem ich żalosne tyłki. Gdyby nie ja, wszyscy wylądowaliby na permach.

Graves machnął ręką, jakby moje słowa cuchnęły.

– Wystarczy „tak” albo „nie”.

Westchnąłem.

– Tak. Sądzę, że to zrobiłem – powiedziałem.

– I wreszcie, czy dopuściłeś się zdrady, działając wspólnie z jakimś adiunktem Claverem?

Zjeżyłem się i potrząsnąłem głową.

– To bez sensu, sir! Najpierw twierdzą, że nie wykonywałem rozkazów jednego z ich oficerów, a potem mówią, że mam kłopoty, bo wykonywałem rozkazy innego?

– Odpowiedz na to pytanie, McGill – polecił Graves znudzonym tonem.

– Tak. Pewnie. – powiedziałem. – Wykonywałem rozkazy Clavera. Przecież to pan wysłał mnie na misję!

Graves spojrzał na mnie z irytacją. Pracował na stuku, edytując nagranie. Ta absurdałna przepytawanka zaczynała działać mi na nerwy.

– Wycinam to ostatnie zdanie – powiedział Graves. – Postaraj się nie zbaczać z tematu. Ostatnie pytanie: czy napadłeś i osobiście zamordowałeś adiunkta Clavera?

Zacisnąłem zęby, ale udało mi się udzielić wyważonej odpowiedzi.

– Tak – powiedziałem. – Zabiłem tego parszywego padalca. A oni powinni się z tego cieszyć. To on wywołał całą katastrofę w megadomu i doprowadził do śmierci przeszło miliona cywili.

– Dobrze powiedziane – mruknął Graves. – W porządku, zatem w oparciu o dowody i twoje zeznania, uznaję cię winnym. Skazuję cię na karę pozbawienia wolności na czas nieokreślony, bez możliwości apelacji. Weteranie Harris, kajdanki.

Harris podał mi bransoletki drżącymi z podniecenia rękami. Założyłem je, kiedy podstawił mi lufę pod nos.

– Znakomicie – stwierdził Graves. – Ręce wyżej, jeśli łaska, McGill.

Zrobiłem, jak prosił, ale nie miałem pojęcia, czemu nadal z nim współpracuję. Co za pieprzenie!

– Centurionie – odezwałem się – podczas tej misji wielokrotnie zdarzało mi się nie trzymać scenariusza.

Harris i Graves wspólnie roześmiali się pogardliwie na te słowa.

– Masz prawdziwy talent do eufemizmów – powiedział Graves.

– Rzecz w tym, że nie uważam tej kary za sprawiedliwą. Jak może mnie pan skazać na gnicie w więzieniu? Już wolałbym permy!

Harris poweselał i znacząco uniósł pistolet.

– Może powinniśmy spełnić jego życzenie, centurionie?

Graves spojrzał na swojego stuka.

– Chwila – rzucił.

– O co chodzi, sir? – spytałem.

Machnął na mnie palcem, nakazując mi milczeć, nie spuszczać wzroku ze stuka.

Westchnąłem ciężko i stałem tak, całkiem skołowany.

– Minęła jedna pełna minuta – oświadczył w końcu Graves, opuszczając rękę. – W porządku. Harris, uwolnij go.

– Że co?! – zapytał Harris gniewnie.

– Nie słuchałeś, kiedy ogłaszałem wyrok? – zapytał centurion ze stoickim spokojem. – Powiedziałem przecież, że skazuję McGilla na karę więzienia na nieokreślony czas. Teraz uznałem, że odbył już swoją karę, i zwracam mu wolność.

– Ale jedna minuta? – spytał Harris z niedowierzaniem.

Graves gestem nakazał mu się pospieszyć, a ja wyciągnąłem ku niemu dłonie w kajdankach. Harris bluzgał pod nosem, ale rozkuł mnie.

– Dziękuję, weteranie – powiedziałem. – Jestem pewien, że dzisiejsza nauka nie pójdzie w las.

Harris przewrócił oczami. Graves pozwolił mu odejść, mnie jednak nakazał zostać.

– Teraz ostatnia sprawa – powiedział. – Imperator awansowała cię i jesteś teraz kandydatem do stopnia weterana. Czy ci o tym wiadomo?

– Owszem.

Graves pokiwał głową, patrząc na mnie czujnie.

– Nie sądziłem, że jesteś takim dobrym negocjatorem. Mogę tylko wyobrazić sobie, jakiego haka na nią wynalazłeś, żeby do tego wszystkiego uzyskać taką nagrodę.

Uśmiechnął się do mnie przelotnie, a ja udałem, że nie rozumiem, do czego pije. Nie zdradzając się, zauważyłem, że ucieszyły mnie insynuacje Gravesa. Jeśli wszyscy byli przekonani, że obiecałem nikomu nie mówić o występkach Turov z żołnierzem w zamian za rangę, cóż... lepsze to niż wyjawienie prawdy. Nikt nie musiał wiedzieć o kluczu Galaktyków.

– Harrisowi się to nie spodoba – stwierdził Graves. – Prawdę mówiąc, nie dawałbym ci większych szans na pomyślne przejście prób. Ale skoro masz poparcie imperator, to co ja mogę? Podpiszę co trzeba.

Marszcząc brwi, potakiwałem, jakbym wszystko rozumiał, choć niezupełnie tak było. Wiedziałem tyle, że dochrapanie się stopnia weterana w Legionie Varus nie było prostą sprawą. Dowódcy zgłaszali nowych kandydatów do tej rangi, ale sam ten fakt nie gwarantował awansu. Każdy kandydat musiał najpierw dowieść swojej wartości przed innymi weteranami w kohorcie. Dokładny charakter tego procesu był dość zagadkowy i owiany tajemnicą. Miałem świadomość, że wiele zależało od popularności wśród innych weteranów. Tak się nieszczęśliwie składało, że ten, którego znałem najlepiej, nienawidził mnie jak zarazy.

– Masz prawo zrezygnować z tego awansu – odpowiedział Graves, patrząc na mnie wyczekująco.

Szczerze mówiąc, przez chwilę rozważałem skorzystanie z tej możliwości. Jednak zaraz potem poczułem iskrę gniewu. Harris z utęsknieniem wyczekiwał mojej śmierci lub uwięzienia, a ja wiedziałem, że niewiele rzeczy wkurzyłoby go bardziej niż uzyskanie przeze mnie stopnia weterana.

– Przyjmuję awans, sir – oznajmiłem uroczystym tonem.

Graves wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. To w końcu twój pogrzeb. Możesz odejść, specjalisto.

Pogrążony w rozmyślaniach nad czekającą mnie przyszłością, wyszedłem z jego gabinetu i wróciłem do swojej kwatery.

Kilka dni później dolecieliśmy do Ziemi. W toku kampanii nasza misja uległa radykalnej modyfikacji i postanowiono, że najlepszym rozwiązaniem będzie wcześniejsze opuszczenie Świata Postępu.

Powrót do domu rozwiązał wiele problemów. Zarówno Varus, jak i Germanica poniosły dotkliwe straty. Co gorsza, ponieważ ocalała tylko jedna maszyna wskrzeszająca, nie byliśmy w stanie odbudować sił. Po powrocie mogliśmy na nowo wyhodować wszystkich żołnierzy w ciągu paru dni. Potem Hegemonia mogła zdecydować, czy chce nas odesłać z powrotem na misję, czy może woli wykorzystać nasze umiejętności do innych celów.

Gdy „Minotaur” wyszedł z nadprzestrzeni i orbitował nad Ziemią, w zamyśleniu spoglądałem przez okno. Zastanawiałem się, ile czasu

spędzę w domu, zanim znowu pošlę mnie na wojnę.

Po raz pierwszy gdzieś z tyłu głowy kołatała mi się inna myśl. A jeśli wojna podążyła za mną aż tutaj? Co będzie, jeżeli to Ziemia stanie się kolejnym polem bitwy?

Niepokoilo mnie to, bo nie sądziłem, byśmy mogli pokonać kalmary, jeśli zaatakują z pełną mocą. Jeszcze nie teraz. O ile w ogóle.

Miesiąc później siedziałem już w domu, w swojej szopie. Sprawy gospodarstwa szły ku lepszemu. Chociaż byłem dopiero kandydatem do stopnia weterana, dostałem podwyżkę. Odebrałem również wyższe wynagrodzenie za czynną służbę i choć raz miałem w końcu więcej grosza.

Wydałem parę kredytów na różne udogodnienia. Kupiłem prawdziwy sterownik klimatu. Jeden z nowszych modeli, który łagodnie regulował powietrze w domu, nadając mu pożądaną temperaturę, wilgotność, czy nawet ciśnienie barometryczne. Co więcej, mogłem na nim ustawiać poziom tlenu i stwierdziłem, że wolę go trochę podkręcić. Oczywiście było to urządzenie produkcji pozaziemskiej, ale działało jak marzenie. Nadeszła jesień, a wiatr niósł już mroźne tchnienie zimy. Wiedziałem, że nawet jeśli spadnie śnieg, to w mojej chacie zawsze będzie przytulnie.

Pewnego listopadowego wieczora odwiedziła mnie Natasha. Na zewnątrz panował ziąb, ale w mojej szopie było ciepło i przyjemnie. Dziewczynę zaskoczyły zmiany, które u mnie zaszły.

– Jest całkiem inaczej, niż kiedy byłam tu ostatnim razem – stwierdziła.

– No. Nawet zmyłem ze ścian wszystkie plamy krwi – pochwaliłem się.

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Nie psuj atmosfery – powiedziała.

– Sorki.

Na chwilę utkwiała wzrok w dłoniach, nerwowo przebierając palcami. Nie podnosząc oczu, zaczęła mówić:

– James... James, przyszedłam cię przeprosić.

To mnie zaskoczyło. I to bardzo. Spodziewałem się, że usłyszę od niej wiele różnych rzeczy, ale przeprosiny znajdowały się na szarym końcu bardzo długiej listy.

Otworzyłem lekko usta, ale zaraz potem je zamknąłem. W żadnym wypadku nie zamierzałem tego schrzanić.

Natasha popatrzyła na mnie, a ja odwzajemniłem spojrzenie, zachowując twarz pokerzysty. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

Ponownie wbiła wzrok w podłogę, a ja trochę się rozluźniłem.

– Badałam różne przypadki... To znaczy takie jak twój. Sporo o nich czytałam. Przestępcą seksualnym może być każdy, James. Teraz to wiem. Wcześniej tego nie rozumiałam.

Chciałem coś powiedzieć. Albo zakrzuszyć się, lub nawet głośno roześmiać. Jednak pozostawałem niewzruszony i dumny ze swojej samokontroli.

– Turov była twoją przełożoną. Zostałeś wykorzystany. Tak to widzę i chcę, żebyś wybaczył mi, że złościłam się na ciebie, kiedy się z nią przespałeś.

– Okej... – odparłem. Czułem, że muszę coś powiedzieć.

Pocałowała mnie delikatnie, a potem chwyciła za podbródek.

– Ale nie wracaj do niej – powiedziała. – Nie rób tego, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek być ze mną. Nienawidzę tej baby. To potwór! Rozumiesz?

Przytaknąłem.

– Taa... Natasha, posłuchaj.

– Tak?

Co miałem jej powiedzieć? Że ponosiłem za nasze grzeszki taką samą winę jak Turov? Że zwalanie całej winy na oficera to w mojej opinii żałosna zagrywka?

Nie mogłem się na to zdobyć. Zamiast tego przytuliłem ją i nalałem jej lampkę wina. Było idealnie schłodzone dzięki precyzyjnej technologii mojej nowej pozaziemskiej lodówki. Stara nie pozbierała się po tym, jak parę miesięcy wcześniej zarobiła kulkę.

Siadając ponownie obok Natashy, podałem jej wino i przez jakiś czas gawędziliśmy na lekkie tematy. W końcu wypłynęła kwestia

kalmarów. W ostatnim czasie ta sprawa wszystkim chodziła po głowie.

– Sądzisz, że przylecą, James? – zapytała Natasha niemal szeptem.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że mogłoby tak być. Wiedzą, co zrobiliśmy.

– Jesteś pewna? Przecież roznieśliśmy ich okręt w pył jedną salwą. Potrząsnęła głową.

– Nie zapominaj, że jestem technikiem. Sprawdziliśmy wszystkie sygnały radiowe, kiedy stabilizowaliśmy megadom. Posłali pakiet danych, używając potężnego przekaźnika. Wysłali go po zwartym promieniu w kierunku krańca Galaktyki. Gdzieś poza granicę.

Zmarszczyłem brwi.

– Myślisz, że to był sygnał SOS? – zapytałem.

– A co innego?

– Hegemonia o tym wie, prawda?

Parsknęła przez zaciśnięte usta.

– Jasne, że tak!

– Pytam, bo w sieci nic na ten temat nie znalazłem.

– Oczywiście nie piszą o tym w raportach internetowych. Sianie paniki nikomu nie służy.

„Paniki”. Jej słowa odbijały się echem w mojej głowie. Natasha miała rację. Gdyby Ziemianie wiedzieli, w co się naprawdę gra... że gdzieś tam istnieją nieznane światy głowonogów, z którymi mamy na pieńku... Gdyby wiedzieli, że Flota Bojowa 921 odleciała i nie wiadomo, kiedy wróci... O tak, zdecydowanie wpadliby w panikę.

– Czy postąpiliśmy właściwie, James? – zapytała Natasha cicho.

Spojrzałem na nią. Widziałem, że jest cała w nerwach. Prawda była taka, że to my postanowiliśmy ostrzelać kalmary. Pewnie, Turov zbierała laury i teraz brylowała, a jej nowa stylówka tylko ułatwiała zadanie. Ale to Natasha, Carlos i ja pociągnęliśmy za spust, dając początek nowej wojnie.

– Z całą pewnością właściwie – zapewniłem, obejmując Natashę i przyciągając ją do siebie. – Tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. Oni nękali Ziemię, a my przywaliliśmy im prosto w twarz. Poważnie się zastanowią, zanim zechcą znowu nas zaczepiać.

Wydawało mi się, że Natasha poweselała, ale nie byłem pewien, czy kupiła te moje brednie. Cholera, sam nie do końca je

kupowałem.

Sączyliśmy wino, aż opróżniliśmy butelkę, a potem zasnęliśmy razem na mojej kanapie. Pozaziemskie pompy powietrzne łagodnie posapywały i pobrzękiwały. Ich dźwięk działał na mnie kojąco.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Definicje
Motto
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28

Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43

[1] Cytat z dramatu *Juliusz Cezar* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego. (przyp. tłum.)